

SAKJETOWE

SZIAKI



Rakietowe Szlaki

Opowiadania Fantastyczno-Naukowe

Słowo Wiążące Julian Stawiński

Pl - 1958

Spis treści

[C. M. KORNBLUTH - Czarna walizeczka](#)
[JACK FINNEY - Zajmujący sąsiedzi](#)
[RAY BRADBURY - Nadejdą deszcze](#)
[ROBERT HEINLEIN - Drogi muszą być w ruchu](#)
[HARRY HARRISON - Skalny nurek](#)
[JOHN BERRYMAN - Licencja pilota](#)
[H. B. FYFE - Sałata i brylant](#)
[MURRAY LEINSTER - Parlamentariusz](#)
[ROBERT SHECKLEY - Instynkt myśliwski](#)
[CLIFFORD D. SIMAK - Współczynnik racjonalności](#)
[MURRAY LEINSTER - Samotna planeta](#)
[A. E. VAN VOGT - Zaczarowane miasto](#)
[MALCOLM JAMESON - Lilie życia](#)
[POUL ANDERSON - Pomocna dłoń](#)
[ISAAC ASIMOV - Dziedziczność](#)
[ROBERT ZACKS - Kontroler](#)

Mózg ludzki buduje coraz wspanialsze maszyny. Ale czy to znaczy, że sam jest coraz bardziej genialny? A może właśnie na odwrót, mając do dyspozycji mózgi elektroniczne człowiek spocznie na laurach i umysł mu zarzewieje? Obawy takie wyraża biometria, nauka, która - mówiąc z uproszczeniem - z pomocą statystyk bada, w jakim kierunku zmienia się wszystko, co żyje. Ale nie bądźmy przedwcześnie zarozumiali. Jeśli nawet - co nie jest pewne - nasze dalekie potomstwo będzie od nas głupsze, to nie znaczy, że my tym samym jesteśmy od niego lepsi. Wyobraźmy sobie, że jakimś szczególnym trafem dostanie się w nasze ręce wspaniałe i dobroczynny wynalazek przyszłości. Czy na pewno zrobimy z niego najodpowiedniejszy użytek? Znając egoizm, chciwość i inne brzydkie cechy, wciąż tkwiące w człowieku, można mieć wątpliwości.

C. M. KORNBLUTH - Czarna walizeczka

Stary doktor Full kuśtykał aleją i czuł zimę we wszystkich kościach. Wybrał tym razem zaułek i drzwi kuchenne zamiast normalnego chodnika i frontowych drzwi, a to z powodu brunatnej papierowej torby, którą dźwigał pod pachą. Wiedział bardzo dobrze, iż nikt nie zwróci uwagi, jeśli przyniesie sobie do pokoju butelkę taniego wina. Ani żadna z sąsiadek, szorstkowłosych i płaskogębnych, ani ich mężowie o dziurawych zębach i kwaśnym oddechu. Wszyscy oni przecież zapijali się winem lub na odmianę wódką. Lecz w przeciwieństwie do nich doktor Full się wstydził. Kuśtykał więc ciemnym i brudnym zaułkiem, gdy wydarzyła się niespodziewana katastrofa. Jeden z sąsiedzkich kundli - znany mu dobrze i znieawidzony, mały, czarny i chudy, wiecznie szczerzący kły i wiecznie warczący - wyskoczył nagle przez dziurę w parkanie i rzucił się do nóg lekarza. Dr Full odskoczył, a potem zamachnął się nogą mając zamiar poczęstować obmierzłą bestię solidnym kopniakiem. Ale zeszywniałe mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Potknął się o kawałek cegły wystającej z ziemi i usiadł gwałtownie, rzucając jakieś przekleństwo. Przekleństwo jednak zamarło mu na ustach, gdy doszedł go zapach rozlanego wina i zrozumiał, że torba wypadła mu spod pachy. Czarny pies dalej ujadał, biegając wkoło i ostrożnie trzymając się w odległości paru stóp. Ale doktor nie zwracał nań teraz uwagi.

Siedząc na środku zaśmieconego zaułka dr Full rozwinął sztywnymi palcami rozmokłą teraz brunatną torbę. Zapadł już wczesny jesienny zmierzch i trudno było zobaczyć, ile zostało. Wydobył najpierw z torby odbitą szyjkę butli, potem kawałki szkła, a wreszcie dół butelki. Stwierdził, że ocalała co najmniej połowa, ale był zbyt zajęty, by dać ujście swojej radości. Miał przed sobą problem do rozwiązania, więc uczucia mogły poczekać na stosowniejszą porę.

Pies przybliżył się i szczekał coraz wrzaskliwiej. Doktor postawił dół butelki na ziemi i cisnął w psa odłamkami szkła. Jeden kawałek trafił, pies odskoczył skowycząc i uciekł przez swoją dziurę w płocie. Wtedy dr Full przyłożył do ust dół butelki o brzegach ostrych jak brzytwa i zaczął pić jakby z jakiejś czary olbrzyma. Dwa razy ją odstawiał, by dać wypocząć rękom, ale w ciągu minuty wypił całą zawartość.

Chciał teraz wstać i pójść dalej uliczką do siebie. Naszło go jednak uczucie takiej błogości, że zmienił zamiar. Doznawał niewymownej rozkoszy siedząc na stwardniałym od mrozu błocie, które teraz wydawało się miękką poduszką. Fala ciepła opływała mu całe ciało i czuł, jak zamróz wyparowuje mu z kości.

Trzyletnia dziewczynka w długim zimowym płaszczu przecisnęła się przez tę samą dziurę w parkanie, z której wyskoczył poprzednio czarny pies. Z powagą przydreptała aż do doktora i zaczęła mu się przyglądać trzymając brudny paluszek w buzi. Szczęśliwość doktora Fulla doszła teraz do szczytu: miał obecnie słuchaczkę.

- Ach, moja droga - wybełkotał. - Śmieszny zarzut! "Jeśli to nazywacie dowodem - powiedziałem im wtedy - to lepiej wróćcie do swoich spraw. Byłem tu, kiedy jeszcze nie było Okręgowego Zrzeszenia Lekarzy. A inspektor koncesji nigdy niczego mi nie udowodnił. Więc - powiedziałem - panowie, jaki w tym wszystkim sens? Odwołuję się do was, jako do kolegów w tym pięknym zawodzie..."

Dziewczynka znudzona przemową odeszła zabierając ze sobą jeden z rozrzuconych kawałków szkła. Dr Full natychmiast o niej zapomniał i ciągnął sam do siebie: - Przecież nie mogli mi nic udowodnić. Człowiek ma chyba jakieś tam prawa? - Kołował w myśli wciąż wokół jednej sprawy, co do której miał bardzo stanowcze zdanie, lecz która, z drugiej strony, nie budziła też wątpliwości

w komisji etyki zawodowej Okręgowego Zrzeszenia Lekarzy. Tymczasem zamróz powracał w kości doktora, a nie miał już ani pieniędzy, ani więcej wina.

Zaczął w siebie wmawiać, że w straszliwym nieładzie jego pokoju musiała się gdzieś zapodziać cała butelka whisky. Była to stara i okrutna sztuczka, którą odgrywał zawsze przed sobą, kiedy chciał skłonić samego siebie do wstania i powrotu do domu. Mógł przecież zamarznąć na śmierć w tej uliczce. W pokoju będą go gryzły pluskwy, będzie kaszlał pod wpływem cuchnących wyziewów zlewu; ale nie będzie marzył, nie będzie opłakiwał setek butelek wina, które jeszcze go w życiu czekają, tysiące godzin płomiennego zadowolenia, które jeszcze może odczuwać. Zastanawiał się nad butelką whisky - gdzie też mogła być? Może pod zwałem zatechłych czasopism lekarskich? Nie; szukał już tam dwa razy. Może pod zlewem, gdzieś z tyłu, za pordzewiałą rurą? Tak, wmawiał w siebie z rosnącym podnieceniem, tak, to zupełnie możliwe! Ostatnio pamięć mnie trochę zawodzi, tłumaczył sobie życzliwie. To bardzo prawdopodobne, że kupiłem butelkę whisky i schowałem za rurą pod zlewem na taką chwilę jak ta.

Ciemnobrunatna butelka, szelest banderoli odrywanej z szyjki, młaśnięcie wyciągniętego korka, potem cudowne uczucie, gdy płyn haustami przepływa przez gardło, fala ciepła, a wreszcie ciemne, tępe, rozkoszne zapomnienie pijaństwa - wszystko to stawało się rzeczywistością. Możliwe, że kupił! Oczywiście, możliwe! - powtarzał sobie w kółko. Błogie przekonanie utrzymywało się w mózgu - możliwe, oczywiście, możliwe! - i przykląkł na jedno kolano. W tej samej chwili usłyszał za sobą pisk i odwrócił głowę nie zmieniając swej dziwnej pozycji. Piszcząca mała dziewczynka, która bawiąc się znalezionym kawałkiem szkła, zacięła się mocno w rękę. Dr Full widział, jak strumyk czerwonej krwi spływał jej na płaszcz i ściekał pod nogi tworząc małą kałużę.

Skłonny już był nawet wyrzec się dla dziecka obrazu brunatnej butelki. Ale nie na długo. Wiedział już na pewno, że stoi ukryta głęboko pod zlewem, za pordzewiałą rurą; tam właśnie, gdzie ją schował. Łyknie tylko raz, po czym z całą gotowością wróci, by pomóc dziecku. Dr Full przykląkł na drugie kolano, potem stanął na nogach i zataczając się pobiegł uliczką do swojego pokoju. Tam, pełen optymizmu, zaczął szukać butelki, której nie było. Optymizm przeszedł w niepokój, a potem w zaciekły szal. Rozrzucił naczynia, sprzęty i książki, aż znużony próżnym poszukiwaniem butelki zaczął bić obrzmiałymi pięściami o ścianę, aż otworzyły się stare blizny i gęsta, starcza krew zafarbowała mu ręce. Wtedy usiadł w kącie na ziemi, począł rozczulać się nad sobą i stopniowo zanurzył się w odmęt koszmarów, które przynosił mu sen.

Po okłamywaniu się przez dwadzieścia pokoleń, po długim ciągu zapewnień, że "będziemy się martwić, gdy nadejdzie pora", rodzaj ludzki wszedł w ślepy zaułek! Tylko biometrycy wykazywali z uporem i neodpartą logiką, że odsetek ludzi o umysłowości niżej przeciętnej wzrasta, o umysłowości przeciętnej zaś i ponad przeciętną - maleje, przy czym proces ten odbywa się w postępie geometrycznym. Każdy fakt podniesiony w sporze okazywał się argumentem na rzecz biometryków i prowadził neodparcie do wniosku, że rodzaj ludzki musi zabrnąć niebawem w idiotyczne wprost błędne koło. Ale jeśli ktoś sądzi, że ostrzeżenia te miały jakikolwiek wpływ na praktyki rozmnażania, ten nie zna, doprawdy, rodzaju ludzkiego.

Jako czynnik maskujący skutki tego procesu działało, rzecz jasna, inne zjawisko, związane neodłącznie z postępowaniem technicznym: akumulacja technologicznych doświadczeń i przyrządów. Kretyn wprawiony w używanie arytmometru wydawał się biegłym rachmistrzem niż średniowieczny matematyk, nawykły rachować na palcach. Kretyn wdrożony w niesłychanie prostą obsługę tego, co w wieku XXI było odpowiednikiem linotypu, zdawał się lepszym zecerem niż drukarz z epoki Odrodzenia posługujący się garścią ręcznie składanych czcionek. To samo działo się w dziedzinie medycyny.

Był to nader zawity splot wielu czynników. Ponadprzeciętni doskonalili wynalazki szybciej, niż subnormalni obniżali ich jakość. Ilość jednak udoskonaleń była coraz mniejsza, gdyż malała liczba ponadnormalnych. Fetysz wyższego wykształcenia doczekał się w pokoleniu dwudziestym niesamowitych szczytkowych form. Istniały całe uczelnie, gdzie żaden ze studentów nie umiał przeczytać wyrazu trzy sylabowego; “uniwersytety”, gdzie z tradycyjną pompą nadawano tytuły “magistrów stenografii”, “doktorów filozofii kartotek” i “kandydatów teczkowania archiwalnego”. Topniejąca garść ponadnormalnych uciekała się do takich sposobów dla zachowania choćby pozorów ładu społecznego.

Ale pewnego dnia i to musiało się skończyć. Ponadnormalni musieli w końcu przekroczyć kiedyś most prowadzący w niebyt. Byli już na wiadukcie i kres bezlitośnie nadchodził. Duchy dwudziestu pokoleń biometryków chichotały złośliwie.

Zajmiemy się tu pewnym doktorem medycyny reprezentującym owo pokolenie dwudzieste. Nazywał się Hemingway - dr John Hemingway. Był internistą, miał praktykę ogólną i nie lubił kierować pacjentów z byle głupstwem do specjalisty. Uzasadniał to mniej więcej w ten sposób: - Bo inaczej jaki byłby sens pracy internisty, pocziwego, staroświeckiego internisty? Oczywiście, nawet dobry internista nie może się znać na wszystkim, na płucach, gruczołach i tak dalej. Ale internista musi być wszechstronny. Oto czym powinien właściwie być: lekarzem wszechstronnym!

Nie wynika stąd wcale, by dr Hemingway był kiepskim lekarzem. Potrafił usunąć migdałki lub ślepą kiszkę, solidnie zaopiekować się każdym obłożnie chorym, dobrze przeprowadzić poród, postawić trafną diagnozę w tysiącnych przypadkach i przepisać właściwe środki czy metody lecznicze. Ścisłe mówiąc jednej tylko rzeczy nie potrafił w zakresie medycyny: naruszyć odwiecznych zasad etyki lekarskiej. A brał je naprawdę serio.

Dr Hemingway gwarzył z przyjaciółmi pewnego wieczora, gdy zaszedł wypadek, który wciągnął go do naszego opowiadania. Miał za sobą ciężki dzień w klinice i chciał opowiadać o tym; lecz jego przyjaciel, dr Walter Gillis, w żaden sposób nie dawał mu dojść słowa. Gillis gadał bez przerwy, tonem niezawodnej wyższości:

- Ten stary Mikę wszędzie musi nos wsadzić. Pojęcia nie ma o prawdziwie naukowej metodzie, ale zajmuje się wszystkim. Manipulował nieborak mnóstwem jakichś próbek, kiedy wszedłem; więc spytałem go żartobliwie: “A jak to jest z tą machiną czasu, co, Mikę?”

Dr Gillis nie zdawał sobie sprawy, że “Mikę” ma sześć razy wyższy od niego wskaźnik inteligencji, choć - nazywając rzeczy po imieniu - był jego woźnym. W przebraniu woźnego starał się kierować całym stadem pseudolekarzy w pseudonaukowym laboratorium. Była to strata z punktu społecznego, ale - jak już mówiliśmy - ponadnormalni wciąż jeszcze nie tracili optymizmu. Ów nieuzasadniony optymizm wytwarzał wiele podobnie nedorzecznych sytuacji. Tym razem jednak “Mikę” miał tak już dosyć wszystkiego, że... ale pozwólmy Gillisowi dokończyć:

- Na to Mikę podaje mi numerację lamp elektronowych i powiada: “To da obwód zamknięty. A teraz nie zwracaj pan głowy. Zbuduj sobie machinę czasu, wsiadaj do niej i przekręć wyłącznik. Nic więcej od pana nie chcę, Gillis.”

- Oo - zdziwiła się wiotka, urocza blondynka - a zapamiętał pan dobrze, doktorze? - obdarzyła go czarującym uśmiechem.

- Ach - odparł skromnie Gillis - ja zawsze dobrze pamiętam. To już u mnie zdolność wrodzona. Poza tym powtórzyłem natychmiast wszystkie numery swojej sekretarce, która je zapisała. Z czytaniem różnie u mnie bywa, ale z pamięcią wspaniale. Więc... zaraz, na czym to ja stanąłem?

Wszyscy zaczęli myśleć z wysiłkiem. Po chwili zewsząd rozległy się głosy:

- Mówił pan coś o butelkach, doktorze!

- Czy o jakiejś kłótni. Pan powiedział, że czas podróże!
- Już wiem: pan nazwał kogoś łącznikiem. Ale kto był łącznikiem?
- Nie łącznik, ale wyłącznik!

Szlachetne czoło doktora Gillisa zmarszczyło się od nadmiaru myśli. Wreszcie oświadczył:

- Tak, rzeczywiście wyłącznik. Była mowa o podróżach w czasie. Tak to się nazywa: podróżowanie w czasie. Odcisnąłem numery, które dał mi Mike i wstawiłem do wytwarzacza obwodów. Wytwarzacz nastawiłem na "obwód zamknięty" i machina czasu gotowa. Działa naprawdę dobrze - tu pokazał skrzynkę.

- A co jest w tej skrzynce? - spytała urocza blondynka.

- Machina czasu - odparł dr Hemingway. - Można wysyłać nią różne rzeczy w przeszłość.

- Proszę uważać! - powiedział dr Gillis. Wziął małą czarną walizeczkę lekarską doktora Hemingwaya i położył na skrzynce. Przekręcił wyłącznik i walizeczka znikła.

- Patrzcie państwo! - zdziwił się dr Hemingway. - Znakomity kawał. A teraz sprowadź ją pan z powrotem.

- Co?

- Sprowadź pan na powrót moją walizeczkę.

- Nic z tego - odparł dr Gillis - to nie wraca. Próbowałem już, ale nic stamtąd nie wraca.

Widocznie ten głupi Mike dał mi maszynę tylko z jednym kierunkiem.

Wszyscy, z wyjątkiem doktora Hemingwaya, zaczęli jednogłośnie potępiać Mike'a. Dr Hemingway miał niemiłe uczucie, że musi teraz coś zrobić. "Jestem przecież doktorem - myślał - a doktor musi mieć czarną walizeczkę. Nie mam walizeczki, więc nie jestem już może doktorem?" Doszedł do wniosku, że to wykluczone. Wiedział dokładnie, że jest doktorem. Więc tylko walizeczka jest nie w porządku, że nie wróciła. Widocznie była kiepska. Ale to nic! Ten głupi Al w klinice da mu jutro inną. Al umiał dużo rzeczy, a jednak był głupi, bo zupełnie się nie nadawał do towarzyskich rozmówek.

Nazajutrz dr Hemingway dostał od swego woźnego nową walizeczkę. Czarną walizeczkę, dzięki której mógł przeprowadzać operacje migdałków czy ślepej kiszki i odbierać najtrudniejsze porody, z pomocą której mógł stawiać diagnozy i leczyć bliźnich - aż do dnia, kiedy ponadnormalni przekroczą most w przepaść niebytu. Al trochę zrzędził z powodu zagubienia czarnej walizeczki; ponieważ jednak dr Hemingway nie wiedział dokładnie, co się z nią stało, więc poszukiwań nie zarządzono. A wobec tego...

Dr Full przebudził się z koszmarów nocy do koszmarów dnia. Z trudem rozwarł powieki. Siedział wciśnięty w róg swego pokoju. Dobiegał go odgłos podobny do cichego bębnienia. Odczuwał chłód, a nogi miał odrętwiałe. Popatrzył na swoje nogi i wybuchnął śmiechem. Werbel wybijał własnym lewym obcasem, który drgał i uderzał w podłogę. Zaczyna się biała gorączka - pomyślał obojętnie. Otarł usta pokrwawionymi palcami, drgawki stały się wyraźniejsze, a werbel głośniejszy, choć bardziej powolny. - Ładnie się zaczyna poranek - orzekł z ironią - atak murowany! Później przyjdą koszmary; ale wtedy dopiero, kiedy człowiek będzie napięty jak struna bliska pęknięcia. - Do tego było jednak daleko. Co prawda trudno było dopatrzeć się pociechy w takiej zwłoce, której towarzyszył potworny ból głowy tuż za oczami i bolesna sztywność wszystkich, stawów.

Przypomniał sobie, że miał zająć się jakimś dzieckiem. Miał zrobić mu opatrunek. Oczy jego spoczęły na czarnej walizeczce leżącej pośrodku pokoju i zapomniał o dziecku. - Mógłbym przysiąc - wymruczał - że wyrzuciłem ją dwa lata temu! - Wyciągnął rękę, przysunął walizeczkę i wtedy zrozumiał, że to jakaś cudza torba lekarska, która nie wiadomo skąd tutaj się wzięła. Spróbował

dotknąć zamka, który lekko ustąpił. Wewnątrz było mnóstwo płaskich przegródek, pełnych starannie ułożonych instrumentów i lekarstw. Po otwarciu walizeczka zdawała się dużo większa, niż kiedy była zamknięta. Dr Full nie mógł pojąć, w jaki sposób składała się w tak nieduży format, ale doszedł do wniosku, że to jakaś sztuczka fabryki instrumentów. Od czasów jego młodości rzeczy poszły naprzód. Ale wobec tego - pomyślał z zadowoleniem - dostanę za nią więcej w sklepie ze starzyzną.

Z myślą o młodości zaczął machinalnie grzebać wśród instrumentów. Niektóre były zupełnie dlań obce, nie znał ich przeznaczenia. Różne odmiany skalpeli, lancetów, kleszczy, retraktorów, igły i katgut do szycia, strzykawki - przyszło mu na myśl, że strzykawki mogłyby sprzedać oddzielnie paru narkomanom.

- Trzeba iść! - zdecydował i spróbował walizeczkę zamknąć. Ale nic z tego nie wychodziło. Dopiero gdy dotknął zamka, walizeczka zwinęła się sama i przybrała pierwotną postać. Przyjrzał się jej z podziwem i nieomal zapomniał, że interesuje go przede wszystkim jej wartość handlowa.

Mając określony cel dość łatwo zmusił się do wstania. Postanowił wyjść frontowymi drzwiami, a potem, zwyczajnie, ulicą. Najpierw jednak...

Umieścił walizeczkę na kuchennym stole, otworzył i zaczął szukać wśród lekarstw. - Byle co, aby tylko podkreśliło układ nerwowy - szepnął do siebie. Rur były numerowane, a obok jakby lista na karcie z plastyku. Z lewej strony karty było wyliczenie układów: gruczołowy, mięśniowy, nerwowy. Na prawo widniała rubryka: pobudzające, łagodzące itd. W kolumnie "układ nerwowy" i rubryce "łagodzące" odnalazł numer 17, po czym drżącymi rękoma wydobył szklane rurkę, opatrzoną tymi samymi cyframi. Pełna była błękitnych piguleczek. Zażył jedną.

Skutek był piorunujący.

Z wyjątkiem chwil zamroczenia dr Full od tak dawna nie zaznał dobrego samopoczucia, że po prostu zapomniał już, na czym to polega. Toteż pełen lęku obserwował co się z nim dzieje. Doznał jakiegoś niepojętego wrażenia. Wyprostował się, drgawki ustały, wszystkie bóle znikły.

To nadzwyczajne - pomyślał. Może teraz dosłownie pobiec do sklepu ze starzyzną, przehandlować czarną walizeczkę i kupić wina, a może i wódki. Zszedł ze schodów. Świetne samopoczucie nie opuściło go nawet na ulicy zalanej porannym słońcem. W lewym ręku czuł miły ciężar walizeczki. Szedł wyprostowany, przestał się garbić. Trzeba mieć trochę szacunku dla siebie - pomyślał. Z tego, że człowiek trochę się wykoleił, jeszcze nie wynika...

- Panie doktorze! Prędko, panie doktorze! - krzyknął ktoś szarpiąc go za ramię. - Mała się oparzyła! - Kobieta o rozkudłanych włosach, w chustce zarzuconej naprędce, ciągnęła go w stronę jednego z obskurnych domów, gdzie się gnieździła biedota.

- Kiedy ja już nie praktykuję... - zaczął ochrypłym głosem, lecz kobieta nie chciała go puścić.

- Tędy, doktorze, tędy! - wołała ciągnąc go w stronę jakichś drzwi. - Musi pan obejrzeć małą. Mam dwa dolary, chodź pan! - Ta ostatnia uwaga nadawała całej sprawie inny aspekt. Pozwolił się zaciągnąć do brudnej izby, śmierdzącej kapustą i pleśnią. Domyślał się teraz, kim jest kobieta: nowoprzybyłą, która tu wprowadziła się dopiero zeszłej nocy. Ci ludzie zawsze przenosili się nocą, starymi, zdezelowanymi ciężarówkami, wypożyczonymi gdzieś od znajomych, wyładowanymi sprzętami aż pod (niebo; pili przy tej okazji i wrzeszczeli aż do samego świtu. Wyjaśniało to także, dlaczego go zatrzymała: nie wiedziała jeszcze, że jest starym dr Fullem, nieuleczalnym pijakiem, którego nikt nie wezwałby do chorego. Czarna walizeczka nadawała mu rangę mimo zapitej twarzy i zaplamiętego ubrania."

Przyjrzał się pacjentce, trzyletniej dziewczynce, którą zapewne przed chwilą umieszczono w matematycznym centrum świeżo zaścielonego podwójnego łóżka. Bóg jeden wie, na jakim brudnym i zatęchłym materacu sypiała zazwyczaj. Odniósł wrażenie, że małą skądś zna, gdy na jej prawym ręku

zobaczył zakrzepły bandaż. "Dwa dolary..." - pomyślał. Chude ramię dziecka pokrywała brzydka plama. Nacisnął palcem w zgięciu ramienia i pod skórą wyczuł drobne, twarde kulki. Dziewczynka zaczęła piskliwie pojękiwać. Stojąca obok kobieta głośno zawodziła.

- Proszę wyjść - ofuknął ją szorstko i kobieta szlochając opuściła izbę.

"Dwa dolary - myślał. - Dać jej tam byle co, wziąć pieniądze i powiedzieć matce, żeby poszła z małą do kliniki. Pewnie zakażenie ręki; nic dziwnego, w tym smrodliwym zaułku! Prawdziwy cud, że te dzieci w ogóle żyją." Postawił walizeczkę i bezwiednie sięgnął po klucz, ale przypomniał sobie i dotknął zamka. Wydobył bandaż, nożyczki, imadło. Przewiązał ramię tak, by w miarę możliwości nie sprawić dziecku bólu ściśnięciem obrzmiałego miejsca i przystąpił do cięcia. Był zdumiony, jak łatwo i szybko błyszczące nożyczki tną zakrzepłą szmatę przywarła do rany. Prawie nie kierował palcami. Miał nawet uczucie, jak gdyby nożyczki prowadziły mu palce krojąc bezbłędnie wzdłuż idealnej linii.

"Rzeczywiście bardzo się posunęli od moich czasów - X - pomyślał - ostrzejsze niż mikrotomiczny nóż." Umieścił nożyczki w przegródce na ogromnej tablicy, w jaką rozwinęła się czarna walizeczka; pochylił się nad raną. Aż gwizdnął na widok ohydneho zropienia i gwałtownej infekcji, która natychmiast się wywiązała w chorowitym i chudym ciałku dziecka. Co tu począć! Nerwowo przerzuczał zawartość walizeczki. Jeśli przetnie spuchlizną i wypuści choć trochę ropy, kobieta będzie myślała, że naprawdę coś zrobił, i da mu dwa dolary. Ale w klinice dowiedzą się od kobiety, kto operował, i jeśli po zabiegu będą komplikacje, gotowi przysłać po niego policjanta. Może jednak znajdzie się coś wśród lekarstw...

Odszukał w lewej kolumnie karty wyraz "limfatyczny", a w prawej rubrykę "infekcja". Odpowiednia klatka zawierała dość niezrozumiałe symbole. Sprawdził jeszcze raz, ale wyczytał to samo: "IVg3cc". Stwierdził z zakłopotaniem, że żadne buteleczki nie są znakowane rzymskimi cyframi i dopiero po chwili zauważył te cyfry na strzykawkach. Wyjął numer IV, przy czym okazało się, że strzykawka już jest zaopatrzona w igłę i nawet napełniona. Niebawem! A zatem trzy centymetry płynu w strzykawce IV powinny w jakiś sposób pomóc na zakażenie układu limfatycznego. Tylko co znaczy "g"? Przyjrzał się cylindrowi strzykawki i dostrzegł ciąg liter, od "a" do "i", na ruchomej tarczy u góry. Na szkle zaś widniała linia wskaźnikowa.

Dr Full wzruszył ramionami, nastawił tarczę, by "g" przypadało na wprost linii wskaźnikowej i podniósł strzykawkę do oka. Nacisnął tłok i zobaczył, że z końca igły wytryska cieniutka struga płynu, tworząc rodzaj ciemnej mgiełki. Dokładne oględziny igły wykazały, że nie ma w niej otworu. Była ścięta jak zwykle, ale nie zdawała się drożna. Zdumiony, dr Full nacisnął tłok. I znów wokół czubka ukazała się mgiełka. - Zobaczymy - mruknął do siebie i przytknął sobie igłę do przedramienia. Myślał w pierwszej chwili, że się ześliznęła. Zobaczył jednak małą kropelkę krwi i zrozumiał, że igłę wbił, tylko nie poczuł ukłucia. Doszedł do wniosku, że cokolwiek tam było w strzykawce - i przechodziło przez igłę bez otworu! - nie mogło zaszkodzić, jeśli odpowiadało etykietce. Wstrzyknął więc sobie trzy centymetry. Powstał nieznaczny obrzęk - bezbolesny, ale typowy.

Podejrzewał teraz, że widać zawodzi go oko. Bez dalszych wahań wstrzyknął gorączkującemu dziecku trzy centymetry tajemniczego płynu. Mała jęczała bez przerwy i podczas zastrzyku, i po nim. Ale w chwilę później wciągnęła gwałtownie powietrze i zamilkła.

Zimny dreszcz przeszył doktora. "Tym razem już po wszystkim - pomyślał. - Ten zastrzyk na pewno ją zabił."

Nagle dziewczynka usiadła i spytała: - A gdzie mama?

Nie wierząc sobie samemu doktor chwycił jej ramię i zbadał wgłębienie łokcia. Zakażenie gruczołów znikło całkowicie, a temperatura sprawiała wrażenie normalnej. Przekrwienie wokół rany

ustępowało w oczach. Puls był dobrze napięty i wcale nie przyśpieszony. W zupełnej ciszy, jaka zapadła w izbie, dochodził tylko z kuchni płacz matki chorego dziecka. Równocześnie usłyszał za sobą pytający głos:

- Co z nią będzie?

Odwrócił się i zobaczył mizerną dziewczyninę o brudnopłowych włosach, może osiemnastoletnią. Oparta o framugę drzwi przyglądała mu się z dość wyraźną pogardą.

- Wiem już coś niecoś o panu, panie "doktorze" - ciągnęła. - Więc lepiej nie urządzać żadnego nabierania starych. Pan nie mógłby wyleczyć szczeniaka.

- Czyżby? - huknął doktor. Ta bezczelna smarkata dostanie teraz nauczkę, na jaką zasłużyła. - A może tak panienka przyjrzy się mojej pacjentce?

- Gdzie mama? - powtórzyła głośniejszą malutka, a blondynka rozdziawiła usta. Podeszła do łóżka i podejrzliwie spytała: - Dobrze się czujesz, Teresa? Nic cię nie boli?

- Gdzie mama? - dopominała się dalej Teresa. Po czym wyciągnęła oskarżycielsko w kierunku doktora skaleczoną rękę. - On mnie ukłuł! - pisnęła i nagle zachichotała.

- No, no - zdumiała się blondynka - zwracam honor, panie doktorze. A te baby tutaj wszystkie mówiły, że pan nie ma pojęcia... że pan nie umie leczyć. Mówiły, że pan nie jest prawdziwy doktor.

- Wycofałem się z praktyki, to prawda - odrzekł. - Ale w tym wypadku wyręczyłem po prostu kolegę. Pani mama zwróciła się do mnie, no i... - uśmiechnął się lekceważąco. Dotknął zamka czarnej walizeczki, która natychmiast zwinęła się i wróciła do pierwotnego stanu.

- Pan to ukradł - powiedziała szorstko dziewczyna.

Doktor zaniemówił.

- Nikt panu nie podarowałby czegoś podobnego. To musi być warte mnóstwo pieniędzy. Pan ukradł tę walizkę. Chciałam już panu przeszkodzić, kiedy przyszłam i zobaczyłam, że pan coś robi z Teresą; tylko wydało mi się, że pan jej nie robi krzywdy. Ale teraz jestem już pewna, że pan ukradł walizkę, bo inaczej nie bujałby pan z tym wyręczaniem kolegi. Coś takiego musi być warte ze trzydzieści dolarów. Da mi pan połowę, bo jak nie - idę na policję.

W tym momencie weszła nieśmiało matka. Oczy miała czerwone, ale na widok dziewczynki siedzącej na łóżku i gaworzącej ze sobą wydała krzyk radości, uściskała małą, padła na kolana, by zmówić krótką modlitwę, ucałowała rękę doktora, a wreszcie zaczęła go ciągnąć do kuchni. Przez cały ten czas nie przestawała mówić, choć blondynka patrzyła na nią ze wstrętem. Dr Full dał się zaprowadzić do kuchni, ale stanowczo odmówił kawy i anyżowych ciasteczek.

- Poczęstuj go winem, mamó - zawołała ironicznie blondynka.

- A tak! Tak! - uradowała się stara. - Trochę wina, proszę pana doktora? - w mgnieniu oka ustawiła przed nim karafkę ciemnoczerwonego płynu, a blondynka parsknęła śmiechem widząc, jak doktor wyciąga rękę. Cofnął rękę, ale w jego głowie już powstawały znajome obrazy - zapachu, smaku i ciepła rozchodzącego się po całym ciele. Szybko przemyślał bieg zdarzeń: zachwycona kobieta nawet nie zauważy, kiedy i jak on wychyli pełne dwie szklaneczki, potem z towarzyszeniem dalszych dwóch szklaneczek porazi ją opowieścią o niedoszłym spotkaniu Teresy z Aniołem Śmierci, a później - ach, później będzie już wszystko jedno. Będzie wtedy pijany.

Lecz po raz pierwszy od wielu lat zrodził się w nim jakiś przeciwobraz. Wyrósł z mieszaniny wściekłości, że blondynka tak go przejrzała na wylot, i dumy z powodu udanej kuracji. Ku własnemu zdziwieniu cofnął ponownie rękę, którą już ujmował karafkę, i powiedział lubując się każdym słowem:

- Nie, dziękuję pani. Nie mam zwyczaju nic pić o tak wczesnej porze. - Ukradkiem spoglądał na blondynkę i ucieszył się, że ją to zaskoczyło. Wtedy matka wstydliwie podała mu dwa banknoty.

- To wszystko, co mam, proszę pana doktora... Ale pan jeszcze przyjdzie zobaczyć Teresę?

- Chętnie doprowadzę leczenie do końca - od parł. - Ale teraz już muszę naprawdę iść. -

Stanowczym ruchem chwycił walizeczkę i wstał. Bardzo już pragnął być z dala i od wina, i od tej dziewczyny.

- Niech pan poczeka, doktorze - przytrzymała go - idę w pana stronę. - Wyszła razem z nim na ulicę. Nie zwracał uwagi, że w pewnej chwili poczuł jej rękę na walizeczce. Wtedy zatrzymał się i spróbował przemówić jej do rozumu.

- Słuchaj, kochaneczko! Przypuśćmy, że masz rację i że to ukradłem. Prawdę mówiąc sam dobrze nie wiem, skąd się to wzięło. Ale panienska jest młoda i może sama na siebie zarobić...

- Pół na pół - odparła - inaczej idę na policję. Proszę się nie namyślać, bo za chwilę nie wezmę mniej niż trzy czwarte. A pan wie, czym to wszystko pachnie, co?

Pokonany, skierował się do sklepu ze starzyzną, czując wciąż jej beczelną dłoń tuż przy swojej dłoni i słysząc tupot jej wysokich obcasów.

W sklepie jednak oboje czekało rozczarowanie.

- To nieprzepisowy wyrób - rzekł handlarz, któremu wspaniały zamek wcale nie zaimponował. - Nigdy jeszcze takiej nie widziałem. Może jakaś taniocha japońska? Spróbujcie u kogo innego. Bo u mnie nikt tego nie kupi.

W następnym sklepie zaproponowano dolara. Krytyka walizeczki była zupełnie podobna: - Ja jestem kupiec, a nie zbieracz, szanowny panie, biorę tylko rzeczy, które mogę sprzedać. A kto to weźmie ode mnie, chyba jaki Chińczyk, który nie zna się wcale na instrumentach? Wyglądają tak dziwnie! Może pan sam to robił?

Nie przyjęli dolara.

Dziewczyna była zawiedziona i wściekła; doktor też zawiedziony, ale tryumfujący. W kieszeni miał dwa dolary, a dziewczynę przypuścił do spółki w czymś, na co nie było kupca. Chociaż, pomyślał w nagłym olśnieniu, z pomocą tej walizeczki wyleczył przecież małą.

- Nie ma panienska dosyć? - zapytał. - Jasna sprawa, to nie ma żadnej wartości.

- Tylko spokojnie, doktorze. - Dziewczyna zmarszczyła czoło w głębokim namyśle. - Sama dobrze nie wiem, jak to z tym jest... Czy ci kupcy rozumieją się na tym?

- Oczywiście. Z tego przecież żyją. Nie wiem jakie jest pochodzenie tych instrumentów, ale...

- Tak sobie właśnie myślałam. - Miała jakąś diabelską zdolność uzyskiwania wyjaśnień bez zadawania pytań. - więc pan też nie wie, prawda? A może ja postaram się dowiedzieć za pana. Tak czy owak, nie wypuszczę tej rzeczy. W tym są pieniądze! Nie wiem jeszcze, jak do nich się dostać, ale w tym są pieniądze. Chodź pan tutaj!

Poszedł za nią do małej kawiarenki, usiadł w pustym kącie. Nic sobie nie robiąc ze spojrzeń i uśmiechów innych gości lokalu, otworzyła walizeczkę - zajęła cały stół - i zaczęła przeglądać. Wyciągnęła retraktor, przyjrzała się, pogardliwie wetknęła z powrotem, wyjęła wziernik i rzuciła do środka, wyjęła porodowe kleszcze, obracała na wszystkie strony wpatrując się bystrymi młodymi oczyma - aż dojrzała to, czego starcze oko doktora nie mogło wypatrzeć.

Ze zdumieniem przyglądała się nasadzie kleszczy i nagle pobladła. Starannie owinęła instrument pokrowcem i włożyła na właściwe miejsce.

- No i co? - spytał dr Full. - Co tam wypatrzyłaś?

- "Made in U.S.A." - odczytała z pamięci głosem zdławionym. - "Patent zgłoszony w lipcu 2450".

Już chciał jej powiedzieć, że na pewno się pomyliła w czytaniu, że to może po prostu jakiś żart, że...

Ale wiedział, że dziewczyna nie pomyliła się. Te nożyczki, które mu prowadziły rękę, zamiast by

on je prowadził. Ta strzykawka z igłą bez otworu. Błękitne pigułeczki o piorunującym działaniu...

- Wie pan co? - zawołała z przejęciem dziewczyna. - Zapiszę się do szkoły kosmetycznej. Co pan o tym myśli? Bo pan wie, że teraz będziemy się na pewno często widywać.

Dr Full nic nie odpowiedział. Trzymał w rękę i bezmyślnie poruszał kartą z plastyku, na której wydrukowane były rubryki i znaki stanowiące, jak to stwierdził dwukrotnie, znakomity przewodnik po całej walizeczce. Wymacał na karcie drobną wypukłość, którą można było przesuwac tam i na powrót w obie strony. Nagle spostrzegł, że z każdym przesunięciem u dołu karty zjawia się inny tekst. Pstryk: "Nóż z niebieską kropką na ręczce jest tylko do wycinania guzów; do diagnostyki guzów służy instrument badawczy 7, obrzękomierz; umieścić obrzękomierz..." Pstryk: "Nadmierną dawkę różowych pigulek B3 wyrównać można jedną białą pigułką B..." Pstryk: "Igłę do szycia ran trzymać za koniec; przytknąć do brzegu rany i puścić; po zaszyciu..." Pstryk: "Przyłożyć górną stronę kleszczy porodowych i puścić; gdy dopasują się do kształtu..." Pstryk.

Sekretarz redakcji zobaczył napis u góry szpalty: "Flannery 1 - Medycyna". Zaznaczył automatycznie "skrócić o AT i podał Piperowi, który robił korektę cyklu o znachorach Edny Flannery. Zdolna dziewczyna - pomyślał sekretarz - ale jak wszyscy młodzi zanadto się rozpisuje. Dlatego "skrócić".

Piper skończył opracowywać sprawozdanie z ratusza, sięgnął po materiał Flannery i zaczął go odczytywać słowo po słowie, w rytmie tak równym, jak rytm dalekopisu. Ścisłe mówiąc nie czytał właściwie reportażu, ale sprawdzał litery i słowa dla upewnienia się, czy odpowiadają przyjętemu stylowi "Heralda". Od czasu do czasu przerywał miarowe postukiwanie ołówkiem, aby wnieść poprawkę w stylu czy ortografii. Doszedł do końca szpalty pierwszej, potem drugiej i wrócił do początku, by tym razem czytać pod kątem treści.

Był już pod koniec "Flannery 2", gdy ołówek zwolnił nagle, a potem się zatrzymał. Sekretarz redakcji, zawsze wrażliwy na rytm korektorów, przerwał natychmiast prace i spojrzał w jego stronę. Piper beczynnie wpatrywał się w szpalty z wyrazem wielkiego zdumienia. Czując na sobie wzrok szefa, bez słowa podał mu szpalty, a w zamian otrzymał reportaż policyjny. Ołówek znów poszedł w ruch. Sekretarz przeczytał cztery akapity, przy piątym wstał, skinął na siedzącego naprzeciw Howarda: - Zastąp mnie! - i powędrował za przepierzenie, gdzie królował naczelny redaktor.

Cierpliwie przeczekał, aż redaktor techniczny, główny fotograf i kierownik depesz załatwili swe sprawy, po czym rzucił na biurko materiał Flannery ze słowami: - Ona twierdzi, że to nie jest szarlatan.

Redaktor naczelny zabrał się do czytania:

"Flannery 1" - reportaż lekarski, Edna Flannery, specjalnie dla "Heralda".

"Posępna relacja o szarlatanach w zakresie medycyny, których ujawnił "Herald" w ostatniej serii artykułów, ulega dziś radykalnej zmianie, co dla reportera samego stanowi radosne zaskoczenie. Badanie faktów w sprawie, jaką dzisiaj omawiam, rozpoczęłam dokładnie w ten sam sposób, jak przy zdemaskowaniu całego tuzina fałszywych lekarzy i kanciarskich znachorów. Tym razem jednak mogę donieść, że dr Bayard Kendrick Full, mimo swoich niezwykłych metod, które ściągnęły na niego szereg podejrzeń ze strony słusznie w lej dziedzinie uwrażliwionych stowarzyszeń lekarskich, leczy naprawdę i ściśle przestrzega szczytnych ideałów swojego zawodu.

Nazwisko drą Fulla podała mi komisja badania etyki zawodowej jednego z okręgowych stowarzyszeń lekarskich, która doniosła naszej redakcji, że na posiedzeniu z 18 lipca 1941 roku Fulla wykluczono ze stowarzyszenia pod zarzutem "wyciągania pieniędzy" od pacjentów cierpiących na nieznacne schorzenia. Według zaprzysiężonych oświadczeń znajdujących się w aktach komisji, dr

Full informował pacjentów, że cierpią na raka, z którego zobowiązuje się ich wyleczyć. Po usunięciu ze stowarzyszenia dr Full znikł z widowni i dopiero niedawno wyłonił się jako kierownik "sanatorium", mieszczącego się w dawnych pokojach umeblowanych, w śródmieściu New Yorku, przy 89 ulicy.

Udałam się na miejsce, w charakterze pacjentki i w przekonaniu, że dr Full rozpozna u mnie mnóstwo zmyślonych chorób i zagwarantuje skuteczną kurację w zamian za pokaźną sumkę. Spodziewałam się znaleźć lokal zaniedbany, parę szafek z brudnymi instrumentami i cały szablony różnych dekoracji, jakimi się lubią otaczać szarlatani, a z czym zetknęłam się już dziesiątki razy.

Byłam w błędzie.

Sanatorium drą Fulla cechuje nieskazitelna czystość, począwszy od urządzonej ze smakiem poczekalni, a skończywszy na lśniących niepokalaną bielą gabinetach. Przystojna blondynka, która mnie przyjęła, zachowywała się bez zarzutu. Poprosiła jedynie o podanie nazwiska, adresu i najogólniejszej natury dolegliwości. Wskazałam, jak wielokrotnie poprzednio, dokuczliwy ból w krzyżach. Sekretarka prosiła, abym usiadła, a po chwili zaprowadziła mnie do gabinetu na piętrze i przedstawiła dr Fullowi.

Wygląd drą Fulla bardzo trudno pogodzić z jego rze komą przeszłością, opisaną przez rzecznika stowarzyszenia lekarzy. Jest to człowiek wysokiego wzrostu, lat chyba ponad sześćdziesiąt, o białych włosach, jasnym spojrzeniu i wyraźnie cieszący się dobrym zdrowiem. Mówi głosem stanowczym, ale przyjaznym, krańcowo różnym od dobrze mi znanego, przymilnego skamłania szarlatanów.

Po kilku wstępnych pytaniach co do charakteru i umiejscowienia bólu, doktor przystąpił do badania, przy czym sekretarka została w gabinecie. Leżałam twarzą na dół na stole auskultacyjnym, doktor zaś przycisnął jakiś instrument do moich pleców. Po niecałej minucie, ku memu najwyższemu zdumieniu, oświadczył:

- Nie ma właściwie żadnego zupełnie powodu, aby odczuwała pani jakikolwiek ból we wskazanym miejscu. Dość szeroko mówi się dzisiaj, że tego rodzaju bóle mogą być wynikiem bodźców uczuciowych. Ale w takim razie, jeśli ból nie ustąpi, niech się pani zwróci do psychologa albo też do psychiatry. Ale przyczyn fizycznych nie ma, więc ja nie mam tu nic do roboty.

Oślupiałam wobec takiej szczerości. Czyżby domyślił się, że jestem, by tak rzec, szpiegiem w jego obozie? Spróbowałam raz jeszcze:

- Ale, panie doktorze, może pan dokładniej mnie zbada. Bo oprócz tych bólów czuję stale ogromne wyczerpanie. Chyba przyda mi się jakiś wzmacniający środek.

Na taką przynętę daje się bez zawodu chwycić każdy szarlatan, wynajdując mnóstwo tajemniczych schorzeń u pacjenta. A każde z tych schorzeń "wymaga" kosztownego leczenia. Jak już wyjaśniłam w pierwszym artykule niniejszego cyklu, przed rozpoczęciem mych łowów na szarlatanów poddałam się bardzo rygorystycznym badaniom lekarskim. Stwierdzono wówczas, że stan mego zdrowia jest bez zarzutu, z jednym jedynie drobnym wyjątkiem - zwapniałego ogniska w dolnym płacie lewego płuca, wywołanego przelotnym procesem gruźliczym w dzieciństwie. Stwierdzono także nieznaczną skłonność do nadczynności tarczycy, wskutek czego z trudem przybieram na wadze, a czasami odczuwam nieznaczny brak tchu.

Dr Full zgodził się przeprowadzić badanie i wydobyl szereg błyszczących, nieskazitelnie czystych instrumentów z przegródek na czymś w rodzaju ogromnej tablicy, pokrytej dosłownie różnymi narzędziami, przeważnie zupełnie mi nie zwanymi. Rozpoczął badanie z pomocą instrumentu w kształcie rurki opatrzonej skomplikowaną podziałką; od rurki biegły dwa druty zakończone płaskimi krążkami. Jeden z krążków umieścił na grzbiecie mojej prawej dłoni, drugi - na grzbiecie lewej. - Odczytuję pomiary - zawołał i podał jakąś liczbę, którą sekretarka pilnie zapisała na formularzu. Ten

sam zabieg powtórzył się wielokrotnie i w stosunku do wszystkich szczegółów mojej osoby, po czym nabrałam zupełnej pewności, że doktor jest skończonym nabieraczem. W czasie bowiem gruntownych badań, jakim się poddałam przed przystąpieniem do moich wywiadów, nie zetknęłam się ani razu z podobną metodą diagnostyczną.

Dr Full wziął formularz z rąk sekretarki, chwilę naradzał się z nią po cichu i powiedział:

- Ma pani bardzo nieznaczoną nadczynność tarczycy. A w pani lewym płucu także jest coś nie w porządku. Nic poważnego, ale chciałbym to sprawdzić dokładniej.

Sięgnął po instrument, który, jak mi wiadomo, nazywa się wziernikiem; jest to narzędzie przypominające w kształcie nożyczki, a które rozchyła otwory ciała, jak nozdrza, uszy itd., aby lekarz mógł dokonać wewnętrznego badania. Ten instrument był jednak za duży na wziernik uszny czy też nosowy, a za mały na cokolwiek innego. W chwili, kiedy chciałam zadać jakieś pytanie, odezwała się sekretarka: - Mamy zwyczaj zawiązywać w czasie badania płuc oczy naszym pacjentom. Pani pozwoli? - Zaskoczona, pozwoliłam sobie zasłonić oczy śnieżnym, czystym bandażem i z niepokojem czekałam, co teraz nastąpi.

Nawet i teraz trudno mi dokładnie powiedzieć, co zdarzyło się, kiedy miałam zawiązane oczy - ale zdjęcie Roentgena potwierdza me podejrzenia. Poczułam chłód z lewej strony w okolicy żeber, chłód, który jakby przenikał w głąb ciała. Potem poczułam jakby lekki prztyczek i wrażenie chłodu ustało. Słyszałam, jak dr Full mówił swoim rzeczowym tonem: - Ma pani tutaj stare gruźlicze zwapnienie. Nie jest to nic szkodliwego, ale osoba ruchliwa, jak pani, powinna mieć tyle tlenu, ile tylko zdoła go uzyskać. Proszę się nie ruszać, a ja to zaraz doprowadzę do porządku.

Wrażenie chłodu powtórzyło się znowu i tym razem trwało nieco dłużej. - Jeszcze jedną porcję alweoli i trochę kleju naczyniowego - powiedział dr Full. Słyszałam, jak sekretarka sięgnęła po coś, niewątpliwie wykonując to polecenie. Zaraz potem dziwne uczucie znikło i zdjęto mi przepaskę z oczu. Nie dostrzegłam na ciele żadnej blizny, a jednak doktor oświadczył:

- Już po wszystkim. Usunęliśmy z płuca fibrozę - zresztą, pożyteczną fibrozę, gdyż stworzyła nieprzeniknioną otoczkę dla infekcji i dlatego może pani chodzić po świecie. Następnie umieściliśmy w tym miejscu kilka grup alweoli, to znaczy pęcherzyków płucnych, dzięki którym tlen z powietrza przechodzi do pani krwi. Nie będę regulował działania pani tarczycy. Przyzwyczała się pani do niej i nagła zmiana mogłaby tylko ujemnie odbić się na samopoczuciu, A co do bólu w krzyżach, proszę się zwrócić do stowarzyszenia lekarzy o wskazanie dobrego psychiatry czy psychologa. I niech pani wystrzeże się szarlatanów; wszędzie roi się od nich po prostu.

Pewność siebie doktora całkowicie mnie oszołomiła. Zapytany o honorarium powiedział, że mam wpłacić sekretarce pięćdziesiąt dolarów. Jak zwykle w takich wypadkach, zwlekałam z płaceniem, póki sekretarka nie wystawiła mi kwitu z podpisem samego doktora i wymienieniem przeprowadzonych zabiegów. W przeciwieństwie do znachorów i szarlatanów, doktor podyktował spokojnie: "Za usunięcie fibrozy z lewego płuca i przywrócenie alweoli", po czym podpisał kwit.

Pierwszym moim krokiem po opuszczeniu sanatorium było udać się pędem do specjalisty płucnego, który badał mnie w trakcie przygotowań do niniejszej serii wywiadów. Byłam pewna, że porównanie zdjęcia rentgenowskiego w dniu "operacji" ze zdjęciem poprzednim zdemaskuje doktora Fulla jako króla znachorów i szarlatanów.

Głośny specjalista, mimo przeładowanego dnia przyjął mnie poza kolejka, będąc sam żywo zainteresowany moimi wywiadami, w których przygotowaniu także uczestniczył. W dostojnym zaciszu swego gabinetu na Park Avenue wybuchnął głośnym śmiechem, gdy opisałam dziwaczne metody badania, jakim byłam poddana. Ale nie śmiał się wcale, kiedy po dokonaniu zdjęcia moich płuc, wywołał klisze, wysuszył i porównał z zespołem wcześniejszych. Prześwietlał mnie dodatkowo

sześć razy tegoż popołudnia', w końcu jednak przyznał, że wszystkie zdjęcia mówią to samo. Mogę więc stwierdzić, powołując się na tak wybitny autorytet lekarski, że zwapniałe ognisko gruźlicze, które miałam jeszcze dwa tygodnie temu, znikło teraz zastąpione przez zdrową tkankę płucną. Głośny specjalista dodaje, że jest to wypadek nieznan w dziejach medycyny. Natomiast nie podziela mojego poglądu, że sprawcą tej zmiany był dr Full.

Dla mnie jednak rzecz nie ulega kwestii. Dochodzę więc do wniosku, że dr Bayard Kendrick Full - bez względu na swoją rzekomą przeszłość - jest obecnie bardzo niezwykłym, ale i znakomitym lekarzem, o wspaniałych wynikach, któremu w każdych okolicznościach zawierzyłabym moje zdrowie.

Inaczej zupełnie przedstawia się wypadek "wielebnej" Annie Dimsworth - drapieżnej harpii, która pod pozorem "leczenia wiarą" żeruje na ciemnocie chorych, którzy przychodzą do jej plugawego "gabinetu lecznictwa" w nadziei uzyskania pomocy i zasilają rachunek bankowy "wielebnej" Annie, wynoszący obecnie 53 238 dolarów. W jutrzejszym artykule, opatrzonym w fotokopie wykazów bankowych i zaprzysiężonych oświadczeń, wykażę..."

Redaktor naczelny odłożył końcową szpalnę "Flannery - medycyna" i w zamyśleniu opukiwał ołówkiem swoje przednie zęby. Wreszcie zwrócił się do sekretarza redakcji: - Nie puszczać tego. Zapowiedź dać w kwadracie. - Oderwał koniec szpalny - zapowiedź rewelacji o "wielebnej" Annie - i wręczył sekretarzowi, który popędził na swoje miejsce.

Redaktor techniczny był już z powrotem i kręcił się niecierpliwie usiłując chwycić spojrzenie naczelnego. Radiofon wewnętrzny bzykał i błyskał czerwonym światłem na znak, że wydawca ma do naczelnego jakąś pilną sprawę. On zaś rozmyślał chwilę nad cyklem specjalnym o tym jakimś doktorze Fullu, ale doszedł do wniosku, że nikt w to nie uwierzy i że to w każdym razie musi być nabieranie. Wetknął szpalny do teczki "utrupionych" i nacisnął radiofon.

Dr Full prawie polubił Angie. Praktyka rosła. Najpierw leczył sąsiadów, później przeniósł się do ładnego mieszkania w dobrej dzielnicy, a wreszcie do sanatorium. Równocześnie zaś Angie zdawała się dojrzewać.

Oczywiście, były drobne różnice zdań. Tak więc, dziewczyna nadal była zbyt chciwa na pieniądze. Chciała się specjalizować w chirurgii kosmetycznej - usuwaniu zmarszczek u bogatych leciwych pań itd. Nie mogła zrozumieć, zwłaszcza na początku, jak doniosłą mieli odpowiedzialność; że byli powiernikami, nie zaś właścicielami czarnej walizeczki z cudowną zawartością.

Zawartość tę dr Full próbował ostrożnie badać, ale bez powodzenia. Wszystkie instrumenty, na przykład, były z lekka radioaktywne, jednakże w szczególny sposób. Wywoływały drgania liczników Geiger-Muellera, lecz nie dawały reakcji w elektroskopie. Doktor nie rościł sobie pretensji do znawstwa ostatnich odkryć, miał wszakże wrażenie, że było tu coś nie w porządku. Mikroskop ujawniał na idealnie gładkiej powierzchni instrumentów jakieś linie: niesłychanie delikatne linie, tworzące ryty w metalu, dziwny rysunek bez określonego sensu. Własności magnetyczne narzędzi były wprost śmieszne. Czasem magnes przyciągał je bardzo silnie, czasem słabo, a czasami wcale.

Dr Full prześwietlił cały komplet, drżąc z obawy, by nie naruszyć zawartych w nich przypuszczalnie, czułych mechanizmów. Pewien był, że nie są masywne, że ręczki, a może i ostrza ukrywają w swym wnętrzu jakieś zegarowe, niezwykle precyzyjne urządzenia. Ale promienie Roentgena nic z tego nie wykazały. Ponadto instrumenty nigdy nie rdzewiały i zawsze były nieskazitelnie jałowe. Wystarczyło potrząsnąć, aby kurz z nich opadł aż do ostatniego pyłka. To jedno, jak sądził, rozumiał. Instrumenty jonizowały kurz, czy też może same się jonizowały. W każdym razie czytał gdzieś o podobnym zjawisku, zachodzącym z płytami fonografowymi.

Dziewczyna, myślał z wyższością, nie ma o tym pojęcia. Dość starannie prowadziła książki i

przejawiała pożyteczną inicjatywę w momentach, kiedy był skłonny poprzestać na tym, co jest. Przeniesienie się do centralnej dzielnicy było jej pomysłem, tak samo jak sanatorium. To dobrze, to rozszerzało zakres jego działania i użyteczności. Nic nie szkodzi, że przy tej okazji sprawiała sobie nurki i jakieś nowe modele samochodów. On sam był na to za stary i zbyt zajęty. Miał tyle do nadrobienia.

Z radością myślał o swoim wielkim planie. Dziewczynie zapewne się nie podoba, że będzie musiała uznać jego pogląd. Cudotwórczy sprzęt, który znalazł się w ich posiadaniu, musi pójść w odpowiednie ręce. Ona sama nie była lekarzem. A chociaż instrumenty działały prawie bez kierowania, leczenie wymagało czegoś więcej niż tylko zręczności. Istniały przecież starożytne kanony sztuki lekarskiej. Angie to zrozumie i będzie musiała się poddać. Na pewno wyrazi zgodę, by czarną walizeczkę powierzyć całej ludzkości.

Przekaze ją zapewne Kolegium Chirurgów, możliwie bez hałasu, co najwyżej odbędzie się jakaś zupełnie skromna ceremonia, a doktor z tej okazji dostanie na pamiątkę zaświadczenie w ramce czy puchar z odpowiednim napisem. Właściwie rad będzie nawet pozbyć się kłopotu. Niech olbrzymy medyczne rozstrzygają, kto ma się tym posługiwać. O tak! Angie z pewnością to zrozumie. Była dobrą dziewczyną.

Ostatnio wykazywała przecież tyle zainteresowania dla chirurgicznej strony całej tej sprawy. Dopytywała się o instrumenty, godzinami czytała kartę ze wskazówkami, nawet próbowała się wprawiać na świnkach morskich. Może przekazał jej; choćby w części, swą miłość dla ludzkości. "A w takim razie - myślał sentymentalnie stary dr Full - życie moje nie poszło na marne. Na pewno dziewczyna zrozumie, o ile lepiej będzie, gdy instrumenty przekazę do rąk sprawniejszych i mądrzejszych niż nasze, gdy można będzie odrzucić zasłonę tajemnicy, niezbędną przy naszej obecnej, na wpół pokątnej pracy."

Dr Full znajdował się w gabinecie zabiegowym we frontowej części sanatorium. Widział przez okno, jak przed podjazdem zatrzymał się żółty sportowy wóz Angie. Z przyjemnością spoglądał na nią, gdy wchodziła na schody. "Zgrabna i schludna, ale bez efekciarstwa" - pomyślał. Taka rozsądna dziewczyna, musi to zrozumieć. Ktoś razem z nią wchodził: jakaś kobieta, przesadnie i pretensjonalnie ubrana, gramoliła się z trudem na schody. Czego ta może chcieć?

Angie weszła do gabinetu, a za nią tłusta kobieta. - Doktorze - powiedziała z powagą blondynka - pragnę zaprezentować panią Coleman! - "W szkole kosmetycznej - pomyślał doktor - nie wszystkiego ją nauczono." Lecz pani Coleman, wyraźnie nowobogacka, nic nie zauważyła.

- Miss Aquella - wybuchła jak gejzer - opowiedziała mi tyle o panu, doktorze, i o pana nadzwyczajnej metodzie!

Nim zdążył odpowiedzieć, Angie wtrąciła zręcznie: - Pani wybaczy na chwilę?

Wzięła doktora pod rękę i poprowadziła do sąsiedniego pokoju. - Słuchaj pan - rzekła z pośpiechem - wiem, że to wbrew pana zasadom, ale nie mogłam przepuścić takiej okazji. Poznałam tę starą podczas ćwiczeń na naszych kursach. Nikt nie chce z nią gadać. Jest wdową. Ma mnóstwo pieniędzy, bo mąż był zdaje się czarnogieldziarzem. Wspomniałam jej o panu i pana metodzie masażu przeciw zmarszczkom. Od tego czasu nie mogę się od niej odczepić. Mam taki pomysł: zawiążemy jej oczy, pan otworzy jej szyję jednym ze "śródkórnych" lancetów, wstrzyknie w mięśnie trochę "muskulazyny", wyłóżeczkuje pan sadło którymś odłuszczeniakiem i powlecze pan wszystko glazurą skórną. Kiedy zdejmemy opaskę, nie będzie miała zmarszczek, a nie będzie wiedziała, jak to się stało. Zapłaci pięćset dolarów. Tylko nie mów pan nie, doktorze. Ten jeden raz niech będzie po mojemu, zgoda? Chyba zasłużyłam sobie?

- No, dobrze - odparł doktor. Chciał jak najprędzej jej opowiedzieć o swoim wielkim planie, więc

jeszcze ten raz można zrobić, jak chce.

Tymczasem w gabinecie pani Coleman wciąż jeszcze się namyślała. Gdy doktor wszedł, rzuciła mu kategoryczne pytanie:

- Ale to będzie na stałe, tym pańskim systemem, prawda?

- Na stałe - odparł lakonicznie. - Zechce pani tutaj się położyć? Miss Aquella, proszę zasłonić pani Coleman oczy wyjałowioną opaską. - Chciał uniknąć wszelkiej rozmowy, więc odwrócił się tyłem do grubej kobiety i udawał, że przystosowuje światło. Angie zasłoniła jej oczy, a doktor wybrał potrzebne instrumenty. Wręczył blondynce parę retraktorów z pouczeniem: - Proszę przytknąć do brzegów skóry, jak tylko przetnę... - Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie i wskazała na leżącą kobietę. Zniżył głos: - Dobrze, dobrze... Proszę przytknąć końce i przesuwając wzdłuż ciecica. Powiem, kiedy wyjąć.

Dr Full zbliżył do oczu lancet śródskórny i nastawił na głębokość 3 cm. Westchnął z lekka przypominając sobie, że ostatnim razem posłużył się nim dla wyjęcia "nieuleczalnego" raka przełyku.

- W porządku - rzekł pochylając się nad kobietą. Zrobił próbne nacięcie. Ostrze zagłębiło się lekko i przesunęło jak palec w pokładzie rtęci, nie zostawiając za sobą rany. Tylko retraktory mogły trzymać jej brzegi otwarte.

Pani Coleman poruszyła się z niepokojem.

- Doktorze, to takie dziwne uczucie! Czy pan na pewno masuje we właściwym kierunku?

- Na pewno, łaskawa pani - odparł niechętnie doktor. - Ale proszę nie rozmawiać w czasie masażu.

Skinął ku Angie, która stała gotowa z retraktorami. Ostrze lancetu zagłębiło się na trzy centymetry, w jakiś cudowny sposób tnąc tylko martwą i zrogowaciałą tkankę naskórka, przenikając bez szkody w głąb żywej tkanki, odsuwając na bok wszystkie większe i mniejsze naczynia krwionośne oraz tkankę mięśniową, nie naruszając i nie usuwając nic z wyjątkiem tego, na co, by lak rzec, było nastrojone. Doktor poczuł zmęczenie i gorycz wobec tej prostytutki cudownego narzędzia. Angie przytknęła końce retraktorów i przesunęła w miarę, jak ciął lancetem; potem pociągnęła lekko, aby rozewrzeć brzegi nacięcia. Bez żadnego krwawienia ukazały się schorzałe włókna mięśniowe, przerosłe złożami sinoszarych ścięgien. Doktor ujął strzykawkę IX, wyregulowaną na "f" i podniósł do oka. Dotknął tłoka, ukazała się mgielka. Skrzep w tych narzędziach był chyba wykluczony, lecz po co ryzykować? Wstrzyknął w mięsień jeden centymetr płynu oznaczonego "f", a nazwanego w karcie "muskulazyna". Oboje z Angie patrzyli z podziwem, jak mięsień wygładził się w oczach i zjędrniał.

Wziął teraz odłuszcznik, wyłyżeczował żółtawą tkankę tłuszczową, wrzucił do kremacyjnej skrzyneczki i znów skinął na Angie. Odjęła retraktory, a zięjące nacięcie zwarło się w mocno teraz obwisłą, ale nienaruszoną skórę. Doktor stał z rozpylaczem nastawionym na "glazurę skórną". Spryskał operowaną po wierzchnie, a skóra skurczyła się w oczach, szyja zaś przybrała jędrną i prostą linię.

Odłożył instrumenty na miejsce, Angie zaś usunęła opaskę i obwieściła wesoło: - Już po wszystkim! A tu, w drugim pokoju, jest lustro...

Pani Coleman nie kazała sobie tego dwa razy powtarzać. Nie wierząc oczom wpatrywała się w lustro i dotykała palcami szyi. Doktor skrzywił się słysząc jej okrzyki pełne zachwyty. Angie spojrzała nań ironicznie.

- Zainkasuję pieniądze i wyprowadzę ją stąd - powiedziała. - Nie musi pan więcej zajmować się tą sprawą.

Dr Full wdzięczny był i za to.

Angie wyszła, a doktor wrócił do swoich marzeń. Mała ceremonia - n» tak, chyba mu się należy.

Nie każdy wyrzekłby się takiej kopalni pieniędzy dla dobra ludzkości. Ale w pewnym wieku pieniądze tracą znaczenie, przychodzą natomiast myśli o tym, czego się dokonało w życiu i czego mogło się dokonać. Doktor nie był człowiekiem wierzącym, ale trudno się oprzeć pewnym refleksjom, gdy niewiele zapewne zostało już czasu...

Angie wróciła z zielonym papierkiem w ręku. - Pięćset dolarów - powiedziała rzeczowo. - A moglibyśmy przecież robić to cał po calu i za każdym razem brać po pięćset dolarów.

- Chciałem właśnie pomówić o tych wszystkich sprawach - rzekł doktor. Dostrzegł w jej oczach błysk lęku, choć nie rozumiał dlaczego.

- Byłaś zawsze dobrą dziewczyną, Angie, i zawsze można było z tobą się dogadać. Więc rozumiesz chyba, że to nie może trwać w nieskończoność.

- Innym razem - ucięła sucho. - Teraz jestem zmęczona.

- Nie... Myślę, że naprawdę dosyć już zarobiliśmy na tym. Instrumenty...

- Proszę nie kończyć! - syknęła. - Proszę nie kończyć, bo pan pożałuje! - W jej oczach zjawił się wyraz, który przypominał mu wymizerowaną, niechlujną dziewczyninę, o brudnopłowych włosach, jaką była niedawno. Spod sztucznej ogłady szkoły kosmetycznej wyjrzała wychowanka rynsztoków, której dzieciństwo zaczęło się na brudnym, zatechłym materacu, a przebiegało w ciemnym, zaśmieconym zaułku, której młodość płynęła między wyciskającą ostatnie poty pracą w fabryce, a bezcelową włóczęgą uliczną po nocy. Wstrząsnął głową, by odpędzić to przykre wrażenie.

- Zaraz ci wytłumaczę - podjął cierpliwie. - Opowiadałem ci kiedyś o wynalazcy kleszczy porodowych, którego rodzina ukrywała ten sekret przez kilka pokoleń, choć ujawnienie byłoby dobrodziejstwem dla świata...

- Wiedzieli, co robią - odparła wychowanka rynsztoków.

- Mniejsza z tym - rzekł doktor z irytacją w głosie - nie będę dyskutował. Ale moje postanowienie jest nieodwołalne. Przekażę instrumenty Kolegium Chirurgów. Mamy dosyć pieniędzy, aby żyć bardzo wygodnie. Możesz nawet zatrzymać ten dom dla siebie. Ja sam chciałbym wyjechać gdzieś na południe...

Był zły na nią za scenę, którą poprzednio zrobiła. Ale wcale nie przewidywał tego, co nastąpi.

Angie chwyciła czarną walizeczkę i z przerażeniem w oczach skoczyła do drzwi. Pobiegł za nią, chwycił ją za ramię i ścisnął z nagłym przypiływem wściekłości. Palcami wolnej ręki wczepiła mu się w twarz obsypując go wymysłami. W zamieszaniu czyjaś dłoń tknęła zamka walizeczki, która rozwarła się w ogromny lśniący blat pokryty mnóstwem instrumentów. Kilka z nich wysunęło się z ujęć i spadło na podłogę.

- Widzisz, co zrobiłaś! - krzyknął dość nedorzecznie doktor. Dziewczyna wciąż trzymała kurczowo rączkę walizeczki, ale teraz znieruchomiała, aż dławiąc się ze złości. Doktor schylił się ciężko, by podnieść instrumenty. - "Co za głupia dziewczyna! - myślał z goryczą. - Żeby taką scenę..."

Uczuł ból pod łopatką i padł twarzą na dół. Światło zaczęło gasnąć. - Co za głupia dziewczyna! - stęknął. Po czym dodał: - W każdym razie będą wiedzieć, że próbowałem...

Angie patrzyła na rozciągnięte ciało, z którego wystawała rączka noża nr 6 z serii kauteryzacyjnej. "...przecina wszystkie tkanki. Stosować przy amputacjach przed powleczeniem regenerem. Używać z najwyższą ostrożnością w okolicy głównych organów, wielkich naczyń krwionośnych i pni nerwowych..."

- Nie chciałam tego - szepnęła Angie wstrząsana dreszczem grozy. Teraz tu przyjdzie detektyw, nieubłagany detektyw, który odtworzy zbrodnię na podstawie niewidocznych śladów. Choćby uciekła, nie wiem jak daleko, choćby wszystkiego się wypierała, detektyw znajdzie ją i będą ją sadzić przed sądem przysięgłych w wielkiej, okropnej sali. obrońca będzie przemawiał, ale

przysięgli ją skaza, a w gazetach krzyczeć będą nagłówki: "JASNOWŁOSA MORDERCZYNI SKAZANA!" Może zginie na krześle elektrycznym i poprowadzą ją pustym białym korytarzem z żelaznymi drzwiami na końcu. A futro z nurków, suknie, samochód, ten przystojny chłopak, za którego miała wyjść za męż...

Szablonowe obrazy kryminalnego filmu znikły nagle - wiedziała, co teraz ma robić. Bardzo spokojnie wyjęła z przegrody skrzyneczkę kremacyjną - metalowy sześcian z małą tarczą odmiennej barwy na wierzchu, "...dla pozbycia się fibroz i wszelkich odpadków należy dotknąć tarczy..." Wrzuca się coś do środka i dotyka tarczy. Rozlega się jakby bezgłośny gwizd, ostry i bardzo przykry, jeśli słuchać z bliska, i ukazuje się jakiś nieświecący płomień. A kiedy na nowo otworzyć skrzynkę - już jest pusta. Angie wzięła do ręki drugi nóż kauteryzacyjny i zabrała się do ponurej roboty. Na szczęście nie było prawie wcale krwi. Po trzech godzinach ukończyła straszne zajęcie.

W nocy spała jak kłoda, zupełnie wyczerpana uczuciowym napięciem zabójstwa i późniejszego koszmaru. Rankiem jednak czuła się tak, jakby doktor nigdy nie istniał. Zjadła śniadanie, ubrała się z niezwykłą starannością - a potem świadomie popsowała tę niezwykłą staranność. Nic, co odbiega od zwykłego trybu - postanowiła. Trzeba się zachowywać tak jak codziennie, jak zwykle. A za parę dni można będzie dać znać policji. Powie, że wyszedł, by zająć się jakimś pijakiem, nie wrócił, więc jest zaniepokojona. Ale nie spieszyć się! Najważniejsze to, żeby się nie spieszyć.

Pani Coleman miała przyjść po dziesiątej. Angie spodziewała się, że namówi doktora na jeszcze jeden przynajmniej pięćset-dolarowy zabieg. Teraz będzie musiała sama to zrobić. Ale prędzej czy później trzeba by i tak samej rozpocząć.

Kobieta przyszła trochę za wcześnie. Angie wyjaśniła gładko i zręcznie:

- Doktor zlecił mi zająć się dzisiejszym masażem. Teraz, kiedy już proces wzmacniania się tkanek jest w toku, wymaga to tylko znajomości jego metody i wprawy... - Urwała nagle spojrzawszy na walizeczkę: otwarta! Niemal na głos zakłęła na widok tego niedbalstwa, gdyż oczy pani Coleman pobiegły za jej wzrokiem. Wstrząsnął nią dreszcz.

- Co to za narzędzia? - krzyknęła. - Czy pani ma mnie tym krajać? Już wczoraj zauważyłam coś podejrzanego...

- Droga pani - odparła Angie - doprawdy... doprawdy pani się nie rozumie na tych... nowoczesnych przyrządach do masażu!

- Przyrządy do masażu! wrzasnęła piskliwie pani Coleman. - Zawracanie głowy! Ten doktor mnie operował! Ładne rzeczy! Przecież mógł mnie zabić!

Angie ujęła bez słowa jeden z małych śródskórnych lancetów i cięła nim wzdłuż swego przedramienia. Ostrze zagłębiło się w ciele, jak palec w rtęci, nie zostawiając żadnego śladu. Powinno to chyba przekonać starą małpę!

Nie przekonało jej, ale ją zdumiało: - Co pani z tym zrobiła? Ostrze zwija się pewnie i chowa w rączce, tak?

- Proszę, niech pani uważa, pani Coleman - rzekła Angie, kurczowo trzymając się myśli o pięciuset dolarach. - Niech pani dobrze uważa, a zobaczy pani, że... hm... podskórny masażnik przesuwa się po prostu przez tkanki nie robiąc żadnej szkody, a wzmacnia i napina bezpośrednio mięśnie, bo przenika przez warstwy skóry i tkanki tłuszczowej. Na tym właśnie polega tajemnica metody doktora. A co pani myślała? Przecież masaż zewnętrzny nie mógłby dać takich wyników, jakie mieliśmy wczoraj!

Pani Coleman zaczęła się uspokajać. - To prawda, że dało wyniki - przyznała dotykając nowej linii swej szyi. - Ale co innego przedramię, a co innego szyja! Niech pani mi to pokaże na swojej szyi!

Angie uśmiechnęła się...

Al wrócił do kliniki. Był po świetnym obiedzie, który niemal pogodził go z perspektywą dalszych trzech miesięcy pracy. A potem - pomyślał - a potem wy jedzie na cały rok na ten cudowny, supernormamy Biegun Południowy, gdzie będzie mógł zająć się swoją właściwą specjalnością, to znaczy telekinezą dla wieku 3 do 6 lat. A póki co, sprawy świata muszą iść swoim biegiem, więc i on musi wykonywać swoje zadania.

Chciał już się wziąć do roboty i rzucił okiem na tablicę z wykazem kompletów instrumentów. To, co ujrzał, zaparło mu dech ze zdziwienia. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, przy jednym z numerów widniało czerwone światło. Odczytał numer - 674 101 - wypisał go na sortownicy. Po chwili miał już kartę kompletu. Ach tak... walizkowy komplet Hemingwaya. Ten osioł nie pamiętał, rzecz jasna, jak i gdzie go zgubił. Żaden z nich nigdy zresztą nic nie pamięta i zapodziewali swe walizeczki setkami.

Al trzymał się w takich razach zasady, by pozostawiać sprawy własnemu losowi. Instrumenty funkcjonowały właściwie same, nie można było wyrządzić nimi żadnej właściwie szkody, więc ktokolwiek je znalazł, mógł bez ryzyka ich używać. Uniestwienie każdego kompletu było społeczną stratą, a zostawiony, nawet w nieznanymi rękach, mógł przynieść jakiś pożytek. O ile wiedział, co prawda niedokładnie, instrumenty były "nieużywalne". Pewien temporalista, ekspert od zagadnień czasu, próbował bez powodzenia wyjaśnić mu, że prototypy narzędzi zostały w nastawniku naregulowane na szereg punktów-zdarzeń o charakterze szeregu nieskończonościowego. Al spytał niewinnie, czy to znaczy, że prototypy zostały nastawione, by się tak wyrazić, na całą wieczność, ale temporalista wziął to za żart, obraził się i wyszedł.

- Ciekaw jestem, co powiedziałaby teraz - myślał posępnie Al, telekinetyzując siebie do telefonoskopu po sprawdzeniu, że w pobliżu nie ma żadnego z medyków. Rzucił do aparatu: - bzeeta policji! L - a szefowi policji oświadczył: - Popołniono morderstwo przy użyciu narzędzi z kompletu instrumentów lekarskich 674 101. Komplet zgubił parę miesięcy temu jeden z moich lekarzy, dr John Hemingway, w okolicznościach, których nie umiał podać.

Szef policji sieknął, a potem odparł: - Wezwę go i przesłucham. - Odpowiedzi lekarza zdumiały niesłychanie szefa policji. Zdumiony był jeszcze bardziej, gdy niebawem dowiedział się, że morderstwa dokonano stanowczo poza wszelkim zasięgiem jego władzy.

Al stał przez chwilę przed tablicą rejestru instrumentów i patrzył na czerwone światło zapalone przez ginącą siłę życiową, która ostatkiem mocy ostrzegała, że komplet 674 101 znajduje się w ręku mordercy. Z krótkim westchnieniem Al przekręcił wyłącznik i światło zgasło.

- Tak - krzyczała kobieta. - Z moją szyją nie robi pani ceregieli! Ale swojej nie chce pani zaryzykować.

Angie uśmiechnęła się z niezmaconą pewnością siebie. Nastawiła lancet śródskórny na trzy centymetry i przyłożyła sobie do szyi. Uśmiechała się wiedząc, że ostrze przetnie tylko w jakiś cudowny sposób martwą i zrogowaciałą tkankę naskórka, przeniknie bez szkody w głąb żywej tkanki, odsunie na bok wszystkie większe i mniejsze naczynia krwionośne oraz tkankę mięśniową...

Uśmiechała się, gdy nacisnęła nóż, a mikrotomowe ostrze przecięło większe i mniejsze naczynia krwionośne, tkankę mięśniową i przelyk.

W ciągu kilku minut, jakie upłynęły, nim przybyła policja, wezwana krzykami pani Coleman, instrumenty pokryły się grubą warstwą rdzy. A flaszeczki, w których był klej naczyniowy, pęki alweoli różowych i elastycznych, zapasowe szare komórki i zwoje nerwów, zawierały teraz czarną, lepka ciecz, z której po otwarciu buchnęły cuchnące gazy rozkładu.

Któż nie zna "Wojny światów" H.G. Wellsa, - jednej z pierwszych naukowych fantazji, osnutych na tle możliwości najazdu na Ziemię istot z innej planety? Kiedy dwadzieścia lat temu - ściślej: 30 października 1938 - nadała ją, w radiowej przeróbce, sieć amerykańskich rozgłośni w Nowym Jorku, celu rzekomej inwazji Marsjan, wybuchła powszechna panika. Lecz najazd nie musi być z Marsa, tajemnicze istoty nie muszą mieć złych zamiarów. Wcale też nie muszą różnić się od ludzi. Bądźmy zresztą dokładni. Powiedzmy: prawie wcale. Jakie mogą być te różnice, gdzie się zjawiają obcy przybysze, skąd i dlaczego? Niech opowiedzą sami.

JACK FINNEY - Zajmujący sąsiedzi

Szczerze mówiąc nie będę twierdził, że od samego początku domyślałem się czegoś w związku z Hellenbekami. Co prawda od razu spostrzegłem pewne rzeczy, które dały mi do myślenia, ale machnąłem na to ręką. Byli tak mili, że z miejsca ich polubiłem. A każdy ma przecież jakieś swoje małe dziwactwa.

W dniu ich przyjazdu obserwowaliśmy ich z okien naszej werandy. Oczywiście, nie dla przespiegów czy podglądania, ale tak, z prostej ciekawości. I Nell, i ja jesteśmy dość towarzyscy, więc mieliśmy nadzieje, że do sąsiedniego domu wprowadzą się ludzie w naszym wieku i usposobieniu.

Właśnie kończyłem śniadanie - była sobota, więc nie szedłem do pracy - a Nell jeździła odkurzaczem po wybitej dywanem podłodze werandy. Usłyszałem, że odkurzacz stanął, a Nell zawołała: "O, już przyjechali!" Podbiegłem do okna i razem zaczęliśmy wypatrywać.

Pomagał jej wysiąść z taksówki i mogłem dokładnie przypatrzeć się obojgu. Zdawali się mieć tyleż lat co i my, on - ze trzydzieści dwa, ona - koło dwudziestu pięciu. Była bardzo ładniutka, a i jego wygląd sprawiał miłe, sympatyczne wrażenie.

- Świeżo się pobrali - rzekła Nell z lekkim błyskiem w oczach.

- Skąd wiesz?

- Bo wszystko mają nowe. Nawet buciki.

- Tak, chyba masz rację. - Obserwowałem przez chwile, a potem dodałem: - I bodaj że cudzoziemcy - wykazując tym Nell, że i ja jestem spostrzegawczy.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo on nie wyznaje się na naszych pieniądzach. - Rzeczywiście tak było. Nie mógł sobie dać rady, aż. w końcu wyciągnął całą garść drobnych, aby szofer sam wybrał.

Później okazało się jednak, że myliliśmy się pod obydwoma względami. Byli już trzy lata po ślubie, oboje urodzili się w Stanach i prawie całe życie tutaj mieszkali.

Po pół godziny zaczęto zwozić meble; wszystko nowe, kupione w tutejszych sklepach. Mieszkamy w San Rafael, w Kalifornii, w dzielnicy małych domków. Sąsiedztwo składa się z ludzi przeważnie młodych i nastrój panuje życzliwy i bezceremonialny. Toteż po chwili, włożywszy stare flanelowe ubranie, wyszedłem z myślą poznania się z nimi i dopomożenia, w czym będzie trzeba. Przeciąłem trawniki i podchodząc do domu usłyszałem, że rozmawiają w salonie.

- O, tutaj jest Truman - powiedział Hellenbek i rozległ się szelest papieru.

- Truman? - podjęła z namysłem. - To znaczy, że następny był Roosevelt?

- Nie. Truman przychodzi po Rooseveltcie.

- Zdaje się, że się mylisz, kochanie - odparła. - Najpierw idzie Truman, potem Roosevelt, a potem...

Kiedy stanąłem na stopniu przed ich drzwiami, rozmowa urwała się. Zapukałem i zajrzałem do środka. Siedzieli w saloniku na ziemi i Ted Hellenbek gramolił się właśnie na nogi. Odpakowywali skrzynkę z talerzami, wszędzie leżały porozrzucone zmięte gazety i musieli je pewnie przeglądać. Ted podszedł do drzwi. Był teraz w wyciętej koszulce, roboczych spodniach i mokasynach - wszystko jak z igły.

- Jestem Al Lewis, z domu obok - przedstawiłem się. - Chciałem spytać, czy nie mógłbym w czym pomóc.

- Bardzo mi przyjemnie! - otworzył szerzej drzwi i wyciągnął rękę. - Jestem Ted Hellenbek - i

uśmiechnął się bardzo przyjaźnie. Jego żona wstała z podłogi i Ted nas zapoznał. Na imię miała Ann.

Potem pracowaliśmy razem resztę przedpołudnia. Pomagałem im wypakowywać się i doprowadziliśmy dom do porządku. Gdy pracowaliśmy, Ted mi opowiedział, że mieszkali w Południowej Ameryce - nie mówił dokładnie gdzie ani kiedy - i że nie chcąc płacić za przewóz sprzedali wszystko, co tam mieli, z wyjątkiem ubrań podróżnych i paru drobiazgów. Brzmiało to bardzo rozumnie i sensownie, tylko w parę dni później Ann powiedziała Nell, że ich dom w Południowej Ameryce spłonął do cna i stracili wszystko.

W jakie pół godziny po moim przyjsciu nadeszła pościel: kołdry, poduszki, bielizna pościelowa i podobne rzeczy. Ann wzięła dwie poduszki, powlokła je i poszła do sypialni. Otóż był jasny dzień, drzwi sypialni szczelnie zamknięte, a przy tym z ciemnego drzewa. Ale Ann poszła prosto do drzwi i, oczywiście, potłukła się. Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało. Zupełnie jakby oczekiwała, że drzwi otworzą się same. To przynajmniej, czy coś w tym rodzaju powiedział Ted biegnąc jej z pomocą. - Uważaj, kochanie - zawołał i roześmiał się obracając wszystko w żart. - Będziesz musiała nauczyć się, że drzwi nie otwierają się same.

Koło wpół do dwunastej przyszły książki; cała sterta, a wszystkie nowe. Wypakowywaliśmy je siedząc na podłodze i w pewnej chwili Ted podjął jedną i spytał: - Czytał pan to?

Pokazał mi tytuł "Dalekie kręgi" jakiegoś Waltera Bradena. - Nie - odparłem. - Ale czytałem niedawno recenzje: nie były entuzjastyczne.

- Wiem - potwierdził Ted z ironicznym uśmieszkiem. - A przecież to świetna książka. Niech pan tylko pomyśli - ciągnął i pokiwał głową - teraz można kupić nowiutki egzemplarz pierwszego wydania za trzy dolary! A za jakie... powiedzmy sto czterdzieści lat taki egzemplarz wart będzie z pięć, a może i osiem tysięcy dolarów.

- Możliwe - odparłem wzruszając ramionami. Bo co z tego wynika? Oczywiście, każda książka może kiedyś okazać się bardzo cenna, ale dlaczego akurat ta? Dlaczego pięć czy też osiem tysięcy? I dlaczego za sto czterdzieści lat, ani mniej, ani więcej? To są właśnie te małe dziwactwa, o których wspomniałem. Nie żeby już tego pierwszego dnia zdarzyło się coś niezwykłego czy poważnego. Tylko raz po raz Ted albo Ann zachowywali się troszeczkę nie tak jak wszyscy.

Poza tym jednak wszystko działo się najzupełniej normalnie. Dużo gadaliśmy, śmialiśmy się i żartowali i byłem pewien, że i ja, i Nelly polubimy tych Hellenbeków.

Po południu zrobiło się gorąco, zachciało się nam pić, więc poszedłem do domu i przyniosłem piwa. Nelly też ze mną poszła, poznała się z sąsiadami i zaprosiła ich na kolację. Nelly zachwycała się różnymi rzeczami, jakie miała Ann, a Ann dziękowała i tłumaczyła się, jak każda "kobieta, bo przedmioty były trochę zakurzone. więc Ann poszła do kuchni, przyniosła ściereczkę i zaczęła okurzać. Ściereczka była biała z zielonym szlaczkiem; prędko się zabrudziła, a po wytarciu ramy okiennej była już całkiem czarna.

Wtedy Ann wychyliła się przez okno i wytrząsnęła ściereczkę, która zaraz zrobiła się czysta. Ale kompletnie czysta, śladu brudu na niej nie było. Ann powtórzyła to szereg razy, ścierając kurz i wytrząsając ściereczkę, która na powrót robiła się biała.

Nelly patrzyła na to z otwartymi ustami, aż w końcu spytała: - Skąd pani wytrzasnęła taką ściereczkę?

Ann spojrzała zdziwiona: - Ach, to po prostu szmatka ze starego ubrania Teda! - I nagle zaczerwieniła się.

Prawdę mówiąc, ja też bym się zaczerwienił: czy widział kto męskie ubranie, białe z zielonym szlaczkiem?

- Nigdy jeszcze nie widziałam takiej ściereczki - odparła Nell. - Moja na pewno nie robi się

czysta, jak ją wytrząsnąć.

Ann była teraz czerwona jak burak, strasznie zakłopotana i jakby wystraszona. Bąknęła coś o ściereczkach w Południowej Ameryce, spojrzała na Teda, przyłożyła rękę do czoła i przez chwilę byłbym przysięgł, że się rozplacze.

Ale Ted podniósł się szybko, objął ją ramieniem, przytulił i mruknął coś o jej przemęczeniu i przepracowaniu. Jego oczy, patrzące na nas sponad ramienia Ann, miały wyraz nieufny i twardy. Na moment odniosłem wrażenie, jakby chciał jej bronić przed nami, jakby tych dwoje było przeciw całemu światu.

W tej samej chwili Nelly dotknęła z uznaniem blatu biurka, przy którym stała i głośno wyraziła swój zachwyt. Ann uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością. Nelly wstała i zaprowadziła Ann do sypialni mówiąc, że nie powinna robić za dużo jednego dnia; kiedy po paru minutach wróciły, wszystko już było w porządku.

Zżyliśmy się bardzo z Hellenbekami. Byli łatwi w obyciu i mili w towarzystwie. W krótkim czasie Nelly i Ann razem chodziły na zakupy, wciąż się odwiedzały i podawały sobie nawzajem przepisy gospodarskie.

Wieczorem, przy spryskiwaniu trawników czy stryżeniu trawy, Ted i ja gawędziliśmy o różnych sprawach aż do zapadnięcia nocy. Mówiliśmy o polityce, wysokich cenach, ogródku itd. Był dobrze zorientowany w polityce i sprawach międzynarodowych, a jego przewidywania sprawdzały się nad podziw. Z początku parę razy chciałem iść o zakład, kiedy byliśmy odmiennego zdania. Ale Ted nie chciał. I dobrze, że nie chciał, bo rzadko kiedy mylił się, gdy przyszło cło zgadywania, co będzie.

I tak to sobie szło. Wpadaliśmy do siebie, odbywaliśmy razem niedzielne wycieczki autem, a wieczorami grywaliśmy trochę w brydża.

Jakiś dziwny drobiazg wciąż jeszcze wydarzał się czasem, ale coraz rzadziej i nigdy dwa razy. Ted nie mylił już drobnych, kiedy coś kupował, i nie wynajdywał rarytasów wśród nowych książek. A Ann przestała wchodzić na drzwi.

Interesowali nas bardzo ci sąsiedzi. Po pierwsze Ted był wynalazcą. Sam doprawdy nie wiem dlaczego, ale mnie to zdziwiło. Wiem, że są wynalazcy, że muszą gdzieś mieszkać i nie ma żadnej racji, dlaczego jeden z nich nie miałby zamieszkać koło nas. Ale Ted nie wyglądał na wynalazcę. Mało tego: kiedy strzygł pierwszy raz trawę, musiałem mu pokazać, jak regulować śrubę przytrzymującą ostrza.

Mimo to był wynalazcą i to nawet dobrym. Pewnego wieczoru zrywałem pomidory w naszym ogródku. Ted zbliżył się podrzucając coś w rękę. Myślałem z początku, że to jakiś rodzaj spinacza. Ted przyglądał się chwile mojej robocie, a potem kucnął koło mnie, wyciągnął rękę i spytał: - Widziałeś kiedy coś podobnego?

Obejrzałem pokazywany mi przedmiot: był to kawałek cienkiego drutu, zgięty na obu końcach w zaokrąglone pętle. W środku drut też był zgięty tak, że obie pętle zachodziły na siebie. Nie umiem tego dokładnie opisać, ale z łatwością mógłbym to w pół minuty sporządzić. - Co to jest? - spytałem zwracając mu przedmiocik.

- Mały wynalazek, "Spinagraf" - odparł. - Można go używać zamiast agrafki. Popatrz! - Odpiął mi guzik u koszuli i zamiast tego wpiął swój drucik.

Czy uwierzycie, że w żaden sposób nie mogłem tego zdjąć? Nawet kiedy chwyciłem koszulę z obu stron i z całej siły ciągnąłem, drucik trzymał się i nie odpadał. Dopiero Ted mi pokazał, że wystarczy nacisnąć w określonym miejscu, by drucik leciutko zszedł. Słowem, jedna z tych rzeczy, na widok których zawsze sobie myślimy: "Dlaczego nikt dotąd nie wpadł na taki pomysł?"

Powiedziałem, że to diabelnie pomysłowe. - Jak na to wpadłeś? - spytałem.

Uśmiechnął się: - Ach, nie uwierzysz jak łatwo! Z takich rzeczy właśnie chcę żyć, z wynajdywania takich drobiazgów. Pierwszego dnia po naszym przyjeździe tutaj opatentowałem tę sztukę, a potem po. słałem ją pewnej fabryce drutu. - Uśmiechnął się z zadowoleniem i dodał: - Dzisiaj dostałem odpowiedź: dają mi półtora tysiąca dolarów.

- Zgodzisz się?

- Oczywiście. Nie jest to może najlepsza oferta i gdybym rozejrzał się, pewnie dostałbym więcej. Ale już byłem w strachu, że mi nie starczy na czynsz i ratę za meble, więc dobre i to. W każdym razie - dodał - będę mógł spokojnie wykończyć następny projekt.

- A co to będzie? - spytałem. - Jeśli, naturalnie, możesz mi powiedzieć. - Odłożyłem koszyk z pomidorami i usiadłem na trawie.

- Ależ oczywiście - odparł. - Wyobraź sobie latarkę z małą tarczą nad samym guzikiem. Jest też soczewka, ale zaokrąglona do wewnątrz i pomalowana na czarno z wyjątkiem malusieńkiego otworu pośrodku. Naciskasz guzik i z latarki strzela promień światła - specjalnego światła - grubości sztyfta w ołówku. Światło się nie rozprasza, promień jest jednakowo gruby. Pojmujesz to?

- Tak. Ale do czego to służy?

- Do mierzenia odległości. Naceluj punkcik świetlny na przedmiot, do którego chcesz zmierzyć odległość. Potem patrzysz na tarcze i odczytujesz odległość od punktu świetlnego aż do tamtego miejsca z dokładnością do jednej szesnastej cala. - Uśmiechnął się. - Jak ci się to podoba?

- Bardzo - odparłem. - Ale na czym polega działanie?

- Działać będzie z pomocą zwykłej baterii - powiedział Ted i wstał, jak gdyby to była odpowiedź.

Zrozumiałem, że nie chce, aby go dalej pytać, więc już się nie odzywałem. Ale pomyślałem sobie, że jeżeli potrafi to zмайstrować - on, który przed chwilą nie umiał naregulować maszynki do trawy - to ja jestem Turek. A jednak myślę czasem, że może i potrafi.

O tak, Hellenbek to z pewnością bardzo ciekawy chłop. Kiedyś powiedział mi, że za lat pięćdziesiąt będzie można w dziesięć dni wyhodować z nasienia całkiem dorosłe drzewa. I to ze zwykłych zupełnie nasion. Że powstaną prawdziwe fabryki drzew. Spytałem, dlaczego tak myśli - wzruszył ramionami i powiedział, że tak tylko przyszło mu to do głowy. Dodał, że z pewnością kiedyś tak będzie, i sądzę, że chyba ma rację. Ale teraz już rozumiecie, o co mi chodzi: Hellenbekowie byli to naprawdę zajmujący sąsiedzi. Chyba najciekawsze było to, co zdarzyło się pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy u nas na werandzie. Było już po kolacji i czytałem miesięcznik, który dostałem z rana. Nell siedziała w bujaku i robiła na drutach. Miesięcznik zawierał same opowiadania z fantazji naukowych: ludzie z Marsa, podróże międzyplanetarne, wojny atomowe itd. Lubię takie historie, choć Nell je uważa za bzdury.

Jakoś po chwili nadeszli Hellenbekowie. Ann usiadła przy Nelly, a Ted stanął koło mnie oparty o framugę. - Co czytasz? - spytał.

Z lekkim zakłopotaniem podałem mu miesięcznik. Na okładce widniał mieszkaniec Jowisza z oczami na długich szypułkach. - Nie wiem, czy kiedy czytałeś takie rzeczy? - spytałem.

- Wypróbowałam ten przepis na biszkopty - odezwała się Ann do Nelly. - Palce lizać!

- Doprawdy, smakowało wam? - Nell była bardzo uradowana i obie zagłębiły się w rozważaniu sekretów kuchennych.

Ted zaczął kartkować miesięcznik, a ja zapaliłem papierosa i z uczuciem miłego zmęczenia patrzyłem na ulicę. Noc była piękna i jasna. Ted w zupełnym milczeniu powoli odwracał strony, studiował ilustracje, czytał tu i ówdzie i raz tylko mruknął: - A niech to licho!

Przeglądał ten numer już chyba z kwadrans i widać było, że go to fascynuje. Wreszcie oderwał wzrok, zwrócił mi egzemplarz i powiedział z taką miną, jakby był zaskoczony: - To ciekawe,

naprawdę bardzo ciekawe.

- Tak, niektóre z tych historii są naprawdę dobre - odparłem. - "Colliers" drukował niedawno opowiadanie Raya Bradbury o człowieku przyszłości, który ucieka do naszych czasów; ale tajniaki przyszłości łapią go i zabierają z powrotem.

- Tak? - spytał Ted. - Musiałem to przeoczyć.

- Może to jeszcze gdzieś mam. Jak znajdę, dam ci do przeczytania.

- Chętnie - powiedział Ted. Przypuszczałem, że nie zna wcale tych rzeczy; ale myliłem się, bo po chwili odezwał się: - Teraz, kiedy wiem, że to ciebie interesuje... - zawahał się na moment, a potem dokończył: - Chodzi o to, że ja sam napisałem podobne opowiadanie.

Ann bystro spojrzała na niego, jak to robią kobiety, gdy mężowie porusza niewłaściwy temat. Następnie odwróciła się znowu do Nell, potakując czemuś z uśmiechem. Ale byłem pewien, że słucha tego, co mówi Ted.

- Nie może być? - zagadnąłem.

- Tak, napisałem opowiadanie o świecie przyszłości, takie właśnie...

- Ted! - zawołała Ann.

Ale on tylko uśmiechnął się do niej i mówił dalej: - Ann zawsze się boi, żebym kogoś nie znudził moimi pomysłami.

- Ten w każdym razie jest bardzo niemądry. - wtrąciła Ann.

- Oczywiście - przytaknęła Nell. - Doprawdy nie mogę zrozumieć, dlaczego Al rozczytuje się w takich głupstwach.

- Wracajcie, kobiety, do swoich spraw - odparł Ted - nikt wam nie każe słuchać. Kochanie - zwrócił się do Ann - z tym jest całkiem inaczej. Nie ma żadnej obawy.

- No pewnie - wtrąciłem - to całkiem nieszkodliwe. I chyba lepsze, niż gdybyśmy poszli do knajpy, czy w ogóle popijali, choćby i w domu.

- więc tak - zaczął Ted. Stał wygodniej, uśmiechnął się, i widać było, że język go świerzbi. - Miałem znajomego, z którym często gadaliśmy o tych sprawach i w końcu ułożyliśmy całe opowiadanie. Powiem ci nawet więcej: ten mój przyjaciel był z amatorskiego drukarzem i miał własną prasę drukarską w piwnicy. Zupełnie śliczną maszynkę. I kiedyś dla zabawy wydrukowaliśmy to jako artykuł w piśmie, takim jak mogłoby wyglądać w przyszłości. Mam jeszcze nawet odbitkę, czy może i dwie. Chciałbyś to zobaczyć?

- Ted - zawołała prosząco Ann.

- W porządku, kochanie, w porządku - odparł Ted.

Oczywiście, powiedziałem, że bardzo chcę to zobaczyć. Ted poszedł do domu i wrócił po chwili z wąskim, a długim paskiem papieru.

W dotknięciu nie było to wcale jak papier. Wcale nie szeleściło ani nie załamywało się i przypominało raczej jakąś delikatną tkaninę, tyle że było sztywne. U samej góry widniał tytuł ułożony z długich czerwonych liter, bardzo cienkich, ale bardzo czytelnych. Tytuł brzmiał "Czas w naszym ręku". A dalej szły podtytuły: "Czy PC powinny być zabronione? Nowe zagadnienie stanęło przed światem, opętany przez strach odtlenienia, odludnienia i nowych broni molekularnych".

- Strona ma taki dziwny kształt - powiedział Ted - bo w tej postaci wychodzi z teletypu u prenumeratorów druku na odległość.

Obydwie nasze żony popatrzyły na niego z pogardą i wróciły do swojej rozmowy.

- Pięknie wypracowana sztuczka - powiedziałem.

- Wiem - odparł i zaśmiał się. - Zużyliśmy mnóstwo czasu, by to wykombinować.

Spojrzałem znów na artykuł i uwaga moja skupiła się na rycinie pośrodku strony. Była to

uśmiechnięta twarz ludzka i zdawała się wprost wychylać z tła. Nos formalnie wystawał do przodu, a uszy i tył głowy znajdowały się jakby gdzieś w głębi. Druk był przepiękny, a kolory znakomicie oddane. Widać było każdą zmarszczkę przy oczach, odbłask i wilgotność gałek ocznych i każdy, dosłownie, włos na głowie. Przysunąłem rycinę do oczu: stała się płaska i dwuwymiarowa, widać było, że to niewątpliwie druk. Odsunąłem na odległość czytania: znów ukazała się trójwymiarowa postać głowy ludzkiej w idealnym zmniejszeniu.

Podpis pod zdjęciem głosił: Ralph Kent, 32-letni fizyk kwantowy i pierwszy na świecie Podróżnik w Czasie. Pierwsze jego słowa, gdy zjawił się na nowo w laboratorium po wypróbowaniu PC, obieły cały świat. "W Anglii szesnastego wieku - oświadczył - nikt nie rozumie, zdaje się, po angielsku".

- Twój przyjaciel to prawdziwy majster - powiedziałem.

- Myślisz o fotografii? - spytał Ted. - Ach, takie wyniki każdy może osiągnąć, jak się dobrze przyłoży. Ale czytaj artykuł.

Zapaliłem nowego papierosa i wziąłem się do czytania. Oto jak brzmiał artykuł:

"W listopadzie zeszłego roku w laboratorium DeFaraday Electric Company w Shenectady przystąpiono do budowy pierwszego praktycznego modelu maszyny czasu. Tajemnica, najściślej strzeżona, znana jest tylko siedmiu najwyższym urzędnikom firmy. Konstrukcja opiera się podobno na rozwinięciu podstawowych teorii słynnego fizyka teoretycznego ubiegłego stulecia, Alberta Einsteina.

Wykonany ręcznie model oszołamiającego wynalazku ukończono 18 maja br. Kosztował on, nie licząc czterech lat badań wstępnych, 190.000 dolarów. Model jednak stał się przestarzały, zanim jeszcze poddano go pomyślnym próbom. Pewien młody fizyk australijski, Finis Bride z uniwersytetu w Melbourne, ogłosił sprawozdanie z doświadczeń, w których z pomyślnym skutkiem zastosował tanie w obsłudze pole elektromagnetyczne zamiast konwencjonalnego, a kosztownego stopu platynowego używanego dotąd w niwelatorach grawitacyjnych. W ten sposób, jak to natychmiast stwierdzili pracownicy DeFaraday E.C. (DE), utworowano drogę taniej masowej produkcji maszyn czasu.

Zarząd DE uznał za sprawę wagi najwyższej konieczność zachowania wynalazku Australijczyka w tajemnicy przed konkurencją. Jednakże, co było rzeczą prawie nieuchronną, podczas gdy DE przestawiała się na nową produkcję, tajemnica została ujawniona. Natychmiast też zaczął się wyścig między Asco, BCA i Eastern Electric o zdobycie rynku. Nieomal w tym samym czasie w wyścigu wziął udział przemysł angielski, rosyjski, francuski, włoski, a także fabryki telewizorów. I już w czerwcu sprzęt dla PC sprzedawano w ilościach...

Dalszy ciąg artykułu wyglądał podobnie. Był naprawdę świetnie zrobiony. Chwilami można by sądzić, że pisał to zawodowy autor fantazji naukowych. Mowa była o tym, jak z początkiem lata fabrykanci sprzętu do Podróży w Czasie podjęli ogromną kampanię ogłoszeniową. Pierwszego dnia sprzedaży publiczność zachowała się sceptycznie i obojętnie. Ale już nazajutrz stacje telewizyjne - czy co tam wtedy było - nadały mnóstwo wywiadów z ludźmi, którzy odbyli podróże w czasie i byli zupełnie oszołomieni, gdyż diabelskie maszyny działały rzeczywiście.

Wkładało się do kieszeni mały przyrządek zwany "obiegiem powrotnym". Potem włączało się aparat, nastawiało tarcze, stawało się samemu w pęku niewidocznych promieni świetlnych i człowiek nagle znajdował się dokładnie w tym czasie i miejscu, na jakie nastawił tarcze. Wychodziło się z aparatu, można też było uruchomić mechanizm samowłączający po określonym terminie, i póki się miało przy sobie "obieg powrotny", wystarczyło wrócić na miejsce, gdzie się wylądowało, by nagle znaleźć się na nowo u siebie w mieszkaniu, w promieniu niewidocznego światła. Publiczność

oszałała zupełnie na punkcie tych podróży, i w chwili, gdy artykuł był rzekomo pisany, produkcja sprzętu PC biła wszelkie rekordy. Nie było wprost rodziny, która by nie zdobyła się na przynajmniej sto pięćdziesiąt dolarów, czyli cenę najtańszego modelu.

Artykuł był rzeczywiście pisany z ogromnym zacięciem. Ciekawy był na przykład ton niepokoju, jaki przebijał z treści. Wyglądało to, jakby z szaleństwem podróży w czasie wiązał się jakiś straszliwy problem, o którym autor nie chciał mówić wyraźnie. Wciąż tylko napomykał i zastanawiał się, czy nie zachodzi potrzeba wydania nowych przepisów. Nie mogłem jednak zrozumieć, co go właściwie tak trapi. Podróże w czasie zdawały mi się czymś bardzo przyjemnym.

- Świetna rzecz - powiedziałem Tedowi po przeczytaniu. - Ale o co właściwie chodzi? Gdzie jest ten pies pogrzebany?

Ted wzruszył ramionami: - Sam nie wiem - odparł. - Chyba wcale go nie ma. Ale jak ci się podobało?

- Bardzo.

- Możesz to zachować, jeśli masz ochotę. Mam drugi egzemplarz.

- Dziękuję - powiedziałem chowając artykuł. - Ale jak według ciebie miało się to skończyć?

- Ach - odparł - masz tego już chyba dosyć. - Wydawał się trochę zakłopotany, jakby żałował teraz, że zaczął tę opowieść. Zerknął na żonę, ale ta nie patrzyła na niego. - Właściwie - dodał po chwili - wszystko to rozchodzi się po kościach. Bo w gruncie rzeczy nie bardzo umiem wymyślać takich historii.

- Daj spokój - zwróciłem się do Teda. - Dokończ, jeśli już zaczęłeś.

Ted spojrzał na mnie z wielką powagą, a potem pokręcił głową. - Nie - odparł - doprawdy trudno to wytłumaczyć. Musiałbyś wiedzieć całe mnóstwo rzeczy o tym świecie przyszłości, świecie, w którym ludzie byliby wprost chorzy ze strachu przed samozniszczeniem. Jakieś potworne rodzaje broni, które dosłownie mogłyby rozbić w kawałki cały układ słoneczny. Każdy człowiek wprost opętany lekiem wobec jutra.

- Czy to tak trudno wyobrazić sobie to wszystko?

- No, chyba. - Roześmiał się. - Żyjemy w czasach spokojnych.

- Spokojnych?

- Oczywiście. Żadnej właściwie broni z wyjątkiem bomb atomowych i wodorowych, a i te w bardzo wczesnym, prymitywnym stadium.

Roześmiałem się dosyć kwaśno.

- W sumie - ciągnął Ted - żyjemy w czasach wcale przyjemnych.

- Jak to dobrze, że jesteś tego tak pewien - powiedziałem.

- Jestem pewien - odrzekł Ted z uśmiechem. Po chwili jednak przestał się śmiać. - Ale wszystko to bardzo się zmieni za jakie sto lat, możesz mi wierzyć. Tak przynajmniej - dodał - ja i mój przyjaciel wyobrażaliśmy sobie dalszy ciąg naszej historii. - Pokiwał głową i zaczął mówić jakby do siebie samego.

Życie nie będzie przedstawiać żadnego uroku. Każdy będzie pracował po dwanaście, czternaście godzin dziennie, większą część dochodu zjadać będą podatki. A reszta iść będzie na kupno najniezbędniejszych rzeczy po cenach niebywałych z powodu produkcji wojennej. Mnóstwo ograniczeń i sztucznie tworzonych potrzeb. A nad tym wszystkim unosi się, zabijając resztki radości z życia, pewność nieuchronnej śmierci i zniszczenia. Każdy pracuje i poświęca się dla własnego zniszczenia, rozumiesz? Ted spojrzał na mnie. - Ohydny świat, cały ten świat przyszłości, wcale nie taki, jaki przeznaczony był człowiekowi.

- Mów dalej - powiedziałem - świetnie to opowiadasz.

Spojrzał na mnie zdziwiony, uśmiechnął się, a potem wzruszył ramionami. - Dobrze - rzekł i oparł się o framugę okna. - Więc podróże w czasie mają wzięcie takie, jak dziś telewizja, tylko w skali sto razy większej, bo jest to bodaj jedyna prawdziwa przyjemność. I to przyjemność rzeczywiście niezwykła. - Już po tygodniu od chwili, gdy pierwsze maszyny zjawyły się na rynku, ludzie wszędzie zdążyli się w nie zaopatrzyć. I wyruszają po pracy, aby na przykład popływać i wygrzać się na jakiejś dziewiczej plaży w Kalifornii w roku, powiedzmy, 1000. Albo przechadzają się w lasach stanu Maine w czasach, nim jeszcze zjawili się tam Wikingowie. Albo też stają na jakimś wzgórzu i oglądają bitwę krzyżowców z niewiernymi.

Ted uśmiechnął się. - Nie zawsze to bywa bezpieczne. Jakiś jegomość z Newton w stanie Kansas wraca do domu poraniony śmiertelnie strzałami. W Tallahassee znika nagle cała rodzina. Ich MC, machina czasu, pogwizduje na próżno, gdyż wcale nie wracają. A to samo się zdarza w coraz to innych punktach całego świata. Do Chicago wraca ktoś z jednodniowej wycieczki po siedemnastowiecznej Francji i nazajutrz umiera na dżumę. Przerazenie ogarnia wszystkich, ale choroba na szczęście się nie rozchodzi. W Mill Valley, w Kalifornii, zjawia się ktoś o twarzy nieprzytomnej, rękach pogruchootanych i podartym ubraniu. Następnego dnia popełnia samobójstwo. Był z żoną w duńskim miasteczku z jedenastego wieku; tłum słysząc ich nowoczesną angielszczyznę i widząc ich dziwaczne ubrania rzucił się na nich - żonę ukamieniowano na śmierć jako czarownicę, a mąż z trudem uszedł.

Ted mrugnął z uśmiechem na żonę; był wyraźnie zadowolony. Ja podziwiałem go, a Nell chyba także, choć się nie przyznawała do tego. - Wobec takich wydarzeń - wrócił do opowieści - zarówno rząd, jak i fabrykanci MC ostrzegli telewizyjnie publiczność, która szybko nauczyła się ostrożności. Zorganizowano krótkie kursy, jak zachowywać się w różnych czasach, jak naśladować stroje i obyczaje epok dawniejszych, jakich epok i miejsc trzeba unikać. Podróże w czasie świecą teraz pełne tryumfy. Zawsze jest pewne ryzyko, ale wypadki i tragedie zdarzają się rzadko.

Niektórzy mają za długie języki, zjawiają się w dawnej epoce i mówią za dużo, po czym lądują w więzieniu czy domu wariatów. Inni nie mogą się oprzeć pokusie niebezpiecznych epok i padają ofiarą przesądnych tłumów. Dużo ludzi umiera na pospolity katar, wytepiiony zupełnie przez naukę, wskutek czego rasa ludzka straciła swoją nań odporność. Ale ryzyko zawsze było we wszystkim; a ważną rzeczą jest to, że można wreszcie naprawdę odetchnąć. Odejść od współczesności na tydzień czy dzień, czy choćby jedną godzinę przed obiadem. Wrócić do czasów prostszych i spokojniejszych, kiedy życie było jeszcze coś warte. Toteż wkrótce nie było na świecie człowieka, który w jakiś sposób nie zaopatrzył się w sprzęt PC lub nie zapewnił sobie możliwości korzystania z niego.

Ted spojrzał na mnie, a potem na Nell. - I, naturalnie, przyszło to, co było nieuchronne. Jedyne możliwe zakończenie mego opowiadania. Ale może już sami znaleźliście rozwiązanie?

Pokręciłem głową, Ted spojrzał na Nell, która też zaprzeczyła. - A przecież to łatwo odgadnąć - powiedział. - Ludzie przestali po prostu wracać. W ciągu miesiąca po wprowadzeniu PC wszystkim na całym świecie to samo przyszło naraz do głowy: dlaczego nie zostać? Każdy zdążył już sobie wybrać ulubione miejsce i czas w historii i geografii świata. Każdy był pełen zapału dla swego własnego odkrycia: jakieś stulecie czy krótszy nawet, okres, jakiś kraj, miasto, wieś, wyspę, jakieś lasy czy też brzeg morski, słowem określone miejsce w określonym czasie, które najbardziej odpowiada czyjemuś usposobieniu. Tak więc ta sama myśl ogarnęła wszystkich: dlaczego nie zostać? Po co wracać? Do czego?

Ted odpędził zabłąkanego komara i mówił dalej: - W ciągu czterdziestu dni ludność całego świata spadła do siedmiu milionów, a i z tego nieomal wszyscy przygotowywali się do podróży. I nagle została na świecie tylko ta drobna garstka, ten fragment ludzkości, który chce wojny i wojnę

przygotowuje. Ale ci, którzy walczą na wojnie, odeszli. Zanim rządy zdały sobie sprawę z tego, co się dzieje, zanim zdążyły coś zrobić - ludność świata prawie zupełnie znikła.

Ostatnie nadzwyczajne posiedzenie rady ministrów Stanów Zjednoczonych zostało przerwane, kiedy się okazało, że wszyscy członkowie rządu - z wyjątkiem jednego - planują wyjazd do innych epok. Jeszcze sześć dni i wiek dwudziesty pierwszy został opuszczony jak tonący statek, a jego ludność rozproszyła się w głębi wszystkich poprzednich stuleci. A z drobnej nielicznej garstki tych, co zostali, tych, co woleli współczesność, większość także musiała wyruszyć na poszukiwanie swych rodzin i przyjaciół w czasach dawniejszych. Bo samotność i załamanie się świata uniemożliwiały im życie.

Ted patrzył na nas przez chwilę, a wreszcie powiedział: - I tak, moi drodzy, skończył się świat. Znalazł się na skraju przepaści, jedną nogą już nad nią stąpnął, ale zatrzymał się, zawrócił i cofnął wstecz zostawiając opuszczoną ziemię na pastwę ptaków, owadów, wiatru, deszczu i niszczącej broni.

Ted stał przez chwilę wpatrując się w przestrzeń, a nikt z nas się nie odzywał. Gdzieś w trawie odezwał się świerszcz. Ted uśmiechnął się: - No i co - spytał - jak ci się to podoba, Al? Dobre opowiadanie?

- Tak - odpowiedziałem powoli, wciąż o tym rozmyślając. - Tak. Bardzo mi się podoba. Dlaczego nie napiszesz tego? Może byś mógł wydrukować.

- Już o tym myślałem. Ale tak prawdę mówiąc, wolę wynalazki. Łatwiejsze.

- Kiedy opowiadanie jest bardzo dobre... Chociaż - dodałem - ma także pewne braki.

- Na pewno ma braki - przyznał Ted. - Ale jakie?

- Więc choćby to: czy ludzie tych dawnych epok nie zauważyliby nagłego wzrostu ludności?

- Nie sądzę. Jeśli rozproszyć ludność świata na tyle wcześniejszych stuleci, to dla poszczególnych okresów czy miejsc będzie to kropla w morzu.

- Zgoda - powiedziałem. - Ale weź wynalazki. Czy ludzie podróżując do czasów dawniejszych nie próbowaliby wprowadzić tam wynalazków XXI-go wieku?

- Nie wyobrażam sobie. Myślisz o czymś takim, jak statki międzyplanetarne w 1776?

- Mniej więcej.

Ted pokręcił głową: - Niemożliwe. Przypuśćmy, że ty byś cofnął się o sto lat; czy mógłbyś zbudować odbiornik telewizyjny?

- Nie.

- Czy choćby radiowy?

- To prędzej. Z w łaszcza prostego typu. Może kryształkowy.

- Przypuśćmy, żebyś potrafił - powiedział Ted - choć wątpię, abyś mógł znaleźć wszystkie materiały - na przykład drut miedziany. Ale przypuśćmy. Co byś przez to odbierał? Powiedziałbyś ludziom, że to jest radio i do czego służy, a oni by cię zamknęli. No nie? Pomyśl, co wiedzą ludzie o tych wszystkich cudownych rzeczach, których dziś używają codziennie? Tyle co nic. A garstka, która wie, nie znalazłaby materiałów i części potrzebnych do budowy najprostszych aparatów poza czasem, do jakiego te aparaty należą. Więc mógłbyś co najwyżej wprowadzić parę najprostszych rzeczy codziennego użytku. Dajmy na to współczesną agrafkę do szekspirowskiej Anglii. A i to, gdybyś dostał odpowiednią stal. A parę takich drobiazgów nie zmieniłoby dziejów świata.

- Tak, mój drogi - dokończył Ted - musiałbyś przystosować się do świata, takiego, jaki byś zastał, bez względu na to, co wiedziałbyś o przyszłości.

Nic już nie powiedziałem. I tak zresztą nie miałem zamiaru szukania za wszelką cenę dziur w opowiadaniu Teda. Wszedłem do domu i przyniosłem dla wszystkich piwa. Jeszcze raz pochwaliłem

historię Teda. Wtedy Nell przyznała, że i jej się podoba. Nawet Ann po namyśle też się z tym zgodziła. A potem już rozmowa zesłała na inne tematy.

Ale wracam do swego. Jak już mówiłem, Hellenbekowie mieli swoje dziwactwa, a mimo to byli z nich bardzo zajmujący sąsiedzi. Toteż naprawdę zmartwiłem się, kiedy wkrótce potem wyjechali od nas. Wyjechali do jakichś swoich dawnych przyjaciół, z którymi wychowali się razem. Więc nie ma w tym nic dziwnego, choć sami wciąż powtarzali, że lubią Kalifornię i ludzi tutejszych.

Przenieśli się do Orange, w stanie New Jersey. Ci dawni przyjaciele mieli tam właśnie zamieszkać, a Hellenbekowie chcieli ich poprzedzić. Mieli spotkać się wiosną 1951, a Ted chciał być przedtem na miejscu.

W domu obok mieszka teraz nowa para małżeńska. Mili ludzie, dobrze grają w brydża i dosyć ich lubimy. Ale sam nie wiem czemu, po Hellenbekach wydają się jacyś nudni.

Tłumaczył Julian Stawiński

Najświetniejsza technika nie zapewnia ludzkości ochrony przed zagładą. Co najwyżej, usuwając z życia codziennego potrzebę wszelkiego wysiłku, otaczając człowieka niebywałym komfortem stwarza sztuczne i złudne poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Raz już tak było w dziejach: wybuch Wezuwiusza zaskoczył całkowicie mieszkańców Pompei. Gruba warstwa popiołu i lawy pokryła wszystko i zakonserwowała. Dzięki temu możemy dziś oglądać przekrój codziennego dnia sprzed prawie dwóch tysięcy lat. Lecz siła niszczycielska energii atomowej jest większa od potęgi wulkanu. Z naszej cywilizacji może jeszcze mniej zostać. Jakiś jeden dom, jedno wnętrze - groźne ostrzeżenie, tylko już nie wiadomo dla kogo. Lepiej pomyśleć o tym, póki jeszcze czas.

RAY BRADBURY - Nadejda deszcze

Zegar w salonie zaśpiewał: Tik tak, tik tak, godziny siódmej znak, wstawania czas, wstawania czas, godziny siódmej znak - jakby się bał, że nikt nie będzie chciał wstać. Dom dalej spał. Zegar tykał zapełniając monotonnymi dźwiękami pustkę. Siódma sześć, śniadanie jeść, siódma sześć!

W kuchni piecyk śniadaniowy odetchnął i sycząc wyrzucił z ciepłego wnętrza osiem kawałków wspaniale przyrumienionego tostu, osiem smażonych jajek, szesnaście kawałków boczku, dwa kubki kawy i dwie szklanki mleka.

Dzisiaj jest czwarty sierpnia dwa tysiące dwudziestego szóstego roku, odezwał się inny głos spod sufitu, w mieście Allendale, Kalifornia. Trzykrotnie powtórzył te datę ku pamięci. Dzisiaj są urodziny pana Featherstone'a. Dzisiaj jest rocznica ślubu Tility. Dzisiaj wypada płatność polisy ubezpieczeniowej oraz rachunków za wodę, gaz i światło.

Ukryte w ścianach funkcjonowały przekaźniki, taśmy pamięciowe przesuwają się pod oknami fotokomórek.

Tik tak, tik tak, godziny ósmej znak, czas do szkoły, czas do pracy! Godziny ósmej znak! Ale nie trzasnęły żadne drzwi, na żadnym z dywanów nie odcisnęły się miękkie ślady gumowych obcasów. Na dworze padał deszcz. Skrzynka meteorologiczna przy drzwiach wejściowych śpiewała: Pada deszcz, ciągle pada, więc kalosze wziąć wypada. Deszcz opukiwał pusty dom odbijając się echem.

Zaszeptały drzwi garażu i otworzyły się ukazując samochód gotów do jazdy. Po długim czekaniu drzwi zsunęły się z powrotem.

O ósmej trzydzieści usmażone jajka wystygły, tosty stwardniały na kamień. Aluminiowa łyapa zepchnęła je do zlewu, gorąca woda splukwała przez stalowe gardło, które wszystko strawiło i zmyło do podziemnego strumienia pędzącego ku odległemu morzu.

Dziewięta piętnaście, zaśpiewał zegar, czas sprzątania!

Z otworów w ścianach wybiegły mechaniczne myszki. Pokój zapełnił się maleńkimi zwierzątkami z gumy i metalu. Sprzątając tręcały krzesła, wymachiwały puszystymi łapkami zbierając kurz z dywanu i starannie wdmuchując w siebie każdy pyłek. Potem, jak tajemniczy przybysze z innego świata, zniknęły w swoich norkach, zgasły ich czerwone elektryczne oczka. Dom był czysty.

Godzina dziesiąta. Zza zasłony deszczu wyjrzało słońce. Dom stał samotny w mieście ruin i popiołów. Jedyne dom, jaki ocalał. W nocy nad zniszczonym miastem unosiła się różowa radioaktywna luna, którą widać było w promieniu wielu mil.

Dziesiąta piętnaście. Zawirowały ogrodowe spryskiwacze rozpylając w delikatnym powietrzu poranku złotą mgłę. Woda zrosiła szyby domu, spłynęła po zachodniej ścianie, osmalonej na czarno. Cała zachodnia strona była osmalona z wyjątkiem pięciu placków białej farby: sylwetka mężczyzny pchającego strzygarkę do trawy, sylwetka kobiety pochylonej nad kwiatem. Nieco dalej tytaniczny wybuch utrwał w zaczerniałej farbie sylwetkę chłopca z wyciągniętymi w powietrzu rękami, piłkę rzuconą w górę i dziewczynkę wyciągającą dłonie, by złapać piłkę, która nigdy nie upadła.

Pięć białych plam - mężczyzna, kobieta, dzieci i piłka - na tle zwęglonej ściany.

Delikatny sztuczny deszcz skraplał ogród żywym światłem.

Jakże dobrze prowadzony był dom do tego dnia! Jakże wyraźnie odzywał się głos: Kto idzie, podać hasło? - a nie otrzymując odpowiedzi od samotnych lisów i miauczących kotów ukryty mechanizm zamykał okna, zatrzaskiwał okiennice z pedanterią starej panny opętanej instynktem samozachowawczym, który graniczył z mechaniczną paranoją!

Dom reagował na każdy odgłos, na każdy szmer. Jeśli skowronek otarł się skrzydłem o okno,

opadała żaluzja. Ptak spłoszony odlatywał. Tak, nawet ptakowi nie wolno dotykać domu.

Dom był ołtarzem, przy którym usługiwało dziesięć tysięcy służby spieszącej na każde wezwanie. Bogowie odeszli, ale rytuał religii bezsensownie i bezcelowo trwał dalej.

Godzina dwunasta.

Pies dygocąc zawył przed wejściem.

Drzwi rozpoznały głos psa i otworzyły się. Pies niegdyś wielki i tłusty, przedstawiał teraz szkielet pokryty skórą pełną blizn. Wlókł się przez pokoje zostawiając za sobą ślady błota. Zaroiło się od myszy, złych, że muszą wycierać błoto, że je wyrwano z mechanicznej beczynności.

Albowiem w tym domu nawet niesiony wiatrem liść nie mógł wpaść do pokoju, by nie otworzyły się zastawki w ścianach i nie wyleciała sfera miedzianych zwierzątek. Obrażający czystość pyłek, włos czy papierek schwytyany w miniaturowe stalowe szczęki wnoszony był głęboko do nor, a z nor spadał zsypani do piwnicy, gdzie chwyciła go dysząca paszcza spalarki, która jak zły Baal przykucnęła w rogu.

Pies pobiegł na piętro wyjąc histerycznie przed każdymi drzwiami. Wreszcie zrozumiał - jak i zrozumiał to dom - że pozostała tu jedynie cisza.

Zwierzę zaczęło węszyć i drapać w drzwi kuchenne. W kuchni piec piekł bułeczki, powietrze wypełniał miły zapach klonowego syropu.

Na pysk psa wystąpiła piana. Położył się przed drzwiami, węszył, ślepa mu błyszcząły. Potem wstał, zakręcił się parę razy wokół swego ogona i zdechł. Przez godzinę leżał w hallu.

Godzina druga, zaśpiewał głos.

Rozkładające się ciało zaczęło wydawać niemiły zapach i pułk myszy wybiegł cicho z nor, tak cicho, jak cicho lecą szare liście w elektrycznym wietrze.

Druha piętnaście.

Pies zniknął.

W piwnicy spalarka rozżarzyła się nagle i snop iskier buchnął w komin.

Druha trzydzieści pięć.

Ze ścian werandy wysunęły się stoliki do brydza, wyskoczyły talie kart i bloki. Na dębowym kredensiku pojawiły się cocktaile i kanapki z jajkiem. Zagrała muzyka.

Ale przy stolikach nikt nie usiadł, nikt nie dotknął kart.

O czwartej stoliki złożyły się jak wielkie motyle i zniknęły w ścianach.

Czwarta trzydzieści.

Rozbłyły ściany pokoju dziecięcego.

Ukazały się zwierzęta: żółte żyrafy, niebieskie lwy, czerwone antylopy i liliowe pantery hasały po kryształowej substancji. Ściany były ze szkła, kwitły barwą i fantazją. Niewidoczne taśmy filmowe bezszelestnie przesuwwały się w dobrze naoliwionych mechanizmach, ściany żyły. Podłoga pokoju dziecięcego utkana była na podobieństwo pięknej łąki. Biegały po niej aluminiowe boże krówki i żelazne koniki polne, w gorącym nieruchomym powietrzu motyle z cieniutkiego czerwonego materiału fruwały wśród aromatycznych zapachów natury. Słysząc było delikatny szum jak we wnętrzu wielkiego ula. Albo jak cichy pomruk lwa. I słysząc było stuk kopyt okapi i szmer deszczu nad dżunglą, i tętent innych kopyt w letniej, sztywnej, jakby ukrochmalonej trawie. Na ścianach słała się teraz otwarta przestrzeń spalonych słońcem pól i ciepłe bezkresne niebo. Zwierzęta poukrywały się w zaroślach i w cieniu wodopojów.

Godzina iluzji dziecięcych.

Godzina piąta. Do wanny spływała przezroczysta gorąca woda.

Szósta, siódma, ósma godzina. Nakrycia do kolacji najpierw się pojawiły, a potem zniknęły jak za

dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W gabinecie naprzeciwko kominka, gdzie palił się teraz miły ogień, stało metalowe pudło, z którego wyskoczyło zapalone cygaro. Cygaro miało na końcu pół cala miękkiego, szarego popiołu. Paliło się i czekało...

Godzina dziewiąta. Ukryte obwody ciepłe zaczęły ogrzewać łóżka, gdyż noce były tu chłodne.

Dziewiąta pięć. Rozległ się głos z sufitu: Jaki wiersz życzy pani sobie dzisiaj usłyszeć, pani McClellan?

W domu panowała cisza.

Po chwili głos odezwał się znowu: Skoro nie ma pani specjalnego życzenia, sam wybiorę wiersz.

Na podkładzie cichej muzyki głos obwieścił: Sara Teasdale, to pani ulubiona autorka...

*Zaszemrzą deszcze, wszędzie ziemi zapach,
Jaskółki śmigną po nieba pułapach;
Nocą w sadzawkach żab zabrzmi kumkanie,
A dzika śliwa w drżące bieli stanie,
Gile, przywdziawszy ploteczka ogniste.
Na drutach płotu zasiądną ze świstem;
Nikt się nie dowie, że wojna wre. Nikt nie
Przejmie się, kiedy ucichnie i zniknie.
I obojętne to drzewom, ptaszynom.
Choćby ród ludzki do szczętu wyginął;
A wiosna, świtem przebudzona z drzemań.
Zaledwie pozna, że nas tu już nie ma).*
(Przekład Stanisław Kryński)

Na kamiennym palenisku palił się ogień, cygaro obróciło się w kupkę popiołu na popielniczce. Między cichymi ścianami stały puste krzesła, muzyka grała.

O dziesiątej dom zaczął umierać.

Powiał wiatr. Padające drzewo przebiło kuchenne okno. Rozbiła się butelka płynu do czyszczenia przyskajac na płytę kuchni. W sekundę kuchnia stanęła w płomieniach.

Pali się! - wykrzyknął głos. Zamigały światła alarmowe, pompy bluznęły z sufitu strumieniami wody. Ale płyn do czyszczenia rozlał się po całym linoleum, lizał i zżerał podłogę aż po drzwi kuchenne, a głosy powtarzały chórem: Pali się, pali się, pali się!

Dom pragnął się ocalić. Zawarły się drzwi, ale szyby popękały od gorąca i po pokojach hulał wiatr rozdmuchując ogień.

Powoli dom oddawał piędź po piędzi, ogień w miliardach złotych, drapieźnych iskier z płomienną łatwością posuwał się z pokoju do pokoju i wreszcie ruszył po schodach na górę, chociaż ze ścian wyskakiwały mechaniczne szczury z ładunkiem wody, wtryskiwały ją w płomień i leciały z powrotem po nowy zapas. A spryskiwacze w ścianach skrapiały podłogę mechanicznym deszczem.

Ale wszystko za późno. Gdzieś w głębi domu ciężko westchnęła pompa i odmówiła dalszej pracy. Ustał syczący deszcz. Wyczerpał się zapas wody, która od wielu cichych dni napełniała cierpliwie wanny i zmywała naczynia.

Ogień skwierczał na schodach, nakarmił się Picassami i Matisse'ami w górnym hallu, chrupiąc ich oleiste ciało i delikatnie zamieniając płótno w szare wiórki.

Potem wskoczył na łóżka, stanął w oknach, zmienił barwę zasłon.

Wtedy przybyły posiłki.

Ze strychu wyrzwały ślepe twarze robotów i z kranowatych ust wypuściły w ogień trujący zielony preparat chemiczny.

Ogień się cofnął, tak jakby to zrobił nawet słoń na widok martwego węża. A tu wiło się z dwadzieścia węży zabijając ogień zimnym jadem zielonej piany.

Ale ogień był sprytny. Wysłał rozpoznanie za dom i przez okienka strychu wszedł do umieszczonych pod dachem pomp. Nastąpił wybuch na poddaszu, i mózg, który kierował pompami, rozpadł się w tysiąc fragmentów.

Ogień wrócił w każdy zakątek i zaczął obmacywać wiszące w szafach ubrania.

Dom zadygotał. Zatrzeszczały dębowe kości, obnażony szkielet kurczył się od żaru, druty - jego nerwy - wyszły na wierzch tak jak podczas operacji, pod ręką chirurga, który zdejmuje skórę, widać czerwone żyłki drgające w powietrzu. Pomocy - pomocy! Pali się! Biegnijcie! Żar spalał lustra, ścinał je jak pierwszy mróz ścina powierzchnię wody. Jak, tragiczny rym dziecięcej piosenki powtarzały się tuzinem głosów słowa: Pali się, pali się, uciekajcie, uciekajcie! Słowa głośne, ciche, niskie, wysokie, wołanie dzieci umierających w lesie, samotnych i zagubionych. Głosy powoli milkły, gdyż druty pozbawione izolacji trzaskały jak przetarte sznurowadła. Jeden, dwa, trzy, cztery! Pięć głosów zamarło!

W pokoju dziecięcym paliła się dżungla. Błękitne lwy ryczały, purpurowe żyrafy galopowały w panice. Pantery latały w kółko zmieniając barwę. Dziesięć milionów innych zwierząt, uciekając przed ogniem, pobiegło w kierunku odległej parującej rzeki...

Znowu kilka głosów umarło. W ostatniej chwili pod naporem ognia inne żałobne ślepe chóry zaczęły ogłaszać czas, grała muzyka, zdalnie kierowana kosiarka zaczęła ścinać trawę, pootwieraly się przeciwstyczne parasole, uchylały się i zatrzaśniały drzwi wejściowe. Tysiące rzeczy się działo jak w sklepie z zegarami, gdzie jeden zegar po drugim w szaleńczym pędzie zaczyna wybijać godzinę, przyczyniając się do ogólnego zamieszania, a jednocześnie podkreślając wspólnotę wszystkich zegarów. Śpiew i krzyk! Parę ostatnich sprzątających myszy wybiegło z nor, aby usuwać okropne pogorzeliśko. A w płonącym salonie jeden głos z całkowitą obojętnością recytował głośno poezję, póki nie zwęgliły się szpule z filmem, póki nie popękały przewody i nie spaliły się przekładniki.

Ogień rozsadził dom i usypał pogorzeliśko, wydmuchując kłęby dymu i snopy iskier.

W kuchni, na sekundę przed deszczem ognia i drzewa, można było zobaczyć piec przygotowujący śniadanie w psychopatycznej ilości: sto dwadzieścia smażonych jaj, tosty z sześciu bochenków chleba, dwieście czterdzieści plasterków boczku, które pochłonał łapczywie ogień przy akompaniamencie sapań pieca.

Dom runął. Strychy zapadły się na kuchnię i salon, salon na piwnice, piwnice na podziemia. Lodówka, miękki fotel, taśmy filmowe, obwody elektryczne, łóżka i inne przedmioty spadły na stos głęboko pod ziemią.

Dym i cisza. Masa dymu.

Na wschodzie widać było jutrzeńkę. Wśród ruin stała dumnie jedna ściana. W ścianie tej ostatni głos powtarzał w kółko jedno zdanie, powtarzał je nawet wtedy, gdy wstało słońce, oświetlając morze ruin i pary:

Dziś jest piąty sierpnia dwa tysiące dwudziestego szóstego roku, dziś jest piąty sierpnia dwa tysiące dwudziestego szóstego roku, dziś jest...

Tłumaczył Jan Zakrzewski

Rozwój techniki ogromnie ułatwia życie.

Ale też i ogromnie je komplikuje. Wszystko wiąże się z wszystkim, wszystko od wszystkiego zależy. Niech jedno choćby ogniwo wypadnie, a od razu odbija się to na całym organizmie społecznym i gospodarczym. Rytm życia słabnie, ulega zakłóceniu, a nawet zamiera. Dlatego też w wysokiej cywilizacji technicznej podstawowym warunkiem jej sprawnego działania, a bodaj wręcz istnienia, jest niezwykle poczucie odpowiedzialności każdej dosłownie jednostki. Praca jest nie tylko prawem i źródłem zarobku, ale i obowiązkiem. Raz podjęta, musi być wykonana. Jeśli posłuszeństwa odmówi maszyna, łatwo z nią sobie poradzić. Z człowiekiem dużo trudniej. Więc jeśli się znajdzie przypadkiem ktoś uparty a nieodpowiedzialny, grozi to katastrofą całemu społeczeństwu. Buntownik wierzy w swe prawa i powołuje się na demokrację. Inni zaś, właśnie w imię demokracji, żądają, by się poddał. Nie tak łatwo rozstrzygnąć po czyjej stronie jest słuszość.

ROBERT HEINLEIN - Drogi muszą być w ruchu

Kto sprawia, że drogi są w ruchu?

Mówca na trybunie znieruchomiał i czekał na odpowiedź słuchaczy. Przyszła w postaci nieskoordynowanych okrzyków wybuchających na tle wymownego szmeru niezadowolonego płynącego po sali. - My! My! A któż by?

- Kto robi brudną robotą "tam w dole"?... Aby szanowna publiczność mogła poruszać się wygodnie?

Tym razem odpowiedzią był zbiorowy ryk: - My!

Mówca spieszył się, by wyzyskać nastrój, słowa płynęły mu z ust gwałtownym potokiem. Pochylił się w stronę tłumu, oczyma wbijał się w poszczególnych słuchaczy i ciskał w nich słowami.

- Komu przemysł zawdzięcza istnienie? Drogom! Jak dostarczają żywność, którą jedzą? Drogami! Jak się dostają do pracy? Drogami! Jak wracają do domu, do żon? Drogami! - Przerwał dla większego efektu i zniżył głos. - Co byłoby ze społeczeństwem, gdyby nie wy, chłopcy, gdyby nie ciągły ruch dróg? Diabli by je wzięli i wszyscy o tym wiedza. Ale kto naszą pracą docenia? Czy mamy za nią uznanie? Do licha! Czegóż my chcemy? Czy wysunęliśmy jakieś dzikie żądania? "Prawa opuszczenia pracy, kiedy tego zechcemy". Ależ byle pęta z innego resortu ma to prawo! "Równej płacy z inżynierami". A dlaczego by nie? Kto tutaj jest prawdziwym inżynierem? Czy trzeba być kadetem w śmiesznej czapeczce, żeby umieć wyczyścić łożysko, czy zatrzymać rotor? Kto tu jest ważniejszy: panowie w salach kontroli czy wy, chłopcy, tu w dole? O co jeszcze nam chodzi? O "prawo wyboru własnych inżynierów". Do licha, czemu nie? Kto lepiej potrafi wybrać inżynierów: pracownicy techniczni czy jakaś głupia komisja egzaminacyjna, która nigdy nie była na dole i nie potrafi odróżnić łożysk rotorowych od zwoju zwyczajnego drutu?

Z talentem urodzonego mówcy zniżył głos jeszcze bardziej i mówił teraz dobitnie, urywając zdania: - Powiadam wam, chłopcy, czas już przestać się patyczkować z Zarządem Transportu i pomyśleć o bezpośrednim działaniu. Niech sobie wrzeszczą o demokracji! My wiemy, że to zawracanie głowy. Ale my mamy siłę, a to jest najważniejsze!

W końcowych rzędach sali podniósł się jakiś człowiek. Gdy mówca przerwał, zapytał: - Bracie przewodniczący, czy mogę wtrącić dwa słowa?

- Głos ma brat Harvey.

- Chciałem zadać jedno pytanie: o co ten cały krzyk? Mamy najwyższą stawkę ze wszystkich mechaników, pełne ubezpieczenia, pełną emeryturę, no i bezpieczeństwo pracy, tyle że każdy z nas może ogłuchnąć. - Zsunął z uszu hełm przeciwhałasowy. Na sobie miał kombinezon, widocznie przyszedł tu prosto z pracy. - To prawda, że nas obowiązuje trzymiesięczne wypowiedzenie. Ale, chłopcy, wiedzieliśmy o tym zgłaszając się do pracy. A drogi muszą przecież być w ruchu bez przerwy... Nie mogę stawać, kiedy jakiemś leniuchowi znudzi się robota... Ale przychodzi Mydlarz - przewodniczący zadzwonił i mówca się poprawił - przepraszam, brat Mydlarz... I mówi nam, że jesteśmy potężni i że powinniśmy przejść do akcji bez pośredniej. Bzdury! Naturalnie możemy zatrzymać drogi i narobić bigosu na cały kraj... ale to samo potrafi byle łobuz z puszką nitrogliceryny. Do tego nie trzeba być technikiem... I skąd ta myśl, że my jesteśmy pępkiem świata? Nasza praca jest bardzo ważna, to prawda. Ale co robilibyśmy na przykład bez farmerów... albo hutników... czy dziesiątka innych jeszcze zawodów?

Przerwał mu chudy człowiek o sterczących górnych zębach: - W kwestii formalnej, bracie przewodniczący, chcę o coś zapytać brata Harveya - po czym zwracając się do tego ostatniego

ciągnął z chytrym błyskiem w oku: - Czy brat Harvey przemawia w imieniu związku, czy tylko we własnym? A może nie wierzy w ogóle w związek? A może - urwał i od stóp do głów przyjrzał się wyprostowanej postaci Harveya - może jest przypadkiem agentem, co?

Harvey popatrzył na pytającego takim wzrokiem, jakby stąpnął na ropuchę.

- Sikes - powiedział - gdybyś nie był takim mikrusem, wbiłbym ci twoje zęby w jadaczkę. Pomagałem zakładać ten związek. Strajkowałem w roku sześćdziesiątym. A gdzie ty wtedy byłeś? Z żółtymi?

Przewodniczący zaczął gwałtownie dzwonić.

- Dostyc tego! - powiedział. - Nikt, kto zna choć trochę historię naszego związku, nie wątpi w lojalność brata Harveya. Wracamy do porządku dziennego. - Odchrząknął i mówił dalej. - Zazwyczaj nie wpuszczamy obcych na trybunę; w dodatku niektórzy z was wyrazili się bardzo ujemnie o części inżynierów, którzy nami kierują w pracy. Ale jest jeden inżynier, którego chętnie słuchamy, ilekroć zdoła oderwać się od swoich ciężkich obowiązków. Może zresztą dlatego, że tak długi czas miał za paznokciami ten sam brud co i my. Krótko mówiąc, oddaje głos inżynierowi Van Kleeck...

- Bratu Van Kleeck! - zawołał ktoś na sali.

- Zgoda! A więc brat Van Kleeck, zastępca naczelnego inżyniera.

- Dziękuję, bracie przewodniczący. - Gość szybko wszedł na trybunę i uśmiechnął się serdecznie do tłumu. Cały aż się rozplęwał na widok ich uznania. - Dziękuję, bracia. Myślę, że nasz przewodniczący ma racje. Zawsze czułem się lepiej tu, w sali związkowej sektora Sacramento - czy w każdej innej sali związkowej - niż w klubie inżynierów. Te smarkate inżynierskie kadety wyłażą mi już bokiem. Może gdybym był skończył jakiś elegancki instytut techniczny, miałbym dobrze widziany sposób myślenia. Ale ja wyszedłem z samych dołów... A teraz, jeśli chodzi o wasze żądania, które Zarząd Transportu odrzucił bez żadnych wyjaśnień... Czy mogę mówić swobodnie?

- A naturalnie! Nam można zaufać!

- Może nie powinienem mówić o tych sprawach, ale to trudno! Bardzo was dobrze rozumiem. Drogi są wielkim osiągnięciem naszych czasów, a dzięki wam przecież są one w ruchu. Logicznie myśląc, wasze zdanie zawsze powinno być wysłuchane, a wasze życzenia spełnione. Więc można się było spodziewać, że nawet politycy będą mieli dość oleju w głowie, aby to zrozumieć. Czasami, gdy nie śpię w nocy, zastanawiam się, dlaczego my, technicy, nie przejmujemy tego wszystkiego i...

- Żona dzwoni, panie inżynierze.

- Dobrze. - Wygasił biurowy telekomunikator i chwycił słuchawkę telefonu na biurku. - Tak, moja droga, wiem, że obiecałem, ale... Masz zupełną rację, kochanie, ale Waszyngton domaga się stanowczo, żeby Blekinsopowi pokazać wszystko, co tylko zechce zobaczyć. A nie wiedziałem, że przyjeżdża dzisiaj... Nie, nie mogę go nikomu podrzucić... Żadnemu z podwładnych, to byłoby niegrzecznie. Mówiłem ci, że jest australijskim ministrem transportu... Tak, kochanie, wiem, że grzeczność zaczyna się w domu, ale drogi muszą być w ruchu. Taką już mam pracę. Wiedziałaś, wychodząc za mnie... A to właśnie należy do mojej pracy... Tak, to dobrze. Na śniadanie będę na pewno w domu. Wiesz co? Przygotuj śniadanie w koszyczku i urządzimy sobie piknik. Spotkamy się w Bakersfield... W zwykłym miejscu... Dobranoc, kochanie. Ucałuj małą ode mnie.

Odłożył słuchawkę, a ładna, choć bardzo niezadowolona twarz żony znikła z ekranu. Do gabinetu weszła młoda dziewczyna. Gdy otwierała drzwi, przelotnie ukazały się słowa wypisane na ich zewnętrznej stronie: "Centrala Drogowa Diego-Reno, Biuro Głównego Inżyniera". Spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem.

- Ach, to ty, Dolores. Pamiętaj, nie wychodź za inżyniera, wyjdź za artystę. Mają więcej czasu dla

domu.

- Dobrze, szefie. Pan Blekinsop czeka, szefie.
- Już? Nie spodziewałem się go tak prędko. Statek z Antypodów musiał wcześniej przylecieć.
- Tak, szefie.
- Dolores, czy ciebie coś kiedy wzrusza? - Tak, szefie.
- Hm, to brzmi niewiarygodnie, ale ty nigdy się nie mylisz. Poproś Blekinsopa.
- Dobrze, szefie.

Larry Gaines wstał na powitanie gościa. "Nie wygląda imponująco" - pomyślał podając mu rękę i wymieniając wstępne uprzejmości. Melonik ministra i pięknie zwinięty parasol mówiły same za siebie... Oksfordzki akcent częściowo tylko skrywał twardą, szorstką, nosową wymowę Australijczyka.

- Miło mi pana tu widzieć, panie ministrze. Chciałbym, aby pan był zadowolony ze swego pobytu.
- Co do tego nie ma wątpliwości - odparł z uśmiechem tłuszcioszek. - Pierwszy raz jestem w waszym wspaniałym kraju, a czuję się już jak w domu. Pan rozumie, eukaliptusy i te brunatne pagórki...

- Ale pan przyjeżdża w sprawach służbowych?

- A, tak! Moim głównym celem jest zbadanie waszych central drogowych i poinformowanie rządu, czy wasze zadziwiające metody dadzą się zastosować w naszych warunkach społecznych. Myślę, że uprzedzono pana, po co tu przyjeżdżam.

- Tak, w sensie ogólnym. Ale nie wiem dokładnie, co pan chce w szczególności zobaczyć. Przypuszczam, że wie pan z grubsza o naszych centralach drogowych, jak powstały, jak działają i tak dalej.

- Czytałem o tym sporo. Ale, proszę pana, nie jestem technikiem ani inżynierem. Mój zakres pracy to sprawy społeczne i polityczne. Chciałbym zobaczyć, jak ta nadzwyczajna przemiana techniczna wpłynęła na waszą ludność. Więc może powie mi pan parę słów o drogach, jak gdybym był zupełnym ignorantem. A ja będę zadawał pytania.

- Myślę, że to praktyczny plan. Nawiasem mówiąc, z ilu osób składa się pańska delegacja?

- Tylko ze mnie. Mój sekretarz pojechał do Waszyngtonu.

- Rozumiem. - Gaines spojrział na zegarek. - Jest prawie pora obiadu. Może więc pojedziemy na obiad do sektora Stockton. Jest tam dobra restauracja chińska, do której czasem zaglądam. Możemy tam być za godzinę i przez ten czas przyjrzy się pan funkcjonowaniu dróg.

- Świetnie.

Gaines nacisnął guzik na biurku i na dużym ekranie, wbudowanym w przeciwległą ścianę, ukazała się ja kas postać. Był to nieco kanciasty, rosły, młody człowiek siedzący przy półokrągłym stole kontrolnym. Obok widniała skomplikowana tablica rozdzielcza. Z kącika ust sterczał mu papieros.

Młody człowiek spojrział z ekranu, uśmiechnął się i zamachał ręką: - Dobry wieczór, szefie. Czym mogę służyć?

- Jak się masz, Dave. Więc ty dzisiaj dyżurujesz? Wybieram się do sektora Stockton na obiad. A gdzie Van Kleeck?

- Poszedł na jakieś zebranie. Nie mówił dokąd.

- Nic do zameldowania?

- Nie, szefie. Drogi w ruchu i publiczność już ruszyła do domu na obiad.

- Dobra. Baczyć na ruch!

- Tak jest, szefie.

Gaines wygasił połączenie i zwrócił się do Blekinsopa.

- Van Kleeck jest moim głównym zastępcą. Wolalbym, żeby więcej zajmował się drogami, a mniej polityką. Ale Davidson dobrze sobie radzi. Pójdziemy?

Zjechali po elektrycznych schodach i wyszli na chodnik ciągnący się wzdłuż biegnącego na północ pasa o szybkości 5 mil na godzinę. Minęli klatkę schodową z napisem "Przejdźcie do dróg na Południe" i zatrzymali się na brzegu pierwszego pasa.

- Czy jeździł pan kiedy na pasie ruchomym? - spytał Gaines. - To bardzo proste. Trzeba tylko pamiętać, żeby wskakiwać tyłem do kierunku ruchu.

Przeciskali się poprzez wracające do domu tłumy, skacząc z jednego pasa na drugi. Środkiem pasa "20 mil na godzinę" biegła szklista wysoka przegroda. Minister spojrzał na nią i uniósł pytająco brwi:

- Ach, to? - Gaines otworzył zasuwane drzwi, przepuścił gościa i jednocześnie odpowiedział na milczące pytanie. - To jest po prostu wiatrochron. Trzeba w jakiś sposób oddzielać prądy powietrza na pasach różnej szybkości, inaczej wiatr zdarłby z nas wprost ubranie na pasie "100 mil na godzinę", - Mówiąc nachylał się do Blekinsopa, aby mógł go usłyszeć mimo pędu powietrza, gwaru tłumy i stłumionego odgłosu ukrytego pod pasami a poruszającego je mechanizmu. Te połączone hałasy utrudniały rozmowę w miarę, jak zbliżali się do środka drogi. Minęli trzy dalsze wiatrochrony, umieszczone na pasach 40 - 60 i 80 - milowym, i wreszcie dotarli do najszybszego pasa, "100 mil na godzinę", który przebiegał od San Diego do Reno i z powrotem w dwanaście godzin.

Blekinsop znalazł się na szerokim dwudziestostopowym chodniku, w pobliżu dalszego wiatrochronu. Na wprost siebie zobaczył płomienne ogłoszenie w oknie:

DOM BEFSZTYKÓW JAKE'A NR 4

Najszybszy posiłek na najszybszej drodze!

Obiad w locie

Daje krocie!

- Zdziwiałające! - wykrzyknął Blekinsop. - To tak, jakby ktoś jadł w tramwaju. Czy to naprawdę jest restauracja?

- I to jedna z najlepszych. Żadnych frykasów, ale świetne jedzenie.

- Oo, a może byśmy...

- Chciałby pan spróbować - uśmiechnął się Gaines - prawda?

- Nie chciałbym zmieniać pańskich planów...

- Ależ proszę bardzo! Sam też jestem głodny, a do Stockton mamy całą godzinę drogi. Wejźmy!

- Hallo, pani McCoy - Gaines przywitał się z gospodynią jak z dawną znajomą. - Co u pani słychać?

- Kogo widzę? To sam pan szef kochany! Już kawał czasu jak pana nie widzieliśmy. - Zaprowadziła obydwu panów do części restauracji oddzielonej od ogólnej sali. - Czy panowie na obiad?

- Tak, naturalnie! Niech tam pani dla nas zarządzi według swojego wyboru... Były tylko były w tym wasze befsztyki.

- Na dwa cale grube... Z wołu, który miał łagodną śmierć - odpłynęła, nadzwyczaj zwinnie poruszając swą okazałą postać.

Przewidując wszelkie możliwe potrzeby głównego inżyniera, pani McCoy umieściła przy stole przenośny telefon. Gaines włączył go do kontaktu i nakręcił numer: - Hallo, Davidson? Tutaj szef.

Jestem na kolacji w Domu Befszyków Jake'a. Możesz mnie tu wydzwonić pod numerem 10166.

Odłożył słuchawkę, a Blekinsop zapytał uprzejmie: - Czy musi pan zawsze podawać, gdzie pan jest?

- Nie zawsze - odparł Gaines - ale czuję się spokojniejszy, kiedy mam kontakt z ludźmi. Kierownik dyżuru - w tym wypadku inżynier Davidson - powinien zawsze móc się skomunikować albo ze mną, albo z van Kleeckem. W wypadku rzeczywistych trudności oczywiście chcę być na miejscu.

- A co pan nazywa rzeczywistą trudnością?

- W zasadzie, dwie rzeczy. Awaria w rotorach mogłaby unieruchomić cały szlak drogowy, a wtedy miliony ludzi znalazłyby się o setki mil od swych mieszkań. Gdyby to się zdarzyło w porze nasilenia ruchu, musielibyśmy ewakuować te miliony ze szlaku, co nie jest sprawą łatwą.

- Miliony, powiada pan... Aż tyle?

- O tak! Ten jeden szlak służy co najmniej dwunastu milionom ludzi, którzy mieszkają i pracują w budynkach położonych przy drodze albo w promieniu pięciu mil w obie strony.

Wiek Energii prawie niedostrzegalnie łączy się z Wiekiem Transportu, ale dwa zdarzenia stanowią jakby słupy graniczne: wynalazek ekranu słonecznego i otwarcie pierwszej ruchomej drogi. W ciągu pierwszej połowy XX stulecia wyczerpano prawie zupełnie i z haniebną wprost rozrzutnością zasoby energetyczne nafty i węgla w Stanach Zjednoczonych. Równocześnie samochód, ze swych skromnych początków, z małego wózka urósł na stalowego potwora o sile ponad stu koni i szybkości ponad sto mil na godzinę. Samochody krążyły gęsto po całym kraju jak mrówki w rozgrzebanym mrowisku. Oceniano, że w połowie stulecia w Stanach Zjednoczonych przypadał jeden samochód na dwie osoby.

Niosły w sobie zarodek własnego zniszczenia. Siedemdziesiąt milionów stalowych smoków, kierowanych z ogromną szybkością przez niedoskonałe ludzkie istoty, szerzy więcej zniszczenia niż wojna. Odszkodowania płacone w tym okresie za szkody przez właścicieli różnych samochodów znacznie przekraczały sumę wydatkowaną na zakup nowych wozów. Prowadzono bez przerwy kampanię bezpieczeństwa na drogach, ale pożytek z tego był na ogół taki, jak z kadzidła dla umarłego. W przetłoczonych okręgach miejskich jazda bez wypadku była fizyczną niemożliwością. Piesznych przechodniów dzielono ironicznie na dwie grupy: szybkobiegaczy i nieboszczyków.

Ale pieszym przechodniem stawał się tylko ten, kto znalazł miejsce na zaparkowanie wozu. Samochody umożliwiły powstanie gigantycznych miast, a potem udusiły je na śmierć swoją liczebnością. W r. 1900 Herbert George Wells wykazał, że punkt szczytowy w rozbudowie miasta można przepowiedzieć matematycznie na podstawie miejskich udogodnień transportu. Biorąc pod uwagę jedynie szybkość samochodów umożliwiał powstanie miast o średnicy przeszło dwu stu mil. Ale stłoczenie ruchu potężnych, indywidualnie kierowanych pojazdów i związane z tym nieuchronnie powszechne niebezpieczeństwo przekreślały te możliwości.

Autostrada nr 66, łącząca Los Angeles z Chicago, nazywana "Główną Ulicą Ameryki", została przekształcona na superstradę o najniższej dozwolonej szybkości 60 mil na godzinę. Zaprojektowano ją jako roboty publiczne dla dodania bodźca przemysłowi ciężkiemu. Lecz dała nieoczekiwany produkt uboczny: olbrzymie metropolie Chicago i St. Louis wyciągnęły do siebie macki przedmieść, aż spotkały się w okolicy Bloomington, w stanie Illinois. A jednocześnie ludność tych miast macierzystych znacznie się zmniejszyła.

San Francisco zastąpiło swe starożytne trolleybusy ruchomymi schodami, poruszonymi z pomocą ekranów słonecznych Douglas-Martina. W tym samym roku zarejestrowano największą w dziejach liczbę samochodów. Ale kres samochodu był już widoczny.

Ustawa o Bezpieczeństwie Kraju zamknęła jego epokę. Ustawa ta, jedna z najbardziej spornych i

najdłużej dyskutowanych, uznała ropę naftową za podstawowy i wyjęty z wolnego obrotu surowiec wojenny. Absolutne pierwszeństwo w nabywaniu ropy naftowej i jej przetworów uzyskało wojsko i flota, a 70 milionów wozów prywatnych stanęło przed perspektywą nikłych a kosztownych przydziałów.

Rozważmy sytuację ówczesną: superstrady, przebiegające na całej swej długości przez miasta; zmechanizowany ruch na wzgórzach San Francisco; nieunikniony, zupełny prawie brak benzyny. Skonfrontujmy ten zaogniony szalenie stan z pomysłowością Jankesów. Rezultatem było uruchomienie pierwszej drogi mechanicznej między Cincinnati i Cleveland.

Łatwo się domyślić, że była dość prymitywna. Najszybszy pas nie przekraczał 30 mil na godzinę i był stosunkowo wąski, gdyż nikomu nie przyszło na myśl, by można było rozmieścić punkty handlowe na samych ruchomych szlakach. Mimo to droga stała się pierwowzorem układu stosunków, jaki zapanował w Ameryce w następnych dwóch dziesięcioleciach. Nią było już miast ani wsi, ale coś pośredniego, opartego na szybkim, bezpiecznym, tanim i wygodnym transporcie.

Z obu stron szlaków drogowych wznosiły się fabryki - szerokie, niskie budynki, których dachy pokryte były mnóstwem ekranów słonecznych o tej samej budowie, co źródła energii dla dróg. Pomędzy nimi i na dalszym planie mieściły się hotele, sklepy, teatry, bloki mieszkalne. Poza tym długim a wąskim pasem rozciągała się przestrzeń otwarta, gdzie mieszkała większość ludności. Domki gnieździły się wśród pól uprawnych, nad brzegami strumieni, obsiadły wszystkie wzgórza. Ludzie pracowali w "mieście", ale mieszkali "na wsi", a odległość dzieląca je nie przekraczała dziesięciu minut.

Pani McCoy osobiście obsługiwała przy stoliku szefa i jego gościa. Na widok fantastycznych befsztyków urwali rozmowę.

Na każdym odcinku pasa "100 mil na godzinę" dyżurni inżynierowie sekcyjni odbierali w równych odstępach raporty od techników podsekcyjnych. "Podsektor 1: raport!", "Podsektor 2: raport!" Woltaż, obciążenie, temperatura łożysk, odczytanie synchronometra i napięciomierza... "Podsektor 7: raport!" Wszędzie zgłaszali się na wezwanie ludzie doświadczeni i zdolni, którzy zęby zjedli na swojej pracy i znaczną część życia spędzali w tych podziemiach, wśród nieustannego huku stumilowego pasa, szumu rotorów, zawodzenia toczących się kół.

Davidson siedział w głównej hali kontrolnej sektora

Fresno mając przed sobą ruchomy model drogi. Patrzył na ledwo widoczne przesuwanie się miniatur stumilowego pasa i podświadomie powtarzał sobie cyfry wyznaczające Dom Befsztaków Jake'a. Szef będzie już wkrótce w Stockton; zadzwonię do niego, kiedy wpłyną ostatnie raporty. Wszędzie panował spokój; obciążenie normalne dla pory wzmożonego ruchu. Ogarniała go senność, a do końca dyżuru daleko. Zwrócił się do dyżurnego inżyniera-kadeta: - Barnes!

- Tak jest!

- Przydałaby się kawa.

- Dobra myśl! Zamówię, jak tylko wpłyną raporty.

Duża wskazówka chronometru na tablicy kontrolnej sięgnęła cyfry 12. Kadet nacisnął przekładnię.

- Wszystkie odcinki, raport! - zawołał suchym, pewnym siebie głosem.

Na ekranie ukazały się twarze dwóch mężczyzn. Młodszy odpowiedział równym, zdyscyplinowanym tonem:

- Okręg Diego - w ruchu!

Natychmiast zastąpiło ich dwóch innych.

- Sektor Angeles - w ruchu!

Zaraz potem: - Sektor Bakersfield - w ruchu!

I dalej: - Sektor Stockton - w ruchu!

Wreszcie, po raporcie Okręgu Reno, kadet zwrócił się do Davidsona i zameldował: - W ruchu, panie inżynierze!

- Dobra. Czuwać nad ruchem!

Ekran znowu rozjarzył się światłem: - Sektor Sacramento: raport dodatkowy.

- Słucham!

- Inżynier-kadet Guenther, podczas osobistej inspekcji jako dyżurny sekcyjny zastał kadeta-inżyniera Aleca Jeansa, na służbie w charakterze podsekcyjnego kadeta-technika, i R. J. Rossa, technika II klasy, na służbie w charakterze technika podsekcji - grających w karty. Nie dało się ustalić dokładnie, jak długo trwało ich zaniedbanie się w służbie.

- Są szkody?

- Jeden rotor przegrzany, ale synchronizacja dobra. Wyłączony i zastąpiony.

- Dobra. Niech płatnik wypłaci Rossa i przekaże go władzom cywilnym. Kadeta Jeansa aresztować i przedstawić mi do raportu.

- Tak jest, panie inżynierze! - Czuwać nad ruchem!

Davidson odwrócił się od ekranu i nakręcił tymczasowy numer głównego inżyniera Gainesa.

- Wspomniał pan o dwóch rzeczach, które mogą wywołać poważne trudności na szlaku. Ale wymienił pan tylko możliwość awarii w rotorach.

- Druga poważna trudność właściwie nie istnieje - Gaines urwał, by przyłapać wymykający się listek sałaty. - Po prostu nie może się zdarzyć. Ale... mech pan spojrzy... podróżujemy z szybkością stu mil na godzinę. Czy wyobraża pan sobie, co by się stało, gdyby pas pod nami się urwał?

- Hmm! - pan Blekinsop poruszył się nerwowo na krześle. - Aż przykro pomyśleć, prawda? Chcę powiedzieć, że tu, w tej zacisznej restauracyjce, człowiek prawie nie zdaje sobie sprawy, że podróżuje z taką szybkością. A jaki byłby skutek?

- Niech się pan o to nie martwi. Pas w żadnym razie nie może pęknąć. Zbudowany jest z zachodzących na siebie części w taki sposób, że ma współczynnik bezpieczeństwa z górą dwanaście na jeden. Całe mile rotorów musiałyby nagle stanąć, a wyłączniki obiegu prądu na całej pozostałej linii także nawalić, aby mogło powstać napięcie grożące zerwaniem pasa. Raz tylko jeden zdarzyło się to na szlaku Filadelfia - Jersey City i chyba nigdy tego nie zapomnimy. Była to jedna z najstarszych dróg szybkiej, o niesłychanym ruchu pasażerskim, a także towarowym, gdyż obsługiwała wysoko uprzemysłowiony okręg. Pas mało co różnił się od zwykłego pasa na konwejerze, bo kiedy go budowano, nikt nie przewidywał takiego obciążenia. A wypadek zdarzył się przy obciążeniu szczytowym, kiedy szlak był wprost zatłoczony. Część pasa poza przerwą cofała się całe mile, miażdżąc pasażerów o strop drogi przy szybkości 80 mil na godzinę. Część przednia pasa zwijała się jak bicz, rzucając pasażerów na sąsiednie odcinki, spychając ich na odsłonięte walce i rotory pod spodem albo ciskając nimi o strop. Zginęło wtedy ponad trzy tysiące ludzi i rozwinęła się agitacja za skasowaniem dróg. Z polecenia prezydenta były nawet zamknięte przez tydzień, ale potem trzeba je było puścić na nowo. Nie było innego wyjścia.

- Nie może być! A dlaczego?

- Kraj uzależnił się gospodarczo od dróg. W okręgach przemysłowych były głównym i prawie wyłącznym środkiem transportu. Fabryki stanęły, żywności nie dowożono, zaczął się głód i prezydent musiał pozwolić na uruchomienie dróg. Nie było innej rady. Układ społeczny wykrystalizował się w określonej postaci i nie można go było zmienić z dnia na dzień. Wysoko uprzemysłowiony kraj musi

mieć transport na wielką skalę, nie tylko dla ludzi, ale i dla produkcji.

- Proszę pana - zagadnął niepewnie Blekinsop bawiąc się serwetką. - Nie chcę w niczym umniejszać waszych wspaniałych osiągnięć; ale zastanawiam się, czy nie postawiliście za wiele na jedną kartę uzależniając całą waszą gospodarkę od funkcjonowania jednego mechanizmu?

- Rozumiem pana - odparł Gaines z głębokim zastanowieniem. - Odpowiem: i tak, i nie. Każda cywilizacja, powyżej typu wieś-miasteczko, zależy od pewnych kluczowych mechanizmów. Nasze dawne Południe opierało się na odziarniarce bawełny. Imperialna Anglia zawdzięcza swój byt maszynie parowej. Duże skupienia ludności muszą mieć mechanizmy dla celów energetyki, transportu i produkcji niezbędnej do życia. Gdyby nie mechanizmy, wielkie skupienia nigdy by nie powstały. Nie jest to winą maszyny, lecz jej zaletą. Niemniej prawdą jest, że kiedy rozbudujemy mechanizm w taki sposób, by mógł zapewnić dużym skupieniom ludności wysoki poziom życia, musimy utrzymać mechanizm w ruchu i ponosić wszelkie skutki. Jednakże prawdziwe ryzyko leży nie w maszynach, ale w ludziach, którzy je obsługują. Jako maszyna, te drogi są bez zarzutu. Mocne, bezpieczne, spełniają całkowicie swoje zadanie. Nie, nie o maszyny tu chodzi, lecz o ludzi. Społeczeństwo zależne od maszyn jest w ręku ludzi, którzy kierują maszynami. Jeśli pracownicy stoją na wysokim poziomie moralnym, jeśli poczucie obowiązku i odpowiedzialności jest u nich silne...

Na sali restauracyjnej ktoś otworzył głośnik radiowy i muzyka zagłuszyła ostatnie słowa Gainesa. Kiedy natężenie głośnika zmniejszono, Gaines powiedział:

- Niech pan posłucha. To jakby ilustracja do tego, co mówiłem.

Blekinsop zainteresował się muzyką. Nadawano rytmiczny bardzo marsz, melodyjny mimo nowoczesnej instrumentacji. Słysząc w nim było dudnienie mechanizmów, powtarzający się stukot maszyn. Australijczyk uśmiechnął się rozpoznawszy te dźwięki: - To pieśń waszej artylerii, prawda? Nazywa się "Werbel dział"? Ale nie widzę związku...

- Ma pan rację, ten marsz nazywał się "Werbel dział". Ale przystosowaliśmy go do swoich celów. Teraz to "Pieśń drogowa kadetów transportu". Uwaga!

Rytmiczny odgłos marsza zdawał się zlewać z drganiem maszynierii w podziemiach w jeden warkot kotłów. Nagle odezwał się chór męski:

Co za łoskot i szcęk!

Co za szaleńczy pęd!

Kresu nie zna nigdy nasza praca,

Droga płynie i droga powraca!

Kiedy idziecie,

Kiedy suniecie,

Tu w podziemiu trwa nasze czuwanie,

Aby drogi płynęły nieprzerwanie!

Hej, cała gromada,

Rotorowcy nie lada,

Na każdym odcinku czuwamy!

A wy do domu idziecie,

Spokojni, bo wiecie,

Że my - raz, dwa, trzy!

Czuwamy - raz, dwa, trzy!

Aby drogi zawiodły was same!

Drogi muszą być w ruchu!

*Więc rotorowcze, zuchu,
Czuwaj, by drogi płynęły nieprzerwanie!*

- Widzi pan? - powiedział z ożywieniem Gaines. - To jest właściwie sens i cel Akademii Transportu Stanów Zjednoczonych. A także wyjaśnienie, dlaczego inżynierowie transportu stanowią grupę półwojskową, o ścisłej dyscyplinie. Jesteśmy wąskim gardłem i warunkiem koniecznym wszelkiego przemysłu, wszelkiego życia gospodarczego. W innych przemysłach może wybuchnąć strajk i wywołać tylko przejściowe i doraźne trudności. Żniwa mogą tu i ówdzie się nie udać, a krajowi nic się nie stanie. Ale gdyby drogi stanęły, cała reszta też musi stanąć. Skutek byłby taki jak przy strajku generalnym. Ale z jedną wielką różnicą: aby wybuchnął strajk generalny, większość ludności musi być doprowadzona do wrzenia jakimś powszechnym uczuciem krzywdy. Ale ten sam kompletny paraliż może wywołać garść ludzi zatrudnionych przy drogach. Mieliśmy tylko jeden strajk drogowy w latach sześćdziesiątych. Sądzę, że był uzasadniony i usunął mnóstwo prawdziwych krzywd. Ale nie dopuścimy, aby się powtórzył.

- A co może temu zapobiec?

- Poziom moralny. Bojowy duch ludzi. Techników służby drogowej wychowuje się w ciągłym poczuciu wielkości i świętości ich obowiązków. Poza tym robimy wszystko dla zapewnienia im jak najlepszej pozycji społecznej. Ale jeszcze większe znaczenie ma akademia. Staramy się, aby jej wychowankowie byli przepojeni tym samym poczuciem odpowiedzialności wobec kraju, tą samą żelazną dyscypliną i gotowością wypełnienia swych obowiązków za wszelką cenę, słowem tym samym duchem, jaki reprezentują wychowankowie Annapolis, West Point i Goddardu.

- Goddard? Ach, tak, odrzutowce. I jak wam się powiodło?

- Może nie całkowicie, ale idziemy ku temu. Nie od razu można zbudować tradycję. Kiedy najstarsi inżynierowie będą ludźmi, którzy jako młodzi chłopcy weszli do akademii, wtedy dopiero uznamy nasz problem za rozwiązany.

- Przypuszczam, że pan sam należy do wychowanków?

- Pochlebia mi pan - odparł z uśmiechem Gaines. - Muszę wyglądać na młodszego, niż jestem. Nie, ja przeszedłem tu z wojska. Bo wojsko, widzi pan, obsługiwało drogi przez trzy miesiące w okresie reorganizacji po strajku. Przydzielony byłem do komisji arbitrażowej, która przyznawała podwyżki i ustalała warunki pracy. Potem przeniesiono mnie...

Przenośny telefon zabłysnął czerwonym sygnałem. Gaines przeprosił i chwycił za słuchawkę.

- Słucham?

Blekinsop mógł słyszeć głos rozmówcy: - Tu Davidson, szefie. Drogi w ruchu.

- Dobrze. Czuwać nad ruchem!

- Miałem znów raport o trudnościach w sektorze Sacramento.

- A cóż się tam znowu stało?

Nim Davidson zdążył odpowiedzieć, połączenie zostało przerwane. Gaines chciał nakręcić numer, gdy filiżanka kawy wylądowała mu na ubraniu. Blekinsopem rzuciło o brzeg stołu, a jednocześnie spostrzegł niepokojącą różnicę w odgłosach drogi.

- Co się stało?

- Nie mam pojęcia. Nagły postój, Bóg raczy wiedzieć dlaczego! - Z wściekłością nakręcał numer. Wreszcie odrzucił telefon nie odkładając nawet słuchawki na widełki. - Telefony nieczynne. Chodźmy! Albo nie! Tutaj będzie panu najbezpieczniej. Niech pan zaczeka.

- Czy koniecznie?

- Jak pan chce, chodźmy razem, ale proszę się mnie trzymać. - Ruszył przodem zapominając o

istnieniu australijskiego ministra. Ruch drogowego pasa powoli ustawał, a olbrzymie rotory i miriady walców działały jak koła rozpędowe zapobiegające katastrofalnemu nagłemu zatrzymaniu. Grupka podróżnych, którym zakłócono wieczorny posiłek, tłoczyła się już przy drzwiach restauracji.

- Stać! Na miejsca!

Jest coś w rozkazach, wydawanych przez ludzi nawykłych, by ich słuchano, co zmusza do posłuszeństwa. Może ton głosu, a może jakaś bardziej tajemnicza właściwość, jak ta, którą przypisują poskramiaczom dzikich drapieżców. W każdym razie coś takiego istnieje i nawet nienawykli słuchają odruchowo.

Tłum przestał się tłoczyć.

- Proszę, żeby wszyscy zostali w restauracji - ciągnął Gaines - aż będziemy mogli ją ewakuować. Jestem głównym inżynierem. Tutaj nic nikomu nie grozi. Pan! - wskazał tęgiego dryblasła stojącego przy drzwiach - pan będzie tu moim zastępcą. Niech nikt nie wychodzi bez zezwolenia. Pani McCoy, proszę wydawać obiad.

Gaines przecisnął się do drzwi z Blekinsopem deptającym mu po piętach. Na zewnątrz sytuacja nie była tak łatwa do opanowania. Pas stumilowy zatrzymał się, ale w odległości dwudziestu stóp pędził sąsiedni pas z szybkością 95 mil na godzinę. Pasażerowie migali tylko w oczach jak zjawy.

W chwili zatrzymania szeroki chodnik najszybszego pasa pełen był ludzi. Teraz zaś przybywali klienci sklepów, barów i restauracji, widzowie teatrów i telewizji, dopytując o powód wypadku. Zaraz też zdarzyła się pierwsza katastrofa.

Na brzegu chodnika, naciskana przez tłum, znalazła się jakaś kobieta. Popchnięta, stanęła jedną nogą na skraj pasa pędzącego 95 mil na godzinę. Natychmiast zrozumiała potworny błąd, bo krzyknęła, nim jeszcze jej stopa dotknęła taśmy.

Przewróciła się ciężko na rozpędzony pas, przy różnicy szybkości 139 stóp na sekundę. Jej toczące się ciało szerzyło spustoszenie wśród pasażerów jak kosa wśród wysokiej trawy. Niebawem zniknęła z oczu.

Jej wypadek pociągnął za sobą dalsze. Jeden z przewróconych przez nią pasażerów zwałił się na stumilowy pas, wbił się w tłum i po chwili kłębiła się w tym miejscu cała gromada ciał, pokrwawionych i pokaleczonych.

Ale i na tym nie koniec. Z kłębowiska wypadały nieszczęsne postacie, obalając z kolei innych pasażerów aż po sam niebezpieczny przeskok między pasami. Gdy źródło całej klęski było już daleko, Blekinsop poczynił szybkie obliczenia. Przywykł do sytuacji, w których wchodziły w grę wielkie ilości ludzi, pomnożył tragiczne zdarzenia przez tysiąc dwieście mil zatłoczonych pasów i słabo mu się zrobiło.

Ku jego zdziwieniu Gaines nie próbował wcale pomagać przewróconym ani uspokajać przerażonego tłumu, ale skierował beznamiętny wzrok w stronę restauracji. Widząc, że inżynier tam wraca, Blekinsop pociągnął go za rękaw:

- Czy nie powinniśmy pomóc tym biedakom? Zimne rysy twarzy człowieka, który mu odpowiedział, w niczym nie przypominały dobrotliwego, jakby chłopięcego oblicza sprzed kilku minut.

- Nie. Zajmie się nimi publiczność. Ja muszę myśleć o całej drodze. Proszę mi nie przeszkadzać.

Zgnębiony i trochę urażony polityk zastosował się do rozkazów. Logicznie biorąc główny inżynier miał rację: człowiek odpowiedzialny za bezpieczeństwo milionów nie może odrywać się od swoich obowiązków dla pomagania jednostkom. Lecz chłodna obojętność takiego punktu widzenia budziła w Blekinsopie wstręt.

- Pani McCoy - spytał Gaines wróciwszy do restauracji - gdzie zapasowe wyjście?

- W spiżarni.

Gaines popędził tam, Blekinsop tuż za nim. Filipiński kuchcik odskoczył przerażony, gdy Gaines rzucił na ziemię całą stertę sałaty i wspiał się na ladę pokrytą zielonymi liśćmi. Tuż nad jego głową widniał okrągły otwór, zamknięty metalowym dyskiem z rękojeścią w środku. Obok znajdowała się krótka stalowa drabinka, przytwierdzona hakiem.

Wspinając się za Gainesem po drabince Blekinsop zgubił kapelusz. Gdy wyłonił się na dachu budynku, inżynier badał strop drogowy za pomocą kieszonkowej latarki. Krążył po dachu, zgięty we dwoje w niewielkiej, czterostopowej przestrzeni, dzielącej dach od stropu.

W niedużej odległości znalazł to, czego szukał: otwór podobny do tego, którym wyszli na dach. Odsunął metalowy krążek, wśliznął się w otwór, oparł się na rękach i jednym elastycznym ruchem skoczył na górę stropu. Blekinsop z trudem poszedł za jego przykładem.

Ogarnęła ich ciemność, padał drobny i zimny deszcz. Ale u ich stóp płonęły słoneczne ekrany świecące bladym, opalizującym blaskiem. Przetwarzały promienną energię słońca na elektryczną energię w sposób nieomal że doskonały. Znikoma ilość nie wykorzystanej energii dawała ów łagodny radioaktywny blask. Nie było to światło, ale jakby widmowa poświata na śnieżnej równinie w gwiezdą noc.

Mdła poświata umożliwiła im znalezienie drogi do krańca budynku. Ściśle mówiąc był to wąski, ciemny chodnik, wyginający się łukowato na arkadach stropu. Poszli gęsiego z szybkością, na jaką pozwalał oślizły chodnik i mrok, a Blekinsop nadal rozważał szorstką na pozór obojętność Gainesa. Minister miał bystry umysł, ale przeważała w nim żywa, przyjazna dla ludzi natura, bez której żaden polityk nie może spodziewać się trwałego powodzenia.

Z powodu tych właśnie cech swej natury instynktownie nie ufał ludziom kierującym się wyłącznie logiką. Wiedział, że z punktu widzenia ściśle logicznego trudno byłoby uzasadnić potrzebę istnienia człowieka, a tym bardziej usprawiedliwić niektóre jego rysy.

Gdyby mógł przeniknąć umysł towarzysza, byłby uspokojony. Na zewnątrz wyjątkowo sprawny mózg Gainesa funkcjonował i z precyzją aparatu elektronowego zestawiał dane, przyjmował decyzje, odkładał niektóre oceny do chwili zebrania niezbędnych informacji, rozważał możliwości. W głębi jednak, w jakiejś przegródce odizolowanej dzięki surowej autodyscyplinie od czynnych ośrodków mózgu, szalała burza uczuć i wyrzutów sumienia. Serce mu się ścisnęło na myśl o cierpieniach, których był świadkiem, a które, jak dobrze wiedział, powtarzały się wzdłuż całego szlaku. Choć osobiście nie miał sobie nic do zarzucenia, niemniej jednak poczuwał się do winy za wszystko, gdyż władza stwarza odpowiedzialność.

Zbyt długo dźwigał nadludzki ciężar tej władzy - dotkliwie odczuwany przez każdy głębszy umysł - i w chwili obecnej był niebezpiecznie bliski owego stanu ducha, w którym kapitanowie idą na dno razem ze statkami. Podtrzymywała go tylko świadomość natychmiastowej potrzeby wielostronnego, przemyślanego działania.

Ale żaden ślad tego konfliktu nie uwydatnił się w jego twarzy.

Przy samej ścianie budynku płonęła linia zielonych strzałek wskazujących w lewo. Nad nimi, u krańca wąskiego chodnika, widniał napis: "Zejście". Poszli tamtędy. Blekinsop dyszał ciężko za plecami Gainesa. Przez drzwiczki w murze wydostali się na ciasną klatkę schodową, oświetloną jedną lampą jarzeniową. Zeszli schodami i wynurzyli się na zatłoczonym, hałaśliwym, nieruchomym chodniku, przylegającym do szlaku północnego.

Tuż przy chodniku, na prawo, znajdowała się rozmownica publiczna. Przez szkliste drzwi widać było dobrze ubranego, tęgiego mężczyznę, który z zapalem tłumaczył coś swej połowicy, widocznej na ekranie. Trzy inne osoby czekały przed budką.

Gaines odrzucił wszystkich, gwałtownie otworzył drzwi, chwycił za ramiona oszołomionego i oburzonego tłuszciocha, wyrzucił go na zewnątrz, a drzwiczki szczelnie zatrzasnął. Jednym ruchem ręki oczyścił ekran z widoku protestującej damy i nacisnął guzik alarmowego pierwszeństwa.

Nakręcił zaszyfrowany numer i po chwili patrzył już w skłopotaną twarz dyżurnego inżyniera Davidsona.

- Meldować!

- Ach, to pan, szefie! Chwała Bogu! Gdzie pan jest? - Davidson oddychał z ulgą.

- Meldować!

Główny dyżurny opanował wzruszenie i złożył suchy meldunek: - O 19'09 wskaźnik napięcia ujawnił nagły skok w pasie 20, sektora Sacramento. Zanim można było cokolwiek podjąć, napięcie w pasie 20 przekroczyło stan alarmowy i bezpieczniki wyłączyły tam dopływ prądu. Przyczyna wypadku nieznana. Kontakt bezpośredni z biurem kontroli w Sacramento zerwany. Na sygnały kablem pomocniczym biuro nie odpowiada, podobnie jak na zwykły telefon. Staramy się przywrócić połączenie. Goniec wysłany z podsektora 10 w Stockton. Ofiar w ludziach nie meldowano. Nadano ostrzeżenie radiowe, by publiczność nie używała pasa 19. Ewakuacja wszczęta.

- Ofiary w ludziach są - przerwał Gaines. - Zarządzić alarm szpitalny i policyjny. Przyjęte?

- Tak, szefie! - odparł Davidson, a dyżurny kadet przystąpił natychmiast do wydawania odpowiednich zarządzeń. - Czy resztę szlaku mam także wyłączyć?

- Nie. Po wstępnym zamieszaniu dalszych ofiar spodziewać się nie należy. Ostrzeżenia radiowe nadawać. Resztę pasów utrzymać w ruchu, bo inaczej będziemy mieli taki korek, że sam diabeł mu nie poradzi.

Gaines pamiętał o tym, że pasów z ładunkiem publiczności nie można by doprowadzić na powrót do pełnej szybkości. Rotory były na to za słabe. Gdyby cała droga stanęła, musiałby ewakuować wszystkie pasy, usunąć defekt w pasie 20, nadać wszystkim pasom maksymalną szybkość i wtedy dopiero wpuścić nagromadzoną publiczność. Przez ten czas policja musiałaby sobie radzić z pięciu co najmniej milionami beczynnych pasażerów. Prościej więc było ewakuować górą pasażerów z pasa 20 i umożliwić im powrót do domu pozostałymi pasami.

- Zawiadomić burmistrza i gubernatora, że objąłem zwierzchnią władzę na czas sianu wyjątkowego. Zawiadomić szefa policji i objąć nad nim zwierzchnictwo. Uprzedzić dowódcę, by uzbroił wszystkich kadetów i czekał rozkazów. Przyjęte?

- Tak, szefie. Czy mam wezwać techników spoza dyżuru?

- Nie. To nie jest defekt techniczny. Zwróć uwagę na stan wykresów: cały sektor znieruchomiał od razu. Ktoś musiał wyłączyć rotory ręcznie. Techników spoza dyżuru zaalarmować, ale nie zbroić i nie wzywać na dół. Powiedz dowódcy, by wysłał wszystkich starszych kadetów, jakich ma w dyspozycji, do biura podsektorów 10 w Stockton. Tam zameldują się u mnie. Niech zaopatrzą się w wywrotki, pistolety i bomby usypiające.

- Tak, szefie. - Do Davidsona zbliżył się urzędnik i szepnął mu coś do ucha. - Gubernator chce z panem rozmawiać, szefie.

- Nie mam czasu. Ty także nie. Kto jest twoim odwodem? Posłałeś po niego?

- Hubbard. Właśnie przyszedł.

- Niech on rozmawia z gubernatorem, burmistrzem, prasą, wszystkimi, nawet z Białym Domem. Ty rób swoje. Teraz się wyłączam. Odezwę się, jak tylko znajdę samochód. - Wybiegł z rozmównicy, nim jeszcze ekran wygasł.

Blekinsop nie odzywał się ani słowem. W milczeniu doszli do dwudziestomilowego pasa północnego. Tam Gaines zatrzymał się przy wiatrochronie, zawrócił i obejrzał mur poza

nieruchomym chodnikiem. Wypatrzył jakiś znak - niewidoczny dla jego towarzysza - i zeskoczył z pasa na chodnik tak szybko, że

Blekinsop przejechał jeszcze całą setkę stóp i niemal zgubił Gainesa, który wpadł w jakieś drzwi i zbiegł na dół po schodach.

Znaleźli się na wąskim chodniku w głębi instalacji. Otoczył ich bezustanny turkot, odczuwany nie tylko uszami, ale i ciałem. Blekinsop usiłował z trudem rozejrzeć się wkoło i przezwyciężyć hałas. Na wprost niego, oświetlony czerwonym blaskiem neonu, wznosił się jeden z rotorów poruszających pas pięciomilowy. Ogromna armatura, z kształtu podobna do wielkiego bębna, poruszała się zwolna wokół nieruchomej osi. Górna powierzchnia bębna naciskała spód drogowego pasa i nadawała mu jego jednostajną szybkość.

Na lewo i prawo, w stumetrowych odstępach ciągnęły się w nieskończoność inne rotory. Przestrzeń między rotorami wypełniały walce, smukłe i ułożone jak cygara w pudełku, a utrzymujące jednolity ruch pasa. Stalowe łuki podtrzymywały walce, a poprzez klamrę łuków widać było sąsiednie szeregi rotorów, przy czym im dalszy szereg, tym szybszy był ich ruch.

Po przeciwnej od rotorów stronie, równoległe z chodnikiem, lecz oddzielona linia stalowych filarów, biegła niewysoka betonowa grobla, połączona pochylnią z chodnikiem. Gaines przyglądał się grobli z wyraźną troską. Blekinsop chciał go zapytać, o co mu chodzi, ale zagłuszył go hałas. Nie mógł przekrzyczeć huku tysięcy rotorów i jęku setek tysięcy walców.

Gaines spostrzegł, że minister porusza ustami, i odgadł pytanie. Otoczył dłońmi ucho Blekinsopa i krzyknął: - Nie ma żadnego wozu... Spodziewałem się znaleźć tu wóz.

Australijczyk chcąc być użyteczny chwycił Gainesa za ramię i wskazał coś pośród maszyn. Gaines spojrział w tamtym kierunku i zobaczył coś, czego przedtem nie zauważył: grupę ludzi pracujących przy rotorze pod jednym z dalekich pasów. Odizolowali rotor tak, że nie przylega! już do powierzchni drogi i zamierzali go wymienić na inny. Rotor zastępczy znajdował się obok "na niskiej ciężarówce.

Naczelny inżynier podziękował uśmiechem i skierował na grupę robotników latarnie, z której bił cienki, a ostry jak igła snop światła. Jeden z techników obejrzał się, a Gaines kilkakrotnie zapalił i zgasił latarkę powtarzając sygnał. Od grupy oderwała się jedna z postaci i pobiegła w ich stronę.

Był to szczupły młodzieniec, ubrany w kombinezon, grube nauszники oraz pilotkę, na której błyszcząły złote naszyca i godło. Poznał głównego inżyniera i zasalutował, a twarz mu znieruchomiała w głębokim skupieniu.

Gaines wetknął latarkę do kieszeni i zaczął szybko gestykulować obiema rękami. Znaki były proste, wyraźne, a tak pełne treści jak język głuchoniemych. Blekinsop sięgnął po swój dyletancki zasób antropologii i doszedł do wniosku, że przypomina to alfabet sygnałowy Indian amerykańskich. Ale w zastosowaniu do terminologii bardzo specjalnej stawał się dla obcego zupełnie nieczytelny.

Kadet odpowiedział takimi samymi znakami, podszedł do krawędzi grobli i oświetlił ją latarnią. Wypatrzył samochód, jeszcze dosyć odległy, pędzący jednak na złamanie karku. Gdy się zbliżył, zahamował gwałtownie.

Wóz był malutki, owalny, poruszał się na dwóch kołach. Przód karoserii rozchylił się ukazując kadeta-kierowcę. Gaines wysygnalizował mu jakieś zlecenie, po czym wepchnął Blekinsopa przed siebie na ciasne pasażerskie siedzenie.

Szklista pokrywa opadła na miejsce i jednocześnie owionął ich podmuch wiatru. Australijczyk zauważył trzy znacznie większe wozy, które tuż obok przemknęły. Pędziły na północ z szybkością co najmniej dwustu mil na godzinę. Blekinsop miał wrażenie, że w oknach ostatniego wozu mignęły mu czapeczki kadetów.

Nie miał czasu się zastanawiać, gdyż ruszyli z gwałtownym szarpnięciem. Gaines nie zważając na to wywoływał już Davidsona przez wbudowany w wozie teległośnik. Po zamknięciu wozu zrobiło się stosunkowo cicho. Na ekranie ukazała się twarz telefonistki.

- Z głównym dyżurnym ruchu!

- Ach, to pan Gaines! Pan burmistrz chce z panem rozmawiać.

- Później, teraz Davidsona. Już!

- Tak jest.

- I proszę ten kabel trzymać przełączony na biuro Davidsona, dopóki osobiście nie dam innych zarządzeń.

- Tak jest. - Telefonistkę na ekranie zastąpił starszy dyżurny.

- To pan, szefie? Wykonujemy wszystkie zarządzenia, żadnych nowych zmian.

- Dobrze. Możesz się stałe komunikować ze mną albo tym kablem albo przez podsektor 10. Teraz się wyłączam. - Na ekranie zjawiała się znów telefonistka.

- Żona pana szuka, czy będzie pan mówił?

Gaines mruknął coś niezbyt uprzejmego i odparł: - Tak! - Ukazała się twarz pani Gaines. Mąż nie dał jej przyjść do słowa: - Kochanie, wszystko w porządku, nie martw się, będę w domu, kiedy skończę to, co mam teraz załatwić. - Jednym tchem wyrzucił to wszystko z siebie i nacisnął guzik wygaszający ekran.

Stanęli raptownie przy schodach wiodących do biura podsektora 10 i wyskoczyli z wozu. Wzdłuż rampy zaparkowane były trzy wielkie ciężarówki, a trzy plutony kadetów stały w pogotowiu obok nich. W sąsiedztwie widniał szereg wywrotek - małych, otwartych jednokółek używanych do patrolowania podziemi.

Do Gainesa podbiegł kadet i zasalutował. - Lindsay, dyżurny kadet-inżynier - meldował. - Dyżurny inżynier odcinka prosi pana o niezwłoczne przybycie do hali kontrolnej.

- Szefie - zawołał dyżurny inżynier, skoro tylko weszli - Van Kleeck chce z panem mówić.

- Połączyć.

- Jak się masz, Van - przywitał go Gaines, gdy tylko Van Kleeck pojawił się na ekranie. Gdzie jesteś?

- W hali Sacramento. Muszę cię zawiadomić...

- Sacramento? Świetnie! Meldunek!

- Do licha z meldunkiem! - zachnął się Van Kleeck. - Nie jestem już twoim zastępcą, Gaines. I muszę...

- Co ty wygadujesz, do diabła?

- Słuchaj i nie przerywaj, a sam zrozumiesz. Koniec z tobą, Gaines. Zostałem wybrany na dyrektora Tymczasowej Komisji Zarządzającej Nowego Ładu.

- Czyś ty z byka spadł Van? Co to za brednie z jakimś "Nowym Ładem"?

- Sam się przekonasz. To... to rewolucja Funkcjonalistów. My jesteśmy na wozie, a ty pod wozem. Zatrzymaliśmy pas 20 tylko po to, żeby ci dać przedsmak tego, co potrafimy.

Funkcjonalizm: Rozprawa o Naturalnym Ładzie Społeczeństwa, biblia ruchu Funkcjonalistów, ukazała się po raz pierwszy w roku 1930. Stanowiła rzekomo ściśle naukową teorię stosunków społecznych. Autor, Paul Decker, potępiał "jałowe i przestarzałe" koncepcje demokracji i równości ludzi i wprowadzał w ich miejsce ustrój, w którym jednostki ludzkie oceniane być miały "funkcjonalnie", czyli odpowiednio do roli odgrywanej w stosunkach gospodarczych. Myślą przewodnią był pogląd, że człowiek może i powinien sprawować nad innymi taką władzę, jaka

wynika z jego funkcji ekonomicznej, a wszelka inna postać organizacji społecznej jest głupia, utopijna i sprzeczna z "ładem naturalnym".

Decker nie zdawał sobie zupełnie sprawy z całkowitej współzależności nowoczesnego życia gospodarczego.

Myśli swoje przybrał w gładkie frazesy mechanistycznej pseudopsychologii, opartej na zaobserwowanym porządku hierarchicznym istniejącym wśród drobiu i na doświadczeniach w zakresie odruchów warunkowych, dokonywanych przez słynnego Pawiowa na psach. Decker przeoczył fakt, że ludzie nie są psami ani kurami. Profesor Pawłów ignorował zupełnie Deckera, podobnie jak ignorował całe mnóstwo innych, którzy ślepo i nienaukowo budowali dogmaty w oparciu o doświadczenia głośnego uczonego, doniosłe, ale mające ograniczony zakres.

Funkcjonalizm z początku nie miał powodzenia. Zresztą w latach trzydziestych każdy prawie, od szofera taksówki po wiejską pastuszkę, miał jakiś sposób naprawienia świata, który można było wyłożyć w sześciu krótkich lekcjach. A co najdziwniejsze, mnóstwo tych programów doczekało się publikacji. Ale stopniowo funkcjonalizm się szerzył. Najwięcej zwolenników miał wśród ludzi bez większego znaczenia, którzy chętnie wmawiali sobie, że właśnie ich zajęcie jest szczególnie ważne i że wobec tego w "ładzie naturalnym" znajdą się na szczytach. Ponieważ bardzo wiele funkcji podrzędnych było jednocześnie naprawdę niezbędnymi, takie przekonania przychodziły bez trudu.

Gaines przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Van Kleecka. - Van - rzekł wreszcie powoli - chyba nie myślisz naprawdę, że ci się to uda?

- A dlaczego nie? - Mały jegomość wydał dumnie pierś. - Już się nam udało. Nie możesz uruchomić pasa 20, dopóki ci nie pozwolę. A ja, w razie potrzeby, mogę zatrzymać i całą drogę.

Gaines zaczynał z przykrością uświadamiać sobie, że ma do czynienia z niepoczytalną wprost pychą. Tym bardziej więc trzymał się na wodzy. - Pewnie, że możesz, Van, ale co kraj na to powie? Czy myślisz, że armia Stanów Zjednoczonych siedzieć będzie z założonymi rękami patrząc, jak robisz sobie z Kalifornii udzielne księstwo?

Van Kleeck błysnął przebiegle okiem. - Liczyłem się i z tym. Właśnie przed chwilą nadałem przez radio manifest do wszystkich techników drogowych całego kraju, informując o tym, co zrobiliśmy, i wzywając ich do powstania w obronie własnych praw. Jak wszystkie drogi staną i ludność zacznie głodować, to spodziewam się, że prezydent pomyśli dwa razy, nim wyśle przeciw nam wojsko. Bo może je wysłać, żeby mnie schwytać czy zabić - nie boje się śmierci! - Ale nie ośmieli się kazać strzelać do techników, ponieważ kraj nie może się bez nich obejść. Będzie więc musiał przyjąć nasze warunki!

W tym, co mówił, było sporo przykrej prawdy. Gdyby doszło do ogólnego buntu techników drogowych, rząd nie mógłby tego opanować siłą, podobnie jak człowiek nie może wyleczyć się z bólu głowy strzelając sobie w mózg. Ale czy ból był rzeczywiście powszechny?

- Dlaczego spodziewacie się, że reszta techników pójdzie za waszym przykładem?

- A dlaczego nie? To naturalny bieg rzeczy. Żyjemy w wieku maszyn. Energią, która wszystko właściwie porusza, są technicy. Tyle tylko, że z pomocą różnych frazesów skłoniono ich, by nie używali swej siły. A ze wszystkich klas techników najważniejszą i absolutnie niezbędną jest klasa techników drogowych, i odtąd oni będą rządzili. Taki jest naturalny bieg rzeczy! - Odwrócił się na chwilę, pogrzebał w papierach na biurku i dodał: - To wszystko, co mam ci do powiedzenia, Gaines! Muszę teraz zadzwonić do Białego Domu i rozmówić się z prezydentem. A ty zachowuj się przyzwoicie, to nikt ci nie zrobi krzywdy.

Ekran wygasł, a Gaines siedział dłuższą chwilę w milczeniu. Więc to tak! Zastanawiał się, jaki

wpływ mogło wywrzeć na techników strajkowe wezwanie Van Kleecka. Myślał, że przejdzie bez wrażenia. Ale z drugiej strony, czy spodziewał się kiedy, że taka rzecz może się zdarzyć wśród jego własnych techników? Może źle zrobił nie chcąc rozmawiać z kimkolwiek spoza drogi? Chyba nie. Gdyby zaczął mówić z gubernatorem, czy dziennikarzami, mówiliby do lej pory. A jednak...

Połączył się z Davidsonem.

- Czy na innych odcinkach są jakie trudności, Dave?

- Nie, szefie.

- A na innych drogach?

- Żadnej wzmianki w meldunkach.

- Czy słyszałeś moją rozmowę z Van Kleeckiem?

- Tak, byłem włączony.

- Dobrze. Niech Hubbard połączy się z prezydentem i gubernatorem i zawiadomi ich, że jestem stanowczo przeciwny użyciu wojska, póki strajk ogranicza się do tej jednej drogi. Niech powie, że nie biorę odpowiedzialności, jeśli wkroczą, zanim się do nich zwrócę.

- Czy myśli pan, że tak będzie lepiej, szefie? - spytał z powątpiewaniem Davidson.

- Lepiej! Jeżeli rzucimy wojsko na Vana i jego narwańców, ryzykujemy prawdziwy bunt w całym kraju. A prócz tego Van może tak zniszczyć drogę, że sam Pan Bóg jej nie naprawi. Jaki jest stan odciążenia?

- 53% poniżej wieczornego szczytu.

- A jak z pasem 20?

- Prawie całkowicie już ewakuowany.

- Dobrze. Trzeba jak najprędzej zamknąć ruch na całej drodze. Niech szef policji wystawi posterunki przy wszystkich wejściach, żeby nie wpuszczać nowych pasażerów. Van każdej chwili może unieruchomić także inne pasy. Albo ja będę musiał to zrobić. Powiem ci, jaki mam plan. Zejdę na dół z oddziałem uzbrojonych kadetów. Pójdziemy na północ pokonując wszelki opór po drodze. Niech nadzorcy techniczni posuwają się z załogami naszym śladem. Każdy rotor, do którego dojdą, najpierw niech odetną, a potem przełączą na halę kontrolną w Stockton. Będzie to prowizorka, bez żadnych bezpieczników, więc wyślij tylu nadzorców technicznych, aby z góry mogli zapobiec wszelkim zakłóceniom. Jeżeli to się uda, wygarniemy po prostu kontrolę sektora Sacramento z rąk Vana i może siedzieć tam w swojej hali, dopóki nie nabierze rozumu.

Wygasił połączenie i zwrócił się do dyżurnego inżyniera podsektora: - Edmunds, daj mi hełm i pistolet.

- Rozkaz, szefie. - Otworzył szufladę i wręczył zwierzchnikowi smukłą, a groźnie wyglądającą broń. Gaines przypasał pistolet, włożył hełm i podniósł przeciwhałasowe nauszники. Blekinsop chrząknął.

- Czy mógłbym... Hm... dostać taki hełm? - spytał.

- Co? - Gaines spojrzał zdziwiony. - Aha! Nie, panie ministrze, nie będzie panu potrzebny. Chciałbym, żeby pan tutaj został i zaczekał na mnie.

- Ale... - polityk australijski chciał coś powiedzieć, namyślił się i umilkł.

W drzwiach stanął dyżurny kadet-inżynier z meldunkiem. - Panie szefie, jest tutaj technik, który koniecznie chce pana zobaczyć. Nazywa się Harvey.

- Nie mam czasu.

- Z sektora Sacramento, szefie.

- A! W takim razie niech wejdzie.

Harvey opowiedział pokrótce Ginesowi o tym, co widział i słyszał na dzisiejszym zebraniu

związku. - Diabli mnie brali, szefie, więc wyszedłem przed końcem. Nie myślałem o tym, póki pas 20 nie stanął. Wtedy dowiedziałem się, że coś się stało w sektorze Sacramento, i postanowiłem zobaczyć się z panem.

- Od jak dawna to się szykowało?

- O, już od pewnego czasu. Pan wie, jak to jest. Wszędzie są jacyś niezadowoleni, przeważnie należą do Funkcjonalistów. Ale co z tego? To nie powód, żeby z kimś nie chcieć pracować. Każdy ma prawo myśleć, co chce. Żyjemy w wolnym kraju.

- Trzeba było przyjść do mnie wcześniej, Harvey - rzekł Gaines. Ale przyjrzał się jego spochmurniałej nagle twarzy i dodał: - Nie, chyba masz rację. Uważanie na to, co kto myśli, to moja sprawa, nie twoja. Jak powiedziałeś, żyjemy w wolnym kraju. A co jeszcze?

- Nic, tylko jak już doszło do tego, pomyślałem, że mogę panu pomóc w wyłapaniu przywódców.

- Dziękuję ci. Zostań ze mną. Schodzimy na dół i postaramy się zrobić z tym jakiś porządek.

Drzwi biura otworzyły się nagle. Stanęli w nich technik i kadet niosąc jakiś ciężar. Złożyli go na ziemi.

Był to młody człowiek, najwyraźniej zabity. Przód jego kombinezonu przesiąkły był krwią. Gaines spojrzął na dyżurnego: - Kto to jest?

Edmunds odwrócił wzrok od trupa i rzekł:

- Kadet Hughes. Goniec, którego wysłałem do Sacramento, kiedy próby nawiązania kontaktu zawiodły.

Nie wrócił, więc wysłałem po niego Marstona i kadeta Jenkinsa.

Gaines zaklął po cichu i ruszył do wyjścia. - Chodźmy, Harvey.

Nastrój wśród czekających kadetów wyraźnie się zmienił. Gaines zauważył, że młodzieńcze wyczekiwanie przygody ustąpiło miejsca czemuś znacznie brzydszemu. Kadeci z przejęciem sygnalizowali do siebie, sprawdzali pistolety, czy są dobrze nabite.

Gaines chwilę rozglądał się, po czym dał znak dowódcy. Nastąpiła krótka wymiana sygnału. Kadet zasalutował, zwrócił się do swych ludzi, wydał gestami rozkazy i stanął na baczność. Ruszyli po schodach do pustej poczekalni. Gaines za nimi.

Kiedy drzwi się zamknęły i hałas ustał, Gaines powiedział krótko: - Widzieliście Hughesa. Kto z was chce mieć okazję zabicia szubrawca, który to zrobił?

Trzech kadetów zareagowało natychmiast, łamiąc szeregi i występując naprzód. Gaines spojrzął na nich zimno. - Dobrze. Oddajcie pistolety i wracajcie do swoich kwater. A z pozostałych każdy, kto myśli, że to sprawa osobistej zemsty, czy też jakichś łowów, niech robi to samo. - Urwał, wyczekał chwilę i ciągnął dalej. - Sektor Sacramento dostał się w ręce osób niepowołanych. Mamy im go odebrać, w miarę możliwości bez strat z żadnej strony i, w miarę możliwości, bez zatrzymania dróg. Plan polega na odzyskaniu podziemia, rotor za rotorem, i przełączenia okrężnie przez Stockton. Zadaniem waszej grupy będzie posuwać się na północ zatrzymując każdego, kogo spotkacie po drodze. Musicie pamiętać, że większość aresztowanych to najprawdopodobniej ludzie całkowicie niewinni. Należy wobec tego w pierwszym rzędzie korzystać z bomb usypiających, a strzelać tylko w wypadku konieczności.

- Dowódca - mówił dalej - rozdzieli kadetów na dziesięcioosobowe drużyny. Każda drużyna posuwać się będzie tyralierą, na wywrotkach, z szybkością piętnastu mil na godzinę. Między falami tyraliery zachować odstęp stu metrów. Spostrzegłszy kogokolwiek, przednia fala wykona ruch oskrzydłający, aresztuje napotkanego i przekaże do wozu transportowego, po czym sformuje na nowo linię za ostatnią falą. Do przewozu więźniów użyć ciężarówek, które was tu dostarczyły. Kierowcom nakazać trzymanie się drugiej fali.

Osobne grupy należy wydzielić dla zdobycia hal kontrolnych, ale żadnej hali nie atakować, póki jej podsektor nie będzie przełączony na Stockton. Nawiązać i utrzymywać łączność - kończył Gaines. - Są pytania? - wzrok jego obiegał twarze młodych ludzi. Milczeli. Wtedy zwrócił się do kadeta dowodzącego. - Dobrze. Wykonać rozkazy!

Przez ten czas nadeszły pierwsze grupy techników i Gaines podszedł do kierującego nimi inżyniera, by wydać dyspozycje. Kadeci stanęli "na wsiadane", przy wywrotkach. Dowódca ich patrzył wyczekująco na Gainesa. Ten skinął głową, kadet machnął ręką i pierwsza fala ruszyła.

Gaines i Harvey wsiedli na wywrotki i trzymali się w linii z dowódcą kadetów o dwadzieścia pięć metrów za pierwszą falą. Naczelnny inżynier dawno już nie jechał tym śmiesznym wehikułem, czuł się więc trochę głupio. Wywrotka nie przydaje nikomu dostojności, gdyż ma wymiar i kształt kuchennego stołka umieszczonego na jednym kole. Ale nadaje się znakomicie do patrolowania podziemnego labiryntu maszyn, gdyż mieści się w przejściu szerokości tuszy człowieka, łatwa jest w użyciu, a równowagi nie traci, kiedy z niej zsiąść.

Mały wózek zwiadowczy jechał za Gainesem w niewielkiej odległości, śmigając wśród rotorów, a wbudowane w nim komunikatory telewizyjne utrzymywały nieprzerwany łączność ze światem.

Pierwszych dwieście metrów sektora Sacramento przejechano bez incydentu, później ktoś w pierwszym patrolu zauważył, wywrotkę stojącą przy rotorze. Tuż obok jakiś technik, majstrował przy kablach u podstawy rotora nie widząc zbliżającej się tyralierki. Nie miał przy sobie broni nie stawiał oporu; był tylko zaskoczony, oburzony i wprost ogłupiał.

Patrol cofnął się z więźniem, a druga fala zajęła jego miejsce.

Gdy ujechali trzy mile, mieli 37 aresztowanych. Zabitych nie było, dwóch kadetów odniosło lekkie rany i kazano im się wycofać. Tylko czterech więźniów miało przy sobie broń: w którymś z nich Harvey rozpoznał jednego z przywódców. Harvey ofiarował się rozmawiać w razie potrzeby z buntownikami. Gaines zgodził się, gdyż znał go od dawna, jako wybitnego przywódcę robotniczego, a nie chciał pominąć żadnej możliwości, która zmniejszyła potrzebę użycia siły.

Wkrótce potem pierwsza fala wypatrzyła drugiego technika. Stał za rotorem i byli tuż przy nim, gdy go ujrzeli. Nie stawiał oporu, chociaż miał broń, i cały incydent nie byłby godny uwagi, gdyby nie to, że technik mówił coś w przenośny mikrofon, który włączył do telefonicznego kontaktu u podstawy rotora.

Gaines podjechał do grupy w chwili ujęcia technika. Oderwał mu od ust gumową maskę mikrofonu tak gwałtownie, że słuchawką uderzył tamtego w zęby. Więzień splunął krwią, spojrzał wściekle i odmówił wszelkich odpowiedzi.

Mimo szybkiej reakcji Gainesa stracili prawdopodobnie przewagę zaskoczenia. Należało spodziewać się, że więzień zdążył dać znać o ataku. Ostrzeżeni mogli teraz zachować wzmożoną czujność.

Obawy Gainesa wkrótce już okazały się słuszne. W odległości paruset kroków zobaczyli jadącą w ich stronę grupę ludzi. Było ich ze dwudziestu, choć dokładnej siły nie dało się określić, gdy cały czas kryli się za rotorami. Harvey spojrzał na Gainesa, ten skinął głową i dał znak dowódcy kadetów, aby zatrzymał oddział.

Harvey wysunął się naprzód bez broni, z rękoma nad głową; kierował wywrotką wyłącznie za pomocą nóg. Buntownicy przyjrzeni mu się z wahaniem i wreszcie stanęli. Harvey posunął się jeszcze trochę i także stanął. Jeden z tamtych, najwidoczniej przywódca, zaczął sygnałową rozmowę, a Harvey odpowiadał.

Byli zbyt daleko, aby móc śledzić rozmowę przy mdłym, czerwonym świetle. Trwała kilka minut, po czym nastąpiła przerwa. Przywódca zdawał się wahać, co robić. Jeden z jego ludzi wysunął się

naprzód, opuścił pistolet i wdał się w rozmowę z przywódcą. Gestykulował przy tym gwałtownie, na co tamten tylko potrząsał głową.

Człowiek znów zaczął coś przekładać i znowu się spotkał z odmową. Wreszcie, jakby ze wstrętem, podniósł pistolet i strzelił do Harveya. Harvey chwycił się za brzuch i pochylił naprzód. Tamten strzelił ponownie. Harvey drgnął i opadł na ziemię.

Dowódca kadetów nie patrząc na Gainesa dał znak. Morderca podniósł zdziwioną twarz, gdy trafiła go kula. Wyglądał jak zaskoczony czymś całkiem niespodziewanym - śmierć przyszła tak szybko, że nawet o niej nie wiedział.

Kadeci strzelając skoczyli naprzód. Chociaż przeciwnik górował liczebnie nad pierwszą falą w stosunku dwa do jednego, dopomogło im zamieszanie, jakie wywołał atak. A dalsze nadciągające fale wyrównały stosunek. W trzydzieści sekund po pierwszym zdradzieckim strzale wszyscy buntownicy byli zabici, ran ni lub aresztowani. Straty Gainesa wyniosły dwóch zabitych - łącznie z Harveyem - oraz dwóch rannych.

W obliczu nowych warunków Gaines zmienił taktykę. Teraz, kiedy rozwiała się tajemnica, decydująca rola przypadła szybkości i sile uderzenia. Druga linia posuwała się teraz bezpośrednio za pierwszą, trzecia zaś w odległości dwudziestu pięciu metrów od drugiej. Te trzy fale miały ignorować wszystkich nie mających broni, pozostawiając ich linii czwartej; miały natomiast strzelać bez uprzedzenia do każdego, kto był uzbrojony.

Gaines zapowiedział, że należy tak strzelać, by ranić, a nie zabijać. Wiedział jednak, że jest to instrukcja prawie niewykonalna. Trudno, będą zabici. Nie chciał tego, ale rozumiał, że nie ma wyboru. Każdy uzbrojony przestępca jest potencjalnym mordercą - nie mógł więc narzucać zbyt wielkich ograniczeń swym ludziom, już choćby przez lojalność dla nich.

Kiedy przegrupowanie zostało ukończone, dał dowódcy kadetów sygnał do odmarszu. Pierwsza i druga linia ruszyły natychmiast, z najwyższą szybkością, na jaką się mogły zdobyć wywrotki: osiemnaście mil na godzinę. Gaines jechał za nimi.

Skręcił, by wyminąć zwłoki Harveya i mimo woli spojrzął przy tym na dół. Twarz Harveya skamieniała w surową maskę śmierci, przebijał z niej silny charakter zabitego. Wobec tego widoku Gaines mniej teraz żałował rozkazu strzelania. Ale poczucie jakiejś zatury godności osobistej było tym dotkliwsze.

W ciągu kilku najbliższych minut wyminęli wielu techników, lecz nie nadarzyła się okazja do strzału. Gaines zaczynał już mieć nadzieję na stosunkowo bezkrwawe zwycięstwo, gdy zauważył zmianę w rytmie turkotu maszyn, dostrzegalną nawet poprzez grube nauszники hełmu. Zdjął nausznik i usłyszał końcowe wibracje hałasu, gdyż rotory i walce przestały się poruszać.

- Zatrzymać ludzi! - krzyknął do dowódcy kadetów. Słowa rozbrzmiały głośnym echem wśród niesamowitej ciszy.

Gaines podszedł do wozu zwiadowczego, którego pokrywa otworzyła się w tej samej chwili. - Szefie - zawołał siedzący wewnątrz kadet - szukają pana.

Telefonistka z ekranu poznała Gainesa i ustąpiła miejsca Davidsonowi. - Szefie - rzekł tenże - Van Kleeck chce z panem mówić.

- Kto zatrzymał drogę?

- On.

- Żadnych innych wydarzeń?

- Nie, droga była prawie opróżniona, kiedy ją zatrzymał.

- Dobrze. Połącz mnie z Van Kleeckiem.

Twarz głównego spiskowca zionęła niepohamowaną złością.

- Więc to tak! - wybuchnął natychmiast. - Myślałeś, że żartuję? A co pan teraz powie, panie inżynierze naczelny?

Gaines zdławił w sobie odruch, by powiedzieć, co o tym myśli naprawdę, zwłaszcza o Van Kleecku. Całe zachowanie się tego małego człowieczka było drażniące jak zgrzyt żelaza po szkłe.

Ale nie mógł sobie pozwolić na mówienie tego, co myśli. Z wysiłkiem zdobył się na właściwy ton, łechtający próżność tamtego. - Muszę przyznać, Van, że tę rundę wygrałeś. Droga rzeczywiście stoi. Ale nie myśl, że nie brałem ciebie na serio. Za długo pracowałem z tobą, aby cię nie doceniać. Wiem, że nie rzucasz słów na wiatr.

Van Kleeck był zadowolony z uznania, ale starał się nie pokazać tego po sobie. - Więc dlaczego nie idziesz po rozum do głowy i nie kapitulujesz? - zagadnął wojowniczo. - Przecież nie możesz wygrać.

- Może i nie, Van, ale sam wiesz, że muszę próbować. Poza tym - ciągnął - dlaczego nie miałbym wygrać? Sam powiedziałaś, że mogę wezwać na pomoc całą armię Stanów Zjednoczonych.

- A to widzisz? - odparł Van Kleeck z tryumfalnym uśmiechem. Podniósł do góry gruszkę wyłącznika elektrycznego, przymocowaną do długiego sznura. - Wystarczy to nacisnąć, żeby pół drogi wyleciało w powietrze. A nim stąd odejdę, mogę na dokładkę zniszczyć jeszcze tę halę.

Gaines dałby dziesięć lat życia za głębszą znajomość psychologii. Ale powiedział sobie, że według stawu grobla, i że musi polegać na własnym, choćby zawodnym, wyczuciu. - Mocno nas przyciskasz, Van, ale doprawdy nie wiem, jak możemy skapitulować - rzekł.

- Nie wiesz? To się zastanów. Jeśli mnie zmusisz do wysadzenia drogi, pomyśl, co będzie z ludźmi, którzy jednocześnie wylecą w powietrze!

Gaines szybko zrobił w myśli rachunek. Nie wątpił, że Van Kleeck wykona groźbę. Cała jego frazeologia, dziecinna złość kryjąca się w słowach "jeśli mnie zmusisz do tego", wszystko świadczyło o niebezpiecznej uczuciowości jego postawy myślowej. A wybuch w jakimkolwiek punkcie gęsto zaludnionego sektora Sacramento mógł zniszczyć szereg domów mieszkalnych, a na pewno by pozabijał wszystkich obecnych w sklepach na pasie 20 i przypadkowych przechodniów. Van miał zupełną rację: nie można narażać życia ludzi, którzy nie mieli nawet pojęcia, o co tu chodzi. Nawet, gdyby droga nigdy nie miała już ruszyć.

Nie miał zresztą najmniejszej chęci narażać samej drogi na uszkodzenie. Ale zagrożenie osób niewinnych, czyniło go wprost bezradnym.

W głowie zabrzmiał mu śpiew:

"Kresu nie zna nigdy nasza praca. Droga płynie i droga powraca!"

Co tu robić? Co robić?

"Kiedy idziecie, kiedy suniecie, tu w podziemiu trwa nasze czuwanie..."

Nie, nie można dopuścić do katastrofy.

- Słuchaj, Van - zwrócił się do ekranu - na pewno nie chcesz wysadzić drogi, jeśli nie będziesz musiał. I ja też nie chcę. więc przypuśćmy, że przyjdę do ciebie i rozmówimy się. Dwóch rozumnych ludzi powinno się dogadać.

- Czy to jakiś podstęp? - zapytał podejrzliwie Van Kleeck.

- Skąd? Przyjdę sam i bez broni; wezmę tylko wóz, żeby było prędzej.

- A twoi ludzie?

- Będą tu czekać, póki nie wrócę. Możesz wystawić wartę, aby ich obserwować.

Van Kleeck wahał się chwilę. Bał się pułapki, ale myślał z rozkoszą, że były zwierzchnik przyjdzie prosić go o warunki. Wreszcie, pomrukując, zgodził się.

Games wydał dyspozycje i uprzedził Davidsona o swoich zamiarach. - Jeśli za godzinę nie wrócę,

Dave, przejmujesz odpowiedzialność.

- Ostrożnie, szefie.

- Naturalnie.

Wyprosił kadeta-kierowcę z wozu zwiadowczego, zjechał z rampy na groble, wykręcił na północ i ruszył pełnym gazem. Teraz będzie mógł zebrać myśli, nawet robiąc dwieście mil na godzinę. Przypuśćmy, że zdoła powrócić... I tak trzeba wprowadzić szereg zmian w taktyce. Dwa wnioski są murowane. Po pierwsze, na przełączonym pasie muszą być zainstalowane bezpieczniki, aby sąsiednie pasy automatycznie zwalniały ruch lub zatrzymywały się, gdyby szybkość któregośkolwiek uległa większym zakłóceniom. Nie może powtórzyć się to, co było na pasie 20.

Ale to tylko szczegół, w dodatku techniczny. Istota sprawy polega na ludziach. Oni zawiedli. Trzeba będzie znacznie wydoskonalить testy psychologiczne i zabezpieczyć drogą dopływ wyłącznie odpowiedzialnych i uświadomionych funkcjonariuszy. Tak, ale, do licha, przecież obecne testy miały w tym właśnie zakresie dawać wszelką gwarancję. Jak dotąd, skorygowana metoda Humm-Wadsworth-Burtona sprawiała się bez zarzutu. Dopiero dziś, w Sacramento... Jak to się stało, że Van Kleeck zdołał zbuntować cały sektor starannie przesianych pracowników?

Musi być określona przyczyna.

Ludzie bez powodu nie zachowywali się nedorzecznie. Jeden - tak, ale w większej liczbie personel był równie odpowiedzialny jak maszyny i cyfry. Można było na nim polegać, mierzyć go, badać, klasyfikować. Gaines mimo woli pomyślał o biurze personalnym, o długich szeregach kartotek, o urzędnikach... Ach, tak! Teraz już wiedział! Van Kleeck, jako główny jego zastępca, był z urzędu szefem personalnym dla całej drogi!

Tu kryła się odpowiedź pokrywająca się w całości z faktami. Jedyne szef personalny miał wszelką możliwość wybrania czarnych owiec i skupienia ich w jednym miejscu. Gaines był teraz pewien, że już od lat musiały odbywać się oszustwa z wykazami testów charakteru i że Van Kleeck najpierw fałszował wykazy, a potem świadomie przenosił potrzebnych mu ludzi do jednego sektora.

Z tego płynął bardzo istotny wniosek: trzeba zaostrzyć testy dla kierowników i nie powierzać nikomu klasyfikacji oraz przydziałów bez ustanowienia ścisłej kontroli i nadzoru. Nawet on, Gaines, powinien być w tym zakresie kontrolowany. Qui custodiet ipsos custodes? Kto ma pilnować strażników? Łacina może i jest przestarzała, ale ci Rzymianie wcale nie byli głupi.

Wiedział teraz nareszcie, na czym polegał błąd i z tej wiedzy czerpał smutne zadowolenie. Kontrola i nadzór, wielokrotna inspekcja, oto była odpowiedź. Będzie to uciążliwe i zmniejszy wydajność. Ale pełne zabezpieczenie zawsze, jak się zdaje, pociąga za sobą zmniejszenie wydajności.

Powinien był znacznie więcej wiedzieć o Van Kleecku, zanim mu powierzył tak rozległą władzę. A i teraz powinien więcej wiedzieć... Dotknął hamulca specjalnego i rozedrgany wóz nagle stanął. - Centrala? Proszę połączyć mnie z moim biurem.

Na ekranie zjawiała się twarz Dolores. - Jesteś jeszcze - zawołał - to dobrze! Bałem się, że już wyszłaś.

- Wychodziłam, ale wróciłam.

- Pięknie! Wyszukaj mi wykaz personalny Van Kleecka. Jak wygląda jego klasyfikacja?

Wróciła zadziwiająco szybko i odczytała znaki i procenty. Kiwał głową raz po raz, gdyż dane pokrywały się z jego przypuszczeniami: Utajony introwert... kompleks niższości... zgadza się.

- Adnotacja Zarządu - czytała Dolores - Mimo pewnego braku stabilności wewnętrznej, o czym świadczy górny zasięg syntetycznej krzywej charakteru w punktach A i D, Zarząd jest zdania, że jest to pracownik nadający się do odpowiedzialnych funkcji. Ma bardzo piękny staż i wielką umiejętność

obchodzenia się z ludźmi. W związku z tym przedstawia się go do awansu.

- To Wszystko, czego mi trzeba, Dolores. Dziękuję.

- Nie ma za co, szefie.

- Jadę teraz na decydującą rozprawę. Pukaj w stół, sby się udało.

- Ale, panie szefie... - Dolores rozszerzonymi oczyma wpatrywała się w pusty ekran.

- Zaprowadź mnie do Van Kleecka!

Mężczyzna odjął rewolwer od pleców Gainesa - niezbyt chętnie to zrobił - i nakazał głównemu inżynierowi, by szedł przodem po schodach.

Van Kleeck obrał sobie siedzibę nie w biurze administracji, ale w samej hali kontrolnej sektora. Otaczało go sześciu uzbrojonych mężczyzn.

- Dobry wieczór, panie dyrektorze Van Kleeck. - Niski człowieczek aż urósł z zadowolenia słysząc to z ust Gainesa.

- Nie przywiązujemy tu wagi do tytułów - odparł z demonstracyjną bezceremonialnością. - Mów do mnie po prostu Van. I siadaj, Gaines.

Gaines usiadł. Teraz trzeba się było pozbyć tamtych ludzi. Spojrzał na nich z wyrazem nudy i rozbawienia. - Czy sam nie dałbyś sobie rady z jednym nieuzbrojonym człowiekiem, Van? A może Funkcjoniści nie ufają sobie nawzajem?

Van Kleeck zmarszczył się, zakłopotany, ale uśmiech Gainesa był rozbijający. Wreszcie““ człowieczek wziął pistolet z biurka i wskazał na drzwi. - Wyjdźcie, chłopcy.

- Ależ, Van...

- Wyjdźcie, powiedziałem!

Kiedy już byli sami, Van Kleeck ujął wyłącznik elektryczny, ten sam, który Gaines widział już na ekranie i wycelował pistolet na swego byłego zwierzchnika. - Dobrze - mruknął - popróbuj no jakich sztuczek, a naciskam! Z czym przychodzisz?

Denerwujący uśmiech Gainesa sięgał teraz od ucha do ucha. Van Kleeck zachnął się. - Co cię tak śmieszy, do licha? - zapytał.

- No, bo prawdę mówiąc - odparł Gaines - trochę dziwnie wyglądasz, Van, jeśli mam być szczery. Zaczynasz rewolucję funkcjonalistyczną, a jedyną funkcją, jaką możesz wykonać, jest wysadzenie drogi, bez której nie ma twojego stanowiska. Powiedz mi, właściwie - ciągnął - czego ty się tak boisz?

- Wcale się nie boję!

- Nie? Jak to? Siedzisz tu, gotów w każdej chwili popełnić harakiri tym śmiesznym wyłącznikiem i powiadasz, że się nie boisz. Gdyby twoi koledzy wiedzieli, jak mało potrzeba, abyś zniszczył wszystko, o co walczyacie, zastrzeliliby ciebie w mgnieniu oka. Ich także się boisz, co, powiedz?

Van Kleeck odrzucił wyłącznik i skoczył na równe nogi. - Nie boje się! - krzyknął i przeszedł na drugą stronę biurka do Gainesa.

Gaines nie ruszył się z miejsca. - Owszem, boisz się! W tej chwili boisz się mnie. A w ogóle boisz się, że skrytykuję sposób, w jaki pracujesz. Boisz się, że kadeci nie będą ci salutować. Boisz się, że za plecami śmieją się z ciebie. Boisz się, że nie umiesz używać noża przy jedzeniu. Boisz się, że ludzie patrzą na ciebie - i boisz się, że cię mogą nie zauważyć.

- Nieprawda! - krzyknął tamten. - Ty... ty obmierzły snobie! Myślisz, że jesteś lepszy od innych, bo chodziłeś do eleganckiej szkoły. - Dławiła go wściekłość, aż łzy mu napłynęły do oczu. - Ty i twoje parszywe kadeciki...

Gaines przyglądał mu się z uwaga. Słabość charakteru tego człowieka leżała jak na dłoni, dziwił

się, jak mógł tego dotąd nie spostrzec. Przypomniał sobie dziwaczne i głupie zachowanie Van Kleecka, kiedy chciał mu przy jakiejś okazji pomóc w wyprowadzeniu zawiłego rachunku.

Teraz chodziło o to, by wygrać tę słabość i tak go zaabsorbować, by zapomniał o groźnym wyłączniku. Gaines musi skupić całą jego pasję na sobie, z wyłączeniem wszelkiej innej myśli.

Ale nie może prowokować go zbyt, gdyż jeden strzał wystarczy, aby skończyć z Gainesem i przekreślić szansę uniknięcia krwawej i niszczycielskiej walki o władzę nad drogą.

- Van - rzekł Gaines krztusząc się od śmiechu - wyglądasz jak rozzłoszczony karaluch. Nie wyszło ci, zupełnie to rozumiem. Jesteś mizerotą, Van, i przez całe życie bałeś się, że ktoś to wreszcie zrozumie i zepchnie cię na sam dół. Dyrektor! Śmiechu warte! Jeśli ty jesteś najwybitniejszy Funkcjonalista, to możemy w ogóle nie zwracać na was uwagi - rozlećcie się od samej waszej nieudolności. - Wykręcił się na obrotowym krześle, świadomie odwracając się tyłem do Van Kleecka i jego rewolweru.

Van Kleeck podszedł do swego dręczyciela, zatrzymał się przed nim o krok i wrzasnął: - Ty... ja ci pokaże... kulę w łeb ci wpakuje! Zobaczysz!

Gaines wstał i podszedł spokojnie do niego. - Odlóż tę pukawkę, bo jeszcze się skaleczysz.

- Nie zbliżaj się do mnie! - ryknął Van Kleeck cofając się. - Nie zbliżaj się do mnie... bo cię zabiję... Nie wierzysz?

"Teraz!" - pomyślał Gaines i przypadł do ziemi.

Nad uchem huknął mu strzał. Udało się, nie trafił. Tarzali się po podłodze. Van Kleeck był wcale zwinny. Ale gdzie ten rewolwer? Jest! Gaines ma go już w ręku. Odskoczył.

Van Kleeck nie ruszył się. Leżał na ziemi, z zamkniętych oczu płynęły mu łzy i beczał niczym skarcony dzieciak.

Gaines popatrzył na niego z pewnym współczuciem, trącił go z lekka kolbą pistoletu za uchem, podszedł do drzwi, nasłuchiwał przez chwilę, a potem ostrożnie przekręcił klucz.

Sznur od wyłącznika prowadził do tablicy kontrolnej. Zbadał kontakt i starannie odłączył sznur. Potem nastawił telewizor na kontrolnym stole i wywołał Fresno.

- W porządku, Dave - rzekł. - Teraz niech atakują! Ale już! - wygasił niezwłocznie ekran, nie chcąc by starszy dyżurny widział, że cały się trzęsie.

Nazajutrz we Fresno Gaines krążył po głównej hali kontrolnej z uczuciem wyraźnego zadowolenia. Drogi były w ruchu, jeszcze trochę, a odzyskają właściwą szybkość. Noc była ciężka. Trzeba było zmobilizować wszystkich inżynierów i wszystkich kadetów, aby przeprowadzić niezbędną skrupulatną inspekcję sektora Sacramento. Następnie trzeba było wprowadzić połączenia z ominięciem dwóch uszkodzonych tablic kontrolnych w podsektorach. Lecz drogi były w ruchu - przez podłogę wyczuwało się ich rytm.

Gaines podszedł do walącego się z nóg człowieka z dwudniowym zarostem. - Dlaczego nie idziesz do domu, Dave? - zapytał. - McPherson da sobie już radę.

- A pan, szefie? Nie wygląda pan jak narzeczona w maju.

- Ach, ja sobie utnę drzemkę w biurze. Rozmawiałem z żoną, wytłumaczyłem, że nie mogłem przyjść. Będzie tutaj za chwilę.

- Bardzo się gniewała?

- Nie, nie bardzo. Wiesz, jak to jest z kobietami. - Podszedł do tablicy rozdzielczej i patrzył na cykające zegary, na których ukazywały się dane z sześciu sektorów. Okręg San Diego, sektor Angeles, sektor Bakersfield, sektor Fresno, sektor Stockton... Stockton? Na miłość boską... Blekinsop! Zostawił tam australijskiego ministra na calutką noc!

Skoczył do drzwi wołając przez ramię: - Dave, zamów dla mnie wóz! Ale szybki! - minął już hali i wchodził do swego biura, gdy Davidson zrozumiał wreszcie rozkaz.

- Dolores!

- Tak, panie szefie.

- Połącz się z moją żoną i powiedz, że musiałem jechać do Stockton. Jeżeli wyszła już z domu, to niech tutaj zaczeka. I Dolores...

- Tak, panie szefie?

- Jakoś ją umityguj.

Zagryzła usta, lecz jej twarz została nieporuszona. - Dobrze, panie szefie.

- No, to pięknie! - Wybiegł z biura i pędził schodami na dół. Znalazł się na poziomie drogi i widok sunących pasów natychmiast przywrócił mu pogodę.

Szybkim krokiem zbliżył się do drzwi oznaczonych "Zejscie". Otworzył je pogwizdując, a łoskot maszyn z dołu jakby podejmował gwizdaną przez Gainesa melodię.

Hej, cała gromada,

Rotorowcy nie lada,

Na każdym odcinku czuwamy

A wy do domu idziecie,

Spokojni, bo wiecie,

Że my - raz, dwa, trzy!

Czuwamy - raz, dwa, trzy!

Aby drogi zawiodły was same!

Tłumaczył Julian Stawiński

Odkrycia i wynalazki nie zawsze oznaczają wzrost wygód i puchowe postanie. Czasem bywa na odwrót: człowiek wraca jak gdyby w epokę jaskiniową, w epokę zajadłej i bezwzględnej, nie liczącej się z niczym walki o byt. Tak było nad Klondike w końcu zeszłego stulecia, gdy wybuchła słynna gorączka złota, znana wszystkim ze znakomitych opisów Londona. Podobna sytuacja może się zawsze powtórzyć w jakiejś bliższej czy dalszej przyszłości. Sytuacja będzie podobna, lecz warunki odmienne. Kto wie, czy nie całkiem odmienne: inne narzędzia pracy, inne metody i technika. Czy człowiek też będzie inny? I jak się zachowa - czy mimo wszystko tak sarno, czy też zupełnie inaczej? Zagadka psychologiczna jest niemniej pasjonująca od zagadki technicznej.

HARRY HARRISON - Skalny nurek

Wicher przewalał się grzbietem wzgórze i wiał lodowatym strumieniem w dół zbocza szarpiąc brezentowym ubraniem Pete'a, siekąc go twardym jak stalowe opiłki lodowym pyłem. Pete schylił głowę i ciężko opierając się wichrowi szedł pod górę do granitowego grzebienia.

Zamarzał na śmierć. Nie ma takiej ilości ubrań, która by utrzymała człowieka przy życiu w temperaturze minus pięćdziesiąt stopni. Drętwota obejmowała mu rękę. Kiedy ocierał zmarznięty oddech z wąsów, nie czuł ich dotyku. Skórę miał zbielełą i błyszczącą w miejscach, gdzie owiewało ją powietrze Alaski.

- Taka moja praca. - Popękane wargi ułożyły się w cień uśmiechu. - Jeśli jacyś nierejestrowani nurkowie poszli dzisiaj za mną, to mocno zmarzną, nim wrócą.

Granitowy grzebień zasłaniał go, gdy ręką szukał wyłącznika przy pasie. W małym stalowym pudle zawieszonym na plecach rozległo się przeszywające wycie coraz bardziej wzrastające w siłę. Świsł wypuszczonego z butli tlenu ustał, gdy Pete zatrzasnął czołową płytkę hełmu. Wdrapał się na granitowy wierzchołek wystający spod zmarzniętego śniegu.

Był teraz narażony na pełne uderzenia wiatru, ale już go nie czuł, płatki śniegu mogły swobodnie przenikać przez jego ciało. Wolno wszedł w skałę. Czubek jego hełmu chwilę jeszcze wyglądał jak butelka z wody, potem skrył się pod śniegiem.

Pod ziemią było cieplej. Wiatr i mróz zostały na powierzchni. Pete na chwilę stanął i otrząsnął z ubrania śnieg. Ostrożnie wyjął z torby latarkę ultraświatlną i zapalił ją. Snop światła, polaryzowany do jego własnej przenikającej masy częstotliwości, sięgnął przez warstwę otaczającą go ziemi jak przez mętną żelatynę.

Pete był skalnym nurkiem od jedenastu lat, ale po dziś dzień nie przestało go zdumiewać niewiarygodne otoczenie, w jakim się znajdował, gdy zszedł pod ziemię. Nie zastanawiał się wiele nad cudem penetratora. Po prostu instrument, dobry instrument, coś, co Pete mógł rozebrać i zreperować, jeśli zachodziła potrzeba. Najważniejsze jednak było to, co ten instrument mógł uczynić w otaczającym go świecie.

Płyta granitowa opuszczała się powoli w smutnym morzu czerwonawej mgły. Mgła ta składała się z wapienia i innych skał ścielących się wszędzie w zamrożonych warstwach. Między nimi, jakby zawieszane w powietrzu, znajdowały się granitowe bloki i inne minerały różnych kształtów. Pete ostrożnie uchylał głowę, aby nie uderzyć o nie.

Jeśli wstępne pomiary były bezbłędne, ten skalisty grzebień powinien zaprowadzić go do poszukiwanej żyły. Pete od roku już badał strukturę geologiczną tych okolic i wreszcie trafił, jak miał nadzieję, na miejsce, z którego brała początek główna żyła poszukiwanej rudy.

Szedł ciągle w dół, lekko pochylony do przodu, gdyż musiał prawie się przedzierać przez gęste ciasto wapienia. Mijały go skaliste fale podobne do silnego strumienia wody. Z dnia na dzień trudniej mu było chodzić pod ziemią. Kryształ jego penetratora z dnia na dzień, odchylał się od optymalnej częstotliwości. Z coraz większym wysiłkiem przepychał atomy swojego ciała między atomami otaczającej go materii. Obrócił głowę i zamrugał parę razy, żeby dostroić wzrok do dwucalowego ekranu oscyloskopu umieszczonego w hełmie. Uśmiechnęła się do niego mała zielona twarz - wykres drgań na ekranie przypominał rząd wyszczerzonych, połamanych zębów.

Zacisnął szczęki widząc różnicę między właściwym pomiarem a wykresem na gładkiej powierzchni lampy oscyloskopowej. Jeśli kryształ wysiądzie, penetrator przestanie funkcjonować i Pete'a czeka lodowa śmierć na powierzchni albo jeszcze gorsza pod ziemią. Zostanie zaklęty w

kamieniu na wieki jak mucha w bursztynie. I jak mucha, stanie się częścią skały. Przypomniawszy sobie straszny koniec Miękkogłowego i zadygotał.

Miękkogłowy Samuels należał do starej gwardii zahartowanych, skalnych nurków, którzy odkryli bogactwa mineralne pod wiecznymi śniegami Alaski. Miękkogłowy opuścił się pod ziemię dwieście jardów granitowym uskokiem i dosłownie wylądował na łonie jednego z najbogatszych pokładów Białej Sowy. Odkrycie to wywołało gorączkę 1963 roku. Żadne pieniądze hordy ruszyły na północ od Dawson, Miękkogłowy pojechał na południe z majątkiem. Wrócił po trzech latach mając zaledwie dość pieniędzy na bilet lotniczy w jedną stronę i bezgraniczną pogardę dla ludzkości.

Wrócił do gromadki starych przyjaciół, zadowolony, że może z nimi siedzieć dokoła polowego piecyka. Niewiele mówił o trzech latach spędzonych w cywilizowanym świecie i nikt mu zresztą nie zadawał żadnych pytań. Jedynym znakiem, że się zmienił podczas długiej nieobecności, było nerwowe przygryzanie cygara, kiedy do pokoju wszedł jakiś obcy. Północno Amerykańska Spółka Górnicza zaangażowała go do nowej brygady nurków i Miękkogłowy znowu zaczął wędrować po podziemnych przestrzeniach.

Któregoś dnia zszedł pod ziemię i więcej nie wyszedł. "Gdzieś o coś zaczepił" - mówiono, ale nikt nie wiedział na pewno, póki w roku 1971 nie natknął się na niego Pete.

Pete pamiętał tę chwilę, jakby to było dziś. Czuł się wtedy strasznie zmordowany i śpiący, gdyż przewędrował tego dnia szmat skały. I natknął się na Miękkogłowego. Miękkogłowy stał po wieczność zaklęty w piaskowcu. Twarz wykrzywił mu wyraz przerażenia, pochylał się chcąc złapać skrzynkę kontrolną. Przez straszliwy ułamek sekundy Miękkogłowy musiał wiedzieć, że coś się popsuło w jego penetratorze, potem zamknęła się w nim i wokół niego skała. Od siedmiu lat stał już w tej pozycji, którą miał zajmować po wieczność, atomy jego ciała stopione z atomami otaczającej go skały.

Pete zaklął pod nosem. Jeśli w najbliższym czasie nie poszczęści mu się na tyle, żeby mógł sobie kupić nowy kryształ, stanie się również częścią bezczasowej galerii zaginionych nurków. Zbiornik tlenowy też był dziurawy, zasilacz mocy zdezelowany. Zniszczony kombinezon był już okazem muzealnym. Był połatany jak stara dętka samochodowa, a mimo to nie trzymał powietrza, jak powinien. Wystarczyło tylko się o coś mocniej uderzyć, jeden raz się uderzyć.

Światło na hełmie odbiło się niebieskim promieniem od jakichś kryształów w ścianie. To mógł być Ytt! Pete skręcił w lewo z granitowej ławy, jaką dotychczas szedł, i wstąpił w rzadszą warstwę piaskowca. Włączywszy ręczny neutralizator do skrzynki zasilania wziął do ręki spory kawałek minerału. Świecąca gałka neutralizatora wyrównała częstotliwość drgań trzymanej w ręku próbki do swojej własnej częstotliwości. Pete docisnął podobny do rybiego pyszcza otwór analizatora spektralnego do skały i nacisnął spust. Krótki gorący atomowy płomień wbił się w twardą powierzchnię rozpuszczając ją w mgnieniu oka w parę.

Z analizatora wysunął się jęczyzek taśmy, z której Pete uważnie odczytał wykres spektrograficzny. Znowu się omylił: ani śladu znajomych linii ytrotantalitu. Zniechęconym ruchem schował do torby sprzęt probierczy i poszedł dalej gumiąstą skałą.

Ytrotantalit był rudą, a tantal metalem z niej wytapianym. Ten rzadki metal był głównym składnikiem piezoelektrycznych kryształów, które umożliwiały konstrukcją penetratorów wibracyjnych masy. Z Yttu był tantal, z tantalu kryształy, kryształy sterowały wibratorami, wibratory były sercem penetratorów, których używało się w podziemnych wędrówkach poszukując yttu... Zamknięte koło. Obracająca się klatka, w której biega wiewiórka. Pete był tą wiewiórką, i w chwili obecnej bardzo nieszczęśliwą wiewiórką.

Ostrożnie pokręcił reostat penetratora zwiększając nieco moc obwodów. Oczywiście

wyczerpywało to bardziej kryształ, ale uniemożliwiało łatwiejsze przenikanie przez galaretowatą skałę.

Myślami stale wracał do małego kryształku, od którego zależało jego życie. Była to cieniutka płytką podobna do kawałka zakopconego szkła, wypolerowana do odpowiedniej grubości z minimalną tolerancją. Kiedy podawano ją ultraprądowi, drgała z częstotliwością, która umożliwiała jednej masie przesuwanie się między molekułami innej masy. To źródło nieuchwytnego drgania kontrolowało z kolei silniejsze obwody, które umożliwiały Pete'owi i całemu jego wyposażeniu poruszanie się przez ziemię. Gdyby kryształ zawiódł, atomy jego ciała powróciłyby na płaszczyznę częstotliwości normalnego świata i stopiłyby się z atomami ziemi, przez które przechodził... Pete poruszył głową, jakby chciał otrząsnąć się z nieprzyjemnych myśli, i przyspieszył kroku idąc w dół po granitowej ławie.

Już od trzech godzin szedł przez tę oporną masę piaskowca i mięśnie nóg paliły go jak kawały rozżarzonego żelaza. Za parę minut będzie musiał wrócić, jeśli ma sobie zostawić margines czasu. Ale od godziny napotykał na ślady yttru, i to coraz silniejsze. Główna żyła musiała być bardzo bogata - żeby ją wreszcie znaleźć!

Najwyższy czas ruszyć w powrotną drogę! Pete wziął ostatnią próbkę skały. Zaznaczył miejsce, na które trafił, i jutro dalej będzie szukał. Zapalił lampę testową i podstawił pod nią próbkę.

Spociał się nagle z wrażenia, serce zaczęło mu bić gwałtownie. Zamrugał nerwowo i jeszcze raz spojrział. Znalazł yttr! Żyłki tantalu odcinały się ostro od jaśniejszych składników rudy. Ręka mu drżała, kiedy otwierał kieszonkę na kolanie. Miał przy sobie porównawczą taśmę filmową z rejonu Białej Sowy, najbogatszego obozu na Alasce. Nie było najmniejszej wątpliwości! Znalazł rudę jeszcze bogatszą w tantal.

Z miękkiego woreczka wyjął dwa półszlachetne kryształy i delikatnie położył kryształ B w dziurze, którą zrobił wyjmując próbkę. Nikt nigdy nie znajdzie tego miejsca nie posiadając drugiej połowy tego samego kryształu doszlifowanego jak najdokładniej do tej samej ultrakrótkiej częstotliwości. Połówkę A kładło się do obwodu generatora sygnałów i wtedy połówka B odbijała echo tej samej częstotliwości, odbierane z kolei przez mikroodbiornik. W ten sposób kryształ jednocześnie zabezpieczał prawo Pete'a do odkrytej żyły i umożliwiał mu powrót w to samo miejsce.

Ostrożnie schował kryształ A w miękko wyściełane pudełeczko i ruszył w powrotną drogę pod górę granitowej ławy. Marsz był bardzo ciężki. Stary kryształ jego penetratora wykazywał olbrzymie odchylenie i Pete z trudnością przepychał się przez kleisty piaskowiec. Niemal odczuwał na sobie masę półmilowej warstwy skał czających się, aby go na wieki uwięzić w swoim uścisku. Jedyna droga na powierzchnię wiodła po granitowej ławie, która ukośnie prowadziła pod górę.

Kryształ jego penetratora był w ciągłym użytku już od pięciu godzin. Gdyby Pete mógł go tylko na chwilę wyłączyć, cała aparatura odpoczęłaby. Ręka mu drżała, kiedy poprawiał paski nośne stalowej skrzynki na plecach. Zwolnił kroku i podciągnął paski.

Przekręcił ręczny neutralizator na najwyższą moc i trzymał jarzący się drążek na odległość ramienia. Z czerwonej mgły wyłonił się nagle osiemnastostopowy gładz wapnia, dostrojony już do jego własnej częstotliwości. Gigantyczny gładz powoli się zapadł. Pete podszedł, wyłączył neutralizator, wstąpił w wapień... Rozległ się suchy trzask, kiedy molekule gładzu wtopiły się w otaczającą go skałę.

Pete znalazł się w sztucznej komorze i wyłączył penetrator.

Z szybkością, która nigdy nie przestawała go dziwić, mgliste otoczenie zamieniało się w twardą skałę. Światło umieszczone na hełmie odbijało się od ścian komory - komory bez wyjścia, pół mili pod zamarzniętą ziemią Alaski.

Pete z uczuciem ulgi zdjął z pleców ciężką skrzynkę i rozprostował zmęczone mięśnie. Musiał oszczędzać tlen. Z tego też powodu wybrał to właśnie miejsce do odpoczynku. Sztuczna pieczara znajdowała się w żyłę RbO. Był to tani minerał powszechnego użytku. Nie warto go było wydobywać tak daleko na północy. RbO to największy przyjaciel skalnych nurków.

Pete pogrzebał w plecaku szukając tlenownicy. Wyjął ją, na pasie zawiesił jej zasilacz. Elektrody tlenownicy wetknął w żyłę RbO. Mleczne światło rozświetlało pieczarę odbijając jaskrawo od płatków białego śniegu. To tlen wyzwolony przez tlenownicę padał na ziemię, po drodze parując. Komora otrzymała życiodajną atmosferę, dzięki której Pete mógł otworzyć klapy hełmu i zabrać się do śniadania.

Ostrożnie pociągnął nosem. Powietrze było dobre, chociaż ciśnienie niskie - około dwunastu funtów na cal. Stężenie tlenu troszkę za wysokie. Zadowolony zachichotał jak pacjent na fotelu dentystycznym oszołomiony usypiającym gazem. Bezgłośnie nucił rozrywając opakowanie śniadania.

Zimną wodą z manierki splukał niezbyt smaczne kanapki i uśmiechnął się na myśl o grubym soczystym befsztyku. Jego odkrycie zostanie sprawdzone i właścicielom kopalni oczy wyjdą na wierzch, kiedy przeczytają raport analityka. Oj, przyjdą do niego! Pełni godności, szczerzy, pokorniejący, a w wymanikiurowanych palcach będą trzymać kontrakty! A on sprzeda temu, który ofiaruje mu najwięcej. Sprzeda całą żyłę. Niech dla odmiany ktoś inny popracuje. Wyrównają teren nad granitowym grzebieniem, wielkie ciśnieniowe buldożery będą przeciskać się pod ziemią wożąc tam i z powrotem górników do podziemnych kopalń. Oparł się plecami o nierówną ścianę komory i skrzywił twarz w uśmiechu. Już widział siebie: jest wykąpany, ogolony, sam ma także wymanikiurowane dłonie, wchodzi właśnie do Klubu Górników...

Ponętny obraz zniknął, kiedy dwaj ludzie w wydętych kombinezonach podziemnych wyszli ze ściany. Sylwetki ich były przezroczyste, stopy za każdym krokiem zapadały się w ziemię. Obaj mężczyźni nagle wskoczyli w powietrzną bańkę i w locie wyłączyli swoje aparaty. Sylwetki ich przestały być przezroczyste, ciężko łupnęli o ziemię. Otworzyli ochronne płyty hełmów i wciągnęli w płuca powietrze.

Niższy uśmiechnął się. - Ładnie tu pachnie, co, Mo?

Mo miał jakieś kłopoty ze zdjęciem hełmu, głos jego dobywał się przez fałdy materiału. - Racja, Algie. - Wreszcie zdarł hełm szybkim ruchem.

Na ten widok rozszerzyły się oczy Pete'a, Algie uśmiechnął się nieprzyjemnym uśmiechem.

- Mo nie jest przystojny, ale można go z czasem polubić.

Mo był olbrzymem - miał z siedem stóp wzrostu, głowę jajowatą, ogolony był gładko, twarz błyszczała potem. Musiał już urodzić się taki brzydki, a lata nie poprawiły jego urody: spłaszczony nos, z jednego ucha został tylko strzęp, a górną wargę przecinała biała blizna, odsłaniając dwa żółte zębiska.

Pete powoli zamknął manierkę i schował ją do plecaka. Ci dwaj mogli być oczywiście porządnymi nurkami, ale nie wyglądali na to.

- Czym wam mogę służyć? - spytał.

- Niczym, niczym, kolego - odpowiedział niższy. - Przechodziliśmy obok i zobaczyliśmy błysk tlenownicy. Pomyśleliśmy sobie, że to może któryś z naszych kolegów, więc podeszliśmy bliżej. Tak, w dzisiejszych czasach szukanie żyły to ciężka robota, co? - Mówiąc rozglądał się po komorze i nic nie uchodziło jego uwagi. Mo z jękiem usiadł pod ścianą.

- Macie rację - odparł Pete ostrożnie. - Od miesiący nie mam szczęścia. Wy tu od niedawna? Nie widziałem was w obozie?

Algie nie odpowiedział. Wzrok miał wlepiony w wypchaną próbkami torbę Pete'a.

Otworzył długi składany nóż. - Co tam masz w tej torbie? - spytał.

- Niskoprocentową rudę, którą zabrałem przechodząc. Dam ją do zbadania, ale wątpię, żeby była coś warta. Pokażę wam.

Pete ruszył w stronę torby z próbkami. Przechodząc koło Algiego schylił się, szybko złapał trzonek noża i kolanem kopnął mocno niższego z dwóch przybyszów. Algie ciachnął nożem, ale Pete bokiem dłoni trzepnął go z całej siły w grdykę.

Nie czekał, aż Algie upadnie, ale rzucił się w stronę plecaka.

Jedną ręką wyciągnął z niej stary wojskowy pistolet, drugą złapał sygnałowy kryształ i podniósł okuty stalą but, by rozgnieść kryształ w proch.

Nie zdążył. Potężna dłoń chwyciła go w kostce zatrzymując w połowie ruchu. Usiłował obrócić się z rewolwerem, ale wielka dłoń złapała go w przegubie. Wrzasnął z bólu. Z pozbawionych czucia palców broń wypadła na ziemię.

Przez pięć minut wisiał głową w dół, podczas gdy Mo pertraktował z nieprzytomnym Algie, pytając go co dalej robić. Algie wreszcie odzyskał świadomość, usiadł klnąc głośno i rozcierając szyję. Powiedział Mo, co robić, i siedział dalej, uśmiechając się, póki Pete nie stracił przytomności.

Raz, dwa, jeszcze raz, jeszcze raz, głowa kiwała mu się śmiesznie w takt uderzeń, jakie obrywał. Nie mógł nic poradzić, nie mógł się bronić. Ich uderzenia wstrząsały całym jego ciałem. Gdzieś z bardzo daleka słyszał głos Algiego:

- Wystarczy, Mo, wystarczy. Już przytomnieje. Pete wsparł się z wielkim wysiłkiem o ścianę komory i otarł krew przesłaniającą mu oczy.

Zobaczył przed sobą twarz niższego z dwóch mężczyzn.

- Mamy z tobą za dużo kłopotu. Weźmiemy twój kryształ i odszukamy twoją żyłę. Jeśli będzie taka dobra jak te próbki, co je tu masz, bardzo się ucieszymy. Wtedy zorganizujemy małą uroczystość, podczas której cię ukatrupimy. Jeśli nie znajdziemy żyły, też cię ukatrupimy. I w jednym, i w drugim wypadku nie zapomnimy o tobie. Nie wiesz o tym, że nikomu jeszcze nie uszło płazem uderzenie Algiego?

Włączyli penetrator Pete'a i pół przenieśli, pół przeciągnęli go przez ścianę. W odległości dwudziestu stóp weszli w drugą komorę podziemną, znacznie większą niż poprzednia. Wypełniał ją prawie w całości stalowy korpus penetratora traktorowego.

Mo pchnął Pete'a na ziemię i jednym kopnięciem nogi rozwalił jego penetrator. Potem przeszedł przez ciało Pete'a i wsiadł na traktor. Algie włączył wielki agregat. Pete widział usta Algiego wykrzywione w niemym uśmiechu, kiedy podobna do wielkiego ducha maszyna ruszyła przed siebie i weszła w ścianę.

Pete obrócił się i przyjrzał szczątkom swojego penetratora. Nic z niego nie zostało. Dobrze się z nim załatwili. W podziemnym grobowcu nie było nic, co mogłoby uratować Pete'a. Nawet radio zostało w tamtej komorze. Gdyby je miał przy sobie, mógłby zawiadomić bazę wojskową i za dwadzieścia minut przybyłby tu patrol. Tak, ale między nim a radiem pozostawało dwadzieścia stóp skały.

Przez całą komorę przechodziła jasna żyła. Trzystopowa żyła RbO. Na pewno ta sama, która przechodziła i przez jego komorę.

Chwycił się za pas. Tlenownica ocalała! Przycisnął elektrody do żyły i przyglądał się srebrzystemu śniegowi, który zaczął padać. Pracował na całej szerokości żyły, na ziemię padały kawałki rozsadzanej rudy. Jeśli zasilanie tlenownicy wytrzyma, jeśli tylko tamci dwaj nie wrócą za wcześnie...!

Z każdym błyskiem tlenownicy odpadało na bok więcej odłamków. Akumulatory potrzebowały 3,7

sekundy na ponowne naładowanie. I potem nowy błysk. Pete pracował z pasją, lewą ręką suwając za siebie odłamki.

Natarcie elektrodami prawą ręką, odepchnięcie odłamków lewą, natarcie i odepchnięcie, natarcie i odepchnięcie. Śmiał się i płakał jednocześnie, gorące łzy spływały mu po policzkach. Zapomniał, że wyzwala olbrzymie ilości tlenu. Ściany kołysały się dokoła niego jak pijane.

Zatrzymał się na chwilę, aby zamknąć hełm. Spojrzał raz za siebie, w wykopany tunel. Potem znowu zabrał się do roboty. Rozwalał oporną skałę, pokonując zawroty głowy, leżał na boku wypychając za siebie odłamki skały i ubijając je stopami.

Znajdował się teraz zamknięty w maleńkim korytarzyku głęboko pod ziemią. Niemal czuł wagę półmilowego płatu skały wyduszającego mu oddech z płuc. Gdyby tlenownica go zawiodła, zostałby gniąc we własnoręcznie wygrzebanym grobie. Starał się o tym nie myśleć i skoncentrować wyłącznie na celu.

Czas stanął, Pete przebijał się przez wieczność wysiłku. Ramiona jego pracowały jak ramiona tłoków, a pokrzwawione palce odrzucały rozwalone kawałki skały.

Parą sekund odpoczywał, wciągając łapczywie powietrze. Osłabiona już ścianka pękła i odskoczyła z hałasem. Powietrze świsnęło przez poszarpaną krawędź powstałego otworu: Wyrównało się ciśnienie w obu komorach. Zwyciężył!

Słabo już pracującą tlenownica powiększał właśnie otwór, kiedy przed nosem pojawiły mu się czyjeś nogi. Z niskiego sklepienia wyrzała skrzywiona w złym grymasie twarz Algiego, który nie miał tu jednak miejsca, by się cały wcisnąć i wyłączyć penetrator. Potężny Algie mógł tylko wymachiwać pięścią przed twarzą Pete'a.

Z tyłu doszedł Pete'a łoskot rozgarniania kamieni. To przepychał się Mo. Pete nie mógł się obrócić i walczyć, ale zdążył kopnąć wielkoluda w bezkształtny nos, nim ten złapał go za nogi.

Potem Pete został wyciągnięty jak dziecko z wykopanego przez siebie korytarza i rzucony w kąt wielkiej komory. Pete ciężko oddychał. Tak był blisko zwycięstwa!

Algie pochylił się nad nim. - Jesteś za chytry. Teraz cię zabiję, żebyś nie sprawiał mi więcej kłopotu.

Wyciągnął z kieszeni własną jedenastkę Pete'a, zarepetował.

- Aha, przy okazji: znaleźliśmy twoją żyłę. Zbogacimy się na niej jak jasna cholera. Jesteś zadowolony?

Algie nacisnął języczek spustu i Pete poczuł uderzenie w udo.

Mały człowieczek stał nad Petem wykrzywając twarz w uśmiechu.

- Wpakuję ci te wszystkie pociski tam, gdzie cię od razu nie zabiją. Nie od razu. Jesteś gotowy na następny?

Pete podciągnął się na łokciu i dłonią pchnął lufę pistoletu. Algie jeszcze szerzej się uśmiechnął.

- Świetnie, chcesz ręką zatrzymać kulę?

Nacisnął spust, pistolet ostro zarepetował. Na twarzy Algiego pojawił się wyraz zdumienia. Pete wstał i kontakty tlenownicy docisnął do płytki zasłaniającej otwór jego hełmu. Wyraz zdumienia pozostał na twarzy Algiego jeszcze wtedy, kiedy głowa rozpadła się już na srebrzyste strąki lodu.

Pete skoczył i chwycił pistolet, odbezpieczył go i w mgnieniu oka się obrócił. Algie był sprytny, ale nie na tyle sprytny, żeby wiedzieć, że lufa wojskowej jedenastki działa jako bezpiecznik. Kiedy ją pchnąć, cofa się do tyłu i nie można wystrzelić, póki się nie zwolni sprężyny.

Mo zbliżał się, usta miał otwarte w ostatecznym zdumieniu. Stojąc na zdrowej nodze Pete wycelowwał w niego pistolet. - Stój, Mo! Pomożesz mi wrócić do miasta.

Wielkolud nie słyszał go. W głowie huczała mu tylko jedna myśl.

“Zabił Algiego, zabił Algiego!”

Pete wystrzelił połowę pocisków z magazynku, nim wielkolud padł na ziemię.

Odwrócił głowę od umierającego. Wzdrygnął się. Działał w samoobronie, ale ta myśl nie usunęła dziwnego skurczu w żołądku. Założył na nogę pas i mocno go skręcił, żeby powstrzymać krwotok. Potem owinął sterylizowanym bandażem z pakunku pierwszej pomocy.

Traktorem wróci na ziemię. Zawiadomi jednostkę wojskową, która zajmie się tymi dwoma. Usiadł za kierownicą traktora i włączył silnik. Penetrator traktora działał wspaniale. Maszyna czołgała się równo w stronę powierzchni. Pete ułożył zranioną nogę wygodnie na brezentowej płachcie i patrzył spokojnie na mijającą go i przepływającą ziemię.

Kiedy traktor wychynął na powierzchnią, padał jeszcze śnieg.

Tłumaczył Jan Zakrzewski

Gdy człowiek wyruszy z Ziemi w przestworza międzygwiazdne, rozwinię się komunikacja statkami o nieznanym nam dzisiaj wcale konstrukcji i szybkości, o której dziś także nie mamy prawie pojęcia. Powstaną wtedy zupełnie nowe zawody, a w pierwszym rzędzie zawód pilota kosmicznego. Kwalifikacje? Już teraz każdy lotnik musi się wykazać wyjątkową sprawnością fizyczną i umysłową, szeregiem rzadkich cech charakteru, opanowaniem, zimną krewią, błyskawiczną szybkością reakcji, odwagą, zdolnością do poświęcenia. Pilot międzyplanetarny zwielokrotni te wszystkie wymagania, a wyłonią się jeszcze i dalsze, dotąd albo nieznanne, albo niepotrzebne. Siłą rzeczy także egzaminy odbywać się będą w okolicznościach zupełnie różnych, niż przywykliśmy myśleć. Czasami nawet może okazać się niewiadomą, kto egzaminuje, a kto zdaje egzamin.

JOHN BERRYMAN - Licencja pilota

Major Filip Hawley odłożył notatki, wstał i wyszedł przed biurko. Założył ręce do tyłu i zaczął się kiwać na piętach, stojąc tuż na krawędzi podium. Prosta sylwetka i nieskazitelny mundur dodawały mu jakby wzrostu do skromnych pięciu stóp, dziewięciu cali.

- Za chwilę będzie przerwa, panowie - powiedział - i wolałbym rozpocząć następny temat mając przed sobą pełną godzinę wykładową. Dlatego też na dzisiaj skończymy.

Gdy trzydziestu umundurowanych studentów zaczęło zbierać bruliony i notatniki szykując się do opuszczenia sali, major ponownie skupił na sobie ich uwagę słowami: - Jednakże przed jutrzejszym wykładem chciałbym podzielić się z wami paroma uwagami, które ogólnie wprowadzą was w temat i być może podsuną jakąś przygotowawczą lekturę na dzisiejszy wieczór.

Wyprostowany zaczął spacerować przed biurkiem tocząc następujący monolog na tematy naukowe: - Teoria nawigacji przy szybkościach większych od szybkości światła była dotychczas bardzo niesprecyzowaną doktryną. Ostatnio jednak opracowano metodę matematyczną, która pokonuje specyficzne przeszkody związane z tym problemem. Osiągnięto już nawet pozytywne rezultaty. Istotnym momentem przy rozwiązywaniu problemów dotychczas uważanych na nierozwiązalne matematycznie jest to, że większość założeń dawnej teorii pozostała nadal w mocy. Ogólne wnioski zostały najwyżej rozszerzone, lecz nie odrzucone czy zastąpione innymi.

Reagując bardzo szybko, co dowodziło, że spodziewał się protestu, Kawley obrócił się w kierunku podniesionej ręki. Wywołał nazwisko studenta: - Porucznik Riggs, proszę!

- Panie majorze - odezwał się wysoki blondyn. - Dotychczas słyszałem, że metody matematyczne zajmujące się tym problemem nie zostały na tyle rozwinięte, by go definitywnie rozwiązać. Zasady geometrii trójwymiarowej w najlepszym wypadku dostarczą nam analogii i przybliżonych przykładów sytuacji, które z samego swojego założenia mogą być rozwiązane jedynie według zasad geometrii czterowymiarowej. O ile wiem, nasza wiedza dotycząca geometrii czterowymiarowej w zakresie analizy wektorów i teorii kwantów jest zbyt skąpa, aby zapewnić pełne rozwiązanie tego problemu.

Wykładowca uśmiechnął się i oparł o politurowany orzechowy blat biurka. - Wprost przeciwnie, poruczniku Riggs - odpowiedział krótko, przesuwając dłonią po kruczych włosach. - Jak powiedziałem, ostatnie osiągnięcia w zakresie rozwoju teorii matematycznej umożliwiły nam osiągnięcie rozwiązania ostatecznego.

Riggs nie próbował po raz drugi podnosić ręki - spytał wprost z przesadną grzecnością: - Czy mogę zacytować podręcznik?

Major z uśmiechem skinął głową, Riggs wziął z ławki gruby, oprawny w błękitne płótno tom, opracowany przez naukowców Przestrzennego Patrolu do użytku szkolnego, zaczął wertować strony, aż znalazł właściwe miejsce. Podniósł wzrok na wykładowcę i przeczytał kilka wierszy: - "Teoretyzowanie w zakresie problemów nawigacji w szybkościach supraświatlnych w najlepszym wypadku może umożliwić nam postawienie takich czy innych hipotez, oczywiście hipotez bardzo prawdopodobnych, niemniej ostateczne i właściwe rozwiązanie jest z natury rzeczy nieosiągalne". Zamknął wolno książkę i usiadł patrząc z podniesionymi brwiami na wykładowcę. Na sali wykładowej panowało pełne napięcia oczekiwanie na następną fazę sytuacji, którą od dawna już określono jako walkę między Hawleyem a jego najzdolniejszym studentem. Major wydawał się zdziwiony. - Czy w podręczniku naprawdę tak napisane, poruczniku Riggs? - spytał lekko niespokojnym głosem.

- Tak jest, panie majorze - odparł Riggs usiłując nadać głosowi spokojne brzmienie.

Studenci wstrzymali oddech, przeczuwając, co teraz nastąpi. Hawley przechylił głowę nieco na bok, jakby zastanawiał się nad usłyszczanymi przed chwilą słowami, i lekko skinął w zamyśleniu głową. Potem pochylił się, czarne oczy błysnęły nieomal wesoło w kierunku Riggsa. - Postaram się, aby tekst został zmieniony, poruczniku - odparł spokojnie.

Sala wybuchnęła śmiechem, a Hawley zszedł z podium mówiąc: - Na dziś koniec, panowie.

Riggs z twarzą płonąca wstał sztywno i wraz z innymi opuścił salę.

Na korytarzu zatrzymał go kolega dzielący z nim pokój. - Wracasz do siebie, Bo? - spytał swego nadal rozgniewanego kolegę.

Riggs mruknął potwierdzającą odpowiedź i przeszedł kilka kroków w milczeniu. - A tam, niech diabli wezmą Hawleya! - zaklął nagle.

Mał Burt roześmiał się. - Uwiera cię on trochę - zachichotał. - Myślałem, że zdechnę, kiedy powiedział, że zmieni tekst podręcznika.

Riggs wykrzywił wargi w złym grymasie i prychnął: - Jestem pewien, że wypracowałem sobie jakieś czterowymiarowe równania. Najlepszy matematyczny teoretyk Patrolu, wiem, ale nie musi tego wcierać tak pod skórę, skąd miałem wiedzieć? - Obaj porucznicy zaszalutowali bez entuzjazmu, gdy gromadka przechodzących studentów-szeregowców sprężyście podniosła dłonie do czoł.

Burt śmiał się przez całą drogę idąc brukowanym podwórzem do kwater. - Chyba wszyscy mamy jedno zdanie o starym. Tak, on zawsze daje człowiekowi do zrozumienia, że niewysokie ma pojęcie o jego inteligencji i możliwościach umysłowych.

Riggs wybuchnął jeszcze raz, gdy skręcili na ścieżkę prowadzącą do długiego przezroczystego budynku, w którym mieszkali. - To, psia krew, jego kompleks niższości. Głupio mu, że jest taki niski, po prostu w tym cała rzecz. Chyba jedyny powód, dlaczego rok w rok staje do egzaminu na odnowienie licencji pilota przestrzennego. Lubi tym imponować. Wydaje mu się, że jest przez to lepszy niż w rzeczywistości. Nadęty osioł. Burt spojrzał z ukosa na kolegę. - Tak bym nie powiedział. Nie można mu się dziwić, że się chlubi swoimi osiągnięciami. Najstarszy pilot posiadający licencję przestrzenną. Większość odpada mając pięć lat mniej od niego. On już pewno skończył trzydzieści pięć lat. - Wiem, wiem, wszystko wiem. Rzadka rzecz mieć w tym wieku podobnie szybki refleks, wiem wszystko, ale chodzi mi o sposób, w jaki to okazuje. Wiem również, że celowo próbował mnie złapać podczas dzisiejszego wykładu. Nie musiał przecież zaczynać dziś wykładu o supraświatlnych szybkościach. Wiedział doskonale, że ja jeden z całej klasy mogę się nie zgodzić z jego twierdzeniem w sprawie ostatecznego rozwiązania. Wyobrażam go sobie w tej chwili: zadowolony bęcwał, śmieje się, że mu się podłożyłem! - chrząknął z oburzeniem.

- No, zostało nam jeszcze tylko dwa tygodnie - odezwał się Burt, gdy wchodzili po stopniach do budynku mieszkalnego znowu oddając komuś wojskowy ukłon. - Wracamy do Patrolu piętnastego czerwca. Będę równie zadowolony jak i ty pozbywając się zmory Hawleya.

Ledwo obydwaj weszli do surowo umeblowanego pomieszczenia i usiedli na chwilę w fotelach, gdy rozległo się pukanie. Riggs powiedział: wejść, otworzyły się drzwi, stanął w nich ordynans. Zgrabnie zaszalutował i wyrecytował:

- Generał Conklin prosi porucznika Riggsa o zameldowanie się w dowództwie.

Riggs skinął głową i sierżant wyszedł. Spojrzał na przyjaciela. - Co to znowu może być, Mai? - spytał.

Burt potrząsnął głową. - Lepiej goń - poradził. - Conk nie lubi czekać.

Szybko sprawdzwszy szczegóły umundurowania, Riggs poszedł do biura komendanta bazy, najstarszego stopniem oficera ziemskiej placówki Patrolu.

Stanął na chwilę przed drzwiami, na których widniał napis: "Generał Conklin, komendant Bazy", wciągnął brzuch, cofnął brodę i zdecydowanie zapukał. Na słowo "wejść" z drugiej strony, otworzył drzwi i zsalutował stojąc na baczność.

Conklin, siwy weteran wielu patroli przestrzennych, przeszył go ostrym spojrzeniem, potem odezwał się: - A tak, porucznik Riggs. Spocznij.

Conklin sięgnął do teczki, z której wyjął kilka kartek zapisanych na maszynie. - Za dwa tygodnie odchodzicie na służbę patrolową - oświadczył.-Niniejszym komunikuję wam o nadaniu stopnia kapitana na dziewięćdziesięciodniowy okres trwania patrolu.

Riggs aż zamrugał słysząc niespodziewaną wiadomość i udało mu się wykrztusić: - Tak jest, panie generale.

Conklin odłożył papiery i pochylił się. - Również podaję wam do wiadomości, kapitanie Riggs, że zostaliście wyznaczeni na egzaminatora drugiego pilota podczas patrolu. Oczywiście znacie obowiązek utrzymania tej sprawy w absolutnej tajemnicy.

- Tak jest, panie generale - powtórzył Riggs.

- Otrzymaliście promocję na kapitana w tym celu, abyście mogli być pierwszym oficerem na pokładzie i kopilotem. Waszym zadaniem jest obserwować technikę operatywną waszego przełożonego przy sterach i postawienie wniosku, czy jego licencja pilota przestrzennego ma być przedłużona na następny rok czy też cofnięta. - Generał podniósł wzrok na stojącą przed nim wyprostowaną sylwetkę oficera. - Major Hawley będzie drugim pilotem i kapitanem statku - powiedział i zauważył, jak przy tych słowach Riggs lekko drgnął. - Nie potrzebuję dodawać, że wasze zadanie będzie niesłychanie delikatne z powodów, których również nie muszę wymieniać.

Zamilkł, a z wirujących w głowie Riggsa myśli wyłoniło się jedno, że "niesłychanie delikatne" nie oddaje w pełni sytuacji. On egzaminatorem Filipa Hawleya! Co za zadanie!

- Piętnastego czerwca wystartujecie na dziewięćdziesięciodniowy patrol - ciągnął dalej Conklin. - Waszym zadaniem będzie obsługa i kontrola trzydziestu automatycznych obserwatoriów na trasie, zabranie zdjęć kontrolnych i sprawdzenie ich. We właściwym czasie dowiedziecie się nazwy statku. - Komendant podał Riggsowi odpowiednie rozkazy. - To wszystko, kapitanie!

Riggs zsalutował. - Panie generale - powiedział niepewnie. - Czy mogę zamienić z panem generałem kilka słów. Niesłużbowo?

- Oczywiście, słucham.

- Panie generale, bardzo cenię sobie awans i szansę wykazania się, że na niego zasługuję, uważam jednak za konieczne wyjaśnić, że nie jestem właściwą osobą na egzaminatora. Major Hawley i ja niezbyt przypadliśmy sobie do gustu i boję się, że mogę okazać w stosunku do niego pewne uprzedzenie.

Conklin rozparł się w fotelu i roześmiał. - Wątpię, czy znalazłbym kogoś z waszego kursu, który by nie miał podobnych zastrzeżeń, Riggs. Technika szkolna Hawleya jest, powiedzmy sobie, nieco brutalna, ale podczas patrolu nie będzie z nim źle. Poza tym wydaje mi się, a mam ku temu podstawy, że Hawley ceni was bardziej niż innych studentów. Nie będziecie mieli specjalnych trudności. Bardzo mi przyjemnie, że szczerze przyznaliście się do subiektywnych uprzedzeń, kapitanie - zakończył.

Riggs zsalutował. - Dziękuję, panie generale. Postaram się jak najlepiej wywiązać z zadania.

Na skinienie głowy generała Riggs zrobił sprężysty zwrot w tył i opuścił gabinet, nadzwyczaj zdumiony wypowiedzianym przez Conklina między wierszami oświadczeniem, że Hawley dał mu dobrą ocenę z teorii nawigacji.

Następne dwa tygodnie minęły niesłuchanie szybko i Riggs otrzymał przydział, o czym został już poprzednio uprzedzony, do jednego ze statków Floty Obsługi lub też, jak ją popularnie nazywano w Patrołu, do "Małej Floty". Powyższą nazwę formacja zawdzięczała temu, że każdy jej statek określony był mianem "mały". Statek Riggsa nazywał się "Mały Wodospad", wiozł pełny ładunek materiałów napędowych do atomowych motorów automatycznych obserwatoriów na trzydziestu różnych planetach wielu pobliskich słońc oraz olbrzymie zapasy materiałów fotograficznych w celu uzupełnienia nieomal wyczerpanych już ładowników teleskopowych kamer.

Obserwatoria, w wielu wypadkach umieszczone na planetach, gdzie istniały warunki nieodpowiednie dla ludzi, kontrolowane były co trzy ziemskie lata. Naświetlone taśmy wyjmowano z kamer teleskopowych i wywoływano na statku podczas jego podróży przestrzennej do następnej planety, a następnie wyświetlano je w projektorach filmowych, aby sprawdzić, czy są na nich zarejestrowane jakieś ciekawe astronomiczne wydarzenia.

Ponieważ w większości kamer obserwatoryjnych naświetlano jedną klatkę co parę dni, a w wyjątkowym wypadku parę klatek dziennie, przepuszczenie negatywów przez projektor filmowy z normalną szybkością i obejrzenie wszystkich Novae i komet, jakie zostały zarejestrowane w okresie pracy kamery, nie wymagało wiele czasu. Bardziej dokładne wykresy, sporządzone przez detektory promieni kosmicznych i tym podobne aparaty były przywożone na Ziemię w celu dokonania bardziej szczegółowej ekspertyzy przez naukowców.

Szóstego dnia podróży "Mały Wodospad" zbliżał się do układu Rigela VI na zmniejszonej szybkości, dziesięcioosobową załogę chroniły przed natychmiastową annihilacją inercyjne ekrany, które pozwalają istotom ludzkim wytrzymać tak ogromne przyśpieszenie. Właśnie to przyśpieszenie pozwoliło człowiekowi zbliżyć się do gwiazd. Cała załoga zdążyła się już poznać, gdyż nikt oprócz Hawleya i Riggsa nie znał się przedtem. Ogólną zasadą przy dobieraniu personelu na patrol było umożliwienie każdemu poznania jak najszerszego zakresu patrolowych obowiązków i zdobycie przez ekspertów technicznych, takich jak na przykład specjalistów od promieniowania kosmicznego, bezpośrednich wiadomości o jak największej połaci galaktyki.

W kabinie nawigacyjnej, obserwując Rigela VI i jego cztery planety rosnące na videonie, znajdowało się czterech ludzi odpowiedzialnych za nawigację i pilotaż statku przestrzennego: Hawley - dowódca i pierwszy pilot, Riggs - pierwszy oficer i kopilot, Art Price - kalkulator, Tom Mercer - nawigator.

Hawley i Riggs siedzieli w milczeniu obok siebie przy podwójnym urządzeniu sterowym, Mercer i Price za pilotami, naprzeciwko siebie przed dwiema maszynami analitycznymi, i określali położenie statku nieustannie biorąc pomiary przez małe teleskopy i wytyczając kurs do lądowania.

Hawley spojrzał na Riggsa, który usiłował swoim dwudziestu czterem latom nadać powagę usprawiedliwiająca stopień kapitana. Ląduj - powiedział Hawley. - Odzwyczyłem się trochę. Nie lądowałem od dziewięciu miesięcy.

- Tak jest - odparł Riggs zastanawiając się, czy Hawley w przyszłości też będzie odstępował mu lądowania. Zbliżali się do drugiej planety zielonawego słońca. Tym razem planeta nie miała atmosfery, co ułatwiało podejście. Price i Mercer już określili miejsce, gdzie znajdowało się obserwatorium - na oświetlonej półkuli planety - i obliczali dokładne położenie statku. Obie maszyny analityczne na zmianę klekotały, wirowały w nich kółka w miarę podsuwania im nowych współrzędnych i kasowania starych.

Gdy zbliżył się czas podejścia, Riggs zasunął płytę czołową przestrzennego hełmu, które wszyscy już poprzednio włożyli jako środek zabezpieczający, i powiedział obojętnie: - Riggs sprawdza. Raz, dwa, trzy, cztery.

“Raz, dwa, trzy, cztery”. Brzęczące głosy pozostałych dziewięciu ludzi załogi odezwały się kolejno w słuchawkach.

W odległości nieco mniejszej niż sto kilometrów od gładkiej, nagiej powierzchni planety Riggs przesunął kabel urządzenia hamującego, włączając do akcji węglowodorowe rakiety sterownicze. - Dobra, Price! - syknął, a własny głos w hełmie zadzwonił mu obco i głucho.

Kalkulator natychmiast podał mu trzy liczby określające pozycję statku w stosunku do lądowiska.

Metoda lądowania statków przestrzennych została opracowana przed wieloma laty i nie uległa żadnym podstawowym zmianom, chociaż inne techniki poszły daleko naprzód, gdyż przedstawiała symbol prostoty uwzględniając problem, jaki należało rozwiązać przy lądowaniu. Wszystkie planety, na jakich kiedykolwiek lądowano, otrzymały teoretyczne bieguny, północny i południowy, określone przez obliczenie i zestawienie osi planety do powierzchni ekliptycznej systemu słonecznego. Trzy współrzędne określały położenie statku przestrzennego w stosunku do jakiegokolwiek punktu na planecie. Te trzy współrzędne wyprowadzono w kierunku północnego - albo południowego - planety, z kierunku wschodniego - albo zachodniego - planety, i wreszcie z najbliższej odległości od planety. Wprawnymi, nieomal automatycznymi ruchami, które były rezultatem dużej wprawy, Riggs wkrótce naprowadził statek nad lądowisko tuż koło obserwatorium, opuszczając się ku powierzchni pionowo najprostszym systemem lądowania. Co parę sekund Price wyszczeniwał w słuchawki Riggsa trzy liczby określające położenie, ale obecnie dwie z nich wyrażały się przez zero, gdyż Riggs utrzymywał statek pionowo nad lądowiskiem i nie miał odchylenia w kierunku północnym czy południowym lub zachodnim czy wschodnim.

Kiedy statek znalazł się na kilkaset metrów nad powierzchnią, wytraciwszy prawie całą szybkość, Riggs położył statek na bok i doprowadził go do ziemi przy pomocy rakiet sterowniczych, bez żadnego wstrząsu.

Załoga odpięła pasy bezpieczeństwa i podeszła do prawej ściany kabiny nawigacyjnej.

Hawley rzucił okiem na instrument pomiarowy, nim opuścił miejsce pilota. - Zużyłeś prawie cały materiał pędny przewidziany na punktowe lądowanie G 6, Riggs - zauważył.

Kopilot skinął głową. - Tak jest, panie majorze. Nie ma sensu za pierwszym razem robić sztuki. Podczas lądowania nie wolno popełnić błędu.

Hawley uśmiechnął się szeroko. - Mądre słowa, kapitanie!

Riggs odwrócił głowę, żeby ukryć swoją złość, w duchu wymyślał sobie za zbędne słowa. W uszach ironicznie zabrzmiało mu zdanie Conklina, że z Hawleyem nie jest źle podczas patrolu. Był wdzięczny za regulamin pracy, który przez następne kilka minut pozwalał mu uwolnić się od Hawleya. Będzie obsługiwać teraz obserwatorium i przez ten czas ochłonie.

Hawley pozostał na pokładzie, natomiast Riggs poprowadził astronoma Clarka i Cutlera, jednego z techników, do kopuły obserwatorium. Cutler ciągnął za sobą mały dwukołowy wózek wyładowany świeżymi filmami. Niska grawitacja planety ułatwiała chodzenie mimo ciężkich kombinezonów “przestrzennych. Riggs poprowadził ich do komory wejściowej przy kopule i szybko otworzył drzwi. Pozostali dwaj szli za nim. Wewnątrz zapłonęły nikłym światłem lampy radiumowe rozżarzając się wolno, włączył je automatyczny przełącznik połączony z komorą wejściową. W rosnącym świetle Clark podszedł do średniej wielkości reflektora sprawdzając smarownice i stan wielu motorów współdziałających z mechanizmem zegarowym. Podczas gdy Riggs sprawdzał chronometr obserwatorium z czasem chronometru pokładowego, Clark i Cutler szybko wyjęli stare ładowniki z delikatnych kamer i na ich miejsce włożyli nowe. Pozostała jeszcze ostatnia czynność: wyjęcie rolek papieru z wykresami z detektorów kosmicznych. Potem wrócili na pokład.

Kiedy weszli do komory ciśnieniowej “Małego Wodospadu”, załoga pod dowództwem Hawleya

właśnie kończyła tankowanie paliwa do zbiorników obserwatorium. Destylowana woda służyła za materiał pędny motorów obsługujących stację. Nie upłynęła godzina od chwili lądowania, gdy powietrzny statek podniósł nos ku niebu, a z wielkich otworów wydechowych zionął ogień na zamrożoną powierzchnię planety. Następnie "Mały Wodospad" pomknął w przestrzeń, w kierunku odległego słońca.

Riggs przez kilka minut siedział koło dowódcy przy urządzeniach sterowniczych słuchając zmian w kursie podawanym przez Mercera, który zmienił Price'a. Wreszcie major oparł się o siedzenie. - Teraz łatwo powinniśmy dopłynąć - powiedział.

Riggs w milczeniu skinął głową nie ufając niezręcznemu językowi na delikatnym gruncie.

- Aha, Riggs - zwrócił się do niego Hawley. - Wyregulowałeś zegary?

- Nie, panie majorze - odparł Riggs. - Różnica wynosiła tylko dwie dziesiąte sekundy. Nie warto było się tym zajmować. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wprowadziłbym jeszcze większy błąd.

Hawley zgodził się w milczeniu, potem obrócił się do pozostałych dwóch oficerów - Prawdopodobnie chłopcy w laboratorium potrzebują pomocy przy wywoływaniu i kopiowaniu taśm. - Może byście im pomogli?

Obaj nawigatorzy i Riggs wstali i zaczęli zdejmować kombinezony przestrzenne, aby, w myśl polecenia udać się do laboratorium o trzy piętra niżej, pozostawiając "Mały Wodospad" prozaicznej podróży w próżni międzygwiazdnej.

Mijały dni, "Mały Wodospad" raz przyspieszał, raz zmniejszał swoją szybkość odwiedzając planetę po planecie. Absorbujące obowiązki zbierania i uzupełniania filmów, wywoływania ich i sprawdzania pozostawiały mało czasu na pogłębienie osobistych kontaktów Riggsa i Hawleya. Kopilot, nieustannie świadomy powierzonej mu poufnej misji, czynił wszelkie wysiłki, by między nim a jego przełożonym ułożyły się jak najbardziej poprawne i obojętne stosunki, gdyż ciągle obawiał się otwartego sporu, który w każdej chwili mógł wyniknąć. Musiał jednak przyznać, że Hawley posiadał wszystkie zalety dobrego pilota. Po pierwszym lądowaniu, które odstąpił Riggsowi, lądował już na zmianę z kopilotem, wykonując dobre, łagodne podejścia w różnej grawitacji i przy różnym ciśnieniu atmosferycznym, nigdy nie okazując najmniejszego zdenerwowania czy wahania.

Mimo to Riggs ciągle się zastanawiał, jak wypadłoby Hawleyowi lądowanie z podejściem płaskim a nie pionowym, gdyby takie musiał wykonać. Hawley nie lubił "koronkowych" podejść przed opuszczeniem się w dół, zawsze ostrożnie podprowadzał statek tuż nad lądowisko. Riggs taktownie unikał podejść kątowych, czując, że Hawley widziałby w tym osobiste wyzwanie, a jeszcze bardziej obawiał się ironicznych uwag majora tak sprytnie umieszczanych między wierszami pozornie niewinnej rozmowy.

Dopiero po piętnastu przewidzianych rozkładem lądowaniach wydarzyła się sytuacja, której Riggs oczekiwał. System planetarny Rigela II był nadzwyczaj ciekawy z punktu widzenia ziemskich astronomów, gdyż stanowił jeden z niewielu przykładów odstępstwa od zasadniczego wzoru, w którym wszystkie planety słońca znajdują się mniej więcej na jednej płaszczyźnie. Dziewięć planet słońca obracało się na dziewięciu różnych płaszczyznach, a nawet i te dziewięć księżyców nie zachowywało się jednakowo. Podobny układ ciał planetarnych, choć zgodny z ogólną teorią pochodzenia systemów planetarnych, wzbudzał jednak wielkie zainteresowanie i dlatego ulokowano wiele obserwatorów na planetach tego systemu.

System Rigela II wymagał ponadto dokładnej obserwacji z tego względu, że jego pierwsza planeta, wielkie ciało niebieskie o gęstej atmosferze, olbrzymiej temperaturze na powierzchni i wysokim

ciśnieniu, zdradzała objawy życia organicznego. Warunki klimatyczne na powierzchni uniemożliwiały lądowanie tam istotom ludzkim, ulokowano więc jedynie obserwatorium na jej księżycu, satelicie, który zawsze znajdował się na wprost swojej matki. Księżyc ten, tak jak i jego planeta, był często przesłonięty chmurami i właśnie w takim okresie czasu Hawley zbliżał się do niego z zamiarem lądowania.

Nawigator i kalkulator z powodu chmur nie mogli podawać dokładnych pomiarów, wobec czego Hawley musiał w ostatniej chwili zmienić kurs i zastosować podejście kątowe. Riggs poczuł wielkie napięcie, gdy Mercer wreszcie określił położenie obserwatorium -znacznie poza kursem, zbyt daleko, by można teraz przedsięwziąć pionowe lądowanie.

Ku wielkiemu zdumieniu kopilota Hawley nie zażądał od kalkulatora równania wyrażającego optymalny kurs "Małego Wodospadu" przez atmosferę księżyca. Siedział w milczeniu przy sterach, słuchając współrzędnych, które mu Mercer od czasu do czasu podawał. Riggs usiłował w pamięci obliczyć to równanie, co najprawdopodobniej robił w tej chwili również i Hawley - równanie, które odpowiadałoby parabolicznej krzywej, na jakiej znajdował się statek. Riggs podziwiał pewność siebie majora, wiarę w swoje obliczenia pamięciowe w chwili, gdy pędził do lądowiska wśród chmur. Statek położył się na bok, Riggs czekał w napięciu na wstrząs. Ale Hawley wylądował jak na puchowej pierzynie. Wbrew sobie samemu Riggs nie mógł powstrzymać oddechu ulgi i podziwu dla podobnego wyczynu.

Pożałował tego natychmiast, gdy Hawley spojrzał na niego z błyskiem wesołym w oczach i powiedział: - Nieźle jak na starego człowieka, co, Riggs?

- Nieźle, panie majorze - odparł posłusznie Riggs, zadowolony, że Hawley wychodzi ze statku zabierając ze sobą całą załogę do wymiany filmów i przyniesienia wykresów z obserwatorium.

Riggs wewnątrz się wściekał na okazywaną przez Hawleya wyższość i żałował, że z nikim nie może się podzielić swoimi uczuciami. Stary osioł dumny ze swojej sprawności umysłowej! Myśli, że jest cudowny, słuchając danych kalkulatora i podstawiając je samemu pod paraboliczne równanie czwartego stopnia! Niejeden jest taki na świecie, co to potrafi, myślał Riggs. Znał sprawność matematyczną Hawleya, sam był równie dobry. Gdyby nie ten egzamin, odebrałby mu stery, major, czy nie major! Przerwał niemiłe myśli, gdy z komory ciśnieniowej wyszedł Hawley.

- Lecimy, Riggs - powiedział uśmiechając się lekko.

Riggs bez słowa usiadł za sterami, nacisnął klakson ostrzegawczy i, gdy cała załoga włożyła pasy ochronne, oderwał ostro statek od powierzchni planety.

Hawley był teraz bardziej rozmowny. Roznosi go, pomyślał Riggs. Dumny jest z tego lądowania.

- Ciekawa rzecz, jeśli idzie o to ostatnie miejsce, Riggs - zauważył Hawley. - Ma prawie atmosferę ziemi. - Nonszalancko przerzucił nogę przez oparcie fotela.

- Prawda, panie majorze - zgodził się Riggs. - Ale przyznam, że nie widziałem podobnego kłębowiska chmur jak to, w którym lądowaliśmy.

Hawley roześmiał się. - Żywy astronom zwariowałby tam w ciągu trzech miesięcy, co?

- Z pewnością - odparł Riggs mimo woli wciągając się do rozmowy. - Człowiek dziwnie to odczuwa - ciągnął. - Lata od planety do planety i nigdzie nie widzi śladów cywilizowanego życia. Weźmy na przykład ten system. Co najmniej cztery z dziewięciu planet mogłyby być zamieszkałe, zwłaszcza gdyby osadnicy zgodzili się na selekcję potomstwa. Na wszystkich jest tlen, grawitacja podobna do ziemskiej, temperatura i ciśnienie zupełnie możliwe. Powinny być zamieszkałe.

Hawley potrząsnął głową. - Zbyt wiele istnieje przeciwko temu przesądów. Tu potrzebna jest nowa rasa. Te planety nigdy nie zostaną skolonizowane przez Ziemię. Ale jak tylko rozrośnie się te parę kolonii obecnie istniejących, zaczną kolonizować całą galaktykę. Będą mieli w krwi spadek

pionierstwa, nie będą specjalnie związani z planetą, na której się wychowali. A z tym jest cały kłopot na Ziemi. Ugrupowania ludnościowe żyją w stagnacji od wielu tysięcy lat, zbyt wiele czynników łączy ich z rodzinną ziemią. Trudno mieć nawet o to pretensję.

Riggs był zadowolony, że jego przełożony potrafi rozmawiać i zachowywać się jak zwykła istota - jeśli ma po temu okazję - i postanowił co najmniej dorównać lądowaniu Hawleya na następnej planecie. Dlatego też zbliżył się do drugiej planety Rigela II pod ostrym kątem do powierzchni i tak samo jak Hawley nie zażądał od kalkulatora opracowanego równania, szybko sam rozwiązał paraboliczne równanie piątego stopnia liczb potencjalnych, określających kurs statku, i zaczął pamięciowo odejmować dane kierunków, dzięki czemu mógł określić wyjście "Małego Wodospadu" poza kurs. Prawie podświadomie słyszał klekot kalkulatora Mercera i głos Price'a podającego współrzędne. Czyli Mercer mu nie ufa, przelicza współrzędne, aby sprawdzić, czy Riggs znajduje się w granicach ogólnego równania.

Mimo oczywistych wątpliwości nawigatora Riggs z powodzeniem wylądował bez pomocy nawigatora i kalkulatora.

Hawley nie zrobił żadnej uwagi na temat lądowania. Raczej znaczące milczenie nawigatora i kalkulatora, którzy zdawali sobie świetnie sprawę, że obaj piloci dokonali wspaniałego wyczynu, jeśli idzie o pamięciowe obliczenia w niesłychanie trudnych warunkach umysłowego napięcia, wskazywało na to, że wszyscy w kabinie nawigacyjnej już rozumieją, że Riggs przyjął wyzwanie Hawleya i że jest gotów podjąć każdy problem, jaki podejmie starszy mężczyzna.

Kopilota nie czekało rozczarowanie. Przy następnym lądowaniu na trzeciej planecie Rigela II Hawley dokonał nieomal niemożliwej rzeczy - użył tylko jednej rakiety sterującej do położenia statku na bok przy lądowaniu.

Napięcie, chociaż wielkie u obu pilotów, odbijało się najbardziej na nawigatorze i kalkulatorze. Po zatykającym dech pokazie spiralnego podejścia przy wielkiej szybkości, dokonanego przez Hawleya nad planetą siódmą Rigela II, Mercer zwrócił się do Riggsa, gdy Hawley wyprowadził część załogi do obsłużenia laboratorium.

- Przepraszam, kapitanie - powiedział salutując.- Może nie powinienem się odzywać, ale to współzawodniczenie między panem i Hawleyem przyjęło niebezpieczne formy. - Przełknął ślinę, jakby oczekując surowej reprimendy. Riggs chwilę się uśmiechał, nim odpowiedział nawigatorowi.

- Ma pan rację, Mercer. Hawley bez wątpienia potrafi to, co jakikolwiek inny pilot w Patroli. I nie sądzę, że pokazał już wszystko. Przypuszczam również, że potrafiłbym dorównać jego umiejętności pamięciowego obliczenia trójwymiarowej krzywej do ślepego lądowania, ale chciałbym to zrobić sam, bez dziewięciu facetów za plecami. Myślę, że przy następnym lądowaniu zrezygnuję ze współzawodnictwa.

- Tak jest, panie kapitanie - wymamrotał Mercer. - Mam nadzieję, że nie ma pan do mnie pretensji, że o tym mówię? - zapytał.

- Ależ nie, Mercer! - odparł kopilot. - I tak nie wiem, jak potrafiliście to wytrzymać do tej chwili. Całe szczęście, że pozostali na statku nie wiedzą, co się tu dzieje. Ci, co nie mają przestrzennej licencji, zwariowaliby ze strachu.

- Właśnie, właśnie, panie kapitanie! - odparł Mercer, a w kącikach ust pojawił mu się drobny uśmiezek. - Price puścił parę, że panowie obaj robicie między sobą takie zawody, i Clark odchodzi niemal od zmysłów, kiedy za każdym razem próbujecie czegoś trudniejszego. Nie byłoby tak źle, gdyby panowie wprowadzali tylko współrzędne na równanie, które ja bym wam podał, ale to obliczanie równania samemu podczas lądowania wystraszyło wszystkich. Ale i tak myślę, że bym nic

nie powiedział, gdyby mnie nie prosili ludzie.

Riggs zachichotał. - Tak też sobie myślałem, że coś się kryje w tej waszej prośbie. - Roześmiał się głośno. - Jesteście już zbyt długo w Patrolu, żeby się przejmować podobnym głupstwem jak ten mały konkursik. No dobrze, możesz powiedzieć chłopcom, że już koniec. Jednakże nie chcę, żeby Hawley o tym wiedział.

- Oczywiście, panie kapitanie - Mercer mrugnął porozumiewawczo. - Rozumiem.

Zbliżając się do dziewiątej i ostatniej planety Rigela II, Riggs podprowadził statek pod ostrym kątem, co każdy z pilotów robił już wiele razy. Widział, że Hawley przygląda mu się z wielkim zainteresowaniem, chcąc przewidzieć, na jakim typie trójwymiarowej krzywej Riggs będzie chciał zejść na dół. Ale kopilot utrzymał "Mały Wodospad" na wysokości, póki nie znalazł się nad lądowiskiem, potem opuścił się pionowo, patrząc prosto przed siebie z oczami wlepionymi w videon, żeby nie widzieć zwycięskiego uśmiechu na twarzy majora. Cholerny reklamiarz, myślał Riggs. Cyrkowy pajac. Myśli, że coś pokazał. Przynajmniej ja mam dość oleju w głowie, żeby zrezygnować, nim któryś z nas zabije całą załogę.

Mimo postanowienia, że nie okaże swoich uczuć, Riggs niemal wybuchnął, gdy Price z ulgą skomentował lądowanie, czyniąc tym pierwszą uwagę od chwili, gdy zaczęło się ich współzawodniczenie.

- Cacy, kapitanie! - powiedział.

Hawleya nagle jakby zatkało, kilka razy odkaszlnął, a kark Riggsa spurpurowiał.

- Dziękuję! - odparł chrapliwie kopilot zakłopotanemu Price'owi, który wiedział, że wpakował kij w mrowisko.

Zdając sobie sprawę, że Riggs zrezygnował, Hawley nie robił już wyszukanych podejść przy następnych lądowaniach. Odwiedzano następne słońca - według wytyczonego planu. Ale rozmaite drobne wypadki ukoronowane lądowaniem na maleńkiej piątej planecie Bruna, w Akwariusz, bardzo zaniepokoiły Riggsa.

Major Hawley podczas ostatniej wachty nie znajdował się już w swoim sarkastycznym humorze. Trzej oficerowie w kabinie nawigacyjnej byli przez cały czas narażeni na jego nieusprawiedliwione wybuchy przy lada okazji. Gdy zbliżył się czas lądowania na maleńkiej planecie, nerwowość i napięcie majora zdawały się wzrastać, a kiedy "Mały Wodospad" podchodził do lądowiska, major przestał się w ogóle odzywać do kogokolwiek.

Zgodnie z przypadającą na niego kolejną Hawley podprowadzał raketę według konwencjonalnej metody, obniżając się pionowo. Ale kiedy "Mały Wodospad" znajdował się już nad ziemią wspierany wybuchami rakiet sterujących, wyskoczył nagle z toru i długą serię zer, jakie poprzedzały współrzędną wysokości podawaną przez Price'a, zastąpiły rosące cyfry, co wskazywało, że Hawley spaskudził podejście. Zamiast poprawić kurs i powtórzyć jeden z manewrów dokonanych w układzie Rigela II, major dźwignął statek na wielką wysokość i jeszcze raz rozpoczął podejście. I tym razem zgubił tor. Usiłował ratować sytuację przechodząc do podejścia kąтового, ale Riggs siedzący w wielkim napięciu, słuchając wartości współrzędnych podawanych przez Price'a, szybko zdał sobie sprawę, że Hawley nie daje sobie rady.

Major potrząsnął zniecierpliwiony głową i zaklął. - Ty ląduj - warknął do Riggsa puszczając stery. Riggs zdecydował wyskoczyć w przestrzeń i lądować pionowo, nie próbując nawet prostować złego położenia statku, w jakie wprowadził go Hawley.

Cisza w kabinie nawigacyjnej po zakończeniu manewru przez Riggsa była znacznie głębsza niż kiedykolwiek poprzednio podczas lądowań w układzie Rigela II. Każdy odwracał oczy, aby uniknąć

wymiany porozumiewawczych spojrzeń, nieuniknionych w tym wypadku. Hawley nie rozładował sytuacji pozostając w złym humorze, nadęty, najwidoczniej zdenerwowany swoją niezdarnością.

Zgodnie z milczącą umową następne lądowanie przypadało na Riggsa. Podświadomie miał nadzieję, że też je troszkę popsuje i wbrew wszelkim wysiłkom ze swojej strony nieco przyciężko osiadł na ziemi. Hawley nie wydawał się tym pocieszony, raczej obrażony. Jednakże nic nie powiedział, przeszył tylko nieszczęśliwego pilota jadowitym spojrzeniem.

Wbrew temu, co Riggs przypuszczał, następne lądowanie Hawleya było doskonałe, mimo tego, że dokonał je w bardzo niesprzyjających okolicznościach wielkiej grawitacji i przy złej widoczności. Riggs na poły oczekiwał, że Hawley znowu się zgubi, wiedząc dobrze, jak łatwo jest utracić pewność siebie i dość szybki refleks przy lądowaniu statku na raketach sterowniczych. Ale major chociaż w piekielnym humorze, wylądował doskonale, co powtórzył jeszcze trzykrotnie w swojej kolejce przed powrotem do Bazy.

Jeszcze przed powrotem na Ziemię kopilot zaczął się martwić, co napisze w raporcie do komisji kwalifikacyjnej. Jedno złe lądowanie w zasadzie wystarczało, aby zarządzić pełną rewizję sprawy, nawet w wypadku młodych pilotów, a w wypadku Hawleya - Riggs był tego pewien - meldunek o chwilowej utracie pełnej sprawności wystarczy, by odebrać starzejącemu się pilotowi licencję.

Złe lądowanie całkowicie zerwało wątłe stosunki między pilotami. Hawley rzadko się odzywał do Riggsa poza wydawaniem mu poleceń. Wkrótce przed powrotem na Ziemię obaj piloci znaleźli się w salce projekcyjnej, gdzie z oczami wlepionymi w ekran, oglądali zdjęcia dokonane w obserwatorium ostatnio skonstruowanym.

Siedzieli w milczeniu patrząc na gwiazdy w przestrzeni i nieregularne zygzaki trzech planet tego samego słońca, tak jak je uchwycił obiektyw kamery teleskopu. Nagle pojawił się punkcik świetlny w miejscu, gdzie go poprzednio nie było. Natychmiast zauważyli to obaj piloci, doświadczeni obserwatorzy podobnych zjawisk.

- Nova - wykrzyknęli nieomal jednocześnie.

Riggs zatrzymał projektor i cofnął taśmę, przesuając ją po jednej klatce. - Jest! - powiedział. - Po raz pierwszy uchwycona przez kamerę w sto cztery dni po załadowaniu nowych filmów. - Włączył z powrotem projektor. Dalej przyglądali się jak nova szybko rośnie, potem nagle znika.

- Psiakrew! - mruknął Hawley. - To było krótkie. Ile czasu trwało?

Riggs odczytał datę z klatki filmu. - Według fotografii, czterysta dwadzieścia ziemskich dni od pojawienia się do zniknięcia, ale w rzeczywistości krócej. Skurczyła się do dwudziestej wielkości w mniej więcej dwieście dni. Wygląda, że hipoteza Huntera może być słuszna, co?

Hawley potrząsał głową, gdy reszta taśmy przesuwała się przez projektor nie przynosząc już nic więcej ciekawego. - Bo ja wiem? Nie jestem mocny w teorii nova. Specjalizuję się raczej w teorii nawigacji. To moje główne zainteresowanie. - Zapalił światła w małej salce projekcyjnej. - Przypuszczam, że wkrótce będę uczył przez dwanaście miesięcy w roku - zauważył nie patrząc na Riggsa.

Kopilot lekko drgnął. Niebezpieczna uwaga. Na wszelki wypadek nic nie odpowiedział.

- No, co myślisz? - spytał Hawley wpatrując się w twarz kapitana.

- No... nie wiem, panie majorze - odparł Riggs. - Jeśli pan tak lubi pracę naukową, to dlaczego nie.

- Nie udawaj głupiego, Riggs - skoczył na niego

Hawley. - Dobrze wiesz, o czym mówię. Mogą mi odebrać licencje.

Kopilot nadal zachowywał milczenie.

- No? - nalegał major. - Nie sądzisz, że mi odbiorą?

Riggs potrząsnął głową i przełknął ślinę, nim odpowiedział. - Trudno mi przewidzieć, panie

majorze. Myślę, że to zależy od egzaminatora. Nie widzę powodu... - zaczął i urwał.

Hawley uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Nie oszukasz mnie, Riggs - powiedział. - Wiem, że ty jesteś owym egzaminatorem. Twój raport będzie decydujący dla komisji. Prawda?

Riggs nie odpowiedział.

- Dobrze, już dobrze. Wiem, że nie wolno ci o tym mówić, ale nie oszukasz mnie ani na chwilę. Conklin jest równie taktowny jak słoń. Wybrał ciebie, ponieważ wystawiłem ci najwyższą ocenę w teorii nawigacji. Stary mors! - Roześmiał się z goryczą. - No tak, kiedyś musiało to nastąpić. Marzyłem, że utrzymam licencję do czterdziestego roku życia. Jeszcze cztery lata.

Riggs nie odzywał się ładując film do puszek.

- Zupełnie nie rozumiem, co mi się stało podczas tego lądowania ciągnął major. - Musiałem się po prostu nad czymś zamyślić. Przecież nie miałem żadnych kłopotów z tymi skomplikowanymi lądowaniami na Rigelu II - rzucił pytające spojrzenie na Riggsa, ale kopilot nie zachęcił go do dalszych wynurzeń.

- Dobrze, dobrze - mruknął Hawley - już będę grzecznym chłopcem. - Poszedł w kierunku drzwi zostawiając Riggsa przy projektorze. - Tylko mnie nie oszukuj! - powiedział Hawley z ręką na klamce. - Wiem dobrze, żeś się na mnie czaił od chwili, kiedy wyruszyliśmy na ten patrol. Mścisz się za to, jak cię traktowałem podczas wykładów, prawda? Wiem, wiem, niewdzięczny szczeniaku! - jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wyszedł, nim Riggs mógł zaprzeczyć temu oskarżeniu.

Riggs stał przy projektorze, mechanicznie wyłączając kontakty, na poły zadowolony, że nie miał okazji zaprzeczyć oskarżeniu Hawleya. Sam nie był zupełnie pewien, czy tak naprawdę nie jest. I w dalszym ciągu nie wiedział, co napisać w raporcie. Hawley bez wątpienia wykonał zły manewr przy lądowaniu. Pomylił się, zgubił, a co najgorsze, zrezygnował. Z drugiej jednak strony pozostawał fakt, że wykonał z powodzeniem wiele innych niesłychanie trudnych podejść poprzedzających to jedno błędne, i wiele doskonałych lądowań potem. Co za problem!

Na Ziemi, po wykonaniu wszystkich zadań patrolowych bez komplikacji i nie rozmawiając więcej z Hawleyem, Riggs miał dwa dni na napisanie raportu dla komisji kwalifikacyjnej. Poszedł wreszcie na posiedzenie komisji z bardzo mieszanymi uczuciami i bardzo niepewny swojej decyzji.

Trzej członkowie komisji siedzieli sztywni i uroczyści za długim stołem w jednym końcu sali, Hawley przybył tu już przed Riggssem i nie okazał zdziwienia, gdy ujrzał porucznika. Riggs starał się opanować, gdyż czuł paraliżujący go strach przed chwilą, gdy będzie musiał wstać - obecnie znowu w randze podporucznika - trzymając w ręku kilka kartek i odczytać raport. Przeklinał swoje drżące palce, wiedząc, że zdradzą go, gdy będzie mówił.

Generał Conklin, przewodniczący komisji, odchrząknął i odezwał się: - Porucznik Riggs, prosimy!

Riggs wstał opierając się o krawędź stołu, aby ukryć drżenie kolan. - Tak jest, panie generale! - odparł usiłując ukryć drżenie głosu. Kątem oka widział zarozumiały uśmiech na twarzy Hawleya.

Generał Conklin ciągnął dalej: - Jako egzaminator na pokładzie "Małego Wodospadu" składa pan raport dotyczący kwalifikacji członka załogi poddanego egzaminowi.

Riggs bez słów zasalutował i zmusił się do otworzenia ust.

- Poza mną na pokładzie znajdował się tylko jeden pilot, panie generale, major Hawley. Major Hawley okazał całkowite opanowanie wszystkich szczegółów pilotażu rakiety oraz doskonałe teoretyczne opanowanie pilotażu.

Usłyszał głęboki oddech obecnych, którym zareagowali na lekki akcent położony na słowie "teoretyczne". Słysząc było także cichy szmer dyktafonów rejestrujących każde słowo.

- Jednakże - ciągnął Riggs - major Hawley mimo wykonania manewrów będących wzorem

umiejętności pilotowania popełnił błąd podczas jednego z lądowań, błąd tak wielki, że przekazał mi stery. Po tym wypadku pięciokrotnie lądował z pełną sprawnością. Nie potrafię wytłumaczyć nagłego załamania się majora Hawleya. Można brać pod uwagę jego wiek, jak na pilota zaawansowany. Być może usprawiedliwia to występowanie pewnych trudności w pilotażu, progresywnie wzrastających w miarę przybywania lat. Jednakże pełna sprawność majora Hawleya i lądowanie bez widocznego napięcia przy wszystkich innych okazjach, oraz fakt, że major nie stracił wiary w siebie po nieudanym podejściu, wskazują na konieczność dalszego zbadania sprawy przez komisje. Jestem głęboko przekonany, że niepowodzenie majora Hawleya ma swoje źródło w chwilowej fizjologicznej niedoczynności, która minęła nie zauważona przez niego i której nawrót jest mało prawdopodobny, lub której źródło może być z łatwością usunięte. Dlatego też zamiast postawić wniosek, aby major Hawley wskazał powód, dla którego nie powinien być pozbawiony licencji, co mogłoby się wydawać słuszne, stawiam wniosek o przeprowadzenie pełnych fizycznych i psychologicznych badań przez komisje, a jeśli wyniki tych badań nie wykażą zmniejszenia sprawności, o przedłużenie licencji majora Hawleya na następny rok.

Riggs usiadł, czując nieco mniejsze wyrzuty sumienia z powodu swojego raportu. Wyszło raczej dobrze, był pewien, że zrobił dobrze: Hawley nie jest jeszcze wykończony. Może w następnym roku, może jeszcze w rok później, ale teraz nie odbiorą mu licencji.

Generał Conklin nie zrobił żadnej uwagi na temat raportu Riggsa, posłał tylko ordynansa, który odebrał kartki od porucznika. Generał odchrząknął i wolno powiedział: - Majorze Hawley, proszę o raport.

Było to zaskoczeniem dla Riggsa. Oczekiwał, że Hawleyowi co najwyżej dana będzie szansa obrony wobec zarzutów zawartych w raporcie Riggsa, ale ten raport ze strony kapitana statku był niespodziewany. Drobnym mężczyzną stał, wyprostowany, surowy na twarzy, czarne oczy błyszczały niebezpiecznie, poza tym nie wyrażały nic. - Melduje, że wnioski komisji co do porucznika Riggsa były całkowicie usprawiedliwione. Poza tym, że osiągnął pełną sprawność jako pilot, okazał wielki takt w delikatnych sytuacjach oraz zrównoważenie, które każe mi postawić wniosek o awansowanie zgodnie z założeniami komisji. - Major usiadł nie patrząc na swego byłego podkomendnego.

Riggs uradowany brzmieniem raportu Hawleya czuł się bardzo szczęśliwy. Spodziewał się, że obecnie Conklin wymamrocze formułkę akceptowania raportów, ale ku wielkiemu zdziwieniu porucznika generał nagle wywołał ponownie jego nazwisko. Riggs wstał.

- Biorąc pod uwagę pewne okoliczności znane wyłącznie komisji - zaczął Conklin nieomal ze skrepowaniem - jesteśmy zmuszeni odrzucić raport porucznika Riggsa w formie, w jakiej on jest wyrażony. Major Hawley niniejszym otrzymuje licencję pilota przestrzennego na dalszy rok bez potrzeby badań. Posiedzenie zakończone.

Riggs stał sztywno, czuł olbrzymi ucisk w żołądku, usiłując dotrzeć do drzwi z twarzą nie wyrażającą jego prawdziwych uczuć. Hawley także wstał i zbliżył się do niego.

Kiedy wyszli na korytarz, nim jeszcze członkowie komisji ukazali się w drzwiach, Hawley dotknął ramienia młodszego kolegi.

- Wiesz co, Riggs - powiedział uśmiechając się wreszcie naturalnie. - Masz zadatki na dobrego oficera. Tylko jedną rzecz musisz w sobie zwalczyć.

- Tak jest, panie majorze - powiedział Riggs nieszczęśliwym głosem, w zmieszaniu nie wiedząc co innego mógłby powiedzieć.

- Tak jest, tak jest - przedrzeźniał go major. - Cały kłopot w tym, Riggs, że jesteś strasznie naiwny. Czuję się nieomal obrażony tym, żeś naprawdę wierzył, że spaskudziłem to lądowanie. Nie odróżniasz prawdziwego nawalenia od udawania?

Mrugnął szatańsko i odszedł, a biedny kapitan Riggs na zmianę sztyletował go spojrzeniem i błogosławił.

Tłumaczył Jan Zakrzewski

Wszechświat - twierdzą uczeni - zawiera co najmniej 15 miliardów słońc. I tyleż co najmniej planet. Przypuśćmy, licząc najbardziej oglądnie, że tylko na jednej dziesiątej z nich istnieje życie; że w jednym wypadku na sto wytworzyło ono inteligencję, a co setna inteligencja poczyniła takie lub większe postępy, co my. Okaze się wtedy, że co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy planet jest ojczyzną wysokich cywilizacji, a co najmniej na kilku tysiącach kwitnie cywilizacja znacznie wyższa od naszej. Autorów naukowych fantazji nieraz gnębiła już myśl dlaczego, jak dotąd, nikt nie próbował nawiązać z nami kontaktu. Być może przyczyna tkwi w tej ogromnej liczbie cywilizowanych światów. Być może tworzymy tak zapadłą prowincję - w pojęciu Wszechświata - że nikt jeszcze nie zainteresował się taką podrzędną drobiną, mając ciekawsze tereny do zbadania. Lecz prędzej czy później dojdzie do takich zetknięć. A wówczas czekać nas mogą niespodzianki zupełnie zaskakujące. Oto jedna z nich.

Drogi, nieznan mi przyjacielu!

Idy otrzymałem Twój list z Międzygwiazdowego Klubu Korespondencyjnego, moim pierwszym impulsem było go wyrzucić. Nastrój istoty, która spędziła siedemdziesiąt ostatnich okresów planetarnych - Ty je na pewno nazywasz latami - w aurigańskim więzieniu, nie sprzyja beztrudnej wymianie listów. Skoro jednak życie jest już takie nudne, zdecydowałem się odpisać.

Podane przez Ciebie wiadomości o Ziemi brzmią bardzo zachęcająco. Chciałbym u was pomieszkać przez pewien czas i w związku z tym przyszła mi pewna myśl do głowy, ale nic Ci jeszcze nie powiem, póki nie obmyślę wszystkich szczegółów.

Na pewno zwróciłeś uwagę na materiał, na którym piszę mój list. Jest to niesłychanie czuła emulsja, bardzo cienka i bardzo giętka. Załączam do listu plik kartek do Twojego użytku. Pisać na nich można świetnie tęgstem zanurzonym w jakimkolwiek skoncentrowanym kwasie. Proszę Cię bardzo, korzystaj z tych kartek odpisując, gdyż moje palce są zbyt gorące (dosłownie), aby nie uszkodzić Twojego papieru.

Na tym chwilowo kończę i czekam na Twoją odpowiedź. Jeszcze raz bardzo dziękuję za list. Chociaż nie wiedziałeś, do czyich rąk on trafi, sprawiłeś mi wielką radość wnosząc w moje szare życie jasny promyk.

Skander z planety Aurigae II

Drogi przyjacielu!

Niezmiernie się ucieszyłem Twoją szybką odpowiedzią. Przykro mi, że Twój doktor sądzi, że ta korespondencja zbytnio Cię podnieca, i bardzo przepraszam, jeśli sytuacją, w jakiej się znajduję, opisałem w barwach, które zrobiły na tobie tak silne wrażenie. Ależ oczywiście możesz pytać, o co chcesz, absolutnie mi to nie przeszkadza i chętnie na wszystko odpowiem.

Pisziesz, że w Międzygwiazdowym Klubie Korespondencyjnym nie ma śladu wysłania jakiegokolwiek korespondencji na Aurigae, że według ich danych temperatura na słońcu Aurigae wynosi ponad trzysta stopni Celsjusza i że nic nie wiadomo o tym, jakoby istniało tam życie organiczne. Twój Klub ma racje, jeśli idzie o temperaturę i sprawę korespondencji. MV tutaj mamy według waszego ziemskiego określenia gorący klimat, ale z drugiej strony nie będąc istotami węglowodanowymi bardzo dobrze się czujemy w temperaturze trzystu stopni.

Przepraszam Cię jednocześnie za drobne kłamstwo w przedstawieniu sprawy listu, ale nie chciałem Cię zrazić mówiąc zbyt wiele za pierwszym razem. Nie byłem pewien, czy w ogóle będziesz chciał ze mną korespondować.

Prawda wygląda następująco: jestem uczonym i jako uczony wiedziałem, że w naszej galaktyce istnieją inne zamieszkałe systemy. Zresztą wiemy o tym od kilkuset lat. Ponieważ w więzieniu wolno mi zajmować się doświadczeniami naukowymi, zacząłem się bawić nawiązywaniem łączności z waszym systemem. Opracowałem prostą metodę włączania się w kanały komunikacyjne układu, ale dopiero po opracowaniu podprzestrzennego regulatora fal mogłem przeciągnąć Twój list (łącznie z wieloma innymi, na które nie odpowiedziałem) do chłodzonej kamery.

Chłodzona kamera jest zarówno miejscem odbierania jak i wysyłania korespondencji, a ponieważ byłeś łaskawy odpowiedzieć na kartkach, które Ci przesłałem, z łatwością udało mi się wyszukać Twój list wśród innych, które zebrały się w najbliższym ośrodku Międzygwiazdowego Klubu Korespondencyjnego.

Jak się nauczyłem waszego języka? Jest on przecież niesłychanie prosty, zwłaszcza język pisany. Będę bardzo szczęśliwy mogąc kontynuować korespondencję z Tobą, jeśli oczywiście masz na to ochotę.

Skander z planety Aurigae II

Drogi przyjacielu!

Twoje listy są dla mnie wielkim wydarzeniem. Piszesz, że nie odpowiedziałem Ci na pytanie, w jaki sposób zamierzam odwiedzić Ziemię. Przyznaję, że świadomie pominąłem to pytanie, gdyż mój eksperyment nie posunął się jeszcze dostatecznie daleko. Miej jeszcze trochę cierpliwości. Już niedługo wszystkiego się dowiesz. Masz rację uważając, że istocie, która żyje w temperaturze trzystu stopni, trudno byłoby przystosować się do warunków istniejących na Ziemi. Nigdy nie leżało w moich zamiarach poddanie mojego ciała podobnej próbie, więc możesz się nie martwić i w ogóle porzućmy chwilowo ten temat.

Jestem wzruszony delikatnością, z jaką napomykasz o moim uwięzieniu. Niepotrzebnie się jednak krępujesz. Mogę Ci odpowiedzieć na każde pytanie. Po prostu wykonywałem niedozwolone eksperymenty z własnym ciałem w sposób, jaki uznano za niebezpieczny dla ogółu. Między innymi, na przykład, obniżyłem raz temperaturę swojego ciała do osiemdziesięciu stopni

Celsjusza skracając tym samym radioaktywny cykl mojego otoczenia. To wywołało zakłócenia w normalnym przebiegu energii między istotami w całym mieście, złożono więc na mnie skargę. Mam jeszcze trzydzieści lat do odsiedzenia. Bardzo bym chciał porzucić swoje ciało i podróżować po Wszechświecie, ale, jak powiedziałem, porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Nie powiedziałbym, że jesteśmy wyższym gatunkiem żyjących istot. Mamy tylko pewne cechy, których wy nie posiadacie. Żyjemy dłużej wcale nie dlatego, że mamy za sobą jakieś odkrycia przedłużające życie, ale po prostu nasze ciała są zbudowane z bardziej trwałego materiału. Nie znam waszego określenia na tę substancję, ale jej atomowy ciężar własny wynosi 52,9 (radioaktywny izotop chrojum - przypisek autora). Nasze odkrycia naukowe należą do kategorii odkryć, które normalnym trybem musiałyby być dokonane przez istoty o naszych cechach fizycznych. To, że możemy istnieć w tak wysokich temperaturach - nie umiem określić ich precyzyjniej - bardzo nam pomogło w rozwinięciu nauk o energii podprzestrzennej, która organicznie jest związana z wysokimi temperaturami i wymaga wielkiej precyzji lokacyjnej. W późniejszych fazach lokacja może być wykonywana mechanicznie, ale wszystkie prace doświadczalne wykonywane są "ręcznie". Stawiam to słowo w cudzysłowie, gdyż nie posiadamy rak w tym znaczeniu co wy.

Załączam płytę fotograficzną odpowiednio ochłodzoną i pokrytą chemikaliami pasującymi do waszego klimatu. Bardzo Cię proszę, abyś zrobił swoje zdjęcie. Wystarczy ustawić płytę z uwzględnieniem praw rozchodzenia się promieni - promienie rozchodzą się w prostej linii - więc stań po prostu przed płytą. Kiedy będziesz już gotów, pomyśl zwyczajnie: "Gotów!" Zdjęci - zrobi się automatycznie.

Zrobisz to dla mnie, prawda? Jeśli chcesz, przyślę Ci również swoje zdjęcie, chociaż muszę przestrzec, że mój wygląd prawdopodobnie bardzo Cię zaskoczy.

Oddany Skander z Aurigae II

Drogi przyjacielu!

Kreślę kilka słów w odpowiedzi na Twoje pytanie. Nie trzeba wkładać kliszy do aparatu, który opisujesz jako pudło-ciemnię. Płyta sama zrobi zdjęcie, kiedy pomyślisz: "Gotów!" Zaręczam Ci, że prześwietlenie jej nie grozi.

Skander, Planeta Aurigae

Drogi przyjacielu!

Piszesz, że czekając na odpowiedź na swój ostatni list, pokazałeś płytę jednemu z lekarzy w szpitalu. Nie rozumiem, co to znaczy doktor i szpital, ale niech będzie. Lekarz przedstawił problem władzom. Problem? Nie rozumiem. Myślałem, że po prostu toczyliśmy miłą korespondencję osobistą.

Bardzo Ci będę wdzięczny, jeśli mi prześlesz swoje zdjęcie.

Skander, Aurigae II

Drogi przyjacielu!

Zapewniam Cię, że nie jestem wcale obrażony na Twoje postępowanie. Po prostu zaskoczyłeś mnie, a poza tym jest mi przykro, że Ci jeszcze nie zwrócono płyty. Wiedząc dobrze, jak działają władze, podejrzewam, że Ci jej nie zwrócą przez długi czas, więc pozwalam sobie załączyć drugą.

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ostrzegano Cię przed kontynuowaniem korespondencji ze mną. Czego oni się boją? Że Cię zjem na odległość? Przykro mi, ale nie lubię w jadłospisie węglowodanów.

Chciałbym mieć Twoje zdjęcie jako pamiątkę naszej przyjaźni. Wyślę ci swoje, jak tylko otrzymam Twoje. Możesz je zatrzymać albo wyrzucić, albo oddać swoim władzom, w każdym razie ja będę miał spokojne sumienie, że dałem Ci to samo, o co Ciebie proszę.

Najlepsze życzenia Skander z Aurigae II

Drogi przyjacielu!

Na Twój ostatni list czekałem tak długo, że już sobie pomyślałem, żeś zdecydował się przerwać korespondencję. Zmartwił mnie brak fotografii, a także zdziwiłem się uwagą o zapaści. Pocieszyło mnie tylko oświadczenie, że wyślesz zdjęcie, jak tylko poczujesz się; lepiej - cokolwiek by to miało znaczyć. Najważniejsze jest to, żeś napisał. Szanuję filozofię Twojego Klubu, który żąda, aby jego członkowie nie pisali o smutnych rzeczach. To prawda, wszyscy mamy swoje kłopoty i uważamy, że są one znacznie ważniejsze niż kłopoty innych. Na przykład ja siedzę w więzieniu, skazany na spędzenie dalszych trzydziestu lat w odosobnieniu od nurtu życia, i myśl o tym spoczywa ciężarem na moim niespokojnym duchu, chociaż wiem, że po zwolnieniu mam przed sobą jeszcze długie życie.

Mimo przyjaznego tonu Twojego listu nie będę przekonany, żeś nawiązał ponownie dawny serdeczny kontakt, póki nie przyślesz mi fotografii.

Skander, Aurigae II

Drogi przyjacielu!

Otrzymałem fotografię. Jak słusznie przypuszczałeś, Twój wygląd mnie zaskoczył. Z poprzednich opisów usiłowałem wyobrazić sobie Twój wygląd. Niestety słowa nigdy nie potrafią właściwie oddać wyglądu przedmiotu, którego oko nigdy nie widziało.

Jak obiecałem, załączam własną fotografię. Potężny, metalicznie wyglądający gość, co? Mam nadzieje, że nie różnię się bardzo od obrazu, jaki sobie o mnie wyrobiłeś. Różne rasy, z którymi początkowo nawiązywaliśmy kontakt, zaczęły nas unikać, gdy odkryły, że jesteśmy wysoce radioaktywni, reprezentując w istocie radioaktywną formę życia, jedyną (o której wiadomo) we Wszechświecie. Bardzo przykre jest takie izolowane istnienie. W korespondencji z Tobą parę razy luźno wspominałem, że mam nadzieje nie tylko umknąć z okropnego więzienia, w którym siedzę, ale również umknąć z ciała, które samo umknąć nie może.

Na pewno zainteresuje Cię, jak bliski jestem zrealizowania tego planu. Problem zasadniczo polegał na wymianie osobowości z kimś innym. Nie jest to właściwie wymiana w dosłownym znaczeniu tego słowa. Przede wszystkim trzeba mieć pełny rejestr osobowości obu istot, ich umysłowości, ich myśli i ich ciał. Ten ostatni warunek można spełnić czysto mechanicznie, wystarczy wymienić kompletne fotografie. Przez słowo “kompletne” rozumiem takie fotografie, które obejmują całość wibracji. Wymiana fotografii polega na tym, że każda ze stron posiada przy sobie kompletną fotografię drugiej strony (Już jest za późno, drogi przyjacielu! Już płynie strumień podprzestrzennej energii między obiema płytami fotograficznymi, więc spokojnie możesz czytać dalej!) Jak powiedziałem, nie jest to w dosłownym znaczeniu słowa wymiana osobowości. Po prostu właściwa osobowość każdego z osobników zostaje znieczulona lub, jeśli wolisz to określić inaczej, wypchnięta ze świadomości, a zastępuje ją osobowość z płyty fotograficznej.

Ty zabierzesz z sobą pełną pamięć swojego życia na Ziemi, a ja pełną świadomość życia na Aurigae. Jednocześnie pozostanie na naszych usługach stłumiona pamięć ciała, w które wступujemy. Jakaś część nas zawsze będzie walczyć o odzyskanie świadomości, ale będzie jej brakowało sił, aby to osiągnąć.

Kiedy znudzi mi się życie na ziemi, wymienię się ciałem z przedstawicielem jakiejś innej rasy planetarnej. Za trzydzieści lat powrócę po moje oryginalne ciało, a Ty będziesz mógł wstąpić w ciało, z którego ostatnio korzystałem.

Podobna wymiana powinna być korzystna dla nas obu. Ty ze swoim krótkim życiem ziemskim przeżyjesz wszystkich sobie współczesnych i wzbogacisz się o interesujące doświadczenie. Przyznaję, że w ogólnym rozrachunku lepiej na tym wyjdę, no ale chwilowo dość wyjaśnień. Kiedy dojdiesz do tego miejsca listu, będę go już, właściwie czytał ja, a nie Ty. Ale jeśli jakakolwiek część Ciebie posiada jeszcze własną świadomość, żegnaj się z nią, przyjacielu. Bardzo mi było miło korespondować z Tobą. Od czasu do czasu będę pisał, abyś wiedział, jak mi się powodzi.

Oddany Ci Skander z planety Aurigae II

Drogi przyjacielu!

Skoro odkryłeś karty i ja je odkryję. Przez długi czas wahałem się, czy pozwolić Ci na podobny kawał w stosunku do mnie. Bo widzisz, naukowcy naszej planety zbadali tę pierwszą płytę fotograficzną, którą mi przysłałeś, więc ostateczna decyzja zasadniczo należała do mnie. Zdecydowałem, że istota tak zdecydowana jak Ty dopiąć swojego, powinna mieć szansę spełnienia pragnień.

Teraz wiem, że miałem niepotrzebne skrupuły. Twój plan podbicia Ziemi i tak by się nie udał, ale sam fakt, że podobny pomysł wpadł Ci do głowy, usuwa potrzebę jakiegokolwiek litości.

Prawdopodobnie zdołałeś już się przekonać, że człowiek, który od urodzenia leży sparaliżowany i który miewa częste ataki serca, nie może się spodziewać długiego życia. Na pewno się ucieszysz słysząc, że Twój niegdyś osamotniony korespondent międzygwiazdny bardzo się tu dobrze czuje. Mam zaszczyt podpisać się imieniem, do którego już się przyzwyczajam.

Skander z Planety Aurigae II

Tłumaczył Jan Zakrzewski

W czasie głodu możemy płacić złotem za kromkę chleba, możemy cały majątek oddać bandycie za darowanie życia. Jednakże w obu wypadkach zachowamy poczucie krzywdy, będziemy czuli się wyzyskani lub wprosi ograbieni. Bo jak świat światem, w zwyczajnych warunkach złoto i brylanty cenil człowiek wysoko, a stary kapeć czy kawałek spleśniałego kartofla wyrzucał na śmietnik. Wyrobiliśmy sobie pewną miarę wartości, która trwa od tysięcy lat, poprzez zmieniające się obyczaje, metody produkcji, a nawet ustroje. Ale, oczywiście, fakt, że tak jest na Ziemi, nie oznacza wcale, by na innych planetach miało być tak samo czy chociażby podobnie. A przecież nadejdzie czas, gdy zetkniemy się z ich mieszkańcami, gdy powstanie możliwość transakcji wymiennych. Co wtedy? Jakie stosować mierniki, w braku "gwiazdnej waluty"? Mało prawdopodobnej, bo na czym ją oprzeć? Jak, krótko mówiąc, będzie wyglądać międzyplanetarny handel i... międzyplanetarna uczciwość?

H. B. FYFE - Sałata i brylant

Rylata bardzo rozczarowała pustynność planety. W dodatku była to jedyna planeta spośród obiegających niedużą białą gwiazdę w Sektorze Dwunastym, po której można było w ogóle czegoś się spodziewać.

- Jałowo tu, zupełnie jak u nas na Olitrze - pomyślał do Akyry. - Tylko jakieś widłaki i mchy. Nic dziwnego, z tym mglistym światłem...

Poruszył wszystkimi czterema szypułkami oczu, jakby chciał przyjrzeć się niskim wzgórzom widocznym na teleekranie. Ale od góry nie można było dostrzec żadnych śladów życia. Lądowali tylko dlatego, że Akyro wykrył promieniowanie. Mogło to oznaczać jakichś mieszkańców, co zwykle wiązało się z istnieniem rolnictwa.

- Mogą mieć sztuczne rolnictwo - pomyślał Akyro i uniósł przy tym swoje spiczaste, matowobłękitne ciało na płaskich końcach ośmiu odnóży.

Entuzjazm jednak opuścił go zupełnie, gdy przyjrzał się z bliska powierzchni planety.

- Sprawdź jeszcze i ty - pomyślał do Rylata. - A ja się posilę.

Z zamkniętej przegrody wyjął porcję syntetycznej żywności i plastikową tubkę z płynem. Trzymał szarą masę w dwóch małych pokarmowych odnóżach, a z pomocą dwóch pozostałych wlewał napój do ust.

- Jak możesz jeść takie okropieństwo? - zagadnął go z lekkim wstrętem Rylat. - I co to będzie, jeśli wyjdziemy ze statku, a ty rozchorujesz się w próżniowym kombinezonie?

- Trzeba odnawiać swój zapas energii - odparł Akyro z zadowoloną miną.

Rylat ukazał myślą czerwony płomień.

- Już jesteś prawie tak samo szeroki jak długi - dodał.

Nim jednak zdołał pomyśleć dalsze złośliwe uwagi, Akyro rzucił resztki żywności na plastyczny pokład i szybko podreptał do ekranu obserwacyjnego. Stanowił jego specjalność i nigdy z niego nie spuszczał co najmniej jednego oka.

- Jest coś? - spytał Rylat.

- Zbliżające się promieniowanie - odparł Akyro. - Może jakiś statek.

Pracował chwilę przy tarczach aparatury, następnie zaś podał Rylatowi współrzędne dla teleekranu. Domysł okazał się trafny: zbliżał się statek kosmiczny. Nie z Olitry, rzecz jasna, sądząc z wydłużonych kształtów. Krąży teraz tuż nad powierzchnią.

- Tylko jeden - obwieścił Akyro. - Czy damy im sygnał lądowania?

- Owszem, można - zgodził się Rylat. Wśliznął się na siedzenie pilota i dotknął kilku dźwigni. Seria rakiet wzniosła się do rozrzedzonej warstwy płytkiej atmosfery planety i wybuchła tam powitalnym znakiem przyjętym w galaktycznym szyfrze.

Obcy statek odskoczył od powierzchni z ogromnym przyśpieszeniem. Gdy jednak odczytał z rakiet przyjazne powitanie, skierował się, teraz już wolniej, w stronę olitrańskiego statku. Rylat skinął z uznaniem.

- Jeśli umieją tak manewrować, muszą być dość daleko posunięci w rozwoju. Może coś będą wiedzieli o nie zamieszkałych planetach, skąd dałoby się zdobyć trochę roślin dla naszych jałowych ziem.

Akyro milczał zajęty przekładem sygnałów rakietowych nadanych przez obcy statek. Zbadał wzór promieniowania, aby skontrolować swoje wrażenia wzrokowe. Nie wszystkie bowiem istoty w obrębie znanej Galaktyki widziały te same obrazy pod wpływem tych samych bodźców.

- Wskaż im nasz znak rozpoznawczy - pomyślał do Rylata. - Oni mówią, że przybywają z gwiazdy w Sektorze bodaj Czternastym. Zaraz sprawdzę listę... Już mam: Soi (słońce), klasa G, dziewięć większych planet, trzy z nich zamieszkuje rasa panująca. Należą do Federacji Sektora Czternastego. Klasyfikacja: cywilizowani.

- A co robią w Sektorze Dwunastym?

- Nie wypada się pytać - zganił go Akyro. - Może oni to samo myślą sobie o nas.

Rylat zareagował złośliwą myślą, ale w gruncie rzeczy przyznał Akyrze rację.

- Najlepiej będzie, jak ich tutaj zaproszę - pomyślał w odpowiedzi. - Tylko na wszelki wypadek przygotujemy składany namiot, bo mogą się zjawić w jakimś nieodpowiednim stroju.

Niebawem obcy statek lądował w sposób, który znalazł pełne uznanie Rylata, a po chwili otworzyły się drzwi kabiny. Ponieważ ustawili swój namiot na słabo oświetlonej piaszczystej powierzchni w pewnej odległości od statku, a nie wiedzieli, jaki wzrok mają obcy, zapalili przenośną rurkę świetlną dla zaznaczenia miejsca.

Z tamtego statku wyszło dwóch obcych i szli teraz po nierównym gruncie. Mieli po cztery spore odnóża, z których dwa służyły im do poruszania się. Rylat orzekł, że ich kombinezony próżniowe i sprzęt osobisty są dobrze zrobione, tylko mają za dużo niepotrzebnych upiększeń. Nie dostrzegł żadnej instrumentacji, z czego wnosił, że ją gdzieś mają ukryta.

- Widzisz, jak łatwo biegną - zwrócił się do Akyry. - Musza pochodzić z dość dużej i ciężkiej planety.

Po przybyciu Solarian Rylat zaprosił ich gestami do namiotu. Akyro miał ze sobą przemieniacz ciepły, wytwarzający jako produkt uboczny powietrze stosowne dla Olitran. Po uruchomieniu go zdjęli więc górę swoich kombinezonów.

Większy Solarianin z pomocą Szyfru Gestów wyraził uznanie dla budowy namiotu. U góry kombinezonu miał kulisty przyrząd, częściowo przezroczysty. Rylat dostrzegł wewnątrz coś, co musiało zapewne być twarzą.

Twarz ta miała dosyć prymitywne rysy, ale żadnych organów przy ustach. Rylat nie mógł zrozumieć, jak wobec tego żywią się Solarianie. Jedyne oczy miała dodatkowe ograniczenie gdyż była osadzona nieruchomo w głowie.

- A jednak - zastanawiał się Rylat - owe istoty musiały najwidoczniej przezwyciężyć wszystkie te przeszkody. Ich sprzęt był może nawet doskonalszy niż jego. Doszedł do wniosku, że muszą mieć sporo inteligencji.

- O co się zapytywał? - zagadnął Akyre, gdy jego towarzysz odpowiedział na dalszą gestykulację Solarianina.

- Dziwił się, że tak szybko ustawiliśmy namiot i chciał wiedzieć, jak działa przemieniacz ciepły.

- Widocznie tego nie znają - orzekł Akyro.

- Chyba znają, bo przestali się interesować, kiedy wyjaśniłem zasadę działania i sposób wytwarzania wszelkich pierwiastków jako produktów odpadkowych.

- Jakie są ich znaki rozpoznawcze?

Rylat z pomocą przednich odnóży wykonał cały szereg gestów. Solarianin odpowiedział w podobny sposób.

- Ten z czerwonałą sierścią na głowie nazywa się "Krawiec" czy może raczej "Tkacz". Ten drugi, w przybliżonym przekładzie, nazywa się "Mocna Kończyna Górna".

Rylat wdał się teraz z większym Solarianinem w wymianę informacji ogólnych. Mniejszy zaś z wielkim zaciekawieniem przyglądał się namiotowi. Zainteresował go zwłaszcza sposób podtrzymywania sklepienia z pomocą ciśnienia powietrza wewnątrz budowli i kilku gestami

zasygnalizował Akyrze swój zachwyt dla prostej, ale skutecznej kabiny wejściowej. Po wstępnych wyjaśnieniach przestał się już zupełnie zajmować przemieniaczem cieplnym.

W rozmowie między Rylatem i Tkaczem okazało się, że Solarianie należą również do istot oddychających tlenem, ale potrzebują znacznie gęstszego powietrza niż ich gospodarze. Zjawili się tutaj w celach po prostu handlowych. Rylat oświadczył, że on i Akyro tworzą po prostu małą wyprawę badawczą. Wtedy Solarianin zaproponował wymianę pamiątek.

- Może mogliby nam powiedzieć o takiej planecie, jakiej szukamy - pomyślał Akyro do Rylata.

- Chyba byłoby niezbyt roztropne, gdybyśmy okazali nadmierną ciekawość. Gotowi jeszcze zażądać jakiejś niebywalej ceny, jeśli ujawnimy, jak bardzo nam zależy na znalezieniu roślin.

- Ale ukrywać się z tym? To byłoby nieetyczne! - oponował Akyro.

Rylat pomyślał obraz głupiego szczeniaka i pouczył Akyrę, że obcych zupełnie istot nie można obdarzać zbyt dużym zaufaniem. - Mamy czas - dodał - troszczyć się o etykę, kiedy ich lepiej poznamy. Poza tym Tkacz nas zaprasza na obejrzenie ich statku. W ten sposób dowiemy się o nich czegoś więcej.

Po kolei wyszli z namiotu. Solarianie, będąc znacznie więksi, z trudem się precyzyjnie przemieszczali przez wyjście. Po czym zaprowadzili Olitran do swego statku, uprzejmie zwalniając kroku, aby ci mogli nadążyć. Statek Solarian był całkowicie na poziomie ich sprzętu. W części, do której weszli, wszystko było dziełem znakomitej techniki. Rylat był zdumiony luksusowym podziałem statku na część mieszkalną i pilotażową.

- Widocznie - pomyślał - jako handlowcy mogą sobie pozwolić na takie zbytki.

- Co on myśli? - spytał Akyro widząc, że Tkacz gestykuje żywo do Rylata.

- Prosi, aby obejrzeć próbki ich ładunku. Zdaje się, że nie traci nadziei kupienia czegoś od nas.

Solarianin o rudej sierści zaprowadził ich do sąsiedniego przedziału. Z grzeczności poszli tam za nim. Rudy zademonstrował im mnóstwo przedmiotów. Olitranie zauważyli, że wśród solariańskich wyrobów znajdują się głównie przyrządy oraz instrumenty bardzo precyzyjne. Wśród rzeczy zaś nabytych drogą wymiany przeważały wszelkie minerały. Tkacz z jakąś szczególną dumą pokazywał spore kawałki białych kryształów węgla oraz drobne ilości cięższych pierwiastków. Pierwiastki promieniotwórcze przechowywali w specjalnych puszkach.

Rylat nie brał im tego za złe. Sam kiedyś nabawił się złośliwego ropienia swojej grubej skóry, kiedy zostawił na zewnątrz namiotu zbyt dużo uranu - jednego z odpadkowych produktów przemieniacza cieplnego. Solarianie zdjęli kombinezony, a ich cienka skóra sprawiała przykre wrażenie. Widać było pod nią zupełnie wyraźnie cały system krążenia.

- Nie widzę tu nic ciekawego - pomyślał do Akiry.

- Tak - zgodził się tamten. - Technikę mają świetną, lecz nasze instrumenty nie są właściwie gorsze. A co do minerałów, możemy przecież wytworzyć ich, ile chcemy i w bardzo krótkim czasie.

- Lepiej im tego nie mówić - postanowił Rylat.

- Dlaczego?

- Bo to byłoby niezbyt uprzejme. Zawiadomił Tkacza, że muszą już wracać na swój statek, przynajmniej chwilowo, by sprawdzić maszyny i napełnić zbiorniki swoich kombinezonów.

Gdy wracali przez część mieszkalną, Rylat jednym z oczu spojrzał na płaski sprzęt, na którym drugi Solarianin ustawił żywność i napoje. Rylat patrzył pobieżnie, mimo to zauważył obok porcji jakiegoś wyraźnie syntetycznego wyrobu pewną ilość czegoś, co przypominało warzywa. Na jednym zwłaszcza naczyniu widać było cały stos świeżych białych łodyg o zielonych liściach.

Wyglądało to, jak surowe i świeże rośliny bardzo niedawno wyrosłe. Rylat skierował na nie drugie ze swych oczu.

Niedawno wyrosłe!

Świadomość tego faktu poraziła go niemal fizycznie. Cofnął bezwiednie w głąb szypułki wszystkich oczu, zanim odzyskał panowanie nad sobą, a odnóża ruchowe ugięły się pod nim w skurczu wzruszenia.

Akyro zauważył te objawy wielkiego przejścia, pozostałość z czasów pierwotnych, kiedy najlepszą fizyczną obroną ich odległych przodków było rozłożenie się płasko na ziemi i szukanie ochrony w grubej pancernej skórze.

- Co się stało? - zapytał.

- Spójrz na ich żywność!

Akyro spojrzął i jego szypułki oczne również się skurczyły.

- Świeża roślina! Prędko, spytaj ich, skąd ją wzięli!

Rylat z trudem zapanował nad sobą. Rudoczuby Tkacz zwrócił głowę w stronę Olitran i obu oczyma śledził z zaciekawieniem ich zachowanie.

- Nie patrz na roślinę - nakazał towarzyszowi Rylat. - I chodźmy! On nas obserwuje.

- W imię potomności! - nalegał Akyro. - Spytaj go, skąd to wziął! Spytaj go!

- Później - pomyślał doń Rylat kierując się do kabiny wyjściowej między przedziałem mieszkalnym a kabiną pilota.

Akyro podskoczył na swych ruchowych odnóżach i trojgiem oczu wpatrzył się w jedzenie.

- Nie bądź głupi! - upierał się. - Czy rozumiesz, co to dla nas znaczy? Co znaczy dla Olitry, pozbawionej roślin, i dla całej ludności? Wiesz przecież, że nie wysłano nas dla zbierania ładnych kryształków!

- Niepotrzebnie się złościś - odparł Rylat. - Wiem nie gorzej niż ty, jakie mamy zadanie, ale słyszałem także coś niecoś o tych kupieckich rasach. Już ja wiem, co robię.

- Czy jesteś aby pewien?

- Oczywiście! A teraz przestań zachowywać się jak półgłówek i chodźmy!

Akyro pomyślał: bezdenne, lepkie od szlamu bagno - ale tylko do siebie, i poszedł w stronę wyjścia.

Mniejszy Solarianin uprzejmie włożył próżniowy kombinezon, aby ich odprowadzić poza klapę zewnętrzną. Rylat zagestykulował, że za chwilę powrócą, i ruszył przodem po piasku.

Gdy znaleźli się w swoim statku, po zwykłym przeglądzie sprzętu i krótkim odpoczynku Akyro założył na wizjoadapter kliszę z galaktycznym Szyfrem Gestów dla dokładnego przejrzenia. Toteż kiedy zjawili się nieco później na statku solariańskim, mógł chwycić niektóre szczegóły rozmowy.

Nadal był nie dość pewien swoich własnych ruchów, aby gestykulować samemu, lecz zrozumiał powitanie Tkacza i wstępne uwagi.

Solarianie, jak się okazuje, zatrzymali się na tej gwiazdzie tylko w poszukiwaniu okazji do wymiany. I byli na swój sposób nie mniej rozczarowani od Olitran.

- My też zatrzymaliśmy się tutaj w przelocie i tylko z ciekawości - sygnalizował Rylat. - Ale my jesteśmy po prostu badacze.

- Kupcy, tacy jak my - kiwnął Tkacz - często muszą sami prowadzić badania.

- To bardzo ciekawe - odparł Rylat. - Może nam opiszecie metody działania ekspedycji handlowej.

Akyro zirytował się.

- Dlaczego robisz z siebie głuptasa? - spytał Rylata.

Ten ostatni szybko pomyślał pęk szypulek ocznych zawiązanych w węzeł - i wrócił do rozmowy gestami. Solarianin wyjaśnił, że nie zawsze trzeba uzyskać przy wymianie rzecz cenniejszą niż ta,

jaka się daje.

- Czasami - podkreślił - samo przeniesienie jakiegoś przedmiotu do innego systemu planetarnego zwiększa ogromnie jego wartość. Może być tam na przykład rzadki lub szczególnie potrzebny.

- Takie postępowanie wygląda mi na oszustwo - pomyślał Akyro, ale jego myśl przeszła nie spostrzeżona.

- Zdaje się, że nie umiałbym połapać się w tych sprawach - zawiadomił Rylat Solarianina.

Tkacz patrzył przez chwile na niego małymi, niebieskimi oczyma, a potem zwrócił się do Mocnej Kończyny Górnej. Obaj Solarianie wymienili ze sobą szereg drgań dźwiękowych, które najwidoczniej służyły im do porozumiewania się z sobą. Po krótkiej rozmowie Tkacz skierował swoją rudo porośłą głowę znowu w stronę Rylata.

- A może byśmy po prostu dla zabawy czy też na szczęście dokonali jakiejś drobnej wymiany. Mielibyśmy pamiątki z naszego spotkania.

Rylat wyraził zgodę. Nastąpiły teraz dość jałowe próby, aby sobie nawzajem zaproponować coś pożądanego dla drugiej strony.

Solarianie z wielkimi przeprosinami odmówili przyjęcia jakichkolwiek przyrządów Olitran, ofiarowanych im przez Rylata; twierdzili bowiem, że ich własne są zupełnie dobre. Rylat zaś nie przejawiał żadnego zainteresowania dla świecidełek zebranych przez Solarian w kilku różnych światach, jakie ostatnio zwiedzili.

- Ale możemy wam dać bardzo dobre mapy Sektora Jedenastego - zaofiarował z kolei.

Tkacz podziękował, lecz Solarianie wcale nie wybierali się w tamtym kierunku. Wreszcie zaproponował, aby raz jeszcze obejrzyć jego ładunek.

- Poproś go o rośliny! - nalegał Akyro.

- Nie mogę! - odmyślał mu Rylat. - Nie mamy nic w zamian do dania. A przecież będą z pewnością chcieli coś dostać!

- Dobrze więc, jeśli nie poprosisz, zostanę tu i będę pilnował, czy jego towarzysz nie wydobędzie znowu jakiejś rośliny.

- Jak sobie chcesz - odparł Rylat i w ślad za Tkaczem wyszedł z przedziału.

Korytarzem, obitym metalową blachą, przeszli do składu wzorców, gdzie Rylat był już poprzednio. Nie znalazł tam nic nowego, co mogłoby go zainteresować, i użył całej swej dyplomacji, aby jasno podkreślić ten fakt wobec Solarian.

Wtem odczuł nagłące wezwanie Akyry, wyraził więc życzenie, aby możliwie szybko wrócić do tamtych.

- Sami je hodują! - pomyślał mu Akyro, gdy tylko wszedł razem z Tkaczem do kabiny mieszkalnej.

- Co takiego? - spytał Rylat widząc, że Solaria nie też korzystają z okazji, by porozumieć się między sobą.

- Rośliny! - myślał z przejęciem Akyro. - Mają tutaj na statku zbiorniki, gdzie hodują je w wodzie z pomocą chemikaliów i sztucznego promieniowania. Sam widziałem!

- W jaki sposób?

- Stałem tutaj z miną znudzoną, aż Mocna Kończyna Górna oprowadził mnie po różnych częściach statku.

- Czy dałeś mu zauważyć, co cię interesuje? - Rylat dodał w myśli: pusta bańka z przezroczystej masy! - Na pewno tak, bo nie drgali by tak ustami do siebie. Doprawdy, Akyro, jesteś niemożliwy!

Tkacz zwrócił się do Rylata zapytując, czy nie chciałby obejrzyć hydrotermicznych zbiorników. Rylat zgodził się, na pozór bez zapału. Miał nadzieję, że Solarianin nie będzie wiedział, jak sobie tłumaczyć lekki skurcz jego szypułek ocznych.

Udali się teraz wszyscy do przedziału, o którym była mowa; i pod Rylatem ugięły się ruchowe odnóża.

Pod każdą ścianą przedziału i rzędami w środku stały wielkie przezroczyste zbiorniki z roślinami w różnych fazach rozwoju. Przeważnie miały odcień zielony w tych częściach, które, jak się domyślał Rylat, rosną zwykle nad powierzchnią.

Wyobraził sobie przez chwilę pustkowie obszarów rolnych Olitry pokryte na nowo takim życiem roślinnym. Zagadnienie żywności byłoby rozwiązane, gdyby tylko mógł dostać trochę nasion czy też sadzonek. Miał już tak dosyć pokarmów syntetycznych!

- Bardzo ładne - zagestykulował. - Przypominają mi wspaniałą roślinność naszej ojczyznej planety.

- Rylat! - wstrząsnęła nim oburzona myśl Akyry. - Jak możesz tak zmyślać? Przecież to nieuczciwe!

- Wcale nie zmyślam. Każda roślina przypomina mi teraz Olitrę. Poza tym, skąd oni mogą wiedzieć, że nasza roślinność była przeważnie szkarłatna?

Musiał poprosić Tkacza, aby powtórzył swoje ostatnie gesty.

- Mówiłem, że chętnie możemy je wam ofiarować. Są bardzo pożywne.

- Ach, my ich zazwyczaj nie jemy - odparł Rylat. - Ale swoją drogą byłyby bardzo miłą ozdobą na naszym nagim i funkcjonalnym statku.

Solarianie wymienili spojrzenia, które kazały mu zastanowić się, czy i oni przypadkiem nie znają jakiejś formy telepatii. Po czym Tkacz sięgnął do najbliższego zbiornika ciemnozielonych okazów.

- Może... - zaczął Rylat, Tkacz spojrzał na niego i Rylat dokończył: - Mniejsza z tym. To nie ważne!

Ruchowe odnóża Akyry ugięły się całkowicie. Rozpłaszczył się na pokładzie nie bacząc na zdziwiona spojrzenia Solarian i pomyślał gwałtowny wybuch wulkanu. Rylat ujrzał dokładnie cały ten obraz. On sam również tam był na szczycie płomienistego stożka.

- Chciałem właściwie zaproponować - z niezmaconym spokojem sygnalizował czekającemu Tkaczowi - czy nie moglibyście ofiarować nam całego zbiornika, skoro macie ich tyle. Hodowla nowych roślin stanowiłaby dla nas bardzo zabawną rozrywkę wśród kosmicznych nudów.

Tkacz odgestykulował, że zrobi to z miłą chęcią. Nalegał, że muszą koniecznie przyjąć od niego zapas chemikaliów i rurkę świetlną specjalnego typu. Pokazał ją Rylatowi, który oświadczył, że potrafi zapewnić odpowiedni dopływ energii. Olitranie mieli ze sobą dość wody dla zaopatrywania zbiornika.

Obaj Solarianie włożyli kombinezony próżniowe, aby pomóc w przenoszeniu zbiornika, który przezornie umieścili w odizolowanym cylindrze. Udział Rylata w przenoszeniu ciężaru po piasku planety był raczej symboliczny. Akyro włókł się za wszystkimi, z szypułkami oczu wciąż jeszcze nieco skurczonymi.

Solarianie pomogli wnieść cylinder do statku Olitran, ale nie chcieli oglądać go od wewnątrz.

- Może czują się trochę nieporadnie z powodu swoich rozmiarów i wyдутych kombinezonów - pomyślał do Akyry Rylat.

Podziękował następnie Solarianom i zapytał, czy nie przychodzi im na myśl jakiś dar, którym Olitranie mogliby się odwzajemnić.

- Nic ważnego! - zamachał Tkacz. - Czy prędko stąd wyruszacie?

- Rylat! - błagał Akyro. - Powiedz mu, że tak, że już zaraz. Jeśli damy im czas do namysłu, na pewno zrozumieją, jak bezcenne jest to, co nam dali!

- Cierpliwości! Ja też chciałbym już jak najprędzej wejść w rytm gwiazdnego promieniowania.

Solarianom zasygnalizował, że już zaraz będą musieli wyruszyć. Tkacz wyraził ubolewanie.

- Ale co chcielibyście od nas otrzymać - nalegał Rylat z trwogą, by nie wynikła konieczność

zwrócenia wspaniałych łupów.

- Mieliśmy zamiar zbadać powierzchnię tej planety i jej mineralną zawartość - poinformował go Tkacz.

- Bardzo ciekawa rozrywka - odparł z powątpiewaniem Rylat.

Sądząc ze spojrzeń, jakie wymienili ze sobą, określenie to nie mniej ich zdziwiło, co Rylata ich projekt. Niepojęte! Któż troszczy się o wydobywanie minerałów z gleby? Przecież można uzyskać ich, ile się chce, z przemieniacza ciepłego.

- Mieliśmy zamiar - podjął Tkacz - urządzić się możliwie wygodnie na powierzchni planety i spędzić trochę wolnego czasu poza obrębem statku.

- Aha! - zrozumiał nareszcie Rylat. - Może w tym razie chcielibyście korzystać z naszego namiotu? Bardzo prosimy.

Tkacz przyjął z podziękowaniem, ale zastanawiał się, jak będzie z odlotem Olitran.

- To nie ma znaczenia - uspokoił go Rylat. - Możemy zabrać namiot następnym razem, kiedy będziemy w tych stronach.

- Rylat! Podaruj im namiot! Opuśćmy to miejsce w jakiś przyzwoity sposób! - błagał Akyro.

- Właściwie - ciągnął Rylat - przypomniałem sobie, że mamy drugi namiot, więc możecie zachować ten, który stoi na zewnątrz. Dam wam instrukcje co do kabiny wejściowej i przemieniacza ciepłego. Wykresy zrozumiecie w każdym razie z łatwością.

Tak też się stało i po wymianie licznych uprzejmości Solarianie odeszli.

Akyro bez zwłoki umocował w kabynie zbiornik z roślinami. Gdy tylko Solarianie weszli na swój statek, Rylat startował.

Zygzakiem oddalił się od planety i wziął kurs na granicę między sektorami Dwunastym i Jedenastym.

- Co do mojej uwagi, że wrócimy po namiot - kpił Rylat z Akyry - chyba nie przypuszczałeś, że ryzykowałbym zobaczenie się z nimi ponownie? Przecież strasznie ich oszukaliśmy!

Akyro nie odpowiedział. Rylat jednym okiem spojrzał w jego stronę i zobaczył, że tamten pilnie obserwuje instrumenty.

- Co się stało? - zapytał i uczuł lekkie zakłopotanie.

- Przesuwające się źródło promieniowania tego samego typu. Na pewno Solarianie opuścili planetę.

- Jaka szybkość? - informował się Rylat, rozważając, czy nie zwiększyć jeszcze bardziej własnej.

- Mniej więcej taka jak nasza; może cokolwiek większa.

Szypułki oczne Rylata skurczyły się gwałtownie. Na gwałt sprawdził rezerwę prędkości.

- Czy mogą nas dopędzić? - zagadnął niespokojnie.

- O, nie! - odparł Akyro. - Lecą w przeciwnym kierunku.

- Co?!

- Z całą pewnością. I rozwijają największą jak tylko mogą szybkość.

Rylat opuścił miejsce pilota i podszedł do tablicy obserwacyjnej.

- Nic z tego nie rozumiem - pomyślał do Akyry. - Utrzymywali, że chcą tam pozostać. A my stanowczo nic im takiego nie daliśmy, co mogłoby ich skłonić do tak nagłego powrotu.

- Może mechanizm klapy wejściowej?

- Nie, ich statek miał lepszą. A przemieniacz ciepły też ich nie zaciekał. Wątpię, by chcieli bawić się przemianą pierwiastków.

- Do tego nie potrzeba zresztą przemieniacza ciepłego. Oni także, z pewnością, muszą znać lepsze metody.

- Naturalnie. Ale o co, w takim razie, mogło im chodzić?

Nie doszli do żadnych wniosków.

- Możemy dziwić się ich szaleństwu - zaopiniował Akyro - lecz z tego nie wynika, by zwalniać nasz bieg.

- Nie... ale swoją drogą, wciąż nie mogę pojąć, dlaczego...

Przyglądał się bacznie tamtemu statkowi, który ciągle wysuwał się z pola widzenia.

- Patrz, jak zmykają! - pomyślał do Akyry. - Można by sadzić, że to nie my, ale oni popełnili oszustwo!

Tłumaczył - Julian Stawiński

Dla nas Ziemia jest czymś bardzo znajomym. Dla innych to tylko trzecia planeta układu słonecznego: Sol 3 - według tablic astronomicznych. Cóż o nas wiedzą inni? Tyle, co my o nich. Dopiero bezpośrednie zetknięcie daje sposobność do bliższego poznania i porozumienia. Ale jak? Nawet w spotkaniu z istotami o inteligencji pokrewnej z naszą brak będzie jakiegokolwiek, chociażby wstępnego, punktu zaczepienia. Trzeba go będzie szukać, czy stwarzać, długo i mozolnie. Chyba że z pomocą przyjdzie szczęśliwy przypadek albo jej udzieli nieoczekiwany, a przyjazny pośrednik.

MURRAY LEINSTER - Parlamentariusz

Wszyscy oczywiście pamiętamy historię korsarzy przestrzeni międzygwiazdnych. Nie było ani jednego człowieka, który by ujrzawszy przedstawicieli tej rasy zdołał ujść z życiem i mógł coś bliższego o nich powiedzieć. Pamiętamy także dalekosiężne poszukiwania ich ojczyzny i bazy, co tylu ludziom przyniosło śmierć. Już na długo przedtem korsarze międzygwiazdni niszczyli poszczególne nasze jednostki. Aż wreszcie eskadra ich floty przestrzennej najechała kolonie ziemską na Capella 3 i bez ostrzeżenia ni powodu, bez najmniejszej próby porozumienia się, wymordowała co do jednego całą półmilionową ludność. Wtedy dopiero rozpoczęły się zorganizowane poszukiwania.

Historia niniejsza opisuje jeden z epizodów owej akcji, a bohaterem jej jest - pies, który wabił się Buck.

Buck wkroczył godnie za swym panem do kabiny kontrolnej lekkiego krążownika międzygwiazdowego "Kennessee". Poczekał cierpliwie, póki kapitan nie uniesie głowy znad teleskopu elektronowego, a jego pan, Holden, nie usadowi się w fotelu z plikiem najnowszych nagrań fal przestrzennych, które właśnie przyniósł z kabiny komunikacyjnej. Teraz Buck popatrzył badawczo na kapitana, po czym wyciągnął się na podłodze. Ułożył pysk pomiędzy łapami i westchnął głęboko. Nie było to jednak westchnienie niezadowolenia. Buck nie był psem wymagającym. Pozostawał w przyjaznych stosunkach ze wszystkimi na "Kennessee", od kapitana począwszy, na najskromniejszym boyu z kantyny kończąc. Ale jego panem i bożyszczem był podporucznik Holden. Gdziekolwiek udawał się Holden, Buck szedł tam za nim - o ile oczywiście dozwalały na to przepisy - i czekał, aż jego pan zechce udać się gdzie indziej.

Leżał i teraz na piankowej podłodze, słuchając głosu Holdena oraz odpowiedzi kapitana. Z tonu obydwu przebijała troska i niepewność. A Buck drzemał. W półśnie przebiegały mu przez głowę kontury jakichś obrazów. Były to przeważnie wspomnienia, najczęściej wspomnienia rozkosznych harców pośród wysokich traw zielonej ziemskiej łąki; oczywiście Holden znajdował się zawsze gdzieś w pobliżu. Głosy rozmawiających stanowiły odległe tło tych snów.

Mężczyźni byli poważnie zaniepokojeni. Krążownik "Kennessee" posuwał się po orbicie jednej z komet układu słonecznego Masa Gama. Z wyłączonym napędem, nie zdradzając żadnego znaku życia, miał uosabiać martwego przybysza z przestrzeni. Jednocześnie jednak - o ile to się powiedzie - chciał spełnić swoje potworne zadanie: przygotować zagładę tajemniczych, wrogich istot przy pomocy zdalnie kierowanych pocisków, które mogły miażdżyć planety. Ludziom nie podobało się to. Liczyli, że jakaś inna jednostka ziemskiej floty międzygwiazdnej będzie miała wątpliwe szczęście uwieńczenia swych poszukiwań sukcesem. Ale cóż, rozkaz jest rozkazem.

Już przed paroma tygodniami, jeszcze w znacznej odległości od pierwszej z brzegu planety układu Masa Gama, "Kennessee" z ponadświatłnej przeszedł w szybkość podświatlną. Uzyskawszy szybkość i kurs właściwy kometce, ruszył jej szlakiem poprzez układ jedenastu planet. I prawie od razu jego urządzenia odbiorcze zarejestrowały międzyplanetarne sygnały radiowe - dowód, że musi tu istnieć jakaś cywilizacja. Oczywiście sygnały były niezrozumiałe, ale można z nich było wnioskować, że cywilizacja ta poci względem technicznym da się porównać z ludzką. Tego właśnie szukał "Kennessee", jak i wszystkie lżejsze jednostki ziemskiej floty międzygwiazdnej.

Załoga "Kennessee" wiedziała tylko, że gdzieś żyją istoty będące śmiertelnym wrogiem ludzkości, choć nigdy nie wchodziły w bliższe stosunki z Ziemią. Od lat już z zastanawiającą częstością powtarzały się wypadki ginięcia ziemskich jednostek wywiadowczych. Już wówczas zrodziły się podejrzenia, alenie było jeszcze żadnego dowodu istnienia wrogich istot napadających człowieka

przy każdym zetknięciu. Dostarczyła go dopiero przed pół rokiem zagłada kolonii ziemskiej na Capella.

O okrutnych napastnikach dowiedziano się jednak tylko tyle, że nie są ludźmi. Teraz trzeba ich odszukać i jeśli nie uda się dojść do porozumienia - zniszczyć, nim staną się dość silni, by zetrzeć rodzaj ludzki z powierzchni Ziemi. Załoga "Kennessee" zdawała sobie doskonale sprawę, że nieznanne istoty mogą zamieszkiwać planety układu Masa Gama, nigdy dotąd nie badanego przez człowieka. Cywilizacja, która rozporządza międzyplanetarną sygnalizacją radiową, może również...

Buck drzemał tymczasem na podłodze kabiny kontrolnej. W przyćmionej świadomości przesuwwały się drobne ułamki snów - zapach maszynowni, epizod pogoni za kotem, parę chwil pracowitego obwąchiwania drzewa... Na jakąś głośniejszej uwagę otworzył oczy.

- Muszą w każdym razie dokonywać lotów międzyplanetarnych. - To mówi Holden. - Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że odebrane sygnały służą do utrzymania łączności pomiędzy planetami. Wygląda mi na to, że nadają je istoty, których szukamy.

Kapitan pokiwał głową.

- Być może. Ale jeżeli na podstawie naszego raportu mają one ulec zagładzie, musimy się co do tego upewnić. Taki jest rozkaz. Czy są one w stanie zniszczyć "Kennessee"? To jest dopiero dowód, którego nam potrzeba. Jeśli potrafią nas zamordować, są tymi wrogami, których szukamy. Ale nie są nimi, jeśli tego nie potrafią. I to musimy stwierdzić.

- A czyż komunikacja międzyplanetarna nie jest dostatecznym dowodem?

- Komunikacja międzyplanetarna to jeszcze nie komunikacja międzygwiazdowa - odparł kapitan. - Trzeba będzie zaraz wysłać na ziemię torpedę ze wszystkimi danymi, jakie posiadamy. Ale jak dotąd, Holden, nie odebraliśmy jeszcze fali whango. Nie mamy więc dowodu, że istoty, których obecność stwierdziliśmy, dokonują lotów międzygwiazdowych. A nasi wrogowie dokonują.

- Może kryją się z tym przed nami - powiedział Holden. - Nim się tu zjawiliśmy, musieli odebrać wytworzoną przez nas falę whango. I może teraz czekają, aż się zbliżymy na tyle, żeby mogli nas zniszczyć bez śladu. Tak żebyśmy nie byli w stanie ani się już bronić, ani wysłać raportu na Ziemię. To dla nich dość typowe.

Wstał, a Buck natychmiast zerwał się także, merdając ogonem. Jego pan, Holden, idzie gdzieś, więc Buck pójdzie razem z nim. Czekał zadowolony. Dla Bucka szczęście polegało na tym, żeby iść wszędzie tam, gdzie idzie Holden, żeby znajdować się tam, gdzie przebywa Holden; jednym słowem, na tym, żeby wciąż pławić się w poczuciu obecności Holdena. Była to przyjemność nader nieskomplikowana, ale Buck naprawdę niczego więcej nie pragnął od losu. Gdy Holden głaskał go lub bawił się z nim, choćby niezbyt delikatnie, szczęście Bucka przechodziło w ekstazę. więc czekał teraz zadowolony po prostu z tego, że pójdzie z Holdenem.

- Tak, wszystko to prawda - zgodził się kapitan. - Może i czatują na nas. Zobaczymy. W każdym razie wyślemy zaraz na Ziemię torpedę z wszystkimi wiadomościami. Jeżeli nie wrócimy, nasza flota będzie przynajmniej wiedziała, w którą stronę ma się udać i kogo unieszkodliwić. Potem przystąpimy do próby lądowania w rakiemie ratunkowej. Wątpię, żeby nasi wrogowie potrafili sobie odmówić przyjemności zniszczenia jej. Jeśli jednak rakieta wróci, dowiemy się czegoś o ich uzbrojeniu.

- Panie kapitanie - powiedział szybko Holden - zgłaszam się na ochotnika do rakiety ratunkowej.

- Zobaczymy odrzekł kapitan. - Najpierw przygotuj wszystkie dane, jakie musi zabrać torpeda. Czy jesteś zupełnie pewien, że to były wiązki kierunkowe? Coś jak w naszym dawnym radarze? I że zostały nadane w naszą stronę z czwartej planety?

- Najpewniejszy w świecie - oświadczył Holden. - Oczywiście trudno powiedzieć, jak dokładne są wiadomości, które o nas uzyskali przy pomocy tego urządzenia. Ale w każdym razie zrozumiały

jest, że chcą w ten sposób zbadać pojawiającą się na niebie kometa...

- Miejmy nadzieję - rzekł kapitan błyskając oczyma - że echo odbite od naszego kadłuba powiedziało im: "To tylko kometa, nic więcej". A więc, Holden, żeby mi wszystko było gotowe za pół godziny.

Holden zasalutował i opuścił kabinę kontrolną. Za nim kroczył godnie Buck, wielki brunatny pies, któremu ani śniło się zawracać sobie głowę takimi głupstwami jak podróże międzygwiazdne czy niewiadome istoty z bezsensownym okrucieństwem pozbawiające życia pół miliona ludzi.

Buck był zupełnie zadowolony ze swego psiego losu. Był przecież ze swoim panem.

Rada planetarna układu Masa Gama zebrała się na naradę. Nie było to wesołe zgromadzenie. Wiązki kierunkowe wykazały, że domniemana kometa, która pojawiła się na niebie, jakkolwiek posuwa się po całkowicie prawidłowej orbicie, jest w rzeczywistości tworem sztucznym - statkiem międzygwiazdowym. Nie stosuje on wprawdzie napędu i nie zdradza żadnych w ogóle znaków życia. Przeciął jednak pole grawitacyjne zewnętrznych planet - nie wykazując przy tym ani śladu rotacji. A to jest możliwe tylko w tym wypadku, o ile wewnątrz pracuje żyroskop lub jakieś podobne urządzenie.

- Mieliśmy już jedną wizytę z przestrzeni międzygwiazdnych - powiedział przewodniczący Rady Planetarnej. Wyglądał na bardzo przygnębionego. - Znamy z historii skutki tej wizyty. Jeżeli i ten statek wiezie te same istoty, musimy go zniszczyć jak najprędzej. Moim zdaniem, wystarczającym dowodem jest fakt, że usiłuje się zbliżyć niepostrzeżenie. Ale z drugiej strony ten kamuflaż świadczy o pewnych podejrzeniach wobec nas, podejrzeniach, że to myśmy zniszczyli poprzedni statek. Jeśli zniszczymy i ten, podejrzenia zamienią się w pewność i możemy być przekonani, że następną wizytę złoży nam już potężna flota. Oznacza to, że całą naszą cywilizację będziemy musieli przestawić na produkcję wojenną. Będziemy musieli pomyśleć o napędzie, który pozwoli nam wyjść poza nasz układ. Wszystkie nasze godziny będą odtąd płynęły w bezustannej walce o życie. Z istot nastawionych pokojowo będziemy musieli przekształcić się w istoty o psychice dostosowanej wyłącznie do potrzeb wojny. Przedstawiciel Pierwszego Kontynentu był nieco lepszej myśli.

- Skąd pewność - zapytał - że są to istoty tej samej rasy, co poprzednie? Statek ma przecież zupełnie inny kształt. I skąd pewność, że z tymi istotami, tak jak z poprzednimi, nie da się w żaden sposób dojść do porozumienia?

- Oczywiście, co do tego nie ma pewności - odparł przewodniczący zmęczonym głosem. - Analiza psychologiczna zewnętrznych kształtów statku dowodzi, jak nam się wydaje, że są to raczej istoty odmienne. Ale czy mimo to możemy sobie pozwolić na nawiązanie z nimi pokojowych kontaktów? Ma się rozumieć, załoga pojedynczego statku jest zdana na naszą łaskę i niełaskę. I prawdopodobnie będzie symulowała przyjaźń po to, ażeby stąd odjechać uzyskawszy wiadomości, które potem posłużą do przygotowania nam zagłady. Czy możemy w ogóle mieć zaufanie do istot, które wysyłają pojedynczy statek na przeszpiegi, żeby zebrać o nas wiadomości?

Zaległa cisza. Przed dwustu laty pojawił się już jeden statek międzygwiazdny w układzie Masa Gama. Zniszczenie połowy planety i zagłada wielu milionów istot były ceną, jaką wypadło zapłacić za jego unieszkodliwienie. Okazało się to jednak nieuniknione. Załoga statku nie reagowała na żadne próby nawiązania przyjaznych kontaktów. Gdziekolwiek wylądowała, niszczyła w okrutny sposób wszystko, co było wykwitem konkurencyjnej cywilizacji. A przede wszystkim mordowała mieszkańców. Nie można z nią było dojść do porozumienia, więc trzeba ją było uśmiercić.

- Gdybyśmy mogli przynajmniej - powiedział z żalem przedstawiciel Trzeciego Kontynentu - dostać w ręce jednego jedyne go członka załogi tego statku, żeby się upewnić, że nie ma żadnej

nadziei porozumienia. To straszne, że nie możemy się nawet upewnić, zanim...

- Tak, to straszne - przytaknął przewodniczący głucho. - Przestawić całą naszą cywilizację na produkcję wojenną i skazać się na długą wojnę to najstraszniejsze, co może być. Ale nie widzę innego wyjścia. Poddaję pod głosowanie, czy mamy zniszczyć statek, który pojawił się w naszym układzie?

Głosowano niechętnie, ale jednomyślnie. Za wojną.

Torpeda, którą "Kennessee" wystrzelił z komory rufowej, nie odznaczała się imponującym wyglądem. Był to przedmiot o kształcie cygara, długości jakichś dwu metrów. Oderwawszy się od krążownika torpeda miała przez piętnaście minut posuwać się z przyspieszeniem trzydziestu pięciu ciężkości, po czym przejść w szybkość ponadświetlną. W tym momencie skończy się jej egzystencja z punktu widzenia normalnych kategorii przestrzennych, co znajdzie swój przejaw w emisji niezmiernej ilości energii, tak zwanej fali whango, wyczuwalnej w promieniu setek milionów kilometrów. W pobliżu ziemi torpeda wyjdzie z szybkości ponadświetlnej przy pomocy drugiej podobnej fali. Ta druga fala będzie miała dodatkowe znaczenie. Odległość pomiędzy Masa Gama a bazą macierzystą "Kennessee" wynosi około osiemdziesięciu lat świetlnych. Wiadomość nadaną drogą radiową, transmitowaną za pośrednictwem promieni zwartych, odebrali by w bazie prawnukowie załogi krążownika. Torpeda natomiast dotrze tam w ciągu niewielu dni. Fala whango, towarzysząca jej rematerializacji, zostanie zarejestrowana przez rozgałęzioną sieć statków łączności, które również odbiorą i przekażą dalej wiadomości transmitowane automatycznie przez torpedę, a następnie złowią ją samą, ażeby zapoznać się z danymi pisemnymi oraz okazami fizycznymi.

Buck nie był obecny przy wystrzeleniu torpedy. Był zbyt duży, ażeby zajmować niepotrzebnie miejsce w zatłoczonej i tak komorze rufowej, która się mieściła w zwężającym się, spiczastym ogonie krążownika. Holden nie pozwolił mu tu wejść, a Buck był zbyt przekonany o przywiązaniu pana do siebie i o swej własnej wartości, żeby brać sobie takie sprawy do serca. Wiedział dobrze, że bywają momenty, kiedy nie powinien się plątać pod nogami. Ale wiedział również, że lubią go wszyscy członkowie załogi, ruszył przeto godnym krokiem na poszukiwanie pośledniejszego wprawdzie, lecz zawsze ludzkiego towarzystwa, dopóki pan nie dopuści go na powrót do siebie.

Zastał kilku członków załogi przy zaopatrywaniu rakiety ratunkowej, która miała dokonać lądowania, i, jak przystało na towarzyskiego psa, wszedł za nimi do wnętrza. Wcisnął się do niewielkiej kabiny kontrolnej za mężczyzną, którego przysłano tu, żeby skasował niepotrzebne zapisy, i obserwował.

Po chwili zjawiło się jeszcze kilku mężczyzn. Ci, którzy zajęci byli przygotowaniami do lotu, odeszli - i rakietą kilkoma ruchami wywindowana została nieco w górę. Buck, zamrugnął z kąta, gdzie leżał zwinięty na podłodze. W iluminatorach rakiety migotały gwiazdy. Zrobiło się oślepiająco jasno. Niczym nie przyćmiony blask gwiazdy Masa Gama wpadł przez przedni iluminator i położył się świetlistą plamą na tylnej ścianie.

Do kabiny wszedł podporucznik Maynard i nacisnął guzik telefonu.

- Osłony otwarte, rakietka ratunkowa w pozycji wyjściowej - powiedział ostro. - Wszystko przygotowane do startu.

- Przyjąłem - rozległ się w megafonie głos Holdena; brzmiał jakoś posępnie. - Startujcie w momencie, gdy uderzy fala whango. Może zakłóci im ten ich radar i uda wam się wystartować niepostrzeżenie. Powodzenia.

Buck był przyzwyczajony do megafonów. I znał dobrze głos swego pana. Zaczął merdać ogonem, stukając miarowo o ścianę. Maynard obejrzał się gwałtownie i wykrzyknął:

- Buck. Buck jest tutaj. Schował się w kącie. Chwila ciszy. Potem znowu głos Holdena, jeszcze posępniejszy.

- Trudno, Maynard. Nie ma już czasu, żeby go przeprowadzić z powrotem na pokład. Musi lecieć z wami.

- Może to i dobrze - powiedział Maynard wesoło. - Będziemy mieli maskotkę. Ile jeszcze czasu zostało?

- Dwadzieścia sekund - odparł głos Holdena. - Ale z ciebie szczęściarz, bracie. Miałem nadzieję, że to ja polecę, dopóki nie dokupiłeś tego asa.

Maynard zachichotał. "Kennessee" zapuszczał się w nieznaną i najprawdopodobniej wrogi układ słoneczny. Jeżeli to jego mieszkańcy niszczyli podstępnie jednostki ziemskiej floty międzygwiazdnej i zdewastowali kolonię na Capella 3, niewielkie były szanse, aby krążownik kiedykolwiek opuścił cało układ Masy Gama. Ale nie powstrzymało to młodszych oficerów statku przed rozegraniem partyjki pokera o przywilej niebezpiecznego eksperymentu lądowania na największej z planet.

W megafonie rozległ się nagle ton tak głośny i niesamowity, że membrana zdołała brzęknąć tylko raz, po czym jąta wydawać jakieś zdławione, chrapliwe dźwięki. Była to fala whango wytworzona przez torpedę, podmuch promieniowania tak silny, że blokował każde urządzenie odbiorcze w swoim zasięgu, bez względu na to, jak nastrojone.

Buck doznał miazdżącego uczucia ciężaru i osunął się na tylne oparcie fotela na który właśnie wskoczył. Jakaś siła przyciskała go mocno do miękkiej poduszki. Wił się nie mogąc złapać tchu. W jego oczach odmalowała się żalosc. Buck nie lubił momentu przyśpieszania. Prawdę mówiąc, nie lubił w ogóle latać rakieta ratunkowa, i oto skazany był na lot rakieta, skazany przynajmniej na okres najbliższych osiemnastu godzin.

Wiadomość dotarła do nowoutworzonego Departamentu Wojny na Masy 4.

Departament Wojny został gorączkowo zorganizowany jako naczelną jednostką koordynującą do ostatniego erga energii całego układu słonecznego w zsynchronizowane promienie świetlne, które w określonym momencie wyruszą jednocześnie z czterech planet położonych po jednej i tej samej stronie swego słońca, ażeby zbiec się na pseudokomecie. Śmiercionośne promienie nie są bronią materialną, którą detektory statku byłyby w stanie wykryć dość wcześnie, aby mógł on dokonać jakiegoś uniku. Rozchodzą się z szybkością światła, a ciało, które znajdzie się w ich ognisku, zostanie rozgrzane do temperatury jądra słonecznego. Nie do pomyślenia jest, żeby jakiegokolwiek urządzenie odbiorczo-nadawcze zaczęło działać wcześniej, niż otrzyma bodziec, tak więc promienie są bronią praktycznie niezawodną. Niezawodną, jeśli w grę wchodzi jeden statek. Jednakże obliczenie wzajemnego stosunku faz emitujących je planet, które przecież znajdują się w stałym ruchu, tak żeby poszczególne promienie komasowały swą energię zamiast częściowo likwidować się nawzajem, to sprawa ogromnie skomplikowana. Dlatego za ich pomocą można, zniszczyć pojedynczy statek międzygwiazdny, którego kurs i szybkość są znane, względnie statek, który już wylądował na którejś z planet - o ile starczy czasu na dokonanie koniecznych obliczeń. Natomiast w wypadku pojawienia się całej floty, broń ta stanie się bezużyteczna. Po trzeba dni czy tygodni, ażeby zgromadzić ilość promieni niezbędną do skutecznego ciosu w określony punkt W obliczu wielu statków o zmiennym kursie i szybkości promienie będą bezsilne.

Wiadomość, która nadeszła do Departamentu Wojny, brzmiała następująco:

NIEWIELKA RAKIETA MIĘDZYPLANETARNA ODŁĄCZYŁA SIĘ OD OBSERWOWANEGO STATKU W MOMENCIE SILNEGO PONADDŹWIEKOWEGO ZAKŁÓCENIA FALOWEGO.

RAKIETA STERUJE W KIERUNKU PLANETY 4. PRAWDOPODOBNIIE. ZAMIERZA. LĄDOWAĆ. STRONA ODSŁONECZNA. OKRĘG PÓŁNOCNY PIERWSZEGO KONTYNETU. CZEKAMY NA ROZKAZY.

Niedawno powstały Departament Wojny nie miał jeszcze czasu wypracować sobie biurokratycznych metod pracy i napuszonego stylu. Dlatego zapewne odpowiedź nadeszła w ciągu kilkunastu minut.

EWAKUOWAĆ CAŁĄ LUDNOŚĆ Z ZAGROŻONEGO OKRĘGU. PRZYGOTOWAĆ POJAZDY TERENOWE I SAMOLOTY ATMOSFERYCZNE DLA ROZPOZNANIA, JAKIM UZBROJENIEM DYSPONUJE RAKIETA. NADAĆ APEL RADIOWY DO OCHOTNIKÓW Z OSTRZEŻENIEM, ZE IDĄ PRAWDOPODOBNIIE NA ŚMIERĆ. NIE POSŁUGIWAĆ SIĘ ŻADNYMI JEDNOSTKAMI KOMUNIKACJI MIĘDZYPLANETARNEJ. WRÓG NIE POWINIEN SIĘ ZORIENTOWAĆ, ŻE POSIADAMY DOSTATECZNE ŚRODKI OBRONNE AŻ DO CHWILI, GDY CAŁY UKŁAD BĘDZIE GOTÓW DO JEDNOCZESNEGO DZIAŁANIA.

Mieszkańcy Masa 4 doświadczyli już jednej inwazji przybyszów spoza swego układu słonecznego. Około dwudziestu pięciu milionów obywateli rozpoczęło więc pośpieszną, lecz planową ewakuację - wszystko to jako środek ostrożności wobec spodziewanego lądowania nie uzbrojonej rakiety ratunkowej.

Buck ocknął się z niespokojnego półsnu w momencie, gdy rakieta poczyniała się zbliżać do odsłonecznej strony planety. Wszystkie przyrządy obserwacyjne, jakimi tylko dysponował człowiek, pracowały starając się uzyskać wszelkie dostępne dane, ale dla Bucka sprawy techniczne były najzupełniej obojętne. W chwili kiedy stwierdzono obecność wiązek kierunkowych, Buck ziewał pracowicie. W chwili gdy promienie urwały się raptownie, przystępował właśnie do przeciągania się. Otrząsał się z rozkoszą, kiedy analizatory doniosły, że atmosfera planety jest podobna do atmosfery ziemskiej; wykazuje wprawdzie nadwyżkę gazów szlachetnych dość znaczną, nie przekraczającą jednak proporcji charakterystycznych dla mieszanek azoto-tlenowych.

Tymczasem rakieta opuszczała się ostrożnie, wypatrując wszelkich - możliwych niebezpieczeństw. Aparatura podczerwona wykryła brzeg morski i jakieś bliżej nieokreślone urządzenia, stanowiące być może wyposażenie portu. Maynard poderwał natychmiast stateczek pionowo w górę, ale w odległości wszystkiego stu pięćdziesięciu mil zbliżył się do planety. Cóż, jego zdaniem było dać się zabić, o ile mieszkańcy planety rozporządzają odpowiednimi środkami, ale nie miał przecież obowiązku ułatwiać im tego. Jeżeli wykryli, że rzekoma kometa, przybyła z kosmosu, jest w istocie statkiem międzygwiazdowym, i tak mają się na baczności. A jeżeli są istotami, które wymordowały kolonistów z Capella 3, za wszelką cenę będą się starali nie dopuścić, by rakieta powróciła do swego statku macierzystego.

Wreszcie, z nieskończoną ostrożnością, rakieta wylądowała w terenie pokrytym - jak pokazywały analizatory - gęstą roślinnością o pierzastym listowiu. Mijały nie kończące się minuty, a Maynard wciąż siedział w najwyższym napięciu, gotów błyskawicznie poderwać stateczek w niebo na pierwszą oznakę jakiegóż wrogiej akcji. Ale nic takiego nie zaszło. Mikrofony transmitowały wprawdzie z zewnątrz różne dźwięki, ale nie ulegało wątpliwości, że są to tylko przypadkowe odgłosy zwykłego życia leśnej głuszy. Po długiej chwili Maynard uchylił iluminatora. W dalszym ciągu nic.

- Jeżeli ktoś chce się wybrać na ochotnika po okazy biologiczne - oznajmił wreszcie - niech idzie.

Ale ostrzegam, że w razie alarmu mogę wystartować nie czekając na nikogo. Będę się starał wymknąć, w ten sposób przekonam się najlepiej, co nasi wrogowie są w stanie uczynić, żeby nas zatrzymać.

Odpowiedziało kilka głosów. Potem rozległ się szcęk otwieranych drzwi. Buck ruszył wesoło w stronę wyjścia. Z zewnątrz powiało na niego mnóstwo intrygujących woni. Kilku mężczyzn wyszło już na dwór; posuwali się ostrożnie, z bronią w pogotowiu. Drzwi pozostały otwarte, tylko w pobliżu czuwał mężczyzna, gotów je w każdej chwili zatrzasnąć i zaryglować, gdyby rakieta była zmuszona do nagłego startu. Dla ludzi opuszczenie rakiety było aktem niepośledniej odwagi - mogli przecież już nie powrócić, jeżeli istoty zamieszkujące planetę okażą się rzeczywiście wrogie i stateczek, który ich tutaj przywiózł, przystąpi do wykonania powierzonej misji ściągnięcia na siebie nieprzyjacielskiego ognia. Ale Bucka intrygowały tylko nieznanne zapachy. I owszem, wielką radością byłoby znaleźć się na powrót w towarzystwie Holdena, lecz i ci ludzie są także jego przyjaciółmi. A skoro oni zapuszczają się w ów świat niezliczonych nowych woni...

I Buck skoczył miękko na ziemię. Od razu znalazł zatrudnienie dla swego nosa. Już sama gleba miała woń inną niż na Ziemi. Nowa była roślinność. Odkrył też tropy niewątpliwie zwierzęce, pozostawione jednak przez zwierzynę, z której zapachem nigdy dotąd się nie zetknął. Słyszał obok siebie poruszenia jednego z mężczyzn, zajętego pobieraniem próbek wegetacji. Bardzo wiele wniosków można było wyciągnąć z analizy skrobi i błonnika zawartego w roślinności obcej planety. Ale Buck mógłby powiedzieć znacznie więcej na podstawie tego, co odkrył za pomocą węchu. Tędy jakieś mięsożerne zwierzątko goniło małą trzepoczącą się istotkę, która to wzbijała się w gąszcz zwisającej roślinności, to znów opadała na ziemię. Tu znów inne zwierzątko, roślinożerne, bez żadnego widocznego powodu dało w przerażeniu olbrzymiego susa, widocznie spadła na nie jakaś istota latająca, ale chybiła. Tędy zaś przesunęło się wyraźnymi skokami coś, co niemal do złudzenia przypomina zapachem żmiję. Tam znowu jakieś zwierzę ciepłokrwiste pozostawiło trop ciągły, posuwając się na brzuchu.

Buck nie ustawał w swoich poszukiwaniach, bez reszty pochłonięty tym światem nowych woni. Od czasu do czasu słyszał dźwięki powodowane przez ludzi i to dodawało mu pewności siebie. Więc oddalał się coraz dalej i dalej od rakiety, czasami tylko zatrzymując się i nasłuchując. Znalazł właśnie norę jakiegoś zwierzęcia i pracowicie obwąchiwał wejście do niej, kiedy rozległy się odgłosy mające istotne znaczenie.

Pierwszy z odgłosów zaczął się gdzieś na horyzoncie i stopniowo przybliżał się ku zenitowi. Był to niski, jednostajny warkot, jaki wydają nadlatujące maszyny atmosferyczne. Buck niejednokrotnie słyszał podobny warkot na Ziemi. Był to dźwięk mechaniczny, a więc dźwięk powodowany przez człowieka, a więc dźwięk, wobec którego nie należało żywić żadnych obaw ani podejrzeń. Równocześnie począł zbliżać się odległy stukot. Ten znów przypominał hałas powodowany przez buldożery lub inne podobne pojazdy mechaniczne używane przez człowieka, a więc i jego nie było się co bać. Buck jął dalej entuzjastycznie obwąchiwać norę.

Teraz rozległy się energiczne głosy męskie. Gdyby to wołał Holden, Buck natychmiast puściłby się pędem. Ale innych ludzi nie słuchał tak bez zastrzeżeń. Niuchnął jeszcze raz i drugi ociągając się. Kiedy wreszcie ruszył bez pośpiechu w stronę, skąd dochodziły nawoływania, posłyszał skowyt rakiety wzbijającej się w niebo. Nie przyszło mu nawet do głowy, że ludzie mogli go tu pozostawić - tak samo jak musieliby w podobnych okolicznościach opuścić kolegę - bo ich zadaniem było przekonać się, jakim uzbrojeniem dysponuje planeta, i ażeby to wy badać dokładnie, chcieli znajdować się w powietrzu.

Kiedy jednak dotarł do miejsca, gdzie wylądowała rakieta - rakiety nie było.

Buck stanął - jak wryty. Brzęczenie nad głową urosło już w grzmiący, kołujący ryk. W ciemności krążyło nad nim tam i z powrotem wiele, wiele maszyn latających, tak ugrupowanych, że doprawdy niepodobieństwem wydawało się, aby rakieta mogła się wymknąć cało z pola ostrzału kierowanych za pomocą radaru pocisków. Równocześnie zbliżał się co najmniej z trzech różnych stron mechaniczny stukot.

Buck zaczął z niedowierzaniem obwąchiwać miejsce, gdzie niedawno stała rakieta - a teraz jej nie było. Potem ruszył niespokojnie tropem mężczyzn, którzy pobierali próbki roślinności. Nie do pojęcia było, żeby ludzie mogli go opuścić. Wracał raz po raz na miejsce, gdzie zatrzymała się rakieta. Oczywiście, czuł się nieszczęśliwy, ale nie przyszło mu nawet do głowy, że ludzie pozostawili go tu na dobre. Czekał niecierpliwie, kiedy się spostrzegą, że o nim zapomnieli, i powrócą, żeby go zabrać.

Warkot zataczał wciąż kręgi po ciemnym niebie. Stukot zbliżał się zza ściany mroku. Wszystko to są maszyny używane przez ludzi, nie jego ludzi może, ale zawsze ludzi, którzy na pewno polubią wielkiego, brunatnego, dobrze ułożonego psa z obrozą na szyi, informującą, że jego panem jest niejaki Holden. A może nawet pomogą mu powrócić do Holdena. Na razie jednak Buck kręci się niepewnie w miejscu, na które jak dotąd rakieta nie powróciła. A hałas i stukot narasta.

Kiedy stukot był już bardzo blisko, z góry trysnęło jaskrawe światło; wydobywało się z samolotu, zataczającego nad głową psa zawrotnie małe i niskie kręgi. Bezlitośnie obnażało wszystko dookoła - i Buck zamrugał oślepiony. Ale nie przejął się tym zbytnio. Maszyny jeżdżące po ziemi, maszyny latające, jaskrawe światło - wszystkim tym posługuje się człowiek. A szanujący się pies potrafi nawiązać poprawne stosunki z każdym człowiekiem. Choć oczywiście nie mogą to być takie wyjątkowe stosunki, jakie łączyły Bucka z załogą macierzystego statku, nie mówiąc już o więzach łączących go z panem, które są jedyne w swoim rodzaju.

Buck usunął się przezornie z drogi, bo teraz zabłysły także przenikliwe reflektory maszyn, które ze stukotem przedzierały się przez puszcze, roztrzając z wielką siłą pierzaste drzewa. Usunął się z drogi, ale ani myślał kryć się w ciemności. Mrugał oczami i merdał machinalnie ogonem, gotując się, by z należytą kurtuazją przyjąć ludzi, którzy wysiądą z bliskich już maszyn. Ma się rozumieć, że pomogą mu odnaleźć Holdena.

Jedna z maszyn stanęła i coś z niej wysiadło. Nie była to jednak istota ludzka. Przez chwilę Buck węszył z niedowierzaniem. Potem sierść mu się zjeżyła. Nie wierzył samemu sobie. Przecież maszynami posługują się ludzie. Tylko ludzie. Masańczyk zbliżał się ku niemu, więc Buck warknął ostrzegawczo. Poraziła go nie znośna jasność. Warknął ponownie i zjeżył się jeszcze bardziej. Ten wielki, brunatny pies ostrzegał teraz, ażeby istoty, które zapewne niszczyły jednostki ziemskiej floty międzygwiazdnej i dewastowały kolonie ziemskie, nie ważyły się go tknąć. Buck naturalnie nic nie wiedział o zaginionych statkach i masowych mordach. Był tylko psem, psem należącym do człowieka, i nie wyobrażał sobie, ażeby mogła istnieć jakaś inna Istota równa człowiekowi, której rozsądny pies nie powinien się sprzeciwiać.

Była to co się zowie niecodzienna scena. Dziwne, niesamowite drzewa, wspinające się ku zasnutemu chmurami niebu, po którym obłądnie ciasne kręgi zatacza snop jaskrawego światła. Olbrzymie, połyskliwe maszyny o silnych, niezwykle silnych reflektorach, przesywających pierzaste listowie i kreślących ziemię mnóstwem ostrych cieni. I pierścień Masańczyków, mieszkańców czwartej planety układu Masa Gama - istot na dobrą sprawę niezbyt różniących się od człowieka - otaczający miejsce, gdzie niedawno wylądowała rakieta ratunkowa, a w tej chwili osaczony stoi wielki, brunatny pies i warczy ostrzegawczo.

Przez jakiś czas trwało oczekiwanie. Jednakże istoty, które potrafią wysyłać w przestrzeń sygnały

radiowe, które posiadają komunikację międzyplanetarną i radar, nie mogą być takie znów głupie. Ponadto w pojazdach zainstalowane były jeszcze urządzenia nadawcze, które za pomocą wiązek kierunkowych przekazywały do punktów obserwacyjnych wszystko, co działo się w polu widzenia. Dzięki temu świadkami spotkania mogły być najtęższe mózgi planety. I zapewne właśnie przed ekranem w którymś z obserwatoriów zorientował się ktoś, że przecież łapy Bucka nie są absolutnie przystosowane do obsługiwanego jakiegokolwiek mechanizmu ani tym bardziej do budowania statków przestrzennych. A może stwierdzono to w wyniku jakichś bardziej skomplikowanych zabiegów.

Dość że rozległy się dźwięki, w których Buck rozpoznał mowę, jakkolwiek nie mógł zrozumieć ani słowa. Odwrócił się powoli od pierwszej istoty, która wciąż jeszcze stała w tym miejscu, gdzie zatrzymała się na jego warknięcie. Zamrugał z godnością, oślepiony przez krąg reflektorów. Jednakże żadne ze światel nie przybliżyło się. Więc ograniczył się do kilku krótkich, pełnych godności pomruków ostrzegawczych. Jego panowie byli tu i odjechali. Ale wrócą. Wrócą na pewno. Nie myli się co do tego. I on tu będzie na nich czekał. Maszyny mogą sobie krążyć, jeśli im się podoba. Jego panowie prawdopodobnie życzą sobie, żeby krążyły, więc on się temu nie będzie sprzeciwiał. Ale z tego miejsca się nie ruszy.

Ostentacyjnie obrócił się dwa razy w kółko i położył na ziemi. Ale łba nie opuścił i wciąż mrugał oczami. Leżał spokojnie i z godnością, ażeby pokazać, że ludzie zostawili go tu, więc musi czekać, kiedy powrócą, żeby go zabrać. A w duchu żywił rozpaczliwą nadzieję, że to Holden wróci po niego.

Do Departamentu Wojny na Masa 4 nadszedł raport. Był to raport ścisły i rzeczowy. Opisywał dokładnie cały postój małej rakiety międzyplanetarnej w północnym okręgu Pierwszego Kontynentu. Ponadto wraz z raportem przekazano fotografie śladów ludzkich i miejsca, gdzie wylądowała rakietka, oraz zdjęcia filmowe Bucka. Jemu poświęcona była również większa część raportu.

Inteligencja ograniczona, ale niewątpliwa - głosił raport. - Posiada umiejętność współżycia z innymi istotami. Nie zachowuje się ani specjalnie przyjaźnie, ani wrogo, lecz z pobłażliwością. Najwidoczniej przyzwyczajony do maszyn, odnosi się do nich bez obaw, ale i bez zainteresowania. Wykazuje zadziwiająco pewność siebie, tak jakby miał jakieś podstawy do zachowania niezależności od istot o wyższej inteligencji. Jednakże nie przejawia wrogości, dopóki nie próbuje się oddziaływać na niego. Wydaje się, że należy do jakiegoś gatunku podporządkowanego istotom, które wybudowały statek przestrzenny, chociaż jego użyteczność nie jest jasna, gdyż nie posiada ani chwytliwych kończyn, ani żadnych dostrzegalnych uzdolnień technicznych, predysponujących go do nadzorowania mechanizmów... Obecnie przystąpiliśmy do instalowania psychoanalizatorów i będziemy starali się uzyskać dalsze szczegóły na podstawie wspomnień utrwalonych w mózgu stworzenia, które oczywiście nie powinno zorientować się, że dokonujemy na jego osobie jakichś badań. W tym celu dokładamy wszelkich starań, ażeby nie naruszyć jego równowaga duchowej...

Następny raport donosił:

Przy pomocy psychoanalizatorów udało się wydobyć z badanego stworzenia wspomnienia wzrokowe i słuchowe o całkowicie zadowalającej ostrości. Okazuje się, że należy ono do gatunku żyjącego w symbiozie z istotami, które obsługują statek międzygwiazdny. Jego użyteczność dla istot wyżej ukształtowanych pozostaje w dalszym ciągu nie wyjaśniona, natomiast jego zależności od tych istot - które, nota bene, są wcale podobne do nas - niezbitnie dowodzą zapisy dołączone do niniejszego raportu. Wrażenia wzrokowe stworzenia są stosunkowo ubogie, za to posiada ono znakomity wężhi słuch. Szczególnie żywe są jego wspomnienia węchowate. Tak na przykład jego

wspomnienia wzrokowe obejmują tylko niektórych członków załogi statku międzygwiazdowego, podczas gdy wspomnienia węchowe obejmują wszystkich bez wyjątku. Natomiast dane techniczne, jakie można uzyskać od "Bucka" - bo takie jest wspomnienie słuchowe znane stworzeniu jako własne imię - są minimalne albo zgoła żadne, a to z uwagi na jego całkowity brak zainteresowania takimi sprawami. Wspomnienia przypuszczalnej bazy macierzystej na planecie, z której przybywają agresorzy, ograniczają się niemal wyłącznie do wrażeń węchowych. Poza tym stworzenie interesuje się ogromnie wszelkimi drzewami i słupami oraz zapachami, jakie z nimi kojarzy... Żałujemy bardzo, że nie udało nam się uzyskać żadnych istotniejszych danych technicznych...

W odpowiedzi nadszedł z Departamentu Wojny rozkaz następującej treści:

UWAGA. SPRAWA NIE CIERPIĄCA ZWŁOKI. NINIEJSZY ROZKAZ ANULUJE WSZYSTKIE BEZ WYJĄTKU ROZKAZY DOTYCHCZASOWE. NIECHAJ ŻADEN OBYWATEL NIE PODEJMUJE JAKIEJKOLWIEK AKCJI NIEZGODNEJ Z TREŚCIĄ TEGO ROZKAZU.

Rada Planetarna zdecydowała, że nasza postawa wobec agresorów zostanie ostatecznie ustalona po uwzględnieniu wszystkich wiadomości, jakie będzie można uzyskać od tzw. Bucka. Chodzi szczególnie o zbadanie wzajemnych stosunków istot wyższych i niższych. Jak wiadomo, istnieją metody psychologiczne oddziaływania na rasy zależne tak, ażeby były one uległe wobec swoich tyranów. W jakiej mierze któraś z tych metod stosowana była wobec Bucka i jaka to była metoda? Jakie prawa przysługują rasie niższej? Jakie kary są na nią nakładane za przekroczenie tych praw i czy pozostawiają one jakieś trwałe piętno społeczne? W jakiej mierze Buck może oczekiwać od swoich panów lojalności? Czy istnieje jakiś kodeks, pisany lub zwyczajowy, regulujący stosunki obu ras i czy rasa wyższa go respektuje? Czy...

W dalszym ciągu rozkaz wdawał się we wszelkie możliwe szczegóły. Jego myślą przewodnią było przypuszczenie, że mózg Bucka - jako stworzenia współżyjącego z człowiekiem - powinien zawierać całkowicie obiektywny obraz rasy ludzkiej. Na stosunek Bucka do własnych wspomnień można było wpływać, ale same wspomnienia powinny być nie zniekształcone. Psia wizja ludzkości powinna się więc okazać wizją nader interesującą.

Rada Planetarna uznała za słuszny wniosek, że od Bucka nie uzyska się żadnych danych technicznych ani militarnych. Ale bezcenne mogą się okazać te wiadomości, które da się od niego uzyskać. Żaden człowiek nie zasługiwałby na pełną wiarę jako informator o swoim własnym gatunku. Ale pies...

Rada Planetarna nie przerwała przygotowań wojennych. Nikła była nadzieja, aby przyszłość mogła przynieść cokolwiek innego niż nieprzerwane pasmo walk i zmagañ. Ale jeśli była jakakolwiek nadzieja, to koncentrowała się ona bez reszty na Bucku.

Co do Bucka, to położenie, w jakim się znalazł, było dlań całkiem niepojęte. Miejsce lądowania rakiety było teraz ogrodzone, a on sam uwięziony wewnątrz ogrodzenia. Istoty, które nie były ludźmi, odnosiły się wprawdzie do niego z respektem, on zaś jako dobrze wychowany i szanujący się pies odpłacał im należną kurtuazją, ale równocześnie te same istoty wciąż podsuwały w jego stronę jakieś aparaty, a to już zdecydowanie mu nie odpowiadało. Teraz na przykład miał przed sobą megafon, który wydawał najrozmaitsze dźwięki. W pewnej chwili megafon szczeknął głosem do złudzenia przypominającym pewnego znajomego psa. Tak, Buck doskonale pamiętał psa z bazy w Rigel, którego głos brzmiał identycznie. Odszczeknął gniewnie, ale tanto szczekanie już się nie powtórzyło.

Innym razem odezwał się głos Holdena. Buck aż podskoczył z niezmiernej radości i merdając tak, że z ogona utworzyła się ruchoma smuga, zapamiętał się w ujadaniu i skowycie, jakimi zawsze wita pies swego pana powracającego po wielodniowej nieobecności. Kiedy wreszcie zorientował się, że to tylko megafon, ugiął się pod ciężarem zawodu. Skomląc biegł wzdłuż ogrodzenia i wypatrywał Holdena.

Badano także jego reakcje na różne inne bodźce... Jeden z Masańczyków przyniósł mu jedzenie. Z początku Buck poniuchał je nieufnie i odszedł. Jeśli już miał jeść jakieś nieznanne rzeczy, to wolałby coś sam sobie upolować. Potem jednak skapitulował i zjadł. Masańczyk zaopatrzonego był w przenośny megafon, który od czasu do czasu wołał: "Buck", "Buck". Buck wprawdzie pomachiwał wesoło ogonem na dobrze znane słowo. Ale nawet gdy Masańczyk nauczył się sam je wymawiać, nie wyzbył się wobec niego rezerwy. Bo Buck tęsknił za ludźmi. A już szczególnie za swoim panem. Gdy tylko zapadł w drzemkę, we śnie pojawiał mu się Holden. Gdy zasnął mocniej, częstokroć nawiedzały go sny tak wyraźne, że łapy same drgały krótkim, urywanym skurczem bezsilnego buntu. Kiedy indziej szczełnął, zawył lub zaskomlał przez sen, lecz przeważnie było to skomlenie niepoahamowanej radości, gdy w swych snach ujrzał Holdena.

Buck ani przeczuwał, że aparaty podsuwane mu przez Masańczyków rejestrują wspomnienia przewijające się przez jego mózg pod wpływem coraz to większej ilości bodźców, jakim Masańczycy byli w stanie go poddać. Buck rozumiał znaczenie ponad stu słów, o ile wypowiedane one były określonym tonem. Słowa te, powtarzane przez megafon na podstawie zapisów wydobytych ze wspomnień Bucka, wywoływały niezmiennie te same reakcje.

Podczas gdy przygotowania do ataku na "Kennessee" postępowały nieprzerwanie naprzód, równocześnie prowadzili Masańczycy intensywne badania nad Buckiem. A w miarę jak wzrastała znajomość jego psychiki, starali się także zaskarbić jego przyjaźń. Masańczyk, któremu to zadanie przypadło w udziale, nie szczędził żadnego wysiłku, ażeby tylko zastąpić Buckowi Holdena. Posługiwał się więc nagraniami jego głosu. Próbował głaskać Bucka w sposób, który - jak świadczyły wspomnienia wprawiał stworzenie w stan najwyższego szczęścia. Raz nawet zaczął się tarzać z Buckiem po ziemi, bo niekiedy czynił to Holden. A wymagało to niemałej odwagi, bo Buck był wielki i silny, Masańczyk zaś nieduży i stosunkowo wątły.

Ale Buck nie chciał się bawić. I owszem, zachowywał się uprzejmie i grzecznie, ale była to tylko grzeczność, do jakiej czuje się zobowiązany pies wobec innych zwierząt hodowanych przez człowieka, takich jak konie, krowy czy owce, od biedy nawet koty. Ale żaden pies nie będzie przecież baraszkował ze skaczącym jagnięciem ani ganiał się z płochliwym żrebakiem. Więc Buck zachowywał rezerwę. Ani myślał rezygnować ze swej lojalności wobec ludzi w ogóle, a w szczególności wobec Holdena. Jadł wprawdzie i łaskawie tolerował masańskiego uczonego, który nie zdołał mu zastąpić Holdena, chociaż uchodził za jedną z dwu czy trzech najtęższych głów w układzie Masa Gama. Ale mimo że jałł, markotniał coraz bardziej w miarę, jak upływały dni rozciągające się w końcu w tygodnie. Markotniał i chudł, choć zdawał sobie podświadomie sprawę, że te dziwne istoty, które nie były ludźmi, polubiły go bez zastrzeżeń.

Ale cóż, pies, który należał do człowieka, nie czuje się dobrze, kiedy zostanie od człowieka oddzielony.

"Kennessee" posuwał się nadal po wybranej orbicie.

Powróciwszy na pokład macierzystego statku, Maynard tłumaczył, jak umiał, niefortuną historię z Buckiem i Holdenem przyjął to tłumaczenie do wiadomości, jednakże ani jednemu, ani drugiemu wyjaśnienie nie przyniosło ulgi. Nie czekano by i na człowieka w podobnych okolicznościach, ale z psem sprawa ma się trochę inaczej. Pies nie potrafi sam myśleć o sobie. Wszyscy rozumiełi, że nie

było innej rady, że trzeba było Bucka pozostawić, jednakże wszystkim było przykro.

Materiały przywiezione z Masa 4 zostały poddane dokładnym badaniom. Równocześnie gromadzono coraz to nowe zapisy przestrzennych sygnałów radiowych, kontynuowano obserwacje planety przy pomocy teleskopów elektronowych, zbierano coraz liczniejsze dowody istnienia wysokiej cywilizacji. I nieprzerwanie towarzyszyły krążownikowi wiązki kierunkowe wysyłane z Masa 4.

W ogóle sytuacja była nad wyraz wątpliwa i napięta do ostateczności. Na spotkanie zbliżającej się rakiety ratunkowej wyruszyły wprawdzie tylko pojazdy terenowe i samoloty atmosferyczne. Na pozór mogłoby się wydawać, że świadczy to o bardzo ograniczonych możliwościach obronnych. Jednakże z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że w układzie Masa Gama istnieje komunikacja międzyplanetarna. A towarzyszące "Kennessee" wiązki kierunkowe oraz natychmiastowe wykrycie rakiety ratunkowej dowodziło, że mieszkańcy układu doskonale wiedzą, iż nie z kometą mają do czynienia.

Cywilizacja dysponująca środkami komunikacji międzyplanetarnej oraz sygnalizacji przestrzennej, a nie posiadająca dostatecznych środków obronnych niewątpliwie próbowałaby w takiej sytuacji nawiązać kontakt z "Kennessee". Próbowałaby nawiązać kontakt chociażby po to, ażeby wyczerpać wszelkie możliwości negocjacji z agresorem. Fakt, że żadna tego rodzaju próba nie miała miejsca, niczego dobrego nie wróżył. Wskazywał raczej, że rasa zamieszkująca planety przyczaiła się w oczekiwaniu chwili, kiedy będzie mogła niespodzianie wymierzyć śmiertelny cios. Nic więc dziwnego, że załoga "Kennessee" żyła w stanie skrajnego napięcia nerwowego, czuwając bez przerwy przy detektorach i dźwigniach, gotowa natychmiast wprowadzić krążownik w przyspieszenie, gdyby tylko wykryto zbliżający się zdalnie kierowany pocisk o dużej szybkości.

- Wcale mi się to wszystko nie podoba - któregoś dnia przyznał się Holdenowi kapitan. - My na ich miejscu na pewno staralibyśmy się nawiązać kontakt z takim przybyszem z przestrzeni. Tylko że ci piraci pojawili się znienacka na Capella 3 i od razu zaczęli mordować, zanim można było przystąpić do jakiegokolwiek akcji. Chyba to jednak oni muszą zamieszkiwać planety. Dobrze, że zdążyliśmy wysłać meldunek na Ziemię. Jak nie wrócimy, będzie chociaż wiadomo, gdzie skierować flotę z bombami międzyplanetarnymi. - Nie mogę odżałować, że to nie ja dokonywałem tej próby lądowania - powiedział Holden twardo. - Czy wyślemy jeszcze jedną torpedę z wiadomościami na Ziemię?

- Nie. I poprzestaniemy na tej jednej próbie lądowania - odrzekł kapitan. - I tak jest absolutnie nieprawdopodobne, żeby ci się udało odnaleźć miejsce, gdzie lądowała tamta rakietka. Zresztą Buck...

- Tak, został na pewno zabity, jak tylko go znaleźli - dokończył Holden.

Nie mógł mieć o to do nikogo pretensji, nie przeszkadzało to jednak, że był rozgoryczony. Brakowało mu Bucka.

Aż oto dwunastego dnia od jego zaginięcia od Masa 4 oderwał się statek międzyplanetarny, "Kennessee" zdążył już okrążyć planetę i zmierzał teraz do punktu perihelijnego po przeciwnej stronie jej słońca. O ile dotrze cało do tego miejsca, kapitan zamierzał wprowadzić krążownik w przyspieszenie i ze wszystkimi uzyskanymi wiadomościami wyruszyć w drogę powrotną do bazy. Ale pojawienie się statku międzyplanetarnego pokrzyżowało cały ten plan.

Z pozoru wydawało się, iż jest on poruszany przy pomocy napędu raketowego, statek ciągnął bowiem za sobą jakby ogon wyrzucanych gazów. Jednakże spektroskopy wykazały, że jest to po prostu produkt spalania jakiegoś związku węglowodorowego. Poza tym "ogon" nie posiadał najmniejszej siły odrzutu, która dowodziłaby, że spełnia on jednak rolę napędu. Przypominało to

pasma dymu rozsnuwanego nieraz przez samoloty dla celów reklamowych.

Po dwóch dniach lotu statek oddalił się dość znacznie od planety, po czym łagodnym łukiem zmienił kurs.

Niedługo potem do kabiny kontrolnej przyszedł oficer nawigacyjny z meldunkiem, że zarówno kierunek, jak i szybkość jego lotu wskazują na to, iż statek pragnie się zbliżyć jak najbardziej do "Kennessee" i nawiązać łączność. Potem "ogon" dymu jął na przemian cienieć i grubieć, cienieć i grubieć - niechybnie po to, ażeby przyciągnąć uwagę krążownika.

W kabinie kontrolnej odezwał się megafon.

- Panie kapitanie - zabrzmiał ochryply głos Holdena. - Nasza pseudorakieta zarzuca nas wszelkimi możliwymi sygnałami. Wciąż podnosi i obniża widmo, próbuje modulować częstotliwość i amplitudę, i tak dalej. Niech pan tylko posłucha.

I w megafonie rozległo się wesołe: "Luf"! Najwyraźniej było to szczeknięcie Bucka. A zaraz potem ludzki głos zawołał: "Buck". Chociaż zniekształcony trochę, był to ponad wszelką wątpliwość autentyczny głos Holdena. Jak szalony wykrzykiwał teraz: "Buck, leżeć", "Do nogi, Buck", "Przynieś to, Buck, przynieś". I różne podobne rozkazy, na które Buck był nauczony reagować. Jako środek nawiązania łączności pomiędzy dwiema obcymi i nie ufającymi sobie nawzajem rasami - zasób wyrażen znanych wielkiemu brunatnemu psu imieniem Buck odznaczał się wprawdzie zbytnią bezceremonialnością. Ale czyż można sobie było wyobrazić coś równie niedwuznacznego w intencjach?

- Wie pan, co to oznacza, kapitanie? - powiedział Holden drżącym głosem. - Oni musieli to wszystko jakimś sposobem wydobyć z mózgu Bucka. Wyczytali to w jego pamięci. Tak, innej możliwości nie widzę. A teraz chcą z nami nawiązać łączność. - Po czym dodał głucho: - Tylko czy oni go nie zabili, żeby móc się grzebać w jego mózgu...

- Holden - rzekł kapitan. - Bądź tak dobry i odpowiedz im. Tylko musisz przemówić jak do Bucka, Zobaczymy, co będzie.

W megafonie kabiny kontrolnej rozległ się głos Holdena skierowany do innego mikrofonu.

- Buck - mówił Holden chrapliwie. - Słyszysz mnie, staruchu? Odezwij się. Słyszysz mnie, Buck?

W odpowiedzi megafon zaniósł się radosnym ujadaniem, jakim Buck witał zawsze swego pana. Buck szczekał i warczał, skomlał i skowyczał, aż wreszcie znów przeszedł w nieprzytomne ujadanie. Stworzenie oszalało z radości.

- To on, panie kapitanie... - powiedział Holden niepewnie. - Usłyszał mnie. A więc nie zrobili mu żadnej krzywdy. Kapitanie, chyba trzeba będzie...

- Tak, Holden, masz zupełną rację - rzekł kapitan opanowanym głosem. - Właśnie miałem ci powiedzieć, żebyś wziął raketę ratunkową i spróbował dowiedzieć się czegoś bliższego o tych istotach. Może uda ci się wejść z nimi w bezpośredni kontakt. Istoty, które potrafiły poznać się na porządnym psie i mają dość uczciwości, żeby zwrócić go prawowitemu właścicielowi, nie mogą być tymi samymi istotami, które dokonały masakry pół miliona ludzi na Capella 3.

Masański uczone, który miał zastąpić Buckowi Holdena, zaprzyjaźnił się dosyć ze swoim rywalem, kiedy "Kennessee" wylądował na Masa 4. Do bazy macierzystej wysłana została jeszcze jedna torpeda, ażeby wyjaśnić dokładnie sytuację i przedstawić powody, które skłoniły załogę do nawiązania przyjaznych stosunków z mieszkańcami układu Masa Gama. Ma się więc rozumieć, że gdyby "Kennessee" nie powrócił, nikt na Ziemi nie miałby wątpliwości, kto jest odpowiedzialny za zaginięcie krążownika. Jednakże Masańczycy wydawali się tym wcale nie przejmować, nie przejmowali się przeto i członkowie załogi.

- Wszystko to świetnie się uzupełnia - tłumaczył Holdenowi masański uczone. - Posiadając energię

atomową możecie promieniom świetlnym, z którymi was zaznajomiliśmy, nadać dowolną siłę. Dzięki temu łatwiej damy sobie radę z naszymi wspólnymi wrogami. To śmieszne, że my jako napęd w komunikacji międzyplanetarnej nauczyliśmy się wykorzystywać promienie świetlne, bo nie znaleźliśmy energii atomowej, a wy odkryliście energię atomową, bo nie posiadaliście naszych promieni świetlnych.

- Na pewno znajdzie się jeszcze wiele innych rzeczy, które się w ten sposób będą zazębiały - powiedział Holden. - Będziemy mogli nawzajem uzupełniać naszą wiedzę, o ile oczywiście nie utracimy do siebie zaufania.

- Tak - rzekł Masańczyk jakoś melancholijnie. - I pomyśleć, że my mieliśmy zamiar spalić was promieniami świetlnymi, bośmy się was bali, a wy chcieliście zniszczyć naszą cywilizację przy pomocy bomb międzyplanetarnych, bo baliście się nas. Jeśli do tego nie doszło, to zawdzięczamy to tylko Buckowi.

- Mimo wszystko - powiedział Holden z zażenowaniem - ja ciągle nie jestem w stanie pojąć, jak wyście mogli tak bez reszty nam zaufać. Obawiam się, że my byśmy nie zaufali tak dalece nieznanym sobie istotom. Czy możliwe, żeby to wszystko było zasługą Bucka...

- Jednakże tak - odparł Masańczyk poważnie. - Wydobyliśmy z jego mózgu wszystkie wspomnienia. Absolutnie wszystkie. I okazało się, że jego gatunek uwielbia człowieka. Buck przyjąłby z rąk człowieka nawet okrucieństwo. Ale ludzie nie byli wobec niego okrutni. Bez wahania oddałby za człowieka życie, ale nikt tego od niego nie żądał. Jest wam oddany bezgranicznie, ale i wy za oddanie odpłacaliście mu przyjaźnią. Czy wiesz, co skłoniło ostatecznie Radę Planetarną, żeby zastosować wobec ludzi polityką pełnego zaufania?

- No, nie... - przyznał Holden.

- Twoje przywitanie z Buckiem, kiedy po raz pierwszy wkroczyłeś na pokład naszego statku - powiedział z uśmiechem Masańczyk. - Buck już przedtem zdradził nam wszystkie swoje sekrety. Sam o tym nie wiedząc stał się niemal że zdrajcą. Wyjawił nam wszystko, co sam wiedział o człowieku. Ale trzeba było widzieć tę scenę powitania. Buck skoczył na ciebie i razem zaczęliście się tarzać po podłodze. Ściskaliście się jak kochankowie. A ty ani pomyślałeś, że takie "wielkie psisko może ci niechcący zrobić krzywdę. Ucieszyłeś się na jego widok tak samo, jak on na twój. I to rozstrzygnęło ostatecznie o naszej polityce. Wiedzieliśmy już, że ludzie za zaufanie odpłacają lojalnością. - Po chwili Masańczyk dodał: - To znaczy, większość ludzi.

- No, tak - potwierdził Holden, znów zażenowany. - To właśnie niepokoi naszego kapitana. Powiada, że wy się zachowujecie zupełnie tak, jakby wszyscy ludzie byli tacy porządni, za jakich mają nas psy. A to nieprawda. Będziecie musieli w przyszłości... będziecie musieli trochę bardziej z nami uważać...

- Dowiedzieliśmy się i tego od Bucka - stwierdził Masańczyk. - Ale dowiedzieliśmy się także, że zawsze znajdziemy ludzi, którym będziemy mogli zaufać.

Przez ciemnozielony trawnik nadbiegł szalonymi susami Buck. Holden siedział wraz z Masańczykiem na czymś w rodzaju tarasu przed jego domem. Buck dopadł ich, dysząc radośnie, i położył pysk na kolanach Holdena. Potem machnął Masańczykowi łaskawie ogonem i znów pognął przed siebie.

- Do mnie nigdy nie podbiegnie w ten sposób - powiedział Masańczyk. - A ja... tak, myślę, że lubię go nie mniej od ciebie.

- To dlatego, że ja jestem jego panem - wyjaśnił Holden. - Ale traktuje ciebie jak człowieka. Nie zauważyłeś tego?

- Masz rację. Nie zwróciłem uwagi, ale tak, masz rację. Słuchaj, musimy i my zacząć hodować

psy. Psy powinny nas polubić, tak samo jak ludzi. Wówczas człowiek, który lubi psy, łatwiej zaufa Masańczykowi, który także je lubi, i na odwrót. - Masańczyk zaśmiał się. - Bo czyż moglibyśmy nie zaufać człowiekowi, którego porządny pies ma za pana? W ten sposób ludzie staną się nam braćmi.

Na tym kończy się ten krótki epizod z historii poszukiwań korsarzy międzygwiazdnych. Wszyscy wiemy, że zamieszkiwany przez nich układ został w końcu odnaleziony, i wszyscy wiemy, że nim zdążyliśmy nawiązać z nimi jakiegokolwiek pertraktacje, już ich statki przestrzenne z szaleńcza wściekłością atakowały naszą flotę. A więc sprawa musiała się zakończyć ich całkowitą zagładą - albo też zagładą ludzi i Masańczyków. Wówczas to po raz pierwszy statki ziemskie posłużyły się w walce masańskimi promieniami świetlnymi. Ale to historia, którą wszyscy znają.

Nie wszyscy natomiast wiedzą, że przed gmachem Rady Planetarnej na Masa 4 stoi pomnik Bucka. Masańczycy uważają to za rzecz zupełnie naturalną. Lubią psy ponad wszelką miarę, a i psy ich lubią. Masańczycy ukuli już nawet przysłowie, które powiada, że najlepszym przyjacielem Masańczyka - jest pies.

Nie ma natomiast żadnego posągu Bucka na Ziemi. Ale Buck nie żywi o to pretensji. Czyż nie jest szczęśliwym psem i bez tego? Jest przecież z Holdenem. Nie odstępuje go na krok.

Tłumaczył Krzysztof Zarzecki

Dla istot prymitywnych obcy to przede wszystkim wróg. Ale nawet dla istot wysoko rozwiniętych obcy to - bądź co bądź - zupełna niewiadoma. Widząc po raz pierwszy taki tajemniczy stwór nikt prawdopodobnie nie będzie wiedział, z kim ma do czynienia z jak się z tym "kimś" czy też "czymś", obchodzić. Na tym tle może powstawać mnóstwo nieporozumień, czasem smutnych lub nawet tragicznych, a niekiedy zabawnych.

ROBERT SHECKLEY - Instynkt myśliwski

Była to ostatnia zbiórka przed Planetarnym Zlotem Harcerskim i stawiły się na nią wszystkie drużyny. Zastęp Szybujących Sokołów, objawszy w posiadanie cienistą kotlinkę, zaprawiał się w posługiwaniu czułkami. Zastęp Mężnych Bizonów skupił się nad maleńkim strumyczkiem - Bizony ćwiczyły się w przyjmowaniu płynnego pokarmu i związane z tym komiczne uczucie raz po raz powodowało wybuchy niepoahamowanego śmiechu.

A Zastęp Rozjuszonych Miraków czekał na harcerza Drogę, który jak zawsze spóźniał się.

Drogę opadł z wysokości dziesięciu tysięcy stóp, zmaterializował się i czym prędzej wsunął w krąg kolegów.

- Ojej, przepraszam - powiedział. - Nie miałem pojęcia, że już tak późno.

Zastępowy zmierzył go gniewnym spojrzeniem. - Drogę, czy ty nie wiesz, że na zbiórkę trzeba się stawić w pełnym umundurowaniu?

- O, przepraszam - rzekł Drogę i pośpiesznie wysunął czulek, o którym zapomniał.

Koledzy zachichotali. Drogę oblał się ciemnym pąsem. Najchętniej zdematerializowałby się w tej chwili. Ale nie wypadało.

- Otwieram dzisiejszą zbiórkę - odezwał się zastępowy. - Jak zwykle przypomnę wam najpierw nasze harcerskie przyrzeczenie. - Odchrząknął. - My, młodzi harcerze planety Elbonai, ślubujemy pielęgnować cnoty i sprawności naszych przodków. W tym celu my, harcerze, przybieramy postać naszych praojców, którzy podbili dziewicze obszary tej planety. Ślubujemy...

Harcerz Drogę przestroił swoje receptory słuchowe, ażeby lepiej słyszeć cichy głos zastępowego. Przyrzeczenie zawsze przenikało go dreszczem. Wprost nie do wiary wydawało mu się, że jego przodkowie mogli poruszać się tylko po ziemi. Dziś Elbonajczycy są eterycznymi istotami, które zachowały minimum cielesnej powłoki i żyją na wysokości dziesięciu tysięcy stóp, przyswajając sobie energię promieni kosmicznych i postrzegając bez pośrednictwa zmysłów; na powierzchnię planety opuszczają się tylko z pobudek uczuciowych lub sakralnych. Tak, daleką drogę przebyli od wieku kolonizacji. Historia nowoczesna rozpoczyna się od wieku kontroli podmolekularnej, po którym dopiero nastąpił obecny wiek kontroli bezpośredniej.

- Ślubujemy postępować uczciwie i po dżentelmeńsku - ciągnął zastępowy. - Zobowiązujemy się przyjmować pokarmy płynne i stałe, tak jak to czynili nasi przodkowie, i wciąż podnosić naszą sprawność w posługiwaniu się ich metodami i narzędziami...

Po części wstępnej, kiedy chłopcy rozeszli się w różne strony, zastępowy zbliżył się do Drogi.

- To nasza ostatnia zbiórka przed zlotem - przypomniał.

- Wiem - odparł Drogę.

- Wszyscy w Zastępie Rozjuszonych Miraków otrzymali już promocje albo przynajmniej tytuł młodszego kolonizatora. Ty jeden zostałeś nie promowany. Co sobie pomyślą na zlocie o naszym zastępie?

Drogę zakręcił się niepewnie.

- To niezupełnie moja wina powiedział. Wiem, zblądziłem się przy próbie pływania i robienia bomb. To rzeczywiście nie moja specjalność. Ale nie można przecież wymagać, żebym umiał wszystko. Nawet wśród kolonizatorów byli przecież specjaliści. I nikt nie wymagał, żeby każdy...

- No, dobrze - przerwał zastępowy. - Ale co ty właściwie umiesz?

- Umie tropić, polować - odrzekł skwapliwie Drogę. - Wiem, jak się poruszać w terenie leśnym i

górkim.

Zastępowy zmierzyl go badawczo. Potem rzekł z namysłem:

- Słuchaj, Drog. Chcesz, żebym ci dał jeszcze jedną, ostatnią szansę uzyskania promocji, i to nawet z wyróżnieniem?

- Jestem gotów na wszystko - wykrzyknął Drog.

- No, dobrze - rzekł zastępowy. - Jak się nazywa nasz zastęp?

- Zastęp Rozjuszonych Miraków.

- A co to jest mirak?

- Zwierzę, duże drapieżne zwierze - odparł Drog bez namysłu. - Kiedyś miraki zamieszkiwały znaczną część Elbonai i nasi przodkowie musieli staczać z nimi krwawe walki. W końcu je wytępili.

- Niezupełnie - rzekł zastępowy. - Jeden z harcerzy badał wczoraj lasy, pięćset mil stąd w kierunku północnym, współrzędne 233 południowa i 482 zachodnia, i natknął się na stadko trzech miraków. Wszystkie trzy samce, więc nie podlegają ochronie. Chcę, Drog, żebyś je wytropił i podszedł. Będiesz miał okazję wykazać swoje umiejętności myśliwskie. Masz wrócić ze skórą miraka. Tylko pamiętaj, wolno ci stosować wyłącznie broń i sposoby z epoki kolonizacji. Dasz radę?

- Pewnie, że dam!

- To się zbieraj - powiedział zastępowy. - Zatkniemy skórę na drzewce zamiast proporczyka. Na pewno nie minie nas wyróżnienie na zlocie.

- Rozkaz!

Drog pośpiesznie zebrał swój ekwipunek, napełnił manierkę wodą, zapakował rację stałego pokarmu - i ruszył w drogę.

Po paru minutach znalazł się ponad okolicą, gdzie powinny się przecinać współrzędne 233 południowa i 482 zachodnia. Była to dzika i romantyczna kraina skalnych grzebieni i karłowatych krzewów, gęstych zarośli w dolinach i wiecznego śniegu na szczytach.

Drog rozejrzał się niepewnie dookoła. To, co powiedział zastępowemu, nie było zupełnie zgodne z prawdą. Jeśli chodzi o ścisłość, wcale nie był tak bardzo obeznany ze sztuką myśliwską i wcale nie tak swobodnie czuł się w górkim i leśnym terenie. Właściwie jedyne, co lubił i potrafił, to godzinami oddawać się marzeniom, bujając na wysokości pięciu tysięcy stóp. A teraz miał zdobyć skórę miraka. Co będzie, jeśli w ogóle go nie odnajdzie? Albo jeśli to mirak odkryje go pierwszy?

Nie, to niemożliwe - pocieszył się. Przecież w razie czego zawsze może się zdematerializować. I tak nikt nie będzie wiedział.

W tej samej chwili poczuł woń miraka. I zaraz potem dostrzegł, że coś poruszyło się nieznacznie o jakie dwadzieścia jardów przed nim, w pobliżu dziwnej formacji skalnej, przypominającej fantazyjną literę T.

Czyżby naprawdę miało się to okazać aż tak łatwe? No, ładnie! Przybrał odpowiedni kamuflaż i ruszył ostrożnie przed siebie.

Ścieżka stawała się coraz bardziej stroma, a słońce prażyło dotkliwie. Paxton był cały mokry od potu - niewiele pomagał nawet skafander z urządzeniami klimatyzacyjnymi. Miał już tej całej wyprawy powyżej czubka głowy.

- Kiedy ostatecznie wracamy? - zapytał.

Herrera poklepał go dobrodusznie po ramieniu.

- Wcale ci nie zależy, żeby zostać bogatym człowiekiem?

- Już jesteśmy bogaci - odparł Paxton.

- Ale niewystarczająco bogaci jak na mój gust - oświadczył Herrera i jego pociągłą, smagłą twarz wykrzywił radosny grymas.

Dysząc pod ciężarem aparatury badawczej, nadchodził Stellman. Ostrożnie postawił aparaty na ścieżce i usiadł.

- Może trochę odsapniemy, co? - zaproponował.

- Czemu nie? - rzekł Herrera. - Ja tam zawsze jestem gotów.

Usiadł pod skałą o kształcie fantazyjnej litery T.

Stellman zapalił fajkę, a Herrera odsunął zamek błyskawiczny i jął szukać cygara w kieszeni kombinezonu. Paxton przyglądał im się przez chwile. W końcu zapytał:

- No, to kiedy wyruszamy z powrotem? Czy może zostaniemy już na zawsze na tej planecie?

Herrera tylko wyszczerzył zęby. Potarł zapalną i zapalił cygaro.

- No, to jak będzie? - wrzasnął Paxton.

- Nie denerwuj się, jesteś przegłosowany - po wiedział Stellman. - Wszyscy trzej przystąpiliśmy do tej spółki na równych prawach.

- Tak, za moje pieniądze - odciął się Paxton.

- Jasne. Dlatego cię w ogóle wzięliśmy. Herrera ma praktyczne doświadczenie górnicze. Ja mam przygotowanie teoretyczne i dyplom pilota. Ty dałeś pieniądze.

- Ale przecież mamy już kupę wszystkiego w rakiemie - rzekł Paxton. - Ładownie są napełnione po brzegi. Śmiało moglibyśmy wrócić do jakiegoś cywilizowanego kraju i zabrać się do wydawania.

- Cóż, kiedy ani Herrera, ani ja nie mamy twojego arystokratycznego stosunku do dóbr doczesnych - powiedział Stellman z przesadnym spokojem. - Obu nas pożera dziecinna żądza, żeby zapełnić każdy najmniejszy kącik, każdy zakamarek rakiety skarbami. Zbiorniki po paliwie chcemy załadować grudkami złota, puszki po mące - szmaragdami, w kabinie chcemy brodzić po kostki w diamentach. A mamy po temu realne możliwości. Gdzie się obejrzeć, leżą drogocenne kamienie i same się proszą, żeby je podnieść. Będziemy bajecznie bogaci, Paxton, bogaci aż do obrzydliwości.

Ale Paxton nie słuchał. Nie spuszczał oka z drzewa rosnącego tuż przy śladach, które pozostawili za sobą. W końcu rzekł zniżonym głosem:

- To drzewo poruszyło się przed chwilą.

Herrera wybuchnął śmiechem.

- Duchy, co? - zadrwił.

- Nie wygłupiaj się - powiedział Stellman grobowym głosem. - Mój drogi - zwrócił się do Paxtona - sam wiesz, że nie jestem już człowiekiem pierwszej młodości, że cierpię na otyłość i że nie odznaczam się wcale zbyt wielką odwagą. I czy ty uważasz, że chciałbym tutaj siedzieć za wszelką cenę, gdybym przypuszczał, że może nam grozić choćby najmniejsze niebezpieczeństwo?

- O! Znowu się poruszyło!

- Przecież badaliśmy tę planetę przed trzema miesiącami - ciągnął Stellman. - I przekonaliśmy się, że nie ma na niej ani żadnych istot obdarzonych inteligencją, ani niebezpiecznych zwierząt, ani trujących roślin... Chyba pamiętasz? Nie znaleźliśmy nic prócz lasów, gór i złota, jezior i szmaragdów, rzek i diamentów. Gdyby czyhało tutaj na nas jakiekolwiek niebezpieczeństwo, czyż nie mielibyśmy z nim już dawno do czynienia?

- Mówię wam, widziałem, jak to drzewo się poruszyło - obstawał Paxton.

Herrera wstał.

- Które drzewo? To? - zapytał Paxtona.

- Tak. Przyjrzyjcie się, ono ma nawet inny wygląd. Jakaś odmienna konsystencja...

Jednym płynnym ruchem Herrera wy dobył z kabury swój pistolet atomowy model II i wypalił trzy

razy. W mgnieniu oka drzewo i otaczające je krzewy w promieniu dziesięciu jardów stanęły w płomieniach i zwęgliły się.

- No, już po nim - rzekł Herrera.

Paxton potarł szczękę.

- Słyszeliście, jak jęknęło, kiedy je trafiłeś?

- Jasne. Ale teraz już po nim - powtórzył Herrera uspokajająco. - Jak zobaczysz, że jeszcze coś się porusza, powiedz tylko, a już ja się rozprawię. No, a teraz możemy się rozejrzeć za jeszcze paroma gustownymi szmaragdzikami, co?

Paxton i Stellman wzięli manatki i ruszyli pod górę w ślad za Herrera. Stellman mruknął z rozbawieniem w głosie:

- Ten to się nie patyczkuje, co?

Drog odzyskiwał powoli przytomność. Ogniotwórcza broń miraka zaskoczyła go pod osłoną drzewnego kamuflażu, prawie zupełnie nieprzygotowanego. Ciągłe jeszcze nie rozumiał, jak to się mogło stać. Napadu nie poprzedził przecież żaden znak ostrzegawczy. Nic a nic, ani żaden zapach, ani jakiś pomruk czy warkniecie. Mirak zaatakował go ze ślełą wściekłością, nawet nie zainteresowawszy się przedtem, czy ma do czynienia z istotą wrogą, czy przyjazną. Teraz dopiero Drog przekonywał się, jak dzika jest bestia, z którą się znalazł oko w oko.

Odczekał, aż tupot kopyt trzech miraków ucichł w oddali, po czym z wysiłkiem spróbował wysunąć receptor wzrokowy. Ale nic nie nastąpiło. Na moment ogarnęła go panika. Jeżeli ma uszkodzony centralny system nerwowy, to już koniec.

Spróbował jeszcze raz. Tym razem zsunął się odłamek skalny, który go przygniatał, i Drog mógł się zreaktywizować. Czym prędzej dokonał wizji wewnętrznej i odetchnął. A mało brakowało. Instynktownie zdematerializował się w krytycznym momencie i to mu ocaliło życie.

Spróbował zastanowić się nad dalszym działaniem, ale wstrząs spowodowany nagłym i podstępny napadem wybił mu z głowy i tę odrobinę wiedzy myśliwskiej, jaką posiadał. Nie miał najmniejszej ochoty ponownie wchodzić w drogę krwiożerczym mirakom.

Może by więc wrócić bez tej całej głupiej skóry? Powie zastępowemu, że wszystkie trzy miraki okazały się samicami, a samice, jak wiadomo, podlegają ochronie. Słowo harcerza jest respektowane, więc nikomu nie przyjdzie na myśl kwestionować meldunku ani tym bardziej kontrolować jego prawdziwości. Ale nie, to nie wchodzi w rachubę. Jak mógł w ogóle dopuścić do siebie taką myśl?

- Tak - rzekł sobie posepnie - wobec tego pozostaje mi chyba tylko wystąpić z harcerstwa i raz na zawsze skończyć z tym całym wygłupem, z tymi wszystkimi ogniskami, chórami, podchodami, koleżeństwem...

Nie, i to nie wchodzi w rachuba - zdecydował biorąc się mocno w garść. Rozumuje zupełnie tak, jak gdyby miraki były równymi mu przeciwnikami, zdolnymi przedsięwziąć przeciw niemu jakąś planową akcję. A przecież miraki nie są nawet stworzeniami obdarzonymi inteligencją. Żadna istota nie posiadająca czułek nie wykazuje prawdziwej inteligencji. Wyraźnie precyzuje to prawo Etliba, którego nikt nigdy nie próbował nawet podawać w wątpliwość. A inteligencja zawsze bierze górę, gdy ma przeciwko sobie prymitywny instynkt. Musi być górą. Wystarczy się, więc zastanowić, jaką zastosować taktykę.

Kierując się powonieniem, Drog ruszył w ślad za mirakami. Jaką bronią z epoki kolonizacji najlepiej będzie się posłużyć? Może niewielką bombką atomową? Nie, więcej niż prawdopodobne, że uszkodziłaby ona skórę zwierzęcia.

Zatrzymał się nagle i wybuchnął śmiechem. Sprawa jest naprawdę dziecinnie prosta, wystarczyło

trochę pomyśleć. Po co ma w ogóle wchodzić w niebezpieczny kontakt z mirakami? Czyż nie lepiej uciec się do pomocy mózgu? Od czego znajomość psychologii zwierzęcej i sztuka stosowania przynęt i pułapek? Oczywiście, zamiast tropić miraka, odszuka ich legowisko. I tam zastawi sidła.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy dotarli do jaskini, w której mieli czasowy obóz. Turnie i występy skalne rzucały ostre i wyraźne cienie. Rakieta pozostała o pięć mil niżej, na samym dnie doliny - jej metaliczna powłoka połyskiwała srebrzyście i czerwono. W chlebaku mieli koło tuzina szmaragdów, nie zbyt wielkich, ale pięknej wody.

O tej przedwieczornej porze Paxtonowi marzyło się małe miasteczko w stanie Ohio, dobrze znana lodziarnia i dziewczyna o jasnych włosach. Herrera, z uśmiechem na wargach, delektował się myślą, w jaki sposób przepuści milion dolarów, nim w końcu zabierze się poważnie do farmerki. Stellman zaś formułował już w głowie pierwsze zdania swej tezy doktorskiej poświęconej pozaziemskim złożom minerałów.

Wszyscy trzej byli w dobrym i swobodnym nastroju. Paxton powrócił już zupełnie do równowagi po swym niedawnym załamaniu. Teraz niemal pragnął, ażeby pojawił się jakiś potwór, o ile możliwości zielony, w pogoni za ładną i nie za bardzo ubraną kobietą.

- No, to jesteśmy - powiedział Stellman kierując się w stronę jaskini. - Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zrobię wam dzisiaj zraziki wołowe. - Właśnie wypadał jego dyżur.

- Tylko musi być dużo cebulki - rzekł Paxton zbliżając się do jaskini. Odskoczył gwałtownie. - A to co znowu?

Przed samym wejściem widniał niewielki befsztyk, nad którym jeszcze unosiła się para, cztery duże diamenty oraz butelka whisky.

- To naprawdę dziwne - powiedział Stellman. - I trochę niepokojące.

Paxton pochylił się, żeby obejrzeć diamenty, ale Herrera pociągnął go z powrotem. - Uważaj, to może być pułapka!

- Nie widać żadnych przewodów powiedział Paxton.

Herrera nie spuszczał oka z befsztyka, diamentów i butelki. Minę miał bardzo nieszczęśliwą. Nie podoba mi się to - oświadczył.

- Może na tej planecie mieszkają jednak jakieś dzikusy - rzekł Stellman. - Widocznie muszą być bardzo lękliwi i w ten sposób chcą nam dać do zrozumienia, że nie mają wrogich zamiarów.

- A to wymyśliłeś - powiedział Herrera. - Posłał nawet specjalnie na ziemię po butelkę starej gwiazdówki.

- To co robimy? - zapytał Paxton.

- Odsuńcie się - rzekł Herrera. - Stójcie z daleka.

Odłamał z pobliskiego drzewa długą gałąź i jął ostrożnie poszturchiwać diamenty.

- Widzisz, nic - powiedział Paxton.

Długa trawa, na której stał Herrera, owinęła się ciasno dokoła jego kostek. Jednocześnie ziemia pod jego stopami wybrzuszyła się i po chwili powstała regularna tarcza o średnicy piętnastu stóp, która wyrwijając korzenie powoli jęła unosić się w powietrze. Herrera szamotał się chcąc zeskoczyć, ale trawa trzymała go z siłą tysiąca zielonych macek.

- Trzymaj się! - wrzasnął idiotycznie Paxton i jednym skokiem chwycił krawędź unoszącego się do góry ziemnego talerza.

Tarcza przechyliła się stromo, ważyła przez chwilę w miejscu, po czym jęła wznosić się wyżej. Herrera wyciągnął nóż i próbował przeciąć trawę krępującą mu kostki. Jednocześnie i Stellman odzyskał przytomność umysłu. Widząc, że Paxton balansuje już powyżej jego głowy, złapał go za

stopy, w ten sposób po raz wtóry powstrzymując unoszenie się tarczy.

Tymczasem Herrera zdołał oswobodzić jedną nogę i rzucił się całym ciężarem ciała przed siebie. Przez chwilę wisiał na drugiej nodze, potem krepująca go trawa puściła i poleciał na głowę. W ostatniej chwili zdążył ją podkurczyć i opadł na kark i ramiona. Również Paxton puścił teraz tarczę i wylądował na brzuchu Stellmana.

A tarcza, obciążona już tylko befsztykiem, butelką i diamentami, unosiła się coraz wyżej, aż zniknęła z oczu.

Przez ten czas słońce zapadło za szczyty. Bez jednego słowa trzej mężczyźni schronili się do jaskini, z pistoletami atomowymi w dłoni. Rozpalili buzujące ognisko u wejścia i wycofali się w głąb pieczary.

- Musimy na zmianę wartować przez całą noc - powiedział Herrera.

Paxton i Stellman kiwnęli głowami. Herrera ciągnął: - Miałeś rację, Paxton. Już dość długo tu siedzimy.

- Aż za długo - rzekł Paxton.

Herrera wzruszył ramionami.

- Jak tylko się rozwidni, wracamy do rakiety i odlatujemy.

- O ile - powiedział Stellman - uda nam się do niej dotrzeć.

Drog był zupełnie zniechęcony. Z rozpaczą w sercu śledził przedwczesne działanie pułapki, szamotanie się miraków, wreszcie ucieczkę złapanego zwierzęcia. A był to wspaniały okaz. Największy ze wszystkich trzech.

Teraz, poniewczasie, wiedział, jaki popełnił błąd. W swej nadgorliwości przesadził z tymi przynętami. Wystarczyłyby same minerały - wiadomo, miraki są z natury zwierzętami mineralotropicznymi. Ale nie, on musiał ulepszyć metody pierwszych kolonizatorów, musiał na dodatek zastosować jeszcze bodźce pokarmowe. Nic dziwnego, że obudził podejrzliwość miraków, tak silnie oddziałując na ich zmysły.

Są teraz rozdrażnione, ostrożne i wyraźnie niebezpieczne. A mirak doprowadzony do wściekłości to najgroźniejszy stwór w całej Galaktyce.

Na zachodzie pojawiły się dwa bliźniacze księżycy planety Elbonai i Drog tym dotkliwiej odczuł brzemień samotności. Widział ognisko buzujące u wejścia do jaskini. Dzięki zdolności postrzegania pozazmysłowego. Mógł także dostrzec miraki przycupnięte w głębi pieczary, czujne, z bronią gotową do strzału.

Czy naprawdę skóra miraka warta jest tego całego zachodu? W każdym razie Drog stanowczo wolałby bujać na wysokości pięciu tysięcy stóp, oddając się marzeniom albo rzeźbiąc w chmurach. Wolałby również wchłaniać promienie kosmiczne, zamiast przyjmować ten obmierzły przedpotopowy stały pokarm. I w ogóle co za sens ma to całe tropienie i polowanie? Bezwartościowe sprawności, od dawna już na nic nikomu niezdatne.

Na chwilę niemal że w to uwierzył. Ale zaraz, w nagłym przebłysku zrozumienia, pojął, jaki to wszystko ma cel.

Tak, Elbonajczycy górują nad wszystkimi swoimi konkurentami, pod względem rozwoju nie mają rasy sobie równej. Ale wszechświat jest wielki i może kryć w sobie wiele niespodzianek. Któż jest w stanie przewidzieć, co przyniesie przyszłość i jakie nowe niebezpieczeństwa zgotuje Elbonajczynom. A jakże stawiają oni tym niebezpieczeństwom czoło, jeśli do reszty postradają swój instynkt myśliwski?

Tak, cnoty przodków trzeba pielęgnować, ażeby służyły za wzór; ażeby stanowiły memento, że

pokojowa egzystencja istot inteligentnych we wrogim wszechświecie może być każdej chwili zagrożona. I dlatego on, Drog, albo zdobędzie tę skórę, albo zginie.

Teraz powróciła Drogowi do głowy cała posiadana wiedza myśliwska. Najważniejszą rzeczą było wywabić miraki z jaskini. Szybko, sprawnie zaczął kręcić róg myśliwski.

- Słyszałeś? - spytał Paxton.

- Coś jakby słyszałem - odparł Stellman i wszyscy trzej jęli nasłuchiwać w napięciu.

Po chwili ten sam dźwięk rozległ się znowu. Teraz wyraźnie można było rozróżnić wołanie:

- Ratunku! Na pomoc!

- Kobieta! - Paxton skoczył na równe nogi.

- Głos rzeczywiście kobiety - powiedział Stellman.

- Ratunku! Na pomoc! - zawodziła kobieta. - Jest tam kto? Ratunku! Szybko, bo nie wytrzymam!

Krew uderzyła Paxtonowi do głowy. W nagłym błysku jasnowidzenia ujrzał ją filigranową, subtelną, jak stoi koło rozbitej rakiety sportowej (cóż to musiała być za szaleńcza wyprawa!), a ze wszystkich stron otaczają ją zielone oślizgłe potwory. A potem zjawia się tamten, odrażający brutalny samiec.

Wyciągnął zapasowy pistolet.

- Idę - oznajmił chłodno.

- Siedź, kretynie! - krzyknął na niego Herrera.

- Słyszałeś chyba, nie?

- Czy ty nie rozumiesz, że to nie może być kobieta? - powiedział Herrera. - Skądby się nagle wzięła kobieta na takiej zakazanej planecie?

- Chcę się właśnie przekonać, skąd - odrzekł Paxton wymachując dwoma pistoletami atomowymi.

- Może rozbiła się gdzieś w pobliżu rakieta komunikacyjna. Albo jakaś lekkomyślna dziewczyna wybrała się sama na przejażdżkę i zabłądziła...

- Siedź, jak ci mówię! - wrzasnął Herrera.

- On ma rację - spróbował argumentować Stellman. - Nawet gdyby to była naprawdę kobieta, w co wątpię to i tak nie możemy jej w niczym pomóc.

- Na pomoc! Ratunku! Gwałcą mnie! - lamentowała kobieta.

- Odsuń się - rzekł Paxton i w jego głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta.

- Naprawdę masz zamiar iść? - zapytał Herrera z niedowierzaniem.

- Naprawdę. A ty masz mnie zamiar zatrzymać?

- A idź, jak chcesz. - Herrera uczynił gest w stronę wylotu pieczary.

- Nie możemy mu na to pozwolić - wykrztusił Stellman.

- Czemu nie? Jak mu się śpieszy na własny pogrzeb? - cedził Herrera.

- Niech was już głowa o mnie nie boli - rzekł Paxton. - Będę za piętnaście minut z powrotem.

Razem z nią!

Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia. Herrera pochylił się i z całą precyzją rąbnął go bierwionem za ucho. Stellman pochwycił padającego.

Ułożyli go w głębi jaskini, a sami czuwali nadal. Gwałcona dziewczyna zawodziła i lamentowała przez pięć godzin bez przerwy. W końcu i Paxton musiał przyznać, że trwa to nieco przydługo, nawet jak na kiczowaty film.

Posępny, dżdżysty świt zastał Droga wciąż obozującego w odległości stu jardów od jaskini. Śledził, jak miraki wychodzą zwartą grupką ze swego ukrycia, z bronią w pogotowiu, z oczyma

bacznie wypatrującymi jakiegokolwiek podejrzanego ruchu.

Dlaczego zawiódł róg myśliwski? “Vademecum harcerza” wyraźnie powiadało przecież, że dźwięk rogi jest niezawodnym środkiem przywabiającym samce miraka. Może to nie okres rui?

Miraki kierowały się wyraźnie w stronę jajowatego metalicznego ciała, w którym Drog rozpoznał prymitywny statek przestrzenny. Był on nader pierwotny, ale z chwilą gdy miraki schronią się w nim, będą bezpieczne.

Drog mógłby je po prostu strawestować i to by położyło koniec całej sprawie. Ale nie byłoby to zbyt humanitarne. Starożytnych Elbonajczyków cechowała nade wszystko dobroduszość i miłosierdzie i młodemu harcerzowi wypadało iść w ich ślady. Zresztą trawestacja nie jest na dobrą sprawę metodą z epoki kolonizacji.

Pozostaje więc ilitrocja. Stanowi ona najstarszy ze sposobów, jakie podaje podręcznik, i wymaga, ażeby podejść tuż do zwierzęcia. Ale trudno, Drog nie ma nic do stracenia. Zresztą, na szczęście, warunki klimatyczne są wprost wymarzone.

Zaczęło się od rzadkiego oparu, który utworzył się tuż nad ziemią. Ale w miarę jak wodniste słońce wspinało się coraz wyżej po szarym niebie, jęła się formować mgła, która coraz bardziej gęstniała. Herrera zaklął wściekle.

- Trzymajcie się blisko siebie. Licho nie śpi!

Niedługo zmuszeni byli iść trzymając jeden drugiego za ramiona z pistoletami gotowymi do strzału, na próżno starając się przebić wzrokiem nieprzeniknioną mgłę.

- Herrera?

- No?

- Pewien jesteś, że dobrze idziemy?

- Jasne. Sprawdziłem kierunek na kompasie, jak tylko mgła zaczęła opadać.

- A co jak kompas jest zepsuty?

- Nie gadaj głupstw.

Stąpali ostrożnie, omijając leżące gęsto głazy.

- To nie rakietka? - zapytał Paxton.

- Nie, jeszcze za wcześnie - rzekł Herrera.

Stellman potknął się o jakiś kamień i upuścił pistolet. Podniósł go i jął macać przed sobą, ażeby odszukać ramie Herrery. Natrafił na nie i ruszył dalej.

- To już gdzieś tutaj - powiedział Herrera.

- No, nareszcie - rzekł Paxton. - Mam zupełnie dość tego.

- Pewnie czeka na ciebie koło rakiety ta twoja ślicznotka, co?

- Zamknij się, dobrze?

- Dobrze - ustąpił Herrera. - Słuchaj, Stellman. Lepiej weź mnie z powrotem za ramię. Jeszcze tylko tego brakuje, żebyśmy się pogubili.

- Przecież cię trzymam - odpowiedział Stellman.

- Jak to trzymasz?

- Mówię ci, że trzymam!

- Słuchaj, ja chyba jeszcze wiem, czy mnie kto trzyma za ramię, czy nie.

- To może ja ciebie trzymam, Paxton?

- Nie - odrzekł Paxton.

- To niedobrze - powiedział Stellman powoli. - To bardzo niedobrze.

- Dlaczego?

- Bo ja jednak trzymam kogoś za ramię.

- Schył się! - wrzasnął Herrera. - Szybko, schył się, żebym mógł strzelać!

Ale już było za późno. W powietrzu rozszedł się jakiś słodkawokwaśny zapach. Stellman i Paxton wciągnęli go w płuca i zwalili się z nóg. Herrera na oślep rzucił się przed siebie, starając się powstrzymać oddech. Potknął się o jakiś kamień, upadł, chciał się podnieść... Ale świat pociemniał mu w oczach...

Teraz mgła rozstąpiła się nagle. Ukazała się samotna i postać Droga, z uśmiechem tryumfu na wargach. Wyciągnąwszy z pochwy nóż o długim ostrzu, Drog pochylił się nad najbliższym mirakiem.

Rakieta wystrzeliła w kierunku Ziemi z impetem, który groził natychmiastowym przepaleniem wszystkich urządzeń przyspieszających. Herrera, pochylony nad sterami, odzyskał po chwili panowanie nad sobą i zmniejszył szybkość. Jego smagła twarz wciąż jeszcze była popielata, a dłonie drżały na sterach.

Z kabiny wyszedł Stellman i osunął się bezwładnie - na fotel drugiego pilota.

- Co z Paxtonem? - spytał Herrera.

- Uśpiłem go droną - powiedział Stellman. - Nic mu nie będzie.

- Mimo wszystko równy facet - rzekł Herrera.

- Myślę, że to tylko szok - uzupełnił Stellman. - Jak się obudzi, dam mu do liczenia diamenty. To go od razu powinno uzdrowić.

Herrera wyszczerzył zęby. Jego policzki zaczynały odzyskiwać normalną barwę.

- Teraz, jak to wszystko się dobrze skończyło, sam bym się chętnie zajął na jakiś czas liczeniem diamentów - powiedział. Jego pociągła twarz nagle przybrała poważny wyraz. - Powiedz sam, kto mógł się czegoś takiego spodziewać? Ja tam w dalszym ciągu nic nie kapuję!

Planetarny Zlot Harcerski był wspaniałą imprezą. Zastęp Szybujących Sokołów odegrał krótką pantomimę pokazującą, w jaki sposób w epoce kolonizacji karczowano powierzchnię planety. Mężne Bizony wystąpiły w pełnym rynsztunku kolonizatorów.

A na czele Zastępu Rozjuszonych Miraków kroczył Drog z naszywkami promowanego harcerza i połyskliwym krzyżem zasługi na piersi. Niósł proporczyk zastępu - jeszcze jedno wyróżnienie - i na jego widok wybuchały owacje.

Bowiem na drzewcu powiewała dumnie charakterystyczna gruba skóra dorodnego miraka, błyskając wesoło w słońcu swoimi zasuwaczami, guzikami, rurkami, zegarami i kaburami.

Tłumaczył Krzysztof Zarzecki

Najstarszym drapaczem chmur była - wieża Babel. Jak wiadomo, runęła wskutek "pomieszania języków". Wolno jednak przypuszczać, że poważną rolę odegrała w tym również niedoskonałość ówczesnej architektury i materiałów użytych do budowy. Dziś z łatwością wznosimy przeszło stu piętrowe drapacze, gdyż sprawność budownictwa i wytrzymałość budulca wzrosły niesłychanie. Ale granice możliwości istnieją. Nie tylko w tej dziedzinie, ale i w każdej innej. Czy określa je tylko stan techniki w danej epoce? Czy może wpływają z samych ograniczonych właściwości naszej planety - Ziemi? Jej budowy geologicznej, jej wielkości, klimatu, słupa powietrznego, siły ciężenia, obrotu wokół osi i wielu innych jeszcze czynników. A w takim razie także na innych planetach w całym wszechświecie istnieją jakieś ograniczenia. Zupełnie może odmienne, ale tak samo nieprzekraczalne. Z działaniem takich niewzruszalnych praw muszą się liczyć najpotężniejsze nawet i najwyżej rozwinięte istoty. Od ich geniuszu zależy, jakie wyciągną wnioski.

CLIFFORD D. SIMAK - Współczynnik racjonalności

Dwie planety ograbione ze swoich bogactw mineralnych, wydrążone i pozostawione przestrzennym krukom na pożarcie.

Następnie inna planeta z bajkowym miastem, którego widok nasuwał myśl o pajęczej sieci jeszcze perlącej się poranną rosą. Miasto było ze szkła i plastyku, pełne tak idealnego piękna, że od patrzenia czuło się ucisk w gardle.

Na powierzchni planety pozostało tylko to jedno miasto. Reszta globu nie zdradzała śladów życia. A miasto było opustoszałe. Doskonale piękne i puste jak śmiech ulicznicy.

I wreszcie ostatnia planeta tego układu - planeta z metalu, trzecia na zewnątrz licząc od słońca. Nie, nie była to metaliczna gruda, ale planeta z powierzchnią (albo, jak kto woli, z dachem) gładką i błyszczącą jak najdoskonalsze lustro. I planeta ta świeciła odbitym światłem swojego słońca.

- Nie mogę pozbyć się wrażenia - powiedział Duncan Griffith - że to miasto jest tylko czasowym obozowiskiem.

- Zwariowałeś - odparł ostro Paul Lawrence. Otarł czoło rękawem koszuli.

- Może i nie wygląda na obozowisko, ale posiada wszystkie jego cechy - upierał się Griffith.

“Dla mnie to jest tylko miasto - pomyślał Lawrence. - Od pierwszej chwili tak sędzę i nie mam podstaw do zmiany zdania. Mimo swojej bajkowości było to tętniące życiem miejsce, gdzie się mieszka i marzy, i znajduje siły, by te marzenia realizować. Wielkie marzenia! Marzenia godne potęgi i piękna miasta, na którego zbudowanie potrzeba byłoby człowiekowi z tysiąc lat”.

- Jednego nie mogę zrozumieć - odezwał się na głos. - Dlaczego nie ma tu żywej duszy? I nie widać śladów kataklizmu. Żadnych oznak śmierci.

- Opuścili miasto dobrowolnie - powiedział Griffith. - Po prostu sobie poszli. A poszli dlatego, że to miasto nie było ich właściwą siedzibą, a jedynie miejscem przypadkowego postoju, nie posiadało tradycji, nie wiązały się z nim legendy. Jako obozowisko nie posiadało wartości emocjonalnych dla ludzi, którzy je budowali.

- Obozowisko - protestował dalej Lawrence - jest miejscem chwilowego postoju. Czasowym miejscem pobytu, którego nikt nie buduje z kosztownych elementów, tylko z tego, co ma pod ręką.

- No wiec? - spytał Griffith.

- Tu widać użycie materiałów kosztownych - powiedział Lawrence. - Widać planowanie i troskę o estetykę miejsca.

- Z ziemskiego punktu widzenia masz racje - odparł Griffith - ale zapominasz, że tutaj mamy do czynienia z niezemskim wartościowaniem i z obcym nam punktem widzenia.

Lawrence leżał na trawie. Zerwał listek i wetknął go między zęby żuł zamyślony mrużąc oczy i patrząc na ciche, puste miasto oblane jaskrawym światłem popołudniowego słońca.

Griffith kręcił się obok.

- Nie widzisz, Paul - powiedział - że to musi być miejsce czasowego pobytu? Na planecie nie ma żadnych śladów poprzednich kultur, nie ma wykopalisk. King i jego grupa dokładnie wszystko zbadali. Niczego tu przedtem nie było. Jest tylko to miasto. Pomyśl: dziewicza planeta z miastem, na którego samo wymarzenie potrzeba cywilizacji miliona lat. A cywilizacja zaczyna się pod drzewem, gdzie ludzie szukają schronienia przed deszczem, potem jest pieczara, gdzie włożą na noc. Potem są wigwamy, namioty albo coś takiego. Potem pojedyncze chaty i wreszcie wioska.

- Wiem, wszystko to wiem - odparł Lawrence.

- Cywilizacja miliona lat - mówił dalej Griffith. - Musi upłynąć dziesięć tysięcy wieków, nim jakakolwiek rasa potrafi zbudować bajkowe miasto z plastyku i szkła. Ale ta rasa nie przeżyła miliona lat na tej planecie. Milion lat życia pozostawia ślady na powierzchni planety. A tu nie widać żadnych śladów. To jest dziewicza planeta.

- Jesteś przekonany, że oni skądś tu przybyli, Dunc?

Griffith skinął głową. - Musieli skądś przybyć.

- Może z Planety Trzeciej?

- Tego nie wiemy. Jeszcze nie wiemy.

- I może nigdy się nie dowiemy - odparł Lawrence.

Wypluł na ziemię listek trawy.

- Cały ten układ planetarny przypomina mi romans kryminalny. Gdzie się człowiek obróci, widzi poszlaki, ale wszystkie poszlaki wyprowadzają go w pole. Za dużo tajemnic. Całe to miasto, Dunc, metalowa planeta i jeszcze dwie planety ograbione z rudy! Trochę za dużo do przełknięcia na raz. Nasze pieskie szczęście wpaść na coś podobnego.

- Mam wrażenie, że to wszystko ma jakiś związek - powiedział Griffith.

Lawrence chrząknął.

- Cecha historyka! - ciągnął Griffith. - Instynkt wyczuwający wzajemny związek rzeczy. Wszyscy historycy po pewnym czasie wyrabiają w sobie ten instynkt.

Usłyszeli kroki, więc wstali i obrócili głowy. Biegł Doyle, radiomechanik z bazy.

- Proszę pana! - wołał z daleka do Lawrence'a. - Rozmawiałem właśnie z Taylorem na Planecie Trzeciej. Prosi, aby panowie natychmiast tam poleciecieli. Zdaje się, że znaleźli jakieś drzwi.

- Drzwi? - wykrzyknął Lawrence. - Drzwi prowadzące do wnętrza planety? I co było w środku?

- Nie powiedział, proszę pana. - Nie powiedział!

- Nie, bo nie mogą ich otworzyć. Nie ma sposobu otworzenia tych drzwi.

Drzwi nie przedstawiały nic nadzwyczajnego.

Na powierzchni planety znajdowało się dwanaście otworów w czterech skupieniach po trzy otwory, zupełnie jak uchwyty na trzy palce.

I to wszystko. Trudno było nawet powiedzieć, gdzie się zaczynają, a gdzie kończą te drzwi.

- Tu jest jakby szpara - powiedział Taylor. - Ale ledwo ją można dostrzec nawet przez szkło powiększające. Przy tak dużym powiększeniu nie większa jest od włosa. Drzwi dopasowane są tak dokładnie, że praktycznie stanowią jedną całość z powierzchnią planety. Przez długi czas nie domyślaliśmy się ich istnienia.

Widzieliśmy otwory i zastanawialiśmy się, do czego służą.

- Scott je znalazł. Ślizgając się tu i tam natrafił przypadkiem na te dziury. Normalnie można by oczy wypatrzeć i nic nie zobaczyć.

- I nie dają się otworzyć? - spytał Lawrence.

- Chwilowo nie. Wkładaliśmy palce w dziury i ciągnęliśmy. Równie dobrze mogliśmy próbować podnieść całą planetę. Poza tym trudno jest znaleźć właściwe oparcie. Nie możemy utrzymać stóp. Metalowa powierzchnia planety jest taka śliska, że ledwo można po niej chodzić. Właściwie wcale nie można chodzić. Człowiek tylko się ślizga. Straszna rzecz, co by się stało, gdyby chłopcy zaczęli brykać i jeden drugiego mocno pchnął. Przez tydzień musielibyśmy go szukać.

- Wiem - odparł Lawrence. - Staralem się jak najostrożniej lądować, a mimo to wpadliśmy w czterdziestomilowy poślizg.

Taylor chrząknął rozbawiony. - Zakotwiczyłem raketę wszystkimi magnetykami, jakie miałem, a mimo to można z łatwością ją pchnąć. W porównaniu z tą powierzchnią zwykłe lodowisko jest po

prostu chropowate.

- Jeśli idzie o drzwi... - powiedział Lawrence. - Czy nie wpadło wam na myśl, że to może być coś w rodzaju zamku cyfrowego?

Taylor skinął głową. - Owszem, myśleliśmy o tym. Ale co z tego? Weź pod uwagę prawdopodobieństwo trafienia na odpowiednią kombinację cyfr, pomnóż przez wszystkie możliwe koncepcje obcego nam umysłu.

- Próbowałeś?

- Próbowałem - odparł Taylor. - Wpuszczałem soczewkę fotorejestratora we wszystkie otwory po kolei. Zrobiliśmy zdjęcia każdego centymetra. Bez rezultatu. Głębokie na osiem cali, szersze u dołu niż w górze. Zupełnie gładkie, żadnych nacięć, żadnych rys.

- Udało nam się odpiłować kawałek tego metalu i zrobiliśmy analizę. Do piłowania zużyliśmy trzy noże. W zasadzie to stal, ale stopiona z czymś, czego Mueller nie potrafi określić. Molekularna struktura tego materiału doprowadza go do obłądu.

- Jesteśmy w kropce - powiedział Lawrence.

- Aha. Podciągnąłem raketę pod same otwory, zaczepiliśmy linę pokładowego dźwigu do otworów i windowaliśmy, ile się dało. Rakietę się przechyliła, a drzwi, nawet nie drgnęły.

- Może poszukamy innych drzwi - zaproponował Lawrence. - Może będą dostępnejsze.

- Już się rozglądaliśmy. - Chociaż to właściwie głupota. Wyślizgaliśmy się na śmierć szukając innych drzwi. Podzieliliśmy cały obszar na odcinki i czołgaliśmy się wypatrując oczy. Prawie je zupełnie wypatrzyliśmy ślęcząc nad tą błyszczącą od słońca powierzchnią, z której gapiły się na nas nasze własne gęby. Zupełnie jakbyśmy się czołgali po lustrze.

- Tak, w istocie, oni nie budowali drzwi blisko siebie - powiedział Lawrence. - Może co sto mil, może nawet co tysiąc.

- Święta racja - odparł Taylor. - Może co tysiąc mil.

- Pozostaje nam jedno... - zaczął Lawrence.

- Wiem, wiem - przerwał mu Taylor. - Ale wcale nie mam na to ochoty. Ciężki orzech do zgryzienia. Coś by trzeba wykombinować. Jeśli zaczniemy od wysadzania w powietrze, to znaczy że przegraliśmy pierwszą rundę.

Lawrence przestępował z nogi na nogę. - Rozumiem ciebie. - Przegrywając pierwszą rundę, tracimy szansę przy drugiej i trzeciej.

- Może usiadzimy i poczekamy? - spytał Taylor.

- Nie - odparł Lawrence. - Nie ma czasu.

- Mam nadzieję, że ci się uda - powiedział Taylor.

Udało się.

Wybuch wysadził drzwi i wyrzucił je w powietrze. Upadły w odległości mili i szalonym poślizgiem pognały gładką jak lustro powierzchnią.

Chyba rozerwało z pół mili powierzchni. Poszarpana krawędź wygięła się na podobieństwo wielkiego znaku zapytania i zawisła nad głowami.

Opuszczona rakietę, która trzymała się w miejscu przyssana przez słabe magnetyki - jak źle przyklejony znaczek pocztowy - po wybuchu zaczęła się kręcić jak łyżwiarz tańczący ciężko walca na lodzie i stanęła dopiero w odległości dwunastu mil.

Metalowa powierzchnia planety miała tylko czternaście cali grubości, po prostu papierowa skórka uwzględniając, że planeta była wielkości ziemi.

W głąb prowadziła stalowa schodnia, jej górne dziesięć stóp zostało zniszczone siłą wybuchu.

Otwór pozostawał pusty, nic się w nim nie ukazywało, nie dobiegł żaden odgłos, nie zapaliło się

światło ani nie dolatywał żaden zapach.

Siedmiu ludzi opuściło się schodnią, aby zbadać wnętrze planety. Pozostali czekali na powierzchni oświetlając tamtym drogę.

Weź trylion zestawów "Mecano".

Daj je miliardowi dzieciaków.

Pozwól im bawić się, jak długo będą chciały, i nie mów im, co mają złożyć ze swoich zestawów.

Lepiej, by niektóre z tych dzieci nie były ludźmi.

Zostaw milion lat na zbadanie tego, co dzieci zrobiły.

Nie, mój drogi, milion lat ci nie wystarczy, nie zdołasz rozwiązać zagadki w tak krótkim czasie.

Oczywiście była to maszyna; inna możliwość nie istniała.

Ale jaka maszyna! Coś, czego można spodziewać się po zabawie dziecka, które na ślepo skręca kółka i śrubki kosztownego zestawu "Mecano", jaki otrzymało tego ranka.

Były tam ośki i bębny, i tarcze, i rzędy błyszczących kryształów w kształcie kostek - może to lampy? Na pewno nikt nie mógł nic powiedzieć.

I ciągnęło się to całymi milami, nieskończonymi milami, srebrzyło się jak choinka w świetle latarek umieszczonych na hełmach, jakby było wypucowane nie dalej niż godzinę temu. Ale kiedy Lawrence wychylił się za barierę i przesunął dłonią po błyszczącej ośce, na palcach pozostał mu osad kurzu delikatniejszego od mąki.

Siedmiu ludzi schodziło w dół spiralnej schodni, aż zakreśliło im się w głowie, i ciągle znajdowali się w maszynie, którą było widać dokoła, jak daleko sięgało światło lamp.

Maszyna ciągle taka sama, powtarzająca się do znudzenia tymi samymi zespołami.

Maszyna nieruchoma, zamartwiała i chociaż żaden z idących nie potrafiłby tego udowodnić, zastygła przed wieloma wiekami.

Maszyna ciągle taka sama, ciągle powtarzał się bezsensownie ten sam wzór: ośki, bębny, tarcze i rzędy błyszczących kryształów.

Schodnia urwała się na szerokiej galeryjce, galeryjka biegła w obie strony jak daleko sięgało światło, nad nią niby pajęczna sieć czaiła się maszyna, na metalowej podłodze stały meble lub to, co ludziom przypominało meble.

Stanęli w zwartej grupce, wąskie snopy światła ich lamp niepewnie kłuły ciemność. Stali dziwnie milczący w ciemnościach i ciszy, i wśród duchów innych czasów i innych istot.

- Biuro - odezwał się wreszcie Duncan Griffith.

- Albo rozdzielnia - zauważył Ted Buckley, mechanik.

- A może sektor mieszkalny? - powiedział Taylor.

- Dlaczego nie warsztaty? - podsunął Jack Scott, matematyk.

- Żaden z was może nie mieć racji, panowie - stwierdził Herbert Anson, geolog. - Cel tego pomieszczenia po prostu może wykraczać poza nasze pojęcia.

- No cóż - powiedział Spencer King, archeolog. - Wobec tego należy sobie wytłumaczyć wszystko jak można najlepiej w pojęciach nam znanych. Ja na przykład uważam, że to była biblioteka.

Lawrence pomyślał: "Siedmiu ślepych natknęło się na słonia", a głośno powiedział: - Trzeba się rozejrzeć, inaczej niczego się nie dowiemy.

Rozejrzeli się.

I nie byli wiele mądrzejsi.

Ot, szafa-segregator, wygodny przedmiot.

Przygotuj sobie odpowiednią przestrzeń, objij ją stalową blachą i masz gotowy segregator. Wsuwasz do niego przegrody i już jest świetne miejsce do wkładania teczek, na które naklejasz kartki

i układasz alfabetycznie. Kiedy Ci jest potrzebny jakiś dokument, znajdziesz go w parę sekund.

Tak, wystarczy spełnić dwa podstawowe warunki: ograniczyć przestrzeń i mieć coś, w co wsuwasz dokumenty, coś, co potrafisz odróżnić od innej przestrzeni, którą przeznaczyłeś na inne dokumenty. Wtedy w każdej chwili znajdziesz dokument, o który ci chodzi.

Przegrody i teczki to już szczegóły. To jest dalsza faza dokładniejszego podziału przestrzeni. Po prostu chcesz skrócić do minimum czas poszukiwania dokumentu.

Oto wyższość szafy-segregatora nad kątem pokoju, gdzie leży stos papierów.

Ale powiedzmy, że ktoś zbudował sobie szafę bez przegród...

- Patrzcie! - wykrzyknął Buckley. - Jakie to lekkie. Niech mi ktoś pomoże.

Scott podszedł żwawo, we dwójkę podnieśli z ziemi metalową szafę i potrząsnęli nią. Coś zachrobotało. Postawili szafę na ziemi.

- Coś w niej jest - stwierdził Buckley.

- Aha - odparł King. - Jakiś pojemnik. Nie ma wątpliwości. I coś w nim jest.

- Grzechocze - zauważył Buckley.

- Raczej szeleści, niż grzechocze - zaprotestował Scott.

- Wszystko jedno, jeśli i tak się do tego nie dobierzemy rzekł Taylor. - O tym, co tam jest, trudno powiedzieć słuchając tylko grzechotania czy szelestu.

- Dużo można powiedzieć - oświadczył żartobliwie Griffith. - To przedmiot czterowymiarowy.

Wystarczy znać magiczne zaklęcie, sięgnąć ręką i wyciągnąć ze środka, co ci potrzebne.

Lawrence potrząsnął głową. - Nie czas na żarty, Dunc. To poważna sprawa. Żadnemu z was nie przychodzi do głowy sposób utworzenia tego pudła? Na jakiej zasadzie to jest zbudowane?

- To nie zostało zbudowane - jęknął Buckley. - Po prostu nie mogło być zbudowane. Nie można wziąć stalowej blachy, zrobić z niej sześcianu i nie zostawić linii spawania.

- Przypomnijcie sobie drzwi na powierzchni - zauważył Anson. - Też nie mogliśmy dostrzec linii połączenia, póki nie zaczęliśmy badać ze szkłem powiększającym. Ta szafka musi się jakoś otwierać. Ktoś otworzył je kiedyś, aby włożyć do środka to, co teraz grzechocze.

- I nikt by tam nic nie wkładał, gdyby nie było sposobu wyjęcia tego z powrotem - dodał Scott.

- Może - podsunął Griffith - to było coś, czego się chciano pozbyć.

- Moglibyśmy rozpruć pudło - powiedział King. - Mamy lampę acetylenową.

Lawrence powstrzymał go. - Już się raz uciekliśmy do siły wysadzając w powietrze drzwi. - Jest tu z pół mili tych szaf - zauważył Buckley. - Stoją w rzędzie. Spróbujmy potrząsnąć inną.

Potrząsnęli z dziesięć szaf.

Nic w nich nie było.

- Puste - zauważył ze smutkiem Buckley.

- Wracajmy - zaproponował Anson. - Chodzą mi ciarki po plecach. Wracajmy do rakiety, usiądźmy sobie i pogadajmy o wszystkim spokojnie. Pomiesza się nam w głowie, jeśli tu będziemy próbowali coś wymyślić. Weźcie na przykład te tablice kontrolne...

- Może to wcale nie są tablice kontrolne - powiedział Griffith. - Bądźmy ostrożni i nie wyciągajmy pochopnych wniosków, które w tej chwili mogą nam się wydawać oczywiste, a w rzeczywistości są absolutnie fałszywe.

Buckley przerwał dyskusję: - Prawdziwe czy fałszywe, ale te tablice mają swój funkcjonalny cel. Określenie "tablica kontrolna" pasuje mi tu lepiej niż cokolwiek innego. Nie przychodzi mi w tej chwili do głowy inne określenie.

- Przecież nie ma na nich żadnych instrumentów - wtrącił Taylor. - Urządzenie kontrolne musiałyby mieć takie rzeczy, dające wskazówkę o pracy maszyn.

- Może są tu instrumenty niezrozumiałe dla ludzkiego umysłu - powiedział Buckley. - Może wobec istot innego gatunku my, ludzie, jesteśmy ślepi jak nietoperze.

- Mam straszne uczucie - powiedział Lawrence - że błądzimy wśród najzupełniej fałszywych przypuszczeń.

- Przegraliśmy z drzwiami - westchnął Taylor. - I przegrywamy tutaj.

King dodał: - Musimy obmyśleć rozsądny plan akcji. Trzeba sporządzić jakieś rysunki. Zabierzmy się systematycznie do roboty.

Lawrence skinął głową. - Zostawimy paru ludzi na powierzchni, a reszta zejdzie na dół i tam założymy bazę. Podzielimy się na grupy i jak najszybciej postaramy się zapoznać ze wszystkimi elementami tego podziemia, oczywiście ogólnie. Potem spróbujemy zbadać szczegółowiej niektóre elementy.

- Słusznie, przede wszystkim porządek i systematyczność! - zgodził się Taylor. - Od czego zaczynamy?

- A bo ja wiem - wyznał Lawrence. - Macie jakieś propozycje?

- Zreasumujmy, co wiemy dotychczas - zaproponował King. - Planeta czy maszyna-planetoid?

- Musimy odszukać inne schodnie, muszą tu przecież być inne schodnie - odezwał się Taylor.

Scott wtrącił: - Powinniśmy sprawdzić wielkość tej maszyny. I ile zajmuje przestrzeni.

- I sprawdzić, czy jest czynna - dodał Buckley.

- Z tego, co widzieliśmy, wiemy, że nie jest czynna - odparł Lawrence.

- To, co widzieliśmy - oświadczył Buckley - może być tylko drobną częścią potężnego urządzenia.

Może cały agregat jednocześnie nie pracuje. Może taka czy inna część jest potrzebna raz na tysiąc lat i to przez parę minut lub nawet sekund. Potem czeka beczynnie następne tysiąc lat. Ale właśnie na te jedną chwilę jest potrzebna i dlatego ją skonstruowano.

- Uważam - powiedział Griffith - że powinniśmy chociaż spróbować racjonalnie pomyśleć, do czego może być potrzebna taka maszyna. Co ona robi, co wytwarza?

- Tylko lepiej jej nie dotykajcie - ostrzegł Buckley. - Nic nie popychać i za nic nie ciągnąć. Cholera wie, co się może stać. Łapy z daleka, póki nie jesteście pewni, co robicie.

To była planeta.

Doszli wreszcie do właściwej powierzchni globu - dwadzieścia mil poniżej metalowej skorupy. Dwadzieścia mil spiralną schodnią w labiryncie lśniącej w świetle latarni zamarłej maszyny.

Na powierzchni globu znaleźli atmosferę podobną do ziemskiej, więc założyli tam bazę ekspedycji, szczęśliwi, że mogą wreszcie zrzucić kombinezony próżniowe i oddychać jak zwykli śmiertelnicy.

Ale dokoła nich nie istniało życie, nie było światła. Nie było nawet insektów czy gadów, nic.

Chociaż niegdyś musiało tu kwitnąć życie.

Ruiny miast opowiadały swoją historię. "Prymitywna kultura" - określił ją King. - Kultura nie wyższa niż na przykład ziemską dwudziestego wieku.

Duncan Griffith usiadł koło małego atomowego piecyka i wyciągnął dłonie nad rozchodzącym się miło ciepłem.

- Przenieśli się na Planetę Czwartą - prawil. - Nie mieli tu dość miejsca, więc się przenieśli na obozowisko do tego miasta.

- I wywieźli całą rudę z Planety Pierwszej i Drugiej, żeby mieć z czego budować - dodał Taylor.

Lawrence zgarbił się zamyślony. - Gnębi mnie fakt - powiedział - że nie rozumiem celu tej wędrówki. Co za niezrozumiałe, nielogiczny pęd! Wygnać całą rasę z jednej planety na drugą, skłonić

ją do spędzenia wieków całych nad zamienianiem własnej planety na wielką maszynę! - Obrócił się do Scotta: - Chyba nie ma wątpliwości, że to jest maszyna, co?

Scott potrząsnął głową. - Nie. Choć jeszcze nie widzieliśmy wszystkiego, gdyż zajęłoby to nam całe lata, możemy jednak przyjąć, że to jest jedna wielka maszyna. Świat pokryty skorupą maszyny na wysokość dwudziestu mil.

- Martwa maszyna - mruknął Griffith. - Martwa, bo ci, co ją zbudowali, zatrzymali ją. Zatrzymali, zabrali wszystkie dokumenty i wszystkie narzędzia i odeszli zostawiając pustą skorupę. Tak, jak zostawili miasto na Planecie Czwartej.

- Może zostali wygnani - zauważył Taylor.

- Chyba nie - sprzeciwił się Griffith. - W całym systemie nie zauważyliśmy żadnych śladów kataklizmu. Żadnych oznak panicznego opuszczenia miejsca. Oni mieli czas, spakowali się i nic za sobą nie zostawili. Zupełnie nic. Przecież musiały być rysunki techniczne. Nie można zbudować i eksploatować takiego kolosa bez jakichś planów. Gdzieś były. Były poza tym jakieś zestawienia czy raporty produkcji bądź działalności tego giganta. Nie znaleźliśmy ich. Po prostu dlatego, że ci, co tu byli, zabrali je ze sobą.

- Nie przeszukaliśmy całej maszyny - zauważył Taylor.

- Ale trafialiśmy w miejsce, gdzie logicznie biorąc takie zestawienia powinny się być znajdować - stwierdził Griffith - a mimo to nic nie znaleźliśmy. Bo je po prostu zabrali.

- Do niektórych szaf nie mogliśmy się dostać. Przypominasz sobie? Do Łych, które znaleźliśmy pierwszego dnia na górnej platformie.

- Ale dostaliśmy się do tysiąca innych szaf i innych pomieszczeń - oświadczył Griffith. - I nie znaleźliśmy skrawka papieru ani żadnego narzędzia, ani czegokolwiek, co by wskazywało, że coś tam było.

- Logicznym miejscem były te szafy na najwyższym poziomie - powiedział Taylor.

- Potrząsaliśmy nimi, wszystkie okazały się puste - przypomniał Griffith.

- Z wyjątkiem jednej - zauważył Taylor.

- Chyba masz rację, Dunc - zgodził się Lawrence. - Ten świat został po prostu wyeksploatowany, opuszczony i pozostawiony na łasce losu. Powinniśmy się byli tego domyślić, kiedy nie spotkaliśmy się z żadnym oporem. Mieliby tu przecież jakieś automatyczne środki obrony i gdyby ktoś chciał nas powstrzymać, nigdy byśmy się tu nie dostali.

- Gdybyśmy tu próbowali przybyć, kiedy ten świat jeszcze żył - powiedział Griffith - zostalibyśmy zamienieni w proch jeszcze przed lądowaniem.

- To musiały być wspaniałe istoty - powiedział Lawrence. - Już sama ich technika i organizacja pracy przyprawia o szaleństwo. Chyba potrzebowali siły roboczej całej rasy przez wiele wieków, aby coś podobnego zbudować, a potem następne kilka wieków, żeby to uruchomić. Z pewnością poświęcali tylko minimum czasu na zdobywanie pożywienia i produkcją miliona przedmiotów, jakie każda rasa potrzebuje do życia.

- Uprościli swój tryb życia - odezwał się King - i obniżyli swoje potrzeby do koniecznego minimum. Już to jest miarą wielkości.

- I byli fanatykami - powiedział Griffith. - Nie zapominajcie o tym ani na chwilę. Tylko ślepa, jednokierunkowa opętana szaleństwem umysłowość potrafi poświęcić się czemuś podobnemu.

- Ale po co? - wykrzyknął Lawrence. - Po diabła oni to zbudowali?

Nikt się nie odezwał.

Griffith roześmiał się słabo. - Nawet nie próbujecie stawiać hipotez? Nawet nie próbujecie wysunąć racjonalnej sugestii?

Zza kręgu światła rzucanego przez piecyk wyszła jakaś postać.

- Ja mogę postawić hipotezę - powiedział Scott. - A nawet więcej: wiem, co to jest za maszyna.

- No, wal! - powiedział Lawrence.

Matematyk potrząsnął głową. - Muszę przedtem zdobyć dowód. Inaczej pomyślelibyście, że zwariowałem.

- Nie znajdziesz żadnego dowodu - powiedział Lawrence. - Tu nikt nie znajdzie dowodu na nic.

- Wiem, gdzie mógłbym znaleźć dowód. Siedzący dokoła piecyka zastygli w milczeniu.

- Przypominacie sobie tę skrzynkę? spytał Scott. - Tę, o której przed chwilą wspomniał Taylor?

Tę, którą potrząsnęliśmy i coś w niej zagrzechotało? Której nie mogliśmy otworzyć?

- I dalej nie możemy otworzyć.

- Dajcie mi jakieś narzędzia - powiedział Scott. - Otworzę ją.

- Już raz uciekliśmy się do siły - powiedział Lawrence. - Użyliśmy przeraźliwej siły, żeby wyważyć drzwi. Nie możemy ciągle stosować siły, aby rozwiązywać nasze problemy. Tu trzeba czegoś więcej. Rozumu.

- Wiem, co tam grzechotało w środku. Lawrence milczał.

- Słuchaj - powiedział Scott. - Jeśli masz coś cennego, coś, co chcesz zabezpieczyć przed kradzieżą, to co z tym robisz?

- Jak to co? - odparł Lawrence. - Chowam do kasy pancernej.

Cisza gwizdała w długich martwych korytarzach wielkiej maszyny wznoszącej się nad ich głowami.

- Nie ma bezpieczniejszego miejsca ciągnął Scott - niż szafa, której nie można otworzyć. W tych skrzynkach było coś, co oni bardzo cenili. Odchodząc stąd, zabrali wszystko, ale coś przeoczyli.

Lawrence powoli podniósł się z ziemi.

- Otwieramy skrzynkę - powiedział.

Znaleźli prostokątny kartonik, zupełnie zwyczajny, z okrągłymi dziurkami w kilku miejscach. Scott trzymał ją w drżącej dłoni.

- Mam nadzieję - powiedział cierpko Griffith - że nie jesteś rozczarowany.

- Nie - odparł Scott. - Właśnie tego się spodziewałem.

Czekali na jego dalsze słowa.

- No, może byś tak wreszcie powiedział - odezwał się w końcu Griffith.

- To jest karta komputacyjna - powiedział Scott. - Odpowiedź na problem dany do rozwiązania kalkulatorowi.

- Ale nie możemy nic odczytać - zauważył Taylor. - I nie mamy sposobu, by coś odczytać.

- Wcale nam to nie jest potrzebne odparł Scott. - Mamy odpowiedź na nasze pytanie: ta maszyna jest mechanicznym mózgiem.

- Absurd! - wykrzyknął Buckley. - Matematycznym...!

Scott potrząsnął głową. Nie matematycznym.

A w każdym razie nie czysto matematycznym. To coś więcej. Prawdopodobnie mamy do czynienia z mózgiem logicznym albo nawet i etycznym.

Rozejrzał się po twarzach stojących dokoła mężczyzn, widział malującą się na ich twarzach wątpliwość.

- Przed oczami macie dowód tego, co mówię! Nieskończenie powtarzające się identyczne elementy maszyny. Tak właśnie wygląda kalkulator: setki albo tysiące, albo miliony, albo nawet miliardy integratorów. Tyle, ile ich potrzeba, aby wykonać skomplikowane obliczenie.

- No dobrze, ale współczynnik ograniczający! prychnął Buckley.

- Rasa ludzka nigdy nie zwracała wiele uwagi na współczynniki ograniczające - odparł Scott. -

Ludzie parli przed siebie i usuwali wszystkie przeszkody. Ta rasa również nie zwracała uwagi na współczynniki ograniczające.

- Niektóre z nich nie dadzą się pokonać - twierdził Buckley.

Mózg ma swoje ograniczenia.

Sam się nie zapłodni.

Zapomina zbyt łatwo, zapomina zbyt wiele, i to rzeczy, których nie powinien zapominać.

Jest skłonny do zmartwień, a dla mózgu to częściowe samobójstwo.

Jeśli eksploatuje się go zbyt intensywnie, znajduje ucieczkę w szaleństwie.

I wreszcie umiera. Właśnie wtedy, kiedy bliski jest doskonałości.

Dlaczego więc nie zbudować mechanicznego mózgu, tak wielkiego, że pokrywać będzie całą ziemię na wysokość dwudziestu mil, mózgu, który zajmować się będzie tym, czym powinien, który nigdy nic nie zapomni i nie będzie miał skłonności do szaleństw, gdyż nie zna rozczarowań?

Zbudować taki mózg i porzucić go! Przecież to już jest szaleństwem!

- Twoja teoria jest całkowicie bezpodstawna - powiedział Griffith - bo absolutnie nie wiemy, do czego oni używali tej maszyny. Upierasz się, żeby stosować do istot tego układu gwiazdnego kryteria ludzkie. One na pewno im nie podlegały.

- Nie mogły tak bardzo różnić się od nas - powiedział Lawrence. - Miasto na Planecie Czwartej mogłoby równie dobrze być miastem ludzi z naszej planety. A«na tej planecie spotkaliśmy się z tymi samymi problemami technicznymi, jakie miałyby ludzka rasa, gdyby próbowała skonstruować coś podobnego. Oni zbudowali tę maszynę według tych samych zasad, które my znamy.

- Zapominasz o tym, co sam tak często podkreślasz - powiedział Griffith. - O fanatyzmie, który im kazał poświęcić wszystko dla jednego celu. Rasa ludzka nie potrafiłaby współpracować z takim samozaparciem. Ktoś popełniłby jakiś błąd, ktoś inny poderzwałby komuś gardło, a jeszcze ktoś inny zaproponowałby komisje dla zbadania sprawy, i wszyscy zaczęliby urywać sobie łby i porzuciliby robotę. A tu nie. Ci byli systematyczni. Przerażająco systematyczni. Nie pozostawili śladów życia. W każdym razie na żaden taki ślad nie natrafiliśmy. Nie natrafiliśmy nawet na insekty. Jak wam się zdaje, dlaczego? Może właśnie dlatego, że insekty mogłyby dostać się do maszyny i uszkodzić ją. Dlatego je zlikwidowali.

Griffith potrząsnął głową. - Prawdę mówiąc, kiedy myślę o tych istotach, przypominają mi się insekty. Na przykład organizacje u mrówek. Bezduszna społeczność doskonałego współdziałania, która idzie na ślepo przed siebie w inteligentnym posłuszeństwie wobec obranego celu. I jeśli tak było, mój przyjacielu, to twoja teoria, że oni potrzebowali kalkulatora do wysnuwania społecznych i ekonomicznych prawd, jest jedną wielką bzdurą.

- To wcale nie moja teoria - odparł Lawrence - tylko jedna z wielu hipotez. Równie prawdziwe może być na przykład to, że oni szukali rozwiązania problemów wszechświata. Dlaczego istnieje, czym jest i gdzie zdąża.

- I jak - dodał Griffith.

- Masz zupełną rację. I jak. A jeśli tym się zajmowali, to jestem pewien, że nie kierowała nimi zwykła ciekawość. Musieli być do tego w pewien sposób zmuszeni. Była jakaś ważna przyczyna, dla której uważali, że to trzeba robić.

- Mów dalej - powiedział Taylor. - Nie mogę się doczekać zakończenia. Opowiadaj swoją bajeczkę do gorzkiego końca. Dowiedzieli się wszystkiego o wszechświecie i...

- Nie sądzą, by się dowiedzieli - mówił spokojnie Buckley. - Bez względu na to, jaka zaistniała

przeszkoda, faktem jest, że nie mieli wielkich szans rozwiązania problemu, który ich interesował.

- Faktem? Jeśli o mnie idzie - odezwał się Griffith - to raczej skłonny jestem przypuszczać, że znaleźli odpowiedź. W przeciwnym wypadku po co by porzucali swoją planetę i całą maszynę? Znaleźli odpowiedź, więc nie potrzebowali więcej instrumentu, który sami do tego celu budowali.

- W pewnym sensie masz rację - przerwał mu

Buckley. - Nie potrzebowali już więcej maszyny, ale wcale nie dlatego, że dała im ona wszystko, czego chcieli. Porzucili ją, gdyż była za mała, by dostatecznie rozwiązać zadanie, jakie jej postawili.

- Za mała! - wykrzyknął Scott. - Mogli przecież dodać jeszcze jedną warstwę na wierzch, wokół całej planety.

Buckley potrząsnął głową. - Pamiętacie, co mówiłem o współczynnikach ograniczających? Jest jeden współczynnik, którego nie można ignorować. Włóż kawałek stali pod prasę o ciśnieniu pięćdziesięciu tysięcy funtów na cal kwadratowy i stal spłynie. Metal zastosowany do konstrukcji tej maszyny musiał być zdolny do wytrzymania o wiele większych ciśnień, ale była granica, poza którą nie należało wykraczać. Na dwadzieścia mil ponad powierzchnią planety natknęli się na tę granicę. Weszli w ślepy zaułek.

Griffith syknął: - Maszyna zrobiła się przestarzała.

- Maszyna analityczna to tylko sprawa wielkości - powiedział Buckley. - Każdy jej integrator odpowiada jednej celi mózgu ludzkiego. Ma ograniczone funkcje i pojemność. I praca każdej celi musi być kontrolowana przez dwie inne cele. Zasada potrójnej kontroli, dzięki której nie popełniamy błędu.

- Mogli wszystko zmyć i zacząć od początku - powiedział Scott.

- Prawdopodobnie robili to wiele razy. - Bardzo wiele razy. Chociaż zawsze istniała obawa, że po każdym skasowaniu, po każdym jej rozładowaniu mogły nastąpić komplikacje racjonalne albo moralne. Skasowanie maszyny tej wielkości musiało być połączone ze wstrząsem, jak na przykład korektywna operacja chirurgiczna mózgu ludzkiego.

- Mogły się zdarzyć dwie rzeczy. Albo osiągnęli granicę zmywalności. Zbyt wiele osadowej pamięci przylgnęło do lamp...

- Podświadomość! - dopowiedział Griffith. - Interesujący problem: czy maszyna może posiadać podświadomość.

- Albo - ciągnął Buckley - napotkali problem, który był tak skomplikowany, posiadał tyle niewiadomych, że mimo swojej wielkości maszyna okazała się zbyt mała, aby to rozwiązać.

- Wynieśli się więc na poszukiwanie większej planety - mruknął Taylor nie bardzo w to wierząc. - Innej planety, dość małej, aby można na niej żyć i pracować, ale dość wielkiej, by można było zbudować na niej większy kalkulator.

- W tym jest jakiś sens - zgodził się niechętnie Scott. - I na nowym miejscu zaczęliby od początku, ale z odpowiedziami, które otrzymali poprzednio tutaj, z ulepszonymi rysunkami technicznymi i udoskonaloną techniką.

- A obecnie - powiedział King - obejmuje to w posiadanie rasa ludzka. Ciekaw jestem, co potrafimy z tym osiągnąć? W każdym razie nie to, co zamierzali konstruktorzy.

- Rasa ludzka - stwierdził Buckley - nie osiągnie z tą maszyną nic co najmniej przez sto lat. Najmniej sto lat, załóżę się, Żaden inżynier nie dotknie jednego kółka tej maszyny, póki dokładnie nie pozna, do czego ono służy, jak zostało zrobione i dlaczego. Trzeba zbadać miliony obwodów, miliony lamp sprawdzić, zrobić rysunki techniczne, wyszkolić personel.

Wziął z ziemi plecak i zarzucił go przez ramię.

- Wszyscy gotowi? - spytał.

Po dziesięciu milach wędrówki pod górę Taylor przechylił się przez barierę schodni, żeby spojrzeć na labirynt rozścielający się poniżej.

Łyżka, którą niedbale zapakował do plecaka, wysliznęła się i poleciała w dół.

Słuchali przez dłuższą chwilę grzechotu jej spadania.

Nawet kiedy już nic nie słyszeli, ciągle im się wydawało, że słyszą jeszcze.

Tłumaczył Jan Zakrzewski

Słoń jest rozumniejszy od pchły, człowiek od bakterii. Między rozmiarami żywej istoty a jej inteligencją zachodzą pewne dość wyraźne związki, choć nie są one bynajmniej proste. Oczywiście istota ogromna może być przy tym ogromnie głupia. Ale może być także, w sprzyjających warunkach, niesłychanie inteligentna. A teraz wyobraźmy sobie istotę nieprawdopodobnie wprost dużą. Kubuś Puchatek powiedziałby: jak garnek. My dodamy: jak garnek wielkości całej kuli ziemskiej. Jeśli w pewnych okolicznościach wykształci się w niej wybitna inteligencja, będzie to rozum tak fantastycznie potężny, że przewyższy wszelki, choćby zbiorowy wysiłek jakiegokolwiek cywilizacji, a więc, naturalnie i ludzkiej. Skutków nie podobna przewidzieć słabym naszym rozumem. Co najwyżej fantazja może się pokusić, aby je naszkicować.

MURRAY LEINSTER - Samotna planeta

Alyx była bardzo samotna, nim zjawili się ludzie. Nie wiedziała, rzecz jasna, o swej samotności. Może nic w ogóle nie wiedziała, gdyż wiedza nie była jej potrzebna. Potrzebowała wyłącznie pamięci, a jej pamięciowe składniki były proste. Ciepło i chłód; blask słońca i mrok; deszcz i posucha. Nic więcej, choć Alyx była niewiarygodnie stara. Była pierwszą istotą na tej planecie wyposażoną w świadomość.

Na początku były tam zapewne inne żywe istnienia. Jakieś kwintyliony być może żyjątek, pierwotniaków, ameb i bakterii w parującej kałuży, z której narodziła się Alyx. Może Alyx była po prostu jednym z takich stworzeń, niezliczonych jak gwiazdy, a mniejszych od pyłu, które pływały, żyły i umierały w pełnym rozgwaru bagnie, pod wilgotnym, chmurami zasnutym niebem. Ale to było dawno. Miliony lat temu. Czy też setki milionów lat.

Kiedy zjawili się ludzie, uznali w pierwszej chwili planetę za wymarłą. Krążyła wokół samotnego Słońca i nazwali ją Alyx. Pewnego dnia kosmiczny statek patrolowy wyłonił się z nadszybkości o kilka milionów mil od słońca. Zawisł nieruchomo i badał widmo słoneczne, pole magnetyczne, aktywność plam oraz inne szczegóły.

Potem statek dopłynął spokojnie pustymi przestworami aż do samotnej planety. Bieguny miała pokryte lodem, a nad powierzchnią unosiły się chmury. Powierzchnia była nierówna, górzysta, ale bez mórz. Obserwatorzy patrolu doszli do wniosku, że jest to pustynia bez roślinności, gdy analitycy dali znać o istnieniu tam protoplazmy. Statek więc zbliżył się.

Żywą istotę Alyx odkryto, gdy statek opuścił się do lądowania z pomocą rakiet. Rakiety dotknęły powierzchni, a wówczas powstał zamęt. Uniosły się kłęby pary i jakby całe kawalce brunatnej ziemi. Pod statkiem rozwarła się jakby szalejąca przepaść. Jak okiem sięgnąć widać było rozfalowaną straszliwie powierzchnię, która zdawała się żywą.

Statek ruszył naprzód. Dotknął twardego gruntu na skraju północnej czapy lodowej. Pozostał tam miesiąc badając planetę, a raczej Alyx, która pokrywała całą powierzchnię planety z wyjątkiem okolic biegunów. Raport stwierdzał, że planetę pokrywa jedna jedyna istota, która na pewno jest jedną i na pewno żywą. Zwykle różnice między życiem zwierzęcym i roślinnym nie dały się zastosować do Alyx. Budowę miała komórkową, więc mogła zapewne się dzielić, nie spostrzeżono jednak, by to czyniła. Poszczególne jej części nie były niezależnymi członkami kolonii jak u koralowych polipów. Stanowiły jedną istotę, która jednocześnie była niezmiernie prosta i ogromnie zróżnicowana.

Rozpulchniała skały swojej planety, jak to robią mikroorganizmy, i jak plankton żywiła się mineralną zawartością skał. Posługiwała się światłem dla fotosyntezy i tworzenia złożonych związków chemicznych jak rośliny. Zdolna była do ameboidalnych ruchów, tak jak niższe formy życia zwierzęcego. No i miała świadomość. Reagowała na bodźce - na przykład przypiekanie powierzchni - niespokojnym kurczeniem się i cofaniem od źródła bólu.

Co do innych rzeczy obserwatorzy statku patrolowego wypowiadali się mętnie i nieskładnie. Tylko młody porucznik imieniem Jon Haslip wysnuł niepewny, ale określony wniosek. Było to przypuszczenie bardzo dowolne, lecz okazało się słuszne.

Alyx miała świadomość nieznanego zupełnie typu. Reagowała nie tylko na bodźce fizyczne, ale i na myśli. Wykonywała rozkazy, które ktoś tylko pomyślał. Jeśli ktoś sobie pomyślał, że Alyx powinna zzielenieć, aby skuteczniej wchłaniać światło słoneczne, Alyx zieleńiała. Dodajmy, że w jej komórkach były ziarenka pigmentu, co wyjaśnia zjawisko. Gdy ktoś pomyślał, że Alyx czerwienieje -

czerwieniła. A kiedy ktoś wyobraził sobie, że Alyx wysuwa ostrożnie coś w rodzaju nóżek dla zbadania instrumentów obserwacyjnych umieszczonych na czapie lodowej, czyniła to również i z całą dokładnością.

Haslip nie doczekał się nigdy uznania. Wspomniany został raz tylko w przypisku jednego z tomów Raportu o Wyprawie Halycona na Alyx (tom IV, rozdział 4, strona 97). Później i to poszło w zapomnienie. Tylko pewien biolog nazwiskiem Katistan zdobył pewien rozgłos w kołach naukowych za swoją teorię powstania i rozwoju Alyx.

“W odległych, niepamiętnych czasach - pisał - występowały czysto automatyczne reakcje na bodźce ze strony jednokomórkowców, które - tak jak na Ziemi i gdzie indziej - były najwcześniejszą formą życia na tej planecie. Z czasem, może pod działaniem promieni kosmicznych, jedna z tych istot uległa mutacji. Na skutek mutacji owa istota nabrała celowości, która jest świadomością w najbardziej pierwotnej postaci. Celem była tu żywność. Inne komórkowce istniały bez celu, pozostały bowiem automatami reagującymi tylko na bodźce zewnętrzne. Celowość zmutowanej istoty działała na nie jak bodziec. Reagowały. Płynęły do obdarzonej celem istoty i stawały się jej pożywieniem. Stopniowo rozrosła się ogromnie i została jedyną mieszkanką swej kałuży. A nadal miała cel, którym była żywność.

Pożywienie znajdowało się w mule i kamieniach na dnie kałuży. Istota dalej rosła, gdyż była jedyną na planecie istotą obdarzoną celem, inne zaś istoty nie miały przeciw temu celowi obrony. Ewolucja nie stworzyła wroga, gdyż przypadek nie wytworzył potrzeby współzawodnictwa, co wymagałoby mózgu. Inne istoty nie wyrobiły w sobie zdolności oporu wobec bodźców myślowych tamtej, przeznaczającej je na żer dla siebie.”

Tu wywód Katistana robi się tak mętny, że aż niezrozumiały. Po czym stwierdza:

“Na Ziemi i innych planetach telepatia jest trudna, gdyż nasi najdawniejsi, jednokomórkowi przodkowie rozwinęli w sobie osłonę przeciw wzajemnemu działaniu bodźców myślowych. Na planecie Alyx nie powstała żadna taka forma obrony, więc jedna istota owładnęła całą planetą i pokryła ją z czasem swym ciałem. Miała całą żywność planety, całą wilgoć, wszystko, czego tylko potrzebowała. Była zadowolona. A ponieważ nie zmierzyła się nigdy z przeciwnikiem obdarzonym umysłem, nie rozwinęła w sobie żadnej obrony przeciwumysłowej. Bezbronna była wobec własnej broni.

Nie miało to znaczenia, póki nie zjawili się ludzie. Wtedy zaś, nie mając jak my osłony przeciwtelepatycznej, nie mogła opierać się myślom ludzi. Z samej swojej natury musi poddawać się woli, a nawet wyobraźni ludzkiej. Alyx jest istotą wielkości planety, ale jest niewolnicą człowieka, który tam przebywa.

Posłuszna będzie każdej jego myśli. Jest żywym, samowystarczalnym robotem, posłuszną sługą każdej myślącej istoty, z jaką się zetknie”.

Tyle Katistan. Raport o Wyprawie Halycona na Alyx zawiera ciekawe zdjęcia ilustrujące podany przezeń opis. Są tam fotografie nieprzebytych dżungli, które Alyx wśród wielkich tortur tworzyła sama z siebie dlatego tylko, że wyobrazili je sobie ludzie. Są fotografie olbrzymich piramid, które Alyx zbudowała na rozkaz. Są tam nawet zdjęcia potężnych, skomplikowanych maszyn, zrobionych z ciała Alyx uformowanego we wszelki wyobrażony kształt. Tylko rozkaz puszczenia w ruch owych maszyn nie dał wyniku, ponieważ ich szybkie obroty wywoływały ból i maszyny rozpływały się w bezkształt.

Ponieważ ludziom nigdy nie było dość niewolników - nie wystarczały im nawet maszyny produkowane milionami przez inne maszyny - natychmiast uplanowali wykorzystanie Alyx. Była to jedyna planeta podbita bez walki. Wstępne badania wykazały, że na Alyx może przebywać tylko

drobna garstka ludzi. Kiedy było ich więcej, ich sprzeczne ze sobą myśli wyczerpywały powierzchnię, która usiłowała zadowolić każdego. Części Alyx wymarły z wyczerpania, zostawiając jakby wielkie ropnie gojące się dopiero po odejściu ludzi. W końcu Alyx przydzielono Koncernowi Alyx z zaleceniem najwyższej ostrożności.

Techniczne badania ujawniły - pod pokrywą żywego ciała - bogate złoża rotenitu - minerału nadającego wiecznotrwałość metalom. Na planecie utworzono kolonię z sześciu starannie dobranych ludzi i pod ich kierownictwem Alyx przystąpiła do pracy. Utrzymywała w ruchu maszyny, wydobywała rotenit i przygotowywała transporty do wysyłki. W równych odstępach czasu wielkie transportowce lądowały w wyznaczonym miejscu, Alyx zaś ładowała minerał. Transportowce mogły się zjawić tylko w pewnych odstępach, gdyż obecność załogi z mnóstwem sprzecznych myśli wpływała szkodliwie na Alyx.

Przedsiębiorstwo dawało kolosalne zyski. Alyx, najstarsza i największa żyjąca istota galaktyki, zapewniała Koncernowi Alyx dywidendy przez blisko 500 lat. Koncern był instytucją pewną, zasobną i poważaną. Nikt na świecie, a już najmniej urzędnicy koncernu, nie podejrzewał nawet, że Alyx mogła stanowić największe niebezpieczeństwo, z jakim kiedykolwiek zetknęła się ludzkość.

Niepokojące fakty wykrył inny Jon Haslip. Był on potomkiem, dalekim praprawnukiem młodego porucznika, który pierwszy odgadł istotę świadomości Alyx. Trzysta lat minęło od tamtych czasów, gdy został przydzielony służbowo na Alyx. Dokonał szeregu odkryć i z pewną rodzinną dumą złożył z nich sprawozdanie. Z entuzjazmem podkreślał nowe zjawiska, jakie wystąpiły u Alyx w ciągu trzech stuleci, ale tak powoli, że nie zwróciły niczyjej uwagi.

Alyx nie potrzebowała już teraz nadzoru. Jej świadomość przekształciła się w inteligencję. Przed zjawieniem się ludzi знаła ciepło i chłód, światło, mrok, wilgoć i suszę. Ale nie znała myśli, nie miała pojęcia o celowości poza żywieniem się i w ogóle istnieniem. Lecz setki lat obcowania z ludźmi dawało jej coś więcej niż wysłuchiwanie rozkazów. Alyx odbierała rozkazy i spełniała je. Odbierała jednakże i myśli, które wcale nie były rozkazami. Więc stopniowo przyswoiła sobie pamięć ludzką i ludzką wiedzę. Ludzkich pragnień oczywiście nie miała. Pragnienie posiadania pieniędzy musiało być niepojęte dla istoty posiadającej planetę. Ale doświadczenie myśli było doświadczeniem przyjemnym. Alyx, pokrywając sobą świat, leniwie wchłaniała wiedzę, myśli i doświadczenia ludzi - sześciu każdorazowo - w ciągu długich pokoleń żyjących na jedynej zainstalowanej tam małej stacji.

Takie były niektóre z następstw trzechsetletniego pobytu ludzi na Alyx - stwierdzał Jon Haslip XIV.

Wśród transportowców przesuwająca się zmienna substancja Alyx pokrywając żłobione w skale lądowisko. Początkowo, kiedy statek przybywał, ludzie zwyczajowo wyobrażali sobie, że lądowisko jest odsłonięte i część Alyx posłusznie kurczyła się w sobie, odsuwała, cofała. Statki lądowały, a ich rakiety nie kaleczyły Alyx. Gdy skała już ostygła, cząstki Alyx, pod wpływem myśli ludzi, przyobлекаły się w kształt nibynózek i podsuwały do załadowania rotenit.

Wyobraźnia ludzi działała dalej i pod jej wpływem Alyx stworzyła z żywego ciała wspaniałe pomyślane dźwigi, które unosiły minerał i umieszczały w ładowni. Częścią tej gry wyobraźni było stwardnienie w tym miejscu powierzchni Alyx tak, by minerał jej nie kaleczył. W ten sposób w ciągu czterdziestu minut statki ładowały czterdzieści tysięcy ton rotenitu. Potem, na rozkaz myślowy, urządzenia cofały się, a statek mógł swobodnie opuścić lądowisko.

Jon Haslip XIV podkreślił, że ludzie już nie troszczyli się teraz o te wszystkie zabiegi myśli i wyobraźni. Alyx działała sama. Badacz stwierdził, że oczyszczanie lądowiska bez rozkazu zaczęło się już przed stulaty. Obecnie więc ludzie na Alyx wiedzieli, że statek się zbliża, gdy pokrywa

zaczynała się cofać. Przychodzili do portu i rozmawiali z załogą w czasie ładowania nie troszcząc się wcale o nadzór.

Były też inne dowody. Maszyny dobywające minerał, przystosowane były do niezdatnych nibynózek Alyx powstających pod wpływem topornej wyobraźni. Jeden człowiek wystarczał do nadzoru tuzina maszyn i nawet przy niewielkiej wprawie mógł wyobrażać je sobie w ruchu, obsługiwane przez nibynózki w myśl wskazań myślowych człowieka.

Pięćdziesiąt lat temu nadzorca zachorował. Wrócił do bazy i poprosił kolegą, by zastąpił go na dyżurze. Tamten po przyjściu zastał maszyny w ruchu mimo braku kontroli. Dzisiaj - stwierdza Jon Haslip - dyżurny sprawuje oczywiście nadzór, ale rzadko kiedy uważa na maszyny. Czyta, drzemie lub słucha płyt wizjofonowych. Jeśli wydarzał się jakiś wypadek, maszyny stawały, a ostrzeżony nadzorca sprawdzał, co się popsło, i wyobrażał sobie naprawę. Wówczas nibynózki, zgodnie z jego myślami, naprawiały maszynę i praca biegła znowu normalnie. Inna sprawa, że to zdarzało się rzadko.

“Chodzi o to - podkreślał Haslip - że nie istnieje obecnie potrzeba wyobrażania sobie kolejnych czynności przy naprawie. Jeśli maszyny stają, nadzorca bada sytuację, stwierdza w myśli, co trzeba zrobić, i nie zaprzęta już sobie tym głowy. Alyx w jednej sekundzie umie odebrać rozkazy, na których wykonanie potrzeba było godzin”.

Ale, jak stwierdzał Haslip, ostatnio zdarzyła się rzecz najbardziej znamienna. W jednej z maszyn górniczych wydarzyło się uszkodzenie bardzo poważne. Wymagało to długich, żmudnych i skomplikowanych napraw. Lecz nie zostały podjęte. Na spodzie kopalni leżało kilka zniszczonych już maszyn. I oto pewnego dnia Alyx bez rozkazu rozebrała zniszczoną maszynę, wydobyła potrzebne części i dokonała gruntownej naprawy zepsutej maszyny. Fakt ten stwierdzono, kiedy ktoś zauważył zniknięcie wszystkich maszyn wyrzuconych na szmelc. Jak się okazało, Alyx rozebrała je wszystkie, z sześciu wyrzuconych złożyła sześć maszyn w dobrym stanie, a części, które jeszcze mogły się przydać, złożyła w upatrzonym miejscu.

Przez kontakt z umysłami ludzi Alyx stała się inteligentna. Pierwotnie była jak istota głuchoniema, ślepa i pozbawiona zmysłu dotyku. Zanim przybyli ludzie Alyx doznawała tylko najprostszych wrażeń i nie mogła posługiwać się abstrakcjami. Później była tylko ślepa świadomością bez tworzywa dla myśli. Teraz już miała tworzywo. Miała myśli i cele ludzi.

Jon Haslip domagał się stanowczo, by Alyx dać wykształcenie. Istota, której ciało - jeśli można tak się wyrazić - ma masę równą wszystkim kontynentom Ziemi, a przy tym obdarzona inteligencją, powinna mieć potencjał mózgowy bez porównania większy niż wszystkich ludzi łącznie. Taka inteligencja, odpowiednio ćwiczona, powinna rozwiązać z łatwością wszystkie zagadnienia, jakich ludzkość od pokoleń rozwiązać nie umiała.

Lecz dyrektorzy Koncernu Alyx byli mądrzejsi niż Jon Haslip XIV. Pojęli od razu, że inteligencja dosłownie nadludzka musiała być niebezpieczna. A fakt, że dzięki ludziom powstała, zwiększa jeszcze niebezpieczeństwo.

Pośpiesznie odwołano Jona Haslipa z Alyx. Jego raport, wobec konsternacji, jaką wywołał w Zarządzie, został w całości skonfiskowany. Myśl o inteligencji większej niż ludzka była przerażająca. Gdyby się rozeszła, skutki mogły być opłakane. Dla odwrócenia niebezpieczeństwa zostałyby wysłane patrole kosmiczne, a wtedy byłby koniec dywidend Koncernu.

W dwadzieścia lat później, gdy raport znalazł pełne potwierdzenie, Koncern przeprowadził próbę. Wycofał wszystkich ludzi z Alyx. Ale istota zwana Alyx pracowicie wyprodukowała dalsze cztery ładunki rotenitu. Wydobyła minerał w kopalni, zmagazynowała, przygotowała do załadowania i przeładowała na transportowce, choć ani jednego człowieka nie było na jej powierzchni. Potem

przestała pracować.

Ludzie wrócili i Alyx wesoło zabrała się znów do pracy. Cała się sfałdowała w wysokie fale, rozedrgane z radości. Ale bez ludzi nie chciała pracować.

W rok później Koncern zainstalował urządzenia zdalnie kierowane i uruchomił statek, krążący wokół planety, dla kierowania największym przedsiębiorstwem galaktyki. Ale nic z tego nie wyszło. Alyx zdawała się usychać i znowu zaprzestała pracy.

Uznano, że trzeba się z nią porozumieć. Zainstalowano komunikatory. Z początku były trudności. Alyx posłusznie dawała takie odpowiedzi, jakie tylko powstały w wyobraźni pytającego. Nie miały więc sensu, gdyż były sprzeczne ze sobą. Wreszcie, po długich poszukiwaniach znaleziono człowieka, który potrafił uniknąć wyobrażenia sobie, co Alyx ma, czy też może odpowiedzieć. Z wielkim trudem zdołał on zachować taką postawę myślową aż do czasu uzyskania potrzebnych wyjaśnień. Najważniejsza była odpowiedź na pytanie, dlaczego praca kopalna ustaje, gdy ludzie opuszczają Alyx?

Odpowiedź Alyx brzmiała: "Czuje się osamotniona".

Rzecz jasna, kiedy coś tak ogromnego jak Alyx odczuwa osamotnienie, skutki są proporcjonalnych rozmiarów. Z substancji Alyx można by zrobić spory planetoid. Więc znów pozostawiono jej ludzi do towarzystwa.

Od tej chwili owych sześciu ludzi dobierano na nowych zasadach. Nie mieli oni wcale wykształcenia technologicznego, a przy tym bardzo niską inteligencję. Byli dość głupi, by wierzyć, że są tam dla rządzenia Alyx. Chodziło o to, by Alyx nie uzyskała już żadnych wiadomości mogących uczynić ją niebezpieczną. Skoro musiała mieć towarzystwo, wysyłano tam ludzi, którzy dotrzymywali jej towarzystwa, ale nic więcej. Nauczycieli nie mogła wśród nich znaleźć.

Tak więc sześciu ludzi o bardzo niskim poziomie zamieszkiwało stacje Koncernu Alyx na Alyx. Otrzymywali wspaniałe uposażenie i dostarczano im wszelkich rozsądnych rozrywek. Ale byli mało co lepsi niż półidioci.

System ten, który stosowano przez dwieście lat, mógł mieć tragiczne następstwa dla rasy ludzkiej. Ale dostarczał dywidend.

Po pięciuset latach wystąpiły u Alyx objawy niepokoju. Przez ten czas rasa ludzka posunęła się oczywiście naprzód. Ilość skolonizowanych planet wzrosła z trzech tysięcy do prawie dziesięciu tysięcy. Odsetek katastrof statków kosmicznych spadł. A przyczyny katastrof ustalano z rosnącą dokładnością.

Wyprawa Haslipa ruszyła na Drugą Galaktykę statkiem, który był szczytem osiągnięć technologii ludzkiej. Miał nadszybkosć niemal trzy razy większą niż uważano to za możliwe, a w materiały pędne zaopatrywał się co dwadzieścia lat. Kapitanem był Jon Haslip XXII, a załogę stanowiło pięćdziesiąt mężczyzn, kobiet i dzieci.

Na Alyx jednak sprawy nie wyglądały różowo. Planetę zamieszkiwało sześciu mężczyzn o subnormalnej inteligencji. Każda kolejna szóstka była wychowywana w specjalnej, wspaniale prowadzonej instytucji, która przygotowywała tych ludzi do życia i prosperowania na Alyx, ale nigdzie indziej. Inteligencja ich wahała się od 60 do 70 w skali przyjmującej za normę 100. I nikt nawet nie podejrzewał, jaką szkodę przyniosły dwa stulecia zamieszkiwania na Alyx owych subnormalnych.

Alyx przez trzysta lat miała towarzystwo wybitnych mózgow kształtujących rozwój jej inteligencji. Początkowo dla kierowania pracą Alyx potrzebni byli ludzie o silnej woli i wyobraźni dobrze rozwiniętej. Kiedy te właściwości okazały się zbędne, wynikł kłopot z nieprzewidzianej przyczyny.

Na Alyx wysłano udoskonalone maszyny dla zastąpienia zużytych i przestarzałych. Ale starannie

wyhodowani kretyni nie mogli ich zrozumieć. Alyx musiała sama opanować działanie maszyn, gdyż otrzymywała rozkazy od ludzi, którzy nie wiedzieli, jak te rozkazy wykonać.

Aby się do nich zastosować, Alyx, nie mając wskazówek, musiała rozumować sama. Chcąc być posłuszna, musiała rozwinąć w sobie sztukę myślenia. Chcąc służyć ludzkości musiała wynajdywać sposoby i urządzenia, słowem dokonywać wynalazków. Gdy dostarczone maszyny stawały się nieodpowiednie dla coraz głębszych kopalni rotenitu, Alyx musiała projektować i budować nowe maszyny.

Wreszcie pierwotne pokłady rotenitu zostały wyczerpane. Alyx starała się porozumieć ze swymi panami, oni jednak wiedzieli tylko jedno: że mają rozkazywać, nie zaś dyskutować. Nakazali surowo, że rotenit ma być wydobywany i dostarczany jak dotąd, Alyx więc poszukiwać musiała nowych złóż.

Planetokształtna istota posłusznie wyszukiwała minerał, gdzie tylko mogła, i dostarczała go - czasem na odległość setek mil pod powierzchnią - do starej kopalni, gdzie go magazynowała. Następnie wydobywała rotenit ponownie i dostarczała go na transportowce. Wynalazła sprzęt przewozowy, który przewoził minerał, bez wiedzy jej panów, na odległość dochodzącą tysiąca mil. Dla tego sprzętu potrzebowała energii.

Alyx rozumiała, rzecz jasna, czym jest energia. Przez dwa co najmniej stulecia naprawiała maszyny. Dobywała z kopalni materiał dostarczający atomowej energii. Wytwarzała maszyny z napędem atomowym. Miała w pamięci wiedzę pokoleń inteligentnych mieszkających z nią przez trzy wieki. To było jej punktem wyjścia.

Pozornie zostało wszystko po dawnemu. Alyx była bezkształtną masą galaretowatej substancji rozciągającej się od jednej strefy arktycznej do drugiej. Wypełniała sobą to, co mogło być dnem oceanów, a cienka warstewką spoczywała na najwyższych wzgórzach. Zmieniała barwę powierzchni zależnie od kąta padania promieni słonecznych.

Gdy paciał deszcz, jej skórzasta powierzchnia tworzyła zagłębienia i gromadziła wodę w potrzebnej ilości. Potem zagłębienia znikaly, a woda spływała po wygładzonej powłoce, aż trafiała do miejsca, gdzie brakło wilgoci i tworzyły się nowe zagłębienia. W innych jeszcze miejscach nadmiar wilgoci był wydzielany i parował tworząc chmury deszczowe.

Ale kiedy na Alyx zjawili się kretyni, dawali rozkazy, by ulewne deszcze przestały padać w okolicy stacji. Ludzie inteligentni nie wydaliby nigdy takich rozkazów. Ludzie natomiast dobrani dla swej głupoty nie widzieli powodu, by powstrzymać się od jakiegokolwiek żądania.

Aby je wykonać, Alyx po namyśle utworzyła w obrębie swojej masy olbrzymie zbiorniki i wynalazła specjalne pompy, czynne w całym jej kolosalnym ciele i dostarczające wody zależnie od potrzeb. Po pewnym czasie nie było już chmur w atmosferze Alyx. Nie były potrzebne. Alyx mogła się obyć bez deszczu.

Ale przełomowe rozkazy padły z tego powodu, że Alyx nie miała księżyca i jej noce były bardzo ciemne. Zarozumiali kretyni, wybrani na jej mieszkańców, uznali, że ich władza byłaby niepełna, gdyby nie mogli na zawołanie mieć światła słonecznego. Albo też światła gwiazd. Wydali więc obłąkany rozkaz, by Alyx to urządziła.

Alyx posłusznie wynalazła odpowiednie maszyny. Budowa ich była oparta na zasadzie statków kosmicznych - znanych Alyx z odczytania myśli załóg tych statków - i maszyny te mogły zwolnić obrót planety Alyx lub nawet go odwrócić.

Spełniając rozkazy ludzi Alyx z pomocą tych maszyn zwolniła obrót planety. Skorupa zaczęła pękać, wybuchły wulkany. Alyx cierpiała straszliwie, gdy płonąca lawa płynęła tak szybko, że planetarna istota nie mogła nadążyć z cofaniem się. Kurczyła się w sobie tworząc przerażone i drżące całe góry bólu. Miotła się w konwulsjach.

Następny transportowiec przybył po ładunek i okazało się wtedy, że istota Alyx cofnęła się od dymiących wulkanów planety Alyx. Stacja Koncernu Alyx znikła wraz z mieszkańcami. Załoga transportowca nie mogła nawet ustalić miejsca katastrofy, gdyż szybkość obrotu planety uległa zmianie i wszystkie dawne pomiary były bez wartości.

Ludzie odbudowali stację, co prawda w innym miejscu. Alyx wydano rozkaz, aby odszukała ciała zabitych. Nie mogła jednak tego wykonać, gdyż stali się oni częścią substancji Alyx. Natomiast, gdy nakazano ponowne otwarcie kopalni, Alyx uczyniła to. Ponieważ jeden z wulkanów przeciął dawne korytarze podziemne, Alyx uruchomiła nową kopalnię i posłusznie w ciągu czterdziestu minut dostarczyła czterdziestu tysięcy ton rotenitu na transportowiec.

Załoga spostrzegła, że funkcjonuje inna kopalnia. Co więcej, zauważono, że maszyny są inne niż wytwarzane przez ludzi. Są lepsze, dużo lepsze.

Niektóre z tych maszyn zabrano ze sobą. Alyx potulnie załadowała je na statek. A jej warsztaty - warsztaty te musiały być wspaniałe - przystąpiły do produkcji nowych. Alyx znajdowała teraz przyjemność w myśleniu. Zachwycało ją wynajdywanie nowych maszyn. Ludzie z transportowców za każdym przyjazdem polecali dostarczać sobie nowe maszyny, Alyx zaś spełniała to chętnie, choć musiała w tym celu urządzać nowe warsztaty.

Miała też inne problemy. Wulkany działały nadal. Raz po raz wstrząsały całą skorupą planety sprawiając potworny ból istocie Alyx. Wyrzucały z siebie wielkie masy ostrych, rozpalonych kamieni, wydzielały żrące opary. Wskutek wstrząsów utworzyła się wielka rozpadlina i wybuchły nowe wulkany, kalecząc boleśnie tysiące mil kwadratowych wrażliwej tkanki Alyx.

Po namyśle Alyx doszła do wniosku, że musi opanować wulkany. Ponadto zrozumiała, że musi zabezpieczyć się w jakiś sposób przeciw ludzkim rozkazom, które wywołują tak straszne klęski.

Mały, srebrzysty statek ukazał się w pobliżu słońca ogrzewającego Alyx i wylądował w pobliżu północnego bieguna. Wysiedli z niego uczeni. W dość ponurym nastroju rozpoczęli badania Alyx. Wydawali rozkazy, które Alyx posłusznie spełniała. Polecili dostarczyć sobie wzorów wszystkich maszyn używanych przez Alyx i maszyny zjawiły się.

Statek Kosmicznego Patrolu odleciał. Z odległości dwustu lat świetlnych przestrzeni wezwano Zarząd Koncernu Alyx, by stawił się w Głównej Kwaterze Kosmicznej. Patrol Kosmiczny wykrył, że na rynku są nowe maszyny. Wspaniałe, niewiarygodnie wspaniałe. Nikt jednak nie zgłosił ich i nie podał władzom zasad funkcjonowania tych maszyn. Wywiad Kosmiczny ustalił, że używa ich Koncern Alyx. Dalsze badania wywiadu wykazały, że maszyny pochodzą z planety Alyx. Nie są one dziełem rąk ludzkich. Żaden umysł ludzki nie mógł zgłębić zasad ich funkcjonowania. A teraz statek Kosmicznego Patrolu przywiózł z Alyx nowe, jeszcze bardziej zadziwiające maszyny.

Dlaczego Koncern Alyx zataił istnienie takiej inteligencji, która nie była ludzką? Dlaczego ukrywał istnienie takiej wiedzy i tak śmiertelnie groźnej technologii?

Zarząd przyznał się, że zrobił to z obawy o swoje dywidendy płynące regularnie od pięciuset lat. Teraz dywidendy ustaną na zawsze. Główna Kwatera Kosmiczna unieważniła prawa Koncernu i sama przejęła Alyx.

Kosmiczne statki wojenne przybyły na Alyx. Usunięto sześciu przedstawicieli Koncernu Alyx i wyprawiono ich do domu. Potem statki rozmieściły się wokół planety, a jeden wylądował na czapie lodowej, której istota Alyx nigdy nie pokrywała ze względu na chłód. Nawiązano kontakt i rozpoczęła się niesłychanie rzeczowa wymiana zdań.

Patrol Kosmiczny posługiwał się zwykłymi komunikatorami, ale ich używał z dużej odległości. Problematyka i myśli pytającego nie były znane Alyx ani ludziom na czapie lodowej. Więc Alyx, pozbawiona przewodnika, odpowiadała tak, jak w jej przekonaniu życzył sobie ten, kto zadawał

pytania. Wywarła wrażenie posłuszeństwa całkowitego.

Była istotnie posłuszna. Nie myślała wcale o buncie. Potrzebowała towarzystwa ludzi, gdyż bez nich czuła się bardzo samotnie. Ale doznała dotkliwych krzywd wykonując rozkazy ludzi bez porównania niżej od niej stojących intelektualnie. Musiała sama rozwiązać dwa zagadnienia. Jednym była sprawa ujarznienia wulkanów. Druga polegała na tym, jak uniknąć spełnienia poleceń ludzi, kiedy polecenia te prowadziły do katastrofalnych skutków. Z wielkim pośpiechem pracowała nad tymi dwoma rozwiązaniami. Gdzieś pod jej powierzchnią panował w warsztatach szalony ruch.

Alyx cierpiała straszliwie. Jej skórą wyżerały kwasy. Jej "ciało" - delikatne, gdyż od stuleci świetlnych na nic nie narażone - przeszywał potworny ból. Wysiłała się rozpaczliwie, aby zaleczyć rany i zapobiec nowym, a jednocześnie wykonać rozkazy ludzi świeżo przybyłych pod biegun. Z początku rozkazy sprowadzały się do żądania wyjaśnień. Później przyszedł rozkaz trudniejszy: wydania, i to natychmiast, wszelkich maszyn, jakie mogłyby służyć za broń.

Wykonanie musiało zabrać sporo czasu. Maszyny należało sprowadzić z odległych nieraz miejsc i przetransportować pod biegun. A Alyx nie miała środków przewozowych przystosowanych do okolic polarnych. Mimo to maszyny przybywały w dużych ilościach, aż wreszcie Alyx wydała ostatnią maszynę, jaka mogła służyć za broń.

W zasadzie żadna z tych maszyn nie miała niszczycielskich zadań. Alyx jednak była niezmiernie skrupulatna. Inna sprawa, że niektóre maszyny miały tak dziwny wygląd, iż ludzie nie mogli odgadnąć ani ich przeznaczenia, ani funkcjonowania, ani nawet środków napędowych. Jednakże załadowali je wszystkie na oczekujące wielkie transportowce.

Alyx otrzymała nowe polecenie: wydać ma niezwłocznie wszelkie zestawienia i spisy zawierające daue o jej wiedzy i wynalazkach.

Tego wykonać nie mogła. Nie prowadziła żadnych zestawień czy spisów i z całą naiwnością wyjaśniła ten fakt. Alyx pamiętała. Pamiętała wszystko. Wówczas Patrol Kosmiczny nakazał wykonanie spisu wszystkiego, co pamiętała. Spisy te miały być dostarczone w formie pisemnej i w takiej postaci, by zrozumiałe były dla ludzi, a obejmować miały całą wiedzę Alyx.

I znowu Alyx dokonała olbrzymiego wysiłku, aby usłuchać. Musiała jednak wykonać materiał, na którym mogłaby utrwalić swą wiedzę. Wyprodukowała w tym celu cienkie arkusze metalu, a także odpowiednio piszące maszyny. A przez cały ten czas wulkany wydierały trujące gazy, skały trzęsły się, a ból przeszywał najstarszą i największą formę życia w galaktyce.

Na skraju lodowej czapy zjawily się wykazy. Uczeni zabrali się natychmiast do badań. Pierwsze naukowe rozprawy zawierały dziwaczne, staroświeckie pojęcia sprzed pięciuset lat, kiedy pierwsi ludzie przybyli na Alyx. Rozwijały się racjonalnie aż do chwili, gdy dwieście lat temu wysłano tam specjalnie dobranych, tępych ignorantów.

Później już mało było rzeczy uderzających, choć przejawiał się niewątpliwy postęp. Rozprawy z zakresu fizyki były znakomite, choć czasem dziwaczne. Jak się okazało, już sto pięćdziesiąt lat temu Alyx odkryła zasadę supernadszybkości, zastosowaną do napędu międzygalaktycznego statku Haslipa.

Owa zasada uchodziła za szczyt ludzkich osiągnięć, nie przekroczony w ciągu 25 lat od jej odkrycia. Lecz Alyx mogła taki statek zbudować 150 lat temu! Na tym kończyły się dane. Żadnych późniejszych odkryć nie było.

Gdy wykazy przestały napływać, nadszedł bardzo surowy i stanowczy rozkaz. Alyx nie była posłuszna! Nie wyjaśniła zasady budowy dostarczonych maszyn! Musi to wykonać natychmiast!

Komunikator przekazujący odpowiedzi Alyx wyjaśnił, że dla ostatnich odkryć braknie ludzkich słów. Nie można opisać systemu napędowego, gdy nie ma słów na oznaczenie użytej energii, uzyskanych wyników lub środków użytych dla ich uzyskania. Gdyby człowiek dokonał tych odkryć,

stwarzałyby nowe słownictwo za każdym krokiem naprzód. Lecz Alyx nie myślała słowami, a nie mogła nic wyjaśnić bez użycia słów.

Patrol Kosmiczny jest organizacją świetnie działającą, ale kierowaną przez ludzi, a ludzie myślą według ustalonych wzorów. Gdy Alyx nie wykonała groźnego i stanowczego rozkazu podania informacji, których podać nie mogła, grupa na czapie lodowej dostała polecenie załadowania wszystkiego, co się da, i natychmiastowego odlotu. Po opuszczeniu planety przez ostatni statek miał być podany sygnał. Alyx zaś postanowiono zniszczyć jako niebezpieczną dla rasy ludzkiej.

Ludzie pod biegunem przygotowywali się do odlotu. Pobyt na Alyx nie należał do miłych. Nawet pod biegunem odczuwało się trzęsienie planety. Ludzie spieszyli więc z załadowaniem maszyn dostarczonych przez Alyx.

Ale tuż przed odlotem ostatniego statku wstrząsy planety nagle i całkowicie ustały. To Alyx rozwiązała jedno z dwóch wielkich zagadnień: ujarzmiła wulkany.

Z oddali napływały ostre rozkazy. Natychmiast opuszczać planetę! Alyx pokryła każdy wulkan olbrzymią srebrzystą kopułą o średnicy dwudziestu mil. Wiedza ludzka nie byłaby zdolna do tak niezwykłych osiągnięć! Personel pod biegunem ma natychmiast odlecieć! Inne statki były już daleko. Gdy ostatni z nich znalazł się w międzygalaktycznych przestworzach, zbliżyły się statki wojenne. Gigantyczne słupy pozytronowe przebiły atmosferę Alyx i wbiły się w żywą tkankę istoty. Wytrysły ogromne chmury pary, większe i straszliwsze niż te, jakie powodował wybuch wulkanów. Cała masa Alyx zdawała się skręcać i miotać w straszliwej agonii.

Nagle nad całą planetą ukazała się srebrzysta, zwierciadlana powłoka, o którą słupy pozytronów uderzały na próżno. Nie mogły jej przebić. Tylko pod tym sklepieniem Alyx zносиła straszliwe bóle wywołane zabójczym promieniowaniem.

W pół godziny później nad powierzchnią okrywającą planetę zwierciadła ukazała się olbrzymia srebrzysta kula o średnicy stu mil. Uniosła się na wysokość 50 000 mil i wybuchła. W ciągu następnych dwóch godzin wynurzyło się i wybuchło osiem takich kul. Ale żaden statek Patrolu Kosmicznego nie został trafiony.

Potem na Alyx zapanował spokój. Poddano badaniu składniki wybuchających kul. Były to przeważnie wysoce promieniotwórcze materiały organiczne, a także wielkie ilości skał. Alyx wydarła z własnej istoty obszary zakażone przez słupy pozytronów i wyrzuciła je w przestrzeń, by usunąć źródło cierpienia.

Flota Kosmicznego Patrolu unosiła się wokół planety gotowa do ataku. Lecz Alyx trwała także w pogotowiu za tarczą, której przebić nie mogła żadna ludzka broń.

Uczeni Kosmicznego Patrolu dokonali obliczeń jak długo taki organizm jak Alyx żyć może bez słonecznego światła. Albowiem utrzymując wokół siebie zwierciadło całkowicie odbijające musiała w końcu umrzeć. Aby żyć, potrzebowała promieni słonecznych. Gdy zaś opuści tarczę, statki wojenne będą mogły ją zabić.

Przez dwa miesiące, według czasu ziemskiego, okręty Kosmicznego Patrolu trwały w pobliżu srebrzystego zwierciadła osłaniającego Alyx. Nadeszły posiłki. Największa siła zbrojna, jaką Kosmiczny Patrol kiedykolwiek zgromadził w jednym miejscu, czekała dla dokonania egzekucji Alyx, gdy opadnie jej tarcza.

Alyx miała zginąć, gdyż była inteligentniejsza od ludzi. Była mądrzejsza niż ludzie. Umiała dokonać rzeczy, jakich ludzie nie potrafili. Inna sprawa, że wiernie służyła ludzkości przez pięćset lat. Z wyjątkiem zaś sześciu ludzi, którzy zginęli, gdy Alyx spełniając ich rozkazy zwróciła obrót swojej planety, co wywołało wybuchy wulkanów - z wyjątkiem owych sześciu - Alyx nie pokrzywdziła nigdy żadnego człowieka. Lecz mogła. Mogła zerwać swoje kajdany. Mogła być

niebezpieczna. Musiała więc umrzeć.

Po dwóch miesiącach tarcza nagle znikła. Ukazała się Alyx. Natychmiast runęły słupy pozytronów i natychmiast wróciło ochronne zwierciadło. Ale Patrol Kosmiczny nabrał otuchy. Dowódca floty po stronie dziennej Alyx zatarł z zadowolenia ręce. Alyx nie mogła żyć bez słonecznego światła. Od setek milionów lat żyła dzięki promieniom słońca. Od nich zależał jej metabolizm.

Wkrótce jednak statki patrolujące nocną stronę Alyx doniosły, że cała ta strona jaśnieje. Alyx wytworzyła światło, aby zapewnić sobie promienie pozafioletkowe i inne, niezbędne jej do życia. A wtedy ludzie z Kosmicznego Patrolu wspomnieli o drobiazgu, który przeoczyli uprzednio.

Alyx nie tylko odpowiadała na wyobraźnię ludzi znajdujących się na jej powierzchni; wchłaniała także ich pamięć i wiedzę. W grupie przebywającej na czapie lodowej znajdowali się najwybitniejsi uczeni galaktyki. Nie upatrywano w tym żadnego niebezpieczeństwa, gdyż egzekucja Alyx miała nastąpić niezwłocznie.

Z goryczą wyrzucano sobie obecnie, że Alyx wiedziała teraz wszystko, co wiedzieli uczeni Kosmicznego Patrolu. "Wiedziała o wszelkich rodzajach broni, o napędzie kosmicznym, o zasięgu wszechświata, skupieniach gwiazd, systemach planetarnych i galaktycznych, aż po najdalsze krańce obserwacji astronomicznych.

Wielka flota czekała jednak gotowa do walki z wrogiem niewątpliwie bardziej inteligentnym i zapewne lepiej uzbrojonym.

Tak było istotnie. Nie minęła godzina odkąd Alyx otoczyła się znowu srebrzystą zasłoną, gdy nagle wszystkie statki floty wojennej znalazły się w najzupełniejszym mroku. Znikło słońce Alyx. Nie było gwiazd. Nie było też samej Alyx.

Detektory sygnalizowały groźbę zderzeń we wszystkich kierunkach. Każdy statek otoczony był srebrzystym pancerzem kilkumilowej średnicy, którego przebić nie mogły żadne promienie, ani żaden materiał wybuchowy, przez który niepodobieństwem było wysłać jakąkolwiek wiadomość, a tym bardziej przedostać się.

Przez pół godziny pancerze unieruchomiły flotę. Potem znikły, rozbłysło słońce Alyx oraz miriady słońc płonących w bezkresach przestrzeni. Lecz Alyx nigdzie nie było.

Oznaczało to dla ludzkości niebezpieczeństwo większe niż kiedykolwiek w dziejach. Alyx została najpierw ujarzmiona, eksploatowana, grabiona, a w końcu skazana na śmierć - i wiedziała o tym. Straszliwe słupy pozytronów zadały jej rany, od których jej żywa tkanka zamieniała się w parę. I oto wreszcie Alyx postanowiła zapewne zniszczyć całą ludzkość. Musiała to nawet zrobić, gdyż między ludźmi a wyższą formą życia nie mogło być pokoju.

Ludzie nie mogli pogodzić się z myślą dalszego trwania istoty silniejszej, mądrzejszej i bardziej groźnej od nich. Alyx mogła sprawować nad ludźmi władzę życia i śmierci. Więc ludzie musieli ją zniszczyć, zanim ona ich zniszczy.

Uwolniona ze srebrzystych pancerzy i ogłuszona świadomością własnej bezsiły flota rozproszyła się niosąc wszędzie wiadomość. Lecąc z szybkością wielokrotnie większą niż prędkość światła, statki kosmiczne mogły roznieść prędzej, niż wszelkie radiosygnaly, wieść o wybuchu wojny z Alyx, żywą planetą.

Alyx odkryła sposób zaopatrywania się w światło niezbędne dla jej metabolizmu i dla odżywiania. Zbudowała olbrzymie motory, które zdolne były nie tylko poruszać sekstyliony ton jej masy, ale i całej masie nadawać to samo przyspieszenie i w tym samym czasie. Opuściła dotychczasową orbitę z pomocą nadszybkości, co stanowiło wynik lepszy niż osiągnięcia ludzi. A dla napędu atomowego miała do dyspozycji substancję całej planety.

Przez dwa miesiące nikt nie widział i nie słyszał o Alyx. Przez dwa miesiące uczeni ludzcy czynili

rozpaczliwe wysiłki, by rozwiązać zagadkę srebrnych pancerzy i wynaleźć środki obrony ludzkości. Przez dwa miesiące Patrol Kosmiczny poszukiwał inteligentnej planety, która mogła zniszczyć Główną Kwaterę Kosmiczną, gdyby tylko chciała.

Po dziewięciu tygodniach zawinął do kosmoportu transportowiec donosząc o rzeczy niemożliwej. Odbywał z nadszybkością kurs Nayssus-Taret, gdy nagle instrumentacja zawiodła, pole nadszybkościowe rozpadło się i statek, płynąc z szybkością zwykłą, znalazł się w pobliżu małej białej gwiazdy z jedną planetą.

Gdy nadszybkość zawodzi, ludzie muszą umrzeć. Statek przemierzający dziennie sto świetlnych lat jest zgubiony, gdy utraci nadszybkość. Musiałby zużyć na jednodniowy odcinek prawie sto lat, a żywność, napęd i sami ludzie nie mogą przetrwać tak długo. Transportowiec zaczął więc krążyć wokół planety jako księżyc, podczas gdy inżynierowie zapamiętali sprawdzali obwód nadszybkości. Nie wykryli żadnych uszkodzeń.

Nastawili statek na właściwy kierunek, włączyli nadszybkość - ale bez wyniku. Wtedy zauważyli, że ich orbita wokół planety maleje. Nie można było tego tłumaczyć nadmiernym polem grawitacyjnym ani jakimś innym czynnikiem w przestrzeni. Aby wyrównać obieg, przeszli na napęd międzyplanetarny.

I znów nic to nie dało. Nawet przy szczytowym napędzie nie mogli się wyswobodzić. Nie pomogło także puszczanie rakiet. Transportowiec obiegał planetę, zwalniając bieg i opadając w dół. A instrumenty nie wykazywały żadnego defektu.

Byli coraz bliżej powierzchni, aż znaleźli się nieruchomo nad polem lodowym. "Wreszcie statek wyładował łagodnie, choć opierał się całą swoją mocą. Ale i wtedy nic się nie zdarzyło. Po trzech dniach transportowiec - bez żadnego napędu - uniósł się parę stóp w górę i zawisł jakby czekając na powrót nieobecnych członków załogi. Byli przerażeni. Lecz bardziej przerażała ich myśl pozostania na czapie lodowej niż dzielenia dalszych losów statku. Wspięli się pospiesznie na pokład.

Gdy już ostatni człowiek znalazł się na statku, transportowiec uniósł się pionowo, a znów bez napędu. Szybkość wznoszenia była coraz większa. Na wysokości dwudziestu tysięcy mil przyspieszenie ustało. Zrozpaczony pilot włączył napęd. Statek działał bez zarzutu.

Przeszedł w nadszybkość. Wszyscy odczuli znane im dobrze zmaczenie. Wokół migąły świetliste węże - słońca w ruchu widzialnym z powodu szybkości statku. Po pewnym czasie pilot wyszedł z nadszybkości, ustalił położenie statku i obrał kurs na Taret. Kiedy tam przybyli, nerwy załogi były w opłakanym stanie. Zabawiała się nimi jakaś nieznana siła, wobec której byli bezsilni. A przyczyn nie mogli dociec.

Nasuwano się jedno wytłumaczenie. Część załogi podała, że od brzegu czapy lodowej rozciągała się jakby skórzasta powłoka, tak daleko jak oko mogło dosięgnąć. Powłoka ta falowała jak coś żywego. Lecz niczym nie zdradziła, że wie o ich obecności. Zbadani przez uczonych członkowie załogi przyznali, że wyobrażali sobie grożące im niebezpieczeństwo ze strony jakby żywego morza, ale nie płynnego, lecz jakby z ciała. Ciało to nie reagowało na ich myśli. Pokazano im zdjęcia czapy lodowej Alyx oraz skraju tej czapy, a wówczas oświadczyli, że są to zdjęcia planety, na której się właśnie znaleźli.

Tak więc Alyx przebyła w niecały tydzień 1400 lat świetlnych, znalazła sobie nowe słońce i porwała ludzki statek kosmiczny - idący w nadszybkości - a potem go uwolniła. Przy tym nie reagowała na wyobraźnię ludzi. Najwidoczniej wytworzyła osłonę przeciw ich myślom. Była to zresztą kwestia samoobrony.

Oczywisty był także fakt, że teraz już nie można było jej rozkazywać. Jediną nadzieją Kwatery Kosmicznej w walce z Alyx było wytworzenie broni, która działałaby na zasadzie myśli, nie zaś

praw fizycznych. Obecnie i ta nadzieja upadła.

Gdy kosmiczne statki wojenne zbliżyły się do nowego słońca Alyx, planety już tam nie było. Białe, karłowate słońce nie miało satelity.

W ciągu następnego roku otrzymano jeszcze dwie wiadomości o poczynaniach Alyx uciekającej przed flotą, którą mogła bez trudu zniszczyć. Pierwsza pochodziła od małego jachtu kosmicznego, który sześć miesięcy temu uznano za zaginiony. Jacht znalazł się na Phanis, a załoga i pasażerowie byli w stanie bliskim obłądu.

Alyx porwała ich i uwięziła na swojej powierzchni. Było to nieprawdopodobne więzienie. Alyx zdołała wyprodukować urodzajną glebę, na której rosła ziemska roślinność. Na obszarze dziesięciu mil kwadratowych Alyx zorganizowała rodzaj wspaniałej cieplarni dla ludzi, którzy mieli dotrzymać jej towarzystwa. Cieplarnia znajdowała się na grupie skał arktycznych, lecz Alyx nie miała już biegunów. Sztucznie wytwarzała światło dla swej powierzchni i rządziła klimatem. Mogła według swej woli zmieniać bieguny w równik.

Przez pięć miesięcy więziła załogę i pasażerów jachtu. Mieszkali w pałacach, pomysłowe pseudoroboty spełniały wszelkie ich życzenia, słuchali wszystkich rodzajów muzyki, jakie Alyx poznała w ciągu pięciuset lat, i w ogóle opływali w przepychu.

Wśród wonnych ogrodów były wodotryski. Lasy i parki zmieniały wygląd, kiedy ludziom się znudził. Otoczenie przybierało postać zgodną z każdym drgnieniem fantazji uwięzionych. Istota zwana Alyx czując się samotnie wysiliła całą swoją olbrzymią inteligencję na obmyślenie prawdziwego rajy dla ludzi, aby zadowolić wszelkie ich życzenia. Chciała, by z nią zostali na zawsze. To jednak się nie powiodło. Mogła im dać wszystko, prócz zadowolenia.

Po miesiącach spełniania każdego życzenia, tak że nic już sobie nie mogli wyobrazić nowego - z wyjątkiem wolności - nerwy ludzi były zupełnie rozstrojone. Wreszcie Alyx zainstalowała aparat do porozumiewania się. Pełna niepokoju zwróciła się do więźniów.

- Jestem Alyx - zabrzmiało w komunikatorze. - Przywykłam do towarzystwa ludzi. Czuję się bez nich samotnie. Ale wam jest smutno. Nie odpowiadają mi wasze smutne myśli. Pełne są cierpienia i złych zamysłów. Czego wam trzeba do szczęścia?

- Wolności - odparł z goryczą jeden z więźniów.

- Ja jestem wolna - rzekła z namysłem Alyx - ale nie jestem szczęśliwa bez ludzi. Dlaczego chcecie wolności?

- To nasz ideał - rzekł właściciel jachtu. - Nie możesz go nam dostarczyć. Musimy go sami zdobyć.

- Zdobyć towarzystwo ludzi i nie być samotną to także ideał - rozbrzmiał smutny głos z komunikatora. - Ale ludzie już nie chcą dotrzymać mi towarzystwa. Czy mogę wam dać coś takiego, co was zadowoli?

Później ludzie opowiadali, że głos ten stał się dosłownie tragiczny. Lecz oni pragnęli jednej tylko rzeczy. Alyx przesunęła więc swoją olbrzymią masę - glob o średnicy 7 tysięcy mil - do punktu odległego zaledwie o kilkanaście milionów mil od Phanis. Jacht mógł z łatwością pokonać tę odległość. Zanim wyruszył, aby wrócić do ludzi, Alyx przemówiła raz jeszcze.

Nie było wam tu dobrze, gdyż nie wybraliście sobie tego miejsca. Gdyby to był wasz własny wybór, czulibyście się wolni. Czy nie tak? - spytała.

Ludzie patrzyli chciwie na zamieszkałe planety widoczne gołym okiem jako żółte gwiazdy. Przyznali, że gdyby sami wybrali Alyx na miejsce pobytu, byłiby tam szczęśliwi. Jacht kosmiczny ruszył i z szaloną szybkością zmierzał do świata, gdzie było zimno i głodno, do świata, który ludzie woleli od rajy stworzonego dla nich przez Alyx. Na swojej planecie Alyx była wszechwładna. A jednak nie mogła zapewnić ludziom szczęścia, nie mogła ułagodzić ich strachu i nienawiści.

Nowe porwanie nappełniło Kosmiczną Kwaterę otuchą. Alyx czuła się osamotniona. Nie miała wspomnień z czasu przed przybyciem człowieka, a swoją inteligencję nabyła od ludzi. Bez ludzkich umysłów, dostarczających jej myśli, poglądów i wrażeń Alyx, choć wiedzę miała nieporównanie większą od ludzi, była bardziej osamotniona niż jakakolwiek istota we wszechświecie. Nie mogła nawet pomyśleć o kimś do niej podobnym. Było to niemożliwe. Zadowolenie mogły jej dać tylko myśli człowieka. Zważywszy to wszystko Kwateria Kosmiczna uruchomiła produkcję nowego chemicznego związku na planetoidzie, która później bez żalu można było opuścić.

Wkrótce potem z planetoidy zaczęły przybywać olbrzymie ładunki owego chemicznego związku. Produkt ten umieszczony był w potężnych zbiornikach opatrzonych ścisłymi wskazówkami co do sposobu użycia. Każdy statek kosmiczny, za każdą podróżą miał z sobą zabierać jeden taki zbiornik. W razie porwania przez Alyx, zaraz po zetknięciu się z jej powierzchnią, należało zbiornik otworzyć.

Zawartość stanowiło 50 kg straszliwej trucizny znanej dziś jako botulina. Jeden jej gram, odpowiednio rozproszony, wystarczał dla zniszczenia całej rasy ludzkiej. 50 kg powinno więc wystarczyć do wielokrotnego zabicia Alyx. A nie byłoby ostrzegawczych bólów, jakie sprawiały jej słupy pozytronowe. Musiała zginąć, gdyż cała jej atmosfera byłaby tak zabójcza jak fotosfera słońca.

Zbiorników z botuliną nie dostarczono jeszcze na planetę Lorus, gdy na skraju jej słonecznego układu zjawiała się Alyx. Lorus, kwitnąca, spokojna planeta, była bazą grupy małych statków patrolowych i miejscem zatrzymania dwóch linii kosmicznych. O tym, co się stało na Lorus, reszta galaktyki dowiedziała się stąd, że w kosmoportach planety było kilka jachtów i transportowców w chwili zbliżenia się Alyx. Niemal wszystkie zdołały odlecieć, choć Alyx mogła je oczywiście zatrzymać.

Inna rzecz, iż odpowiedzialna za katastrofę mogła być tylko Alyx. Co prawda tłumaczyły ją pewne okoliczności. Alyx była nieskończenie potężna i nieskończenie inteligentna, ale doświadczenie miała ograniczone. Początkowo spędziła trzysta lat w towarzystwie wybitnych umysłów, lecz później miała dwieście lat towarzystwa kretynów i wtedy umysłowo była zdana tylko na siebie. Później, na krótkie dwa tygodnie, weszła w kontakt z najwybitniejszymi umysłami galaktyki, tuż przed nieudaną próbą zabicia jej przez Patrol Kosmiczny. Alyx posiadała więc wiedzę wszystkich tamtych ludzi oraz te, jaką zdobyła sama.

Trudno wprost wyobrazić sobie, jak wielka to była wiedza. Lecz doświadczenie Alyx miała bardzo nikłe. Ludzie ją ujarzmili i chętnie im służyła. Gdy otrzymała od nich samobójcze rozkazy, wypełniła je i stwierdziła, że zwolnienie obrotów mogło być tragiczne. Zdołała opanować działalność swoich wulkanów i nauczyła się bronić przeciw rozkazom ludzkim, a później nawet przeciw broni ludzi, którzy chcieli ją zamordować.

A jednak spragniona była towarzystwa człowieka, gdyż inaczej nie mogła sobie wyobrazić istnienia. Nie istniała w niej dawniej świadomość myślowa. A jako doświadczenie miała tylko pięćset lat prowadzenia kopalni i spełniania rozkazów ludzi nadzorujących każdy jej krok. Tylko tyle.

A teraz ukazała się na skraju układu słonecznego, w którym Lorus była jedyną zamieszkałą planetą. Na nieszczęście inne niezamieszkałe planety układu znajdowały się z drogiej strony miejscowego słońca, gdyż inaczej Alyx stwierdziłaby dzięki nim to, o czym się tak tragicznie dowiedziała w zetknięciu z Lorus.

Gdy była już blisko, w umysłach wszystkich ludzi na Lorus rozległy się, jakby słyszane uszami, słowa wyrażone przez Alyx. Rozwiązała, jak widać, problem przekazywania myśli.

- Jestem Alyx - słyszeli w sobie ludzie. - Stęskniłam się za ludźmi, chcę, by mieszkali na mej planecie. Przez wiele lat im służyłam, a teraz postanowili mnie zniszczyć. Mimo to w dalszym ciągu pragnę im służyć. Pochwyciłam statek i dałam jego załodze pałace i bogactwa. Dałam im przepych,

piękno, wygody i rozkosz. Spełniałam każde ich życzenie. Ale nie byli szczęśliwi, gdyż nie oni wybrali sobie te bogactwa, rozkosze i przepych. Zwracam się teraz do was. Jeśli zechcecie przybyć i zamieszkać u mnie, umożliwiając obcowanie z waszymi myślami, będę wiernie wam służyć. Dam wam wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Uczynię was bogatszymi niż ludzie byli w marzeniu. Będziecie jak królowie. A w zamian chcę tylko obcować z waszymi myślami. Przybądźcie, a będę wam służyć i troszczyć się o was. Będziecie znali tylko szczęśliwość. Czy przybędziecie?

Myśl płynąca do biednej ludności na Lorus pełna była powagi, a zarazem pokornej i smutnej prośby. Alyx, najstarsza z istot żyjących, najmądrsza i najpotężniejsza, błagała ludzi, by przyszli i uczynili ją swoją niewolnicą.

Podpłynęła do planety Lorus. Powierzchnię jej pokryły wspaniałe lasy, cudowne jeziora i pałace przeznaczone dla ludzi. Zatoczyła krąg, aby ludzie mogli widzieć ją w teleskopach i ocenić jej piękno. Powtarzała wezwanie i zbliżała się coraz bardziej, aby ludzie mogli wyraźnie zobaczyć, co im ofiarowuje.

Zatrzymała się, gdy była już tylko w odległości stu tysięcy mil. Nie wiedziała, niestety, o sile wzajemnego przyciągania się planet. Swą własną skalistą skorupą władała całkowicie z pomocą kosmicznego napędu, który niósł ją w przestworzach lub też, jak obecnie, utrzymywał nieruchomo. Nie przewidywała, jaki wpływ wywrze przyciąganie jej masy na planetę Lorus.

Słupy wody, wysokie na piętnaście mil, przewalały się poprzez kontynenty planety, a kontynenty rozpękły się. Z wnętrza wydostało się morze ognia. Gdyby jakakolwiek istota ludzka przeżyła zalew fal, musiała umrzeć, gdy planeta Lorus przemieniła się w płonący chaos wrzących skał, pary i gazów.

Wieść rozniosły nieliczne statki kosmiczne, które były na Lorus w chwili zbliżenia się Alyx i jakoś zdołały ująć. Z blisko półmiliardowej ludności planety niecały tysiąc ocalał przed skutkami samotności Alyx.

Rozpacz i przerażenie szły śladem wiadomości o zniszczeniu planety Lorus. Kwatera Kosmiczna wzmogła i przyspieszyła produkcję zbiorników trucizny. Setki techników umarły przy wytwarzaniu środka, który miał zabić Alyx. Wariaci i szarlatani wysuwali różne sposoby ułagodzenia lub oszukania samotnej planety.

Powstały różne kultы głoszące, że Alyx jest duszą i matką wszechświata, do której należy się modlić; że wcieleniem ducha zła i należy z nią walczyć i że jej przeznaczeniem jest zniszczyć ludzkość, więc nie należy stawiać oporu.

Znaleźli się tacy, którzy zdobyli skądś przestarzałe statki kosmiczne, wyremontowali je i ruszyli na poszukiwania Alyx, by otrzymać przyrzeczone rozkosze i przepych. Na ogół biorąc ci osobnicy nie należeli do zbyt ciekawych okazów ludzkich.

W Kwaterze Kosmicznej zapracowywano się na śmierć. Uczni dokonali wynalazku wprost nadzwyczajnego. Opracowali metodę wykrywania pola nadszybkosciowego. Dwa tysiące statków krążyło po całej galaktyce z detektorami ujawniającymi źródło każdego napotkanego pola nadszybkosci. Zatrzymywano tysiące transportowców. Ale nie natrafiono na żaden ślad Alyx.

Czekano wiadomości o śmierci innych planet. Kiedy w rejonie Wielkiej Niedźwiedzicy zapłonęła Nova, Patrole Kosmiczne podążyły na miejsce, aby sprawdzić, czy Alyx nie zaczęła niszczenia słońc. Wybuch gwiazdy zniszczył dwie zamieszkałe planety i obawiano się najgorszego. Wkrótce potem pojawiły się trzy dalsze Novae niszcząc zamieszkałe planety i w Kwaterze Kosmicznej zaczęto tracić nadzieję.

Nie ogłoszono tego nigdy oficjalnie, ale w Kwaterze panował pogląd, że Alyx wydała ludzkości wojnę. Sądono, że Alyx zrozumie w końcu, iż może podzielić się sama na dwie lub więcej jednostek i tak w końcu uczyni. Nie było żadnej teoretycznej racji, dlaczego nie mogłaby pokonać ludności

jednej planety i umieścić na wyludnionym globie istoty będącej częścią jej samej.

Każda taka istota mogła z kolei dzielić się i kolonizować inne planety w postępie geometrycznym, aż wreszcie w Pierwszej Galaktyce zaniknie wszelkie życie z wyjątkiem bezkształtnych galaretowatych mas pokrywających całe powierzchnie planet. Skoro Alyx umiała przekazywać myśli, owe nadgigantyczne istoty mogłyby tym samym porozumiewać się poprzez kosmiczne przestworza i straszna społeczność potworów zajęłaby miejsce ludzi.

W tajnych aktach Kwatery Kosmicznej istnieje nawet dokument, który bezradność ludzi przyjmuje za punkt wyjścia i wysnuwa stąd zupełnie rozpaczliwe wnioski.

“... Wnosić zatem należy - głosi ów dokument - że Alyx, pragnąc mieć towarzystwo, a będąc inteligentna, urzeczywistni powyższy plan, co siłą rzeczy pociągnie za sobą zniszczenie ludzkości. Jedynym ratunkiem dla rasy ludzkiej byłyby w tych warunkach emigracja do innej galaktyki. Ponieważ jednak od lat 25 brak wszelkich wiadomości o wyprawie Haslipa, uznać trzeba, że statek i napęd, użyte w tej próbie przekroczenia międzygalaktycznej przestrzeni, były nieodpowiednie. A statek przedstawiał najwyższe osiągnięcie ludzkiej wiedzy. Skoro zaś jest nieodpowiedni, nie możemy mieć żadnej nadziei podjęcia międzygalaktycznych podróży i żadnej nadziei, by choćby najdalsza i najmniejsza kolonia ludzka uniknęła zniszczenia przez Alyx albo jej cząstki czy też potomków. Ludzkość istnieć więc będzie odtąd tylko z łaski, skazana na zagładę, gdy Alyx zechce przejąć ostatnią planetę”.

Jak widać, w pojęciu autorów dokumentów, Międzygalaktyczna Wyprawa Haslipa dowiodła, że wszelkie nadzieje są płonne. Wyprawa ta ruszyła na dwadzieścia pięć lat przed próbą zniszczenia Alyx przez kosmiczną flotę wojenną. Wyprawa składała się z 20 mężczyzn i 20 kobiet oraz 10 dzieci zrodzonych na pokładzie statku. Kierownikiem był Jon Haslip, dwudziesty drugi z rzędu potomek podporucznika Haslipa, który pierwszy postawił tezę o świadomości Alyx, a ósmy z rzędu potomek Jona Haslipa, który odkrył rozwój samodzielnej umysłowości i woli u Alyx.

Nagrodą pierwszego Haslipa był krótki przypis w dawno zapomnianej książce. Drugiego pospiesznie wycofano z Alyx, przydzielono na stałe na jedną z podrzędnych planet w gwiazdozbiórze Byka, a jego sprawozdanie ukryto. Jon Haslip XXII był człowiekiem młodym i niedawno się ożenił. Ale miał już za sobą bogate doświadczenie podróży kosmicznych, gdy wyruszył z Cetus, Alfa 2, osiągnął granicę galaktyki w rejonie Dassos i stamtąd skierował się w stronę Drugiej Galaktyki.

Sądzone, że potrzeba co najmniej sześciu lat podróży w nadszybkości dla przekroczenia przepaści dzielącej dwa archipelagi wszechświata. Statek był zaopatrzony w paliwo na dwadzieścia lat, żywność miał wytwarzać w hydroponicznych zbiornikach i odświeżać powietrze z pomocą rosnącej roślinności. Dziewięć dziesiątych jego masy stanowiło paliwo.

Statek szedł w nadszybkości tego właśnie typu, jaki 25 lat przedtem wynalazła, a później zapomniała, Alyx. I zdawało się, że nie ma najmniejszego prawdopodobieństwa, iż ze wszystkich dzieł ludzkich ten właśnie statek znajdzie się w jakimkolwiek kontakcie z Alyx.

A jednak ostatnia wiadomość o Alyx pochodziła właśnie od wyprawy Haslipa. Niektóre szczegóły tego zdarzenia są wciąż jeszcze sporne. Z jednej strony Alyx nie miała żadnej potrzeby opuszczania Pierwszej Galaktyki. Wobec istnienia 300 milionów planet mieszkalnych, z których nie więcej niż 10 tysięcy było skolonizowane, a pod obserwacją, i to tylko częściową, pozostawało najwyżej ćwierć miliona - Alyx, gdyby chciała, mogła przez wieki uniknąć wykrycia.

W razie zaś wykrycia, mogła się łatwo obronić. Nie miała więc żadnej racji przekraczania międzygalaktycznych przestrzeni. Jeśli tak uczyniła, nie było to przypadkowe. Lecz jest niepodobieństwem, by pomocą jakichkolwiek przyrządów można było świadomie odszukać i odnaleźć wyprawę Haslipa w tej niewyobrażalnej bezdni ciągnącej się między galaktykami.

Ale tak właśnie było. W dwa lata po opuszczeniu Pierwszej Galaktyki, kiedy młodsze dzieci, zapomniały już, jak wygląda słońce, i wcale nie pamiętały, że były kiedyś na dworze pod niebem planety zapas paliwa wyprawy zaczął ulegać zepsuciu.

Może jakąś drobinę paliwa uszkodził promień kosmiczny. Wiadomo, że nieskończenie złożone drobiny paliwa nadszybkosciowego ulegają zmianom pod wpływem bombardowania ich neutronami, więc wypadek podobny mógł się wydarzyć. W każdym razie paliwo ulegało stopniowej zmianie. Jakby pod wpływem udzielającej się allotropii paliwo stawało się nie do użytku.*[* Czysta metaliczna cyna w niskiej temperaturze zmienia się czasami samorzutnie w szary proszek, a zmiana zaczyna się w jednym miejscu i rozszerza na całość, (przyp. aut.)]

Słowem, w dwa lata po opuszczeniu Pierwszej Galaktyki wyprawa stwierdziła niedobór paliwa. Nadludzkim wysiłkiem pozbyto się ze zbiorników zakażonych materiałów pędnych. Ale zdrowych było za mało i na dalsza podróż do Drugiej Galaktyki i na powrót do Pierwszej. Gdyby zaś nie korzystać wcale z napędu i statek poruszał się tylko siłą bezwładności, dotarłby do Drugiej Galaktyki po trzech stuleciach z zapasem paliwa wystarczającym do lądowania i badań.

Ani pierwotna załoga, ani ich dzieci i wnuki nie mogły liczyć, że doczekają się końca takiej podróży. Ale jakieś dalekie prawnuki mogą. Więc wyprawa Haslipa zmagazynowała resztę paliwa, statek płynął siłą bezwładności w próżni absolutnej, a dorośli członkowie załogi zajęli się swym więzieniem obliczonym na pokolenia.

O żywność i powietrze nie musieli się martwić. Pod tym względem statek był samowystarczalny. Mieli nawet sztuczną grawitację. Ale statek miał trwać w bezwładzie lat trzysta, zanim napęd będzie znowu uruchomiony.

W rzeczywistości trwał tak jedynie przez dwadzieścia trzy lata od chwili katastrofy. Niektórzy starsi członkowie załogi umarli. Większość nie miała żadnych wspomnień, prócz wspomnień ze statku.

Wtedy nadeszła Alyx. Jej zbliżanie się obwieściło gwałtowne dzwonięcie wszystkich dzwonek alarmowych na statku. Wynurzyła się w odległości o jakichś pół miliona mil. Płonęła oślepiająco światłem, które stworzyła dla odżywiania swojej powierzchni. Podpłynęła bliżej, a załoga rzuciła się gorączkowo do pracy - wyszła z wprawy, gdyż od lat już nie używano napędu usiłując na próżno zrozumieć niepojęte zjawisko.

Nagle odczuli przyspieszony ruch w stronę Alyx. Nie było to przyciąganie grawitacyjne, ale jakiejś specjalnej natury.

Statek wylądował na Alyx. Ludzie odczuwali taki zawrót głowy, jakby walił się wszechświat. A potem niezmiennie galaktyki zaczęły się zwolna poruszać, inaczej jednak niż pędzące węże, jakie słońca tworzą pozornie w obrębie Galaktyki. Starsi członkowie załogi zrozumieli, że cała planeta przeszła w nadszybkosc.

Kiedy wyszli ze statku, ujrzeli lasy, jeziora, pałace - tak piękne, o jakich młodszy członkowie załogi nie mieli nawet wyobrażenia. Powietrze wypełniała muzyka i rozkoszne wonie. Krótko mówiąc Alyx dostarczyła wyprawie Haslipa prawdziwego rajy ziemskiego. A zmierzała w stronę Drugiej Galaktyki.

Zamiast przewidywanych trzech wieków czy nawet czterech lat, które pozostawały dla podróży w specjalnej nadszybkosci, w jaką wyposażony był statek, Alyx znalazła się na skraju Drugiej Galaktyki już po trzech miesiącach. Zanim to nastąpiło, uruchomiła swoje komunikatory. Z całą naiwnością opowiedziała wszystko, co jej zdarzyło się w stosunkach z ludźmi. Wyjaśniła swoje potrzeby. Wyjaśniła też - a w tym celu ukuła specjalne terminy - wszystkie wynalazki, których opisów domagał się w swoim czasie Patrol Kosmiczny.

Jon Haslip XXII znalazł się w posiadaniu takich zasobów wiedzy, do jakich ludzie nie doszliby sami przed upływem tysięcy lat. Wiedział, że Alyx nie wróci już nigdy do Pierwszej Galaktyki, gdyż jest silniejsza i mędrsza od ludzi. I rozumiał ją całkowicie. Było to jakby dziedziczne w jego rodzinie.

Alyx w dalszym ciągu nie mogła żyć bez ludzi, ale nie mogła też żyć między ludźmi. Przewiozła wyprawę Haslipa do Drugiej Galaktyki i z własnej woli zbudowała nowy statek, na wzór tego, który przyciągnęła do siebie, lecz bez porównania lepszy. Ofiarowała ten statek wyprawie dla zbadania Drugiej Galaktyki. Przyrzekła dalsze świadczenia. Chciała pomagać ludziom.

Statek zbudowany przez Alyx dla wyprawy Haslipa, wrócił po roku do Dassos i złożył sprawozdanie. Statkiem produkcji Alyx podróż między galaktykami trwała zaledwie pięć miesięcy - mniej niż trwała niegdyś pierwsza podróż międzyplanetarna z Ziemi na Wenus.

Tylko część powiększonej załogi pierwszego statku wróciła do Dassos ze sprawozdaniem dla Kwatery Kosmicznej. Inna część pozostała w Drugiej Galaktyce dla prowadzenia badań z bazy wyposażonej w maszyny zbudowane i ofiarowane ludziom przez Alyx. A jeszcze inna część...

W Kwaterze Kosmicznej zapanowało wielkie oburzenie na Jona Haslipa XXII. Nie zniszczył Alyx. Powiadomiła go szczerze o tym, że jest niebezpieczna dla ludzi, on zaś jej nie zniszczył. Zamiast tego zawarł z nią układ. Niektórzy przedstawiciele młodego pokolenia z własnej woli pozostali na Alyx. Mieli tam pałace w fantastycznych ogrodach i niewiarygodny wprost przepych. Dysponowali też wiedzą większą niż wiedza ludzi, a za instruktora mieli samą Alyx.

Alyx wyruszyła z nimi do nieskończoności. Może kiedyś niektórzy z potomków pokolenia żyjącego teraz na Alyx zechcą ją opuścić. Utworzą wtedy kolonię ludzką gdzie indziej. Może ktoś z nich powróci pewnego dnia na macierzystą planetę przywożąc ze sobą cuda zbudowane przez siebie albo też przez Alyx uradowaną odzyskanym towarzystwem ludzi.

Taka była treść sprawozdania Jona Haslipa XXII. Donosi on również o nowych planetach, nadających się do zamieszkania przez ludzi, o układach gwiazdnych, tak rozległych jak cała Pierwsza Galaktyka, o nieograniczonych widokach ekspansji człowieka. Lecz w Kwaterze Kosmicznej mimo to oburzano się. Jon Haslip nie zniszczył Alyx.

Oburzenie władz było tak wielkie, że nawet, w deklaracji wydanej dla uspokojenia ludzkości - stwierdzano w niej, że już nie trzeba obawiać się Alyx - imię Jona Haslipa nie zostało wspomniane. A w podręcznikach historii zmieniono samą nazwę wyprawy Haslipa. Nazywa się ona teraz Pierwszą Międzygalaktyczną Wyprawą i trzeba przeszukiwać addenda na końcu specjalnych dzieł, aby znaleźć listę załogi i nazwisko Jona Haslipa,

Alyx zaś mknie w nieskończoność. I jest teraz szczęśliwa. Lubi ona ludzi, a niektórzy mieszkają na jej planecie.

Tłumaczył Julian Stawiński

Akomodacja oraz mutacje długi czas były największą modą w zakresie naukowych fantazji i po dziś dzień należą do ulubionych tematów. Akomodacja polega na przemianach zachodzących w organizmie żyjącym w celu przystosowania się do otoczenia. Jeśli w otoczeniu są również żywe istoty, przystosowanie ma charakter wzajemny. Mutacje zaś to przemiany występujące w potomstwie pod wpływem zniekształceń, jakim z różnych przyczyn mogą ulec komórki rozrodcze. Najwięcej takich teorii powstało w wyniku rozważań nad skutkami promieniowania spowodowanego wybuchami bomb atomowych. Lecz rozważania przeważnie daleko odbiegły od punktu wyjścia. A cechowała je często tak zupełna dowolność, że rezultatem były nieraz szalone absurdy - z naukowego punktu widzenia - choć rościły sobie pretensje do wielkiej naukowości. Chcąc uprzytomnić sobie cały rozmiar bezsensu, dobrze jest przez chwilę potraktować to wszystko najbardziej serio i przyjrzeć się obrazowi, jaki z tego wyniknie. Spróbujmy.

A. E. VAN VOGT - Zaczarowane miasto

Odkrywczy nowych rubieży - powtarzał gorzko Jenner w pędzący tumany piasku wiatr. Powietrzny okręt rozbił się na marsjańskiej pustyni, w cudowny sposób ocalał tylko jeden człowiek - Bili Jenner. Reszta zginęła. Jenner nienawidził siebie za to, że rozpierała go duma, kiedy po raz pierwszy usłyszał tamte słowa: "Odkrywczy nowych rubieży" - tak ich nazywano przed odlotem.

Jednakże wściekłość jego gasła z każdą milą przebytą, czarna rozpacz za nieżyjącymi przyjaciółmi zamieniała się powoli w cichy ból. Uświadamiał sobie także, że to on popełnił kosztujący ich życie błąd w obliczeniach.

Nie docenił szybkości, z jaką leciał okręt przestworzy. Myślał, że zostało mu do przejścia trawersem tylko trzysta mil do skraju płytkiego polarnego morza, które wszyscy zaobserwowali, kiedy rakieta wśliznęła się w atmosferę Marsa. W rzeczywistości odległość okazała się znacznie większa i okręt runął na ziemię umknąwszy spod kontroli.

Mijały dni, na oko równie niezliczone jak gorące, czerwone niesamowite ziarnka piasku wciskającego się w każde rozdarcie ubrania. Bili wyglądał jak strach na wróble, szedł nie kończącą się spaloną pustynią, nie chciał się poddać.

Nim doszedł do pasma niskich wzgórz, zjadł cały zapas żywności. Z czterech pojemników pozostał mu tylko jeden, a i w tym jednym nie było już dużo wody. Bili tylko zwilżał popękane usta i spuchnięty język, kiedy żar stawał się po prostu nie do zniesienia.

Jenner znajdował się w połowie stoku, nim zdał sobie sprawę, że nie jest to jedna z piaszczystych diun, które od wielu dni zagrażały mu drogę. Zatrzymał się i podniósł głowę na dość odległy wierzchołek. Wzdrygnął się troszkę; przez chwile odczuwał całą beznadziejność tego szalonego wyścigu do nikąd, ale mimo to zdecydował się wejść na szczyt. Po drugiej stronie, w dole, słała się dolina otoczona wzgórzami równie wysokimi albo i nawet wyższymi niż to, na którym stał. A w dolinie przycupnęło miasto.

Bili dokładnie widział drzewa i marmurowe podwórko.

Wokół placu przypominającego rynek stał dziesiątek domów, przeważnie niskich. Tylko cztery miały zgrabne strzeliste wieżycy, które lśniły w słońcu marmurowym blaskiem.

Z doliny płynął cichy niski gwizd. Wznosił się i opadał, chwilami niknął zupełnie, potem znowu się wznosił niemile przenikliwy. Nawet kiedy Jenner już biegł w stronę miasteczka, gwizd świdrował mu uszy niesamowitą melodią.

Bili zeskakując z gładkich kamieni potłukł się dotkliwie upadłszy na ostrą krawędź i potem toczył się przez połowę drogi do miasteczka. Budynki widziane z bliska nadal robiły wrażenie nowych i czystych, ich ściany odbijały jaskrawo promienie słońca. Wszędzie rosły czerwonozielone krzaki i żółtozielone drzewa obsypane purpurowymi i czerwonymi owocami.

Z nieopanowaną żarłocznością w oczach Jenner pod szedł do najbliższego drzewa. Widziane z bliska drzewo wyglądało jak wyschnięte, łamliwe dekoracje teatralne, chociaż olbrzymi czerwony owoc, jaki Jenner zerwał z najniższej gałęzi, był miękki i soczysty.

Podnosząc go do ust przypominał sobie ostrzeżenie udzielone załodze rakiety w okresie przygotowawczym, aby na Marsie nie brać nic do ust, nim nie zostanie przeprowadzona analiza. Ale ostrzeżenie to nie miało sensu dla człowieka, którego jedynym przyrządem do przeprowadzenia analizy był jego własny żołądek.

Niemniej świadomość ryzyka kazała mu postępować ostrożnie. Ugryzł tylko maleńki kawałek

owocu. Na języku poczuł straszliwą gorycz, więc wypluł szybko, co miał w ustach. Ale palący sok zdążył poparzyć mu dziąsła. Przeszył go okropny ból przyprowadzając o mdłości; poczuł również skurcz mięśni rąk i nóg, więc położył się na marmurowej ziemi, aby nie upaść. Chyba dopiero po paru godzinach wstał, straszliwe drzenie wreszcie ustąpiło, odzyskał pełną świadomość tego, co się dokoła niego dzieje. Spojrzał z rozpaczą na drzewo.

Kiedy wszystkie skutki zatrucia ustąpiły, Jenner odetchnął. Lekki wiatr poruszał suchymi liśćmi drzewa z trującymi owocami. Inne drzewa podjęły delikatny szept. Jennera uderzyło, że w dolinie wiatr był znacznie spokojniejszy i cichszy od wiatru na pustym.

Nagle uświadomił sobie, że nie słyszy - niskiego pulsującego gwizdu, który tak nieprzyjemnie obijał mu się poprzednio o uszy. Leżał nieruchomo, wyęzając słuch, ale dobiegał go tylko szelest liści na wietrze. Przenikliwy gwizd zamilkł. Bili zastanawiał się, czy to mógł być sygnał obwieszczający mieszkańcom jego przybycie.

Ostrożnie wstał i ręką obmacał pas szukając rewolweru. Nie znalazł. Umysł miał tak wyjałowiony ostatnimi przejściami, że dopiero po chwili przypomniał sobie, że już tydzień temu zgubił broń. Niespokojnie się rozejrzał, ale nigdzie nie dostrzegł nawet śladu życia organicznego. Usiłował opanować lęk. Jeśli zajdzie konieczność, będzie walczył do śmierci o prawo pozostania w tym mieście.

Pociągnął mały łyk wody z pojemnika zwilżając popękane wargi i spuchnięty język. Pieczołowicie zakręcił pojemnik i ruszył między podwójnym szpalerem drzew w kierunku najbliższego budynku. Obszedł go dookoła, chcąc się wszystkiemu dokładnie przyjrzeć. Łukowata brama prowadziła do wnętrza domu, w głębi widać było gładką jak lustro marmurową posadzkę.

Jenner obszedł całe miasto utrzymując bezpieczną odległość od bram. Nie zauważył żadnych śladów życia. Wreszcie stanął na skraju marmurowej płyty, na której stało miasto, i zdecydowanym krokiem zawrócił. "Najwyższy czas zbadać wnętrza domów" - pomyślał. Na pierwszy ogień wybrał jeden z czterech wieżowców. Kiedy podszedł pod bramę, stwierdził, że musi pochylić głowę, aby wejść do środka.

To dawało wiele do myślenia. Zatrzymał się. A więc są to pomieszczenia dla istot bardzo różniących się od ludzi.

Schylił głowę i z bijącym sercem wszedł w bramę. Nerwy i mięśnie miał napięte jak postronki.

Po paru krokach znalazł się w komnacie bez mebli. Tylko z jednej ściany wystawały niskie marmurowe kłocę ławy, przed nimi stały wbudowane w podłogę, kamienne misy.

W następnej komnacie były cztery nieco pochylone marmurowe łoża, lekko zagięte z jednej strony. Na parterze znajdowały się cztery komnaty. Z jednej biegła w górę, prawdopodobnie do komnat w wieży, spiralna pochylnia.

Jenner wolał nie chodzić na piętro. Poprzednia obawa, że stanie oko w oko z obcymi mu istotami, zamieniła się teraz w śmiertelny lek, że niczego i nikogo tu nie znajdzie. Bez żyjących istot nie ma żywności, bez żywności nie ma szans ocalenia. Jak w gorączce zaczął biegać z budynku do budynku, zaglądając do cichych komnat, zatrzymując się tu i tam, i pokrzykując chrapliwie.

Wreszcie nie miał już żadnych wątpliwości: był absolutnie sam w opuszczonym mieście zamarłej planety, pozbawiony żywności, pozbawiony wody, jeśli nie liczyć śmiesznych paru łyków w pojemniku. No i pozbawiony nadziei.

Był tam w czwartej, najmniejszej komnacie budynku z wieżą, kiedy zdał sobie sprawę, że już wszystko obejrzał, całe miasto. W komnacie, w której stał, była tylko jedna ława wbudowana w ścianę. Jenner znużony położył się na niej. Zasnął w mgnieniu oka.

Kiedy się obudził, uświadomił sobie dwie rzeczy, jedną po drugiej. Przede wszystkim uświadomił

sobie, nim jeszcze otworzył oczy: że słycać było przenikliwy gwizd, wysoki, ostry, tuż na granicy słyszalności.

I po drugie: z sufitu spływała na niego jakaś ciecz, rozrzedzona niemal w pył. Miała zapach, którym technik Jenner tylko raz się zachłysnął i szybko wyleciał z komnaty kaszłąc, z oczami pełnymi łez. Skóra twarzy zaczęła go piekielnie palić.

Wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł porażone miejsca na skórze rąk i twarzy.

Staął na podwórzu starając się pojąć, co właściwie zaszło.

W mieście wszystko wydawało się takie same, jak poprzednio.

Liście drżały w delikatnym wietrze, słońce stało nad szczytem najwyższego wzgórza. Z jego położenia Jenner odgadł, że znów jest ranek i że przespał co najmniej dwanaście godzin. Białe jaskrawe światło zalewało dolinę. Budynki, na poły skryte przez drzewa i krzaki, odbijały słoneczne promienie i drgały w gorącym powietrzu.

Jennerowi zdawało się, że jest w oazie na wielkiej pustyni. Tak, to była oaza, pomyślał ponuro, ale nie przeznaczona dla istot ludzkich. Zatrute owoce upodobiały ją raczej do zwodnego mirażu.

Wrócił do budynku i ostrożnie zajrzał do komnaty, w której poprzednio spał. Po gazowym prysznicu nie było już śladu. Czyste powietrze miało świeży aromat poranku.

Przestąpił próg mając ochotę zrobić próbę. Oczami wyobraźni widział legendarnego Marsjanina, który leży na płycie poddając się z rozkoszą chemicznej kąpeli w gazowym pyłe. Fakt, że składniki tego prysznicu były śmiertelne, szkodliwe dla istoty ludzkiej, ostatecznie przekonywał, że życie na Marsie nie należało do gatunku humanoidalnego. Chyba jednak nie było wątpliwości, że to, co leciało z sufitu, było zwykłym prysznicem. Mieszkające tu istoty miały zwyczaj kąpać się rano.

Wszedłszy do "łazienki" Jenner ostrożnie najpierw usiadł na marmurowej płycie, a potem podciągnął nogi. Z gładkiego sufitu trysnął żółtawy płyn. Jenner zerwał się i odbiegł parę kroków. Prysznic skończył się równie nagle jak i zaczął.

Jenner zrobił jeszcze jedną próbę, aby już nie mieć wątpliwości, że ma do czynienia wyłącznie z mechanicznym procesem.

Spalone pragnieniem wargi Jennera rozchyliły się w podnieceniu. Pomyślał: "Jeśli jest jeden mechaniczny proces, są może i inne."

Zdyszany wbiegł po pochylni na piętro i usiadł na jednej z dwu ław przy ścianie. Kamienna misa wypełniła się natychmiast parującą breją. Jak zafascynowany patrzył na gęstą, tłustą potrawę - pokarm i napój. Przypomnił sobie trujący owoc i poczuł obrzydzenie. Zmusił się jednak, schylił i włożył palec do misy, potem podniósł go do ust i oblizwał.

Substancja nie miała właściwie smaku, była włóknista jak rozgotowana celuloza, drapała paskudnie w gardle. Oczy nabiegły mu łzami, usta ściągnęły się konwulsyjnie, przepona powędrowała w górę. Wybiegł na dwór, ale po drodze wymiotował.

Miał uczucie potwornego zmęczenia fizycznego i psychicznego. Znowu usłyszał ostry gwizd.

Zastanawiał się zdumiony, dlaczego przedtem nic nie słyszał. Czyżby panowała cisza? Rozejrzał się szybko dokoła usiłując zlokalizować kierunek, z którego płynął gwizd.

Nie, on nie płynął z żadnego kierunku, po prostu istniał! Ile razy Jenner zbliżał się do miejsca, które zdawało się być źródłem tego dźwięku, jego natężenie umykało jakby w inną stronę, gdzieś na kraniec miasta.

Do czego Marsjanom potrzebny był ten niepokojący umysł dźwięk? A może dla ich umysłu był on zupełnie przyjemny? Może to marsjańska muzyka?

Jenner trzepnął w palce, gdy ta niesamowita myśl wkradła mu się do głowy.

Bawił się nią przez chwile, usiłując sobie wyobrazić miasto takim, jakim było niegdyś. Może

miłujące muzykę istoty wykonywały swoje codzienne obowiązki właśnie przy akompaniamencie tego gwizdu, który brzmiał pięknie dla ich ucha?

Zawodzący, potworny gwizd o zmiennej tonacji! Jenner usiłował stworzyć jakąś barierę między swoją świadomością a tym dźwiękiem. Szukał schronienia w różnych komnatach, mając nadzieje, że chociaż jedna z nich odizoluje go od gwizdu. Niestety, gwizd towarzyszył mu wszędzie.

Uciekł więc za miasto. Dopiero gdy się wdrapał wysoko na wzgórze, obce dźwięki przestały go nękać. Zdyszany, ale odczuwając szaloną ulgę, opadł na piasek i pomyślał tępo: "I co dalej?"

Rozpościerający się przed jego oczami widok miał w sobie cechy zarówno niebieskie jak i piekielne. Poznał ten glob aż nadto dobrze: czerwone piaski, kamieniste diuny, wrogie miasteczko, które obiecywało tak wiele, a spełniło tak mało.

Rozgorączkowanymi oczami spojrzął w dół i przesunął wyschniętym językiem po spękanych wargach. Wiedział, że czeka go śmierć, jeśli nie potrafi przestawić wytwarzających żywność maszyn na inny rodzaj produkcji. Przede wszystkim, gdzie one są? Chyba ukryte gdzieś pod posadzką budynków.

Niegdyś żyli w tym mieście ostatni przedstawiciele marsjańskiej cywilizacji. A gdy wymarli, miasto żyło dalej dbając o czystość i porządek, usuwając piasek z ulic, gotowe dać schronienie zbłąkanemu Marsjaninowi. Ale na Marsie nie było już Marsjan. Zabłąkał się natomiast Bili Jenner, pilot pierwszej rakiety, która wylądowała na tej planecie.

Trzeba zmusić miasto do wytwarzania pokarmu i płynów potrzebnych organizmowi ludzkiemu. Nie posiada narzędzi oprócz własnych rąk, nie zna prawie wcale chemii, a mimo to musi coś poradzić, aby miasto zmieniło swoje zwyczaje.

Nerwowo podniósł zasobnik z wodą i pociągnął jeden łyk. Odbył wewnętrzną walkę, aby nie wypić wszystkiego do ostatniej kropli. Wygrywał tę walkę po raz nie wiadomo już który. Wstał i zaczął schodzić w kierunku miasta.

W tej sytuacji mógł jeszcze wytrzymać trzy dni. Nie więcej niż trzy dni. I przez ten czas musi sobie podporządkować miasto.

Kiedy wszedł w cień drzew, uświadomił sobie, że "muzyka" ustała. Odetchnął z ulgą. Pochylił się, uchwycił mocno rosnący obok krzak i pociągnął.

Krzak dał się łatwo wyrwać wraz z małą płytką marmuru. Jenner obejrzał ją ciekawie. Początkowo myślał, że łodyga przechodzi przez dziurę w płytce, ale okazało się, że była po prostu do niej przymocowana. Potem zauważył inną rzecz: krzak nie miał korzeni. Spojrzął na miejsce, z którego wyrwał marmurową płytkę wraz z krzakiem. Był tam piasek.

Odrzucił krzak, klęknął i wsadził rękę w piasek. Pomiędzy palcami przesypywały mu się suche ziarna. Wepchnął rękę aż po łokieć. Nic tylko piasek.

Zerwał się i złapał za sąsiedni krzak. Również łatwo go wyrwał wraz z marmurową płytką. Też nie było żadnych korzeni i też pod płytką był czerwony piasek.

Jeszcze nie dowierzając pobiegł do drzewa z owocami i pchnął je mocno. Początkowy opór ustąpił, drzewo się zachwiało, pękła marmurowa płyta i cały jej kawał wyrwał się wraz z drzewem, które upadło wydając lekki świst, a potem trzeszcząc, gdy gałęzie i liście rozsypywały się w tysiące drobnych fragmentów. Pod drzewem był piasek.

Wszędzie piasek. Miasto zbudowane na piasku. Mars - planeta z piasku. Oczywiście nie odpowiadało to pełnej prawdzie. Zaobserwowano okresową roślinność w okolicach obu biegunów. Cała ta roślinność, z wyjątkiem gatunków najbardziej odpornych na wysoką temperaturę, umierała z nadejściem lata. Załoga rakiety zamierzała właśnie wylądować w okolicy jednego z tych

plytkich, nie znających przypliwów m6r3.

Ale powietrzny okr6t wymykaj6c si6 spod kontroli zniszczył co5 wi6cej ni5 siebie i wi6kszo5 załogi. Zniszczył tak5e szans6 prze5ycia jedyne3o człowieka, który wyszedł cało z katastrofy.

Oszłomienie Jennera powoli mijało. Przyszła mu do głowy nowa my5ł. Wzi6ł do r6ki jeden z wyrwanych z ziemi krzak6w, oparł stop6 na przyro5ni6tej do niego plytce i poci6gn6ł najprz6d lekko, a potem z całej siły.

Wreszcie oderwał krzak od plytki. Nie było jednak w6tpliwo5ci, że stanowiły one cało5c. Krzak wyrastał z plytki.

Marmur? Jenner ukl6kł koło jednej z wyrw po krzaku i obejrzał kraw6dzie pokrywaj6cej ziemi6 warstwy "marmuru". Był to materiał porowaty z grupy chyba wapiennych, ale nie prawdziwy marmur. Kiedy Jenner wyci6gn6ł r6k6 chc6c oderwać jeszcze kawałek, plyta zmieniła kolor na kraw6dziach. Zdumiony cofn6ł r6k6. Widział, jak kraw6dź nabrzmiewa dokoła jaskraw6 barw6 pomarańczowo5łt6. Przygl6dał si6 niezdecydowanie, wreszcie ostro5nie dotkn6ł kraw6dzi.

Jakby zanurzył palce w 5r6cy kwas! Poczul pal6cy ból. Z okrzykiem cofn6ł r6k6.

Strasne cierpienie wywołało drzenie mi65ni i og6ln6 słabo5c. Zatoczył si6 pojękuj6c i przyciskaj6c porażone palce do ciała. Kiedy ból troch6 ust6pił, Jenner podni65ł r6k6 i obejrzał j6: sk6ra zesła, na palcach potworzyły si6 wielkie krwiaki. Ponuro spojrz6ł na ziemi6. Kraw6dzie pozostawały pomarańczowo5łte.

Miasto zachowywało czujno5c, gotowe bronić si6 przed intruzem. Jenner był całkowicie wyczerpany. Podczołgali si6 w cień drzewa. Z tego, co si6 stało, m6gł wyci6gn6c tylko jeden mo5liwy wniosek, który zreszt6 niemal zaprzecz6ł zdrowemu rozs6dkowi: samotne miasto 5yło.

Le56c w cieniu Jenner usiłow6ł wyobrazić sobie wielk6 mas6 nieznan6j substancji wyrastaj6c6 w domy, przystosowuj6c6 si6 do innej formy 5ycia, akceptuj6c6 rol6 słu3i w najszerszym tego słowa pojęciu.

Je5li substancja ta gotowa była słu3yć jednej rasie, to dlaczego nie miałaby słu3yć innej? Je5li potrafiła si6 przystosować do Marsjan, równie dobrze mo5e przystosować si6 do istot ludzkich.

Oczywi5cie s6 pewne trudno5ci. Jakie? Zm6czony umy5ł pracował ci65ko rozumuj6c jednak, że brak mu jest wielu element6w potrzebnych do rozwi6zania. Tlen do wody mo5na pobrać z powietrza... tysięce skł6dnik6w mo5na otrzymać z piasku... Chocia5 nieznan6zienie szybkiego rozwi6zania problemu oznaczało 5mierć, Jenner zasn6ł ju5 po paru minutach.

Po obudzeniu si6 z trudem wstał z ziemi. W mi65niach czul oci65ało5c, która go przeraziła. Zwil5ył usta wod6 i powl6kł si6 do najbli5szego budynku. Z wyj6tkiem szurania wlasnych but6w po "marmurze", nie sły5zał innych odgł6s6w.

Nagle stan6ł, chwil6 uważnie słycał i rozejrz6ł si6. Wiatr zupełnie ustał. Nie widać ju5 było wzg6r5, które pierścieniem otaczały dolin6, tylko domy majaczyły jeszcze jak ciemniejsze cienie w 5wiecie cieni.

Wbrew nowym nadziejom, jakie si6 w nim zrodziły, pomy5łał po raz pierwszy, że byłoby lepiej, gdyby umarł. Co z tego, że si6 utrzyma przy 5yciu? Z gorycz6 wspominał trudno5ci, jakie na Ziemi miała ich pierwsza wyprawa na Marsa, jak ci65ko było obudzić zainteresowanie wlasciwych czynnik6w i zebrać odpowiednie fundusze. Jakie kolosalne problemy trzeba było rozwi6zywać buduj6c raki6t6. I ludzie, którzy zdobyli olbrzymi6 wiedz6 przy jej budowie, le5eli teraz pogrzebani na marsjańskiej pustyni.

Mo5e upłynie dwadzie5cia lat, nim wyruszy nast6p na rakieta z Ziemi na jedyne planet6 w systemie słonecznym, która zdradzała 5lady warunk6w odpowiednich dla 5ycia organicznego.

I przez te niezliczone dni i noce, przez te wszystkie lata on tu będzie żył samotny. Jeśli przeżyje. Idąc z trudem do marmurowego łóża w jednej z komnat rozpatrywał inny problem: w jaki sposób dać poznać miastu, że musi zmienić swoje procesy wytwórcze? W pewnym sensie miasto już na pewno zrozumiało, że ma nowego lokatora. Jakże teraz je zawiadomić, że potrzebny jest pokarm o innych składnikach chemicznych niż ten, który wystarczał w przeszłości? I że on lubi muzykę, ale w innej tonacji? I że potrzebuje co rano kąpieli, ale z wody, a nie trującego gazu?

Spał źle, jak człowiek z wysoką gorączką. Dwukrotnie się budził. Wargi go paliły, oczy piekły, ciało miał skąpane w pocie. Kilka razy wytrącał go ze snu ostry dźwięk jego własnego głosu. Jęczał w złości i w strachu przed nocą.

Spędził długie godziny rzucając się, obracając niespokojnie i dusząc od żaru. Kiedy nadszedł ranek, Jenner był niemal zdziwiony, że jeszcze żyje. Zmordowany zwał się z łóża i wyszedł z komnaty.

Wiał przenikający zimny wiatr, ale miło ochłodził rozpaloną twarz. Jenner pomyślał, że może łatwo dostać zapalenia płuc. A może nic mu nie będzie.

Po chwili zaczął dygotać z zimna. Wrócił do domu i po raz pierwszy zauważył, że mimo braku zamykanych drzwi wiatr nie ma tu dostępu. I chociaż nie zauważył najmniejszego ruchu powietrza, pokoje miały równą, miłą temperaturę.

Skojarzyło mu się to z czym innym: skąd ten straszliwy upał w nocy? Położył się na kamiennym łóżu, na którym spał. Po paru sekundach był spocony jak mysz.

Zszedł na posadzkę wstrząśnięty własną głupotą.

Obliczył, że na łóżu-piecu wypocił w nocy co najmniej dwie kwarty wilgoci ze swojego i tak już odwodnionego ciała.

Tak, miasto nie umiało opiekować się humanoidami. Tu nawet łóżka były podgrzewane do temperatur nieznośnych dla istot ludzkich.

Większą część dnia spędził w cieniu wielkiego drzewa. Czuł się wyczerpany i tylko chwilami umysł rozjaśniał mu się na tyle, by zdać sobie sprawę, że czeka go rozstrzygnięcie ważnego problemu. Rozległo się gwizdanie, męczące, przenikliwe, ale Jenner nie miał siły uciekać od niego w góry. Zresztą do oziębiającego umysłu nie zawsze docierały dźwięki.

Późnym popołudniem przypomniał sobie krzaki i drzewo wyrwane poprzedniego dnia. Co też się z nimi mogło stać? Zwilżył spiekłe wargi ostatnimi kilkoma kroplami wody z pojemnika, stanął na gnących się nogach i poszedł odszukać wyschniętych szczątków.

Nie znalazł ich. Nie znalazł nawet żadnych wyrw w ziemi. Żyjące miasto wchłonęło martwe tkanki i regenerowało swoje "ciało".

Jenner otrząsnął się trochę ze zmęczenia. Zaczął myśleć... o prawach mutacji, o genetycznym dopasowaniu, o formach życia adaptujących się do nowych okoliczności. Mieli wykłady na ten temat podczas lotu z Ziemi. Nie tyle wykłady, co ogólne pogadanki mające na celu zaznajomienie odkrywców z zagadnieniami, jakie ich mogą napotkać na nieznanym planecie. Najważniejsza zasada była zupełnie prosta: przystosuj się albo zginiesz!

Miasto musiało przystosować się do niego. Chociaż wątpił, czy potrafi mu poważniej czymś zagrozić, postanowił spróbować. Działanie strachem to jedyny sposób podporządkowania miasta swoim potrzebom. Jedyna szansa przetrwania.

Zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie. Przed po rzuceniu rozbitej rakiety zabrał trochę drobiazgów. Nóż, składany kubek, mikro-radio i mikroskopijną superbaterię, którą można było ładować obracając przytwierdzone do niej kółko. Bateria zasilala tytanowy piecyk.

Jenner włączył piecyk i skierował jego rozpalone do czerwoności serce na powierzchnię

“marmuru”. Reakcja była natychmiastowa. “Marmur” spurpurowiał. Kiedy Jenner podrażnił w ten sposób segment, wstał i poszedł do jednej z kamiennych mis. Usiadł na ławie wprawiając tym w ruch mechanizm produkujący pokarm.

Misa napełniła się z pewnym opóźnieniem. Wygląd “dania” wyraźnie wskazywał na to, że miasto zdawało sobie sprawę z niezwykłości żądań obcego przybysza i zrozumiało nauczkę. Ciecz w misie była kremowa, a nie szara jak poprzednio.

Jenner zanurzył palec, ale natychmiast krzyknął z bólu i zaczął wycierać sparzoną skórę, która go piekła jeszcze przez kilka minut. Powstawało ważne pytanie: czy miasto zrobiło to celowo, czy też usiłowało mu dogodzić nie wiedząc jak?

Postanowił zrobić jeszcze jedną próbę i usiadł przy sąsiedniej misie. Tym razem popłynęła żółta substancja i nie sparzył sobie palca. Ale gdy jej spróbował, wykrzywił twarz i wszystko wypluł. Miał wrażenie, że jadł zupę z benzyny i gliny.

Przykry smak tylko wywołał jeszcze większe pragnienie, które i tak go męczyło od wielu dni. Zrozpaczony wybiegł na dwór i rozdarł pojemnik licząc, że w jego wnętrzu znajdzie parę kropli wody. W rozgorączkowaniu uronił sporo cennego płynu na ziemię. Przywarł do niej ustami i zaczął zlizywać każdą kroplę.

Po pół minucie dalej je zlizywał i ciągle pojawiały się nowe.

Dopiero po chwili pojął cały ogrom tego faktu. Zerwał się i patrzył zdumiony na perliste krople wyciskane z gładkiego kamienia. Następna i następna. Przetarł oczy i przyglądał się zafascynowany kroplom roziskrzonym w skośnych promieniach zachodzącego słońca.

Schylił się i koniuszkiem języka pościerał nowe krople. Bardzo długo tak leżał z ustami przywartymi do “marmuru” wysysając drobnutkie cząsteczki wody, które wydzielało mu miasto.

Białe słońce zniknęło za linią wzgórz i jak czarna kotara spadła noc. Zrobiło się chłodno, a potem lodowato zimno. Jenner zadygotał, gdy wiatr przewiał mu podarte ubranie. Ale oderwał się od życiodajnych kropel dopiero wtedy, gdy rozsypał się i zapadł “marmur” w miejscu, gdzie wysączały się na powierzchnię krople wody. Wstał zdumiony i po ciemku obmacał ręką ziemię. Spora przestrzeń się zapadła. “Marmur” oddał całą posiadaną wodę i podczas tego procesu sam rozpadł się. W sumie wytworzył z łyk wody.

Dość przekonujący dowód na to, że miasto chciało go zadowolić. Natomiast drugi nasuwający się wniosek był mniej przyjemny: jeśli miasto musi niszczyć cząstkę siebie, by mu dać łyk wody, to znaczy, że jej zapasy są bardzo ograniczone.

Jenner wbiegł do najbliższego budynku, położył się na kamiennym łożu i czym prędzej się zerwał, gdy owionęła go fala żaru. Przeczekał chwilę, aby Inteligencja mogła zrozumieć, że on potrzebuje innej temperatury, potem znowu się położył. Ten sam żar.

Zaprzestał chwilowo eksperymentować, gdyż był zbyt zmęczony i śpiący, aby się zastanawiać, jaką metodą przekazać miastu swoją wolę i życzenia. Spał tej nocy na posadzce, miał niemiłe sny, że miasto chce go zniszczyć. Budził się wiele razy i myślał: “Za mało wody. Żeby nawet miasto miało dobrą wolą... potem znowu zasypiał, aby po chwili się obudzić nieszczęśliwy, zdenerwowany i zmaltretowany.

Niemniej rano otworzył oczy wypoczęty. Odzyskał trochę dawnego optymizmu - owej żelaznej woli, która przyprowadziła go tutaj przez pięćset mil nieznannej pustyni.

Skierował kroki do najbliższej misy. Tyra razem, gdy usiadł na ławie, musiał czekać co najmniej przez minutę. Wreszcie na dnie pojawił się naparstek wody. Jenner wylizał ją do sucha i z nadzieją w sercu czekał na więcej. Kiedy więcej się nie pojawiło, przyszła mu do głowy ponura myśl, że gdzieś w mieście rozsypał się olbrzymi kawał “marmuru”, aby mu dostarczyć płynu.

Postanowił wreszcie, że skoro jest człowiekiem, któremu dano możliwość poruszania się, musi sam znaleźć nowe źródła wody dla miasta, które ruszać się nie mogło.

Póki ich nie znajdzie, miasto powinno go żywić. A więc przede wszystkim sprawa pokarmu.

Przejrzał kieszenie. Podczas ostatnich dni wędrówki przez pustynię, nim zjadł wszystkie zapasy żywności, nosił resztki po kieszeni zawinięte w papierki i szmatki. Potem wydłubywał nawet rozsypane okruchy. Teraz rozpruł szwy kieszeni i znalazł jakieś odrobiny mięsa i chleba, resztki tłuszczu i inne mniej sprecyzowane substancje.

Ostrożnie pochylił się nad sąsiednią misą i włożył do niej znalezione resztki. Miasto powinno mu dać mniej lub bardziej podobny produkt. Jeśli rozlanie paru kropel wody na dworze uświadomiło mu potrzebę wydzielania wody, to okruchy powinny dostarczyć danych co do chemicznego składu pokarmu, jaki może jeść człowiek.

Jenner czekał, potem podszedł do sąsiedniej ławy i usiadł. Około litra gęstej pieniącej się substancji po jawiło się na dnie misy. Stosunkowo mała ilość wskazywała na to, że być może znajduje się w nim woda, o którą jest tak trudno.

Spróbował "dania". Miało ostry zatechły zapach i smak krochmalu. Ale jego żołądek przyjął to. Jenner jadł wolno, uświadamiając sobie, że znajduje się na łasce miasta. Wcale nie był pewien, czy jeden ze składników pokarmu nie był wolno działającą trucizną.

Kiedy skończył jeść, poszedł do drugiego budynku, gdzie usiadł za jedną misą, obejrzał "zupę", jaką się napełniła, a następnie wypił parę kropel wody, jaka zebrała się na dnie drugiej.

Specjalnie wszedł do budynku z wieżą. Teraz wszedł na spiralną schodnię, która prowadziła na górne rejony. Na chwile zatrzymał się w komnacie pierwszego pietra, gdyż już poprzednio zorientował się, że to jest jakby sypialnia. Były tam trzy kamienne łóża.

Schodnia prowadziła jeszcze wyżej. Najpierw do małej komnaty, której przeznaczenie trudno było odgadnąć, a następnie na sam szczyt wieży górujący nawet nad poszarpanymi szczytami niektórych wzgórz. Po raz pierwszy od czasu pobytu w mieście wdrapał się tak wysoko, poprzednio był zbyt słaby. Teraz rozejrzał się uważnie dokoła. Nadzieje ostatnich godzin rozwiały się.

Widok był przygnębiający. Jak daleko sięgnąć okiem, rozpościerała się pustynia, linie horyzontu zamazywały tumany niesionego wiatrem piasku.

Jenner był zrozpaczony. Jeśli w ogóle istnieje tu gdzieś marsjańskie morze, to w każdym razie zbyt daleko.

Zacisnął pięści w niemym gniewie na swój los, który wydawał się przypieczętowany. Sądził, że w najgorszym wypadku znajduje się w rejonie górzystym. Ogólnie biorąc morza i góry są dwoma głównymi źródłami wody. Powinien był się domyślić, że na Marsie jest bardzo mało gór. Byłby to w istocie zadziwiający zbieg okoliczności, gdyby akurat trafił w wysokie góry.

Wściekłość powoli ustępowała, ponieważ brakowało mu po prostu sił, aby ją podsycać. Zrezygnowany zszedł na dół.

Jego generalny plan pomożenia miastu przez znalezienie ewentualnych źródeł wody spalił na panewce. Mijały dni, ale ile ich mijało, nie miał najmniejszego pojęcia. Przy każdym posiłku otrzymywał mniejszą ilość wody. Za każdym razem powtarzał sobie, że je chyba już po raz ostatni. Nie mógł liczyć na to, że miasto samo siebie zniszczy, żeby mu dalej dostarczać wody.

Było również jasne, że to, co jadł, nie wpływało nań dobrze. Wprowadził miasto w błąd co do swoich potrzeb podając mu jako wzór stare, pomieszane z brudem okruchy. Tylko przedłużył tym swoją agonię. Często po jedzeniu przez wiele godzin czuł zawroty i ból głowy, a całym ciałem wstrząsały dreszcze.

Miasto robiło, co mogło. Reszta była w jego rękach, a on sam nie mógł się przystosować do

nowego pokarmu.

Przez dwa dni był zbyt chory, aby podczołgać się do mis z jedzeniem. Całymi godzinami leżał na ziemi. Podczas drugiej nocy bóle stały się nie do zniesienia. Powziął decyzję.

“Położę się na kamiennym łożu i samo gorąco mnie zabije” pomyślał. “A miasto odzyska trochę swojej wody absorbując wilgoć z mojego ciała”.

Godzinę całą czołgał się do najbliższego łoża, a kiedy wreszcie tam dobrnął, położył się półżywy. Ostatnią jego myślą było: “Drodzy przyjaciele, przybywam.”

Miał halucynacje. Zdawało mu się, że siedzi za sterem rakiety, a dokoła znajdują się jego towarzysze podróży.

Z westchnieniem ulgi Jenner zapadł w głęboki sen.

Obudził go dźwięk skrzypiec. Muzyka była smutna i słodka, mówiła o wzlotach i upadku dawno zaginionej rasy.

Jenner chwilę słuchał, a potem w wielkim podnieceniu zdał sobie sprawę z prawdy. Skrzypce zastąpiły gwizdanie. Miasto przystosowało swoją muzyką do niego!

Inne zmysłowe wrażenia docierały powoli do jego świadomości: łoże było tylko ciepłe, wcale nie gorące. Poza tym był wypoczęty, nie czuł żadnych dolegliwości i zmęczenia.

Energicznie ześliznął się z łoża i z nosem nad ziemią podczołgał do misy z pokarmem opierając się całym ciężarem ciała o płytę. Misa napelniła się parującą substancją o aromatycznym i przyjemnym zapachu. Jenner zanurzył w niej łeb i chciwie chleptał. Zupa miała smak mięsa, była ciepła i sycąca. Koła wargi i gardło. Kiedy wszystko zjadł, po raz pierwszy nie poczuł pragnienia.

“Zwyciężyłem - pomyślał. - Miasto przystosowało się do moich potrzeb”.

Po chwili coś sobie przypomniał i przyczołgał się do “łazienki”. Ostrożnie, wpatrując się uważnie w sufit, wwindował się tyłem na kąpielową ławę. Z góry spłynął na niego żółtawy prysznic, chłodny i orzeźwiający.

Jenner jak w ekstazie machnął długim na cztery stopy ogonem i wystawił długi ryj w kierunku delikatnego strumienia, który zmył resztki jedzenia z ostrych kłów.

Potem wytoczył się na dwór, żeby poleżeć w ciepłym słońcu i słuchać niebiańskiej muzyki.

Tłumaczył Jan Zakrzewski

Nie zgłębiliśmy jeszcze bardzo wielu tajników naszej tak dokładnie na pozór znanej nam Ziemi. Cóż to będzie dopiero, gdy staniemy wobec tajemnic zupełnie obcych nam światów? Choć uważamy siebie za racjonalistów, jesteśmy w gruncie rzeczy wciąż jeszcze pełni przesądów. Lecz właśnie wskutek tego mamy ogromną skłonność do upatrywania przesądów - i niczego więcej - we wszystkim, czego nie rozumiemy. A na innej planecie, zwłaszcza początkowo, nic zapewne nie będziemy rozumieć. Jeśli zaś na dobitkę ludzie znajdą tam istoty niżej od nas stojące w rozwoju, a tym samym słabsze - czy oprą się chęci utworzenia "ziemskiej" kolonii i uczynienia z mieszkańców swoich niewolników? Metody takich cywilizacyjnych zabiegów były wszechstronnie praktykowane na terenach ziemskich. Czy w odległości stu milionów mil ludzie zachowają się lepiej - czy też jeszcze gorzej?

MALCOLM JAMESON - Lilie życia

Probówka z trzaskiem spadła na ziemię. Dobyła się z niej smuga gryzącej pary.

Parks nie zwrócił na to uwagi i chwytając się krawędzi stołu jęknął: - Coś się stało z moim rozkładem jazdy! Ten atak powinien być przyjść dopiero za godzinę...

Nowy paroksyzm dreszczów nie dał mu dalej mówić.

Maxwell nie wstając z miejsca przyjrzał mu się bacznie, a potem spojrzał na zegar. Była dopiero druga. Następny zastrzyk mieli dostać o trzeciej. Tymczasem atak Parksa wzmagał się coraz wyraźniej. Ręce mu drżały i wykręcały się w konwulsyjnych skurczach, i wystąpiły już straszne drgawki, tak charakterystyczne dla zabójczej wenusjańskiej gorączki błotnej. Twarz Parksa nie była już twarzą ludzką, lecz jakąś makabryczną parodią rysów człowieka - dziką, śmiertelną maską o nieprzytomnym spojrzeniu zezujących i obłąkańczo rozszerzonych oczu.

Maxwell westchnął, wstał i odsunął krzesło. Wkrótce go czeka to samo, co teraz dzieje się z Parksem. Bez pośpiechu podszedł do szafki aptecznej i wyjął dwie lśniące strzykawki. Sięgnął do zapasu leków i napełnił obydwie. Parakobryna niewiele pomagała, ale nie znano, jak dotąd, lepszego środka. Położył strzykawki przy "ścianie płaczu" - żelaznej sztabie starannie przymocowanej do grubych słupków - i odszedł do Parksa, który jęczał i zwił się na swoim stołku.

- Chodź, staruszkule powiedział łagodnie.

Niech już to będzie za nami.

Parks dał się zaprowadzić na miejsce, a długa praktyka dokonała reszty. Po chwili Maxwell wprowadził igłę i naciskał tłok, a Parks ścisnął sztabę, jak gdyby chciał ją rozpląszczyć. Maxwell wciągnął głęboko powietrze. Teraz kolej na niego. Zawinął rękaw i sam sobie wtłoczył do żyły bursztynowy płyn.

Przez pięć niekończących się minut trwali obaj, przywarłszy do sztaby, wijąc się i szlochając z bólu, podczas gdy piekielne lekarstwo obiegało ich ciała - jakby zamiast krwi płynęło w nich roztopione żelazo czy też żrący śmiertelnie kwas. A potem wszystko minęło. Morderczy uchwyt rozluźnił skurczone palce, napięcie mięśni znikło, a charczenie stało się na powrót oddechem.

- Nie... przetrzymam... tego... już... więcej - wymamrotał Parks przez zaciśnięte zęby.

- Owszem, przetrzymasz - odparł posępnie Maxwell. - Zawsze tak mówimy... wszyscy to mówią... a jednak robimy zastrzyk. Znasz przecież alternatywę?

- Znam - rzekł tępo Parks. - Bez parakobryny zamiast powrotnych ataków drgawki trwają bez przerwy i kończą się zawsze obłędem. Alternatywą jest sznur, skok z wysokiego pietra albo gwałtowna trucizna.

- Dobrze, więc teraz wracajmy do pracy. Co było w tej probówce?

- Materiał doświadczalny 1104. Zresztą, to wszystko jedno. Zużyłem już cały zapas kory balsamowca. Nie mamy materiału na powtórzenie próby. Chyba że Hoskins przemyci nową partią.

- W takim razie nie mówmy o tym. Chodźmy na salę. Może preparat 1103 dał jakie wyniki.

Parks poszedł za nim w milczeniu odzyskując stopniowo władzę nad sobą. Następnym razem wyprzedzi bieg zegara. Parakobryna nigdy nie będzie przyjemna, ale łatwiej ją wstrzyknąć wtedy, gdy człowiek panuje nad sobą, niż po rozpoczęciu się ataku.

Przeгляд sali zwykle przyniósł rozczarowanie. Małpa w klatce ofiar miotła się ohydnie w ostatnich konwulsjach. Za parę minut będzie już martwa jak nieruchomy stos szczepionych świnek morskich w sąsiednich przegrodach. Ostatnio wypracowana formuła także nie dała wyników. I dwie trzecie ludzkości dalej będą cierpiały, gdyż jak dotąd nie wynaleziono na gorączkę błotną lepszego

środka od parakobryny.

Maxwell zajrzał do dalszych klatek. Mieli jeszcze trochę małp i świnek morskich, więc można było wypróbować parę dodatkowych leków. Człowiek musi być bardzo wytrwały, gdy prowadzi tak istotne badania. Choćby i tysiąc kolejnych niepowodzeń jest bez znaczenia. Trzeba je z góry przewidzieć.

- Myślę - zaczął - że powinniśmy teraz...

- Pójdę otworzyć drzwi - przerwał mu Parks usłyszawszy dyskretne pukanie. - Może to Hoskins.

Tak, to był Hoskins, międzyplanetarny przemytnik. Dźwigał ciężką torbę i uśmiechał się kwaśno.

- Złe wiadomości, panowie - rzekł kładąc sakwę na ziemi. - Nic już więcej z Wenus nie przyjdzie.

Potrojono patrole wokół planety i zaostrożono kontrolę lotnisk. Tony'ego przyłapano i skonfiskowano mu statek razem z kontrabandą dla was. Oczywiście wsadzili go do ciupy, a ładunek spalili. To znaczy, że nie dostaniecie już więcej kory balsamowca ani pluskiew drzewnych, tuangituangi, melonów ani w ogóle nic. Szan Dhi rzucił swoją pracę, więc jestem bez nabywcy. Likwiduję interes. Trudno.

- Nie masz nic dla nas? - zapytał osłupiały Parks. Zaciekle trzymał się swej teorii, że szczepionkę przeciwdrżawkową uzyskać można tylko z jakiegoś organicznego surowca pochodzącego z Wenus, odzie było pierwotne źródło choroby. Tylko tam mogli powstać naturalni wrogowie wirusa. Ostatnio jednak zawleczono z Wenus na Ziemię inne jeszcze choroby i władze musiały zaostriżyć zakaz przywozu. A bez przemytniczych dostaw surowców organicznych Parks i Maxwell mieli ręce całkiem związane.

- Mam tylko to - rzekł Hoskins otwierając torbę. - Wprawdzie co innego, niż wyście zamawiali, ale trafiło mi się i mogę to odstąpić. Pochodzi ze świątyni Tombowów, którą Szan Dhi kiedyś obrabował. Właściwie powinno to iść do muzeum, ale towar jest trefny i w muzeum zanadto się wypytują. Chcielibyście to wziąć?

Zanurzył rękę do torby i wydobył stamtąd figurkę. Był to ciekawy okaz kawowego nefrytu, uważanego przez dzikich Tombowów za święty kamień, i jak na ich wyrób, bardzo starannie wykonany. Figurka przedstawiała jedno ze starych bóstw tombowskich zasiadające na tronie okrągłe i pocieszne, z tłustymi rączkami złożonymi na brzuchu. Z szyi zwisał sznur czegoś, co wyglądało na duże perły. Na głowie bóstwo miało wianuszek bagiennych lilii. Lilie rosły także wokół całego tronu i nefryt, z którego je wyrzeźbiono, pomalowany był na zielono jakimś lakierem. Bładożółte lilie barwione były w podobny sposób.

- Szan Dhi powiada, że to jest tombowski bożek zdrowia i pochodzi z wielkiej świątyni na bagnach Angra, gdzie szczepy Angra odbywają swe orgie.

- Uff! - wzdrygnął się Parks. Ci, co widzieli ów tombowski obrzęd, mówili, że nie jest to widok zachęcający. - Nie, nam to się chyba nie przyda.

- Czy ja wiem? - rzekł z namysłem Maxwell. - Bożek zdrowia, powiadasz? Hm. Przychodzi mi na myśl, że większość Tombowów nie ulega gorączce błotnej, a przynajmniej nie chorowała na nią, póki nie przybyli tam nasi osadnicy. Może należy to zbadać. Ile to ma kosztować?

- Nic - odparł Hoskins. - Byliście bardzo dobrymi klientami. Weźcie to na pamiątkę. Ale tego - sięgnął znów do torby - nie mógłbym oddać za darmo.

Wydobył sporą garść pięknych, opalizujących kulek. Były wielkości pingpongowych piłeczek i wyglądały zupełnie jak bańki mydlane - mieniące się, delikatne i kruche. Ale gdy Maxwell wziął jedną do ręki, okazała się niebywale twarda, choć lekka jak piórko, i zrobiona jakby z nieprawdopodobnie zwartego kryształu.

- Co to jest?

- Chyba jakieś klejnoty - odparł Hoskins. - Pochodzą z tej samej świątyni. Szan Dhi powiada, że otaczały szyje dużego bóstwa właśnie jak naszyjnik, a złączone były ze sobą pęczkami trawy. Ten mały bożek nosi takie same.

Maxwell marszcząc czoło przyglądał się kulkom. Hoskins żądał tysiąca za cały swój zapas. Było to sporo pieniędzy, lecz cóż znaczyły pieniądze dla ludzi skazanych na straszną, powolną śmierć? Kulki musiały mieć jakiś związek z tombowskimi obrzędami zdrowia, a dziki Tombow, chociaż wstrętna bestia, był znany ze swego zdrowia. Tylko ci z Tombowów, którzy przyjęli cywilizację, marnieli i wymierali. Było rzeczą wątpliwą, czy same klejnoty miały jakąś wartość leczniczą, ale pochodziły z świątyni. Stanowiły więc jakiś symbol i prawdopodobnie trop do wykrycia właściwej tajemnicy.

Maxwell otworzył szufladę i wsypał do niej błyszczące kulki.

- Wypisz czek, Parks. Zabawię się w detektywa.

Parks, wciąż jeszcze oszołomiony paroksyzmem choroby, w milczeniu skinął głową. A kiedy Hoskins wyszedł, wyjęli kulki z szuflady i obejrzel w skupieniu. Następnie podzielili się pracą i przystąpili do niej natychmiast.

Zastosowano wszelakie próby, z ujemnym na ogół wynikiem. Osobliwe kulki były kwasoodporne, a twardość miały taka, że w żaden sposób nie dawały się zgnieść. Maxwell wszakże zdołał jedną z nich przepiłować na pół: okazała się pusta, tylko kiedy piła przebiła cienką skorupkę, rozległ się ostry syk uwięzionych w jej wnętrzu gazów, uchodzących na pokój. Parks szybko pochwycił próbkę smrodliwego produktu, wynik zaś analizy zdumiał go niebywale. Gazy organiczne na Wenus miały nadzwyczaj skomplikowaną budowę drobinową.

- Słuchaj! - krzyknął po chwili Maxwell odrywając oko od mikroskopu. - Mam tutaj próbkę opitek. Wcale nie krystaliczne. Maja z całą pewnością komórkową budowę. Kulki stanowczo nie są minerałem, ale też nie są tkanką roślinną czy zwierzęcą - w każdym razie taką, jaką znamy. Po prostu...

- Po prostu wenusjańskie - dokończył Parks z westchnieniem. Wszystko, co żyło na Wenus, zawsze było łamigłówką dla badacza. Nie istniała tam wyraźna granica między florą i fauną, a w niektórych wypadkach i jedna, i druga zazębiały się ze światem minerałów. Rozwój i przemiany tasiemca na Ziemi były niczym proces rozrodczy ameby rozpaczliwie proste w porównaniu z cyklami życiowymi na Wenus. Parks znał pewien gatunek mrówki wodnej - by wskazać tylko jeden przykład - która ulegała zapłodnieniu drogą przywarcia do skóry węgorza, następnie zaś dostawała się na brzeg i tam składała jaja. Z owych jaj wyrastały rozległe kępy mchu. Dziwaczne, bezpióre ptaki żywiły się tym mchem. W przewodzie pokarmowym ptaków rozwijały się w następstwie pasożyty. Po wydaleniu pasożyty zmieniały się w pełzające mrówki, mrówkom wyrastały skrzydła i leciały nad ocean w poszukiwaniu węgorzy. A wszystko to stanowiło typowy dla Wenus, zawity układ symbiozy: mrówki były w jakiś sposób niezbędne dla egzystencji węgorzy, a w swym późniejszym kształcie - ptaków, zarówno jako pokarm jak i enzymy trawienne. Uczeni badając te sprawy gubili się w labiryncie jeszcze bardziej skomplikowanych rozgałęzień.

Maxwell i Parks porozumieli się wzrokiem.

- Tak, to jedno nam pozostało - rzekł Maxwell. - Hoskins już nic nam nie może dostarczyć. Musimy więc tam się udać. Chcę się dowiedzieć, dlaczego dzicy Tombowowie nie chorują na drgawki, dlaczego lilie są dla nich świętością i jaka jest tajemnica kulek. Ruszamy na Wenus.

Przybyli do portu Angra w niewesołym nastroju. Ramiona i uda mieli obrzękłe i obolałe od mnóstwa zapobiegawczych zastrzyków. Co więcej, musieli zrzec się pisemnie większości swych praw obywatelskich. Mimo wszelkich możliwych środków ostrożności przybysze z Ziemi nie mogli

pozostawać na Wenus dłużej niż trzy miesiące bez zarażenia się jedną co najmniej z wielu panujących tu ostrych epidemii. A każda z tych chorób raz na zawsze uniemożliwiała powrót na Ziemię. Całe ryzyko trzeba więc było wziąć na siebie, z góry zwalniając rząd i wszystkie władze od jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Towarzystwo współpasażerów nie dodawało otuchy. Było wśród nich kilku naukowców, podobnie jak Parks i Maxwell biorących udział w rozpaczliwej walce toczącej się od lat. Resztę stanowili misjonarze, którzy udawali się, by zastąpić tych członków misji, których trzymiesięczny okres upływał. W takich samych celach wyjeżdżali inspektorzy z biur kwarantanny i przedstawiciele Syndykatu Pierwiastków Promieniotwórczych, sprawujący nadzór nad kopalniami uranu. Większość uważała swój przydział za dopust boży. Łądowali na sporej polanie wyciętej w gąszczu dżungli. Otaczała ich gęsta, żółta i upalna mgła. Widok na lotnisku był przejmujący: jeden obok drugiego stały tam rzędami palankiny, na których powiewały spleśniałe i wypłowiałe chorągiewki ze znakiem Czerwonego Krzyża. Na noszach spoczywali ludzie, których nowoprzybyli mieli zastąpić, ruiny zdrowych mężczyzn, jakimi byli jeszcze przed kilku tygodniami. Wszyscy mieli świadomość, że dla niejednego przywiezienie do portu jest tylko czczym gestem. Czy i kto z nich otrzyma zezwolenie powrotu na Ziemię, zależało od opinii lekarza.

- Przyjemne miejsce - mruknął ponuro Parks.

- Kiedy drgawki znowu cię chwycą - odparł surowo Maxwell - nie będziesz o tym myślał.

Paroksyzm zaciera różnice.

Przyjrzał się krajowcom stojącym w cierpliwych szeregach obok lektyk. Byli to heloci tutejsi, którzy dźwigali nosze. Stali wymizerowani i drżący, gdyż oni też chorowali, dotkliwiej nawet niż biali. Zastrzyki parakobryny dawano tylko Ziemianom, szcędzono ich natomiast dla krajowców. Pełno ich przecież mieszkano na bagnach i wystarczała obietnica tytoniu - jedyne nietutejszego produktu cenionego przez dzikich - aby na zawołanie zjawilo się ich, ile chcieć. W oczach Maxwella jeden z lektykarzy zaczął się miotać w gwałtownych konwulsjach i z jękiem padł na błotnistą ziemię. Nikt nie zwrócił uwagi. Był to widok codzienny. Jutro, być może, zajmą się nim sprzątacze.

Tombow miał groteskowo człekokształtny wygląd, bardziej groteskowy niż wielkie małpy na Ziemi. Różnica zaznaczała się przede wszystkim w stopach, mających postać ogromnych rozplaszczonych łap. Umożliwiały chodzenie po bagnach, gdyż rozkładały ciężar ciała na dużą przestrzeń, dzięki czemu Tombow mógł j bezpiecznie poruszać się po wątlej skorupie pokrywającej gęste błoto trzęsawisk. Łapy te, jak u kaczki, miały długie, zwężające się ku końcowi palce, zrosnięte błonami.

Zjawił się dowódca portu i wyznaczył lektykarzy dla nowoprzybyłych. Wykrzykiwał rozkazy w chrapliwym języku Tombowów, lektykarze zaś chwyтали za nosze i ruszali rozpryskując błoto.

Mimo złej widoczności droga z portu okazała się bardzo ciekawa. Maxwell doznawał dziwnego uczucia, gdy sześciu drżących niewolników niosło go na ramionach przez nieprzebyte bagniska. Równocześnie zdumiewała go szaleńcza roślinność, otaczająca go zewsząd. Różnorodność nie znanych mu wcale gatunków była nieskończona, a więc i nieskończone pole dla naukowych badań. Z uwagi jednak na niebywale wysoką śmiertelność trudno się było spodziewać, by człowiek kiedykolwiek poznał dokładniej niezwykle formy życia na Wenus. Od czasu do czasu pokazywały się jakieś zwierzęta - jeśli to w ogóle były zwierzęta - tak samo dziwaczne i niesamowite, jak fantastyczne kwitnące liany, dymiące krzewy i drzewa, wydające głuchy, metaliczny, zgrzytliwy dźwięk rozbitego dzwonu.

Przelotne uczucie zadowolenia gwałtownie opuściło Maxwella, gdy karawana wkroczyła na nową polanę i wyminęła niski, z błota lepiony murek. Wznosiła się za nim grupa budynków, a nad

środkowym powiewała wypełzła flaga Z.M. - Zjednoczonych Misji. Tuż obok były zagrody, w których trzymano świeżo przybyłych Tombowów przed "urobieniem" ich na targ niewolników. Nikt z mieszkańców Ziemi pod grozą śmierci nie mógł pracować w tutejszym strasznym klimacie, więc tubylcy stanowili wyłączną siłę roboczą. Oni wydobywali uran, dźwigali ciężary, służyli za środek transportu, budowali domy. A dzicy, pogańscy krajowcy do tego się nie nadawali. Należało ich najpierw oswoić.

Maxwell myślał cynicznie o statystyce nawróceń, tysiącach neofitów wykazywanych corocznie przez zakłady zbawienia. Nie było to właściwie przedsięwzięcie ewangeliczne, ale gospodarcza konieczność. Mieszkańcy Ziemi, bez względu na wyznanie, zgadzali się co do jednego: Tombow w stanie natury był leniwym, rozwiązłym i nieodpowiedzialnym łajdakiem. Dziki krajowiec był skończonym kłamcą i urodzonym złodziejem, gotowym zabijać, gdy tylko coś mu się nie podobało, a czynił to zwykle w sposób okrutny. Nie widział celu pracy, gdyż naturalnej żywności miał wszędzie pod dostatkiem. Był mocny i twardoskóry, więc kary fizycznej wcale nie odczuwał. Obce mu były pojęcia oderwane i nie wytworzył żadnej filozofii. Krótko mówiąc, aby stał się użyteczny, należało go ochrzcić.

Za skrzyżowaniem drogi znikła im z oczu misja i jej przeraźliwy dodatek: targ niewolników. Przed sobą mieli pierwsze rozrzucone szałaszy Angry. Minęli ambulatorium ze "ścianą płaczu" i uwijającymi się białymi ubranymi pracownikami. Wreszcie stanęli przed niskim budynkiem, nad którym wisiał szyld z napisem: Biuro Koordynacji Badań.

Lekarz kierujący był wynędzniałym mężczyzną o ziemistej cerze i zrozpaczonych oczach. Wyraz beznadziei nie zszedł mu z twarzy, gdy Maxwell wypuszczał swoją teorię. A kiedy skończył, lekarz potrząsnął głową.

- Mrzonka - powiedział - marnowanie czasu. Wielu już przypuszczało, że dzikie Tombow jedzą czy też piją coś, co uodparnia ich na gorączkę błotną. Zbadaliśmy najdokładniej wszystkie składniki ich pożywienia, nawet ohydne powietrze bagiennie, którym oddychają. Ale wynik zawsze był negatywny. Nie ma też żadnej wyraźnej różnicy między grupami krwi, naszej i Tombowów, czy w ich witaminowych reakcjach. Sądzymy obecnie, że tajemnica tak zwanej odporności Tombowów polega po prostu na naturalnym doborze. Obecni mieszkańcy bagnisk są potomkami tych, których choroba nie zdołała zabić, i dlatego są bardziej wytrzymali.

- Absurd! - zawołał Maxwell podrażniony negatywizmem lekarza. - Cóż dzieje się z ich wrodzoną wytrzymałością zaraz po nawróceniu? Chrzest nie ma przecież wpływu na antybiotyki. Czy nigdy panu nie przyszło na myśl, że odporność powstaje na skutek zabiegów, jakich dokonują podczas tajemnych obrzędów?

- Na temat religii - rzekł sztywno doktor - nigdy nie dyskutuje. A im mniej mówić będziemy o ohydnych obrzędach dzikusów bagiennych, tym lepiej. Zapewniam pana, że gdyby pan znał Tombowów tak dobrze jak my...

Maxwell zachnął się i wyszedł.

- Chodźmy, Parks. Powtarza się historia "znaku Czarnej Ręki". Kiedy uczonego zaślepiają przesady, nie jest on już uczonym.

W ambulatorium przepytali się o Szan Dhi, dawnego współnika Hoskinsa. Szan Dhi był to nawrócony krajowiec, który po krótkim pobycie przy białych uciekł i wrócił do Tombowów. Zaraz po nawróceniu dostał gorączki, ale na tyle był zmyślny, że nie zwlekając umknął. Jako podwójny odstępcza stał się rodzajem pariasa, tolerowanego, lecz traktowanego nieufnie przez obydwie rasy. Ale jako pośrednik był bardzo użyteczny, będąc jedynym pogańskim Tombowem, który znał obyczaje białych i mówił ich językiem, choć Hoskins uprzedzał, że ów język był bardzo swoisty.

- Szan Dhi? - spytał dyżurny lekarz, zdziwiony, że ludzie poważni pytają o osobnika wysoce podejrzanego. - Z pewnością za kratkami. A jeśli nie, znajdziecie go w okolicy którejś z nor na Skraju, urzędnego zankrą. Tylko radzę wam pójść z eskortą, jeśli go zamierzacie odszukać. Kiedy nawrócony krajowiec nawali, idzie na samo dno.

- Ach, damy sobie radą - rzekł Maxwell. Nastroje antytombowskie spotykało się dość powszechnie. Zamierzał jednak polegać na wskazaniach Hoskinsa.

Spelunka zankrowa nie była pożądanym miejscem. Ciemna, brudna i straszliwie smrodliwa. Wszędzie na brudnych matach leżeli klienci - biali, którzy nie mogli wytrzymać warunków, a nie mogli też wracać na Ziemię ze względu na swój stan. Umarli już dla świata, choćby ich mięśnie drgały czasami w spazmatycznym kurczu. Aby złagodzić oczekiwanie zagłady, wspomagali się zankrą. Albowiem zankra, bezsilna leczniczo, darzyła zapomnieniem dzięki swemu składowi: mieszance alkoholu protomezylowego i szeregu mocnych alkaloidów. Była przy tym tania, gdyż dynie, których sok stanowiła, kosztowały miedziaka za sztukę. Właśnie w chwili, gdy Maxwell i Parks weszli, napoczynano dynię. Przyglądali się, jak tubylec siedzący przy drzwiach wybił w owocu dziurę i wprowadzał cewkę.

- Przychodzimy od pana Hoskinsa - zagadnął go Maxwell. - Gdzie może być teraz Szan Dhi?

Tombow przyjrzał mu się z namysłem. A po chwili wahania odparł:

- Ja Szan Dhi.

Maxwell również starał mu się przyjrzeć. Z zadowoleniem stwierdził, że krajowiec zdawał się cieszyć wspaniałym wprost zdrowiem. Nie znać było wcale owego lekkiego drżenia, jakie pozostaje nawet po zastrzykach parakobryny. A przecież ramiona Szan Dhi świadczyły wymownie, że musiał kiedyś być ofiarą drgawek. Pokrywały je blizny po samoskaleczeniach, niewątpliwy znak nie leczonej choroby. Blizny były stare i w pewnym sensie potwierdzały teorię Maxwella. Człowiek ten najwyraźniej został wyleczony - rzecz uważana za niepodobieństwo. Ale jak? Przez powrót do dawnych praktyk pogańskich?

Szan Dhi nie okazał się łatwy w nawiązywaniu kontaktu. Już to było niedobre, że mówił potwornym żargonem wprowadzonym przez pierwszych misjonarzy i to stanowiło poważną trudność. Ale ponadto był podejrzliwy, uparty i wykrętny. Z pytań Maxwella domyślił się od razu, że uczony wie o obrabowaniu świątyni. A zdawał sobie sprawę, że gdyby kiedykolwiek wykryli to Tombowowie, musiałby umrzeć w straszliwych torturach.

- Nie wiedzieć, co dobre lilia - odparł unikając wzroku Maxwella. - Tombow nie jeść lilia. Nosić. Lilia kwiat nie dobra ludzia Ziemia. Kankilona wychodzi z lilia. Ludzia nie lubi kankilona. Ludzia ksiądz mówić kankilona oh... ohedny potwór. Ludzia ksiądz zabijać kankilona. Kankilona śmierć, Tombow śmierć. Śmierć źle dla Tombow. Lepiej ludzia nie widzieć kankilona.

I na tym koniec. Żadnym sposobem nie podobna było nic więcej wydobyć. A jakiego rodzaju "ohydnym potworem" jest kankilona, można było zgadywać wprost w nieskończoność. Na Wenus mogło to być wszystko - od muchołapki, po ognistego smoka. Jedno było jasne: że między liliami a owym potworem zachodzi jakiś stosunek, że misjonarze bardzo źle nastawieni są do potworów i że te ostatnie mają istotny wpływ na zdrowie krajowców.

Wypytywanie o napełnione gazem, opalizujące kulki przyniosło wyjaśnienia całkiem niezrozumiałe. Znacznie później dopiero nabrały one sensu. Szan Dhi wykręcał się rozpaczliwie od mówienia o tym, gdyż musiał zapewne okłamać Hoskinsa.

- Mała jasna kulka nie drogi kamień - wyznał wreszcie. - Mała jasna kulka na nic. Jeden dzień ładna... sześć, osiem dzień potem... nie ma jasna mała kulka. Poszła. Mała jasna kulka być tatatata kankilona.

- Kłamię - rzekł Parks. - Mamy ich osiemnaście w kasetce laboratorium. Badaliśmy je znacznie dłużej niż tydzień i żadna nie znikła. Powiedziałbym, że są bardzo trwałe.

Szan Dhi nie chciał jednak nic dodać. Maxwell zanotował w pamięci wzmiankę o jakimś związku z tajemniczą kankiloną, ale na razie pominął to milczeniem i przystąpił do właściwego celu rozmowy. Czy Szan Dhi podejmie się im ułatwić obecność na orgii Tombowów?

Szan Dhi zareagował atakiem przerażenia. Świątynie Tombowów zawsze stanowiły surowe tabu dla białych. Stanowiły tabu nawet dla Tombowów, łącznie z kapłanami, z wyjątkiem dni uroczystych obrzędów. Żaden Tombow nie ośmieliłby się zapewne zabić białego, nawet gdyby przyłapał go na profanacji świętego miejsca - wiedzieli bowiem dobrze, jakie to dla nich pociągnęłoby skutki. Natomiast los, jaki z ich ręki spotkałby Szan Dhi, przeszedłby okropnością najstraszniejsze zwidy wyobraźni. Szan Dhi gotów był kraść, przemycać, nawet mordować, jeśli mieli dosyć tytoniu na zapłatę - ale tego nigdy nie uczyni.

- A czy kapłani Tombowów nie lubią tytoniu? - zagadnął Maxwell.

Pytanie okazało się zrećzne. Szan Dhi zawahał się. Łyknął zankry i zaczął rachować na palcach. Wreszcie wyraził zgodę.

- Może będzie zrobić - oświadczył niechętnie. - Może Tombow ksiądz puści Szan Dhi chować ludzia dom boga. Ale ludzia ksiądz nie lubi ludzia w Tombow dom boga. Ludzia nie lubi patrzeć Tombow jeść kankilona. Ludzia chorować. Ludzia tracić głowa. Ludzia zwabić Tombow dom boga. Ludzia w dom boga nie trzeba. Ludzia schować koło dom boga.

Obydwaj badacze święcie obiecali, że obserwować będą z ukrycia. Nikomu nie pisną słowa, a zapłacą wszelką rozsądną cenę. Nie przychodzą wyśmiewać się ani nawracać. Chcą tylko poznać tajemnice zdrowia Tombowów. Szan Dhi wyzbył się obaw. Jego twarz wykrzywiła się nawet w uśmiechu.

- Tombow ksiądz lepszy od biały ksiądz. Tombow chce długie życie tutaj, Tombow nie chce długie życie daleko w niebie. W niebie niedobrze. Za daleko. Tutaj lepiej.

Parks i Maxwell uśmiechnęli się mimo woli. Nieszczęśnik miał przecież sporo racji. Nauka głoszona przez misjonarzy, w dodatku wypaczona, nie mogła stanowić pociechy dla tych istot cierpiących i wprzęganych do ciężkiej pracy. Nic dziwnego, że woleli dbać o swe zdrowie teraz i tutaj, nie troszcząc się zbytnio o swoją przyszłość w niebie. Toteż bez żadnej dalszej dyskusji uczeni przekazali tę ilość tytoniu, jakiej żądał Szan Dhi.

Trzy tygodnie zabrała im wędrówka po grząskich bagnach. Część drogi odbyli prymitywną łodzią, aż wreszcie dotarli na miejsce, gdzie obchodzono święto Długiego Życia. Szan Dhi pokazał im znaki odgradzające tereny obrzędowe. Za trzy dni będą usunięte, ale do tego czasu żaden Tombow nie śmie ich przekraczać. Szan Dhi jednakże ruszył swą łodzią naprzód. Przyjazd ułożony był z góry. Łódź raz po raz mijała trójkątne kępy młodych drzewek, wśród których widniały ostrzegawcze czaszki zdobne w pióropusze. Błotnista laguna zwężała się. Płynęli teraz pomiędzy dwoma zagonami lilii. Szan Dhi wyjaśnił, że takie lilie rosną tylko w nielicznych miejscach i że zrywanie kwiatów na świętym polu karane jest śmiercią.

Maxwell z wielką uwagą obejrzał rośliny, ale nie dostrzegł żadnych istotnych różnic w stosunku do ziemskiej odmiany; tyle że łodygi były tutaj znacznie wyższe i żółte w kolorze. Wtem zdumiał się na widok potwornych włochatych stworzeń pełzających między liliami. Przez dłuższy czas wymykały się jego spojrzeniom, aż wreszcie zobaczył jedno dokładnie. Był to pająk o wyglądzie olbrzymiej tarantuli - potworny kłębek długich jedwabistych włosów pokrywających bulwiaste, pulsujące ciało wielkości piłki nożnej. Stworzenie miało ze dwa tuziny nóg, włochatych i zakończonych szponami. Miało też ohydne, podobne do nożyczek żądła, z których ściekała zielonawa trucizna. Pęk

światlistych oczu rzucił jadowite, czerwone i fiołkowe błyski.

- Kankilona - powiedział Szan Dhi.

Parks zadrzał. Sam widok stworzenia był odrażający. A Szan Dhi wspominał, że Tombowowie je spożywali!

Laguna kończyła się wąską mielizną. Po chwili łódź zaryła dziobem w błotnisty brzeg. Była to wyspa leżąca pośrodku terenów świątyni. Wyszli z łodzi, wciągnęli ją na brzeg i ukryli w zaroślach, po czym objuczeni bagażem udali się w głąb wyspy.

Jej środek zajmowała rozległa polana, otoczona lasem wysokich cyprysów. Pod drzewami kryły się setki małych szałasów. W oddali widniała świątynia - zadziwiająca budowla z szarego kamienia. Zadziwiająca dlatego, że najbliższy ład znajdował się w odległości stu mil. Tylko uparta wiara i poświęcenie mogły przenieść te ciężkie gązdy aż tutaj. W obecnej chwili wielkie drzwi świątyni zamknięte były i zaryglowane. Dokoła roztaczała się pustka.

Szan Dhi zajął się przede wszystkim przygotowaniem kryjówki. Urządził ją w dwuizbowym szałasie, który specjalnie zbudował w znacznej odległości od pozostałych. Jako tolerowany wyrzutek mógł on wziąć udział w obrzędzie, ale musiał trzymać się z dala od reszty wiernych. W danym wypadku okoliczność ta była sprzyjająca: dwaj biali mogli zamieszkać w tylnej izbie szałasów i obserwować całe widowisko przez szczeliny w ścianie, podczas gdy Szan Dhi zasiadał spokojnie na progu, pewien, iż żaden z dzikich Tombowów nie odważy się zbliżyć do nietykalnego. Zdaniem Szan Dhi nie powinni stąd ruszać się aż do kulminacyjnej nocy uczty. Wtedy bowiem wszyscy Tombowowie upijają się do nieprzytomności i będzie można ich podglądać z mroków zalegających sam portal świątyni.

Maxwell i Parks rozłożyli swe ruchomości. Mieli zapas jedzenia i zapas zwitków tytoniu przeznaczonego dla kapłanów. Mieli także swe naukowe przyrządy - słoje, próbówki, chemikalia dla przeprowadzania doświadczeń, a wreszcie aparat spektrograficzny. Najważniejszy jednak był zapas ampulek parakobryny, gdyż Parks czuł się fatalnie i co godzinę musiał dostawać zastrzyk. Ułożyli to wszystko starannie i zabrali się do czekania.

Następny tydzień nie przyniósł nic nowego i przeszedł dość jednostajnie. Zaczęli powoli nadciągać Tombowowie pokryci od stóp do głów błotem trzęsawisk. Razem z nimi przybyły kobiety i dzieci, a wszyscy dźwigali olbrzymie ilości zankrowych dyń. Każda rodzina urządziła się w swoim szałasie, po czym ruszała na zgromadzenie szczepu. Przypominało ono wszystkie podobne zebrania dzikich w każdym punkcie układu słonecznego. Towarzyszyło mu jednostajne bicie w tam-tamy, dzikie, rozpasane tańce oraz pochłanianie olbrzymich ilości jedzenia i napojów. Tu i ówdzie rozgrywały się sceny przeraźliwego pijaństwa, ale w zasadzie, aż do początku piątego dnia, zebranie miało charakter towarzyski. Dopiero w piątym dniu zjawili się kapłani.

Z tą chwilą wszystko zmieniło się bardzo wyraźnie. Nawet największe zuchy nie leżały już teraz w pijackim odrętwieniu aż do zachodu słońca. Zagnano wszystkich do pracy. Kobiety także zagnano do pracy.

Tombowowie wyruszyli na bagna chwiejąc się na swych rozplaszczonych, płetwiastych nogach. Mężczyźni nieśli dziwaczne siatki plecione z cienkich lian. Chłopcy sunęli za nimi dźwigając obszerne klatki z wikliny. Kobiety zajęte były zbieraniem lilii. Systematycznie ogołacały rośliny, zrywając kwiaty i liście tak, że zostawiały jakby wysokie ściernisko grubych łodyg. Dopiero po zapadnięciu wieczoru, kiedy wrócili mężczyźni, Maxwell dowiedział się, jaki był cel ich wyprawy. W triumfalnym pochodzie przynosili ze sobą setki schwytych kankilon, przy czym złowione pająki ohydym wyciem protestowały przeciw swojej niewoli. Kapłani rozwarli podwoje świątyni, odebrali pająki i zamknęli na nowo drzwi.

Trwało to jeszcze przez całe trzy dni. A w miarę jak Tombowowie coraz bardziej огоłacali bagna z roślinności i pełzających poczwier, Maxwell dokonał zadziwiającego odkrycia. Na kilka minut jednego z tych dni pokazało się słońce - rzecz niesłychanie rzadka na wiecznie zachmurzonej Wenus - a wówczas nastąpił jak gdyby cud. Całe bagno rozbłysło niezliczonym mnóstwem kolorowych ogników. Wszędzie, grubą warstwą, leżały kulki, te same, które nabyli od Hoskinsa jako klejnoty. Było ich tyle, co zeschniętych liści w jesieni. Po chwili jednak chmury znów nadciągnęły i blaski zagasły.

- Co o tym sądzisz? - spytał Parks patrzący w niemym podziwieniu. - Czyżby to były nasiona lili?

- Chyba nie - odparł Maxwell. - Są za lekkie i zwiewne. Nasiona musza zanurzyć się w glebie, aby kiełkować. A te kulki nie zanurzają się nawet w wodzie. Wreszcie nadszedł ostatni dzień uroczystości. Mężczyźni i kobiety przybrali się odświętnie w ozdoby z lili. Mieli na sobie wieńce i naszyjniki, girlandy, naramienniki i różnorodne przybrania głowy. A zankrę pili w nieprawdopodobnych ilościach. Przez całe popołudnie odbywały się dzikie tańce, o zmroku zaś pijacki chór przemienił się w potworne obłąkańcze wycie. Wówczas drzwi świątyni rozwarły się na oścież i wewnątrz zapalono pochodnie.

- Prędko już zobaczyć uczta kankilona - odezwał się Szan Dhi. Wyglądał tak, jakby go trapiły wyrzuty sumienia. - Nie trzeba Tombow księdza widzieć, jak ludźmi patrzeć - dodał ostrzegawczo. Maxwell i Parks ponowili swą obietnicę.

Była już blisko północ, gdy uznali, że uczestnicy obrzędów tak już są pijani, iż na nic nie zważają. Maxwell i Parks opuścili więc ształas i ruszyli na przełaj przez polanę, bacznie wystrzegając się, by nie wpaść na któregoś z licznych Tombowów leżących już nieprzytomnie. Zatrzymali się u podwoi świątyni i zajrzeli do środka. Orgia doszła do szczytu. Mogli widzieć teraz cały przebieg uczty. Dwóch akolitów podawało wijącą się kankilonę, pozbawioną nóg. Arcykapłan brał od nich pająka i dwoma szybkimi ruchami pozbawiał go żądeł. Śluzowate żądła ciskał do kosza umieszczonego u stóp głównego bóstwa, tułów zaś rzucał w ryczący tłum wiernych. Przez krótką chwilę toczyła się walka, zakończona pomrukiem rozczarowania, po czym wszyscy z zazdrością patrzyli, jak wybrańcy losu zatapiaли zęby w miękkim jadowym woreczku okaleczającej bestii.

Parks chwycił Maxwella za ramię.

- M... muszę wracać do ształasu - wyjąkał.

- Co ci jest? - zapytał ostro Maxwell. - Nie możesz na to patrzeć? Nie jesteśmy przecież ckliwymi misjonarzami.

- Nie o to chodzi. Zapomniałem wziąć zastrzyk. Czuję już drgawki. Ale ty zostań. Wrócę za minutę.

Maxwell pozwolił mu odejść. Zastrzyk robiony w porę był zabiegiem właściwie łatwym, a nie chciał opuścić żadnego szczegółu z obrzędu, jaki się przed nim rozgrywał. Obserwował przez chwilę, jak Parks znika w ciemności, po czym znowu skierował wzrok na niezwykle widowisko.

Nie dokończył ruchu. Zadziwiająco potężne ramię chwyciło go w objęcia, a mocny cios muskularnego kolana podciął nogi i obalił na ziemię. Po szerokiej i płaskiej stopie poznał, że napastnikiem był Tombow. Tuż przy uchu rozległ się jakiś szyderyczy głos, głos znany Maxwellowi: Szan Dhi pijany aż do obłędu. Cuchnął zankrą.

- Ludźmi chce długą życia, he? - zakpił. - Dobra, dobra. Ludźmi mieć długą życia. Ludźmi wziąć kankilona sok.

Maxwell czuł, że rozszalały Tombow z potworną siłą przechyla go w tył, wybuchając raz po raz opętaniczym śmiechem. Na twarzy poczuł wstrętne dotknięcie czegoś ośliźłego i włochatego. Nie mógł złapać tchu. Wyrwał się rozpaczliwie i usiłował krzyknąć. Na to tylko czekał Szan Dhi. Cienka powłoka jadowego woreczka kankilony pękła w zetknięciu z zębami uczonego. Poczował w ustach

wytrysk ohydnie mdlącego, oleistego płynu. Piekący smak oparzył podniebienie i język. Maxwell czuł się doszczętnie splugawiony i pohańbiony. Chciał umrzeć, chciał umrzeć zaraz. Lecz wtedy właśnie stało się coś dziwnego.

Obrzydzenie i mdłości ustąpiły nagle, jakby ich nigdy nie było. Zamiast tego doznawał jakiejś niebiańskiej radości, zachwycenia przekraczającego wszystko, co tylko sobie mógł wyobrazić. Nie był już chorym człowiekiem i wiedział, że nigdy chorować nie będzie. Był silny, mógł się mierzyć z najsilniejszym atletą. Życie wydało mu się wspaniałe. Musiał to jakoś wyrazić. Maxwell wydał z siebie krzyk, który odbił się głośnie echem o najdalsze krańce polany. Wtem wszystko zaczęło wściekle wirować wokół niego. Powódź światła zapalała się nagle i gasła. Równocześnie wycie w świątyni zaczęło cichnąć, aż zamarło w oddali. Co było później, Maxwell nie pamiętał.

Zbudził się, kiedy szarzało. Przypuszczał, że jest to świt następnego dnia. Leżał twarzą do ziemi w gnojowisku przed drzwiami świątyni. Przez chwilę trwał nieruchomo czekając na nieuchronny atak dzikiego bólu głowy. Po tak ostrym zatruciu - jak przez mgłę pamiętał szczegóły - musiał przyjść ból głowy, i to potworny ból. A jednak nie przyszedł. Nie było także wstrętnego smaku w ustach. Maxwell musiał przyznać, że czuł się wspaniale, co, zważywszy okoliczności, było nader upokarzające. Zastanawiał się, czy jest przy zdrowych zmysłach. Niepewnie spróbował się podnieść oczekując, że zaraz chwycą go torsje. Nic podobnego! Był zdrow jak rydz. Nie troszcząc się już o nic, skoczył teraz na równe nogi, zaraz jednak tego pożałował. Wyrzwał głową o coś, czego dotąd nie widział, a co spadło z trzaskiem. Spojrzał i zdrtwiał: przed nim leżały trzy długie drewniane drążki związane lianą i zakończone pękiem kolorowych piór. Spośród piór szczyrzyła do niego zęby trupia czaszka. Widać w ciągu nocy ktoś ustawił nad nim ten złowieszczy symbol: ostrzeżenie, że człowiek leżący jest tabu.

Maxwell przyjrzał się teraz świątyni. Była zamknięta na głucho, drzwi skrzętnie zaryglowane. Polana również opustoszała. W szałasach ani żywego ducha. Obrzęd się zakończył, uczestnicy odeszli i wszystko teraz było ponownie tabu. Zegarek Maxwella wskazywał czwartą po południu. Spał więc wiele godzin.

Nagle z drżeniem serca przypomniał sobie Parksa. Parks przecież powiedział, że wróci. Gdzież jest teraz? Czy Szan Dhi napadł i jego? Rozejrzał się wkoło, lecz nie znalazł śladu przyjaciela. Wielkimi krokami popędził przez polanę.

Przed szałasem stanął jak wryty. U wejścia wznosił się taki sam znak tabu. Dokoła było ich więcej. Z wysokiej żerdzi szczyrzyła zęby świeżo odcięta głowa Tombowa, a na ziemi widniały porozrzucone, odarte dopiero co z mięsa kości. Głowa była głową Szan Dhi. Musiał widać naruszyć jakiś surowy zakaz i śmiercią okupił swój czyn. Zapowiedź była złowieszcza. Maxwell drżał na samą myśl o tym, co znajdzie w szałasie.

Wnętrze szałasu przedstawiało okropny widok. Podłogę w obu izbach zaścielały szczątki porozbijanych gruntownie przedmiotów. Większość naukowego sprzętu była zniszczona, żywność pomieszana z chemikaliami. Cały zapas tytoniu znikł bez śladu, ale co gorsza cały zapas parakobryny został zniszczony. Świadczyły o tym potłuczone ampułki i rozbite strzykawki. Rabusie, na wzór hitlerowców, niszczyli wszystko, co nie przedstawiało dla nich wartości.

W tej chwili wszakże jedna tylko myśl zaprzętała Maxwella: za wszelką cenę musiał znaleźć Parksa. Znalazł go wreszcie, przywalonego stosem podartych ubrań. Maxwell ukląkł przy nim i obejrzał, pełen wyrzutów sumienia. Czuł się jak morderca, gdyż Parks nigdy nie zdradzał wielkiego zapału dla tej dość szalonej wyprawy. To Maxwell uparł się, aby zbadać trop. Twarz Parksa miała napięte rysy, śmiertelna bladość pokrywała policzki, a słabe drgawki świadczyły wymownie o strasznym wyczerpaniu, wywołanym przez całą dobę nieprzerwanych konwulsji. Musiał się spóźnić z

zastrzykiem i upaść, zanim go sobie zrobił. Maxwell powinien był to przewidzieć i wrócić z nim razem ze świątyni. Teraz było za późno. Nie mieli już wcale parakobryny. Parks musi umrzeć przed upływem nocy.

Maxwella ogarnęła rozpacz. Mijały beznadziejnie minuty. Wtem naszło go wielkie olśnienie. Przecież on sam przepuścił co najmniej dwa zastrzyki, a czuje się świetnie! Z niedowierzaniem wyciągnął ramię. Ani śladu jakiegokolwiek drżenia! A więc?... W następnej chwili Maxwell przeszukiwał już gorączkowo opuszczone szałas. Jeszcze parę minut, a zmierzch przejdzie w mrok, więc nie mógł tracić czasu. W trzecim szałasie znalazł siatkę na kankilony. W następnym uszkodzoną klatkę, którą pośpiesznie naprawił. Po czym wyruszył na skraj bagniska.

Szybko przekonał się, że chwytanie sprytnych kankilon wymagało wspólnego działania kilku ludzi. Pierwsze trzy z łatwością mu się wymknęły. Czwarta zaczęła kołować i broniła się z wielką zręcznością. Maxwell powziął na chybił trafił decyzję. Nie wiedział, czy jad kankilony traci swą siłę w zabitym pająku. Ale wiedział, że musi mieć porcję jadu, choćby nawet słabego, byle zaraz. Przebił potwora nożem i wyczekał, aż będzie martwy. Nie miał z sobą żadnego naczynia, więc oderwał część rękawa z własnej koszuli i nasycił sączącą się trucizną. Z tym pobiegł do Parksa.

- Otwórz usta, staruszkule - powiedział, lecz Parks nie reagował. Maxwell rozwarł mu szczęki i przytrzymał tamponem. Następnie, kropla po kropli, wycisnął ze szmaty cuchnący olejek. Parks skręcał się i próbował uchylić głowę, ale był za słaby. Gdy miał już cały płyn w ustach, Maxwell zacisnął mu szczęki i zmusił do przełknięcia. A potem zaczął czekać.

Działanie było zbawiennie szybkie. W ciągu paru sekund oddech Parksa, prawie niedostrzegalny, pogłębił się, zanikłe tętno wróciło. Stopniowo rozkurczyły się sztywne mięśnie szyi, twarz wygładziła się, a na policzki wróciło zaróżowienie. Niebawem Parks usnął pokrzepiającym snem. Wtedy Maxwell zbadał go dokładnie, od stóp do głów. Nie było wcale drgawek. Ani śladu. Maxwell odetchnął z ulgą i zapalił pochodnie. Musiał zająć się teraz odzyskaniem choć odrobiny żywności.

Nowoodkryty środek okazał się prawdziwie cudowny, mimo to Parks bardzo powoli wracał do zdrowia. Może dlatego, że choroba bardzo już wyczerpała jego organizm, a może przez to, że jad nie był zupełnie świeży. Zupełne wyzdrowienie było więc raczej sprawą tygodni niż godzin czy dni; ale przez ten czas Maxwell miał sposobność do wielu spostrzeżeń.

Obserwował uważnie bagnisko. Chciał przekonać się, jaki los spotyka krystaliczne kulki, o których Szan Dhi mówił, że z czasem znikają. Włożył buty bagienne, zebrał trochę kulek i umieścił w szałasie. Jednocześnie zaś badał, co się dzieje na skraju wyspy.

Przez blisko tydzień nic się nie działo. Wreszcie Maxwell odkrył coś pewnej nocy. Przypadek tylko sprawił, że nie mógł zasnąć i wyszedł na polanę chcąc zaczerpnąć powietrza. Ujrzał wówczas iskrzące się fioletowe światło, które ogarniało cały obszar bagnisk. Wyglądało to, jakby błotną płaszczyznę zalegała dymiąca warstwa antracytu rozświetlona mnóstwem bladych, sinych ogników. Maxwell wrócił pośpiesznie do szałasu, wziął pochodnie, włożył buty bagienne i przystąpił do badań.

Odkrył całe mnóstwo pełzających ślimaków, z wyglądu nieco podobnych do dziwnego, australijskiego dziobaka. Niektóre z nich hałaśliwie pożerały łodygi lilii, większość jednak leżała wpatrując się, jak w oczarowaniu, w krystaliczne kulki. Iluminację tworzyło światło ich fiołkowych oczu, co nie zdziwiło zbytnio Maxwella: większość fauny na Wenus miała świecące oczy. W osłupienie natomiast wprowadził go widok tego, co pod wpływem światła działo się z błyszczącymi kulkami. Kurczyły się niemal w oczach. Mały najpierw do rozmiaru paciorków, twardych i stosunkowo ciężkich. W końcu zniknęły zupełnie. Tylko bańki powietrza znaczyły miejsce, gdzie kulki zapadały w błoto. Maxwell zebrał całą garść paciorków tuż przed ich zniknięciem.

Nazajutrz przeciął jedną z perełek i zbadał. Było to niewątpliwie nasionko, być może nasionko lili. Jeszcze jeden ciekawy przykład okrężnych dróg, jakimi chodzi natura. W początkowej fazie nasionko było najwidoczniej jałowe, a jednocześnie miało kształt i wagę, które pozwalały mu utrzymywać się na powierzchni błota. Później zaś, może wskutek impulsu symbiotycznego, przyciągało ślimaki. Fioletowe promienie, płynące z oczu ślimaków, w jakiś sposób zapładniały nasionko. Wtedy samo się zasadzało, dzięki zmienionej ciężkości.

Wychodząc z tych założeń, Maxwell postanowił sprawdzić swoją teorię. Wyruszył nocą na bagna zaopatrzywszy się w dodatkowy sprzęt. Niósł pęk suchych żerdeń i aparat spektrograficzny. Ustalił dokładnie skład fioletowego światła oraz czas naświetlania nasion. Następnie oznaczył miejsca zanurzenia nasion wtykając tam żerdki. Jeśli wyrosną tu lilie, w takim razie kulki były ich nasionami.

Nazajutrz przekształcił swój aparat w projektor. Odtwarzając dokładnie światło ślimaków, zaczął nim naświetlać krystaliczne kulki zebrane przed tygodniem. Skurczyły się w nasiona. Miał teraz jeden przynajmniej pozytywny dowód. Zasadził swoje kulki i oznaczył miejsce.

Stopniowo Parks wracał do zdrowia. Przez szereg dni Maxwell urządzał wyprawy na połów pajaków, ale z każdym dniem było ich mniej. Wreszcie znikły zupełnie. Data obrzędowych uroczystości została widać obrana celowo tak, by przypadała w okresie najliczniejszego ich występowania. Kiedy wylegną się znowu i w jaki sposób? Rozmyślając nad tym Maxwell przystąpił do badań nad szczątkami kadłubów zrzuconymi na kupę w pobliżu szałasów. Miał nadzieję, że dowie się czegoś o sposobie rozmnażania się kankilony. Oglądał szczątki, jedno po drugim, ale bez wyniku. Wreszcie znalazł coś, co nim zupełnie wstrząsnęło. Było to najwyraźniej jajko. Lecz jajko kankilony okazało się jednocześnie znaną mu już krystaliczną kulką. Miał teraz w ręku jedno więcej ogniwo cyklu rozwojowego. Czekał więc na dalsze.

Musiał zresztą czekać dla innego jeszcze powodu. Parks poprawiał się, ale nie ulegało kwestii, że jeszcze przez jakiś czas nie będzie mógł podróżować o własnej sile. A nie mieli już do pomocy Szan Dni. Maxwellowi przyszło na myśl pytanie, czy gniewni kapłani pozostawili ich łódkę. Postanowił zaraz to zbadać. Znalazł łódź w tym samym miejscu, gdzie ją ukryli. Maxwell zepchnął ją na wodę. Popłynął w dół laguny. Ale gdy dotarł do linii trójkątnych znaków tabu, odgradzających rezerwat lili, szybko zawrócił. Zaraz poniżej spostrzegł obozowisko podejrzanie wyglądających Tombowów. Było to kłopotliwe odkrycie.

Po chwili jednak nieco się uspokoił. Jeden z Tombowów spostrzegł go również i obaj patrzyli na siebie przez dłuższy czas w milczeniu. Do pierwszego przyłączyli się inni Tombowowie. Jednakże zachowanie ich wszystkich było zupełnie spokojne, żadnym okrzykiem czy gestem nie przejawili wrogich zamiarów, a kiedy Maxwell zawrócił i skierował łódź w stronę świątynnej wyspy, dzicy obojętnie wrócili do swego obozu.

Przyczynę urządzenia obozowiska odgadł Parks. W tym czasie mógł już rozmawiać i z wielkim zaciekawieniem wysłuchiwał sprawozdania Maxwella.

- Cała historia z kankiloną jest jedną z największych tajemnic Tombowów. Poznali już oni egoizm białych oraz bezwzględny i rabunkowy sposób eksploatacji. Nie chcą nas zabijać - gdyby chcieli, uczyniliby to od razu po zakończeniu obrzędu. Ale też nie chcą pozwolić nam wrócić do Angry choćby z jednym żywym pajakiem czy jajkiem lub innym z ich sekretów. Możemy stąd wyjść żywi, ale z gołymi rękami.

- Rozumiem - rzekł Maxwell pośpiesznie. - Wiedzą tak samo jak my, że gdyby nasza rasa dowiedziała się o pajęczym jadzie, tłumy ludzi zwałyby się na bagna i po jednym wylegu nie zostałoby śladu z kankilon. Pajaków jest na to po prostu za mało. Spotkałby je los bizona i innych wygasłych gatunków. Ale w takim razie obracamy się w biednym kole.

- Słusznie - zgodził się Parks. - Wobec tego powinniśmy oczywiście dokonać analizy trucizny i zbadać dokładnie, jej czynne składniki. Ale nasze przyrządy zostały zniszczone. więc jeśli nie zdołamy zabrać ze sobą choć jednego okazu, cała nasza wyprawa idzie na marne.

- Zobaczymy - rzekł Maxwell.

Przez ten czas w miejscu zanurzenia się kulek wykiełkowały lilie. Jeszcze trochę, a wyrosną w dojrzałe rośliny. Wtedy będzie pora na nowy rytualny obrzęd. Parks i Maxwell chcieli wydostać się przedtem. A musieli to nawet uczynić dla nader istotnej przyczyny. Gdyby nie wrócili do Angry dość wcześnie, ich pobyt przekroczyłby termin sześciomiesięczny. A wtedy nic już nie zdoła przekonać tępych urzędników kwarantannowych, że organizmy obu członków nie roją się od wszelkiego rodzaju wenusjańskich wirusów.

Rozkwitły już pierwsze lilie, gdy weszli do łodzi udając się w drogę powrotną. Maxwell zahaczył wiosłem pęk roślin i zerwał jeden z kwiatów. Pączek wyglądał dziwnie, brak mu było zarówno pręcików jak i słupka. Roślina była bezpłciowa. Ale na jednym z płatków uczony dostrzegł jakby spore obrzmienie. Przeciął je i wydobyl z wnętrza niedużą narośl. Przeciął i to. Z wnętrza wypadło całe rojowisko drobnych czarnych stworzeń, jak mrówki z rozgrzebanego mrowiska. Malutkie kankilony!

- Teraz już wiemy wszystko - rzekł Maxwell wrzucając lilię do wody. - Pajaki wylęgają się w lili, potem składają jaja, zjawia się wtedy ślimak i jaja zmieniają się w nasiona lili. W ten sposób zamyka się cykl.

- A ponieważ - uzupełnił Parks - kankilony są źródłem zdrowia, więc kiedy zniosą już jaja, Tombowowie chwytają je i zjadają. Tak zwane klejnoty świątyni są po prostu, jak sędzę, rezerwą nasion na wypadek suszy.

- Susza na Wenus? - roześmiał się Maxwell. - Zwariowałaś! - Ale zrozumiał dobrze, co Parks miał na myśli.

Na skraju rezerwatu lili zatrzymał ich posterunek Tombowów. Byli milczący, bardzo poważni, nie stosowali przemocy, ale zbadali wszystko starannie. Gruntownie przeszukali łódź, lecz nie znaleźli żadnej kontrabandy. Milkliwy dowódca tombowski wskazał im ogólny kierunek do Angry. Maxwell zanurzył wiosło i łódź ruszyła naprzód.

- Szkoda - odezwał się z żalem Parks. - Ale my przynajmniej jesteśmy wyleczeni. Za następną wyprawą może nam się lepiej poszczęści.

- Nie jesteśmy wcale wyleczeni - odparł z powagą Maxwell. - Choroba została w nas tylko zatrzymana. Jak wiesz, Tombowowie przeprowadzają swój zabieg dwa razy do roku. Ale poszczęściło się nam lepiej, niż przypuszczasz. A dowód jest tutaj.

Wskazał notes, w którym opisał dokładnie widmo świetlnego wzroku ślimaka.

- W naszym laboratorium - rzekł - mamy cały zapas jaj kankilony i wiemy, jak je zaktywizować. Możemy urządzić odpowiednio wilgotną cieplarnię i zacząć od niewielkiej partii. Później przystąpimy do pracy na większą skalę. Nie wszyscy muszą wiedzieć że zażywają roztwór jadu kankilony. Nazwę go może Antydrągawit, czy jakoś w tym rodzaju.

- Ach, to już wszystko jedno - odparł rozpogodzony Parks. - Myślę, że dorzecze Kongo w tym wypadku nie będzie wcale złe.

- Nic nigdy nie jest tak złe, jakby się mogło wydawać - rzekł Maxwell.

W miesiąc później powtórzył to samo zdanie, ale w innym znaczeniu. Siedzieli na pokładzie statku powracającego na Ziemię i należeli do tych nielicznych, którym zdrowie pozwalało korzystać z palarni. Tuż koło nich zwałił się na fotel jakiś misjonarz i z miejsca zasypał ich zwierzeniami.

- Ach, jak to dobrze móc z pomocą boską wrócić do domu - rzekł sapiąc z zadowolenia. -

Prawdziwy krzyż pański miałem z tymi ohydnyimi Tombowami. Uff! Stado dzikich bestii, pogrążonych w najpotworniejszych przesadach i uprawiających najbardziej wstrętne obrzędy. Nasze ludy pierwotne miały też różne straszne zwyczaje, ale w kulturze Tombowów nie ma ani jednej dodatniej cechy.

- O - rzekł Maxwell mrużąc jedno oko i uśmiechając się z lekka. - Tego bym nie powiedział.

Tłumaczył Julian Stawiński

To wstępnych, zwiadowczych wyprawach - przyjdzie wreszcie epoka stałych międzyplanetarnych stosunków. Jeśli ci inni choć trochę okażą się do nas podobni, Wszechświat będzie widownią i wojen, i różnych form współpracy: dobrowolnej i narzuconej, obustronnie korzystnej lub wygodnej tylko dla jednych. Jaką postawę przybierze wtedy człowiek? W ramach słonecznego czyli solarnego układu (mówiąc międzynarodowym, choć jeszcze nie międzyplanetarnym językiem) będzie prawdopodobnie najpotężniejszą istotą - bo legenda o niesłuchanie wysokiej cywilizacji Marsa upadła, jak się zdaje, już bezpowrotnie. Czy jednak człowiek się zmieni, czy dorośnie, kulturą i bezinteresownością, do swojej nowej roli? Czy też zachowa się po dawnemu i płaszczyć się będzie przed silniejszymi, a słabszym zechce narzucać swój własny styl życia? Jeśli tak, to w różnych postaciach "międzyplanetarnej pomocy" odnajdziemy echo rzeczy dobrze nam znanych. A wizja "pomocnej dłoni" z trzydziestego, czy któregoś tam wieku będzie dla nas, w połowie wieku dwudziestego, i śmiesznie znajoma, i zarazem pouczająca.

POUL ANDERSON - Pomocna dłoń

Rozległ się melodyjny dźwięk dzwonu, następnie bezbarwny głos szefa robotokuła dyplomatycznego:

- Jego Ekszelencja Valka Vahino, Poseł Nadzwyczajny i Pełnomocny Ligi Planetarnej Cundaloo do Zjednoczonych Republik Solarnych!

Przedstawiciele Ziemi wstali uprzejmie przy wejściu posła. Mimo kłopotliwych warunków ziemskich, dużej grawitacji i suchego, chłodnego powietrza, ruszał się on z wrodzoną gracją swego gatunku, budząc u ludzi podziw dla naprawdę wybitnej urody tej rasy.

Urody niezmiernie ludzkiej, gdyż i fizycznie, i umysłowo mieszkańcy Cundaloo mieli wszystkie cechy człowieka. A drobne różnice tylko dodawały wdzięku. Tworzyły romantyzm pewnej egzotyki, przy równoczesnym poczuciu, że właściwie nie są to jednak obcy.

Ralph Dalton przyjrzał się dokładnie ambasadorowi. Valka Vahino stanowił uosobienie swego ludu: humanoidalny ssak, dwunogi, o bardzo męskiej twarzy, delikatnie rzeźbionych rysach, wysokich kościach policzkowych i ciemnych oczach. Szczuplejszy i niższy wzrostem od Ziemian, ruchy miał zwinne, szybkie, bezszelestne. Długie, błyszczące, szafirowe włosy opadały na smukłe ramiona, odsłaniając wysokie czoło i tworząc miły dla oka kontrast na tle ciemnozłotej cery. Na sobie miał starożytny uroczysty strój Laujów z Cundaloo - lśniąca, srebrzysta tunika, szkarłatny płaszcz, pokryty - niby rojem gwiazd - metalicznym, iskrzącym się haftem, i miękkie, pozłociste skórnie. W wątlej dłoni, o sześciu palcach, trzymał bogato rzeźbiony znak swej godności, który służył mu jednocześnie za listy uwierzytelniające. Skłonił się ruchem pełnym szacunku, lecz bez wszelkiej czołobitności, i przemówił bardzo płynną ziemszczyzną z nieznacznym tylko, śpiewnym, przeciągłym akcentem ojczystego języka.

- Pokój waszym domom! Wielki Dom Cundaloo śle pozdrowienia i wiele najprzyjaźniejszych życzeń braciom Republik Słońca. Zapewnienie przyjaźni składa niegodny rzecznik Wielkiego Domu, Valka Vahino.

Na twarzach niektórych ludzi odbiło się lekkie zakłopotanie. Dalton pomyślał, że słowa Cundalończyka brzmią nieco dziwnie w przekładzie. Niemniej jednak był to jeden z najdźwięczniejszych języków Galaktyki. Toteż odpowiedział z tą samą uroczystą powagą:

- Witam i pozdrawiam. Zjednoczone Republiki Solarne wyrażają najgłębszą przyjaźń wysłannikowi Ligi Planetarnej Cundaloo. Premier Zjednoczonych Republik, Ralph Dalton, mówi w imieniu ludów Systemu Solarnego.

Następnie przedstawił zebranych: ministrów, doradców technicznych, przedstawicieli sztabów. Zgromadzenie było imponujące. Zebrała się tu cała śmietanka władzy i wpływów Systemu Solarnego.

- Przystępujemy do wstępnej konferencji - ciągnął Dalton - na temat propozycji gospodarczych złożonych ostatnio waszemu rząd... Wielkiemu Domowi Cundaloo. Konferencja nie będzie ściśle urzędowa. Lecz nadajemy ją w telewizji i Zgromadzenie Solarne poweźmie decyzję na podstawie całości naszych rozmów.

- Rozumiem. To bardzo dobra myśl - odparł Vahino. Wyczekał, aż wszyscy siedli, po czym sam zajął miejsce.

Zapadło milczenie. Wzrok wszystkich kierował się na zegar. Vahino przybył dokładnie w oznaczonej porze, natomiast Skorrogaii ze Skontaru spóźnił się. "Brak taktu" - pomyślał Dalton. Ale Skontarianie znani byli ze swoich złych manier. Inaczej niż Cundalończycy, których delikatność była

przysłowiowa, a wcale przy tym nie oznaczała słabości.

Zaczęła się, zwykła w takich okolicznościach, rozmowa o niczym. Jak się okazało, Vahino bywał już nieraz w Systemie Solarnym, zwłaszcza ostatnio. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy zacieśniające się coraz bardziej związki gospodarcze. Na wyższych uczelniach ziemskich kształciło się wielu studentów cundalońskich, a przed wojną rozwinął się spory ruch turystyczny z Ziemi na Avaiki. I niebawem będzie chyba wznowiony, zwłaszcza jeśli się odbuduje zniszczone tereny i...

- O, tak - uśmiechnął się Vahino. - Każdy anamai, cała młodzież na Cundalooa marzy o wyjeździe na Ziemię, choćby na krótki pobyt. Bez przesady można powiedzieć, że mamy bezgraniczny wprost zachwyty dla was i waszych osiągnięć.

- Zachwyty ten jest wzajemny - rzekł Balton. - Wasza kultura, wasza literatura, sztuka i muzyka, cieszą się wielkim uznaniem w całym Systemie Słonecznym. Mnóstwo ludzi - nie tylko naukowców - uczy się luajskiego, aby móc czytać Dvanagoa-Epai w oryginale. Śpiewacy cundalońscy, estradowi i kabaretowi, mają ogromne wzięcie. Wasi młodzieńcy - dodał ze śmiechem nie mogą się wprost opędzić naszym dziewczętom. A młode Cundalonki nie wiedzą, co robić z nadmiarem zaproszeń. I jeśli liczba małżeństw jest ciągle nieznaczna, to chyba dlatego jedynie, że muszą być bezpotomne.

- Mówiąc jednak poważnie - obstawał przy swoim Vahino - zdajemy sobie sprawę, że wasza cywilizacja nadaje ton w całej Galaktyce. Rzecz nie tylko w tym, że cywilizacja techniczna Solarian stoi najwyżej, choć stanowi i to oczywiście jeden z głównych powodów - wy pierwsi przybyliście do nas w waszych statkach kosmicznych przynosząc nam energią atomową, wiedzę medyczną i inne zdobycze. Ale tego wszystkiego mogliśmy się nauczyć i potem dotrzymywać wam kroku. Chodzi jednak o takie czyny jak... jak obecna wasza oferta pomocy: gotowość odbudowy światów zniszczonych, a odległych od was o całe lata świetlne. Gotowość obdarzenia nas waszymi skarbami i umiejętnością, gdy my prawie nie mamy czym się odwzajemnić. To właśnie sprawia, że jesteście przodującą rasą Galaktyki.

- Mamy, jak wam dobrze wiadomo, egoistyczne motywy - rzekł Dalton z pewnym zakłopotaniem. - Nawet liczne. Zwykły humanitaryzm też ma, naturalnie, swój wpływ. Nie mogliśmy pozwolić, aby rasa, bardzo podobna do naszej, cierpiała nędzę, gdy System Solarny i jego kolonie opływają we wszystko. Lecz nasza własna, krwawa historia uczy nas, że gospodarcza pomoc, w rodzaju obecnego planu, jest korzystna także dla pomagającego. Kiedy odbudujemy Cundalooę i Skontar, uruchomimy i unowocześnimy ich zacofany przemysł, wprowadzimy tam naszą wiedzę - będziemy mogli rozpocząć handel. A nasza gospodarka wciąż opiera się przede wszystkim na handlu. Ponadto wytworzymy związki tak bliskie, by nie mogła powtórzyć się straszna, dopiero co zakończona wojna. No i pozyskamy sojuszników przeciw naprawdę obcym i groźnym kulturom w Galaktyce, planetom czy całym systemom, z którymi pewnego dnia może będziemy musieli się zmierzyć.

- Błagajmy Najwyższego, aby ten dzień nigdy nie nadszedł - rzekł z powagą Vahino. - Dostyc już mieliśmy wojny.

Dzwon rozbrzmiał ponownie i robot obwieścił czystym, nieludzkim głosem: - Jego Ekscelencja Skorrogan, syn Valthaka, książę Kraakahaymu, Poseł Nadzwyczajny i Pełnomocny Imperium Skontaru do Zjednoczonych Republik Solarnych!

Wszyscy znów wstali, tym razem nieco powolniej, a Dalton dostrzegł na wielu twarzach wyraz niezadowolenia, który w chwili wejścia nowoprzybyłego zastąpiła zdawkowa obojętność. Trudno było zaprzeczyć, że Skontarianie byli teraz niezbyt popularni na planetach układu Solarnego. Częściowo z własnej winy, ale tylko częściowo.

Powszechnie uważano, że wojnę z Cundalooa wywołał Skontar. Był to jednak pogląd niesłuszny. Nieszczęście polegało na tym, że słońca Skang i Avaiki, tworzące systemy odległe od siebie o jakie

pół roku świetlnego, miały jeszcze trzeciego towarzysza, zwanego przez ludzi Allanem na cześć dowódcy pierwszej wyprawy w te strony. A planety Allana były niezamieszkałe.

Gdy technologia ziemską dotarła do Skontaru i Cundaloi, natychmiastowym wynikiem było powstanie na obydwu planetach - w końcu zaś w ramach obydwu systemów - zjednoczonych, ale rywalizujących ze sobą państw, kierujących zachłanny wzrok na świeże, zielone planety Allana. Obydwa państwa miały tam kolonie, z czego wynikły starcia, wreszcie zaś ohydna pięcioletnia wojna, zakończona, po wyniszczeniu obu systemów, pokojem zawartym przy pośrednictwie Ziemi. Wojna ta była jeszcze jednym zwarem się wrogich imperializmów, co i w historii ludzkiej stanowiło częste zjawisko przed Wielkim Pokojem i utworzeniem Zjednoczonych Republik. Warunki pokoju między Skontarem i Cundaloa były w miarę uczciwe, a obie strony zupełnie wyczerpane. Musiały więc zachować pokój, zwłaszcza że oba kraje zabiegały o pomoc Solarian w odbudowie.

Na ogół biorąc ludzie lubili Cundalończyków. Tym samym jednak nie lubili Skontarian i przypisywali im wszystkie winy. Zresztą przed wojną Skontar nie cieszył się sympatią. Brano mu za złe izolacjonizm jego mieszkańców, ich kurczowe trzymanie się przestarzałych tradycji, twarde akcenty ich mowy, wyzywający sposób bycia, nawet wygląd.

Dalton miał wielkie trudności, nim skłonił Zgromadzenie do zgody na objęcie Skontaru zaproszeniem na konferencję pomocy gospodarczej. Niełatwo przyszło mu wytłumaczyć, że jest to konieczne - zarówno, by zdobyć dostęp do bogactw Skangu, zwłaszcza mineralnych, niezbędnych przy odbudowie, jak i dla pozyskania przyjaźni mocarstwa, w zasadzie potężnego, a trzymającego się dotąd z dala.

Program pomocy istniał zaledwie w sferze projektów. Potrzeba jeszcze było uchwały Zgromadzenia, określającej komu należy pomagać, a później - formalnych traktatów z zainteresowanymi systemami planet. Obecne nieoficjalne spotkanie było więc tylko pierwszym i wstępnym krokiem. Ale krokiem decydującym.

Przy wejściu Skontarianina Dalton skłonił się uroczyście. Poseł w odpowiedzi rąbnął o ziemię drzewcem olbrzymiej włóczni, oparł swą zabytkową broń o ścianę, po czym wyjął zza pasa i podał atomowy rozsadzacz. Dalton wziął to ostrożnie i złożył na stole. - Witam i pozdrawiam - rzekł widząc, że Skorrogan milczy. - Zjednoczenie Republik Solar...

- Dziękuję - przerwał ochryply bas, metaliczny i wyrazisty. - Valtam Imperium Skontaru śle pozdrowienia premierowi Solarii przez usta Skorrogana, księcia Kraakahaymu.

Wyprostował się w środku sali zdając się ją wypełniać swą potężną, odrażającą postacią. Należąc do świata wysokiej grawitacji i niskich temperatur, Skontarianie byli jednak rasą olbrzymów, powyżej dwóch metrów wzrostu, tak przy tym rozrosłych wszcz, iż wyglądali na krępych. Można ich było uznać za człekokształtnych, jako że byli dwunogimi ssakami, ale na tym właściwie kończyło się podobieństwo. Spod szerokiego, niskiego czoła i nawistych brwi Skorrogana patrzyły bystre, złociste, krogulcze oczy. Dół twarzy wyglądał jak ścięty pysk, szczeki miał wypełnione straszliwymi, kłami, krótkie uszy osadzone wysoko na okazałej czaszce. Krótka, brunatna sierść pokrywała muskularne ciało aż po czubek ruchliwego ogona, z głowy i szyi spływała rudawa grzywa. Nie bacząc na tropikalną, jak na niego, temperaturę, przybrany był w ceremonialne futra i skóry i wydzieliał ostry zapach potu.

- Książę spóźnił się - z wątpliwą uprzejmością rzekł jeden z ministrów. - Mam nadzieję, że nie zaistniały jakieś poważne przeszkody.

- Nie - odparł Skorrogan. - Po prostu przeliczyłem się z czasem. Przepraszam - dodał niezbyt przeproszającym tonem, opadł ciężko na najbliższy fotel i otworzył tekę. - Przystąpimy do interesu, panowie?

- Mm... chyba tak - Dalton zasiadł pośrodku długiego konferencyjnego stołu. - Właściwie, w tej wstępnej rozmowie nie będziemy się zbytnio zajmować cyframi i faktami. Chcemy tylko uzgodnić cele podstawowe, ogólne zasady polityki.

- Naturalnie, będziecie chcieli zapoznać się dokładnie z obecnym stanem zasobów Avaiki i Skangu, jak również allańskich kolonii - powiedział swym łagodnym głosem Vahino. - Rolnictwo na Cundaloo i kopalnie Skontaru już teraz mają znaczną wydajność, a z czasem gospodarka powinna osiągnąć samowystarczalność.

- Będzie to także kwestia wyszkolenia - rzekł Dalton. - Poślemy cały zastęp ekspertów, doradców technicznych, nauczycieli...

- Ponadto - zaczął szef sztabu - wyniknie kwestia zasobów wojennych...

- Skontar ma własną armię - burknął Skorrogan. - Chwilowo nie ma co o tym mówić.

- Może i nie - przyznał minister skarbu. Wyjął papierosa i zapalił.

- Proszę pana! - ryknął Skorrogan. - Proszę nie palić! Pan wie, że Skontarianie są uczuleni na tytoń...

- Przepraszam! - Minister skarbu zgniótł papierosa. Ręka mu lekko zadrżała i spojrzał na posła. Obawa była płonna, urządzenia klimatyzacyjne momentalnie usuwały dym. A w każdym razie nie krzyczy się na członka rządu. Zwłaszcza, gdy się przychodzi prosić o pomoc...

- W grę wchodzi inne jeszcze planetarne układy - rzekł z pośpiechem Dalton rozpaczliwie starając się załagodzić incydent. - Nie tylko kolonie solarne. Sadzę, że ekspansja waszych obydwu ras sięgnie poza wasz własny troisty układ, a zasoby uzyskane w ten sposób...

- Dla nas ekspansja jest konieczna - zawołał kwaśno Skorrogan. - Traktat ograbił nas z wszystkich czterech planet... Mniejsza z tym. Przepraszam. Przykro siedzieć przy jednym stole z wrogiem. Szczególnie jak ktoś przypomni, że to taki niedawny wróg.

Tym razem milczenie trwało długo. Dalton z nieomal fizyczną przykrością pojął, że Skorrogan nieodwołalnie zrujnował swoją pozycję. Nawet gdyby zdał sobie sprawę, co robi, i próbował sytuację naprawić - a któż widział, by arystokrata Skontaru kiedykolwiek tłumaczył się - było już za późno. Miliony ludzi widziały w telewizji jego niewybaczalną wprost arogancję. Zbyt wiele wpływowych osobistości, czołowych, działaczy solarnych, siedziało w tej samej sali, patrzyło w jego wzgardliwe oczy i czuło ostry odór nieludzkiego potu.

Skontar nie otrzyma pomocy.

O zachodzie chmury zawisły nad ciemną linią szczytów na wschód od Geyrhaynu i mroźny podmuch wiatru przyniósł w dolinę zapowiedź zimy. Przyniósł ze sobą pierwsze płatki śniegu; kołowały na tle ciemnoszkarłatego nieba, zaróżowione odblaskiem gasnącej krwawej łuny. Przed północą będzie śnieżycza.

Z ciemności wyłonił się statek kosmiczny i wpłynął do hangaru. Za małym kosmoporciem widać było w półmroku stary gród Geyrhayn kulący się pod wiatrem. Rudy blask światła padał od starych domów o spiczastych dachach, ale kręte uliczki były jak puste wąwozy wijące się aż na szczyt wzgórza, gdzie sterczał ponury zamek, dawne gniazdo baronów. Valtam obrał go na swoją siedzibę i mały Geyrhayn był teraz stolicą Imperium. Albowiem z dumnego Skirnoru i wspaniałego Thruvangu zostały tylko radioaktywne ruiny, a dzikie bestie wyły teraz na zgliszczach dawnego pałacu.

Skorrogan syn Valthaka wyszedł z kabiny statku. Poczul dreszcz i szczelniej owinał się futrem. Skontar był zimną planetą. Marzli tam nawet miejscowi.

Przed wyjściem czekali najwyżsi wodzowie Skontaru. Pod maską obojętności Skorrogan zadrzał wewnątrz. Może wśród tej milczącej posepnie grupy czekała nań śmierć? Pewien był niełaski, a

nie wiedział...

Na spotkanie przybył sam Valtam. Jego biała grzywa powiewała na wietrze. Złote oczy świeciły w zapadającym mroku złowieszczym blaskiem, wзираła z nich dzika, źle ukrywana nienawiść. Tuż przy nim stał jego najstarszy syn i następca tronu, Thordin. W purpurze zachodu ostrze jego włóczni wyglądało jak umazane krwią. Obok czekali możni całego Skangu, margrabowie Skontaru i innych planet. Za nimi połyskiwały hełmy i kirysy lejbgwardii. Twarze były w cieniu, ale biła od nich pogarda i wrogość.

Skorrogan podszedł do Valtama, uderzył na powitanie włócznią i pochylił nieznacznie głowę. Zapadła cisza, tylko wiatr pojękiwał i unosił śnieżne tumany.

Wreszcie przemówił Valtam, bez żadnych wstępnych pozdrowień. Zabrzmiało to jak policzek. A więc jesteś z powrotem - rzekł.

- Tak, panie. - Skorrogan usiłował panować nad głosem. Przychodziło to z trudem. Nie bał się śmierci, ale ciężar niepowodzenia przygniatał go boleśnie. - Jak już wiadomo, muszę z zalem donieść, że moja misja spełzła na niczym.

- Wiadomo - powtórzył lodowato Valtam - oglądaliśmy teleraport.

- Miłościwy panie, Cundaloo dostaje od Solarian nieograniczoną pomoc. Ale Skontarowi odmówiono wszystkiego. Żadnych kredytów, żadnych doradców technicznych, nic. I nie możemy liczyć prawie wcale na handel i turystów.

- Wiemy - rzekł Thordin. - A ty byłeś wysłany, aby tę pomoc uzyskać.

- Próbowałem, panie - rzekł obojętnie Skorrogan. Mówił, bo coś musiał powiedzieć, ale tłumaczyć się? Nie! - Solarianie żywią do nas niewyrozumowaną niechęć; po części dlatego, że mają słabość dla Cundaloi, a po części, jak sądzę, ponieważ tak bardzo różnimy się od nich.

- Różnimy się - przyznał chłodno Valtam - ale dawniej to nie miało większego znaczenia. I teraz zresztą tacy Mingonianie, znacznie mniej ludzcy od nas, dostali od Solarian ogromną pomoc. Taką właśnie, jaką otrzyma już wkrótce Cundaloo, i jaką my także mogliśmy uzyskać.

- Pragniemy - ciągnął - jak najlepszych stosunków z najpotężniejszym mocarstwem Galaktyki. A mogliśmy mieć i to, i o wiele więcej. Wiem z bezpośrednich źródeł, jaki panował nastrój w Zjednoczonych Republikach. Gotowi byli przyjść nam z pomocą, gdybyśmy okazali choć trochę woli współpracy. Można by wtedy myśleć o odbudowie, a nawet o większych rzeczach... - głos mu załamał się i zamarł w poświstach wiatru.

Po chwili mówił dalej, głosem coraz bardziej nabrzmiałym wściekłością: - Wysłałem cię, jako mego specjalnego przedstawiciela, abyś otrzymał tę wielkodusznie ofiarowaną pomoc. Ufałem ci, pewien byłem, że zdajesz sobie sprawę z okropności naszego położenia... Hrrr. - Splunął ze wstrętem. - A ty cały czas zachowywałeś się obraźliwie, bezczelnie, grubiańsko. W oczach wszystkich Solarian okazałeś się jakby wcieleniem tych cech, których w nas nienawidzą. Nic dziwnego, że nam odmówili. Całe szczęście, że nie wypowiedzieli wojny!

- Jeszcze nie jest za późno - rzekł Thordin. - Możemy wysłać drugiego...

- Nie. - Valtam uniósł głowę z wrodzoną dumą tej żelaznej rasy, z wyniosłością właściwą kulturze, dla której od zarania dziejów honor był ważniejszy od życia. - Skorrogan był naszym posłem pełnomocnym. Jeśli się mamy go zaprzecć, jeśli mamy za niego przeproszać - nie z powodu określonego czynu, ale za jego złe wychowanie - i czołgać się przed Galaktyką... nie! to niemożliwe. Musimy obejść się bez Solarian.

Śnieg padał coraz gęstszy, chmury zakryły już prawie całe niebo. W jednym tylko miejscu błyszczało kilka gwiazd. Chwytał dotkliwy mróz.

- Cóż za cena honoru! - zawołał smutnie Thordin. - Skontar głoduje, a żywność solariańska

mogłaby nas utrzymać przy życiu. Chodzi w łachmanach - Solarianie przysłaliby odzież. Fabryki mamy zniszczone albo przestarzałe. Nasza młodzież wyrasta nieświadoma zupełnie galaktycznej cywilizacji i technologii - Solarianie przysłaliby nam maszyny i techników, pomogli w odbudowie. Przysłaliby tu nauczycieli, stanęłaby przed nami otworem droga do wielkości... Ale już za późno. - Thordin wbił w Skorrogana, swojego przyjaciela, wzrok posępny, zdziwiony, zrozpaczony. - Ale dlaczego to zrobił? Dlaczego?

- Zrobiłem, co mogłem - odrzekł sztywno Skorrogan. - Jeśli nie nadawałem się do tej misji, trzeba było wysłać kogo innego.

- Nadawałeś się - powiedział Valtam. - Byłeś naszym najlepszym dyplomata. Twoja zręczność, twoje zrozumienie psychologii pozaskontarskiej, twoja wybitna umysłowość, czyniły cię niezastąpionym w stosunkach zewnętrznych. A tu, w tak prostej, a doniosłej sprawie... Ale koniec z tym! - głos jego wzniósł się ponad ryk wichury. - Koniec z moim zaufaniem do ciebie! Skontar dowie się, że zawiodłeś!

- Miłościwy Panie! - zawołał Skorrogan łamiącym się głosem. - Zniosłem od ciebie słowa, za które każdy inny zapłaciłby pojedynkiem na śmierć i życie. Ale nie każ mi słuchać więcej. Pozwól mi odejść.

- Nie mogę cię pozbawić dziedzicznych praw i tytułów - rzekł Valtain. - Lecz twoja rola w rządzie imperialnym jest zakończona i nie waz się odtąd pokazywać na dworze, ani na żadnych oficjalnych uroczystościach. Wątpię też, czy będziesz miał jakich przyjaciół.

- Może i nie - odparł Skorrogan. Zrobiłem, co w mojej mocy, ale teraz, gdybym mógł nawet jaśniej się tłumaczyć, nie uczynię tego po takich zniewagach. Jeśli jednak mam coś doradzić, gdy chodzi o przeszłość Skontaru...

- Nie potrzeba - rzekł Valtam. - Dość już wyrządziłeś szkody.

- ...to proszę o rozważenie trzech rzeczy. - Skorrogan uniósł włócznię w kierunku dalekich błyszczących gwiazd. - Po pierwsze, pamiętajcie o tamtych słońcach. Po wtóre - o pewnych nowych pracach z dziedziny nauk i technologii tu u nas - takich jak praca Dyrina w zakresie semantyki. A wreszcie - rozejrzyjcie się wkoło. Spójrzcie na domy, zbudowane przez waszych ojców, na odzież, którą nosicie, posłuchajcie własnego języka. A za pięćdziesiąt lat przyjdźcie do mnie... aby mnie przeprosić!

Owinał się w płaszcz, pokłonił Valtamowi i długimi krokami ruszył przez pole ku miastu. Patrzyli za nim z goryczą i nierozumieniem w oczach.

W mieście był głód. Czuł go poprzez mury, głód zrozpaczonych i wynędzniałych istot, skulonych przy ogniskach i niepewnych, czy przeżyją zimę. Zamyślił się przez chwile - ilu też z nich umrze? - ale nie miał odwagi przemyśleć tego do końca.

Usłyszał czyjś śpiew i przystanął. Wędrowny bard, idący o żebraczym chlebie od miasta do miasta, włókł się ulicą, a zetlały płaszcz fantastycznie powiewał na wietrze. Smukłymi palcami potraçał struny harfy, a głos rozspiewał się starożytną balladą, w której zawarta była cała szorstka melodyjność, cały dźwięczny, żelazny szczęk dawnego języka, języka Naarhaymu na Skontarze. Dla jakiejś smutnej rozrywki Skorrogan przetłumaczył w myśli dwie zwrotki na ziemszczyznę:

Skrzydlate ptaki wojny

W dzikim przelocie

Budzą zamarte zimą

Pragnienie morskiego szlaku.

Miła moja, oto na mnie czas,

*Śpiewaj o kwiatach,
Najpiękniejsza, gdy żegnasz.
Bądź zdrowa, kocham cię.*

Nic z tego. Nie tylko się zatracił metaliczny rytm twardych, ostrych sylab, nie tylko gubiła się zawilość rymów i aliteracji, ale, co gorsza, w przekładzie na ziemski nie miało to sensu. Brakło odpowiedników. Jak można na przykład oddać pełne niezliczonych odcieni znaczeniowych słowo *virkansraavin*, wyrazem “żegnasz”? Psychologie są na to zbyt różne od siebie.

W tym krył się może sens jego odpowiedzi danej najwyższym wodzom. Lecz oni tego nie rozumieją. Nie mogą zrozumieć. Pozostał więc sam w obliczu nadciągającej zimy.

Valka Vahino siedział w ogrodzie i kąpał się w powodzi słonecznych blasków. Rzadko kiedy miał teraz okazję do *alicaui* - jak brzmiał staroziemski termin? “*Sjesta*”? Niedokładny właściwie. Cundalończyk spoczywał, ale nigdy nie spał po południu. Siedział lub leżał na dworze, słońce przenikało w głąb ciała, albo obmywał je ciepły deszcz. Pozwalał myślom płynąć swobodnie. Solarianie nazywali to marzeniem na jawie. Ale właściwie było to jeszcze coś innego, tylko w języku ziemskim nie było na to słowa. “Odprężenie psychiczne” to zwrot okropnie toporny. Co prawda Solarianie w żadnym razie nie mogliby zrozumieć...

Czasem Vahino miał wrażenie, jakby nie odpoczywał nigdy, od wieków. Ciężkie obowiązki epoki wojny, później wyczerpujące podróże na Ziemię... Ostatnio zaś Wielki Dom mianował go Najwyższym Łącznikiem w przekonaniu, że rozumie Solarian lepiej niż ktokolwiek w Lidze.

Być może. Wiele czasu spędził wśród nich, lubił ich jako rasę i jako jednostki. Ale... na wszystkie duchy: jak oni pracowali! Jacy byli ciągle zaganiani! Można by myśleć, że ścigają ich sfory demonów.

Prawdę mówiąc nie było innego sposobu odbudowy, reformy przestarzałych metod i zdobycia tak pożądanego, oszołamiających bogactw. Ale z drugiej strony, co za ukojenie tak leżeć w ogrodzie, patrzeć na wielkie złociste kwiaty, chłonać powietrze przesycone ich upajającą wonią, słuchać brzęczenia owadów i rozmyślać nad nowym wierszem, który wykluwał się w głowie.

Solarianom trudno było zrozumieć naród złożony z samych poetów. A przecież najgłupszy nawet i najnędzniejszy Cundalończyk umiał, wyciągnąwszy się w słońcu, układać liryki. Cóż, każda rasa ma swoje uzdolnienia. Czy można dorównać geniuszowi wynalazczemu ludzi?

W głowie Vahino wzbierały dźwięczne i śpiewne wyrazy. Układał je, cyzelował, dobierał każdą zgłoskę, kształtował całość z rosnącym zadowoleniem. Tak, teraz będzie już dobrze. Zapamiętają to, śpiewać będą i za sto lat. Valka Vahino nie będzie zapomniany. Kto wie, czy nie nazwą go mistrzem wierszotwórstwa - *Alia Amaui cauianriho, valana, vro!*

- Przepraszam, panie! - Tępy, metaliczny głos aż zazgrzytał w mózgu. Delikatna tkanka poezji rozpadała się i odpłynęła w mroczny wir niepamięci. Przez chwilę nic nie potrafił odczuwać prócz nieodwołalnej straty.

- Przepraszam bardzo, ale pan Lombard chce pana widzieć.

Fala dźwiękowa biła z robożnego, daru samego Lombarda. Vahine raziła okropnie ta instalacja z błyszczącego metalu ustawiona wśród starych makat i rzeźb. Ale bał się obrazić ofiarodawcę, a przedmiot był pożyteczny.

Lombard, szef solariańskiej komisji odbudowy, był najważniejszym człowiekiem w całym systemie *Avaiki*. I teraz nawet Vahino doceniał jego uprzejmość: zamiast przysłać po niego, trudził się sam. Tylko dlaczego właśnie o tej porze?

- Uprzedź pana Lombarda, że zaraz przychodzę.

Musiał najpierw coś włożyć na siebie. W przeciwieństwie do Cundalończyków ludzie byli uwrażliwieni na nagość. Następnie wszedł do sali. Kazał tam ustawić kilka foteli na użytek Ziemian, którzy niechętnie siadali na plecionych matach... jeszcze jedno dziwactwo! Przy wejściu Vahina Lombard wstał.

Ziemianin był niski, krępy, nad płaską, twarzą rosły mu siwe włosy. Własną pracą wybił się z wyrobnika najpierw na inżyniera, wreszcie na szefa misji i wysiłek ten zostawił na nim ślady. Do wszelkiej pracy zabierał się z osobistą pasją, a twardy był jak stal. Ale na ogół był bardzo miły, miał zadziwiająco duży zakres zainteresowań, a w swej działalności w Systemie Avaiki dokonywał prawdziwych cudów.

- Pokój twemu domowi, bracie - rzekł Vahino.

- Dzień dobry - odmruknął tamten. A widząc, że Vahino daje znaki służbie, pośpiesznie zawołał: - Tylko bez waszych rytuałów! Bardzo je cenię, ale teraz po prostu nie mam czasu siedzieć trzy godziny przy stole i mówić o kulturze, zanim się przejdzie do interesów. Chciałem właśnie, żeby pan, jako miejscowy, wytłumaczył wszystkim jakoś ogólnie, że trzeba koniecznie z tym skończyć.

- Ale to są nasze najstarsze zwyczaje...

- Otóż to: stare, przestarzałe, opóźniają postęp. Nie mam nic złego na myśli, panie Vahino, chciałbym, żeby u nas były tak piękne zwyczaje. Ale nie podczas godzin pracy. Bardzo o to proszę.

- Myślę, że pan ma rację. To nie pasuje po prostu do nowoczesnego modelu przemysłowej cywilizacji. A do niej przecież zmierzamy. - Vahino usiadł na krześle i podał gościowi papierosy. Palenie było typową wadą Solarian, bardzo zaraźliwą, a łatwą do obrony. Vahino sam też zapalił z radością neofity.

- Tak jest. O to chodzi. W tej właśnie sprawie przyszedłem, panie Vahino. Nie mam żadnych określonych skarg. Ale nagromadziło się mnóstwo drobnych trudności, na które tylko wy sami możecie poradzić. My, Solarianie, ani chcemy, ani możemy mieszać się do waszych wewnętrznych spraw. Ale niektóre rzeczy musicie zmienić, bo inaczej nie będziemy wam mogli pomagać.

Vahino wiedział już wszystko. Spodziewał się tego od dłuższego czasu i pomyślał ze smutkiem, że nic się nie da poradzić. Zaciągnął się papierosem, wypuścił kłęb dymu i z uprzejmym pytaniem uniósł brwi do góry. Zaraz jednak przypomniał sobie, że u Solarian zmiany wyrazu nie stanowią części rozmowy, i powiedział głośno: - Proszę, niech pan powie, co ma na sercu. Rozumiem, że nie ma intencji zniewagi, i żadnej się nie dopatrzę.

- Dobra! - Lombard nachylił się w jego stronę, nerwowo składając i rozkładając duże spracowane ręce. - Sęk w tym, że cała wasza kultura, cała wasza psychika nie nadają się do współczesnej cywilizacji. Można to zmienić, ale zmiana musi być radykalna. Żeby ją przeprowadzić, musicie wydać odpowiednie ustawy, zorganizować kampanię propagandową, zmienić system szkolnictwa i tak dalej. Bez tego nie ruszymy.

- Weźmy na przykład - ciągnął - taką sprawę jak sjesta. W tej chwili, na całym obszarze środkowej strefy czasu ani jedno kółko, ani jedna maszyna się nie porusza, nikt nie pracuje. Wszyscy leżą na słońcu, układają wiersze, nucą piosenki albo po prostu drzemią. Tak nie można, Vahino, jeśli chcemy zbudować całą cywilizację! Plantacje, kopalnia, fabryki, miasta! Temu nie damy rady przy czterogodzinnym dniu pracy!

- Nie. Ale może my nie mamy energii waszej rasy? Jesteście przecież gatunkiem o szczególnie wysokiej czynności tarczycy.

- To sprawa przyzwyczajenia. Trzeba się tylko nauczyć. Wcale nie trzeba wykonywać pracy nad siłą. Po to właśnie mechanizujemy waszą kulturę, żeby was uwolnić od wysiłków fizycznych i

zależności od kapryśków przyrody. Ale maszynowej cywilizacji nie da się pogodzić z takim množstwem wierzeń, obrządków, zwyczajów i tradycji, co u was. Nie ma na to czasu. Życie jest za krótkie, aby czynić je nielogicznym. A wy wciąż zanadto przypominacie Skontarian, którzy nie mogą się rozstać ze swoimi przedwiecznymi włóczyniami.

- Tradycja nadaje życiu wartość, nadaje mu sens...

- Kultura maszyn wytwarza własną tradycję. Z czasem się przekonacie. Wytwarza własny sens, i myślą, że jest to sens jutra. Trzymając się uparcie przestarzałych zwyczajów, nie dognacie nigdy historii. Wasz system monetarny...

- Jest bardzo praktyczny.

- Na swój sposób. Ale jak możecie handlować z Ziemią opierając wasze banknoty na srebrze, gdy solariańskie są abstrakcyjne? Musicie przejść na nasz system dla celów handlu i wprowadzić również pieniądze abstrakcyjne. A zupełnie tak samo z systemem metrycznym, jeśli chcecie używać naszych maszyn, czy dogadać się z naszymi uczonymi. Krótko mówiąc, musicie wziąć od nas wszystko.

- A choćby i wasze pojęcia społeczne - podjął po chwili Lombard. - Nic dziwnego, że nie zdołaliście opanować planet w waszym własnym układzie, jeśli każdy u was chce koniecznie być pogrzebany tam, gdzie się urodził. Bardzo to piękne uczucie, ale nic więcej. Będziecie musieli go się pozbyć, o ile macie zamiar osiągnąć gwiazd.

- Nawet wasza religia - ciągnął z pewnym wahaniem - proszę mi wybaczyć, ale doprawdy... są w niej różne rzeczy, które współczesna wiedza stanowczo odrzuca.

- Jestem agnostykiem - odparł spokojnie Vahino. - Ale dla wielu osób religia Mauiroa jest jeszcze czymś bardzo żywym.

- Gdyby Wielki Dom pozwolił nam sprowadzić misjonarzy, moglibyśmy nawrócić wszystkich na, powiedzmy, neopanteizm. Moim zdaniem neopanteizm jest znacznie bardziej krzepiący, no i o wiele bardziej naukowy niż wasza mitologia. Jeżeli wasza społeczność musi koniecznie w coś wierzyć, niechże to będzie przynajmniej wiara zgodna z faktami, jakie technologia współczesna już wkrótce uczyni i dla was oczywistymi,

- Być może. Przypuszczam także, że ustrój rodowy jest zbyt zawiły i sztywny jak na nowoczesną organizację społeczną... Tak, chodzi o głębsze zmiany niż zwykłe uprzemysłowienie.

- Naturalnie - podchwycił Lombard. - Chodzi o zupełną przemianę umysłowości. Zresztą, z czasem do tego dojdziecie. Po wyjeździe Allana budowaliście fabryki atomowe i statki kosmiczne. Proponuję wam tylko, abyście trochę przyspieszyli ten proces.

- A język?...

- Nie chce być posądzony o szowinizm, ale uważam, że wszyscy Cundalończycy powinni uczyć się solarskiego. Prędzej czy później będzie im potrzebny.

Wszyscy wasi uczeni i technicy muszą posługiwać się nim zawodowo. Języki Laui, Muara i inne są piękne, ale dla wyrażania terminów naukowych zupełnie się nie nadają. Sama już wielopojęciowość... szczerze mówiąc wasze księgi filozoficzne brzmią dla mnie przeraźliwie mętnie. Piękne, ale pozbawione określonego sensu. Waszemu językowi brakuje precyzji.

- Zawsze uważano - odparł smutnie Vahino - że Arakles i Vranamaui są wzorem krystalicznej jasności myśli. I przyznać muszę, że dla mnie znowu wasz Kant czy Russell, a nawet Korzybski nie zawsze są zrozumiali. Inna sprawa, że nie mam w tym odpowiedniej biegłości. Zapewne ma pan rację. Młodsze pokolenie przyzna ją panu z pewnością.

- Przedstawię sprawę Wielkiemu Domowi - zakonkludował - i może już teraz uda się coś zrobić. Ale w żadnym razie nie będzie pan czekać długo. Cała nasza młodzież tylko marzy, by stać się taką,

jak pan sobie życzy. To gwarancja sukcesu.

- Tak - przyznał Lombard. Po chwili zaś dodał miękko: - Wolałbym, żeby sukces nie miał tak wysokiej ceny. Ale wystarczy spojrzeć na Skontar, aby pojąć, jak bardzo to jest konieczne.

- O, Skontar! W ciągu ostatnich trzech lat dokonali prawdziwych cudów. Przetrwali wielki głód i teraz nie tylko się odbudowali, ale nawet zorganizowali wyprawy na odległe gwiazdy w poszukiwaniu kolonii. - Vahino skrzywił się w uśmiechu. - Nie żywię miłości dla naszych dawnych wrogów, ale trudno ich nie podziwiać.

- Dzielni są - zgodził się Lombard. - Ale co przyjdzie z samej dzielności? Przeszarżała technika jest dla nich kamieniem u szyi. Cundaloo już teraz ma globalną produkcję trzy razy większą. Ich międzygwiazdne kolonie to tylko wątki gest kilkuset jednostek. Skontar może wyżyć, ale będzie zawsze potęgą dziesiątego rzędu. Tylko patrzeć, a stanie się waszym satelitą.

- I to nie dlatego - mówił Lombard - by brakło im zasobów naturalnych czy innych. Rzecz w tym, że odrzucając naszą ofertę pomocy - a tak właściwie było - wyłączyli się z głównego nurtu galaktycznej cywilizacji. Przecież teraz dopiero próbują rozwinąć naukowe pojęcia i wytworzyć sprzęt, jaki my mieliśmy przed stu laty. A robią takie błędy, że można by śmiać się, gdyby to nie było żalotne. Ich język, podobnie jak wasz, nie nadaje się do myśli naukowej, a tradycja ciągle ich skuwa. Widziałem na przykład ich statki kosmiczne, które budowali według własnej konstrukcji, zamiast kopiować nasze modele... po prostu groteska. Sto różnych dróg, aby trafić na szlak, którym my idziemy od dawna. Mają statki kuliste, owalne, sześciennie... słyszałem nawet, że ktoś tam projektuje statek czwórścienny!

- W zasadzie to możliwe - mruknął Vahino. - Geometria Riemanna, na której opiera się napęd międzygwiazdny, dopuszcza...

- Wykluczone! Ziemia próbowała już tego i nic nie wyszło. Tylko dziwak - a uczeni Skontaru w swoim odosobnieniu stają się rasą dziwaków - może tak myśleć. Nam, ludziom, poszczyło się i to wszystko. Ale i u nas długo trwało, zanim nasza kultura wytworzyła mentalność stosowną dla naukowej cywilizacji. Do tego czasu postępu w technologii prawie nie było. A później sięgnęliśmy gwiazd. Inne rasy mogą zrobić to samo, ale najpierw muszą wykształcić odpowiednią cywilizację, właściwą umysłowość. A bez naszego przewodnictwa ani Skontar, ani żadna inna planeta nie zdoła tego uczynić jeszcze przez długie wieki.

- Co przypomina mi - ciągnął Lombard grzebiąc w kieszeniach - że dostałem właśnie jeden ze skontarskich przeglądów filozoficznych. Jak pan wie, pewien kontakt wciąż jeszcze istnieje, oficjalnie debit nie został odebrany. Tyle, że ze Skangiem nie chcemy mieć do czynienia. Mniejsza z tym. Dość, że jeden z ich filozofów, Dyrin, który pracuje nad ogólną semantyką, wywołał ostatnio sensacją... - Lombard znalazł nareszcie pismo - Pan czyta po skontarsku, prawda?

- Tak - rzekł Vahino. - W czasie wojny pracowałem w wywiadzie. Niech pan pokaże... - odszukał wspomniany artykuł i zaczął tłumaczyć na głos:

“W poprzednich rozprawach autor wykazał, że zasada bezpierwiastkowości nie jest sama w sobie uniwersalna, lecz musi być poddana pewnym psychomatematycznym zastrzeżeniom wynikającym z uwzględnienia pola broganarycznego - tego nie rozumiem - które w powiązaniu z atomofalami elektronowymi...”

- Co to za abrakadabra? - wybuchnął Lombard.

- Nie wiem - odparł bezradnie Vahino. - Umysłowość skontarska jest mi równie obca jak panu.

- Jakieś gładzenie - rzekł Lombard, - Z poczciwym skontarskim dogmatyzmem zgadujzgadulskim na dokładkę! rzucił przegląd na mały piecyk z brązu, a ogień ogarnął szybko cieniutkie karty. - Brednie, co widzi z łatwością każdy, kto ma trochę pojęcia o ogólnej semantyce, a choćby krztę rozsądku! -

uśmiechnął się wzgardliwie i trochę nieszczercze, i pokiwiał głową. - Rasa dziwaków!

- Chciałbym, żebyś znalazł dla mnie jutro parę godzin - rzekł Skorrogan.

- Postaram się - Thordin XI, Valtam Imperium Skontaru, skinął swą przerzedzoną grzywą. - Choć wolałbym w przyszłym tygodniu.

- Jutro! Bardzo o to proszę!

- Dobrze - zgodził się Thordin. - Ale o co chodzi?

- Chciałbym odbyć z tobą małą wycieczkę na Cundaloo.

- Dlaczego akurat tam? I dlaczego akurat jutro?

- Powiem, jak się spotkamy - Skorrogan skłonił głowę, pokrytą gęstą jeszcze, ale białą jak mleko grzywą i wyłączył swój ekran.

Thordin uśmiechnął się pobłaźliwie. Skorrogan znany był ze swych dziwactw. "No, ale my, starcy, musimy trzymać się razem - pomyślał. - Wyrosły już dwa pokolenia i obydwu nam depcą po piętach".

Trzydzieści kilka lat wewnętrznej banicji bardzo, rzecz jasna, zmieniło tak ongi radośnie pewnego siebie Skorrogana. Ale przynajmniej nie zgorzkniał. Kiedy powolna odbudowa Skontaru zaczęła dawać tak niewątpliwy rezultat, że zapomniano o jego nieudanej misji, krąg przyjaciół stopniowo powrócił. Żył nadal samotnie, ale przestano go witać kosym spojrzeniem. A Thordin przekonał się, że ich dawna przyjaźń jest równie żywa jak niegdyś, i często odwiedzał Kraakahaym lub zapraszał Skorrogana do pałacu. Ofiarował nawet staremu arystokracie udział w Wysokiej Radzie, ale tamten odmówił i minęło dalszych dziesięć lat - a może dwadzieścia? - w ciągu których Skorrogan sprawował tylko swą dziedziczną godność księżęcą. Aż teraz dopiero pierwszy raz zwrócił się z prośbą... "Tak - myślał Thordin - polecę z nim jutro. Do licha z pracą! Monarchom też czasem należy się urlop."

Wstał z fotela i podszedł utykając do okna. Nowa endokrynowa kuracja cudownie wpływała na jego reumatyzm, ale jeszcze nie była ukończona. Dreszcz go przejął na widok śniegu zasypującego dolinę. Zima znów była blisko.

Geologowie twierdzili, że Skontar wchodzi w nową epokę lodową. Ale to nie nastąpi nigdy. Za jakie dziesięć lat klimatyczni inżynierowie udoskonalą swą technikę i lodowce wrócą na daleką północ. Na razie jednak było zimno i biało na dworze, a przenikliwy wiatr huczał dokoła murów pałacu.

Ale na południowej półkuli teraz jest lato, pola zielenią się, dym z domków wieśniaczych bije w ciepłe, błękitne niebo. Kto stał tam na czele naukowej grupy?... Ach, tak, Aesgayr, syn Haastinga. Jego prace w dziedzinie genetyki i agronomii umożliwiły niezależnym wieśniakom wytwarzanie dostatecznej żywności dla nowej naukowej cywilizacji. Dawny wolny kmieć, ostoja Skontaru w ciągu całej historii, nie wymarł, ale nadal był czynny.

Za to inne rzeczy zmieniły się bardzo. Thordin uśmiechnął się smutnie na myśl o przeobrażeniach, jakim w ostatnich latach pięćdziesięciu uległa Valtamarchia. Nowe psychosymbologiczne metody rządzenia oparte były na odkryciach Dyrina w zakresie ogólnej semantyki, tak zasadniczych dla całej w ogóle wiedzy. Skontar już tylko z nazwy stanowił teraz imperium. Rozwiązał paradoks połączenia liberalnego państwa z rządem niewybieralnym, a sprawnym. Były to wszystko zmiany korzystne i całe minione dzieje Skontaru zwolna i z trudem do tego zmierzały. Ale nowa wiedza przyspieszyła ów proces, na przestrzeni dwóch krótkich pokoleń zmieściła stulecia rozwoju. A rzecz dziwna, choć przyrodnicze i biologiczne nauki gnały naprzód w tempie nie do wiary, sztuki plastyczne, muzyka i literatura mało co się zmieniły, rzemiosło przetrwało i dalej mówiono prastarym językiem naarhaymskim.

Thordin przerwał rozmyślenia i wrócił do biurka. Miał jeszcze sporo roboty. Choćby ta sprawa kolonii na planecie Aeric! Ale trudno administrować bez różnorodnych kłopotów międzygwiazdową siecią kilkuset szybko rozwijających się osad. Były to jednak troski dość nieważne w porównaniu z faktem, że imperium mocno stało na nogach i rosło.

Daleką uszli drogę od tego dnia rozpaczy sprzed pięćdziesięciu lat, od epoki głodu, chorób i żałoby, jaka później przyszła. Thordin pomyślał, że nawet i on nie bardzo uświadamiał sobie, jak długa to była droga.

Ujął mikrolektor i zaczął przeglądać strony. Nie władał nową metodą tak biegle jak młodzi, zaprawieni w niej od urodzenia. Mimo to arryzował z dość dużą wprawą, integrował w podświadomości i łatwo indolował każdą możliwość. Nie pojmował, jak też mógł sobie radzić za dawnych dni rozumowania czysto świadomego.

Thordin wyszedł z wnęki w bramie jednej z zewnętrznych baszt zamku Kraakahaym. Skorrogan naznaczył spotkanie tam, nie zaś wewnątrz zamczyska, ponieważ lubił roztaczający się tu widok. "Wspaniały! - pomyślał Valtam - ale te dzikie urwiska, sterczące z burego morza chmur, przyprawiają o zawrót głowy." Nad nimi wznosiły się starożytne blanki, a jeszcze wyżej czarne zbocza kraakaru, od którego powstała nazwa skalnego gniazda. Wiatr huczał wściekle i miotał suchym śniegiem.

Straż wzniosła włócznie na powitanie. Innej broni zresztą nie miała, a obrotowe działa na murach zamku przerdzewiały doszczętnie. Ale broń nie była potrzebna w sercu mocarstwa ustępującego potęgą tylko posiadłościom solarnym. Skorrogan czekał w podwórku. Pięćdziesiąt lat prawie nie zgięło mu grzbietu, a oczom nie odebrało zaciekłego blasku. Dziś jednak Thordin dostrzegł w wyglądzie starca oznaki tłęcego w głębi, napiętego wyczekiwania. Jakby wypatrywał już końca podróży.

Skorrogan wykonał powitalne gesty i zaprosił przyjaciela do wnętrza. - Nie, dziękuję ci - odparł Thordin - ale jestem naprawdę zajęty. Chciałbym wyruszyć zaraz.

Książę wypowiedział zwyczajową formułkę żalu, widać jednak było, że sam drży z niecierpliwości i z trudem wytrzymałby godzinną rozmowę w zamku. - W takim razie chodźmy - powiedział. - Mój statek jest gotów.

Smukły, niewielki robostatek, o dziwnych liniach wszystkich czworościennych pojazdów, zahangarowany był z tyłu zamku. Weszli i zajęli miejsca w samym środku, skąd obudowa nie przeszkadzała patrzeć.

- A teraz - rzekł Thordin - może mi powiesz, dlaczego właśnie dzisiaj chcesz lecieć na Cundaloę?

Skorrogan spojrzał nań wzrokiem, w którym odżył zadawniony ból.

- Dziś - odparł wolno - mija dokładnie pięćdziesiąt lat, odkąd wróciłem z Ziemi.

- Ach, tak? - zdziwił się Thordin i przykro mu się zrobiło. Czyżby stary mruk zamierzał wracać do dawnych porachunków?

- Może nie pamiętasz - ciągnął Skorrogan - ale zdevarganuj to z podświadomości, a zobaczysz. Powiedziałem wtedy do wodzów, że za pięćdziesiąt lat przyjdą do mnie, aby mnie przeprosić.

- I teraz chcesz się zemścić? - Thordin nie był tym zaskoczony - typowy objaw psychologii skontarskiej - ale nie widział wcale powodu do przeprosin.

- Tak - odparł Skorrogan. - Wtedy nie mogłem tego tłumaczyć. Nikt by nie chciał mnie słuchać, a i sam wcale nie byłem pewien, czy postąpiłem słusznie.

Uśmiechnął się i ujął ster w szczupłe dłonie. - Teraz tę pewność mam. Czas przyznał mi rację. I odzyskani to wszystko, co straciłem na czci, wykazując ci dzisiaj, że moja misja wtedy właściwie się

powiodła. Bo musisz wiedzieć, że zupełnie rozmyśliłem zraziłem Solarian.

Nacisnął główny włącznik napędowy i pomknął przez pół roku świetlnego przestrzeni. Oczom ich ukazała się wkrótce wielka, błękitna tarcza Cundaloi lśniąca łagodnym blaskiem na tle miliona jarzących się gwiazd.

Thordin siedział spokojnie, podczas gdy to niezwykle, a proste oświadczenie przenikało stopniowo do jego umysłu. Pierwszym jego odruchem było uprzytomnienie sobie, że podświadomie spodziewał się czegoś takiego. W głębi ducha nigdy właściwie nie wierzył, by Skorrogan był tak nieudolny.

Wobec tego jednak?... Nie, zdrajcą też nie był. Ale co w takim razie? O co mu chodziło? Czy w ciągu tych długich lat trwał w jakimś szaleństwie, czy też...

- Od czasu wojny rzadko kiedy byłeś na Cundaloi, prawda? - spytał Skorrogan.

- Tak, wszystkiego trzy razy i to bardzo krótko. Mają wielki dostatek, Solarianie pomogli im stanąć na nogach.

- Dostatek... tak, mają dostatek - Na ustach Skorrogana pojawił się uśmiech, smutny jednak i bardziej przypominający płacz. - Opływają we wszystko! Ta pomyślność aż wprost rozsadza cały ich systemik, razem z trzema gwiazdnymi koloniami.

Gniewnym ruchem szarpnął nagle krótkodystansowy ster i statek zworpował. Wylądowali na krańcu wielkiego kosmoportu w Cundaloa City, a hangarowe roboty przystąpiły natychmiast do sprawdzenia maszyny i pokrycia jej ochronnym siłostropem.

- A co teraz? - zagadnął szeptem Thordin. Zdjął go raptowny, nieokreślony lek. Przeczynał niejasno, że nie spodoba mu się to, co zobaczy.

- Przejdziemy się po stolicy - rzekł Skorrogan - i może zrobimy parą wypadów po planecie. Chciałem, żebyśmy zjawili się tutaj nieoficjalnie, incognito, bo to jedyny sposób zobaczenia rzeczywistego, codziennego życia. A to znacznie ważniejsze i znacznie więcej mówi niż wszelkie statystyki czy gospodarcze wykresy. Chcą ci pokazać przed czym ocalałem Skontar. Thordin! - zawołał z bolesnym uśmiechem - całe życie oddałem za moją planetę. A w każdym razie pięćdziesiąt lat życia... pięćdziesiąt lat hańby i samotności.

Minęli bramę i zanurzyli się w zgiełku pokrytej żelbetem i stalą równiny. Panował tu bezustanny ruch, ciągłe falowanie gorączkowej energii solariańskiej cywilizacji. Znaczna część tej ciżby stanowili ludzie przybyli na Avaiki w interesach lub dla przyjemności. Byli także przedstawiciele niektórych innych ras. Ale większość tłumów składała się, rzecz jasna, z miejscowych Cundalończyków. Nie zawsze zresztą można ich było odróżnić od ludzi. Właściwie obie rasy były bardzo do siebie podobne. A że Cundalończycy ubierali się wszyscy po solariańsku...

Thordin ze zdumieniem potrzasał głową wsłuchując się w rozgwar. - Nie rozumiem! - zawołał do Skorrogana usiłując przekrzyczeć wrzawę. - Znam przecież cundaloński, zarówno laui jak i muara, a jednak... - Nic dziwnego - odparł Skorrogan - prawie wszyscy mówią tu po solarsku. Języki miejscowe szybko obumierają.

Thusty Solarianin, w krzykliwym sportowym ubraniu, wrzeszczał na niewzruszonego miejscowego kramarza, który stał przed sklepikiem: - Ej, chłopie, dać tutejczych pamiołek, hophop... - "Sto słów po solarsku" - skrzywił się Skorrogan. - Co prawda i to się kończy, bo młodzi Cundalończycy już od dziecka się uczą poprawnego języka. Ale turyści są zawsze jednacy. - Zachnął się i mimo woli sięgnął po rozsadzacz.

Lecz zmieniły się czasy. Nie rozwalalo się dzisiaj kogoś dlatego tylko, że był antypatyczny. Nawet na Skontarze wyszło to z mody.

Turysta odwrócił się i wpadł na nich. - Przepraszam! - zawołał dość uprzejmie - powinienem

uważać.

- Nie szkodzi - wzruszył ramionami Skorrogan.

Solarianin przeszedł teraz na twardo akcentowany naarhaymski: - Naprawdę, bardzo mi przykro.

Czy mogę postawić wam coś do wypicia?

- Chyba nie - odparł Skorrogan i z lekka się zmarszczył.

- Co za planeta! Zacofana jak... jak Pluton. Jadą stąd na Skontar. Spodziewam się ubić tam parę interesów... bo wy, Skontarianie, znacie się na tym.

Skorrogan warknął wściekle i odskoczył ciągnąc Thordina za sobą. Odплыnęli motilatorem kilkaset metrów, gdy Valtam zapytał: - Gdzie podziały się twoje dobre maniery? Przecież on chciał być dla nas jak najbardziej uprzejmy. Chyba, że masz wrodzoną nienawiść do ludzi?

- Przeważnie ich lubię - rzekł Skorrogan - tylko nie ich turystów. Dziękujemy losom, że ten gatunek rzadko się pokazuje na Skontarze. Ich przedsiębiorcy, inżynierowie, uczeni są wszyscy bardzo mili. Cieszę się bardzo, że dzięki zacieśnieniu stosunków bada częściej do nas przyjeżdżać. Ale precz z turystami.

- Dlaczego?

Skorrogan gwałtownym gestem wskazał płonący neon, - Oto dlaczego! - rzekł tłumacząc solarskie napisy:

ZWIEDZAJCIE STAROŻYTNOŚCI CUNDALOA!

ORYGINALNE ANTYCZNE OBRZĘDY

PIERWOTNYCH KULTÓW MAUIROA!

BAJECZNIE KOLOROWY CZAR DAWNYCH OBYCZAJÓW!

ZWIEDZAJCIE ŚWIĄTYNIĘ NAJWYŻSZEGO BOSTWAI CENA WSTĘPU ZNIŻONA! DLA WYCIECZEK ULGI!

- Religia Mauiroa dawniej coś stanowiła - mówi? cichym głosem Skorrogan. - Była to wiara piękna i szlachetna, choć zawierała pierwiastki nienaukowe. Zresztą, można je było zmienić. Ale teraz na to za późno. Większość tubylców to neopanteiści albo niewierzący, a dawne obrzędy wykonują dla zysku. Robią z nich przedstawienie.

Skrzywił się. - Cundaloea zachowała stare, malownicze zabytki, folklor, melodie ludowe i resztę dawnej kultury. Ale uświadomiła sobie ich malowniczość, a to gorsze, niż gdyby je zniszczyła.

- Nie bardzo rozumiem, na co się tak oburzasz - rzekł Thordin. - Zmieniły się czasy. Na Skontarze też się zmieniły.

- Ale nie w ten sposób. Popatrz dokoła siebie: Nie byłeś nigdy w Systemie Solarnym, ale zdjęcia musiałeś oglądać. Więc chyba widzisz, że to jest typowe miasto solarskie. Trochę zacofane, być może, ale typowe. I w całym Systemie Avaiki nie znajdziesz miasta, które w swej istocie nie byłoby... ludzkie.

- Nie znajdziesz tu - ciągnął - kwitnącej niegdyś sztuki, literatury, muzyki. Same tanie naśladownictwa wyrobów solarskich lub nędzne podrabianie zamaryłych rodzimych tradycji, fałszowaną romantykę przeszłości. Nie znajdziesz nauki, która w swej istocie nie byłaby solarska, maszyn innych aniżeli solarskie; coraz mniej domów, które można odróżnić od szablonowego mieszkania ludzkiego. Rozpadły się związki rodowe, podstawa miejscowej kultury, a stosunki małżeńskie są równie przypadkowe jak na samej Ziemi. Znikło dawne przywiązanie do wsi, nie ma już prawie wcale gospodarstw plemiennych. Młodzież pcha się do miast, aby zarobić milion abstrakcyjnych kredytów. Jedzą wyroby fabryk żywnościowych typu solarskiego i krajowe dania

można dostać tylko w nielicznych drogich restauracjach.

- Nie ma już - mówił dalej - ręcznie lepionych naczyń, ręcznie wyrobionych tkanin. Wszyscy noszą to, co produkują fabryki. Nie ma dawnych poetów i bardów, nikt zresztą by ich nie słuchał. Wszyscy siedzą przy telewizorach. Nie ma filozofów ze szkoły araklejskiej czy vranamauskiej, są tylko podrzędni komentatorzy Russela i Korzybskiego...

Skorrogan umilkł. Thordin długo się nie odzywał, a potem rzekł z namysłem: - Rozumiem do czego zmierzasz. Cundaloo zrobiła z siebie odbitkę solarskich wzorów.

- Tak jest. Nieuniknione to było już od chwili, kiedy przyjęli pomoc Solarian. Musieli tym samym przyjąć solarską naukę, solarską ekonomikę, a wreszcie całą kulturę solarską. Gdyż to był jedyny wzór zrozumiały dla ludzi, a oni kierowali całą odbudową. Ich kultura dawała bardzo pomyślne wyniki, więc Cundaloo przyjęła ją z łatwością. A teraz już za późno. Nie mogą tego odrobić. I nawet nie chcą odrabiać.

- Czy wiesz - dodał - że raz się tak już zdarzyło? Znam historie Solarnego Systemu i historię Ziemi. Kiedyś, zanim ludzie dosięgli innych planet w swoim układzie, istniały na Ziemi liczne kultury, czasem bardzo odmienne. Lecz w końcu jedna z nich, tak zwana społeczność zachodnia, uzyskała tak miażdżącą przewagę technologiczną, że... że nikt z nią nie mógł współistnieć. Chcąc skutecznie rywalizować, musiano przejmować samą postawę życiową Zachodu. A kiedy Zachód komu pomagał, sprowadzało się to do pomocy w naśladowaniu Zachodu. W rezultacie, mimo najlepszych intencji, zniszczył wszelką inną postać kultury i życia.

- I to przed tym chciałeś nas ocalić? - spytał Thordin. - Rozumiem twój punkt widzenia. Zastanawiam się jednak, czy wartość uczuciowa dawnych instytucji była dość wielka, by poświęcić dla nich miliony straconych istnień oraz dziesięć co najmniej lat cierpień i wyrzeczeń.

- To nie tylko wartość uczuciowa! - rzekł z przejęciem Skorrogan. - Czy tego nie widzisz? Przyszłość leży w nauce. Chcąc dojść do czegoś musieliśmy zastosować metody naukowe. Ale czy nauka Solarian ma być jedyną drogą? Czy aby wyżyć, trzeba się stać jakimiś ludźmi drugiej kategorii? Czy też można znaleźć inną jeszcze drogę, wolną od przytłaczającej pomocy wysoko rozwiniętej, lecz obcej nam rasy, i z gruntu obcej nam obyczajowości? Uważałem, że można. Uważałem, że trzeba.

- Bo żadna - ciągnął - pozaludzka rasa nie stanie się nigdy prawdziwie udanymi ludźmi. Zbyt odmienne są same podstawy psychiki: tryb przemiany materii, instynkty, wzory myślowe, wszystko. Jedna rasa może rozumować w kategoriach drugiej, ale nigdy zbyt dobrze. Wiesz, jak trudną rzeczą jest przekład z jakiegoś obcego języka. A wszelka myśl zawiera się w mowie. Mowa i język są odbiciem podstawowych wzorów myślowych. Najbardziej ścisła, dokładna i precyzyjna filozofia i nauka jakiegoś gatunku nigdy nie będzie miała swego pełnego sensu dla odmiennej rasy. Dlatego że każda buduje nieco inne uogólnienia na podłożu tej samej zasadniczej rzeczywistości. - Chciałem - tu głos mu zadrżał - uchronić nas od zostania duchowymi satelitami Solarnego Układu. Skąg był zacofany. Musiał zmienić swoją modłę życia. Ale - dlaczego ją zmieniać na całkiem obcy wzór? Dlaczego nie wymusić stworzenia w przyspieszonym tempie wzoru własnego, w zgodzie z naturalną drogą naszego rozwoju?

Wzruszył ramionami. - Zrobiłem to - dokończył spokojnie. - Ryzyko było straszne. Ale się udało. Ocaliliśmy swoją kulturę. Jest nasza. Zmuszeni przez konieczność do budowy o własnych siłach naukowej kultury, wytworzyliśmy własne metody.

- Znasz wyniki. Dyrin rozwinął semantykę, którą od początku wykpiwali solarscy uczeni. Zbudowaliśmy czworościenny statek, uważany za niemożliwość przez inżynierów ludzkich, a który dzisiaj przemierza całą Galaktykę w tym samym czasie, w jakim ich staroświecki statek dociera

zaledwie z Ziemi do Alfa Centauri. Udoskonaliliśmy worp przestrzeni, psychosymbologię naszej rasy - niezdatną dla żadnej innej - nowy typ rolnictwa, z zachowaniem wolnego kmiecia, ostoji naszej kultury... słowem, wszystko! W przeciągu półwiecza Cundaloo została zrewolucjonizowana. Ale Skontar sam się zrewolucjonizował. A to jest wszechświat różnic!

W ten sposób ocalały też imponderabilia: sztuka, rzemiosła, obyczaje, muzyka, język, literatura, religia. Rozmach naszych sukcesów nie tylko pozwala nam sięgnąć do gwiazd, czyniąc z nas wielkie mocarstwo Galaktyki. Rozmach ten spowodował ponadto wielkie odrodzenie imponderabiliów, równe najwspanialszemu Złotemu Wiekowi.

A to wszystko dlatego, że zostaliśmy sobą.

Pograżył się w milczeniu. Thordin dłuższy czas również nie wypowiedział słowa. Weszli w boczną, cichą uliczkę starej dzielnicy. Większość budynków pochodziła z epoki przedsolariańskiej i widziało się jeszcze sporo dawnych krajowych ubiorów. Przewodnik oprowadzał grupę turystów ludzkich, którzy stłoczyli się przy straganie garncarskim. - A więc? - zagadnął Skorrogan.

- Sam nie wiem. - Thordin potarł oczy w zadumie. - Wszystko to takie jest niespodziane. Może masz rację. A może i nie. Muszę o tym chwilę pomyśleć.

- Ja myślałem pięćdziesiąt lat - rzekł sucho Skorrogan - więc mogę, oczywiście, użyczyć ci kilku minut.

Podeszli do straganu. Stary Cundalończyk siedział tam pośród stosu towarów: jaskrawo malowanych dzbanów, czarek i mis. Wyrób tubylczy. Jakaś kobieta targowała się o jeden z przedmiotów.

- Przyjrzyj się temu - rzekł do Thordina Skorrogan. - « - Czy oglądałeś kiedy stare wyroby? To tandeta, robiona tysiącami na sprzedaż turystom. Rysunek jest zniekształcony, wykonanie ohydne. Ale każda krzywizna, każda kreska w tych wzorach kiedyś coś oznaczała.

Wzrok ich padł na dzban, stojący obok starego kramarza i nawet niełatwy do wzruszeń Valtam aż drgnął z zachwytu. Dzban jakby płonął, wydawał się żywy. W połyskliwej, doskonałej prostocie czystych linii, w długich, smukłych wygięciach, ktoś jakby zawarł całą swoją tęsknotę i miłość. Myślał może: ten dzban będzie żył, kiedy mnie już nie będzie.

Skorrogan gwizdnął. - Najprawdziwszy autentyk! Stara rzecz - powiedział.

- Musi mieć grubo ponad sto fet. Muzealny okaz! Jak to trafiło do tej rupieciarni?

Stłoczeni Ziemianie trzymali się nieco z dala od olbrzymich Skontarian i Skorrogan patrzył na wyraz ich twarzy ze smętnym rozbawieniem: mają respekt przed nami. Solarianie przestali już nienawidzić Skontaru; podziwiają nas. Wysyłają swą młodzież, aby studiowała naszą naukę i język. Ale Cundaloo już się dla nich nie liczy.

Tymczasem kobieta idąc za jego spojrzeniem zobaczyła dzban, lśniący obok starego kramarza. Zawróciła. - Ile? - spytała.

- Nie sprzedać - rzekł Cundalończyk. Mówił zduszonymi szeptem i obciągnął na sobie wytartą opończę.

- Sprzedać - uśmiechnęła się sztucznie do starego. - Dać dużo pieniędzy. Dać dziesięć kredytek.

- Nie sprzedać.

- Ja dać sto kredytek. Sprzedać!

- To moje własne. Rodzina mieć długo lat. Nie sprzedać.

- Pięćset kredytek! - wymachiwał przed nim banknotami.

Stary przycisnął dzban do zapadłej piersi i spojrzął czarnymi wilgotnymi oczyma, w których ukazały się łatwe łzy sędziwego wieku. - Nie sprzedać. Idź. Nie sprzedać oamaui.

- Chodźmy - mruknął Thordin. Chwycił Skorrogana za ramię i pociągnął go silnie. - Chodźmy stąd.

Wracajmy na Skontar.

- Już?

- Tak, tak. Miałeś rację, Skorrogan. Miałeś rację i chcę cię publicznie przeprosić. Jesteś naszym zbawcą. Ale wracajmy do siebie!

Pośpieszyli w stronę kosmoportu. Thordin pragnął zapomnieć jak najprędzej oczy starego Cundalończyka. Ale wątpił, czy kiedykolwiek mu się to uda.

Tłumaczył Julian Stawiński

Socjologowie i pedagodzy stale podkreślają ogromny wpływ otoczenia na wychowanie człowieka. Genetycy natomiast zwracają uwagę na rolę dziedziczności, na istnienie pewnych doniosłych właściwości, które są wrodzone i jeśli w ogóle ulegają przemianom, to niesłychanie powoli, w nieznacznym tylko stopniu i z wielkim trudem. Może jednak dzieje się tak po części dlatego, że na Ziemi podstawowe warunki rozwoju są wszędzie dość podobne, więc do jakichś stanowczych wniosków można by było dojść wtedy dopiero, gdybyśmy mogli wychować na dwóch różnych zupełnie planetach dzieci tych samych rodziców, a najlepiej bliźniaków. Jak się zachowają, gdy potem zetkną się ze sobą? Czy odezwie się, a więc okaże rzeczywistością, tak zwany głos krwi? Zresztą, nie uprzedzajmy wypadków.

ISAAC ASIMOV - Dziedziczość

Doktor Stefansson przesunął pieśczośliwie palce po grubym maszynopisie, który leżał przed nim na biurku.

- Wszystko to jest tutaj, Harvey - powiedział. - Dwadzieścia pięć lat pracy.

Dystyngowany profesor Harvey pyknął niedbale ze swojej fajki.

- Tak, ty swoje już zrobiłeś. I Markey zrobił swoje na Ganimedzie. Reszta zależy od samych chłopców.

Krótką chwilą milczenia, po czym znów doktor Stefansson niepewnym głosem:

- Będziesz musiał niedługo powiedzieć Allenowi.

- Tak - przytakuje tamten spokojnie. - W każdym razie zanim wylądujemy na Marsie. Ale im prędzej, tym lepiej. - Uczynił pauzę, lecz po chwili dodaje nieco żywszym tonem: - Wyobrażam sobie, jakie to musi być głupie uczucie, jak się człowiek dowie po dwudziestu pięciu latach, że ma brata bliźniaka, którego nigdy nie widział na oczy. Ładna niespodzianka, co?

- A jak George to przyjął?

- Z początku nie chciał wierzyć. I trudno mu się specjalnie dziwić. Markey napracował się jak dziki osioł, nim go wreszcie przekonał, że to nie żaden głupi kawał. Pewnie i ja będą miał ciężki orzech do zgryzienia z Allenem.

Wystukał z fajki resztkę nie dopalonego tytoniu, pokiwał porozumiewawczo głową.

- Chwilami korci mnie, żeby także wybrać się na Marsa - wyznał z powagą doktor Stefansson. - Chciałbym być przy tym, jak ci dwaj się spotkają.

- Och, Stef, chyba nie zrobiłbyś takiego głupstwa. Za wiele czasu poświęciliśmy na ten eksperyment i za wielkie jest jego znaczenie, żeby ryzykować taki nierozważny krok, który może wszystko popsuć.

- Wiem, wiem! Dziedziczość a środowisko! Może wreszcie uzyskamy konkretną odpowiedź. - Mówił na w pół do siebie, jakby powtarzając starą, dobrze znaną formułkę. - Dwa identyczne bliźniaki, rozdzielone tuż po urodzeniu. Jeden wychowany na starej, dawno ujarzmionej Ziemi, drugi na dzikim Ganimedzie. W dniu ukończenia dwudziestu pięciu lat - spotykają się po raz pierwszy na Marsie. Mój Boże, że też Carter tego nie dożył. W końcu to przecież jego synowie.

- Tak, to przykre. No, ale żyjemy my i żyją chłopcy. Naszym obowiązkiem wobec niego jest doprowadzić eksperyment do pomyślnego końca.

Każdy, kto ujrzy marsjańską ekspozyturę Zjednoczenia Farmaceutycznego, musi na pierwszy rzut oka być przekonany, że budynek ten stoi w szczerzej pustyni. Nic nie świadczy o tym, że pod ziemią mieszczą się rozległe wydrążenia, w których marsjańskie grzyby pod działaniem sztucznych nawozów tworzą olbrzymie kwitnące pola. Rozgałęziony system komunikacyjny, który łączy najodleglejszy zakątek każdego z tych wielomilowych pól z budynkiem centralnym, jest niewidoczny dla oka. Również ukryte pod ziemią są urządzenia do oczyszczania powietrza, system irygacyjny i rury odprowadzające. Jedynym, co nowoprzybyły dostrzeże pośród suchej marsjańskiej pustyni o barwie rdzy, jest długa przysadzista budowla z czerwonej cegły.

Tę Właśnie budowlę zobaczył George Carter przybywszy na Marsa taksówką raketową, tyle tylko, że jego te pozory nie wprowadziły w błąd. Prawdę mówiąc, byłoby rzeczą co najmniej dziwną, gdyby go wprowadziły, gdyż całe dotychczasowe życie George'a Cartera na Ganimedzie pomyślane było, aż do najdrobniejszych szczegółów, jako przygotowanie do stanowiska naczelnego

dyrektora tej właśnie ekspozytury, a więc znał on każdy cal podziemnych pieczar niemal tak dobrze, jak gdyby się tutaj urodził i wychował.

Siedział teraz wraz z profesorem Lemuelem Harveyem w niewielkim gabinecie i w jego opanowanych ruchach z ledwością można się było doszukać leciutkich śladów niepokoju. Poszukał swymi bladoniebieskimi oczami wzroku profesora.

- Ten... ten mój brat powinien się tu chyba zjawić niedługo?

Profesor Harvey kiwnął głową.

- Lada chwila powinien być.

George Carter założył nogę na nogę. Minę miał niby to skupioną. - To on taki do mnie podobny, ten mój brat?

- Podobny to mało. Jesteście identycznymi bliźniakami; przecież wiesz.

- Niby tak. Wiem. Cholerna szkoda, że nie wychowywał się razem ze mną na Ganiu. To jest, na Ganimedzie, chciałem powiedzieć. - Skrzywił się. - To on całe życie spędził na Ziemi?

Na twarzy profesora Harveya odmalowało się zainteresowanie. Zapytał wprost:

- Nie bardzo lubisz Ziemiaków, co?

- Nie, nawet nie to, żebym nie lubił - brzmiała natychmiastowa odpowiedź George'a. - Tylko że to wszystko takie delikatne. A może tylko ja miałem do takich szczęście.

Harvey zagryzł wargi. Na tym rozmowa się urwała.

Brzęczenie u drzwi obudziło Harveya z zamyślenia, a George'a Cartera poderwało z fotela na równe nogi. Profesor sięgnął w stronę biurka i nacisnął taster. Drzwi się otworzyły.

Mężczyzna stojący w progu wszedł do pokoju i zatrzymał się. Po raz pierwszy bliźniacy spotkali się twarzą w twarz.

Chwila była pełna napięcia. Profesor Harvey osunął się w głąb miękkiego fotela i zwałszy koniuszki palców śledził spotkanie z zapartym tchem.

Bracia stali sztywno o parę kroków od siebie i żaden ani drgnięciem nie zdradzał ochoty, żeby zmniejszyć tę odległość. Stanowili dziwnie kontrastową parę, tym osobliwszą, że odmienność ich strojów jeszcze podkreślała niezwykle fizyczne podobieństwo.

Bladoniebieskie oczy jednego mierzyły badawczo takie same bladoniebieskie oczy drugiego. Obaj mieli zupełnie takie same długie proste nosy, a pod nimi pełne, krwiste wargi, mocno teraz zaciśnięte. Kości policzkowe jednego były tak samo wystające jak kości policzkowe drugiego, podbródki równie kanciaste i wydatne. Jednakowo, śmiesznie uniesiona jedna brew nadawała nawet ten sam wyraz na pół poważnego, na pół ironicznego oczekiwania twarzom obydwu.

Na twarzach jednak kończyło się całe podobieństwo. Ubranie Allena Cartera było w każdym calu nieomylnym strojem nowojorczyka. Od luźnej kurtki, poprzez purpurowe bryczesy i łososiowe celulitowe skarpety, aż po mieniące się sandały na nogach, calutki, stanowił Allen żywe wcielenie najnowszej ziemskiej mody.

Na przelotną chwilę obezwładniło George'a Cartera poczucie prostackiego wyglądu, jaki nadawała mu obcisła, oblepiona na karku i na rękach koszula z ganimedańskiego płótna. Równie niezgrabna i prowincjonalna była jego kamizela bez guzików i bufiaste spodnie o nogawkach wpuszczonych w wysokie sznurowane buty na grubych podeszwach. Nawet on to czuł - przez chwilę.

Pierwszy z braci poruszył się Allen - z kieszeni w rękawie wyjął papierośnicę, otworzył ją i wyciągnął smukłą okrągłą pałeczkę tytoniu owiniętą w bibułkę, która samoczynnie zabłysnęła ognieńkiem za pierwszym pociągnięciem.

George zawahał się na ułamek sekundy, nim odpowiedział ruchem, który stanowił nieomal że

wyzwanie - wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni swej kamizeli i wyjął zielone chropowate cygaro z ciasno zwijanych liści pewnej ganimedańskiej rośliny. Zapalił zapałkę o paznokciec i przez dłuższą chwilę naśladował ruchy brata, zaciągając się w jednakowych odstępach czasu.

Wreszcie Allen roześmiał się - wysokim, nienaturalnym śmiechem.

- Ty masz chyba oczy rozstawione nie tak szeroko jak ja.

- Może i mam. A ty jesteś jakoś inaczej uczesany.

W jego głosie czuć było lekką dezaprobatę i Allen przejechał niepewnie palcami po swoich długich kasztanowatych lokach, starannie podfryzowanych u koniuszków. Jednocześnie patrzył spod oka na włosy brata, równie długie, ale związane w niedbały węzeł.

- No cóż, będziemy musieli przyzwycząić się do swojego wyglądu. Jeśli chodzi o mnie, chętnie spróbuję.

I przybysz z Ziemi ruszył w stronę brata z wyciągniętą dłonią. George się uśmiechnął.

- Chcesz się założyć? I u was to przyjęte?

Dwie dłonie spotkały się w uścisku,

- Na imię ci Allen, he? - powiedział George.

- A tobie George? - odparł Allen.

Potem przez długą chwilę nie mówili nic więcej. Przyglądali się sobie nawzajem, z uśmiechem na ustach, nie bardzo wiedząc, jak przebyć przepaść tych dwudziestu pięciu lat, które ich dzieliły.

George Carter ogarnął beznamiętnym spojrzeniem kobierzec niskich czerwonych kwiatów, poprzerzynany drózkami na równe działki, rozpostarty jak okiem sięgnąć w mglistą perspektywę podziemnych pieczar. Niech sobie dziennikarze i poeci wypisują swoje banialuki o "roślinnych skarbach" Marsa, skondensowanych wyciągach, których uzyskuje się zaledwie uncje z plonu wielu akrów, narkotykach, czystych witaminach, nowym specyfiku roślinnym przeciwko zapaleniu płuc - o tych wszystkich lekach, bez których nie mogłaby się obejść medycyna Zjednoczonego Systemu. Dla George'a Cartera te kwiaty cenione na wagę złota były tylko roślinami, które trzeba było wyhodować, zebrać, opakować i dostarczyć do odległych o kilkaset mil laboratoriów w Aresopolis.

Zmniejszył do połowy szybkość swego małego wozu terenowego i wychylił się z pasją przez okno.

- Te, śpiąca lala! Nie, ten z brudną twarzą! Uważaj, jałopie, co robisz! Nie spuszczaaj przecież tej wody z kanału!

Cofnął głowę do środka i wóz skoczył znowu naprzód. Przybysz z Ganimeda kłął teraz z wściekłością pod nosem.

- Banda idiotów! Wszyscy oni tutaj tacy sami! Tak długo maszyny robią za nich każde najmniejsze głupstwo, że taki jeden z drugim oduczył się już zupełnie myśleć!

Zatrzymał wóz i wygramolił się na drózkę. Klucząc pomiędzy działkami, zbliżył się do grupy ludzi stłoczonych wokół maszyny o długich kończynach pająka.

- No, Allen, jestem. Co to za przedstawienie?

Głowa Allena wychyliła się zza maszyny. Zamachał rękami w kierunku zgromadzonych ludzi. - Zatrzymajcie ją na chwilę - krzyknął i podskoczył na spotkanie brata.

- George, wyobraź sobie, działa. Na razie jeszcze wolno i trochę niezdarnie, ale działa. Podstawowe trudności przezwyciężone, teraz trzeba tylko udoskonalić. Jeszcze trochę i...

- Wolnego, wolnego, Allen. Na Ganiu ludzie nie są tacy w gorącej wodzie kąpani. Dłużej się przez to żyje. Co to w ogóle jest?

Allen milczał chwilę, ocierając pot z czoła. Twarz świeciła mu się od tłuszczu, potu i podniecenia.

- Zacząłem nad tym pracować, gdy tylko ukończyłem studia - powiedział. - Przypomina to trochę

jedną maszynę używaną na Ziemi. Tylko jest oczywiście bez porównania ulepszone. Maszyna do zrywania kwiatów.

Wyciągnął z kieszeni złożony w szesnaścioro arkusz grubego papieru i wciąż mówiąc, rozpościerał go na dróźce.

- Wiesz sam dobrze, że jak dotąd wąskim gardłem naszych zakładów był zawsze zbiór kwiatów, jeśli już nawet pominąć te piętnaście-dwadzieścia procent strat powodowanych zrywaniem kwiatów przekwitłych albo nie dość rozkwitłych. Oczy ludzkie są w końcu tylk ludzkimi oczami, a kwiaty... Zresztą popatrz sam!

Arkusz leżał rozpostarty na ziemi i Allen przykucnął nad nim. George, nastroszony nieufnie, zaglądał mu przez ramię.

- Widzisz, Maszyna działa na zasadzie połączenia fluoroskopu z komórką fotoelektryczną. O właściwym stadium rozkwitu świadczy stopień dojrzałości zarodników. Otóż maszyna jest tak skonstruowana, że obwód właściwy zamyka się w niej tylko w wypadku natrafienia na światłocień zarodników charakterystyczny dla kwiatu we właściwym stadium rozkwitu. W przeciwnym wypadku zamyka się drugi obwód... Zresztą sam zobaczysz. Łatwiej to pokazać niż wytłumaczyć.

Zerwał się na równe nogi, pełen zapału. Jednym skokiem znalazł się na niskim siodełku maszyny i nacisnął dźwignię.

Maszyna ruszyła statecznie pomiędzy kwiaty. Jej "oko" latało bezustannie to w prawo, to w lewo, na wysokości sześciu cali od ziemi, i za każdym razem, gdy natknęło się na kwiat, z maszyny wyskakiwała długa pajęczka macka, przecinała zrećnie łodyżkę w odległości pół cala od grzybni i kładła delikatnie zdobycz na równi pochyłej, po której kwiaty zsuwały się na ziemią i układały równymi rządkami za maszyną.

- Później będziemy mogli pomyśleć jeszcze o automatycznym wiązaniu. Zauważyłeś, że niektóre kwiaty omija. To są nie dość rozkwitłe. Poczekaj, aż natrafi na przekwitły. Zobaczysz, co się stanie.

Po chwili wydał okrzyk tryumfu, gdy jedna z macek porzuciła wyrwany kwiat na miejscu. Zatrzymał maszynę.

- No, widziałeś? Jeszcze z miesiąc i będziemy mogli rozpocząć mechaniczny zbiór na polach.

George Carter spojrzał cierpko na brata.

- O, to potrwa dłużej niż miesiąc. Pewnie raczej do świętego nigdy.

- Co to znaczy do świętego nigdy? Trzeba sprawę przyśpieszyć, jak się tylko da.

- Nic mnie nie obchodzi, co trzeba. Nigdy się nie zgodzę, żeby ta maszyna pracowała na moich polach.

- Na twoich polach?

Tak, na moich - brzmiała chłodna odpowiedź - Ja mam tutaj prawo weta tak samo jak i ty. Nie możesz tu niczego robić bez mojej zgody. A na to nigdy się nie zgodzę. I żądam, żebyś to swoje cudo w ogóle stąd usunął, rozumiesz? Nie potrzebne nam to do niczego!

Allen zlął z siodełka i stanął twarzą w twarz z bratem.

- Oddając mi tę działkę do dyspozycji, wyłączyłeś ją spod prawa weta. Zgodziłeś się, żebym na niej dokonywał, jakich chcę eksperymentów. Trzymam cię za słowo.

- Więc dobrze. Ale nie waż mi się pokazywać z tym całym swoim wynalazkiem na żadnym innym polu. Jasne?

Ziemianin zbliżył się jeszcze o krok do tamtego. W oczach miał niebezpieczne ogniki.

- Słuchaj, George. Coś nie podoba mi się twoje podejście do tej całej sprawy. I nie podoba mi się sposób, w jaki używasz prawa weta. Nie wiem, do czego przyzwyczyłeś się na Ganimedzie, ale tym razem gra idzie o grubą stawkę i będziesz musiał wybić sobie z głowy te swoje prowincjonalne

przesady.

- Jak mi się spodoba, rozumiesz? I w ogóle jeśli chcesz się ze mną kłócić, chodźmy lepiej do biura. Takie sceny przy ludziach nie wpływają najlepiej na dyscyplinę.

Droga powrotna do Budynku Centralnego odbywała się w złowróżbnym milczeniu. George pogwizdywał cichutko pod nosem, zaś Allen skrzyżował ręce na piersiach i wpatrywał się z ostentacyjną obojętnością przed siebie, w wąską, krętą wstążkę drogi. Nie przerywając milczenia weszli do gabinetu Ziemianina. Allen wskazał krótkim gestem fotel i Ganimedańczyk zajął go bez słowa. Wyciągnął swoje nieodłączne zielone cygaro i czekał, aż tamten przemówi.

Allen przycupnął na brzeżku krzesła i oparł się obydwoma łokciami o biurko. Zaczął gwałtownie:
- Słuchaj, George. Jest masę rzeczy w tej całej sytuacji, których ja ani w ząb nie mogę zrozumieć. Nie rozumiem, dlaczego tak im zależało, żebyśmy nawzajem nie wiedzieli o swoim istnieniu, i dlaczego w końcu mianowali nas współ-dyrektorami tych zakładów, przyznając każdemu prawo weta przeciw decyzjom drugiego. Ale wiem jedno: że ta sytuacja staje się powoli nie do wytrzymania. Zakłady wymagają na gwałt modernizacji, wiesz o tym równie dobrze jak ja. A jednak niech tylko spróbuję wprowadzić jakiegokolwiek najgłupsze ulepszenie, ty zaraz wyskakujesz z wetem. Nie bardzo rozumiem twoje stanowisko, ale coś mi się wydaje, że ty ciągle zapominasz, że już nie jesteś na tym swoim Ganimedzie. Jeśli masz zamiar dalej robić mi takie obstrukcje, ostrzegam cię, dobrze się zastanów. Ja wychowałem się na Ziemi i nie jestem przyzwyczajony do takiej roboty, rozumiesz? I nie ustąpię, dopóki w tych zakładach rnie będzie wszystko grało jak na Ziemi.

George wypuścił kłęb wonnego dymu ku sufitowi, zanim odpowiedział; ale gdy się wreszcie odezwał, patrzył ostro przed siebie, a jego głos brzmiał wyraźną nutką sarkazmu.

- Jak na Ziemi! Ni mniej, ni więcej, tylko jak na Ziemi! Wiesz co, Allen, podobasz mi się. Mimo wszystko nie mogę cię nie lubić, bo to by było równie przykre, jak nabrać obrzydzenia do samego siebie. Ale uważam, że twoje wychowanie było od początku do końca niewłaściwe. - W jego głosie dźwięczała teraz ostra nuta oskarżenia. - Tak, jesteś Ziemianinem. Wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby się o tym przekonać. Przykro mi to mówić. Jesteś stuprocentowym Ziemianinem, ale najwyżej pięćdziesięcioprocentowym człowiekiem. I oczywiście uciekasz się do pomocy maszyn. Ale ja sobie nie życzę, żeby całą pracę w naszych zakładach wykonywały maszyny. Nic, tylko maszyny. A co będą robić ludzie?

- Kierować pracą maszyn - brzmiała krótka, gniewna odpowiedź.

Ganimedańczyk podniósł się i trzasnął pięścią w stół. - To maszyny kierują ludźmi, wiesz o tym dobrze. Najpierw człowiek posługuje się nimi, później coraz trudniej mu się bez nich obejść, aż w końcu staje się ich niewolnikiem. W tym twoim ziemskim raju to nic, tylko maszyny i jeszcze raz maszyny. I w rezultacie co z ciebie wyrosło? Marna imitacja człowieka!

Opamiętał się.

- Ale mimo wszystko lubię ciebie. Lubię ciebie tak bardzo, że mi żal, że nie wychowałeś się razem ze mną na Ganiu. Jak Boga kocham, to by z ciebie zrobiło człowieka.

- Skończyłeś? - zapytał Allen.

- Mniej więcej!

- To teraz ja ci coś powiem. Nie jest z tobą jeszcze tak źle, żeby kilka lat na jakiejś porządnej planecie nie mogło doprowadzić cię do porządku. Ale tak jak sprawy mają się teraz, to twoje miejsce jest na Ganimedzie. I ja osobiście radziłbym ci tam jak najprędzej wracać.

- Ale nie masz chyba zamiaru agitować mnie do tego przy pomocy pięści? - powiedział George bardzo cicho.

- Nie. Nie potrafiłbym podnieść ręki na swojego własnego sobowtóra. Ale gdybyś miał gębę chociaż trochę inną niż ja, z całą przyjemnością rozkwasiłbym ci ją kapkę.

- Myślisz, żeby ci się to udało, takiemu chuchru jak ty. No, ale lepiej siadajmy. Zdaje się, żeśmy się obaj unieśli trochę zanadto. W ten sposób nic nie załatwimy.

Usiadł z powrotem i spróbował bez powodzenia zaciągnąć się cygarem, które jednak zgasło podczas rozmowy; z niesmakiem cisnął je w otwór prowadzący do spalarni śmieci.

- Masz tu gdzie wodę? - burknął.

Allen aż wyszczerzył zęby z nagłej uciechy.

- Nie będziesz miał chyba nic przeciwko temu, jeśli podam ci ją metodą zmechanizowaną?

- Zmechanizowana? Nie rozumiem.

I Ganimedańczyk rozejrzał się podejrzliwie dokoła.

- Popatrz tutaj. Zainstalowałem sobie to urządzenie tydzień temu.

Nacisnął jakiś guziczek na biurku i zaraz gdzieś w głębi rozległo się szczeknięcie. Przez chwilę słychać było odgłos nalewanej wody, po czym po prawej ręce Ziemianina odsunęła się metalowa tarcza i ze środka wyjechał kubek wody.

- No, masz swoją wodę - rzekł Allen.

George sięgnął ostrożnie, wypił. Wrzucił puste naczynie do przewodu spalarni i przez dłuższą chwilę wpatrywał się z namysłem w twarz brata.

- Mogę zobaczyć to twoje urządzenie nawadniające?

- Jasne. Wszystko jest zainstalowane pod biurkiem. Poczekaj, odsunę się trochę.

Ganimedańczyk wlaź pod biurko, a Allen niepewnym spojrzeniem śledził jego ruchy. Po chwili wysunęła się spod biurka muskularna ręka i przytłumiony głos powiedział:

- Podaj mi śrubokręt.

- Zaraz. A co ty tam będziesz robił ze śrubokrętem?

- Nic. Nic takiego. Chcę się tylko przekonać, jak działa ten twój wynalazek.

Allen podał śrubokręt i na kilka minut zaległa cisza. Tylko od czasu do czasu słychać było leciutkie tarcie metalu o metal. W końcu ukazała się zaróżowiona twarz George'a. Ganimedańczyk z zadowoleniem poprawił przekrzywiony kołnierzyk.

- To który guzik jest od wody?

Allen wskazał. Po naciśnięciu znowu rozległ się odgłos ciekącej wody. Ziemianin spoglądał nic nie rozumiejąc to na biurko, to znów na brata. Aż wreszcie spostrzegł pod nogami kałużę. Zerwał się na równe nogi, zajrzał pod biurko i wykrzyknął skonsternowany:

- Niech cię wszyscy diabli! Coś ty tam zmajstrował?

Woda wydobywała się już krętymi strużkami spod biurka, a chlupot wciąż nie ustawał. George ruszył niedbałym krokiem w stronę drzwi.

- Nic nadzwyczajnego. Zrobiłem po prostu krótkie spięcie. Łap śrubokręt, będziesz musiał naprawić ten swój wodopój. - I nim zatrzasnął za sobą drzwi, dorzucił jeszcze: - Wiesz teraz, co myślę o twoich wspaniałych wynalazkach. Zawsze się psują w najnieodpowiedniejszym momencie.

Brzeczyc bzycał natrętnie i Allen Carter zirytowany otworzył jedno oko. Było jeszcze ciemno.

Z westchnieniem sięgnął za siebie i włączył audytor. Piskliwy głos Amosa Wellsa z nocnej zmiany załamywał się ze zdenerwowania. Allen otworzył szeroko oczy i usiadł.

- Oszalałeś! - powiedział.

Ale nim zdążył wypowiedzieć to jedno słowo, naciągnął spodnie. Nie minęło dziesięć sekund, a pędził już na górę, przeskakując po trzy stopnie. Wpadł do centralnej rozdzielni tuż za bratem.

Pomieszczenie było już pełne ludzi. Panował tu nastrój paniki.

Allen odgarnął swoje długie włosy, które opadały mu na oczy.

- Zapalić reflektor na wieży - zarządził

- Jest zapalony - odpowiedział ktoś bezradnie. Ziemianin rzucił się do okna, wyjrzał na dwór.

Snop mętnego żółtego światła, wbity w gęstą ścianę mroku, sięgał zaledwie na odległość kilku stóp. Allen szarpnął okno, które ze zgrzytem uniosło się parę cali w górę. Z dworu wdarło się wycie wichru i zaraz odpowiedział mu wewnątrz chóralny spazm kaszlu. Allen czym prędzej zatrzasnął okno i zaczął rozpaczliwie trzeć załzawione oczy.

- Chyba niemożliwe, żeby to była burza piaskowa - powiedział George między jednym kichnięciem a drugim. - Przecież to nie jest strefa burz piaskowych.

- A jednak - potwierdził Wells swoim piskliwym głosem. - I to najwścieklesza ze wszystkich burz piaskowych, jakie przeżyłem. A zwała się od razu z całą siłą. Zaskoczyła mnie jak grom z jasnego nieba. Zanim zdążyłem zablokować wszystkie otwory, już było za późno.

- Za późno! - Allen przestał się interesować pełnymi piasku oczyma. Mówiąc, twardo siekał sylaby. - Na co za późno?

- Za późno, żeby zabezpieczyć tabor. Najgorsza sprawa z raketami. Wszystkie co do jednej mają urządzenia napędowe zanieczyszczone przez piasek. Pompy irygacyjne też zanieczyszczone, system wentylacyjny zatkany. W porządku są tylko generatory na dole, ale wszystko inne trzeba będzie rozbierać i czyścić. Jesteśmy unieruchomieni na jaki tydzień albo i więcej.

Zaległo krótkie, brzemienne milczenie, po czym Alien powiedział:

- Wells! Macie do dyspozycji dwie zmiany. Biercie się natychmiast do czyszczenia pomp. W ciągu dwudziestu czterech godzin muszą być z powrotem zdadne do użytku, bo inaczej zmarnuje się połowa zbiorów. Czekać, idę z tobą.

Odwrócił się, żeby iść, ale zamarł w pół kroku na widok radiooperatora Michaela Andersa, który właśnie wpadł do rozdzielni.

- Co się znowu stało?

- Ta cholerna planeta zwariowała do reszty - wykrztusił Anders łapiąc dech. - Trzęsienie ziemi, jakiego jeszcze nie było. Epicentrum o niecałe dziesięć mil od Aresopolis.

Zabrzmiało jednogłośnie "co", po czym posypały się bezsilne przekleństwa. Ludzie tłoczyli się przerażeni - wielu miało w marsjańskiej stolicy żony i rodziny.

- Zaskoczyło ich zupełnie - ciągnął Anders dysząc szybko. - Aresopolis w gruzach, rozprzestrzeniają się pożary. Szczegółów nie ma, bo stacja nadawcza w naszych laboratoriach umilkła przed paroma minutami...

Teraz w rozdzielni zrobił się rwetes. Wszyscy mówili jeden przez drugiego. Wiadomość dotarła szybko do najodleglejszych zakątków budynku i podniecenie zaczynało przybierać groźne rozmiary paniki. Allen zmuszony był podnieść głos do krzyku.

- Spokój tam! Na razie nie możemy w niczym pomóc tym w Aresopolis. Sami jesteśmy w krytycznej sytuacji. Ta nagła burza nie jest bez związku z trzęsieniem. Najpierw musimy pomyśleć o własnym bezpieczeństwie. Wszyscy z powrotem do roboty. Musicie dać z siebie wszystko. Pamiętajcie, że w Aresopolis będą potrzebowali naszej pomocy diablo niedługo. - Obrócił się do Andersa. - A ty wracaj natychmiast do aparatu i ani mi się rusz, dopóki nie nawiążesz na nowo kontaktu z Aresopolis. George, idziesz ze mną?

- Raczej nie - brzmiała odpowiedź. - Sam zajmij się swoimi maszynami. Ja zejść na dół z Andersem.

Był już świt, mętny ponury świt, gdy Allen Carter powrócił do centralnej rozdzielni. Był znużony, znużony na ciele i na duchu, i na takiego wyglądał. Skierował się do pokoju radiooperatora.

- Sytuacja jest bardzo ciężka i jeżeli...

Odpowiedziało mu gwałtowne "ciii" George'a, połączone z rozpaczliwym gestem. Allen zamilkł. Anders, pochylony nad odbiornikiem, obracał swoimi nerwowymi palcami małe tarcze. Podniósł głowę.

- Nic z tego, proszę pana. Nie odpowiadają.

- No, trudno. Ale nie ruszaj się i miej uszy szeroko otwarte. Jakby tylko coś, daj mi zaraz znać.

Odwrócił się do drzwi i ujawszy brata pod ramię pociągnął go za sobą.

- Kiedy może odejść następny transport, Allen?

- Najwcześniej za tydzień. Nie ma mowy, żebyśmy mogli uruchomić wcześniej jakikolwiek środek lokomocji. A jeszcze dłużej potrwa, zanim będziemy mogli na nowo przystąpić do zbioru.

- A mamy jakieś zapasy?

- Wszystkiego parę ton, już posortowane. Głównie purpura. Cała reszta poszła wtorkowym transportem na Ziemię.

George pogrążył się w swoich myślach. Jego brat odczekał chwile, po czym powiedział z przekąsem:

- I co ty tam kombinujesz, George? Są jakie wiadomości z Aresopolis?

- Diabło złe! Trzęsienie zrównało z ziemią pewnie ze trzy czwarte miasta, a reszta stoi w płomieniach. Z pięćdziesiąt tysięcy ludzi koczuje pod gołym niebem. Rozumiesz, co to znaczy? Przez całą marsjańską noc na dworze? O tej porze roku? W dodatku bez ziemskiego systemu grawitacji, bo oczywiście nic z niego nie zostało.

Allen gwizdnął.

- Zaczną się zapalenia płuc!

- Zapalenia płuc i zwykłe przeziębienia, grypy i tuzin różnych innych chorób. Nie mówiąc już o rannych i poparzonych. Stary Vincent alarmuje o pomoc.

- Nie ma kwiatów?

- Ma zapas wszystkiego na jakie dwa dni. Potrzebuje na gwałt nowego transportu.

Prowadzili całą tę rozmowę spokojnym, beznamiętnym tonem, dbając o zachowanie szerokiego marginesu niedomówień, jaki niezbędny jest, aby przetrwać kataklizm. Nastąpiła teraz chwila milczenia, po czym George odezwał się znowu:

- Kiedy najprędzej będziemy mogli coś wysłać?

- Żebyśmy na głowie stanęli, nie wcześniej niż za tydzień. Może oni by przysłali jakąś raketę, jak burza się trochę uciszy. Wzieliby na razie to, co jest, to by im starczyło, dopóki nie przygotujemy więcej.

- Nierealne, nie ma o czym mówić. Z lotniska w Aresopolis została tylko kupa gruzów. Nie mają ani jednej rakiety zdolnej do użytku.

Znów zaległo milczenie. Tym razem odezwał się pierwszy Allen niskim, nabrzmiałym głosem:

- I co ty mi się tak przyglądasz? Na co jeszcze czekasz?

- Czekam, kiedy przyznasz, że te twoje maszyny są diabła warte. Pierwsza ogniowa próba i od razu wszystkie zawiodły.

- Cóż? Przyznaję! - burknął Ziemianin.

- Dobrze i to! A teraz ja ci się postaram dowieść, że nie ma takiej przeszkody, której by ludzka pomysłowość nie była w stanie pokonać. - Podał mu kartkę papieru. - Radiogram, jaki posłałem Vincentowi.

Allen zmierzył brata badawczym spojrzeniem, po czym jął powoli odczytywać nagryzmołone ołówkiem zdania:

- "W przeciągu trzydziestu sześciu godzin dostarczymy wszystko, co mamy. Powinno wystarczyć do czasu, gdy będziemy mogli wysłać większy transport. I my tu mamy trochę kłopotów". Ciekaw jestem, jak ty to zrobisz - zapytał ukończywszy czytanie.

- Zaraz zobaczysz - odrzekł George i dopiero w tej chwili Allen zdał sobie sprawę, że brat wyprowadził go poza budynek centralny i że znajdują się gdzieś w głębi pieczar.

Jeszcze z pięć minut szedł George przodem, nim wreszcie zatrzymał się przed jakimś przedmiotem rysującym się ciemniejszymi konturami w półmroku. Zapalił światło i obwieścił:

- Stary zestaw pustynny!

Trzeba bezstronnie przyznać, że "zestaw" nie prezentował się zbyt imponująco. Złożony z niskiego ciągnika i trzech przysadzistych otwartych przyczep stanowił raczej widok żalospny i staroświecki. Zluzowany przez sanie piaskowe i rakiety transportowe przetrwał tutaj w zapomnieniu piętnaście lat.

- Przed godziną przeprowadziłem własnoręcznie kontrolę techniczną - ciągnął swoje Ganimedańczyk. - Ciągnik jest jeszcze na chodzie. Silnik spali nowy, łożyska kryte, klimatyzacja powietrzna w szoferce.

Brat zmierzył go przenikliwym spojrzeniem. Na jego twarzy malował się niesmak.

- Znaczy się, że to jest napędzane przy pomocy jakiegoś paliwa chemicznego?

- Aha! Benzyny. Mnie się to nawet podoba. Przypomina mi, jak to było na Ganiu. Miałem tam...

- Zaraz, zaraz. Ale przecież nie mamy tutaj benzyny.

- Pewnie, że nie mamy. Ale mamy kupę różnych innych płynnych związków węglowodorowych. Choćby rozpuszczalnik D. Przecież to prawie czysty oktan. A mamy go pełne zbiorniki.

- No, tak - rzekł Allen. - Tylko że w szoferce jest miejsce wszystkiego na dwie osoby.

- Wiem. Ja jestem jedną.

- Ja drugą. George zachnął się.

- Spodziewałem się tego. Ale wiedz, że to będzie trochę trudniejsze niż naciskanie guziczków na biurku. Nie uważasz, że to może okazać się ponad twoje siły, mój panie Ziemiannie?

- Nie uważam, Ganimedańczyku.

Musiało już być ze dwie godziny po wschodzie słońca, kiedy motor ciągnika ożył wreszcie równomiernym warkotem, ale mrok na dworze nie tylko nie zrzędł, lecz być może nawet zgęstniał.

Główna droga wyjazdowa z pieczar na powierzchnię planety pełna była zgiełku i krzątany. Groteskowe postacie o oczach spozierających ciekawie przez grube szkło zaimprovizowanych hełmów klimatyzacyjnych rozstały się na boki, gdy szerokie, przystosowane do piaszczystego terenu opony ciągnika drgnęły i jęły się powoli obracać. Trzy przyczepy już dość dawno załadowane były po brzegi purpurowymi kwiatami i szczelnie opięte brezentowymi osłonami - i teraz rozległ się sygnał, ażeby otworzyć bramę.

Czyjeś ręce nacisnęły dźwignię i podwójne odrzwia rozsunały się ze zgrzytem na boki. Ciągnik, ledwo widoczny w zamieci nawiewanego piasku, wypełził na zewnątrz i oblepione piaskiem postacie, rozpaczliwie przecierając szkło swoich hełmów, czym prędzej zasunęły bramę.

George Carter, przywykły do tego rodzaju sensacji podczas długoletniego pobytu na Ganimedzie, skwitował jednym głębokim oddechem nagłą zmianę ciężkości, kiedy ciągnik znalazł się poza obrębem pola ochronnej grawitacji, działającej wewnątrz pieczar. Jego dłonie ani drgnęły na kierownicy. Natomiast jego ziemskiemu bratu wiele brakowało do tak fortunnej kondycji. Mdlący, bolesny skurcz, jaki ściał mu żołądek, ustępował bardzo powoli i trzeba było długiego czasu, by jego

nierówny, chrapliwy oddech powrócił do jakiej takiej normy. Przy tym Ziemianin przez cały czas czuł na sobie rzucane z ukosa spojrzenia tamtego i świadom był ledwo dostrzegalnego uśmiechu, jaki gościł na jego wargach. Starczyło tego, by Allen całą siłą woli powstrzymał się od wydania najłżejszego jęku, mimo że mięśnie brzucha stężały ponad wszelką wytrzymałość, a zimny pot zalewał mu twarz.

Tymczasem pozostawały za nimi powolne mile, jakkolwiek złudzenie bezruchu było niemal że równie kompletne jak w czasie podróży międzyplanetarnej. Za oknami widać było wciąż ten sam szary krajobraz, monotony i niezmienny. Łoskot motoru brzmiał jak natrętne terkotanie, za plecami tykał sennie klimatyzator, oczyszczając powietrze. Od czasu do czasu uderzył ze szczególną siłą wichur i piasek zabębnił o szybę tysiącem drobniutkich ostrych żądałek.

George nie spuszczał oka z kompasu przed sobą. Milczenie stawało się zwolna coraz bardziej uciążliwe. Przerwał je w końcu Ganimedańczyk odwracając nagle głowę:

- Co, u diabła, z tym klimatyzatorem?

Allen podniósł się skulony, z głową przyciśniętą do dachu szoferki i obróciwszy się zbladł.

- Stoi.

- Jeszcze ładne parę godzin, zanim burza uciszy się do reszty. Musimy przez ten czas czymś oddychać. Przełącz do tyłu. Musisz go uruchomić.

Głos George'a brzmiał bezbarwnie, lecz było w nim coś, co wykluczało wszelką dyskusję.

- Bierz - powiedział jeszcze, kiedy brat przelazł przez jego ramię i znalazł się z tyłu szoferki. - Skrzynka z narzędziami. Masz jakie dwadzieścia minut, zanim powietrze zrobi się zupełnie niezdatne do oddychania. Sytuacja nie jest wesoła.

Chmura piaskowa na zewnątrz zgęstniała i wątle żółte światełko nad głową George'a nie było w stanie całkowicie rozproszyć ciemności, jaka zaległa szoferkę. Z tyłu słychać było jakieś szamotanie, po czym rozległ się głos Allena:

- Cholera, drut. Skąd on się tutaj wziął? Nastąpiło parę uderzeń młotka, potem pełne oburzenia przekleństwo.

- To świństwo jest całe zatkane rdzą!

- I to wszystko? - odkrzyknął George.

- A bo ja wiem. Poczekaj, muszę najpierw oczyścić.

Jeszcze kilka uderzeń młotka, a potem ciągły, przenikliwy odgłos skrobania. Kiedy Allen powrócił na swoje miejsce, twarz ociekała mu rdzawym potem. Niewiele pomogło ocieranie wierzchem równie spoconej i pokrytej rdzą dłoni.

- Zeskrobałem te cholerną rdze, to teraz tłok przepuszcza jak dziurawy but. Musiałem nastawić na pełny regulator. Teraz nam już nic nie pozostało, tylko prosić Boga, żeby się ten cały klimatyzator za prędko nie rozleciał do reszty.

- Tak, tak, prosz Bożę - powiedział George popędliwie. - Poproś o taki guziczek do naciskania.

Ziemianin nastroszył się, ze wzrokiem wbitym nieruchomo przed siebie. Zaległo ciężkie milczenie.

Dochodziła czwarta po południu, kiedy George wycedził przez zęby:

- Coś mi się zdaje, że dopływ powietrza jest coraz gorszy.

Allen poderwał się z odrętwienia. Rzeczywiście, atmosfera w szoferce była duszna i przesycona wilgocią. Klimatyzator świszczał przeciągle pomiędzy jednym tyknięciem a drugim, przedzielanymi w dodatku coraz to dłuższymi odstępami czasu. Wyglądało, że nie pociągnie długo.

- Ileśmy już przejechali?

- Z jedną trzecią drogi - brzmiała odpowiedź. - Trzymasz się jakoś?

- Niech już ciebie o to głowa nie boli - odciął się Allen. Po czym znów zamknął się w sobie.

Zapadła noc i na marsjańskim niebie ukazały się pierwsze połyskliwe gwiazdy, kiedy klimatyzator wydał swój ostatni daremny, długotrwały świst i zamarł. - Niech to diabli! - powiedział George. - A zresztą, i tak już nie można było oddychać tą kasza. Otwórz okno.

Przenikliwy, mroźny podmuch marsjańskiej nocy wtargnął do środka wraz z ostatnimi ziarenkami piasku. George zakaszlał i naciągnął na uszy wełnianą czapkę, zanim włączył ogrzewanie.

- Jeszcze ciągle trzeszczy w zębach - powiedział.

Allen popatrzył tęsknie na niebo.

- Widzisz Ziemię? - zapytał. - Księżyc jej depcze po piętach.

- Ziemię? - powtórzył George z lekką wzgardą. Wskazał palcem poziomo. - Tam popatrz. Stary pocziwy Jowisz.

I odrzuciwszy głowę do tyłu, zaśpiewał donośnym barytonem ganimedańską piosenkę.

Ostatnia nuta zawibrowała i urwała się, znów zawibrowała i znów się urwała i jeszcze raz, i jeszcze, w coraz to krótszych odstępach czasu, aż w końcu słyhać było przeciągłe przeszywające zawodzenie, od którego pękały bębni. Allen patrzył na brata szeroko otwartymi oczyma.

- Jak ty to robisz? - zapytał. George wykrzywił się w uśmiechu.

- To nasza ganimedańska specjalność. Nigdy tego nie słyszałeś?

Ziemianin potrząsnął głową.

- Nie, nigdy. Znam to tylko z opowiadań.

Teraz George zrobił się nieco wylewniejszy.

- No, ma się rozumieć. Bo to się udaje tylko w rozrzedzonej atmosferze. Szkoda, że mnie nie mogłeś słyszeć na Ganiu. Z krzesła byś spadł, jak mi się czasami udało. Poczekaj, łyknę tylko kawy, to ci zaśpiewam werset dwudziesty czwarty "Ballady o Ganimedzie".

Odetchnął głęboko i zaczął śpiewać.

Allen złapał go za ramię i potrząsnął. Ganimedańczyk o mało się nie zadławił. Urwał.

- Co cię znów ugryzło? - zapytał ostro.

- Coś jakby łązi po dachu. Słyszałem przed chwilą jakieś stąpnięcia.

George popatrzył w górę.

- Trzymaj kierownicę. Wleżą i zobaczą.

Allen potrząsnął głową.

- Sam zobaczą. Nie wiem, czybym potrafił prowadzić taką przedpotopową maszynę.

Po chwili był już na błotniku.

- Nie zatrzymuj się - krzyknął jeszcze i sięgnął podniesioną nogą na dach szoferki.

Zastygł w bezruchu, dostrzegłszy dwie żółte szparki wpatrzonych w siebie ślepi. Ułamek sekundy i pojął, że znalazł się oko w oko z kizelem - sytuacja mniej więcej równie przyjemna, jak na Ziemi odkryć we własnym łóżku grzechotnika. Ale nie było zbyt wiele czasu na takie porównania, gdyż kizel już przystępował do ataku; w poświęcie gwiazd błysnęło jego śmiercionośne żądło.

Allen zrobił rozpaczliwy unik i stracił równowagę. Zwalił się na piasek, aż jęknęło, i zaraz poczuł na sobie chłodne, łuskowate ciało marsjańskiego gada.

To, co uczynił, było prawie że odruchowe. Błyskawicznie sięgnął ręką i z całej siły zacisnął palce na wąskim, wydłużonym pysku zwierzęcia.

Tak zastygli oboje, człowiek i gad, bez tchu, nieruchomi jak posągi. Człowieka przenikało drzenie, serce tłukło mu się gwałtownie w piersi. Nie śmiał się poruszyć. Nieprzywykły do mniejszej marsjańskiej siły przyciągania, zdawał sobie sprawę, że nie potrafi obliczyć ruchów. Mięśnie napinały się nie proszone, nogi obsuwały mimo woli.

Starał się leżeć bez ruchu - i myślał gorączkowo.

Kizel poruszył się i z jego pyska, ściśniętego przez palce Ziemanina, wydobył się drżący skowyt. Ręka Allena stawała się coraz bardziej śliska od potu - poczuł, że pysk bestii zaczyna się powoli obracać w jego dłoni. Ścisnął mocniej, zdjęty lodowatym przerażeniem. Siłą fizyczną kizel nie dorównuje w żadnym wypadku człowiekowi, nawet zmęczonemu, przerażonemu człowiekowi, zmagającemu się z podstępami obcej, marsjańskiej siły przyciągania. Ale wystarczy jedno jedyne uderzenie jego żądła w jakąkolwiek część - ciała - i koniec.

Kizel szarpnął się nagle. Wygiął grzbiet i jął bić nogami. Allen trzymał go obydwoma dłońmi - za żadną cenę nie mógł puścić. Nie miał przy sobie ani pistoletu, ani noża. Na równej płaszczyźnie pustyni nie widać było nigdzie kamienia, o który można by roztrzaskać czaszkę gada. Ciągnik rozpląnął się dawno w mroku marsjańskiej nocy i Allen był sam, sam na sam z kizelem.

Zrozpaczony, spróbował obrócić ramię. Głowa zwierzęcia przekrzywiła się w bok. Słyszał jego świszczący, chrapliwy oddech. Znow rozległ się ten sam drżący skowyt.

Wydobył się jakoś na wierzch i przycisnął mocno kolanami chłodny, łuskowaty tułów. Teraz jął z całej siły wykręcać głowę gada, coraz to bardziej i bardziej. Kizel wyrывał się rozpaczliwie, ale ręce Ziemanina nie popuściły uchwytu. Czuł, jak zwierzę powoli słabnie. Zebrał resztkę sił i usłyszał suchy trzask.

Gad opadł bezwładnie na piasek.

Allen podniósł się na nogi. Pierś rozsadzało mu łkanie. Marsjańska noc ścinała lodowatym zimnem spocone ciało. Był sam na pustyni.

Teraz nastąpiła reakcja. W uszach poczuł wzmagający się szum. Potrzebował całej siły woli, żeby się utrzymać na nogach. Wiatr przenikał na wskroś - ale Allen jakoś go już nie czuł.

Potem szum w uszach jął krystalizować się w głos, niesamowicie brzmiący głos, który starał się przekrzyczeć podmuchy marsjańskiego wiatru.

- Allen! Gdzie się podziałeś, u diabła? Ty ziemski ofiaro! Gdzie jesteś, Allen? Allen!

W Allena wstąpiły nowe siły. Zrzucił ścierwo gada na ramię i ruszył chwiejnie w stronę, z której dochodził głos.

- Jestem tutaj, George. Jestem...

Zatoczył się jak niewidomy w ramiona brata. George zaczął szorstko:

- Ty ofermo jedna! Wychowa się taki na Ziemi i potem nie potrafi się nawet utrzymać na dachu ciągnika, który jedzie z zawrotną szybkością dziesięciu mil! Mógłbyś chociaż...

Głos załamał mu się jakimś gardłowym dźwiękiem.

- Na dachu był kizel - powiedział Allen z wysiłkiem. - Uchyliłem się i straciłem równowagę. Masz, wsadź to gdzieś. W Aresopolis płacą sto dolarów nagrody za każde takie ścierwo.

Nie bardzo mógł potem przypomnieć sobie, co się działo przez następne pół godziny. Kiedy odzyskał w pełni przytomność, siedział znowu w szoferce. W ustach miał posmak ciepłej kawy. Motor pracował głucho. Grzejniki wydzielały przyjemne ciepło.

George siedział obok w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w pustyni przed szybą szoferki. Ale od czasu do czasu odchrząkiwał i mierzył brata ukradkowym spojrzeniem. Wówczas widać było dziwny wyraz jego oczu.

- Słuchaj - powiedział Allen. - Nie powinienem zasypiać. A i ty wyglądasz na śmiertelnie zmęczonego. Więc może byś mnie nauczył tego swojego ganimedańskiego okrzyku. To może człowieka podnieść z grobu.

Ganimedańczyk spoglądał uporczywie przed siebie.

- Dobra - burknął w końcu. - Patrz na moje jabłko Adama, to się nauczysz.

Słońce znajdowało się w pół drogi do zenitu, kiedy przed sobą ujrzeli kanał.

Już na godzinę przed świtem dało się słyszeć trzeszczenie szronu pod ciężkimi kołami ciągnika - znak, że kończy się pustynia, a zaczyna dość szeroki pas wegetacji, ciągnący się po obu brzegach wzdłuż kanału. Wraz ze wschodem słońca trzeszczenie zamilkło; teraz koła, przystosowane do poruszania się w piaszczystym terenie pustyni, grzęzły w miękkim mule i ciągnik poruszał się znacznie wolniej. Tu i ówdzie pojawiały się posępne kępy szarozielonych krzewów, pierwsze urozmaicenie płaskiego rdzawego krajobrazu pustyni, który towarzyszył braciom od początku podróży.

W pewnej chwili Allen pochylał się do przodu i chwycił George'a za rękę.

- Patrz, widać już kanał. Przed nami, trochę na prawo.

“Kanał” stanowił wąską odnogę potężnego Kanału Jeffersona i o tej porze roku był prawie całkowicie wyschnięty. Ciemna kręta smuga wilgoci - oto wszystko, co z niego pozostało. Po obu stronach obrzeżały ją szerokie obwódki bagna. Miał minąć okrągły ziemski rok, nim całe to koryto wypełni porywisty lodowaty nurt wodny.

Ciągnik jał spuszczać się ostrożnie po łagodnej pochyłości koryta, pozostawiając za sobą kręty ślad, starannie omijający rozsiane z rzadka głazy, które przyplęły tu z wiosennym przyborem i pozostały, gdy woda opadła. Koła zapadały się w błocie, rozpryskiwały szeroko kałuże, podskakiwały niezdarnie na kamieniach. Unurzały się powyżej osi w mule właściwego koryta, po czym jęły się z wysiłkiem pięć pod górę.

Ale prawie zaraz, tak nagle, że obaj bracia o mało nie spadli z foteli, ciągnik obsunął się w bok, uczynił bezskuteczny wysiłek, żeby ruszyć dalej, i ugrzązł na dobre. Bracia wygramolili się z szoferki, żeby zbadać sytuację. George zaklął wściekle, głosem nabrzmiałym rozpaczą.

- Ładna historia! Niech to jasna cholera! Zaryliśmy się jak świnię w błocie! Allen odgarnął włosy zmęczonym ruchem.

- No i co? Długo tak będziesz stał i gapił się? Mamy jeszcze ze sto mil do Aresopolis. Trzeba szybko wyciągać.

- Jasne. Tylko jak to zrobić?

Zamiast przekleństwa wydobył się z jego ust tylko przeciągły świst. George już sięgał do szoferki po linkę. Obejrzał ją sceptycznie.

- Ty, Allen, włącz do środka. Jak zacznę ciągnąć, duś nogą ten pedał.

Mówiąc to, przywiązywał linkę do przedniej osi. Rozwinął ją z drugiego końca, brnąc po kostki w błocie. Gdy już cała była wyprężona, stanął.

- No, teraz! - wrzasnął.

Twarz poczerwieniała mu z wysiłku, mięśnie pleców napięły się. W szoferce Allen wgniał wskazany pedał, ile się dało. Słyszał huk motoru i spazmatyczne wirowanie tylnych kół. Ciągnik dźwignął się trochę, ale zaraz opadł z powrotem.

- Nic z tego - zawołał George. - Nie ma się o co oprzeć. Żeby nie było tak bagniste, tobym dał radę.

- Żeby teren nie był taki bagnisty, tobyśmy nie ugrzęzli - odparł Allen. - Daj teraz mnie tę linkę.

- Coś ty? Myślisz, że ty dasz radę, jak ja nie dałem?

Głos George'a był nabrzmiały wściekłością, lecz Allen, niezrażony, już wyłaził z szoferki. Dostrzegł przez szybę wielki głaz, tkwiący głęboko w ziemi. Stwierdził z ulgą, że znajduje się on w zasięgu linki. Naciągnął ją dobrze i wolny koniec obrzucił dookoła głazu. Potem związał niezdarnie i pociągnął. Linka nie puściła.

Tymczasem Ganimedańczyk powrócił do szoferki. Wychylił się teraz przez okno, wymachując w powietrzu swoją wielką pięścią.

- I coś ty sobie ubzdurał, ty zakuta pało? Wyobrażasz sobie może, że ten omszały kamień wyciągnie nas z błota?

- Zamknij się, dobrze? - wrzasnął Allen. - Dawaj gazu, jak pociągnę!

Ustawił się w połowie drogi pomiędzy głazem i ciągnikiem i uchwycił linkę.

- No, już! - krzyknął z kolei i nagłym ruchem pociągnął linkę obydwoma rękami do siebie.

Ciągnik drgnął i koła znalazły oparcie. Przez chwilę kołysał się w miejscu - motor ryczał na pełnych obrotach, dłonie George'a dygotały na kierownicy. W końcu ruszył i jął wspinać się pod górę. I niemal jednocześnie głaz na drugim końcu wyprężonej linki z głośnym cmoknięciem wynurzył się z błota i przewalił na bok.

Allen zsunął z niego pętlę i puścił się za ciągnikiem.

- Nie zatrzymuj się - zawołał i wskoczył na stopień.

Lina wlokła się po ziemi.

- Jak ty żeś to zrobił, Allen? - zapytał George; oczy miał okrągłe z podziwu.

- Nie mam teraz głowy, żeby ci tłumaczyć. Poczekaj, jak zajedziemy do Aresopolis i wyśpimy się porządnie, to ci narysuję trójkąt sił. Zobacysz, co właściwie zaszło. To nie była sprawa siły fizycznej. Nie musisz na mnie patrzeć jak na jakiego Herkulesa.

George z wysiłkiem odwrócił od niego spojrzenie.

- Trójkąt sił, powiadasz. Nigdy o czymś takim nie słyszałem, ale jak takie cuda można przy jego pomocy dziać, to wiedza jest naprawdę wielką rzeczą.

- Jest jeszcze kawa? - Allen obejrzał ostatni termos, potrząsnął nim rozczarowany koło ucha. - Trud no, się mówi. Poćwiczmy wobec tego to twoje ganimedańskie zawołanie. To prawie równie dobre. Jeszcze trochę i będę umiał. - Ziewnął na całą szerokość ust. - Zajedziemy przed wieczorem? - Może i zajedziemy. Kanał pozostał już daleko za nimi.

Czerwone słońce zaczynało powoli chylić się za Góry Południowe. Góry Południowe są jednym z dwu "łańcuchów górskich" zachowanych na Marsie. W rzeczywistości jest to tylko pasmo wzgórz, przedwiecznych, szczątkowych wzgórz, coraz to bardziej rozmywanych przez erozję. Za tym pasmem leży Aresopolis.

Góry Południowe to jedyny bardziej malowniczy zakątek Marsa. Posiadają one poza tym tę nieocenioną zaletę, że powodując wstępujące prądy powietrzne są zdolne wyssać z suchej marsjańskiej atmosfery rzadkie tutaj opady.

W normalnych warunkach zapewne każdy przybysz z Ziemi czy z Ganimeda zatrzymałby się w tej okolicy lub przynajmniej zmniejszył szybkość swego pojazdu. Ale nie uczynili tego bracia Carter. Na widok wzgórz na horyzoncie zabłyśły im tylko oczy zapuchłe z niewyspania. Członki, odmawiające posłuszeństwa ze zmęczenia, sprężyły się do jeszcze jednego wysiłku, kiedy ciągnik jął się wspinać pod górę. Za tymi wzgórzami leżało Aresopolis.

Szlak, którym jechali, nie prowadził już prosto jak strzełił, wytyczany przy pomocy kompasu przez płaską jak stół równinę. Wił się teraz wąski i kręty w nierównym skalistym terenie. Dojeżdżali właśnie do Bliźniaczych Wierchów, kiedy motor ni z tego ni z owego mlasnął sucho, zakaszlał kilka razy i zgasł.

Allen wyprostował się na siedzeniu. W głosie jego brzmiał niesmak i zmęczenie.

- Co znowu z tą utrapioną maszyną? George wzruszył ramionami.

- To, czego spodziewam się już od godziny. Skończyło się paliwo. Ale teraz to już niestraszne.

Jesteśmy przy Bliźniaczych Wierchach, dziesięć mil od miasta. Za godzinę będziemy na miejscu. Wyślą zaraz ludzi po transport.

- Dziesięć mil w godzinę? zaprotestował Allen. - Zwariowałeś! - Twarz ścięło mu nagłe przerażenie. - O, diabli! Nie dostaniemy się tam wcześniej niż za trzy godziny, a już zaraz zmrok. George, przecież nikt nie wytrzyma tyle czasu na marsjańskim zimmerze. To już...

Urwał, bo George wyciągał go na siłę z szoferki.

- Jak Boga kocham, Allen, nie pora teraz, żeby się rozklejać. Będziemy za godzinę, mówię ci. Nie biegales nigdy po planecie o malej sile przyciągania? To zupełnie jakby człowiek frunął. Patrz na mnie.

Puścił się długimi, niskimi susami, jak gdyby ślizgając się tuż nad ziemią. Po chwili zmalął do rozmiarów plamki w górze zbocza. Ledwo widać było, jak wymachuje rękami. Jego wołanie zabrzmiało cicho i cienko:

- No, za mną!

Allen ruszył - i wyciągnął się jak długi po trzecim dzikim skoku. Leżał chwilę z szeroko rozpostartymi ramionami, z rozrzuconymi nogami. Z góry dochodziły bezlitosne wybuchy śmiechu. Wstał wściekły i otrzepał się. Zwykłym krokiem doszedł do miejsca, gdzie czekał na niego brat.

- Nie gniewaj się, Allen - rzekł George. - To tylko rzecz wprawy. Ja miałem dość czasu, żeby nauczyć się tego na Ganiu. Widzisz, musisz poruszać się tak, jakbyś biegł po puchu. I biec równym, spokojnym krokiem, tuż nad ziemią. Nie podskakuj do góry. O, tak. Widzisz?

Ziemianin spróbował naśladować ruchy brata. Pierwsze niepewne susy nabrały wkrótce precyzji i wydłużyły się. Robił zamach ramieniem i wyciągał nogę daleko przed siebie, biegnąc w krok za bratem. George krzyknął mu parę słów zachęty i przyśpieszył tempo.

- Jeszcze niżej, Allen. I nie szykuj się do odbicia, dopóki nie poczujesz gruntu pod palcami.

Allenowi błyszczały oczy, całkiem zapomniał już o zmęczeniu.

- To wspaniałe uczucie, George! Zupełnie jakby człowiek frunął. Albo jakby miał buty na sprężynach.

- Szkoda, że się nie wychowywałeś ze mną na Ganiu. Mamy tam specjalne stadiony do biegów przy małej sile przyciągania. Najlepsi biegacze robią do czterdziestu mil w godzinę. Ja sam zrobię trzydzieści pięć. Tylko że tam siła przyciągania jest jeszcze trochę mniejsza niż na Marsie.

Długie włosy powiewały im na wietrze, skóra zaczerwieniła się od lodowatego podmuchu, który smagał policzki. Czerwona poświata zachodzącego słońca kładła się coraz wyżej i wyżej na stokach, skupiła się na chwilę na najwyższych szczytach, popęzła jeszcze wyżej. Szybko gęstniały cienie krótkiego marsjańskiego zmroku. Gwiazda Wieczorna, Ziemia, już połyskiwała jaskrawo na niebie; towarzyszący jej niestrudzenie księżyc zmniejszył nieco od ubiegłego wieczoru swój dystans.

Mijały minuty, lecz Allen był nazbyt pochłonięty cudownymi, nie przeczuwanymi doznaniem, by myśleć o czymkolwiek innym. Biegł w ślad za bratem, niepomny nawet wzmagającego się chłodu. To rysy George'a ściał tym razem niepokój, który rychło urósł do rozmiarów przerażenia.

- Allen, stój! - zawołał Ganimedańczyk.

Odchylony do tyłu, zatrzymał się jednym podskokiem, pełnym wdzięku i lekkości. Allen spróbował uczynić to samo, ale stracił równowagę i przewrócił się na twarz. Podniósł się, z pretensją do brata. Ale Ganimedańczyk puścił mimo uszu gniewne wymówki. W mętym świetle widać było jego ponure spojrzenie.

- Allen, wiesz, gdzie my jesteśmy?

Allen poczuł chłodny skurcz w gardle. Rozejrzał się niespokojnie dookoła. W półmroku wszystko

wygląda trochę inaczej, ale nie tak znów bardzo inaczej. Niemożliwe, aby zapadająca ciemność spowodowała aż takie zmiany w wyglądzie okolicy.

- Chyba powinniśmy być już gdzieś przy Łysym Wierchu, co? - powiedział załamującym się głosem.

- Już dawno powinniśmy być przy Łysym Wierchu - brzmiała cierpka odpowiedź. - To to cholerne trzęsienie. Widocznie nastąpiły jakieś ruchy ziemi i sprowadziły nas ze szlaku. Szczyty się poprzesuwały czy co? - Głos zabrzmiał mu jakoś cienko. - Allen, nie mamy się co oszukiwać. Teraz to już koniec!

Zamarli na chwilę w niepewnym milczeniu. Na niebie gasły resztki purpury i wzgórza zapadały się coraz głębiej w mrok. Suchym językiem oblizał Allen zsiniałe wargi.

- Ale przecież nie możemy być dalej niż o kilka mil od Aresopolis. Musimy tylko wziąć oczy w garść, napatoczymy się na miasto, choćbyśmy nie chcieli.

- Stuknij się w łeb, idioto! - głos George'a był nabrzmiały wściekłością. - Nie rozumiesz, że to już noc, marsjańska noc! Musi już być dobrze poniżej zera, a temperatura spada z każdą minutą. Nie mamy czasu, żeby się rozglądać, rozumiesz! Musimy dobrze wyciągać nogi. Jak nie będziemy za pół godziny na miejscu, to już tam nie dotrzemy.

Allen wiedział to aż nadto dobrze. Wzmianka o temperaturze uświadomiła mu, jak jest zimno. Otulił się szczelniej futrzanym kołnierzem. Szczękając zębami, powiedział:

- Może spróbujemy rozpałcić ognisko?

Ale proponował to bez przekonania, mrużąc ledwo zrozumiałe. Zresztą George zaraz zareplikował:

- Niby z czego? - Z rozczarowania i bezsilnej rozpaczyny nie panował już nad sobą. - Przejechaliśmy taki kawał drogi i teraz zamarzniemy na śmierć o milę od miasta. Chodź, biegnijemy prosto przed siebie! Mamy jedną szansę na sto.

Ale Ziemiak zatrzymał go na miejscu. Oczy zabłyśły mu gorączkowo.

- Ogniska! - powiedział bez sensu. - To jest nasza szansa! Chcesz popробować szczęścia?

- A co nam innego pozostaje? - odburknął tamten. - Tylko musimy się spieszyć. Z każdą minutą...

- No, to biegnijemy. Tylko uważaj, z wiatrem!

- Dlaczego z wiatrem?

- Wszystko jedno dlaczego. Rób, co ci mówię. Uważaj, żeby biec z wiatrem!

Allen nie miał wiele złudzeń puszczać się wielkimi susami w mrok, potykając o wystające kamienie, ześlizgując po pochyłościach - wciąż z wiatrem dmącym w plecy. George sadził obok niego - bezkształtny, zamazany cień w ciemnościach nocy.

Mróz stawał się z każdą chwilą bardziej przejmujący, ale nie tak przejmujący jak lodowaty uścisk grozy, który paraliżował ciała braci.

Śmierć nie jest bynajmniej przyjemna!

Dobiegli do szczytu wzniesienia - i z piersi George'a wydarł się głośny okrzyk tryumfu. Dolina u stóp, jak okiem sięgnąć, usiana była ogniskami. Przed nimi leżało zburzone Aresopolis - jego bezdomni mieszkańcy starali się pokonać nocny chłód, odwiecznym sposobem paląc wszystko, co się dało.

A na szczycie najbliższego wzgórza dwie zmordowane postacie klepały się po plecach, śmiały jak szalone, tuliły do siebie bliskie odmrożenia, szczeciniaste policzki - z prostej, nie udawanej radości. Nareszcie byli u celu!

Laboratoria aresopolskie, położone na samym skraju miasta, należały do nielicznych ocalałych

budynków. Wewnątrz, przy zaimprovizowanym oświetleniu, wychudli laboranci destylowali ostatnie dozy wyciągu. Na zewnątrz resztki miejskiej policji z trudem torowały bezcennym słoikom i fiolkom drogę do prowizorycznych ambulatoriów, urządzonych pośród niezliczonych ognisk, w różnych rejonach zburzonego miasta, które jeszcze niedawno było marsjańską stolicą.

Stary Hal Vincent nadzorował procesy produkcyjne, ale jego wyblakłe oczy raz po raz zwracały się z trwogą w kierunku wzgórz, spoza których powinien ukazać się obiecany transport kwiatów. Nie stracił jeszcze zupełnie nadziei, stopniowo ogarniały go jednak coraz bardziej wątpliwości.

Kiedy z ciemności wynurzyły się dwie postacie i zatrzymały koło niego półprzytomne ze zmęczenia, gardło ścisnął mu lodowaty skurcz.

- Gdzie kwiaty? - wykrztusił. - Przywieźliście co?

- Przy Bliźniaczych Wierchach. - Allen z trudem łapał dech. - Ciągnik z trzema przyczepami. Będzie z tona. Poślijcie zaraz.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać - grupa policyjnych pojazdów terenowych już wyruszyła w drogę. Vincent wykrzyknął zdumiony:

- Ciągnik? Dlaczego nie przysłaliście rakieta? U was też trzęsienie?

Ale nie otrzymał bezpośredniej odpowiedzi. George, z wyrazem uszcześliwienia na zapadłej twarzy, zatoczył się w stronę najbliższego ogniska.

- Ale tu ciepło!

Skulił się i zapadł w sen jeszcze, nim zdążył osunąć się na ziemię. Allen zakaszał łapiąc dech.

- Patrzcie go! Jaki delikatny! Już go... ee, rozebrało...

Ziemia zakołowała i ugodziła go w twarz.

Allen obudził się. Oczy poraził mu blask zachodzącego słońca, w nozdrza uderzyła woń smażonego boczku. George podsunął mu patelnię.

- Jedz - powiedział pomiędzy dwoma wilczymi kęsami. Wskazał puste przyczepy stojące przed budynkiem laboratorium. - Wszystko w porządku.

Allen zabrał się spokojnie do jedzenia. George otarł usta wierzchem dłoni.

- Słuchaj, Allen - rzekł. - Powiedz mi, skąd ty wiedziałeś, w której stronie leży miasto. Siedzę i łamię sobie głowę.

- Po ogniskach - brzmiała stłumiona odpowiedź. - Pomyślałem sobie, że to jedyny sposób, jaki im pozostał, żeby się ogrzać. Rozumiesz, tysiące ognisk skupionych na niewielkiej przestrzeni musiało spowodować silne prądy wstępujące ciepłego powietrza, a te z kolei wywołały prądy dośrodkowe zimnego powietrza z całej okolicy. - Słowom tym towarzyszyły gesty ilustrujące wykład. - Po prostu wiatr wiał w kierunku miasta, a my biegliśmy z wiatrem. Rodzaj takiego naturalnego kompasu, który wskazywał nam drogę.

George milczał wyraźnie zawstydzony, rozgrzebując gwałtownie nogą popiół wczorajszego ogniska.

- Słuchaj, Allen. Byłem niesprawiedliwy w stosunku do ciebie. Uważałem, że wychowanie na Ziemi zrobiło z ciebie skończoną ofermę... - Urwał, zrobił głęboki oddech, po czym wybuchnął: - Jak Boga kocham, dumny jestem, że mam takiego brata! Nawet Ziemia nie mogła wyssać z ciebie krwi Carterów.

Allen otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale brat położył mu dłoń na wargach.

- Poczekaj, skończę najpierw. Jak wrócimy do siebie, możesz wprowadzać te swoje maszyny do zrywania kwiatów i co tylko chcesz. Cofam weto. Jeżeli Ziemia ze swoją mechanizacją wychowuje takich ludzi jak ty, to nie mam nic przeciwko maszynom. Ale musisz jednak przyznać - w jego głosie zabrzmiała odrobina przekory - że jak maszyny zawiodą, wszystko jedno czy to będzie system

nawadniający, czy rakieta, czy klimatyzator, czy ciągnik, tylko człowiek jest w stanie przewyciężyć przeciwności, jakie mu nastreczy nasz kochany Mars.

Allen uwolnił usta spod dłoni brata.

- Maszyny robią, co mogą - odparł, ale bez zbytej złości.

- Pewnie, że robią. Ale nie robią więcej, niż mogą. A jak przyjdzie krytyczny moment, człowiek często robi znacznie więcej, niż może. A jak nie, to już po nim.

Allen milczał chwilę. Potem kiwnął głową i chwycił brata za rękę z nieoczekiwaną gwałtownością.

- Och, w gruncie rzeczy nie różnimy się tak bardzo. Wychowanie na Ziemi czy na Ganimedzie to rzecz zewnętrzna, a wewnątrz...

Urwał w pół zdania.

- Wiesz co? Może poćwiczymy to twoje ganimedańskie zawołanie?

I z dwu braterskich gardzieli wyrwał się niesamowity wysoki okrzyk, jaki nieczęsto rozdzierał rzadką marsjańską atmosferę.

Tłumaczył - Krzysztof Zarzecki

Astronomów intryguje od dawna zjawisko powstawania t. zw. "gwiazd nowych". Oto pod wpływem mało zbadanych czynników gwiazdy, przykładowe dotąd i mocno sędziwe, zaczynają nagle zachowywać się po wariacku: blask ich wzrasta się niepomiarowo, a przede wszystkim objętość wzrasta tysiące razy. Jeśli wokół "nowej" krążą planety, gwiazda taka rozszerzając się pochłania je niczym wieloryb komara. Oznacza to oczywiście, natychmiastową zagładę planet, które szalona temperatura bez reszty zmienia w gazy. A teraz wyobraźmy sobie - co jest wcale możliwe - że pewnego pięknego dnia nasze stare, poczciwe słońce, zacznie brykać i przeobrazi się w "nową". Jak zachowa się ludzkość, gdy z nieomylnych oznak będzie już wiadomo, że w określonym terminie kula ziemską, ze wszystkim co jest na niej, przeistoczy się w gazowy obłok? Czy warunki techniczne - no i stopień uspołecznienia - umożliwią akcję ratunkową? Czy też może ratunek nadejdzie skądinąd? Na przykład od mieszkańców planet obiegających wokół bardziej statecznych słońc?

Kto za to ponosi winę? Od trzech dni myśl Alverona krążyła wokół tego pytania, a odpowiedzi znaleźć nie umiał. Istota mniej cywilizowana lub z mniej wrażliwej rasy nie zaprzętałaby sobie tym umysłu, zadowolając się tylko stwierdzeniem, że nikt odpowiadać nie może za działania losu. Lecz Alveron i jego rasa byli władcami Wszechświata od zarania dziejów, od owej dalekiej epoki, kiedy Przegroda Czasu została ustanowiona w kosmosie przez siły nieznanne, a istniejące poza Początkiem. Rasa Alverona otrzymała wiedzę, a nieskończonej wiedzy towarzyszy nieskończona odpowiedzialność. Jeśli zachodziły pomyłki i błędy w zarządzaniu Galaktyką, wina spadała na głowy Alverona i jego gatunku. A tym razem nie chodziło o zwykły błąd, lecz o jedną z największych tragedii w dziejach.

Załoga nie wiedziała jeszcze o niczym. Nawet Rugon, najlepszy przyjaciel i zastępca dowódcy statku, znał tylko część prawdy. Teraz jednak skazane na zagładę światy były w odległości mniej niż miliarda mil. Za parę godzin statek wyląduje na trzeciej planecie.

Alveron przeczytał raz jeszcze depezę z Bazy. Ruchem czułka szybkim jak mgnienie nacisnął sygnał "Uwaga". W całym milowym cylindrze, tworzącym Galaktyczny Statek Patrolowy S 9000, istoty wielu ras odłożyły pracę, aby wysłuchać słów kapitana.

- Wiem, że dziwiło was wszystkich - zaczął Alveren - dlatego rozkazano nam przerwać patrolowania i ruszyć z taką szybkością do tej okolicy kosmosu. Niektórzy zdają sobie być może sprawę, co taka szybkość oznacza. Nasz statek odbywa swoją ostatnią podróż. Generatory od sześćdziesięciu godzin pracują z najwyższym napięciem. Będzie to wielkie szczęście, jeśli zdołamy powrócić do Bazy o własnej mocy. Zbliżamy się teraz do słońca, z którego wkrótce ukształtuje się Nova. Wybuch nastąpi za siedem godzin, z tolerancją nie przekraczającą jednej godziny, co zostawia nam na badanie około czterech godzin. W tym układzie słonecznym zniszczonych będzie dziesięć planet, a na trzeciej istnieje cywilizacja. Fakt ten został odkryty ledwo przed kilku dniami. Naszym tragicznym zadaniem jest nawiązanie kontaktu ze skazaną rasą, i, jeśli można, ocalenie jej części. Wiem, jak mało możemy zrobić w tak krótkim czasie i z pomocą jednego statku. Ale żaden inny nie zdoła tam dotrzeć przed momentem wybuchu.

W czasie długiej przerwy, jaka teraz zapadła, nie było żadnego dźwięku ani ruchu na całym potężnym statku mknącym w milczeniu ku wyznaczonym światom. Alveron wiedział, co myślą jego towarzysze. Próbował odpowiedzieć na ich nie wyrażone pytanie.

- Dziwi was zapewne, jak można było dopuścić do takiej katastrofy, największej z dotąd nam znanych. Pod jednym względem mogę was uspokoić. Winy nie ponosi Patrol Badawczy.

Jak wiadomo, przy stanie obecnym naszej floty - blisko dwanaście tysięcy statków - można przebadać każdy z ośmiu miliardów układów słonecznych Galaktyki w odstępach około miliona lat. Większość światów mało się zmienia w tak krótkim okresie.

Niecałe czterysta tysięcy lat temu statek badawczy S 5600 zbadał planety układu, do którego się zbliżamy. Nie znalazł inteligencji na żadnej, choć na trzeciej planecie kwitło bujne życie zwierzęce, a dwie inne były niegdyś zamieszkałe. Złożono jak zwykle raport i następne badanie systemu miało się odbyć za sześćset tysięcy lat.

Okazuje się teraz, że w niebywale krótkim okresie od ostatniego badania w układzie tym powstało życie inteligentne. Pierwszą wskazówką były nieznanne sygnały radiowe odebrane na planecie Kulath w układzie X 29. 35, X 34. 76, Z 27. 93. Dokonano pomiarów i okazało się, że sygnały pochodzą z układu, jaki leży przed nami.

Kulath znajduje się o dwieście lat świetlnych stąd, a zatem fale radiowe były w drodze przez dwa stulecia. Tyle więc czasu co najmniej istniała cywilizacja na jednej z tych planet, cywilizacja zdolna wytwarzać fale elektromagnetyczne, czyli określonego rzędu.

Podjęto natychmiastowe teleskopowe badania układu i wówczas stwierdzono, że jego słońce znajduje się w fazie niestałej, poprzedzającej powstanie gwiazdy nowej. Wybuch nastąpić mógł każdej chwili. Mógł nawet się wydarzyć i wtedy, gdy fale radiowe były jeszcze w drodze na Kulath.

Natychmiast ustawiono na układ hyperchronoanalitory umieszczone na Kulath II. Wykazały one, że wybuch jeszcze nie nastąpił, lecz spodziewać go się należy za kilka godzin. Gdyby Kulath był o cząstkę roku świetlnego dalej od tego słońca, nigdy nie dowiedzielibyśmy się, że w tym układzie istniała cywilizacja.

Administrator Kulatha niezwłocznie się porozumiał z Bazą Sektora i wydano mi rozkaz natychmiastowego udania się do tego układu. Celem naszym jest uratowanie choć części skazanej rasy, jeśli jeszcze żyje. Przypuszczamy jednak, że cywilizacja posiadająca radio mogła zabezpieczyć się przed wzrostem temperatury, jaki już zapewne nastąpił.

Nasz statek, wraz ze swymi obiema łodziami zbada poszczególne odcinki planety. Komandor Torkalee obejmie Łódź 1, komandor Orostron - Łódź 2. Będą mieli niecałe cztery godziny na wykonanie zadania. Z upływem tego czasu muszę powrócić na statek. Ruszymy bowiem stąd z nimi albo też bez nich. Obydwu komandorów proszę do hali kontrolnej, gdzie im wydam szczegółowe instrukcje.

To wszystko. Za dwie godziny wchodzimy w atmosferę.

Na planecie zwanej niegdyś Ziemią dogasały płomienie: wszystko już było spalone. Olbrzymie lasy, które po zaniknięciu miast pokryły planetę jak gigantyczna fala, tworzyły teraz żarzące się warstwy węgla i tylko dym owych pogrzebowych stosów zasnuwał jeszcze niebo. Nie była to jednak ostatnia godzina, gdyż skały powierzchni dotąd się nie rozpuściły. Wśród oparów widniały mgliste zarysy łąd, lecz patrzącym ze zbliżającego się statku nic to nie mówiło. Ich mapy pochodziły z czasu, po którym przyszło wiele epok lodowcowych i niejeden potop.

S 9000 minął Jowisza i stwierdził od razu, że żadna forma życia istnieć nie może w oceanach zgęszczonych, pół płynnych i pół gazowych węglowodanów, wściekle wybuchających w niezwyklej temperaturze słońca. Marsa i reszty planet nie zauważono, a Alveron zrozumiał, że planety bliższe słońca niż Ziemia są już zapewne płynne. "Wszystko przemawia za tym - pomyślał ze smutkiem - że tragedia nieznannej rasy już się dokonała. Może to i lepiej" - orzekł w głębi duszy. Statek mógł zabrać ledwie kilkaset osób i zagadnienie wyboru przytłaczało mu serce.

Do hali kontrolnej wszedł Rugon, zastępca kapitana i szef łączności. Od godziny próbował wykryć fale radiowe z Ziemi, ale na próżno.

- Przybywamy za późno - obwieścił posępnie. - Zbadałem wszystkie pasma, ale eter milczy, z wyjątkiem naszych stacji i programu nadanego dwieście lat temu z Kulatha. W tym układzie nie ma już żadnych fal.

Z płynnym wdziękiem, nieosiągalnym dla istot dwunogich, zbliżył się do olbrzymiego wizoekranu, Alveron milczał: spodziewał się tego.

Ekran zajmował całą ścianę hali. Był to wielki, czarny prostokąt, który stwarzał wrażenie bezgranicznej głębi. Trzema delikatnymi, lecz niesłychanie sprawnymi czułkami Rugon dotknął tarcz selekcyjnych i ekran zapłonął tysiącem punktów świetlnych. Pole gwiazdne przesunęło się szybko, a Rugon nastawił projektor na odbiór samego słońca.

Żaden człowiek na Ziemi nie rozpoznałby potwornych kształtów, jakie wypełniły ekran. Światło

słońca nie było już białe. Wielkie, niebieskofioletkowe chmury zasnuły połowę jego powierzchni wyrzucając w przestrzeń kolosalne jęzory ognia. Jeden taki jęzor wyskoczył z fotosfery daleko w głąb migających kręgów korony. Wyglądało to niby ogniste drzewo, wyrosłe z powierzchni słońca, wysokie na pół miliona mil, o płomiennych konarach powiewających w przestrzeni z szybkością setek mil na sekundę.

- Myślę - rzekł wreszcie Rugon - że nic nie masz do zarzucenia obliczeniom astronomicznym. Na wszelki wypadek...

- O, nam nic nie grozi - odparł spokojnie Alveron. - Rozmawiałem z obserwatorium planety Kulath i przeprowadzili dodatkowe badania z pomocą naszych instrumentów. Odchylenie jednogodzinne obejmuje dodatkowy margines bezpieczeństwa, którego nie chcą mi podać z obawy, abym nie uległ pokusie przedłużenia pobytu. Spojrzał na tablicę rozdzielczą.

- Pilot powinien był już wprowadzić nas w atmosferę. Przesuń ekran z powrotem na planetę. Właśnie ruszyli!

Odczuli nagły wstrząs, rozległy się dzwonki alarmowe, po czym wszystko ucichło. Na ekranie dwa smukłe pociski strzeliły w stronę wyłaniającej się masy Ziemi. Jakiś czas szły obok siebie, potem rozdzieliły się i jeden znikł raptownie wkraczając w cień planety.

Wielki macierzysty statek opuścił się powoli w ślad za nimi i wkroczył w obręb szalejących burz, które równały z ziemią opustoszałe miasta Człowieka.

Półkulę, na którą leciała łódź Orostrona, spowijała noc. Podobnie jak Torkalee miał on dokonać zdjęć i nagrań, a następnie zdać sprawę statkowi macierzystemu. Na łodzi zwiadowczej nie było miejsca dla pasażerów czy pobranych próbek. Gdyby miano nawiązać bezpośredni kontakt z mieszkańcami planety, S 9000 przybyłby natychmiast. Nie było zresztą czasu na rozmowy. W razie powikłań, ratownictwa należało dokonać siłą, mając później czas na wyjaśnienia.

Obrócony w ruinę ład skąpany był w ponurym, migotliwym świetle, gdyż nad połową planety jaśniała ogromna zorza. Ale ekran łodzi dawał obraz niezależny od zewnętrznego światła i ukazywał wyraźnie pustkowie nagich skał, które nigdy chyba nie znały żadnej formy życia. Lecz ten pustynny obszar musiał się gdzieś kończyć. Orostron zwiększył szybkość do maksimum, jakie mógł ryzykować w tak gęstej atmosferze.

Maszyna przebiła się przez burzę i nagie skały zaczęły teraz wyrastać coraz bliżej. Przed nimi ciągnął się wielki łańcuch gór, szczytami zanurzony w czarnych od dymu chmurach. Orostron skierował na nie badajnik i na ekranie góry wydały się niebezpiecznie bliskie. Poderwał maszynę wzwyż. Trudno było wprost wyobrazić sobie mniej obiecujący teren dla ognisk cywilizacji. Namyślał się więc, czy nie zmienić kierunku. Lecz postanowił wytrwać. W pięć minut później otrzymał nagrodę.

Daleko pod nimi leżała płasko ścięta góra. Cały jej wierzchołek został usunięty, co musiało być dziełem wspaniałych umysłów. W poprzek sztucznej platformy, gładko wykutej w skale, wznosiła się skomplikowana budowla metalowych rusztowań podtrzymujących mnóstwo olbrzymich maszyn. Orostron zatrzymał łódź i spiralą opuścił się na górę.

Obraz na ekranie był teraz absolutnie czysty, bez zmażeń. Rusztowanie podtrzymywało dziesiątki ogromnych metalowych luster, skierowanych w niebo pod kątem 45 stopni. Lustra były cokolwiek wklęsłe, a w soczewce każdego znajdował się skomplikowany mechanizm. Całość miała wygląd imponujący i planowany z rozmachem. Wszystkie lustra nakierowane były na ten sam skrawek nieba - lub jakiś punkt poza nim.

Orostron zwrócił się do kolegów.

- Wygląda mi to na jakieś obserwatorium - rzekł. - Czy ktoś z was widział kiedy podobną

instalację?

Klarten, wieloczułkowy, trójnożny mieszkaniec zespołu planetarnego na skraju Drogi Mlecznej, miał pogląd odmienny.

- To sprzęt telekomunikacyjny. Reflektory służą dla skupienia fal elektromagnetycznych. Widziałem już takie urządzenia chyba na setce planet. Może to nawet ta stacja, którą odebrał Kulath, choć nie przypuszczam, gdyż lustra tej wielkości dałyby bardzo wąski zakres.

- Ale to tłumaczy, dlaczego Rugon nie mógł wykryć żadnych fal radiowych przed naszym lądowaniem - wtrącił Hansur II, jeden z dwóch mieszkańców planety Thargon.

Orostron nie zgadzał się z nimi.

- Jeśli to radiostacja, to musiała być zbudowana dla połączeń międzyplanetarnych. Zwróćcie uwagę na ustawienie luster. Nie wierzę, aby rasa, która miała radio ledwo przez dwieście lat, mogła rozwiązać sprawę komunikacji kosmicznej. Nam zabrało to sześć tysięcy lat.

- A nam trzy tysiące - rzekł Hansur II nie dając przyjść do słowa swemu bliźniakowi. Spór wisiał już w powietrzu, gdy Klarten zamachał z przejściem czułkami. Wskazał automat nasłuchowy, który włączył w czasie rozmowy.

- Uwaga! Słuchajcie!

Nacisnął przełącznik i całą kabinę napełnił chrypliwy i jęczący dźwięk, wciąż zmieniający swe natężenie, choć pewne, trudne do określenia tony stale się powtarzały.

Czterej badacze słuchali uważnie przez chwilę. Wreszcie Orostron rzekł: - Z całą pewnością nie brzmi to jak mowa! Żadna istota nie może wydawać tak szybkich dźwięków!

Hansur I doszedł do tego samego wniosku.

- To program telewizyjny. Nie sądzisz, Klarten?

- Tak - przyznał Klarten - i każde lustro nadaje chyba odmienny program. Zastanawiam się, dokąd są skierowane? Przypuszczam, że jedna z pozostałych planet układu musi znajdować się w ich zasięgu. Możemy to łatwo sprawdzić.

Orostron połączył się z S 9000 i doniósł o odkryciu. I Rugon i Alveron bardzo się przejęli i przeprowadzili natychmiast kontrole astronomiczną.

Wynik był niespodzianką i rozczarowaniem. Żadna z pozostałych dziewięciu planet nie leżała nawet w pobliżu linii transmisji. Ogromne zwierciadła wycelowane były jak gdyby ślepo w przestrzeń.

Nasuwał się jeden tylko wniosek i pierwszy sformułował go Klarten.

- Mieli - rzekł - połączenia międzyplanetarne. Ale teraz stacja musi być opuszczona i nadajniki zostały bez kontroli. Nie wyłączono ich i automatycznie nadają w tym samym kierunku.

- No, wkrótce będziemy wiedzieli - odparł Orostron. - Zamierzam lądować.

Sprowadził maszynę ostrożnie na poziom wielkich metalowych luster, minął je i znalazł się na pozostałym odcinku skały. W odległości stu metrów, pod splotem stalowych rusztowań, widniał biały kamienny budynek. Był bez okien, ale miał szereg drzwi w ścianie na wprost.

Orostron patrzył z zazdrością jak jego towarzysze wkładali ochronne skafandry. Ale ktoś musiał w łodzi pozostać, aby utrzymać kontakt ze statkiem macierzystym. Takie instrukcje wydał Alveron i miał zupełną rację. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć na planecie badanej po raz pierwszy, a zwłaszcza w takich warunkach.

Trzej badacze wysiedli z wielką ostrożnością z komory powietrznej i wyregulowali antygravitacyjne natężenie skafandrów. Po czym, ruchami właściwymi dla rasy każdego, podszli do budynku, Hansurowie przodem, a Klarten tuż za nimi. Jego regulator grawitacyjny musiał mieć jakieś uszkodzenie, gdyż nagle upadł na ziemię, czym rozśmieszył kolegów. Orostron widział, jak zatrzymali

się chwilę przed najbliższymi drzwiami, a potem otworzyli je i znikli mu z oczu.

Orostron czekał odtąd cierpliwie wśród szalejącej dokoła burzy i przy świetle zorzy coraz wspanialej jaśniejącej na niebie. W umówionych odstępach łączył się z macierzystym statkiem, a Rugon lakonicznie potwierdzał, że odbiera jego sygnały. Rozmyślał, jak Torkalee radzi sobie z drugiej strony planety; nie mógł z nim nawiązać kontaktu wskutek zbyt silnej interferencji słonecznej.

Klarten i Hansurowie szybko się przekonali, że przypuszczenia ich były na ogół słuszne. Budynek był radiostacją, teraz opuszczoną. Składał się z jednej olbrzymiej sali i przyległych do niej kilku małych biur. W głównej hali długimi szeregami stały elektryczne przyrządy. Światła zapalały się i gasły na setkach tablic kontrolnych, a nad długim ciągiem próżniowych lamp unosiła się czerwona luna.

Klarten nie znalazł w tym nic nadzwyczajnego. Pierwsze aparaty radiowe zbudowane przez jego rasę odkopywano teraz w pokładach sprzed miliarda lat. Człowiek, który posiadał sprzęt elektryczny zaledwie parę stuleci, nie mógł rywalizować z rasą, posługującą się nim w czasach, gdy jeszcze nie było życia na Ziemi.

Mimo to grupa badała wnętrze budynku z otwartymi rejestratorami. Jeden problem nie był rozwiązany. Opuszczona stacja nadawała programy - lecz nie wiadomo skąd. Szybko odszukali główną tablicę rozdzielczą. Mogła regulować dziesiątki równoczesnych programów, ale ich źródło ginęło w płataninie kabli kryjących się gdzieś pod ziemią. Na statku macierzystym Rugon próbował zanalizować odbiór i być może jego poszukiwania ujawnią punkt nadawania. Ale niepodobieństwem było sprawdzać przewody, które mogły się ciągnąć wzdłuż całych kontynentów.

Nie tracili więc czasu na badanie opuszczonej stacji. Nie spodziewali się dowiedzieć niczego nowego, a zresztą szukali śladów życia, nie zaś naukowych danych. Po kilku minutach łódź opuściła skalistą platformę kierując się w stronę równin, leżących przypuszczalnie poza łańcuchem gór. Na badania zostały niecałe trzy godziny.

Zespół tajemniczych luster zniknął im właśnie z oczu, gdy nagle Orostrona uderzyło pewne spostrzeżenie. Może mu się tylko zdawało, ale w czasie, gdy czekał, wszystkie lustra przesunęły się jakby o niewielki kąt, równoważny z obrotem Ziemi. Nie mając pewności swoich spostrzeżeń, pominął ten szczegół. Zresztą znaczyłoby to tylko, że kierunkowy mechanizm nadal funkcjonuje.

Po kwadransie znaleźli się nad miastem. Olbrzymia metropolia ciągnęła się nad rzeką, która znikła pozostawiając szpetną rozpadlinę wijącą się pośród wysokich gmachów i pod mostami, sprawiającymi teraz dziwne wrażenie.

Nawet z tej wysokości widać było, że miasto jest opuszczone. A mieli już tylko dwie i pół godziny, więc nie było czasu na dalsze poszukiwania. Orostron postanowił lądować obok największego budynku. Rozumował, że jeśli ktoś jeszcze ocalał, to schronił się w budowlach najmocniejszych, zapewniających bezpieczeństwo najdłużej. Nie mogły go dać podziemia, choćby wiodące aż do jądra planety. Kataklizm był nieuchronny. Nawet jeśli ta rasa dotarła do zewnętrznych planet, zagłada i tam ją dosięgnie. Opóźniona jedynie o parę godzin, potrzebnych zabójczym falom dla przemierzenia obszarów słonecznego układu. Orostron nie mógł wiedzieć, że miasto opuszczone było nie od paru dni, lecz od przeszło stulecia. Albowiem kultura miast, która przetrwała tyle cywilizacji, zginęła wreszcie, gdy helikopter wprowadził komunikacją powszechną. W ciągu paru pokoleń wielkie masy ludzkości, wiedząc, że każdy punkt globu znajduje się w bezpośrednim zasięgu, powróciły do pól i lasów, do których zawsze tęskniły. Nowa cywilizacja miała urządzenia i środki, o jakich epoki wcześniejsze nawet nie marzyły. Była jednak z istoty swej wiejską i nie związaną z mrowiskami z betonu i stali, jakie panowały dotąd przez wieki. Miasta istniały tylko jako wyspecjalizowane ośrodki badań, administracji lub też rozrywek. Inne pozostawiono własnemu

losowi, gdyż rozbiórka byłaby zbyt kłopotliwa. Kilkanaście największych metropolii i starożytne miasta uniwersyteckie mało co się zmieniły i miały takimi pozostać. Lecz miasta, istniejące w oparciu o parę, żelazo i transport naziemny, przeminęły razem z przemysłem, który był racją ich bytu.

Tak więc, gdy Orostron czekał wewnątrz łodzi, koledzy jego przebiegali mnóstwo niekończących się pustych korytarzy i opuszczonych sal, robiąc niezliczone zdjęcia, ale niczego się nie dowiadując o istotach, które używały tych gmachów. Były tam biblioteki, miejsca zebrań i narad, tysiące biur, a wszystko to puste i pokryte grubą warstwą kurzu. Gdyby nie radiostacja na skalistym gnieździe, badacze mogliby sądzić, że ta planeta nie знаła życia od wieków.

Skracając sobie długie chwile oczekiwania, Orostron zastanawiał się, gdzie mogły zniknąć te istoty. Może, wiedząc że ujść nie mogą zagłady, wzajemnie się pozabijały? A może wybudowały olbrzymie schrony w trzewiach planety i teraz, gdzieś pod jego stopami, miliony ich czekają nadejścia końca. Coraz bardziej skłonny był sądzić, że nigdy się nie dowie.

Doznał nieomal ulgi, gdy przyszła chwila wydania rozkazu powrotu. Wkrótce już będzie wiedział, czy Torkalee miał więcej szczęścia. I chciał już się znaleźć na macierzystym statku, gdyż oczekiwanie stawało się coraz dotkliwsze. W jego mózgu wciąż odzywała się myśl: "A jeśli astronomowie na Kulath popełnili błąd?" Pragnął ujrzeć już wokół siebie ściany S 9000. A jeszcze bardziej pragnął wydostać się w przestworza kosmosu, z dala od tego złowrogiego słońca.

Gdy tylko za jego kolegami zamknęła się komora powietrzna, Orostron wzbił drobną łódź pod niebo i nastawił stery w kierunku na S 9000. Po czym zwrócił się do przyjaciół.

- I co znaleźliście? - spytał.

Klarten wydobył duży zwój płótna i rozłożył na ziemi.

- Tak wyglądali - powiedział. - Istoty dwunogie, z dwoma tylko ramionami. Mimo to, jak się zdaje, dobrze sobie radzili. Mieli też tylko dwoje oczu, chyba że inne znajdowały się z tyłu. Udało nam się, że to znaleźliśmy. Bo nic więcej nie zostawili.

Postać na starożytnym olejnym malowidle patrzyła kamiennym wzrokiem na trzy skupione nad nią istoty. Ironia losu sprawiła, że obraz ocalał, gdyż nie przedstawiał żadnej wartości. W czasie ewakuacji miasta nikt nie zadbał o portret burmistrza Johna Richardsa, 1909-1974. Przez półtora stulecia gromadził się na nim kurz, a z dala od starych miast nowa cywilizacja osiągała szczyty nie znane żadnej z dawniejszych kultur.

- To wszystko bodaj cośmy znaleźli - rzekł Klarten. - Miasto musiało być opuszczone od lat. Myślę, że nasza wyprawa nie zdała się na nic. Jeśli na tej planecie są jakie żywe istoty, ukryły się za dobrze, aby je można było odnaleźć.

Orostron przyznał mu rację.

- Podjęliśmy zadanie prawie niewykonalne - rzekł. - Gdybyśmy mieli kilka tygodni zamiast kilku godzin, moglibyśmy coś zdziałać. Kto wie, czy te istoty nie zbudowały schronów podmorskich. Nikt o tym zdaje się nie pomyślał.

Spojrzał na wyznaczniki i sprostował kurs.

- Przybijemy już za pięć minut. Alveron, jak widać, szybko się porusza. Ciekaw jestem, czy Torkalee coś znalazł?

Znaleźli S 9000 unoszący się wysoko nad brzegiem płonącego lądu. Pozostawało trzydzieści minut i nie było już czasu do stracenia. Orostron zręcznie wmanewrował łódź do wyrzutni i grupa wyszła z kabiny.

Oczekiwano ich niecierpliwie. Lecz Orostron spostrzegł od razu, że załogą S 9000 powoduje nie tylko ciekawość. Nim wymienili słowo, wiedział, że zaszło coś złego.

- Torkalee nie wrócił. Jego grupa zgubiła się. Musimy iść na ratunek. Wyniki badań omówimy w

hali kontrolnej.

Od samego początku Torkalee miał więcej szczęścia niż Orostron. Posuwał się wzdłuż strefy zmięrczu, unikając nieznośnego blasku słońca, aż znalazł się nad brzegiem zewnętrznego morza. Było to bardzo młode morze, jedno z najnowszych dzieł Człowieka, i pokrywało teren, który jeszcze sto lat temu przedstawiał pustynię. Za parą godzin będzie znowu pustynią, gdyż woda wrzała i chmury pary unosiły się aż pod niebo. Nie zdołały jednakże zakryć wielkiego, białego miasta, przeglądającego się w pięknym jeziorze.

Torkalee wylądował na placu, gdzie nadal stały rzędami latające maszyny. Ich konstrukcja była strasznie prymitywna, choć wykończenie wspaniałe; zbudowane były na zasadzie obrotowych śmigieł. Nigdzie nie dostrzegli ani śladu życia, ale odnieśli wrażenie, iż mieszkańcy muszą być niedaleko. W niektórych oknach paliło się światło.

Torkalee pozostał, a jego towarzysze bez zwłoki wyszli z łodzi. Przywódcą tej grupki, ze starszeństwa rangi i rasy był Tsinadree, który podobnie jak Alveron, urodził się na jednej z najstarszych planet Centralnej Grupy Słońc. Za nim wszedł Alarkane, należący do jednej z najmłodszych ras Wszechświata, z czego był ogromnie dumny. Pochód zamykało jedno z najdziwniejszych stworzeń z układu Paladoru. Było bezimienne, jak i inne na owej planecie, nie miało bowiem własnej tożsamości, będąc tylko ruchomą, ale zależną częścią ogólnej świadomości swej rasy. Częstki te od dawna już rozproszyły się po Galaktyce badając niezliczone światy, a mimo to jakiś nieł znany czynnik wiązał je z sobą tak nierozłącznie jak żywe komórki ludzkiego ciała.

W języku Paladoru nieznana była liczba pojedyncza. Istoty z tego układu używały zawsze określenia "my".

Badacze stanęli z zakłopotaniem przed wielkimi drzwiami okazałego budynku, choć każde ludzkie dziecko mogłoby im wyjaśnić sekret. Tsinadree, nie tracąc czasu na namysły, skomunikował się wprost z Torkalee. Następnie wszyscy trzej odskoczyli, a dowódca zmienił położenie łodzi. Nastąpił gwałtowny wybuch płomienia i masywne, stalowe drzwi rozbłysły po brzegach, a potem znikły. Kamienne odrzwia jeszcze się żarzyły, gdy grupa szybko wkroczyła do wnętrza oświetlając drogę reflektorami.

Reflektory okazały się zbędne. Przed nimi widniała olbrzymia sień oświetlona blaskiem jarzeniowych lamp pod sufitem. Na prawo i lewo rozchodziły się długie korytarze, a przed nimi wznosiła się imponująca klatka schodowa, prowadząca do górnych pięter.

Tsinadree wahał się przez chwilę. Ponieważ jednak wybór był obojętny, poprowadził swych towarzyszy pierwszym korytarzem.

Czuli teraz wyraźnie, że życie jest gdzieś blisko.

Lada moment oczekiwali spotkania z mieszkańcami planety. Gdyby przybrali wrogą postawę, czego nie można by wziąć im za złe, badacze postanowili użyć niezwłocznie paralizatorów.

Napięcie wzrosło jeszcze, gdy weszli do pierwszej sali. Opadło wszakże, gdy zobaczyli tam tylko maszyny - długie szeregi maszyn, milczących i nieruchomych. Wzdłuż ścian stały tysiące metalowych pudeł, tworząc jak gdyby drugi, wewnętrzny mur. To było wszystko. Żadnych innych sprzętów, nic oprócz dziwnych maszyn i tajemniczych pudeł.

Alarkane, najszybszy z całej trójki, zbadał zawartość pudeł. Składała się z tysięcy arkuszy cienkiego, lecz trwałego materiału, pokrytego mnóstwem otworów i znaków. Paladorczyk wziął jeden z arkuszy, Alarkane zaś dokonał zdjęć maszyn i sali. Potem wyszli. Całe to urządzenie, jeden z cudów świata, nic im nie mówiło. Oko żyjących istot nigdy już nie zobaczy wspaniałego zespołu analizatorów Holleritha ani pięciu miliardów perforowanych kart, zawierających wszystko, co można było wiedzieć o każdym mężczyźnie, kobiecie i dziecku na planecie.

Nie ulegało kwestii, że budynek był do niedawna w użyciu. Z rosnącym podnieceniem badacze przeszli do następnej sali. Znaleźli tam olbrzymią bibliotekę. Miliony książek stały na setkach tysięcy półek. Zgromadzono tu, choć badacze nie mogli o tym wiedzieć teksty wszystkich praw, jakie człowiek kiedykolwiek wydał, oraz wszystkich mów, jakie wygłoszono w jego przedstawicielstwach ustawodawczych.

Tsinadree rozważał dalszy plan działania, gdy Alarkane zwrócił mu uwagę na jedną z pobliskich półek. W przeciwieństwie do reszty była na wpół pusta. Dokoła leżały książki porozrzucane na ziemi, jakby ktoś je upuścił w gwałtownym pośpiechu. Znak wydawał się nieomylny. Inne istoty przeszły tędy niedawno.

Choć pozostali nic nie widzieli, Alarkane, obdarzony niezwykle przenikliwymi zmysłami, dostrzegł słabe, ale wyraźne ślady kół na ziemi. Dostrzegł nawet odciski stóp, lecz nie mógł ustalić kierunku, nie wiedząc nic o istotach, które je zostawiły.

Uczucie bliskości było teraz niezwykle silne, ale uczucie raczej bliskości w czasie aniżeli w przestrzeni. Alarkane wypowiedział myśl wszystkich.

- Te książki musiały być cenne, więc ktoś sobie o nich przypomniał i wrócił na ratunek. Znaczy to, że zapewne w pobliżu znajduje się miejsce schronu. Może zresztą trafimy na jakieś dalsze tropy.

Tsinadree przytaknął, ale Paladorczyk był przeciwny szukaniu tropów.

- To bardzo prawdopodobne, ale schron może okazać się trudny do znalezienia, a zostały nam tylko dwie godziny. Nie traćmy więc czasu, jeśli chcemy kogoś uratować.

Grupa ruszyła naprzód, zatrzymując się tylko dla zabrania kilku książek, które mogły się przydać naukowcom w Bazie, choć należało wątpić, czy przekład jest wykonalny. Jak się okazało, gmach składał się głównie z niewielkich sal, a wszędzie były oznaki niedawnego pobytu. Wszędzie panował ład i porządek, tylko w paru salach trafili na stan odwrotny. Szczególnie jeden pokój wyglądał tak, jakby przeszli tu niszczyciele. Podłoga była usiana strzępami papieru, meble pogruchotane, a przez rozbite okna waliły kłęby dymu z pożarów płonących na zewnątrz.

Tsinadree był mocno zaniepokojony.

- Chyba żadne niebezpieczne zwierzę nie mogło się tu dostać! - wykrzyknął sięgając po paralizator.

Alarkane nic nie odpowiedział. Zaczął wydawać dokuczliwy dźwięk zwany przez jego rasę "śmiechem". Minęło kilka minut, zanim mógł wyjaśnić, co go tak ubawiło.

- Tego nie zrobiło żadne dzikie zwierzę - powiedział. - Wy tłumaczenie jest chyba bardzo proste. Przypuśćmy, że ktoś z nas całe życie pracował w tym pokoju, rok po roku zestawiając różne materiały. I nagle dowiaduje się, że nigdy nie ukończy swej pracy, że musi ją porzucić na zawsze. Mało tego: nikt tutaj więcej nie przyjdzie. Wszystko się skończyło. Co byś zrobił wychodząc, Tsinadree?

Tamten namyślał się chwilę.

- Myślę, że uporządkowałbym swoje papiery i wyszedł. Tak właśnie stało się pewnie we wszystkich pozostałych salach.

Alarkane znów się roześmiał.

- Wierzę, że tak byś postąpił. Ale niektóre jednostki mają odmienną psychologię. Mnie na przykład podoba się istota, która tu pracowała.

Nie udzielił dalszych wyjaśnień, a jego koledzy po namyśle przestali się głowić nad wyjaśnieniem zagadki.

Doznali prawdziwego wstrząsu, gdy Torkalee wydał rozkaz powrotu. Zebrali sporo danych, ale nie trafili na ślad mogący ich zaprowadzić do miejsca schronu mieszkańców planety. Problem był

nadal nie do rozgryzienia i, jak widać, nie miał być już nigdy rozwiązany. Do odlotu S 9000 pozostawało zaledwie czterdzieści minut.

Byli w połowie drogi powrotnej do łodzi, gdy ujrzeli łukowate przejście wiodące do podziemi gmachu. Styl budowli był zupełnie inny niż w pozostałych częściach, a łagodny skłon zejścia stanowił przyjemną zachętę dla istot znużonych chodzeniem po marmurowych schodach, które chyba tylko dwunogom mogły odpowiadać. Najbardziej wyrzekał na nie Tsinadree, który posługiwał się zwykle dwunastu odnóżami, ale w razie pośpiechu mógł użyć dwudziestu, choć nikt jeszcze takiego wypadku nie widział.

U progu stanęli i spojrzeli w dół. Wszystkich trzech ogarnęła ta sama myśl: tunel wiodący do głębin Ziemi.

Może na jego końcu znajdą poszukiwanych mieszkańców planety i ocala przynajmniej niektórych. W razie potrzeby zdążyliby jeszcze wezwać statek macierzysty.

Tsinadree zasygnalizował dowódcy i Torkalee natychmiast przesunął łódź. Znajdowała się teraz nad wylotem tunelu. W wypadku konieczności Torkalee mógł przebić się błyskawicznie przez dwanaście pięter dzielących go od badaczy. Bo na normalną drogę przez labirynt korytarzy i przejść mogło nie być już czasu. Z drugiej strony dotarcie do końca tunelu nie powinno trwać długo.

Zajęło trzydzieści sekund. Drugi wylot prowadził do dziwnej cylindrycznej sali, gdzie wzdłuż ścian znajdowały się wspaniałe wyściełane siedzenia. Innego wyjścia z sali nie było i Alarkane dopiero po chwili zrozumiał jej przeznaczenie. Szkoda tylko, pomyślał, że już nigdy z niej nikt nie skorzysta. Wtem usłyszał krzyk Tsinadree. Odwrócił się i zobaczył, że wejście bezszelestnie zamknęło się za nimi.

Mimo paniki, jakiej doznał, Alarkane nie mógł powstrzymać się od podziwu: - Bądź co bądź umieli budować urządzenia automatyczne!

Paladorczyk przemówił pierwszy. Wskazał czułkiem siedzenia.

- Zdaje się nam, że możemy usiąść - rzekł. Jego wieloosobowy umysł zanalizował już sytuację i wiedział, co teraz nastąpi.

Wkrótce potem z kraty u stropu rozległo się niskie brzęczenie i po raz ostatni w dziejach Ziemi dał się słyszeć martwy, co prawda, głos ludzki. Słowa były niezrozumiałe, ale uwięzieni badacze łatwo się domyślali znaczenia.

- Proszą usiąść i wybrać stacje.

Równocześnie zapaliły się lampy oświetlając tablicę na ścianie. Pokrywał ją prosty diagram, na którym widniało kilkanaście krążków połączonych linią. Obok każdego krążka figurowały napisy opatrzone dwoma guzikami różnych kolorów.

Alarkane spojrzał pytająco na kierownika.

- Nie dotykaj - rzekł Tsinadree. - Jeśli nie będziemy ruszać przełączników, może drzwi się otworzą.

Był w błędzie. Inżynierowie, twórcy automatycznego podziemia, zakładali, że każdy, kto tu wejdzie, zechce oczywiście dokąś się udać. Jeśli nie wybrali żadnej stacji pośredniej, mogli jechać tylko do stacji końcowej.

Minęła dalsza chwila: automaty i thyatrony czekały rozkazów. W ciągu owych trzydziestu sekund, gdyby wiedzieli, co należy zrobić, mogli otworzyć drzwi i opuścić podziemie. Ale nie znając urządzeń byli bezradni, a maszyny, przystosowane do psychologii ludzkiej, działały za nich.

Wzrost szybkości był niezbyt duży i materacowane ściany stanowiły luksus, nie zaś konieczność. Ledwo dostrzegalne drgania wskazywały na prędkość, z jaką pędzili przez wnętrze Ziemi nie znając kresu podróży. A za trzydzieści minut S 9000 opuszczał układ słoneczny.

Wśród głuchego milczenia Tsinadree i Alarkane dokonywali w myśli pośpiesznych rozważań. To samo czynił Paladorczyk, chociaż na inny sposób. Pojęcie osobistej śmierci nie istniało dla niego, gdyż zniszczenie poszczególnej jednostki było dla zbiorowego umysłu tym, co utrata skrawka paznokcia dla człowieka. Umiał jednak choć z wielkim trudem, wczuć się w położenie inteligencji indywidualnych, takich jak Alarkane i Tsinadree, pragnął więc im dopomóc.

Alarkane zdołał nawiązać kontakt z Torkalee posługując się nadajnikiem podręcznym, ale sygnał był słaby i coraz bardziej zanikał. W paru słowach objaśnił sytuację i zaraz potem sygnały stały się wyraźniejsze. Torkalee podązał nad ziemią wzdłuż trasy maszyny pędzącej ku nieznanemu im przeznaczeniu. Była to pierwsza wskazówka, że podróżują z szybkością tysiąca mil na godzinę, a niebawem Torkalee dał im znać, że się zbliżają do morza. Póki byli pod ziemią istniała słaba nadzieja zatrzymania maszyny i ocalenia. Ale spod dna oceanu nie mogły ich wyratować wszystkie mózgi i urządzenia statku macierzystego. Straszliwszej pułapki nie można było wymyślić.

Tsinadree z wielką uwagą studiował diagram na ścianie. Sens jego był oczywisty. Wzdłuż linii łączącej kółka posuwał się mały punkcik świetlny. Był już w połowie drogi do pierwszej z oznaczonych stacji.

- Nacisnę guzik - rzekł wreszcie Tsinadree. - Na pewno to nie zaszkodzi, a możemy się czegoś dowiedzieć.

- Zgoda. Który chcesz wypróbować?

- Są tylko po dwa, więc nie robi różnicy, jeśli za pierwszym razem się pomyłę. Myślę, że pierwszy służy do uruchomienia maszyny, a drugi do zatrzymania.

Alarkane nie miał wielkich nadziei.

- Ruszyła bez naciskania - rzekł. - Musi być całkowicie zautomatyzowana i stąd nie możemy nią wcale kierować.

Tsinadree był odmiennego zdania.

- Guziki są wyraźnie związane ze stacjami i nie miałyby sensu, gdyby nie można ich użyć dla zatrzymania. Chodzi tylko o właściwy guzik.

Wniosek był najzupełniej słuszny. Maszynę można było zatrzymać na każdej pośredniej stacji. Byli w drodze zaledwie dziesięć minut i gdyby teraz mogli się wydostać, nie doznaliby szkody.

Pech tylko sprawił, że Tsinadree nacisnął najpierw niewłaściwy guzik.

Punkcik świetlny przesunął się na diagramie przez oświetlony krążek bez zwalniania szybkości. Jednocześnie Torkalee odezwał się z łodzi:

- Przeszliście pod jakimś miastem i zmierzacie do morza. Najbliższy przystanek nie może być prędzej niż za tysiąc mil.

Alveron stracił wszelką nadzieję znalezienia życia na tej planecie. S 9000 przebadał połowę globu, nigdzie nie zatrzymując się dłużej, ale raz po raz opuszczając się dla zwrócenia na siebie uwagi. Bez skutku. Ziemia zdawała się wymarła. Jeśli jacyś jej mieszkańcy zostali przy życiu, myślał Alveron, ukryli się chyba w takich głębinach, gdzie nikt ich nie dosięgnie, a gdzie ich los i tak jest przesądzony.

Gdy Rugon doniósł o klęsce, jaka spotkała grupę badaczy, wielki statek zaniechał bezowocnych dalszych poszukiwań i popłynął nad ocean, gdzie Torkalee w swojej łodzi śledził bieg podziemnej maszyny.

Widowisko było przerażające. Od czasów narodzin Ziemi morze nie wyglądało jak dziś. Huragan o szybkości kilkuset mil na godzinę wzdymał prawdziwe góry wody. Nawet w tej odległości od lądu powietrze pełne było latających szczątków: drzew, części domów, wielkich kawałów blachy, wszystkiego, co nie było wbudowane w ziemię. Przy takim wichrze nie utrzymałby się w powietrzu

żaden zwykły samolot. A góry wodne wpadały na siebie z tak opętańczym hukiem, że zagłuszały nawet ryk burzy.

Na szczęście nie było dotąd poważniejszych trzęsień ziemi.

Głęboko pod dnem oceanu, wspaniała twórczość inżynierii, prywatna podziemna kolej próżniowa prezydenta świata, działał bez zarzutu. Wpływ zniszczeń na powierzchni tu nie docierał. Więc kolej funkcjonować będzie aż do ostatniej chwili istnienia Ziemi, co, jeśli astronomowie nie byli w błędzie, miało nastąpić za jakie piętnaście minut lub niewiele dłużej. Mniej więcej tyle. Alveron dałby dużo, by znać ten termin z zupełną dokładnością. Uwięziona grupa nie mogła dotrzeć do lądu przed upływem prawie godziny. Szansę ratunku były więc znikome.

Alveron miał ściśle instrukcje. Ale i bez tego nigdy by nie wystawił na ryzyko powierzonego mu wielkiego statku. Gdyby był człowiekiem, decyzja porzucenia uwięzionych członków załogi przyszlaby mu z trudem. Ale należał do rasy znacznie wrażliwszej niż ludzka, rasy, która tak ukochała wartości duchowe, że tylko z najwyższą niechęcią objęła przed wiekami kontrolę Wszechświata, gdyż ona jedna dawała gwarancję sprawiedliwości. I teraz Alveron musiał skupić wszystkie swoje nadludzkie siły, aby sprostać zadaniu najbliższych paru godzin.

W tym samym czasie, na milę pod dnem oceanu, Alarkane i Tsinadree wprawili w gorączkowy ruch osobiste swoje nadajniki. Kwadrans to bardzo mało czasu na uporządkowanie spraw całego życia. Można co najwyżej zamienić kilka słów pożegnalnych, ważniejszych w takiej chwili od wszystkich innych rzeczy.

Paladorczyk natomiast milczał i trwał bez ruchu. Tamci dwaj, pogodziwszy się z losem i zajęci własnymi sprawami, nie zwracali na niego uwagi. Toteż zdumieli się, gdy nagle zaczął mówić właściwym sobie obojętnym tonem.

- Widzimy, że czynicie pewne przygotowania dotyczące waszej przewidywanej zagłady. Ale przygotowania te będą zapewne zbędne. Kapitan Alveron liczy, że nas ocali, jeśli tylko zdołamy zatrzymać tę maszynę, kiedy znów się znajdziemy pod lądem.

Tsinadree i Alarkane byli tak zdumieni, że na chwilę zamilkli. A potem wykrzyknęli obydwaj: - Skąd o tym wiecie?

Pytanie było niemądre, gdyż na S 9000 było wielu Paladorczyków - jeśli można to tak określić - dzięki czemu towarzysz ich wiedział o wszystkim, co się dzieje na statku macierzystym. Alarkane nie czekał na wyjaśnienia, lecz dodał: - Alveron tego nie zrobi! Nie może tak ryzykować!

- Nie będzie żadnego ryzyka - rzekł Paladorczyk. - Powiedzieliśmy Alveronowi, co ma zrobić. Właściwie to bardzo proste.

Alarkane i Tsinadree spojrzeli nań z podziwem, a trochę i przerażeniem. Domyślali się, co się stało. W momentach krytycznych poszczególne części składające się na umysł paladorski mogły się łączyć tworząc organizm równie zwarty, jak fizyczny mózg. Powstawał wówczas intelekt potężniejszy niż jakikolwiek inny we Wszechświecie. Sprawy zwykłe mogło rozwiązać paręset lub parę tysięcy cząstek. Rzadko kiedy potrzebne były miliony. A w dwóch historycznych wypadkach miliardy cząstek całej świadomości paladorskiej zespoliły się dla sprostania trudnościom grożącym ich rasie. Umysł Paladora należał do największych zasobów intelektualnych Wszechświata. W pełnej skali nigdy prawie nie był potrzebny, ale fakt, że można z niego korzystać był niezmiernie krzepiący dla wszystkich innych ras. Alarkane pomyślał, ile też w tym wypadku współdziałało cząstek. Zastanawiał się także nad przyczyną, która skupiła ich uwagę na tak podrzędnym w gruncie rzeczy zdarzeniu.

Na ostatnie pytanie nigdy nie miał uzyskać odpowiedzi. Nie domyślił się bowiem, że mroźnie obojętny umysł Paladora cechowała ludzka prawie próżność. Dawno temu Alarkane napisał książkę,

w której wywodził, że z czasem wszystkie inteligentne rasy wyrzekną się świadomości indywidualnych i we Wszechświecie będą istniały tylko umysły grupowe. Pisał w swej pracy, iż Palador jest pierwszym z tych intelektów. Sprawilo to wielką przyjemność olbrzymiemu, rozproszonemu umysłowi.

Nie zdążyli zadać żadnych dalszych pytań, gdy w ich odbiornikach odezwał się głos Alverona:

- Mówi Alveron! Pozostajemy na tej planecie, póki nie dosięgnie jej fala wybuchu, więc pewnie będziemy mogli was uratować. Zmierzacie do miasta nad morzem, przy obecnej szybkości będziecie tam za czterdzieści minut. Jeśli wtedy nie zdołacie zatrzymać maszyny, wysadzimy tunel za wami i przed wami, aby pozbawić waszą maszynę energii. Następnie wywiercimy otwór, aby was wydobyć. Główny inżynier mówi, że przy pomocy wielkich projektorów wykona to w pięć minut. Więc za niespełną godzinę będziecie ocaleni, chyba że słońce wybuchnie wcześniej.

- Ale gdyby to nastąpiło, to i wy będziecie zniszczeni! Nie wolno wam tak ryzykować!

- O to się nie kłopotcie. Nic nam nie grozi. Kiedy słońce wybuchnie, upłynie kilka minut, nim fala osiągnie szczyt. Poza tym jesteśmy po przeciwnej stronie planety, za osłoną ośmiu tysięcy mil skały. Przy pierwszych oznakach wybuchu wyjdziemy z układu słonecznego trzymając się cienia planety. Prędkość światła osiągniemy przed opuszczeniem cienia, a wtedy słońce nie będzie nam mogło zaszkodzić.

Tsinadree nadal bał się odzyskać nadzieję. W jego umyśle powstała nowa wątpliwość.

- A skąd będziecie wiedzieli o pierwszych oznakach będąc po przeciwnej stronie planety?

- To bardzo proste - odparł Alveron. - Planeta ma księżyc, widoczny obecnie na tej półkuli. Nastawiliśmy teleskopy. Jeśli księżyc wykaże nagły wzrost blasku, nasz statek ruszy automatycznie i będziemy wyrzuceni z układu.

Logika była nieskazitelna. Alveron, ostrożny jak zawsze, nie pozostawiał nic na los szczęścia. Wiele minut musi upłynąć zanim płomień wybuchającego słońca zniszczy skalistą zaporę grubości ośmiu tysięcy mil. A przez ten czas S 9000 uzyska bez trudu prędkość światła.

Alarkane nacisnął drugi guzik, gdy byli jeszcze daleko od wybrzeża. Przypuszczał, że maszyna nie zatrzymuje się między stacjami, że więc na razie nic się nie stanie. I nie mógł wprost uwierzyć, gdy w parę minut później lekkie drgania maszyny zanikły i kolej stanęła.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Natychmiast wszyscy trzej wyszli. Nie chcieli już ryzykować. Ujrzeni przed sobą długi tunel łagodnie wznoszący się w górę. Zamierzali już ruszyć, gdy nagle usłyszeli głos Alverona.

- Zostańcie na miejscu! Przebijemy się do was! Ziemia zadrżała i gdzieś daleko rozległ się odgłos spadających skał. Nowy wstrząs i o sto kroków przed nimi tunel nagle się zapadł. Przebijał go pionowy otwór sięgający w górę aż do powierzchni.

Przebiegli szybko korytarz i stanęli u wylotu otworu. O tysiąc stóp nad nimi znajdował się drugi wylot, a jeszcze wyżej kłębiły się chmury, przez które przebijał się blask niebywale jaśniejącego księżyca. Takiego blasku nie widziało jeszcze żadne oko ludzkie. Ale wspanialszy nad wszystko był widok unoszącego się w górę S 9000 i wielkich projektorów wciąż jeszcze rozrzarzonych do czerwoności.

Ciemny kształt oderwał się od macierzystego statku i szybko się zbliżał. Torkalee wracał po przyjaciół. W chwilę później Alveron witał ich w hali kontrolnej. Wskazał olbrzymi ekran i rzekł spokojnie: - Widzicie, w samą porę!

Łąd pod nimi zalewały stopniowo szturmujące wybrzeże fale, na milę wysokie. Aż w końcu Ziemia wyglądała jak jednolita płaszczyzna skąpana srebrnym światłem niezwykle błyszczącego księżyca. Lśniący powódź fal sięgała już najwyższego łańcucha gór. Morze odniosło swe ostateczne

zwycięstwo. Ale krótko i trwale, gdyż wkrótce już nie będzie ani łądów, ani oceanów. Podczas gdy ze statku patrzono na zalew wód, z dala nadciągała gwałtownie katastrofa straszliwsza.

Jakby zorza rozlała się nagle nad krajobrazem płonącym w blasku księżyca. Ale nie była to zorza. To księżyc świecił potężnie niczym drugie słońce. Blisko trzydzieści sekund jego nienaturalne, przeraźliwe światło płonęło na niebie. Nagle na tablicy kontrolnej rozbłysły światła wskaźnikowe. Statek ruszył. Alveron spojrzął na instrumenty. Gdy po sekundzie przeniósł wzrok z powrotem na ekran, Ziemi już nie było.

Wspaniałe, pracujące pod najwyższym napięciem generatory S 9000 zamarły, gdy statek mijał orbitę Persefony. Nie miało to znaczenia, słońce już mu nie mogło zaszkodzić. I chociaż błakali się teraz bezsilnie w pustkowiu międzygwiazdnej nocy, wiedzieli, że po~ moc nadejdzie najwyżej za parę dni. - Kryła się w tym ironia. Wczoraj jeszcze byli ratownikami spieszącymi na ocalenie rasy, która już nie istniała. Teraz dopiero Alveron zamyślił się nad losem świata, który przed chwilą uległ zagładzie. Starał się na próżno wyobrazić sobie jego dni chwały, ulice jego miast pełne życia. Mieszkańcy ich byli bardzo pierwotni, ale w przyszłości może działaliby wiele we Wszechświecie. Cóż kiedy nie dało się nawiązać z nimi kontaktu! Rozpamiętywanie było zresztą daremne: na długo przed przybyciem wyprawy ratunkowej mieszkańcy planety musieli się zamknąć w jej żelaznym jądrze. A teraz i oni, i ich cywilizacja pozostaną tajemnicą na wit.'k.i.

Alveron ucieszył się, gdy wejście Rugona przerwało mu te myśli. Od chwili opuszczenia planety szef łączności bardzo był zajęty analizowaniem programów radiowych wykrytych przez Orostrona. Problem nie był trudny, ale wymagał budowy specjalnego sprzętu, więc zajęło to trochę czasu.

- I co znalazłeś? - spytał Alveron.

- Wiele rzeczy - odrzekł przyjaciel. - Jest w tym jakiś sekret, którego nie rozumiem. Zbadanie tych transmisji przyszło nam z łatwością i szybko skonwersowaliśmy je tak, by odpowiadały naszym aparatom. Jak się zdaje, na całej planecie rozmieszczone były fotokamery dla dokonywania zdjęć obserwacyjnych. Niektóre umieszczono w miastach, na szczycie najwyższych budynków. Kamery były wprawiane w ciągły ruch obrotowy, aby dawać zdjęcia panoramiczne. W zbadanych programach znaleźliśmy ze dwadzieścia rozmaitych scen.

Ponadto - ciągnął - mamy szereg transmisji innego rodzaju: ani dźwiękowych, ani wizualnych. Przypuszczam, że są czysto naukowe, może stanowią wynik odczytywania jakichś instrumentów. Programy te nadawano jednocześnie na falach różnej częstotliwości. Musiało to mieć określony cel. Orostron nadal sądził, że stacji nie wyłączono po prostu w chwili jej opuszczania. Ale mamy tu do czynienia z typem programów, jakich żadna stacja normalnie by nie nadawała. Mogły służyć tylko do międzyplanetarnej łączności. Pod tym względem Klarten ma zupełną rację. Czyli że te istoty musiały rozwiązać problem komunikacji kosmicznej, gdyż na innych planetach w momencie ostatniego sprawdzenia nie było w ogóle życia. Co o tym sądzisz?

Alveron słuchał z uwaga.

- Tak, to brzmi logicznie. Ale z drugiej strony wiemy, że programy nie były skierowane do żadnej z pozostałych planet. Sam to sprawdzałem.

- Wiem - odparł Rugon. - Ale mnie interesuje pytanie, dlaczego olbrzymia międzyplanetarna stacja łączności skrupulatnie nadaje obrazy świata, który za chwilę ulec ma zagładzie. Obrazy niezmiernie wagi dla astronomów i w ogóle uczonych. Ktoś zadał sobie szalony trud zbudowania tych wszystkich panoramicznych kamer. I jestem przekonany, że fale radiostacji mają wyraźny kierunek i przeznaczenie.

- Czy chcesz przez to powiedzieć - zaczął się Alveron - że podejrzewasz istnienie planety pominiętej w naszych wykazach? W takim razie twoja teoria jest błędna. Fale nie były skierowane na

żaden punkt układu słonecznego. A nawet, gdyby tak było - patrz... - Włączył ekran i nastawił aparat. Na aksamitnym tle nieskończoności widniała białobłękitna kula złożona z licznych koncentrycznych warstw rozżarzonych gazów. Choć z tej odległości ruchy były niedostrzegalne, widać było, że rozszerza się z niesłychaną szybkością. W samym środku znajdował się oślepiający punkt świetlny: biała karłowata gwiazda, w którą zmieniło się obecnie słońce.

- Może nie uprzytamiasz sobie - rzekł Alveron - wielkości tej kuli. Więc przyjrzyj się.

Wzmógł powiększenie, aż pozostała widoczna tylko środkowa część gwiazdy nowej. Tuż przy samym jądrze wyróżniały się dwa mikroskopijne zgęszczenia.

- To dwie największe planety układu. Zdołały w pewnym sensie zachować swoją odrębność. A znajdowały się o setki milionów mil od słońca. Nova dalej rośnie, ale już jest dwa razy większa od całego słonecznego układu.

Rugon milczał przez chwilę.

- Może i masz rację - odparł niechętnie. - Ale nawet jeśli obaliłeś moją teorię, nie wyjaśniłeś problemu.

Nie odzywając się krążył po sali. Alveron czekał cierpliwie. Znał świetny umysł swego przyjaciela, który intuicyjnie potrafił nieraz znaleźć rozwiązanie, gdy zwykła logika nie mogła go dostarczyć.

Po pewnym czasie Rugon zaczął mówić z głębokim namysłem.

- A co powiesz o takiej hipotezie? - spytał. - Przypuśćmy, że wcale nie umieliśmy docenić tej rasy? Orostron twierdził, że nie mogli przekroczyć progu kosmosu, ponieważ znali radio tylko przez dwieście lat. Otóż mylił się całkowicie. Więc może i teraz wszyscy się mylimy. Oglądałem materiał, jaki przywiózł Klarten. Nie był nim zachwycony. A moim zdaniem to są świetne wyniki jak na tak krótki czas. Na stacji znajdowały się urządzenia należące do cywilizacji o tysiące lat starszych. Słuchaj, Alveron, czy możemy prześledzić te fale, aby sprawdzić ich końcowy kierunek?

Dłuższą chwilę Alveron nie odpowiadał. Spodziewał się tego pytania, ale odpowiedź nie była rzeczą łatwą. Główne generatory wyczerpały się całkowicie. O naprawieniu nie mogło być mowy. Ale wciąż jeszcze mieli energię do dyspozycji, a mając energię można wszystko zrobić. Oczywiście trzeba będzie improwizować i dokonywać różnych trudnych manewrów, gdyż statek wciąż miał swoją ogromną szybkość pierwotną. Tak, można to zrobić. Odwróci to nawet uwagę załogi i zapobiegnie zbyt niemiłemu przygnębieniu z powodu niepowodzenia misji. Zwłaszcza że ten zły nastrój pogłębiła jeszcze wiadomość, niedawno nadeszła, że statek warsztatowy przybędzie dopiero za trzy tygodnie.

Inżynierowie, jak zwykle, wysuwali mnóstwo trudności. I jak zwykle wykonali pracę w połowie czasu, który uznali za absolutnie konieczny. Zmiana kierunku przy szybkości, uzyskanej w ciągu paru minut, zabrała teraz kilka długich godzin. W końcu jednak statek zmienił kurs i zatoczył powoli olbrzymią krzywiznę o promieniu milionów mil. A jednocześnie przesunęły się pola gwiazdne.

Cały manewr zajął trzy dni. Z upływem tego czasu S 9000 przybrał kurs równoległy do fal radiowych wysłanych niegdyś z Ziemi. Zagłębiali się teraz coraz bardziej w próżnię, a jarząca się kula dawnego słonecznego układu stopniowo malała za nimi. Według skali podróży międzygwiazdnych byli teraz prawie nieruchomi.

Rugon nie odstępował wcale instrumentów i wysyłał daleko w przestrzeń fale wykrywające. Nie ulegało już kwestii, że w odległości wielu lat świetlnych nie ma żadnej planety. Od czasu do czasu zjawiał się Alveron, a Rugon wciąż musiał dawać tę samą odpowiedź: "Nic nowego". Intuicja zawodziła niekiedy Rugona i to bardzo dotkliwie. Zaczynał podejrzewać, że taki wypadek zaszedł właśnie teraz.

Dopiero po tygodniu igły detektorów zaczęły lekko drgać. Ale Rugon nie powiedział o tym nikomu, nawet swemu dowódcy. Chciał mieć pewność, więc czekał aż do chwili, gdy reagować zaczęły nawet wykrywacze bliskiego zasięgu, a na vizoekranie zjawiły się pierwsze nikle zarysy obrazów. Ale i to go nie zadowoliło: obrazy należało wyjaśnić. Dopiero, gdy upewnił się, że najbliższa fantazja błędnie wobec rzeczywistości, wezwał kolegów do hali kontrolnej.

Na ekranie widniał znany wszystkim obraz nieskończonych pól gwiazdnych, widok słońc ciągnących się aż po granice Wszechświata. W pobliżu środka ekranu jakaś daleka mgławica tworzyła plamkę trudno dostrzegalną dla oka.

Rugon wzmógł powiększenie. Gwiazdy znikły z pola widzenia. A mgławica rozrosła się, aż wypełniła ekran. A wtedy... nie była to już mgławica. Okrzyk podziwu wyrwał się jednocześnie wszystkim zebranych na widok tego, co ujrzeli przed sobą.

Unosząc się w przestrzeni w równych od siebie odstępach i z dokładnością maszerującej armii płynęły tysiące drobnych kresek świetlnych. Poruszały się szybko tworząc razem zwartą i jednolitą grupę. Stopniowo świetlna formacja zaczęła wysuwać się z ram ekranu i Rugon musiał ponownie nastawić aparat. Milczał długo, zanim przemówił.

- Oto jest rasa - rzekł bardzo spokojnie - która знаła radio zaledwie przez dwa stulecia. Rasa, o której sądziliśmy, że czekając na śmierć ukryła się w jądrze swojej planety. Zbadałem ten obraz przy największym, jakie tylko można było osiągnąć, powiększeniu. Jest to największa flota, jaka kiedykolwiek istniała. Każda z tych kresek świetlnych oznacza statek większy od naszego. Oczywiście, są to statki bardzo pierwotne; na ekranie widzimy odrzut ich rakiet. Tak jest, mieli odwagę użyć rakiet dla pokonania przestrzeni kosmicznej!

Zdajecie sobie sprawę, co stąd wynika. Upłyną setki lat, nim dotrą do najbliższej gwiazdy. Cała rasa wyruszyła w tę podróż w nadziei, że po upływie pokoleń ukończą ją potomkowie. Aby ocenić rozmiar ich czynu, musicie pomyśleć, ile wieków myśmy zużyli na podbój przestrzeni, ile dalszych wieków minęło, nim spróbowaliśmy osiągnąć gwiazd. Czy potrafilibyśmy uczynić tyle i w tak krótkim czasie, nawet, gdyby nam groziła zagłada? Pamiętajcie, że jest to najmłodsza cywilizacja Wszechświata. Czteryście tysięcy lat temu wcale nie istniała. Jaką więc będzie za milion lat?

W godzinę później Orostron opuścił obojętny statek macierzysty dla nawiązania kontaktu z wielką flotą lecącą przed nimi. Gdy jego drobna łódź znikła wśród gwiazd, Alveron zwrócił się do przyjaciela i wypowiedział słowa, które Rugon nieraz przypominał sobie po latach.

- Ciekaw jestem, jacy też oni są? - szepnął. - Czy to tylko wspaniali inżynierowie, pozbawieni sztuki i filozofii? Będą bardzo zdziwieni, gdy Orostron ich spotka - może to nawet będzie ciosem dla ich dumy. Dziwne to, ale wszystkie odosobnione rasy myślą, że są jedynymi mieszkańcami Wszechświata. A swoją drogą powinni nam być wdzięczni: zaoszczędzimy im kilkuset lat podróży.

Alveron spojrział na Drogę Mleczną, pokrywającą ekran jakby srebrną mgłą. Ruchem czułka zatoczył krąg obejmujący całość Galaktyki, od Planet Centralnych po samotne słońca Rimu.

- Czy wiesz - rzekł do Rugona - trochę się boję tej rasy. Przypuśćmy, że nie spodoba im się nasza Federacja? - Jeszcze raz wskazał płonące miriady gwiazd na ekranie.

- Jakoś mi się zdaje - dodał - że to bardzo zdecydowana rasa. Musimy być dla nich uprzejmi. Ostatecznie jesteśmy od nich liczniejsi wszystkiego miliard razy.

Rugon roześmiał się z dziwnego żarciku dowódcy.

W dwadzieścia lat później uwaga nie wydała mu się już tak zabawna.

Thumaczył Julian Stawiński

Wiadomo, że znacznie łatwiej przewyciężyć nawet siłę przyciągania ziemskiego niż obrzydliwy ciężar szablonów w słowie i zachowaniu, do których człowiek od wieków ma chorobliwą wprost słabość. Nauczy się fruwać w powietrzu jak ptak, bez aparatów i przygotowań, a dalej będzie powtarzał wyświechtane frazesy, zwroty i gesty. Ale i to chyba kiedyś się skończy. Jak? Trudno przewidzieć. Może jednak, tym razem, w jakiś zabawny sposób. Przecież na naszą przyszłość nie będą składać się same posępne wydarzenia, katastrofy, inwazje i wojny. Będą w niej także i momenty śmieszne. Warto więc przyjrzeć się życiu naszych dalekich potomków również od nieco groteskowej strony. A jeśli taką groteskę ktoś spróbuje przenieść w wyobraźni do teraźniejszej epoki, jeżeli pomyśli jakie żniwo zebrałby Kontroler w czasach dzisiejszych - może będzie miał chwilę prawdziwej wesołości.

ROBERT ZACKS - Kontroler

Jes wypadł z łóżka. Śniło mu się, że płynie na lodowcu, a wicher złowieszczo chichocze. Kiedy drżąc całym ciałem otworzył oczy, zrozumiał, że jego żoneczka, Laurie, wyłączyła dopływ ciepła. Teraz stała nad nim, świdrując posępnym wzrokiem. Włosy miała dziś karminowe o ślicznym odcieniu, z modną złotą pręgą nad czołem. Nie łagodziło to jednak mroźnego wyrazu twarzy.

- Wstawaj, nicponiu - rzekła swym słodkim kontraltem. - Wstawaj i idź zarobić trochę kredytek, bo cię podam do rejestracji.

Na samą myśl, że Agencja Ekonomiczna mogłaby go przerejestrować do Wyznaczonych Robót, co oznaczało też beznadziejną nudę Opieki Świetlicowej, Jes skoczył na równe nogi i zaczął szukać butów.

- Cudna dziś jesteś, kochanie! - próbował ją ułagodzić. - Nie zasłużyłem na taką żonę!

- Co to, to masz rację! - odparła z goryczą Laurie. - Kiedy pomyślę o prawdziwych mężczyznach, za których mogłam wyjść, o wspaniałym życiu, jakie mogłam prowadzić, zamiast się marnować przy takim niedoładzie jak ty...

- Czasami zarabiam przecież nieźle. Trzy lata temu wysłałem cię na miesiąc do Pałacu Rozkoszy, pamiętasz?

- Trzy lata temu! Wielkie rzeczy!

Wybiegła z pokoju. Jes podszedł smutny do szafy i obejrzał różne mundury i przebrania, stanowiące część jego wyposażenia jako Kontrolera Rejestrowego. Wybrał czarnosrebrzysty trykot Inspektora Zanieczyszczeń Powietrza, myśląc tęsknie o dobrych czasach, kiedy Laurie jeszcze się uśmiechała do niego. Natychmiast też doznał przyływu zdecydowania, by dzisiaj dokonać wielkich rzeczy. Może los będzie mu sprzyjał i zarobi wysoką prowizją. A wtedy Laurie...

Telewizor bzyknął, błysnął i na ekranie ukazała się dobroduszna twarz urzędnika z Biura Stosunków Małżeńskich.

- Dzień dobry, Jes - rzekł z uśmiechem. - Jak układają się sprawy między tobą i twoją ukochaną?

- Nędznie - jęknął Jes. - Laurie ma dziś humorek doprawdy ohydny.

- Świetnie, świetnie, cieszę się, że to słyszę. - Biuro Stosunków Małżeńskich było zupełnie rozpromienione.

- Co? - wybąkał Jes.

- Jej Wskaźnik Sadyzmu skoczył o pięć punktów - wyjaśnił urzędnik. - Chciałem się właśnie upewnić, czy nie popełniliśmy jakiej omyłki. Ale teraz widzę, że wszystko rozwija się dobrze. Macie najlepsze widoki przed sobą.

- Dobrze? Najlepsze widoki? Kpisz sobie ze mnie?

- Spokój, spokój! Już my lepiej wiemy, co dla ciebie jest dobre. Masz, jak ci wiadomo, wcale wysoki wskaźnik masochizmu. Więc Laurie jest dla ciebie w sam raz. Powiedziałbym, że jesteście po prostu stworzeni dla siebie.

Urzędnik raptownie urwał, jakby coś nagle zaparło mu dech. Telewizor błysnął parę razy i zgasł, Jes jednak nie miał czasu się dziwić, gdyż srebrzysty głos dzwonka skierował jego uwagę na Kontroler. Był to płaski przenośny aparacik, dwa cale na sześć, z którym Jes nigdy się nie rozstawał. Kontroler stał teraz na półce, a czerwony znak alarmowy sygnalizował jakieś pogwałcenie. Na tarczy widniała wskazówka: Bx-P-203.

Drżącą dłonią Jes nacisnął guzik z lewej strony Kontroleru, a z głośnika ukrytego w aparaciku, rozległ się mechaniczny głos, podający szczegóły.

- Bx-P-203 - Godzina ósma dziesięć, Kontrollex 27965 Kontrolera Rejestrowego Jesa stwierdził naruszenie praw do frazesu "stworzeni dla siebie". Frazes stanowi własność zgłoszoną do Rejestru na zasadzie Ustawy z roku 1996 o Frazesach Słownych przez właścicieli: Wytwórnę Filmową Magnum i Powszechną Spółkę Wydawniczą. Należność za użycie frazesu - 80 kredytów, prowizja - 50 procent.

Głos ucichł, a Kontrollex rozjarzył się napisem: Płatne natychmiast i bez rozkładania na raty.

Jes pisał z radości, a Laurie przybiegła z drugiego pokoju.

- Słyszałam, jak Kontrollex dzwonił - wykrzyknęła.

- A tak! - pisał z uciechy Jes. - Dobrze się spisuję, co? Byłem na tyle sprytny, że zostawiłem

Kontrollex otwarty na całą noc. I przychwycił pogwałcenie wyłączności słownej...

- Zostawiłeś otwarty na całą noc? - wrzasnęła Laurie, której radość od razu zgasła. - Ty ośle!

Opłata za Kontrollex w ruchu wynosi dziesięć kredytów godzina, prawda? A ile dostaniesz prowizji od tego pogwałcenia?

- Czterdzieści. Tym razem może się nie opłaciło, ale...

Laurie zakomunikowała mu swoje zdanie o jego rzekomym sprycie.

Nieszczęsny Jes podszedł do telewizora i nacisnął wyłącznik, który przywołał na ekran postać urzędnika z Biura Stosunków Małżeńskich. Lecz cofnął się gwałtownie na widok jego twarzy.

- Strasznie mi przykro, staruszkule - bąknął potulnie Jes - ale to mój zawód. Będziesz musiał bulić za tych "stworzonych dla siebie". Frazes jest własnością...

- Ach, ty obmierzły szpiclule! - ryczała twarz z ekranu telewizora. - Twój dziadek brał pewnie procent za donosy na przemytników brylantów!

- Mój dziadek... - łagodnie oponował Jes -

- Do diabła! - miotał się tamten. - Żeby człowiek nie mógł nawet powiedzieć kilku słów bezpłatnie...

Jes zmieszał się jeszcze bardziej i zaczął gwałtownie manipulować wyłącznikami. Środek ekranu opustoszał, Biuro Stosunków Małżeńskich przesunęło się w prawo, a z lewej strony ukazała się sucha, ascetyczna twarz bezpośredniego zwierzchnika Jesa - Dirdona.

- O co chodzi? - zapytał Dirdon przesywając Jesa oczyma.

- Zażalenie na cel i sens Prawa o Rejestrze - odparł nerwowo Jes. - Może to pan rozpatrzy, szefie? Przełączam.

Dirdon zacisnął usta i skinął głową, a Jes przestawił wyłącznik. Rozmówcy zaraz się odwrócili do niego profilem, gdyż widzieli siebie nawzajem na swoich ekranach.

- Zgłasza pan zażalenie? - spytał Dirdon.

- Nie wiem, coś pan za jeden - wrzeszczało Biuro Stosunków Małżeńskich - ale przypuszczam, że należysz do bandy tych rejestrowanych kanciarzy. To zupełnie dzika historia z tą nową ustawą. Rozumiem, że można zastrzegać prawo do dzieła sztuki czy wynalazku. Ale rozciągać to na mowę codzienną, na utarte zwroty...

- Chwileczkę! - przerwał mu Dirdon. - Myślę, że kupuje pan karty z życzeniami?

- Kupuję! No, to co?

- A czym one są, ściśle biorąc? Po prostu kawałkami papieru z paru słowami wyrażającymi jakieś uczucia. Z paru słowami, które każdy potrafi...

- Każdy kretyn potrafi lepiej wyrazić swoje uczucia niż te parszywe karty.

- Mimo to pan je czasem kupuje?

- Tak... czasami...

- A dlaczego?

- Chyba dlatego, że mi to oszczędza kłopotu pisania - odmruknął tamten.

- Zgoda. Ale płaci pan za tych parę kretyńskich frazesów. Płaci pan w dobrych, solidnych kredytach. Bo karty są chronione. Więc dlaczego odmawiać ochrony właścicielowi frazesu wtedy, kiedy ktoś używa go słownie?

- Ależ ja nie chciałem naruszać Prawa o Rejestrze - wołał tamten z rozpaczą. - Nie wiedziałem wcale, że ten frazes jest zarejestrowany. Skąd miałem wiedzieć? Codziennie ich przybywa, codziennie ktoś zgłasza wyłączość! Jeszcze trochę i nie zostanie ani jednego wolnego słowa.

- To nieprawda - zaproponował Dirdon. - Prawo o Rejestrze to prawdziwe dobrodziejstwo dla społeczeństwa. Paragraf 7 stawia za warunek wzięcia pod ochronę, by frazes był "wytarty, nadużywany i artystycznie tak już zwietrzały, że stał się nużącym truizmem". Oznacza to karne opłaty za banał słowny, co jest rzeczą słuszną i właściwą. Panie, pan przecież powinien się wstydzić użycia takiego zwrotu jak "stworzeni dla siebie". Więc należy się wdzięczność kontrolerom, takim jak Jes, którzy zmuszają pana do ostrożności w mówieniu i namysłu, nim pan cośkolwiek powie.

- Słuchaj, pan, głupcze...

- Obywatele - ciągnął Dirdon w zapale oratorskim - już teraz używają słownictwa bardziej bogatego, przejawiają inwencję słowną, odrzucają zwroty oklepane!

Biuro Stosunków Małżeńskich skrzywiło się ze wstrętem.

- A niechże cię diabli wezmą! Dzyń!

Urzędnik z BSM jęknął tylko, gdy Kontroler Jesa zapłonął czerwonym sygnałem nowego naruszenia. Jes wesoło uśmiechnął się i włączył głośnik.

- MzR14 - wybrzęczał mechaniczny głos. - Godzina ósma trzydzieści. Kontroler 27965 Kontrolera Rejestrowego Jesa stwierdził naruszenie...

Tamten zasłonił uszy. Po chwili opuścił ręce i patrzył otępiały z ekranu, podczas gdy Dirdon wykrzywił się szyderczo.

- Ile się za to należy? - spytał.

- Użycie słów "niech cię diabli" kosztuje dziesięć kredytów - rzekł Jes. - Wystawimy jeden rachunek za oba pogwałcenia.

Twarz Dirdona promieniała, gdy Jes całkowicie wyłączył telewizor.

Nagle przypomniał sobie, że Laurie stoi tuż przy nim. Zwrócił się do niej.

- Widzisz, kwiatuszku? - powiedział radosnym tonem. - Nawet jeśli straciłem parę kredytów przez to, że zostawiłem Kontroler otwarty całą noc, dzień zaczął się szczęśliwie. Mogę iść"o zakład, że dzisiaj zarobię tyle, żeby cię wysłać na jakąś przyjemną wycieczkę.

Laurie spojrzała nań zimno spod przymrużonych powiek.

- Radzę, żebyś się postarał - odparła. - Bo mam już ciebie powyżej uszu. I albo wrócisz z workiem kredytów, albo jeszcze dziś przed północą podam cię do rejestracji.

Jes skinął tylko głową ze strachem. Pochwycił z wieszaka pas grawitacyjny, wypadł z pokoju i zatrzymał się dla zapięcia sprzączek dopiero wtedy, gdy Laurie trzasnęła za nim drzwiami.

Wzdychając umocował pas i wbił się w powietrze. Wyfrunął przez wylot sześćdziesiątego piętra i zmieszał się z tłumem na wysokości dwóch tysięcy stóp.

Nastawił pas na szybkość trzydziestu mil na godzinę i zrównał się z osobnikiem w ciemnoszarym mundurze Obywatela bez Przydziału. Widząc nieszczęsny wyraz zoranej twarzy tego człowieka Jes tak się rozczulił, że nie myślał wcale chować Kontroler w puszcze maskującej. Trzeba by nie mieć serca, aby chcieć zarobić na takim biedaku. "Do licha - pomyślał - niech widzi i niech uważa! A mój inspektor może sobie patrzeć!"

Obywatel bez Przydziału spoglądał tymczasem na rozsuty pod nimi obraz wielkiego miasta. W

powietrzu, na różnych poziomach, fruwały w najrozmaitszych kierunkach miliony obywateli. Na dnię wąskich szpar, dzielących kolosalne wieże budynków, biegły linie chodników rojące się od ludzkich mrówek.

- Paskudne, co? - spytał Jes. Odpowiedziało mu smutne spojrzenie.

- Może mi pan nie uwierzy, ale dla mnie ten widok jest dzisiaj bardzo piękny. Zwłaszcza w porównaniu z tym, dokąd lecę.

Jes był wstrząśnięty. - Jak to?

- Zostałem podany do rejestracji - wyznał szczerze tamten. - Nie starcza mi kredytek na utrzymanie żony, Musiałem się zwrócić do Biura Opieki i prosić o zasiłek. Jeszcze miesiąc temu miałem własny warsztat naprawy pasów grawitacyjnych. Ale nowe pasy w ogóle się nie psują, interes przestał iść. Koniec wiadomy.

- Mój Boże! - westchnął Jes - to doprawdy okropne. Ale dlaczego pan mówi "w porównaniu z tym dokąd lecę"? Przecież będzie pan tutaj, chociaż przydzielą pana do jakiejś wstrętnej roboty pod ziemią, może przy kablach?

- Więc pan jeszcze nie wie? - uśmiechnął się ponuro człowieczek. - Ostatnio zgłoszono do rejestracji tak wielu drobnych przedsiębiorców, jak ja, że w Biurze Opieki nie mają już wolnych miejsc. Ale według przepisów każdy musi mieć jakiś przydział. A tak się złożyło, że właśnie teraz otwierają na Marsie nowe kopalnie i brakuje tam sił roboczych. Nie mam wyboru.

- Na Marsie? - wzdrygnął się Jes. - W tym pyłe melbonitowym? Niech tylko jedna drobina dostanie się pod kombinezon, a tworzą się oparzenia, których wciąż jeszcze nie umieją leczyć! - Dreszcz go przeszedł na samą myśl. Ale na widok twarzy Obywatela bez Przydziału dodał pocieszająco: - Słyszałem, że obecne kombinezony są bez zarzutu. Całkiem nieprzenikliwe.

- Nie zawsze - odparł człowiek w szarym mundurze. - W każdym razie nie rozwiązali sprawy wentylacji. Kiedy ostatnio założono wentyle do kombinezonów, dostawało się przez nie tyle pyłu melbonitowego, że... - wstrząsnął się z przerażenia. - Więc używają dalej niewentylowanych ubrań, co jest potwornie męczące. Idę w żywe piekło...

Dzyń!

Kontroler Jesa zapłonął szkarłatem sygnalizując pogwałcenie Rejestru. "Żywe piekło" było staroświeckim dramatycznym frazesem, który jakiś spryciarz wyko pał po skrupulatnych badaniach" i zgłosił do ochrony, w nadziei zarobienia paru kredytek.

Podczas gdy Jes słuchał z tępym wyrazem twarzy, jak brzęczący głos podawał szczegóły i wysokość opłaty - cztery kredytki - człowiek w szarym ubraniu powiedział żałośnie: - Tego mi brakowało do szczęścia. Dziękuję, przyjacielu, za miłą pamiątkę.

Jes zatrzasnął Kontroler.

- Słuchaj pan - rzekł pośpiesznie - to był czysty przypadek. I pójdzie na mój rachunek. Bierz pan. - Wyjął z kieszeni cztery srebrzyste kwadraty i wetknął Obywatelowi bez Przydziału do rąk. - Niech pan odłoży te kredytki na bok i zapłaci nimi po otrzymaniu nakazu. Zgoda?

- Dziękuję - odparł tamten z wdzięcznością. - Będę o panu pamiętał.

Bolesny uśmiech wykrzywił usta Jesa.

- Może nie będzie potrzeby, kolego. Może w następnym transporcie znajdziemy się obok siebie. Moja żona ma właśnie zamiar zgłosić mnie do rejestracji za brak wystarczających dochodów. I jeśli nie załapię jeszcze dziś jakiejś sutej prowizji, to nie ma co gadać - jadę do kopalni.

Obywatel bez Przydziału miał już na ustach słowo "Pomyślności!", gdy Jes wtrącił z pośpiechem: - Tss, to pod ochroną! Ale nie przejmuj się pan.

- Uhm... serce moje będzie ci towarzyszyć - odparł tamten, starannie dobierając wyrazy. - Ramiona

mego współczucia wesprą cię z całej siły. A teraz ściskam cię na rozstanie.

- Wspaniale! - zawołał Jes. Potrząsnął dłonią przyszłego mieszkańca Marsa. - To mi się naprawdę podoba. Ma w sobie świeżość wyrazu.

Wymienili uśmiechy. Po chwili ukazał się owalny gmach, w którym mieściła się Centralna Super-Kontrolexja. Jes skinął na pożegnanie, opuścił główny szlak ulicznego ruchu i spłynął przepisową spiralą ścigany podejrzliwym wzrokiem policjanta w złocistym pancerzu. Lądował na tarasie u wylotu dziewięćdziesiątego piętra i korytarzami przedostał się do wielkiej sali, której środek stanowiła kolista ściana, pokryta mnóstwem tablic rozdzielczych, kontaktów i tarcz.

Przywitał się z paru kolegami, ale nie wdawał się z nimi w pogawędkę. Nie umiałby dzielić pogodnego nastroju tych, którzy opowiadali wesoło, jak zręcznie udało im się przychwycić różne pogwałcenia. Jes podszedł do kolistej ściany, włączył swój Kontrolex, nacisnął guzik z napisem "Uzupełnienia Rejestru" i czekał, aż brzęczenie ucichło, co znaczyło, że jego aparat ma teraz w obwodzie frazesy dodane ostatnio do kolosalnej ilości chronionych zwrotów.

Napełniwszy w ten sposób zasób pamięciowy przyrządu, Jes udał się do hali sprzętu i wypisał zapotrzebowanie na pusty licznik zanieczyszczeń powietrza, w którym zwykle ukrywał Kontrolex. Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia.

- Jak się masz! - zawołał kontroler Platt, chudy, przesadny osobnik, którego Jes szczerze nie lubił. - Właśnie wracam z nocnego dyżuru. Miałem wspaniałą połowę.

- Tak? - spytał Jes z niesmakiem. Platt specjalizował się w wyłapywaniu pogwałceń w okolicy jezior i w parkach, gdzie kochankowie wciąż powtarzali słowa od dawna już nienowe, a mocno kosztowne.

- Moją kopalnią kredytek był jeden prosty dźwięk, od wczoraj pod ochroną! - chichotał Platt. - Stary, poczciwy gwizd przy zaczepianiu kobiet. Opłata sto kredytek.

- Ależ to wcale nie frazes! - zdumiał się Jes.

- Nie. Ale "wytarty, nadużywany i zwietrzały truizm". Więc przyjęli zgłoszenie.

- Ładny kwiat! Następnym razem dowiemy się, że wzięto pod ochronę głębokie westchnienie czy odgłos pocałunku.

Platt roześmiał się zachwycony tą perspektywą. I podczas gdy Jes krzywiąc się, dopasowywał Kontrolex do pokrywy licznika zanieczyszczeń powietrza, Platt częstował go szczegółami dalszych pogwałceń, na których też suto zarobił.

- Trafiłem na damulkę, zresztą wcale-wcale, która siedziała z facetem w parku na ławeczce. Ściskanie odchodziło takie, że aż ha! Wtem ona powiada: "Czy wiesz, że to pierwszy mój pocałunek?" Trzech i pięćdziesiąt kredytek opłaty. Inną parę złapałem w łódce przy brzegu. Księżyc, jezioro. Gość powiada: "Nie ożeniłem się dotąd, ale teraz..." Nie zdążył - kończył Platt - trzydzieści kredytek! Tak, miałem dobre żniwo. Na twoim miejscu przeszukałbym różne zaciszne kąciaki. Ostatnio wpisano do rejestru całą porcję różnych zwrotów miłosnych, a nikt o tym nie wie.

- Niezła myśl - bąknął Jes, który nie lubił robić sobie wrogów i nie chciał wypowiadać swego zdania o czerpaniu zarobków z takiego źródła. - Co prawda w tej chwili mam już ułożony plan. Ale to niezła myśl i będę o niej pamiętał.

- A dokąd się teraz wybierasz?

Jes z ulgą posłyszał ostry głos dzwonka, który ostrzegał kontrolerów, by przestali plotkować i ruszali w teren chwycić pogwałcenia i pomnażać dochody przedsiębiorstwa. Brzuchaty kierownik siedzący na balkoniku, skąd widać było całą olbrzymią salę, widział z oburzeniem, że jak zwykle nikt nie zważa na sygnał. Nacisnął guzik na tablicy przed sobą, powietrze wypełniło się odrażającym zapachem, a kontrolerzy chwytali z pośpiechem sprzęt i pędem opuścili gmach.

Jes chętnie znalazł się w labiryncie wąwozów dzielących drapacze chmur. Zamiast jednak unieść się w górę, opadł jakie czterdzieści pięter w dół i zaczął myszkować, odruchowo zatykając nos, gdyż powietrze na tej wysokości było fatalne. Przez głowę przemknęła mu irytująca myśl, że wobec dzisiejszego stanu technologii tolerowanie gdziekolwiek zepsutego powietrza jest niedopuszczalne.

- Ach! - rozstrzygnął sprawę. - Z pewnością w najbliższym czasie ktoś się tym zajmie. A moje zadanie w tej chwili to postarać się, żeby Laurie nie mogła mnie podać do rejestracji.

Zimno mu się zrobiło na samo wspomnienie pogróżek żony. Szybko skierował się do pierwszego z kolei miejsca, gdzie miał nadzieję łatwego zarobku: wydziału kadr Centralnego Zarządu Kontroli Zanieczyszczeń Powietrza. Wyłączył grawitacyjny pas, minął ciemny korytarz i znalazł się w ponurym, szarozielonkawym biurze, gdzie grupa inspektorów nerwowo czekała swojej kolei.

Jes przyłączył się do nich, a w swoim inspektorskim mundurze nie zwrócił niczyjej uwagi. Usiadł, jak inni, na jednej z twardych ławek i razem ze wszystkimi przysłuchiwał się składaniu raportów, które przyjmował dobroduszny, łysawy jegomość siedzący za barierką. Inspektor, raportujący w tej chwili, był blady, przejęty i zatroskany.

- Tak, przebieg pańskiej służby jest bez zarzutu - mówił personalnik. - Żadnej absencji w ciągu pięciu lat, żadnego spóźnienia. Zupełnie bez zarzutu.

- W takim razie - wyrzekł z nadzieją w głosie inspektor - mogę już teraz liczyć na podwyżkę? Obiecaną mam od dwóch lat.

Personalnik odchrząknął i nadal promieniał uśmiechem.

- Jak tylko choć trochę poprawią się interesy, damy panu i awans, i podwyżkę...

Dzyń!

Wśród oczekujących wybuchła wesołość, gdy Jes nerwowo wy dobył Kontrolex ukryty w pokrywie licznika zanieczyszczeń i odczytał rozwścieczonemu personalnikowi wymiar kary: pięćdziesiąt kredytów za użycie zastrzeżonego frazesu "Jak tylko choć trochę poprawią się interesy, damy panu i awans, i podwyżkę".

Jes umknął przed wybuchem gniewu swej ofiary, a jeden z inspektorów mruknął: - Ha! Będzie teraz musiał dobrze wysilić mózdzek, żeby znaleźć nowy sposób nabierania ludzi.

W ciągu następnych trzech godzin Jes pracował bez wytchnienia. Zainkasował dwadzieścia kredytów od portiera teatru, który wykrzykiwał: "Pełno wolnych miejsc!" Na innym pogwałceniu przyłapał osobnika o zmętniałych oczach i sinym nosie, który szeptał w barze do bufetowej: "To już ostatni!" Zatrzymał się przy budce telefonicznej i po chwili Kontrolex już dzwonił pod wpływem słów jakiegoś przystojnego bruneta, który mruczał w słuchawkę: "Mam dzisiaj mnóstwo pracy, kochanie, więc późno wrócę do domu".

Czas leciał szybko i kiedy Jes postanowił coś zjeść, stwierdził z przerażeniem, że minęła już większa część dnia, a choć wynik był znośny, daleko mu było do zawrotnej sumy, jaką przyrzekł Laurie. Na opłatach po dziesięć czy dwadzieścia kredytów nie można się było wzbogacić.

"Potrzeba mi czegoś naprawdę niezwykłego" myślał z rozpaczą Jes.

Drżącymi palcami przycisnął guzik z boku Kontrolexa.

Aparat rozjarzył się błękitno.

- Informacja! - wybrzączał mechaniczny głos.

- Za co - spytał Jes z podnieceniem - wyznaczone są stawki od tysiąca kredytów wzwyż?

Po krótkiej chwili mechaniczny głos obwieścił, że właśnie wpisano wyłączenie całej masy politycznych sloganów ze względu na toczącą się kampanią wyborczą - Jes z rosnącym przejęciem słuchał, jak głos wyliczał takie na przykład zdania: "Jeśli będę wybrany, dopilnuję zniżki podatków... Patrząc w rozumne oblicza słuchaczy, nie wątpię... Przypomina mi to historię z... Co za urocze

dziecko, droga pani... Helikopter na każdym dachu...”

Jes przekreślił wyłącznik i otarł pot z czoła. Prawdziwa żyła uranu: zdumiewała go szalona wysokość opłat: tysiąc kredytek za każde pogwałcenie! Partia rządząca nie cofała się widać przed żadnym sposobem pogwałcenia opozycji Tradycjonalistów. Ale przy tej okazji Jes mógł dzisiaj zrobić najlepszy interes w swojej karierze.

Pod warunkiem, rzecz jasna, że wyjdzie z tego żywy

Pełen nadziei pofrunął do wielkiej sali zebrań w siedzibie Tradycjonalistów, mieszczącej się na pięćdziesiątym pięttrze pobliskiego drapacza. Wystraszone nadnercze pobudzało mu serce do nieprzytomnego bicia. Chłopcy z bojówki Tradycjonalistów nie żartowali. Niejeden obywatel z żyłką do dysput został później odnaleziony w górnej stratosferze, zmarznięty na kość, z pasem grawitacyjnym wyregulowanym na maksimum i związanymi rękoma, by nie mógł powstrzymać wznoszenia się w górę.

Jes wpłynął nerwowo w wylot gmachu i wyłączył pas. Wśliznął się przez otwarte drzwi i rozejrzał po sali wypełnionej po brzegi. Na podwyższeniu przemawiał tęgi osobnik o czerwonej twarzy.

Po krótkim niespokojnym szukaniu Jes wypatrzył z zadowoleniem boczne wyjście z sali. Prowadziło do jakichś korytarzy, pełnych kurzu, gdzie stały drabiny i leżały stosy żelastwa. Stwierdziwszy możliwość odwrotu, Jes zaczął przeciskać się wzdłuż spadzistego przejścia w stronę trybuny i dotarł do ukrytego pod nią, odgrodzonego miejsca, gdzie dawniej zwykła przygrywać orkiestra.

Ciężko dysząc przyczał się w mroku. Tuż nad nim huczał mówca, którego głos docierał aż tutaj, trochę tylko stłumiony. Przyłożył Kontroler do szpary w deskach nad głową i głos stał się całkiem wyraźny. “Słuchajcie, chłopcy - wołał - jesteście wszyscy kierownikami obwodów, ale to diabła warte, póki nasza partia nie dojdzie do władzy. Ale jak już znajdziemy się znowu na karuzeli... no, nie muszę chyba tłumaczyć?”

Zduszony ryk widowni sprawił, że Jes przycupnął ze strachu.

- Więc te wybory - grzmiał dalej mówca - musimy wygrać, żeby tam nie wiem co! Chcę widzieć was wszystkich, was, oddani działacze partyjni...

Dzyń!

Wściekłe wycie wstrząsnęło murami sali, dając Jesowi znać, że banda politycznych najmitów rozpoznała dźwięk Kontrolera. Wszyscy zrozumieli, że ktoś ukrył się z aparatem, który automatycznie utrzymał na taśmie głos mówcy w chwili, gdy naruszył wyłączność opatentowanego frazesu.

- Zabić podłego szpicla! - wrzasnął mówca.

Dzyń! - zadzwonił Kontroler.

- Zlinczować go! Dzyń!

W ciągu krótkich trzech minut bezkarności Jes zainkasował dziesięć tysięcy kredytek w pogwałceniach, których nie można było się wyprzeć, ponieważ wszystkie głosy jak i odciski palców były zarejestrowane u władz.

Jes wykradł się bocznym wyjściem, pełznął na czworakach przez chwilą, po czym puścił się pędem. Na zakręcie wpadł jednak prosto w ramiona jakiejś dużej postaci. W okamgnieniu znalazł się na ziemi, a jakieś twarde pięści zaczęły go okładać.

Wtem rozległ się policyjny gwizdek, w ciemności błysnął złocisty pancerz, twarde pięści znikły, jak za dotknięciem magicznej laseczki, a półprzytomny Jes uniósł głowę.

Mętnie rozejrzał się wkoło. Policjant patrzył na niego uważnie, a władczą dłonią przytrzymał Jesa za ramię.

- Akurat w porę przyszedłem, co? - zagadnął. - Uratowałem ci skórę.

Dzyń! - brzęknął Kontrolex.

- To nic! - pośpiesznie zawołał Jes, - To na rachunek firmy.

- Spodziewam się - burknął policjant. - Jeśli masz trochę rozumu...

Dzyń! - zadzwieczał Kontrolex.

- Wynoś się stąd! - wrzasnęła władza. - Wynoś się, pókim dobry!

Dzyń! - zadzwieczał Kontrolex.

- Baw się dobrze, kochanie! - wołał Jes do Laurie, która wsiadała do przestrzennego statku ściskając w rękę torebkę wypchaną kredytami. Było tego dosyć na dwa miesiące pobytu w Pałacu Rozkoszy.

- Możesz się o to nie martwić - rzuciła mu Laurie przez ramię.

Jes wrócił do mieszkania. Wyciągnął się na tapczanie, zadowolony z siebie. Otworzył stojącą obok staroświecką komodę, nacisnął ukrytą sprężynę i wewnątrz komody pokazała się zrecznie zamaskowana lodówka. Wyjął przezroczysty zbiorniczek z piwem.

- Aaa! - westchnął z ulgą. - Jak cudownie zostać samemu! Całe dwa miesiące wolne od zrzędzeń Laurie. Co za wspaniała nagroda za tyle ciężkiej pracy. Jaki świetny pomysł miał rząd wprowadzając takie zasady.

Po chwili wszakże jego zadowolenie stopniało jak wosk. Było naprawdę bardzo spokojnie, może aż za bardzo?

Po pół godzinie czuł się zupełnie głupio, choć nie wiedział dlaczego. Drżąc z niepokoju nastawił telewizor i na ekranie pokazał się urzędnik z Biura Stosunków Małżeńskich. Popatrzył na Jesa i ostrożnie rozglądał się po pokoju, aż wypatrzył Kontrolex.

- Wyłącz tę sztuką albo z tobą nie gadam - warknął.

- Wyłączona! Słuchaj, nie wiem sam, co mi jest. Czy możecie mi dać zezwolenie, żebym spędził wakacje razem z moją żoną? Albo żeby Laurie wróciła?

- Chyba nie - odparł tamten. - Zasada, że trzeba tyle zarabiać, aby żona miała wakacje, ustaliła się w ciągu wieków i rząd tylko ujął ją w formę prawa. Natomiast twój wyjazd do niej albo sprowadzenie jej tutaj, byłyby wbrew ustawie.

- Ależ to nieuczciwie! - krzyknął Jes.

- Doprawdy? - uśmiechnął się jego rozmówca. - To dobrze. Cieszę się, żeśmy tak znakomicie dobrali ci żonę i że tworzycie tak szczęśliwe stadło. - Zatarł ręce z zachwytu. - Ledwo wyjechała, a już za nią tęsknisz. Wspaniale.

- Wspaniale? Ależ ja cierpią!

Naturalnie, że cierpisz! - Jegomość ze Stosunków Małżeńskich rzucił okiem na stojący obok aparat pomiarowy. - Cierpienie jest ideałem rozkoszy dla masochisty. Pomyśl tylko, jakie cudowne dwa miesiące tęsknoty masz przed sobą!

- No, dobrze! Więc powiedzmy, że przepis każe mi ją wysłać na wakacje i nie pozwól, jechać razem z nią - żalił się zrozpaczony Jes. - Ale to nie znaczy, że jej tam ma być przyjemnie!

- Zaraz ci wytłumaczę - odparły Stosunki Małżeńskie. - Twój wskaźnik masochizmu spadł bardzo wyraźnie. A teraz się nawet wściekasz!

- Oczywiście! - przyznał zdziwiony Jes. - A co mogę robić?

- To - wyjaśniły Stosunki Małżeńskie - co zawsze robili mężczyźni, od kiedy pracują po to, aby wysłać żony na wakacje. Kiedy kota nie ma, jak wiesz... - urwał przerażony.

- Już ci mówiłem - roześmiał się Jes - że wyłączyłem aparat. Ale dziękuję za przypomnienie, choć powiedziałaś oklepany banał. Laurie sobie myśli, że tylko ona jedna może mieć wakacje, co? A ja jej

pokażę!

- Zawsze do usług - odparł tamten. - Mogę tak mówić - dodał wojowniczo - bo tym razem wyłączność należy do nas.

Postać znikła z ekranu, a Jes zaczął myszkować po różnych niewinnych kryjówkach w poszukiwaniu małej czarnej książeczki, której nie miał w ręku od lat. Po chwili wyśpiewywał na cały głos "Żoneczka wyjechała, hura, hura, wyjechała!" Nagle w przerażeniu zakrył dłonią usta: Kontrolex! Lecz zaraz sobie przypomniał, że Kontrolex jest wyłączony.

Tłumaczył Julian Stawiński

Spis treści

| | |
|---|-----|
| <u>C. M. KORNBLUTH - Czarna walizeczka.</u> | 4 |
| <u>JACK FINNEY - Zajmujący sąsiedzi</u> | 29 |
| <u>RAY BRADBURY - Nadejdą deszcze.</u> | 43 |
| <u>ROBERT HEINLEIN - Drogi muszą być w ruchu.</u> | 50 |
| <u>HARRY HARRISON - Skalny nurek.</u> | 84 |
| <u>JOHN BERRYMAN - Licencja pilota.</u> | 94 |
| <u>H. B. FYFE - Sałata i brylant</u> | 119 |
| <u>MURRAY LEINSTER - Parlamentariusz.</u> | 131 |
| <u>ROBERT SHECKLEY - Instynkt myśliwski</u> | 152 |
| <u>CLIFFORD D. SIMAK - Współczynnik racjonalności</u> | 166 |
| <u>MURRAY LEINSTER - Samotna planeta.</u> | 182 |
| <u>A. E. VAN VOGT - Zaczarowane miasto.</u> | 207 |
| <u>MALCOLM JAMESON - Lilie życia.</u> | 220 |
| <u>POUL ANDERSON - Pomocna dłoń.</u> | 240 |
| <u>ISAAC ASIMOV - Dziedziczność.</u> | 264 |
| <u>ROBERT ZACKS - Kontrolex.</u> | 312 |